

KWARTALNIK O TRADYCJI I CHWALE

POLSKIEGO OREŻA

OBRONA WYBRZEŻA

Samotna morska twierdza



ŻYCIORYSY HEROICZNE

PŁK JAN KRUK-ŚMIGŁA →

← PŁK WACŁAW LIPIŃSKI



HISTORIA

**POLSKA
ZBROJNA**

NR 3/4 (11/12) 2019
www.polska-zbrojna.pl

CENA 9,99 ZŁ (w tym 8% VAT)
ISSN 2543-8735

Silni, zwarceni, gotowi?

TEMAT NUMERU

Wrzesień 1939
Krajobraz klęski



**TAJEMNICE
POLSKIEGO
WYWIADU**

PORZUCONE ARCHIWUM

A WIĘC WOJNA!

TRZY ARMIE
PORÓWNANIE POTENCJAŁÓW

**RANKING POLSKICH
DOWÓDCÓW WRZEŚNIA**

**KRAJINA ROPĄ
PŁYNĄCA**

polski przemysł
naftowy
w przededniu wojny

Nie martw się! Zaraz będą mówili Starzyński i Lipiński

Oto wyjątkowy **audiobook** zawierający *Dziennik* Wacława Lipińskiego, nagrany w nowoczesnej formie – z oprawą dźwiękową i muzyczną oraz z wykorzystaniem nagrań archiwalnych Polskiego Radia.

Do **audiobooka** dodano drugą płytę CD z archiwalnymi przemówieniami Wacława Lipińskiego. Płytom towarzyszy książeczka o autorze *Dziennika*.

Wacław Lipiński, żołnierz Legionów Polskich, oficer Wojska Polskiego – podczas obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. prowadził dziennik, w którym opisywał życie codzienne w oblężonej stolicy.



**CZYTA:
MARIUSZ BONASZEWSKI**

**WYDAWNICTWO
DOSTĘPNE W SPRZEDAŻY!**

POSŁUCHAJ NA



**PAMIĘTNIKI
DO SŁUCHANIA**



**INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ**



Wilno, początek lat trzydziestych, młode pokolenie rodziny Nowaczków słucha radia na kryształkach. W bandażu na głowie chory na świnkę Janusz (ur. 1917), z prawej wystrzyżony Stefan (ur. 1919), z tyłu w mundurze Joachim (ur. 1914) – trójka synów Jadwigi z Wydrychiewiczów (ur. 1894), członka Polskiej Organizacji Wojskowej i żołnierza Wojska Polskiego oraz Stefana Wincentego (ur. 1896), legionisty, powstańca śląskiego, oficera Oddziału II Sztabu Generalnego i kapitana Wywiadu Korpusu Ochrony Pogranicza. Joachim umrze przedwcześnie jako słuchacz wojskowej szkoły kadetów w Rawiczu w roku 1932, Stefan Wincenty zginie jako więzień obozu starobielskiego w Charkowie w roku 1940, Stefan zostanie skazany na śmierć jako żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych w Warszawie w roku 1946. Wojnę i wyzwolenie przeżyją Jadwiga (zm. 1969) i Janusz, żołnierz Armii Krajowej (zm. 1985).

Fot. z archiwum rodzinnego Marii Nowaczek-Migas.



SPIS TREŚCI

Wojna i polityka

MAREK KORNAŁ

14 Czwarty rozbiór

JAN SADKIEWICZ

138 W tym „szaleństwo” była metoda

Polemika

JAKUB POLIT

20 Bez alternatywy – polityka Józefa Becka

JAN SADKIEWICZ

24 Niewłaściwy człowiek w niewłaściwym miejscu

Strategie

JULIUSZ S. TYM

28 Nie było szarży na czołgi

Wojenne epizody

DAWID GOLIK

36 Przekłete wzgórza

WOJCIECH KRAJEWSKI

116 Pierwszy poległy pilot Września '39

Lotnictwo

MARIUSZ NIESTRAWSKI

42 Nierówna walka

92

Marynarka wojenna

RAFAŁ MICHLIŃSKI

48 Dni chwały i dramat floty

MARIUSZ BOROWIAK

54 Samotna morska twierdza

Korzenie Wojska Polskiego

PIOTR KORCZYŃSKI

64 Jesień krakusów

PIOTR KORCZYŃSKI

92 Kopowcy spełnili swój obowiązek
Rozmowa z Jerzym Prochwiczem

Anatomia Września

MICHAŁ PRZYBYŁAK

68 A więc wojna!

JULIUSZ S. TYM.

100 Silni, zwarci, gotowi?

DANIEL KOREŚ, JULIUSZ S. TYM

107 Dowódcy Września
Ranking

Klub Garnizonowy

ANDRZEJ ŁYDKA

80 Posłusznie melduję...

ANDRZEJ ŁYDKA

192 Uniwersalne „zabezpieczenie” –
słowo wytrych

Ekonomia na czas wojny

PIOTR KORCZYŃSKI

82 Ropą Polska stała
Rozmowa z Piotrem Franaszkiem



14



100

Tajemnice wywiadu

KONRAD PADUSZEK

88 Tajemnice archiwum
w Forcie Legionów

Śledztwa po latach

WOJCIECH KRAJEWSKI

122 Na tropie samolotu

Życiorysy heroiczne

JERZY KIRSZAK

126 Honor mój w porządku
ppłk Jan Kruk-Śmigła

MAREK GAŁĘZOWSKI

132 Wierny żołnierz Niepodległej
ppłk Wacław Lipiński

W służbie propagandy

MICHAŁ PRZYBYŁAK

142 Wymyślone zwycięstwa

TOMASZ LESZKOWICZ

146 Marian Buczek i Zaleszczyki –
narodziny fałszywego mitu



WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY
Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
tel. 261 845 365, 261 845 685, faks 261 845 503;
sekretariat@zbrojni.pl

POLSKA ZBROJNA. HISTORIA

REDAKTOR NACZELNY
Anna Putkiewicz, tel. 261 846 764;
pzhistoria@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI
Małgorzata Łętowska, tel. 261 845 165;
pzhistoria@zbrojni.pl

REDAKCJA
Piotr Korczyński
tel. 261 845 604;
pzhistoria@zbrojni.pl

GRAFIKA
Marcin Dmowski (kierownik),
Marcin Izdebski (projekt szaty graficznej i opracowanie),
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel. 261 845 579

STALE WSPÓŁPRACUJĄ:
Anna Dąbrowska, Mariusz Borowiak, Maciej Chilczuk,
prof. Andrzej Gąsiorowski, Jarosław Godlewski, dr Grzegorz
Jasiński, Łukasz Jędrzejczak, dr hab. Jerzy Kirszak,
ks. płk dr Zbigniew Kępa, Wojciech Krajewski, Mikołaj Kubacki,
płk Mariusz Kubarek, prof. Mirosław Lenart, ppłk Andrzej Łydka,
Michał Mackiewicz, dr Mariusz Niestrawski, dr Konrad
Paduszek, dr Anna Pastorek, prof. Bogusław Polak,
prof. Wojciech Polak, dr hab. Jakub Polit, Paweł
Rozdżestwierński, Paweł Sztama, dr Jan Tarczyński,
prof. płk Juliusz S. Tym, dr Krzysztof Wielgus,
prof. Wojciech Włodarkiewicz, Tadeusz Wróbel,
Łukasz Zalesiński, Tomasz Zawistowski

KWERENDA FOTOGRAFICZNA: Dominik Kaźmierski

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Beata Stadryniak-Saracyn,
January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA
Piotr Zarzycki, Patryk Czarnowski, Agnieszka Karaczun,
Anita Kwaternowska (tłumacz), Małgorzata Szustkowska,
Marta Szulc,
tel. 261 845 387, 261 845 180,
faks 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

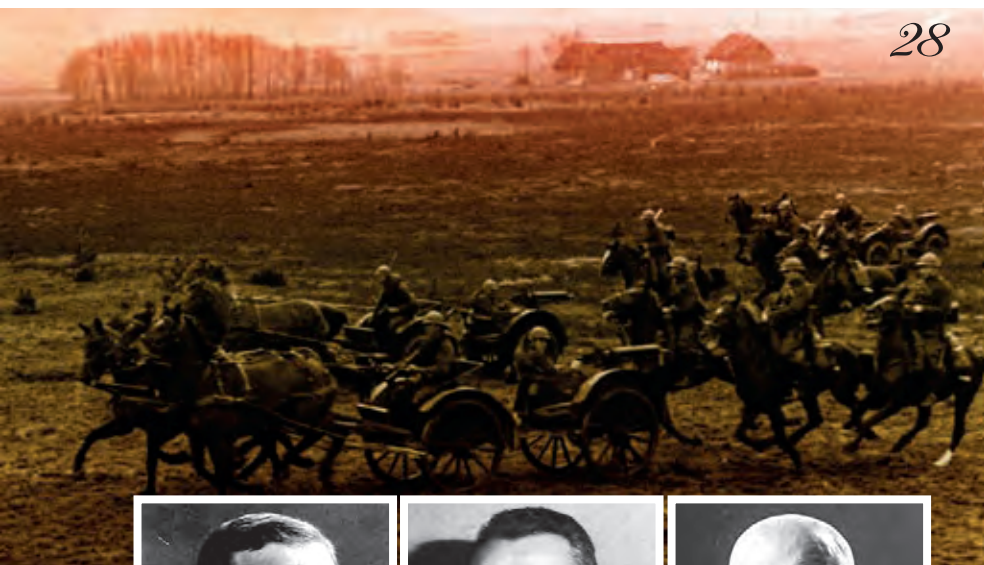
DRUK:
ARTDRUK, ul. Napoleona 4,
05-230 Kobyłka, www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych
„Polski Zbrojnej. Historia” można składać pod adresem:
sklep.polska-zbrojna.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
Punkt Pocztowy Włocławek
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
tel. 885 870 509, tel. kom. 502 012 187;
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

PARTNER
Narodowe Archiwum Cyfrowe. 
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl

Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów i zmiany tytułów.
Egzemplarze kwartalnika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej
są bezpłatne. Informacje: tel. 261 840 400.
Zasady przekazywania redakcji kwartalnika
„Polska Zbrojna. Historia” materiałów tekstowych i graficznych
opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-
zbrojna.pl.



107

Wojna i sztuka

ŁUKASZ JASINA, MICHAŁ KOZŁOWSKI
150 Wrzesień 1939 w filmie polskim

Historie ocalone

DOMINIK KAŹMIERSKI
156 Love story bez happy endu

Sztandary Wojska Polskiego

JAROSŁAW PYCH
158 Legenda wrześniowych sztandarów

Kawalerowie Virtuti Militari

ANNA DĄBROWSKA
161 Zbyszko z Kruszewicy –
obrońca Helu

Z Arsenalu Muzeum Wojska Polskiego

MICHAŁ MACKIEWICZ
162 Mauzery dla strzelców

Konstruktorzy broni

PIOTR KOCYAN
166 Czeska lekcja

Pamiętki polskie

TOMASZ ZAWISTOWSKI
168 Samolot w czekoladzie

Motoryzacja

JAN TARCZYŃSKI
172 Ostatni samochód Marszałka

Z dziejów chwały

GRZEGORZ MAJCHRAK
178 Wszystkie zbrodnie Jasienicy

Z dziejów hańby

PAWEŁ SZTAMA
186 Czerwony prokurator
Karzący miecz niesprawiedliwości

Ceremoniał wojskowy

MARIUSZ KUBAREK
194 Wyższa szkoła dyplomacji

Notatnik kolekcjonera

ANDRZEJ WITKOWSKI
197 Świat filokartystyki

Idee

PIOTR KORCZYŃSKI
198 Skarb odzyskany
Rozmowa ze Sławomirem Cenckiewiczem

42



48



FOT. CZARY POMYKAŁO

ANNA PUTKIEWICZ REDAKTOR NACZELNY

KONFLIKT ZBROJNY DEKONSTRUUJE ŚWIAT JESZCZE W INNY SPOSÓB. ZMIENIA JĘZYK, PRZESTAWIA ZNACZENIA. PRZESILENIE PO WYCZERPANIU WALKĄ SZUKA NOWEGO UJŚCIA, NOWEJ, POWOJENNEJ NARRACJI. MA RACJĘ TYLKO TEN, KTO ZDOŁA SŁUCHACZOM NARZUCIĆ SWOJĄ OPOWIEŚĆ.

Mieliśmy dopiero dwadzieścia lat. Jak na odradzające się państwo, zrobiliśmy już całkiem sporo. Zabrakło nam jednak czasu, pieniędzy, przyjaciół i sprytu. Nie mogliśmy wygrać tej wojny. Wojna grzebie narody i okrywa je mro-

kiem. Masy ludzkie podążają śladem wytyczonym wcześniej w gabinetach polityków i sztabowców. Ale konflikt zbrojny dekonstruuje świat jeszcze w inny sposób. Zmienia go, zmieniając jego opis. Tę batalię także przegrywamy. Zawodowi zaklinacze słów, specjaliści od historycznej dezinformacji są już kilka długości przed nami. W ich dominującej opowieści nie rozpoznajemy naszego wojennego doświadczenia.

Dość dobrze znam zaskakującą mnie zawsze wykładnię „wojennego szczęścia”. Przetrwiała ona w opowieściach rodziny urzędnika Polskich Kolei Państwowych, która przeżyła okupację pod Brześciem. „Szczęście” im sprzyjało także pamiętnego dnia. Było świeżo po deszczu, łopata wchodziła więc w grunt jak w masło. Ojciec stał już po kolana w dole i miarowo, ponaglany krzykiem niemieckiego oficera, wybierał żyzną ziemię własnego ogrodu, odkładając powoli jej pokłady. Kupował czas dokładnym wyrównywaniem brzegów. Zarys wykopu precyzyjnie zakreslił butem ów Niemiec. W dole miało się zmieścić pięć osób. Rodzice i troje dzieci. Ojciec nie miał dylematu – jeśli nie wykopie grobu, ciała jego rodziny będą sprofanowane. Nad nim, jak później opowiadał, „śwargotali” Niemcy, zaciągając się tytoniem. Kobieta wyrwana brutalnie z obowiązków domowych tuliła niemowlę – chłopca. Po jej bokach stały dwie kilkuletnie dziewczynki, które, trzymając w zaciśniętych piąstkach skraj matczynej spódnicy, posłusznie wykonywały jej prośbę: „Módlcie się dzieci”. Szept modlitwy mieszał się ze śmiechem Niemców, rzucających niedopałki do dołu wprost pod nogi ojca. Całe to wydarzenie spowodował, jak to na wojnie, przypadek. W dziupli starej lipy, chylącej się wprost z ogrodu nad drogę, znaleziono niemiecką broń. Kara dla polskiego „bandyty” mogła być tylko jedna i wykonana natychmiast. Rodzinę wywleczono z domu: łopata, dół, modlitwa. Powietrze rześkie po deszczu i dziwny spokój. I oto nagle wkracza na arenę, wspominany do dziś z wdzięcznością „dobry Niemiec”, nowy bohater wielkiej wojennej niemieckiej sagi, wstęp do twórczej semantyki. Bo „dobry Niemiec” to przecież zupełnie ktoś inny niż na przykład „dobry Polak”, czyli ktoś z natury swej przeskalowany w miłości do Polski, ktoś – zgodzimy się przecież

– arcykowski. O nie, „dobry Niemiec” – kluczowe, jak się wkrótce okaże, zjawisko w opisie wojennego świata – to po prostu ktoś, kto okazał odrobinę człowieczeństwa. Ale jego czyn, przez prostą zasadę kontrastu z tłem, oceniany jest łaskawiej. Ba, generuje przymus wdzięczności. Wspomniana rodzina miała ów łut szczęścia. Motocykl „dobrego Niemca” zatrzymał się przy tej ciekawej ogrodowej scenografii. Przy tym zespole figur polskich, które zastygły nad własnym grobem.

„Dobry Niemiec” odegrał tu przełomową rolę, ponieważ skojarzył fakt odnalezienia broni z dezercją kolegi. Numer się zgadzał. Niemieckiej buchalterii ta polska rodzina zawdzięcza ocalenie życia. W przekazie rodzinnym czasem opisywało się też tę historię jako cud. Starsza dziewczynka, z włosami jak len, która stała na skraju dołu, spoglądając to na ojca, na matkę, to na struchlałą siostrzyczkę, przeżywającą swą przedśmiertną trwogę – to moja mama. „Mieliliśmy szczęście”, mawiała. Mówiła też: „Wszystko – byle nie wojna”.

Niemcy, naród wszak muzyczny, wyrobionym uchem usłyszał tę delikatną, czując nutę resentymentu i... do dziś rozgrywa ją koncertowo. Bo oto nagle „dobry Niemiec” zaludnił powojenną mitologię. Okazało się, że narody okupowanej Europy, a przede wszystkim Polska, cierpiały ramię w ramię z „dobrymi Niemcami”. Niemiecki, mocny but wsunięty w drzwi, rozszczelniał je coraz bardziej, przez światło szczeliny sunął szereg „ofiarni” – powstawał nowy przyczynek do wiktymologii. Ofiar tajemniczej sekty „nazistów”, tajemniczego ludu bez państwa, bez przynależności. Naziści, nagle pozornie wynarodowieni, w rzeczywistości troskliwie upychani po urzędach i synekurach (o fałszu procesy denazyfikacji pisał znakomicie chociażby Dieter Schenk). Zwycięzcy i zwyciężeni spotkali się znów na ubitej ziemi i zaczęli nową wojnę. O nowego człowieka i jego nową pamięć. A nam – cóż, spętany komuną, kneblovany nowym, czerwonym terrorem, jak zwykle zabrakło pieniędzy, przyjaciół i sprytu. Kiedy głos historyków jest

w defensywie, ton narzucają specjaliści od magii kina. Wskreszają armie, których nie było. Milczą zaś o prawdziwym męstwie i poświęceniu, które mogłoby obudzić sumienia. Pamiętam przed laty niezły niemiecki film o rodzeństwie Schollów, członkach Białej Róży. Ich antyfaszystowska działalność wynikała z chrześcijańskich pobudek, być może słuchali płomiennych kazań „Lwa z Münsteru” – biskupa Klemensa von Galena. Szlachetne rodzeństwo położyło swe młode głowy pod gilotynę. Odniosłam jednak mocne wrażenie sprawnie przemyczonej nostalgii, że w zasadzie Niemcy

po cichu, w większości... byli antyhitlerowskie. Później mieliśmy cały wysyp filmów badających grunt, percepcję odbiorcy, które z perspektywy psychologii próbowały tłumaczyć genezę narodowego socjalizmu. Upraszczając, można sprowadzić to do konkluzji, że cała tajemnica niemieckiego okrucieństwa czasu wojny tkwi w deficytach czasu pacholącego, w opresyjnym systemie wychowawczym. Z tej perspektywy warunki proponowanego „pojednania” między narodami nie pozostawiają ofiarom wyboru – powinny zapomnieć, zrezygnować z upamiętnienia. Cóż, wszyscy byliśmy przecież ofiarami. Warto wspomnieć tu, uznanego za szaleńca Austriaka Franza Jägerstättera, skazanego na śmierć przez sąd wojenny Rzeszy za odmowę

udziału w tej wojnie. To bohater zapomniany. Ale na dobrze skonstruowanym filmie „Upadek” gotowiśmy prawie litować się nad postarzałym, samotnym Hitlerem, który trzęsącymi się dłońmi odprawia ostatnie szeregi młodych Niemców na przegraną wojnę... Pamiętajmy, że wojna o pamięć wciąż trwa. Minęło 80 lat, a pole bitwy jest gęste od graczy i wciąż dymi.

Spośród wszystkich dotychczasowych wydań kwartalnika, wydanie obecne ma najbardziej militarny charakter. Wstępem – nieco lirycznym, pragnę nakreślić inną perspektywę spojrzenia na zmagania naszych polityków i męstwo żołnierzy, którym poświęciliśmy nasze wydanie. Spojrzenia na inny wymiar klęski.



Rodzina Heleny i Jana Fiedorowich po „cudownym ocaleniu”. Od lewej dzieci: Irena, Lech, Danusia. Jesień, 1944 r.

Fot. archiwum Leszka Dylaka

Bitwa pod Ostrowem

25-26 lipca 1812 r.



1



W lipcu 1812 r. Wielka Armia Napoleona zwróciła się przeciw dowodzonej przez ministra wojny gen. Michaiła Barclaya de Tolly'ego rosyjskiej 1 Armii Zachodniej, która 10 lipca wkroczyła do potężnie ufortyfikowanej Dryssy. Gdy główne siły Francuzów ruszyły spod Wilna, gen. Barclay de Tolly przekonał cara o konieczności ewakuowania fortecy – w przeciwnym razie Francuzi mogliby 1 Armię otoczyć, a droga na Moskwę stałaby dla Napoleona otworem. Ewakuację rozpoczęto 15 lipca. Cesarz Francuzów o tych działaniach dowiedział się dwa dni później, gdy główna część 1 Armii Zachodniej minęła już Połock; o szczegółach zaś cesarza Francuzów poinformowano dopiero 23 lipca. Ewakuacja mocno krzyżowała jego plany. W pościg za siłami rosyjskimi skierował on marsz. Joachima Murata z I i III Korpusami Kawalerii oraz włoskim IV Korpusem wicekróla Eugeniusza de Beauharnais.

Marsz sił rosyjskich był tak powolny, że konfrontacja z Napoleonem wydawała się nieunikniona. Barclay de Tolly zdawał sobie sprawę, że aby wyprowadzić armię przez most w Witebsku, musi stoczyć bój z Francuzami. Do walki skierował IV Korpus Piechoty gen. Aleksandra Ostermanna-Tołstoja, I Korpus Konny i 3 Dywizję Piechoty gen. Piotra Konownicina.

Rosjanie spotkali się z awangardą Wielkiej Armii pod miasteczkiem Ostrowno. Obszar ten ograniczały z jednej strony gęste lasy, z drugiej zaś rzeka Dźwina. Teren porośnięty był gęstymi gajami i pokryty trzęsawiskami, co nie sprzyjało działaniom kawalerii i uniemożliwiało siłom Napoleona wykorzystanie przewagi liczebnej. Siły rosyjskie liczyły wprawdzie 20 tys. przeciw 15 tys.

LIPIEC

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

MUZEALNE PAMIĄTKI

1. Mundur oficera 8 Pułku Ułanów.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

2. Szabla lekkiej kawalerii używana zarówno przez polskich, jak i francuskich kawalerzystów.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

3. Szabla wyższego oficera wojsk napoleońskich.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

4. Kapelusz dwurożny gen. Józefa Niemojewskiego, dowódcy polskiej brygady ułanów w pierwszym dniu walki.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

5. Frak gen. Józefa Niemojewskiego, dowódcy polskiej brygady ułanów w pierwszym dniu walki.

Muzeum Wojska Polskiego

żołnierzy cesarskich, jednak Francuzi mogli spodziewać się stopniowo docierających posiłków.

Forpocząty obu stron starły się rankiem 25 lipca. Gdy Rosjanie rozbili idący w szpic patrol huzarów, wywiązała się krótka i zaciepła walka, w której górę wzięli Francuzi. Następnie na plac boju przybyły francuskie posiłki, w tym polska brygada gen. Józefa Niemojewskiego, która osłoniła narażone na atak prawe skrzydło. Dragoni ingermalandzcy zaatakowali ułanów, lecz Polacy nie dali się zaskoczyć – sprawnie wykonali zwrot i w kontrszarży rozbili Rosjan. Na innych odcinkach trwały równocześnie ciężkie walki, lecz nie przynosiły rozstrzygnięć. Dowódca rosyjski podjął wówczas próbę rozbicia skrzydeł sił Murata. Polacy jednak znów okazali się lepsi – ułani rozbili trzy bataliony rosyjskie, a atakujących na prawym skrzydle Rosjan pobiły siły francusko-włoskie. Przybycie kolejnych posiłków zmusiło przeciwnika do wstrzymania działań.

Pod osłoną nocy Rosjanie cofnęli się w kierunku Witebska i ponownie zajęli dogodną do obrony pozycję. Tym razem do walki skierowano siły gen. Konownicina. Bój rozpoczęła utarczka między rosyjskimi jegrami a francuskimi wołtyżerami. Wicekról Eugeniusz szykował tymczasem wojska do bitwy. Polska brygada kawalerii stanęła na prawym brzegu Dźwiny. Początkowo główny ciężar walk spoczął na piechocie, która wdała się z siłami rosyjskimi w zażartą walkę. Gdy Rosjanie pokonali dwa pułki piechoty, marsz. Murat rozkazał Polakom powrócić na lewy brzeg i uderzyć na zwyciężących nieprzyjaciół. Po przeprawieniu się przez rzekę polscy kawalerzyści z miejsca ruszyli do szarży. Zaskoczenie było kompletne. Ułani księcia Dominika Radziwiłła roznieśli na szablach kilka batalionów rosyjskiej

piechoty. Uderzenie to okazało się decydujące – żołnierze napoleońscy ponownie rzucili się na przeciwnika. Szlaki rosyjskie pękły i gdy napoleońskie wojska wyparły Rosjan na szeroką równinę, nad Rosjanami zawisła groźba kompletnej klęski. W tym momencie Konownicina wsparł mocno poturbowany dzień wcześniej I Korpus Konny. Wojska napoleońskie na widok nowych sił nieprzyjacielskich wstrzymały natarcie, a Rosjanie rozpoczęli odwrót na Witebsk.

Dwudniowa bitwa na trakcie witebskim, choć skończyła się zwycięstwem wojsk napoleońskich, nie powstrzymała 1 Armii Zachodniej przed przeprawą na lewy brzeg Dźwiny. Kolejna runda kampanii 1812 r. miała rozegrać się w sierpniu pod Smoleńskiem.

MIKOŁAJ KUBACKI absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Pracownik Muzeum Wojska Polskiego, napoleonista, pasjonat dziejów militarnych od XVIII do początków XX w.

1

6

2

Bitwa pod Kleckiem 5 sierpnia 1506 r.

Na przełomie 1505 i 1506 r. doszło do negocjacji władcy Polski i Litwy Aleksandra Jagiellończyka z chanem krymskim Mengli Girejem. Rozmowy dotyczyły zawiązania sojuszu polsko-litewsko-tatarskiego wymierzonego w Moskwę.

By wymusić lepsze warunki umowy, chan postanowił zademonstrować swoją potęgę i rozkazał zorganizować zbrojne wyprawy na terytoria Polski i Litwy. Wczesną wiosną 1506 r. Tatarzy krymscy spustoszyli południowo-wschodnie województwa, docierając do wschodniej Małopolski i na południową Białoruś. W maju 1506 r. Mengli Girej ponownie wysłał oddziały Tatarów na wyprawę wojenną, oddając dowództwo synom Fethiemu i Burnaszowi. Kilkunastotysięczna armia chana przekroczyła granicę Wielkiego Księstwa Litewskiego i ruszyła na północ. Przeprawiwszy się bez problemu przez rzeki Dniepr i Prypeć, wtargnęła na Białoruś. Tatarzy założyli warowny obóz, tzw. kosz, w okolicach zniszczonego przed trzema laty Klecka. Stamtąd wyruszyły czambuły tatarskie, które dotarły aż do Mińska, Nowogródka, Oszmiany, Lidy i Wołkowyska, po drodze rabując, porywając ludność w jasyr i znacząc szlak spalonymi wsiami. Na wieść o najeździe przebywający w Lidzie umie-

rający król Aleksander nakazał hetmanowi litewskiemu Stanisławowi Kiszce i marszałkowi nadwornemu kniaziowi Michałowi Glińskiemu zorganizowanie wojska i wyruszenie przeciw Tatarom. Po wydaniu królewskiej dyspozycji – w obawie przed Tatarami – polski władca pod eskortą udał się do Wilna. Polacy i Litwini szybko



MUZEALNE PAMIĄTKI

1. Fragment pancerza – bechter, XVI w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego
2. Lekki napierśnik koński, XVI w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego
3. Miecz, pocz. XVI w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego
4. Puginał, XVI w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego
5. Szabla, I poł. XVI w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego
6. Żeleźce młotka rycerskiego, I poł. XVI w., Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

zebrali około 7 tys. konnych tzw. służby ziemskiej i kilkuset raców, czyli lekką jazdę najemną, oraz chorągiew nadwornej jazdy królewskiej. Podczas marszu, pomiędzy Nowogródkiem a Kleckiem, Stanisław Kiszka ciężko zachorował i był zmuszony przekazać dowództwo kniaziowi Glińskiemu. Z początkiem sierpnia schwytani jeńcy wskazali miejsce założenia tatarskiego kosza. Gliński postanowił zaatakować i zniszczyć ten obóz. Przeciwnika zaalarmowały oddziały zwiadowcze, a mając zgromadzone ogromne łupy i jasyr w obozie Tatarzy postanowili przyjąć bitwę. Fethi i Burnasz Girejowie czekali, aż do kosza ściągną wszystkie oddziały płądrujące Wielkie Księstwo. Obóz zajmował dogodną pozycję obronną, gdyż od zachodu osłaniała go podmokła dolina rzeki Łani, a od północy i wschodu znajdowały się bagna. Gliński przeprowadził część sił przez rzekę i od razu nakazał przejść do szarży. Tatarzy ufni w swoją siłę zdecydowali się przyjąć uderzenie. Wykorzystując przewagę liczebną, zaczęli stopniowo spychać chorągwie litewskie z powrotem w kierunku rzeki. Wtedy Gliński przeprowadził resztę sił w innym miejscu, zapewne nieco na południe od punktu, w którym przeprowiły się początkowo siły litewskie. Po szybkim pokonaniu rzeki Litwini uszykowali chorągwie do decydującej szarży i od południa uderzyli na flankę armii tatarskiej, rozrywając jej szyki. Tatarzy rzucili się do ucieczki, porzucając łupy i jasyr, wielu z nich potopiło się w miejscowych bagnach, gdyż zostali zepchnięci tam przez nacierające chorągwie litewskie, część zaś wybili okoliczni chłopci, którzy mścili się za rabunki dokonane przez najeźdźców. Michał Gliński zaniechał pościgu za niedobitkami i pozostał w okolicy zdobytego kosza przez trzy dni, rozbijając pozostałe oddziały tatarskie, które nieświadome klęski głównej armii wracały z łupami i jasyrem do obozu. Wieści o wspaniałym zwycięstwie dotarły do króla Aleksandra, zanim zmarł 19 sierpnia.

W efekcie klęski chan Mengli Girej podpisał układ pokojowy z nowym władcą Polski i Litwy Zygmuntem I, czego efektem była współpraca polsko-litewsko-tatarska w wojnie z Moskwą w latach 1507–1508.

■

■

ŁUKASZ JĘDRZEJCZAK pracownik Działu Wystaw Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, sprawuje opiekę merytoryczną nad wystawami poświęconymi średniowieczu i renesansowi. Od 14 lat aktywny rekonstruktor historyczny.

Bitwa pod Wiedniem

12 września 1683 r.

W drugiej połowie XVII w. Imperium Osmańskie pod przywództwem wezyrów z rodu Köprülü przeżywało rozkwit gospodarczy, prowadząc jednocześnie ciągłe wojny. Utrata przez Rzeczpospolitą Kamieńca Podolskiego, ważnej twierdzy osłaniającej południowo-wschodnią granicę, na rzecz Turcji w latach siedemdziesiątych XVII w. uzmysłowiła królowi Janowi III Sobieskiemu, że kolejnego najazdu nie będzie w stanie odeprzeć własnymi siłami. Sojusznikiem króla polskiego został cesarz austriacki, gdyż nad Habsburgami zawiśła realna groźba wojny z Turcją. Oba państwa podpisały 1 kwietnia 1683 r., antydatowany na 31 marca, sojusz. Na jego mocy zobowiązały się do udzielenia wzajemnej pomocy militarnej w razie zagrożenia.

Armia turecka 2 stycznia 1683 r. koncentrowała siły w Belgradzie. Liczyły one ok. 150 tys. ludzi, w tym około 20 tys. janczarów, 20 tys. spahisów. Pospolite rusze-

Ćwierćkolubryna z herbem Sobieskich „Janina”. Armata odlana w darze dla Jana III Sobieskiego. Z dużym prawdopodobieństwem zabrana na pola wiedeńskiej batalii przez generała artylerii koronnej Marcina Kąskiego. Ekspонат można obejrzeć w Sali Sobieskiego. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego



Rysunek chorągwi tureckiej z XVIII w.
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

nie szacowano na 70 tys. ludzi. Wsparło ich także ok. 20 tys. Tatarów oraz blisko 20 tys. Mołdawian, Siedmiogrodzian i Wołochów. Armia sułtana 10 lipca przybyła pod Wiedeń i rozpoczęła oblężenie stolicy Habsburgów. Dowódcą garnizonu wiedeńskiego był Ernst Rüdiger von Starhemberg. W skład garnizonu miasta wchodziło 10 regimentów piechoty (około 11 tys. żołnierzy), regiment kirasjerów (około 600 żołnierzy), milicja miejska (1815 ludzi) oraz około 3 tys. mieszkańców. W obawie przed świetnie wyszkolonymi tureckimi wojskami inżynieryjnymi, obrońcy utworzyli specjalny oddział minierów pod dowództwem inżyniera Bartolomea Camucciego.

Tymczasem problemy finansowe i znaczne odległości, które musiały pokonać chorągwie Rzeczypospolitej, opóźniły wymarsz odsieczy. Droga prowadziła przez Lipowiec, Mysłowice do Gliwice, Ołomuńca, następnie przez Brno do miejscowości Tulln nad Dunajem. Na naradzie wojennej, w której 3 września 1683 r. brali udział król Jan III,



Obraz Józefa Brandta *Bitwa pod Wiedniem* przedstawia decydującą szarżę Polaków. Na pierwszym planie, z prawej strony obrazu, Turcy skupieni wokół namiotu Wielkiego Wezyra Kara Mustafy. Od lewego skrzydła pędzi chorągiew husarska królewicza Aleksandra. Z lewej strony na dole kompozycji widoczny moment przełamania i rozpędzenia straży wezyra. Obraz można oglądać w Sali Sobieskiego.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego



Widniejący na armacie herb królewski – w tarczy herbowej orzeł w koronie, a na jego piersi herb Sobieskich „Janina”.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

elerberg. Jej atak wspierały armaty, wciągnięte – wbrew wszystkim przeciwnościom i ku ogólnemu zdumieniu sojuszników – na wzgórze lasku na polecenie gen. Kątskiego. Około godz. 15.00 pasmo wzgórz oddzielające równiny podmiejskie zdobyli Polacy. Kara Mustafa zorientował się, że prawdziwym zagrożeniem nie są wojska cesarsko-niemieckie, ale jazda polska mogąca odciąć odwrot jego armii. Ciężar walk przeniósł się na polskie skrzydło. Turecka jazda i piechota bezskutecznie próbowały zepchnąć z zajmowanych pozycji polską piechotę. Początkowo Sobieski planował rozegrać bitwę w dwa dni, jednak – widząc szansę rozbicia armii tureckiej – podjął decyzję o szarży całej kawalerii. W celu rozpoznania terenu wysłał do ataku chorągiew husarską pod dowództwem Michała Zbrożka i kilka chorągwi pancernych dla jej wsparcia. Kara

Mustafa zgromadził 2/3 wojska, aby powstrzymać Polaków. Po otrzymaniu informacji, że teren nadaje się do ataku ciężkiej jazdy, o godz. 18 na pozycje tureckie uderzyło blisko 20 tys. jazdy polsko-niemiecko-cesarskiej. Armia muzułmańska rozpadła się w bezładne grupy żołnierzy. Jan III miał powiedzieć, parafrazując słowa Juliusza Cezara: Veni, vidi, Deus vincit (Przybyłem, zobaczyłem, Bóg zwyciężył).

JAROSŁAW GODLEWSKI

absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, kustosz w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, specjalista od epoki nowożytnej, autor publikacji dotyczących wojskowości XVI–XVIII w.

*Towarzysze jazdy
pancernej po reformie Jana
III Sobieskiego z lat
siedemdziesiątych XVII w.*

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

obaj hetmani koronni: Stanisław Jabłonowski i Mikołaj Hieronim Sieniawski, generał artylerii koronnej Marcin Kątski, głównodowodzący armii cesarskiej książę Karol Lotaryński, przyjęto plan Sobieskiego uderzenia na oblegających Wiedeń Turków przez Las Wiedeński. Zły stan dróg, którymi miała przebyć armia sojusznicza, nie sprzyjał transportowi armat i część z nich oddziały cesarsko-niemieckie pozostawiły u podnóża gór. Plan bitwy przewidywał ustawienie wojska sojuszniczego w trzech grupach, od wzgórza Leopoldsberg nad Dunajem po wzgórze Rosskopf w Lesie Wiedeńskim. Skrzydło lewe, od strony Dunaju, zajęły wojska austriackie księcia Lotaryńskiego z korpusem Hieronima Lubomirskiego i oddziały saskie, w środku znaleźli się Bawarzy i jednostki frankońsko-szwabskie. Główne siły polskie zajęły prawe skrzydło. Bitwa rozpoczęła się około 4 rano od ataku oddziałów cesarsko-niemieckich na skraj lewego skrzydła wojsk sprzymierzonych. Doszło do ciężkich walk, jednakże oddziały księcia lotaryńskiego wypierały turecką piechotę. Oddziały koronne przedzierały się jeszcze przez wzgórza Lasu Wiedeńskiego. Na pozycje do ataku Polacy dotarli około południa. Piechota na rozkaz króla oczyściła teren z sił tureckich aż do wsi Micha-



CZWARCY

W podpisanym 23 sierpnia 1939 r. w Moskwie tajnym protokole Adolf Hitler i Józef Stalin skazali Polskę na zagładę. Wiarygodne przecieki o sojuszu dla wojny pierwsi poznali Francuzi.

MAREK KORNAT

Wrazie zmian terytorialnych i politycznych na obszarach należących do państwa polskiego strefy interesów Niemiec

i ZSSR będą rozgraniczone mniej więcej wzdłuż linii rzek Narwi, Wisły i Sanu. Zagadnienie, czy interesy obu stron czynią pożądanym utrzymanie odrębnego państwa polskiego i jakie mają być granice tego państwa, może być ostatecznie rozstrzygnięte dopiero w toku wydarzeń politycznych. W każdym razie oba rządy rozważą tę sprawę w drodze przyjaznego porozumienia¹ – stanowił tajny protokół do niemiecko-sowieckiego paktu o nieagresji z 23 sierpnia 1939 r. Na Polskę wydany został wyrok śmierci.

Podpisanie paktu Ribbentrop-Mołotow wywołało wielką falę spekulacji na temat jego znaczenia. Dyskusje toczyły się w gabinetach dyplomatycznych, ale i w prasie. Pasjonowała się nimi w ostatnich dniach pokoju opinia światowa. Doniesienia były bardzo różne – często niespójne. W dużej mierze nieprawdziwe. Doszło jednak do zdobycia przez państwa trzecie dokładnej treści tajnego protokołu o podziale stref interesów w Europie

Wschodniej. Nie nastąpiło to na drodze żadnej spektakularnej akcji wywiadowczej.

Dwa dni przed zawarciem moskiewskiego paktu, 21 sierpnia francuski minister spraw zagranicznych Georges Bonnet otrzymał niezwykłą wiadomość od ambasadora swego kraju w stolicy Związku Sowieckiego Paula-Émile'a Naggiara, że Niemcy i Sowietci planują „podział Polski i Rumunii” oraz „pozostawienie pod kontrolą sowiecką pewnych części państw bałtyckich”². Były to wielkie rewelacje. Odzwierciedlały dokładnie



Pakt Ribbentrop-

ROZBIÓR

główny obiekt rozbiorowej transakcji, o którą Hitler i Stalin dobijali targu. Nie znamy źródła pochodzenia tych informacji. Dzień po podpisaniu paktu wraz z tajnym protokołem Naggiar wysłał do Paryża nowy telegram szyfrowy. Tym razem podawał w nim dokładnie najważniejsze stypulacje tego protokołu³. Informacje te musiały płynąć z tego samego źródła co ostrzegawcze wiadomości z 21 sierpnia.

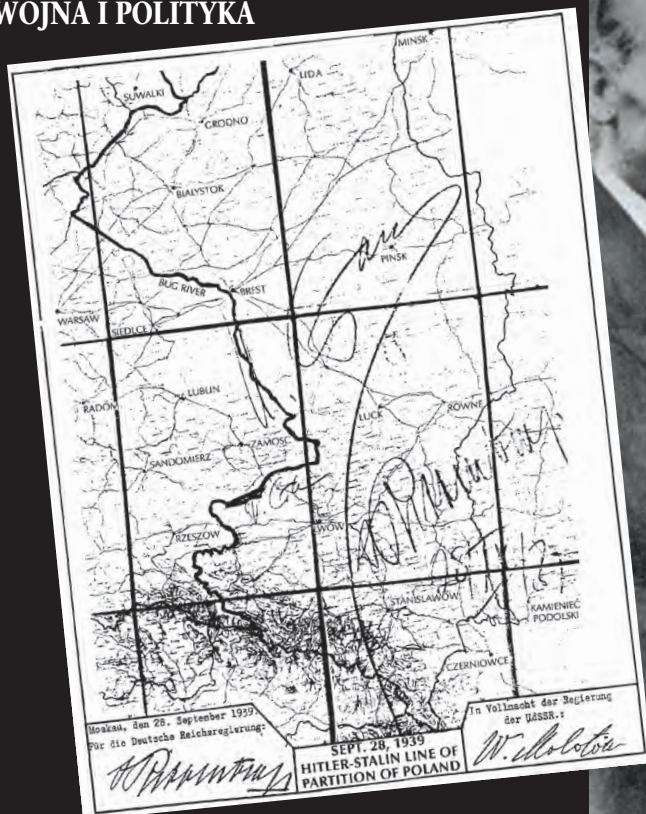
Pierwsi wiedzieli Francuzi

Latem 1939 r. najbardziej uprzywilejowaną stroną ze wszystkich dyplomacji świata byli Francuzi. Mieli bowiem jeszcze jedno źródło, z którego napłynęły rewelacje o tajnym protokole. Źródłem tym był Berlin. Służący tam ambasador Robert Coulondre (przeniesiony z Moskwy, gdzie pracował wcześniej) posłał do Ministerstwa Spraw Zagranicznych przy paryskim Quai d'Orsay telegram szyfrowy o treści tajnego protokołu. W dokumencie podawał prawdziwe postanowienia zapisane w tajnym protokole. Wiadomości miały pochodzić „z otoczenia” Hansa Lammersa, szefa Kancelarii Rzeszy w Berlinie. Francuzi opublikowali ten dokument w swojej „Żółtej Księdze” już pod koniec 1939 r.⁴ Była to więc pierwsza źródłowa publikacja poświadczająca, że jakieś państwo trzecie zdobyło wiedzę o tajnym porozumieniu niemiecko-sowieckim i to już 24 godziny po złożeniu podpisów przez Joachima von Ribbentropa i Wiaczesława Mołotowa. Powstaje oczywiście pytanie, kto i po co udostępnił Francuzom, a więc wrogiemu mocarstwu, te strzeżone jako tajemnica stanu wiadomości. Trzeba brać pod uwagę dwie ewentualności: po pierwsze: indywidualną akcję kogoś z wyższych urzędników niemieckiego urzędu kanclerskiego; po drugie: kontrolowany przeciek w celu zapoznania rządu Francji z planem rozbioru Polski, aby pogłębić defetystyczne nastroje w Paryżu. ►

Mołotow

Rys. Paweł Kępka





Mapa ostatecznego podziału Polski pomiędzy III Rzeszą a Związek Sowiecki z 28 września 1939 r. z wytyczoną granicą. Podpisy za zgodność: Stalin, Ribbentrop. Fot. Domena publiczna



Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że informacje Francuzów z Moskwy i Berlina dokładnie się pokrywały.

Stany Zjednoczone

Dokładną wiedzę o tajnym protokole zdobyły też neutralne wówczas Stany Zjednoczone. Również w tym przypadku rewelacje o treści dokumentu napłynęły do Departamentu Stanu w Waszyngtonie już 24 godziny po złożeniu podpisów przez sygnatariuszy złowieszczej umowy⁵. Sprawa źródła informacji jest tutaj jednak wyjaśniona. Całą akcję przeprowadził niemiecki dyplomata niższej rangi – Hans von Herwarth. Obawiał się on wywołania przez Adolfa Hitlera nowej wojny europejskiej. Nie był nazistą. A o tajnej zмовie dwóch totalitarnych dyktatorów chciał powiadomić najpierw rząd włoski. Informował więc ambasadę Italii w Moskwie o postępach w rokowaniach niemiecko-sowieckich. Kiedy jednak dostrzegł, że zachodzi groźba włoskich niedyskrecji i tym samym dekonspiracji jego samego – kontakty te zawiesił. Podjął wówczas współpracę z ambasadą Stanów Zjednoczonych w Moskwie. Wiadomość o treści tajnego protokołu przekazał zaprzyjaźnionemu chargé d'affaires Charlesowi E. Bohlenowi, a na podstawie tej relacji ambasador amerykański Laurence Steinhardt sporządził wspomniany telegram szyfrowy i posłał do Waszyngtonu⁶.

Jak widać, ani dyplomacja Francji, ani Stanów Zjednoczonych nie miała własnych zasług w zdobyciu wielkiej

tajemnicy polityki międzynarodowej. W obu stolicach: Moskwie i Berlinie – nastąpiły przecieki. Nic nie wskazuje na to, aby von Herwarth pełnił agenturalne funkcje. Nie mógł być agentem i włoskim, i amerykańskim, a ze służbą zagraniczną tych państw nawiązał współpracę. W każdym razie trudno sobie to wyobrazić. Chciał osiągnąć bardzo problematyczny cel i w niego wierzył: liczył, że któreś z mocarstw – najpierw miały to być Włochy, a potem Stany Zjednoczone – na wieść o zмовie Hitler-Stalin wystąpi z inicjatywą pokojową na wzór monachijski. Czyli zwołano by nową konferencję mocarstw, a one wymusiłyby na Polsce ustępstwa terytorialne. Oczywiście mylił się podwójnie. Polska do końca wykluczała ustępstwa kosztem swych granic, a Niemcy – mając już pakt z Sowietami – nie mogły być zainteresowane „drugim Monachium”. Akcja włoska z 2 września w tym duchu spotkała się z zainteresowaniem dyplomacji francuskiej i negatywną reakcją przywódcy Niemiec.

Wielka Brytania i Włochy

W dokumentach Ministerstwa Spraw Zagranicznych (Foreign Office) nie ma jednoznacznego dowodu na to, że służba zagraniczna Wielkiej Brytanii zdobyła na własną rękę wiedzę o tajnym protokole. Z 23 sierpnia pochodzi memorandum Orme'a Sargenta, które wyraża sceptycyzm co do możliwości wydania na Polskę wyroku śmierci przez jej sąsiadów. „Jeśli chodzi o mnie, to raczej



Pierwotne ustalenia dotyczące podziału Polski.

Fot. Domena publiczna

Moskwa 23 sierpnia 1939 r. Od lewej: szef działu prawnego niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Friedrich Gauss, niemiecki minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop, Józef Stalin oraz minister spraw zagranicznych Związku Sowieckiego Władysław Mołotow. Fot. Domena publiczna

wątpię, czy coś tak bezwzględne, jak rozbiór Polski i zanik Państwa Polskiego miałyby stać się faktem. Stalin, być może, myśli o odzyskaniu przedwojennej linii granicy zachodniej, pomimo że ta ponownie uczyni Rosję sąsiadem Niemiec. Dopóki Stalin nie włączy się do wojny jako sojusznik Hitlera, to obydwu dyktatorom trudno będzie dokonać podziału łupów⁷ – napisał ten wysoki urzędnik brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Logika tych słów koresponduje z założeniami wyznawanymi w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Jeśli Brytyjczycy weszli w posiadanie informacji o stipulacjach tajnego protokołu, to z drugiej ręki, czyli od służby zagranicznej któregoś z państw, które tę wiedzę pozyskało.

Chociaż von Herwarth zaniechał współpracy z ambasadą Włoch, to jednak kraju tego nie można skreślić z listy państw, których dyplomacja zdobyła wiedzę o rozbiórce Europy Wschodniej przez dwa zaborcze mocarstwa totalitarne. Nie wiadomo, w jaki sposób ambasador Augusto Rosso wszedł w posiadanie tych informacji, ale 25 sierpnia nadał do Rzymu telegram szyfrowy informujący o istnieniu tajnego protokołu⁸. Można przypuszczać, że były to niedyskrecje pochodzące z ambasady francuskiej albo amerykańskiej, lecz przypuszczenie to jest bardzo swobodne. W związku z informacjami, w których posiadanie weszła dyplomacja włoska, za prawdopodobne trzeba uznać, że i Stolicy Apostolskiej odpowiednio naświetlono sytuację. Polskie akta dyplomatyczne

poświadczają zaniepokojenie watykańskiego Sekretariatu Stanu i samego papieża Piusa XII losom Polski. Dokumentują też rozmaite zapytania kierowane w tym duchu do świeżo akredytowanego ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej Kazimierza Papée⁹.

Najbardziej zainteresowani

Od historyków polskiej dyplomacji często domagano się przekonującego wyjaśnienia, dlaczego nie zostało rozpoznane zagrożenie wynikające z podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow. Co zatem wiedziała dyplomacja polska?

Ważną wiadomość z nieznanego, ale „nieoficjalnego” źródła, czyli nie z brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zdobył 22 sierpnia polski ambasador w Londynie Edward Raczyński. Pisał bowiem do Warszawy, że Niemcy i Sowietzi zawarli tajny układ, a na jego mocy „Łotwa, Estonia i Finlandia wchodzi w sferę interesów sowieckich”¹⁰. Informacja ta odpowiada dokładnie temu, co znajduje się w podpisanym następnego dnia tajnym protokole. Dokument, o którym mowa, zawiera jednak kilka informacji nieprawdziwych. Na przykład, że „Niemcy nie będą mieszały się do zagadnienia ukraińskiego”¹¹. Były też informacje bezwartościowe – między innymi, że „dawny pakt antykominternowski traci odtąd ostrze przeciwsowieckie”¹².

Trzydziestego pierwszego sierpnia, a więc w ostatnich godzinach pokoju, ambasadora polskiego w Paryżu Juliu

sza Łukasiewicza przyjął minister Bonnet. Polski dyplomata szukał potwierdzenia prawdziwości informacji o tym, że w rozmowach sowiecko-niemieckich przesądzono los państw bałtyckich. Bonnet potwierdził, „dodając, że w razie wojny polsko-niemieckiej Sowiety mają podobno zająć Łotwę, Estonię i Finlandię”¹³. Zastrzegł jednak, że wśród informacji, jakie posiadał, „nie było żadnych wiadomości co do nas lub Rumunii”¹⁴. Zachowanie francuskiego ministra spraw zagranicznych – zważywszy na sojusz, który wiązał Warszawę i Paryż – jest zdumiewające i wyjątkowo nielojalne. Zgodnie z niewzruszoną zasadą dyplomacji, Łukasiewicz najpewniej nie wyjawiał francuskiemu partnerowi, że wiadomości zdobył od Williama Bullitta, zaprzyjaźnionego z polskim dyplomata ambasadora Stanów Zjednoczonych w Paryżu. Zachowanie francuskiego polityka jest tym bardziej zastanawiające, że z doniesień Łukasiewicza dla MSZ w Warszawie z 24 i 25 sierpnia zdaje się wynikać, że dał on polskiemu dyplomacie jakoś do zrozumienia o domniemanych „tajnych klauzulach” do jawnego układu niemiecko-sowieckiego, a miałyby one dotyczyć Polski i Rumunii¹⁵.

Niedowierzanie Polaków

Najbardziej stanowczo odrzucał wszelkie rewelacje o zbliżeniu niemiecko-sowieckim polski ambasador w Moskwie Wacław Grzybowski¹⁶. Treść jego listu do ministra Józefa Becka z 29 sierpnia wskazuje, że dyplomata ten zupełnie lekceważył znaczenie paktu Hitler-Stalin. Wiadomo, że rozmawiał z amerykańskim ambasadorem Steinhardtem, ale ten nie przekazał Polakowi żadnych wiadomości oprócz uwagi, że opinia amerykańska przyjęła zbliżenie niemiecko-sowieckie z uczuciem „głębokiego wstrętu”¹⁷. Ambasador Japonii Togo powiedział z kolei do Grzybowskiego, że pakt jest faktem „bez znaczenia”¹⁸.

Wiadomo, że ambasador francuski w Berlinie Robert Coulondre ostrzegał swego polskiego odpowiednika Józefa Lipskiego przed możliwością niemiecko-sowieckiego zbliżenia. Francuski dyplomata nalegał, aby do tego nie dopuścić¹⁹. Były to więc wypowiedzi mające na celu doprowadzenie do zgody Polski na przemarsz Armii Czerwonej przez swe terytorium, w myśl żądań sowieckich z 14 sierpnia, postawionych mocarstwom zachodnim. Tak miały dojść do skutku wielki sojusz – mocarstw zachodnich i Związku Sowieckiego. Oczywiście żądania te nie mogły być przyjęte. Kiedy jednak Coulondre zdobył wiedzę o tajnym protokole, nie przekazał jej Lipskiemu. Czy miał taką instrukcję z Paryża, czy też działał tak na podstawie własnego postanowienia – nie wiadomo.

Nie znamy żadnej wypowiedzi Becka, która pozwoliłaby sądzić, że brał pod uwagę tak straszliwy scenariusz dla swego kraju, jak zbrojne wystąpienie Sowietów od wschodu, chociaż brytyjski ambasador w Warszawie Howard Kennard w swoich depe szach do Londynu potwierdził je go duże zaniepokojenie rozwojem sytuacji w dniu



1. Minister Józef Beck (w oknie pociągu) podczas rozmowy z brytyjskim ambasadorem Howardem Kennardem. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe **2. Poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny Polski w Niemczech Józef Lipski przed Kancelarią Rzeszy, siedzibą prezydenta Niemiec, po złożeniu listów uwierzytelniających.** Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe **3. Tajny protokół do paktu z 23 sierpnia 1939 r. z podpisami Joachima von Ribbentropa i Władysława Mołotowa.** Tekst niemiecki. Fot. domena publiczna

23 sierpnia²⁰. Jedno jest bezsporne. W ostatnich dniach pokoju Beck uważał, że pakt moskiewski przybliży wojnę, czyni ją nawet nieuniknioną, gdyż Stalin dopomógł Hitlerowi w realizacji planu jej rozpętania. Przyjmował jednak za pewnik to, że napaść sowiecka na Polskę będzie uderzeniem przeciw koalicji. Nie potrafił sobie wyobrazić, że mocarstwa alianckie zadeklarują stan wojny z Niemcami, w zasadzie nie prowadząc działań militarnych.

W polskim MSZ pojawiała się wyrażana poufnie opinia, że uderzenie Sowietów ze wschodu i sytuacja, że Polska będzie walczyć na dwa fronty, jest możliwa tylko w wypadku, gdyby sojusznicy: Francja i Wielka Brytania, nie wypełniły swych zobowiązań, a armia polska zaczęła ponosić klęski w walce z Niemcami. Taki sąd wyraził wiceminister Jan Szembek w instrukcji dla ambasadora Rogera Raczynskiego w Bukareszcie 2 września 1939²¹.

Obiekt niemiecko-sowieckiego przetargu

Dyplomacja polska dowiedziała się jedynie o klauzulach tajnego protokołu odnośnie do państw bałtyckich i były to informacje ścisłe. Nie miała natomiast żadnej wiedzy o losie własnego kraju, który był głównym obiektem niemiecko-sowieckiego przetargu. Nie mając wiarygodnych informacji o tajnym protokole, dyplomaci polscy podejmowali jednak rozmaite próby interpretacji ówczesnej sytuacji międzynarodowej, rejestrując oczywiście zbliżenie niemiecko-sowieckie.



4. Minister spraw zagranicznych Francji Georges Bonnet (z prawej) i marsz. Philippe Pétain. Fot. Narodowe Archiwum

Cyfrowe 5. Ambasador RP w Wielkiej Brytanii Edward Raczynski (siedzi z prawej). Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe 6. Juliusz Łukasiewicz, ambasador Polski we Francji. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe 7. Wacław Grzybowski, ambasador RP w Moskwie. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe 8. Szef Departamentu Protokołu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Niemiec Alexander von Dörnberg i ambasador Francji Robert Coulondre. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Najciekawszą interpretację położenia Polski i całej trójkątnej koalicji antyniemieckiej nakreślił ambasador Raczynski, który brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych lordowi Edwardowi Woodowi Halifaxowi powiedział, że pomoc może jedynie „metoda stanowczości”. Mocarstwa zachodnie muszą wypełnić zobowiązania na rzecz Polski, a wówczas zbliżenie niemiecko-sowieckie może nie zadziałać jako rzeczywisty sojusz. Alianci muszą postępować zgodnie z obraną linią, która stworzyła koalicję trzech państw: Wielkiej Brytanii, Francji i Polski. „O ile by jej nie obrali, to ryzykują, że współpraca sowiecko-niemiecka stanie się naprawdę ścisła, dając Niemcom swobodę w odpowiedniej chwili (i to bardzo wnet) do rozprawienia się z Francją”²². Teza ta miała się, niestety, sprawdzić. Pokazał to rok 1940. Zobowiązań wobec Polski nie wypełniono. Niemcy pokonały Polskę w krótkiej kampanii, stosując taktykę blitzkriegu. Sowieci wyzyskali sposobność, aby bez walki zająć wschodnią część kraju. Po krótkotrwałej „dziwnej wojnie” na zachodzie, Niemcy w maju 1940 r. ruszyli na Francję.

Rząd polski nie miał wiedzy o treści tajnego protokołu z 23 sierpnia 1939 r. Nawet gdyby jednak wszedł on w posiadanie pełnych informacji na temat dokumentu, mógłby zrobić bardzo niewiele. Na zmianę polityki zagranicznej miejsca już nie było. Kapitulacja bez walki nie wchodziła w rachubę. Polska nie miała żadnego wpływu na priorytety polityki w Londynie i Paryżu. Peł-

na wiedza Becka i jego współpracowników o tajnym protokole nie mogła niczego zmienić. W żaden sposób nie mogła ocalić Polski przed klęską i rozbiorem. ■

MAREK KORNAT profesor doktor habilitowany nauk humanistycznych, historyk, sowietolog, edytor źródeł, eseista. Kierownik Zakładu Dziejów Dyplomacji i Systemów Totalitarnych w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie oraz wykładowca na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

¹ Dokumenty z dziejów polskiej polityki zagranicznej 1918–1939, t. 2: 1933–1939, oprac. T. Jędruszcak, M. Nowak-Kiełbikowa, Warszawa 1996, s. 323. ² Documents Diplomatiques Français, seria 2, t. XVIII, Paris 1985, dok. 183, s. 233–234. ³ Ministère des Affaires Étrangères. Archives Diplomatiques (Paris – La Courneuve), Papiers d'agents, 199, korespondencja ambasadora Paul-Émile'a Naggiara, Vol. 7–9. ⁴ Le livre jaune français. Documents diplomatiques 1938–1939, Paris 1939, s. 307. ⁵ Foreign Relations of the United States. 1939, Vol. 1–2, Washington 1956, s. 342–348. ⁶ H. von Herwarth, Między Hitlerem a Stalinem. Wspomnienia dyplomaty i oficera niemieckiego 1931–1945, oprac. i tłum. E.C. Król, Warszawa 2016, s. 255 i nast. ⁷ Cyt. za: M. Nurek, Dyplomacja brytyjska wobec militarnej i politycznej agresji ZSRR, w: 17 września 1939. Materiały z Ogólnopolskiej Konferencji Historyków, Kraków 25–26 października 1993, Kraków 1994, s. 167. ⁸ Batowski pisze, że dokument ów się nie zachował w archiwum włoskiego MSZ (zob. H. Batowski, „Przeciwni” o tajnym protokole z dnia 23 sierpnia 1939, „Polityka”, nr 10, 11 marca 1989). Mamy jednak go w zbiorze dokumentów włoskich, chociaż nie podaje postanowień terytorialnych: I Documenti Diplomatici Italiani (DDI), ottava serie, Vol. XIII, dok. 264, s. 171–172. ⁹ Polskie Dokumenty Dyplomatyczne. Styczeń – sierpień 1939, red. S. Żerko, Warszawa 2005, s. 715 (raport ambasadora z 2 sierpnia). Do tej sprawy również Polskie Dokumenty Dyplomatyczne. Wrzesień – grudzień 1939, red. W. Rojek, Warszawa 2007, s. 25 (telegram szefowy z 4 września). ¹⁰ Polskie Dokumenty Dyplomatyczne..., s. 783. ¹¹ Tamże. ¹² Tamże. ¹³ Tamże. ¹⁴ Ibidem, s. 855. ¹⁵ Dyplomata w Paryżu 1936–1939. Wspomnienia i dokumenty Juliusza Łukasiewicza ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej, oprac. W. Jędrzejewicz i H. Bułhak, Londyn 1989, s. 311. ¹⁶ M. Komat, Wacław Grzybowski. Ambasador w Moskwie (1936–1939). Biografia polityczna, Warszawa 2016. ¹⁷ Dzienniki i teki Jana Szembeka (1935–1945), t. 4, wyd. J. Zajączkowski, Londyn 1972, s. 772. ¹⁸ Tamże. ¹⁹ M. Komat, Ambasador Józef Lipski o stosunkach polsko-niemieckich (1933–1939), „Polski Przegląd Dyplomatyczny”, t. 2, nr 1/5, 2002, s. 199–226. ²⁰ The National Archives (London – Kew), Foreign Office 371, 23073, C. 11814/3356/18. ²¹ Instytut Polski i Muzeum Sikorskiego w Londynie, Ambasada RP w Bukareszcie, sygn. A. 26/1. ²² Polskie Dokumenty Dyplomatyczne..., s. 790.

Polskie decyzje podjęte w 1939 r. nie miały alternatywy. Niestety, kalkulacje władz w Warszawie chociaż były racjonalne, okazały się niemożliwe do wykonania.

Gdy przesłепiono groźbę układu Hitler-Stalin, zabrakło strategicznego rozwiązania, które mogłoby zniweczyć skutki paktu.

JAKUB POLIT

Zarówno w historiografii zachodniej, jak i w rosyjskiej, a także w czeskiej jej autorzy lubią określać polską politykę lat 1932–1938 jako politykę Józefa Becka. To nadużycie. Minister do śmierci Józefa Piłsudskiego w 1935 r. był jedynie wykonawcą – zdolnym i chwalonym – wytycznych Marszałka. Potem się usamodzielniał, ale jego posunięcia musiały mieć aprobatę rządzącej ekipy, przede wszystkim prezydenta Ignacego Mościckiego i marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza. Podejmując najważniejsze decyzje wiosną 1939 r. miał też, jak rzadko kiedy, poparcie opinii publicznej.

Testament Marszałka

Umierający Piłsudski zalecał utrzymanie „jak długo to możliwe”¹ dobrych stosunków z Niemcami i jednocześnie zyskanie poparcia Londynu. W ekstremalnej sytuacji podobno postulował „podpalenie świata”², co adwersarze zrównywali później ze zgodą na narodo-we całopalenie. Przyjmując wiosną 1939 r. brytyjskie gwarancje, Beck czynił to jednak – podobnie jak premier Wielkiej Brytanii Arthur Neville Chamberlain – nie w nadziei na wspólne zmiążdżenie Niemiec, lecz wręcz przeciwnie: licząc na to, że do wojny nie dojdzie. Adolf Hitler miał się zatrzymać, pojmując, że eskalacja żądań oznacza niemożliwą do wygrania wojnę światową. Beck nie był hazardzistą stawiającym wszystko na jedną kartę. Jeśli w obliczu niemieckich propozycji dotyczących Gdańska i eksterytorialnej autostrady szukał oparcia w Londynie, to nie chciał bynajmniej ostrego zerwania z Berli-

nem. Po przyjęciu angielskich gwarancji, odebranych przez Hitlera jako policzek, kompromis z Rzeszą był jednak niemożliwy. Zamiast niego Führer wybrał alians ze Związkiem Sowieckim, choć wcześniej napomykał w rozmowie z polskim ministrem pełnomocnym w Berlinie Alfredem Wysockim, że oznaczałby on wojnę i finalnie bolszewizację Europy.

Prowadzone przez Becka w latach 1934–1938 (oczywiście z inicjatywy Piłsudskiego) ocieplenie relacji z Rzeszą nie cieszyło się popularnością. Nie tylko opozycja, ale i niektórzy piłsudscy woleliby ścisłą współpracę z Francją. Problem polegał na tym, że od czasów Locarno Francuzi wycofywali się z Europy Środkowej. W dobie kryzysu sudeckiego Paryż nie zamierzał wykonać żadnego gestu w obronie Pragi, namawiał jednak do odpowiednich deklaracji Warszawę. Pójście za tymi radami oznaczałoby zrujnowanie relacji



Bez alternatywy polityka Józefa



Becka

Exposé ministra spraw zagranicznych Józefa Becka podczas posiedzenia Sejmu RP w odpowiedzi na zerwanie przez Niemcy paktu o nieagresji z Polską, 5 maja 1939 r.
 Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

z Berlinem i brak jakichkolwiek korzyści z tego posunięcia. Ponieważ inicjatywa polityczna w Europie Środkowej jednak należała wówczas do Londynu, wskrzeszenie zamierającego przymierza z Paryżem zależało właśnie od porozumienia z Brytyjczykami. W chwili wrześniowej próby Polska miała po swej stronie dwa wielkie mocarstwa, inaczej niż wcześniej Czechosłowacja, a potem państwa bałtyckie. Ponieważ wojna zakończyła się dla nas tragicznie, zapominamy, że mogła się skończyć jeszcze gorzej.

Beck krytykowany jest najczęściej za politykę wobec Czechosłowacji. Owszem: nie nadawał się na honorowego patrona Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Czeskiej, ale do roli tej nie nadawali się także Tomasz Masaryk ani jego najbliższy współpracownik i sukcesor Edward Beneš. W przeciwieństwie do sanacji, ekipa Masaryka-Beneša rządziła niemal przez całe międzywojnie. Niemniej jej stosunki z parlamentarną Polską „przedmajową” były równie chłodne jak z „pomajową”. Co więcej, po 1939 r. ostro antysanacyjny rząd gen. Władysława

Sikorskiego nie zdołał podpisać z Benešem nie tylko wymarzonego układu federacyjnego, ale nawet sojuszu. Było tak zwyczajnie dlatego, ponieważ kierownictwo czechosłowackie uważało zbliżenie z Polską za sprzeczne z własną racją stanu.

O rzekomym zmarnowaniu przez Becka szans na operację z Moskwą nie warto pisać. Niestety, do dziś poważni historycy europejscy i amerykańscy oskarżają Warszawę o stordowanie hipotetycznych znacznych szans na powstanie latem 1939 r. antyniemieckiej koalicji ZSRS i Zachodu. Warunkiem zawiazania takiej koalicji była polska zgoda na wkroczenie Armii Czerwonej na terytorium Rzeczypospolitej lub wręcz na założenie tu baz, a więc na scenariusz, który stał się niebawem udziałem Litwy, Łotwy i Estonii. Ponieważ badacze owi są świadomi tych faktów, trudno nie skonstatować, że w ich mniemaniu Polska dla obrony Zachodu przed potencjalną agresją niemiecką miała obowiązek poświęcić swą suwerenność.

Alianse z Niemcami

A możliwy jakoby alians z Niemcami? Rozwiązania takiego nie popierała żadna licząca się siła polityczna, acz opowiadali się za nim – w latach trzydziestych i post factum – ludzie dysponujący dużym potencjałem intelektualnym, jak Władysław Studnicki. Zaletą takiej opcji miałyby być uniknięcie zwasalizowania przez ZSRS: Polska, rozbiwszy razem z III Rzeszą Sowiety, zmieniłaby – jak uczyniły to Włochy w 1943 r. – sojusze, przerzucając się na stronę Zachodu i utrzymując nie tylko niepodległość, ale i znaczne polityczne wpływy w regionie, w tym na postsowieckim Wschodzie.

Osobiście, wbrew chyba większości historyków, nie jestem przeciwnikiem tzw. rozważań alternatywnych. Ich absolutne poniechanie oznacza rezygnację z oceny mężów stanu i dowódców. Kazus „anty-Beck” jest jednak kaskadą hipotez. Po pierwsze, zakłada, że ewentualna polsko-niemiecka wyprawa na Moskwę zakończyłaby się zwycięsko. Po drugie, że odwrócenie przymierzy byłoby nie tylko skuteczne, ale i politycznie owocne.

W operacji „Barbarossa” po stronie Berlina stanęła Rumunia, owszem, słabsza od Polski międzywojennej, ale dozbrojona przez Rzeszę. Ponadto po stronie tej ostatniej opowiedziały się Finlandia, Węgry i Słowacja. Rezultat jest znany. Co więcej: większość owych państw dobyła broni przeciw Moskwie na skutek paktu Hitler-Stalin, który przecież w razie porozumienia Warszawa-Berlin w ogóle by nie zaistniał. Czy potencjał Polski był większy od wszystkich wymienionych tu państw? Owszem: alternatywna „Barbarossa” startowałaby z ziem położonych bardziej na wschodzie, więc bliższych Moskwy, a udział Polski może mógłby skłonić Niemców do bardziej pragmatycznej polityki wobec mieszkańców

ZSRS. Być może udział Warszawy w koalicji zaowocowałby też udziałem w niej Tokio, a to stworzyłoby już przewagę, której Sowiety niemal na pewno by nie wytrzymały. Lecz tych znaków zapytania jest, niestety, za dużo. Dodajmy, że niemiecka wyprawa na Wschód byłaby raczej niemożliwa bez wcześniejszego wyeliminowania Francji. Polska musiałaby nie tylko wycofać się z aliansu z Paryżem, ale i beznamietnie obserwować upadek Francji. Czy sytuacji tej nie wykorzystałaby rodzima opozycja, a także francuskie i brytyjskie tajne służby do obalenia reżimu sanacyjnego? W tym kontekście warto przypomnieć obalenie w 1941 r. – nie bez udziału Londynu – jugosłowiańskiego regenta księcia Pawła. Jego proniemiecki kurs budził w społeczeństwie zdecydowany sprzeciw, chyba jednak mniejszy niż w Polsce ewentualna bierność wobec miażdżenia Francji przez Wehrmacht.

Alianse z Sowietami

Dalej: a co by się stało, gdyby Stalin zdołał utrzymać antyniemiecki front aż do wystąpienia Anglosasów



MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH JÓZEF BECK WŚRÓD LEGIONISTÓW ZGROMADZONYCH NA BŁONIACH KRAKOWSKICH, 6 SIERPNIA 1939 R.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

przeciwko Rzeszy? Przypominając, że Stany Zjednoczone weszły do wojny na skutek Pearl Harbor przypomnieć z kolei warto, że do pierwszych starć amerykańsko-niemieckich doszło na Atlantyku blisko dwa miesiące przed atakiem japońskim. Czy uzbrojona w bombę atomową Ameryka zamieniłaby Niemcy w radioaktywny pył? Cóż: jeśli jakakolwiek Rosja wytrwałaby do tego czasu w wojnie, właśnie ona miałaby ostatnie słowo w sprawie Europy Środkowej. Wcześniej jednak Niemcy – podobnie jak zrobili to w Italii w 1943 r. – dokonali by zemsty na niewdzięcznym polskim sprzymierzeńcu. Być może scenariusza tego by uniknięto... przy znacznej wirtuozerii politycznej i szczęściu. Ale należało się z nim liczyć.

Można jeszcze spekulować, że polskie straty biologiczne byłyby w takim wypadku jednak mniejsze. Zapewne znanych rozmiarów nie przybrałby Holocaust; choć Węgrzy zdołali ocalić swych Żydów aż do początku 1944 r., koniec końców ludność ta jednak uległa zagładzie. Na pewno jednak Polska nie otrzymałaby wtedy żadnej rekompensaty za utracone ziemie wschodnie. Zredukowana do rozmiarów Kongresówki, zachowałaby pamięć o Becku jako sprawcy swej największej w dziejach katastrofy.

Rzeczywistość bez alternatywy

Przedstawione scenariusze są jednak abstrakcyjne. A to dlatego, że w II RP nie istniało liczące się środowisko chcące trwałej kooperacji z Niemcami. Gdyby Beck dążył do sojuszu z Berlinem, przestałby być ministrem.

Dla „polityki Becka” nie było więc znaczącej alternatywy. Jego rzeczywiste błędy były głównie natury taktycznej. Szafując pseudomocarstwową retoryką, zrażał do siebie Francuzów i Rumunów. Nie było to roztropne, choć jego najlepiej w tych kołach notowany rywal, wspomniany już Beneš, doczekał się nie jednokrotnie, lecz dwukrotnego porzucenia przez sojuszników: w 1938 i 1948 r. Nonsensem były terytorialne rewinkacje wobec Słowacji (w zamian za iluzoryczne korzyści przyniosły one przekreślenie propolskich sympatii w tym kraju), bo wygrać tamże rywalizacji z Niemcami Polska i tak nie mogła. Wreszcie odzyskanie Zaolzia dokonane być mogło zapewne bez ultimatum, drogą nacisku na Beneša, który w liście do Mościckiego skłaniał się na tym odcinku do kapitulacji.

Największą winą Becka było ignorowanie możliwości porozumienia Hitler-Stalin. Powodu nie stanowiło bynajmniej przecenianie roli ideologii, ale przekonanie, że Moskwa i Berlin chcą opanować ten sam region geopolityczny, więc nie mogą trwale współpracować. W sensie długofalowym minister miał rację, lecz, niestety, właśnie tylko w tym znaczeniu. Ponadto mniemał, że Stalin poczeka z interwencją na wykrwawienie się obu walczących stron, a więc co najmniej do czasu szturm Niemców na francuskie fortyfikacje. Nie przewidział tempa, w jakim Wehrmacht będzie posuwał się w Polsce. Natomiast fatalne zaniechanie stwierdzenia stanu wojny z ZSRS obciąża nie ministra, ale przede wszystkim prezydenta Ignacego Mościckiego i marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza.

JAKUB POLIT doktor habilitowany historii. Adiunkt w Zakładzie Historii Powszechnej Najnowszej Wydziału Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Bada zagadnienia imperium brytyjskiego w stosunkach międzynarodowych XX w. i ekspansję mocarstw w Azji Wschodniej w XIX i XX w. Opublikował m.in. *Odwrot z nad Pacyfiku? Wielka Brytania wobec Dalekiego Wschodu, 1914–1922; Lew i smok. Wielka Brytania a kryzys chiński 1925–1928; Chiny* (w serii *Historia Państw Świata w XX Wieku*).

¹ Cyt. za: W. Jędrzejewicz, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935*, Londyn 1977, t. II, s. 512. ² Sformułowanie to, cytowane przez poważnych skądinąd autorów (np. <http://szeremietiew.neon24.pl/post/11745,co-to-jest-honor> [dostęp 7 VIII 2019]), jest najprawdopodobniej apokryfem.

ZBIERAMY PAMIĄTKI ZWIĄZANE Z HISTORIĄ 1 PUŁKU STRZELCÓW PODHALAŃSKICH

STWÓRZMY WSPÓLNIE WYSTAWĘ
W NOWYM SĄCZU, MIEJSCU POWSTANIA
GÓRSKICH FORMACJI WOJSKA POLSKIEGO

Patronat honorowy

Mariusz Błaszczak
Minister Obrony Narodowej



Organizatorzy:

 MUZEUM OKRĘGOWE
w Nowym Sączu
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO



Sądcczanin

Patronat honorowy

Witold Kozłowski
Marszałek Województwa Małopolskiego

 MAŁOPOLSKA

Kontakt: 18 442 04 42, wew. 24
historia@muzeum.sacz.pl
www.muzeum.sacz.pl

Patronat honorowy
Marek Kwiatkowski
Starosta Nowosądecki



Patronat medialny:

 RADIO
KRAKÓW

HISTORIA
POLSKA

POLSKA
ZERÓJNA

Patroni:

 FLEXERGIS



ts  

miastoNS

NIEWŁAŚCIWY CZŁOWIEK

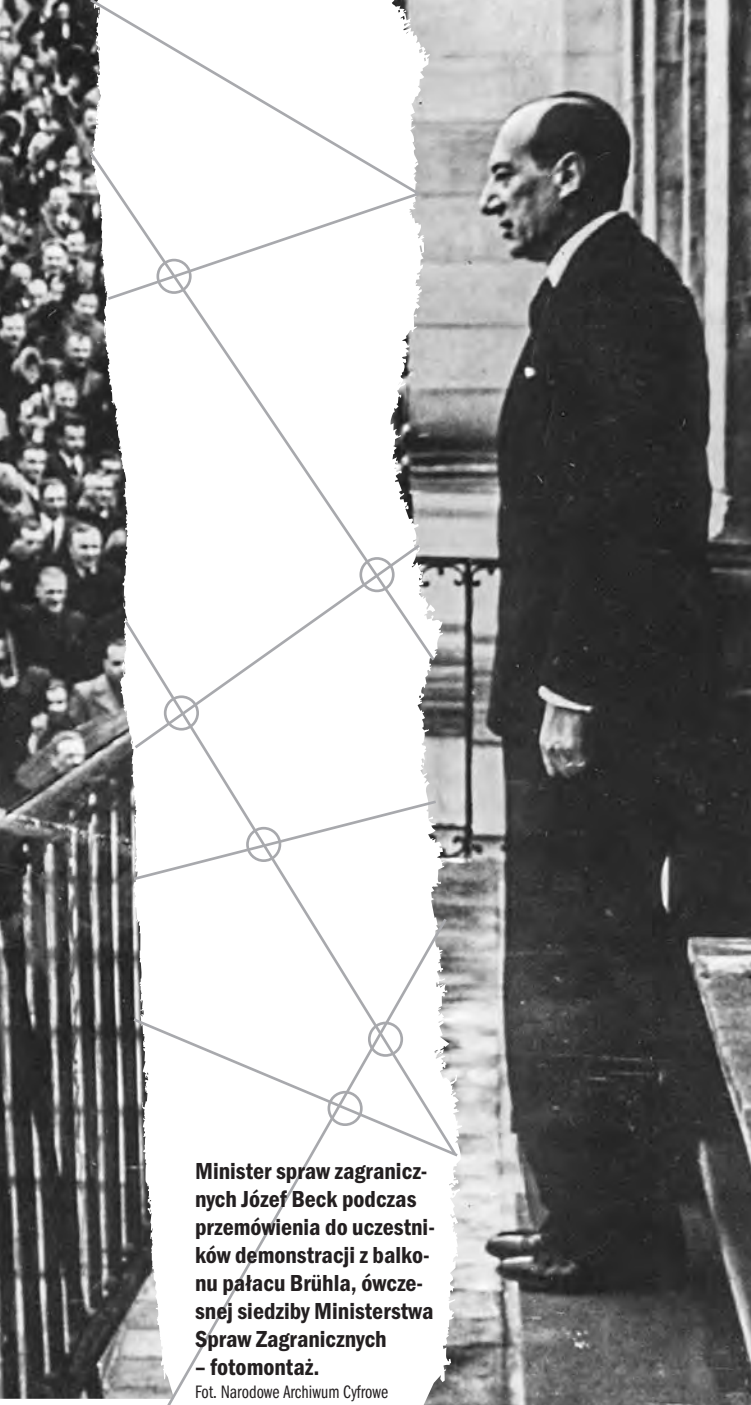
W NIEWŁAŚCIWYM MIEJSCU

Rzetelnej krytyce polityki Józefa Becka nie sprzyja postrzeganie go przez pryzmat sławnych słów o honorze, które zrobiły nieodpowiadającą swojej wadze karierę.

JAN SADKIEWICZ

Wśród argumentów na obronę polityki Józefa Becka ten traktujący ją jako kontynuację polityki Józefa Piłsudskiego należy do najsłabszych. To klasyczny argument odwołujący się do autorytetu. Na dodatek o wątej podstawie, ponieważ nikt nie może wiedzieć, jaką politykę prowadziłby Piłsudski w 1937 albo w 1939 r., a wytyczne, które Marszałek pozostawił przed śmiercią swym

współpracownikom, były dość enigmatyczne. Podobnie nieprzekonujące są rozważania, czy Beck sprzeniewierzył się, czy nie sprzeniewierzył zasadom tzw. polityki równowagi. Najpierw należałoby dowieść, że polityka równowagi była słuszną. Niewykluczone, że można by ją za taką uznać, gdyby Polska była potęgą zdolną trzymać Niemców z dala od ZSRS, a także Rosjan z dala od Rzeszy, względnie gdyby Niemcy i Sowiety były pań-



Minister spraw zagranicznych Józef Beck podczas przemówienia do uczestników demonstracji z balkonu pałacu Brühla, ówczesnej siedziby Ministerstwa Spraw Zagranicznych – fotomontaż.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

stwami zainteresowanymi jedynie utrzymaniem status quo. Niestety, sąsiadami słabego państwa polskiego były dwa agresywne mocarstwa dążące do rewizji międzynarodowego porządku.

Równocześnie rzetelnej krytyce polityki Becka nie sprzyja postrzeganie jej przez pryzmat sławnych słów o honorze, które zrobiły nieodpowiadającą swojej wadze karierę. W cieniu tego frazesu nikną kardynalne błędy Becka jako ministra spraw zagranicznych: przecenianie sił własnych, niedocenywanie przeciwnika, absurdalna definicja racji stanu, wreszcie nieumiejętność rozpoznania sił i interesów innych państw oraz przewidzenia skutków podejmowanych działań. Obrazu dopełniał swoisty antytalent dyplomatyczny Becka, sprawiający, że nie tylko minister nie rozumiał partnerów, ale i oni nie rozumieli jego.

W tym kontekście przemówienie z 5 maja 1939 r. jest nie tyle przekreśleniem jego wcześniejszej polityki, ile logiczną konsekwencją oderwanych od rzeczywistości założeń.

Czyniąc w sejmie aluzję do antysowieckich propozycji Niemców pod adresem Polski, Beck naiwnie sądził, że zniechęci tym Józefa Stalina do paktu z III Rzeszą. Jednocześnie odmawiał udziału w jakiegokolwiek kooperacji z Moskwą z obawy przed rozjuszeniem Adolfa Hitlera, nie zdając sobie sprawy, że wściekłość Führera wywołała już brytyjsko-polskie gwarancje z kwietnia 1939 r. Ignorował przewidywania polskich publicystów – Adolf Bocheński ostrzegał przed takim obrotem spraw co najmniej od 1937 r. – a wiosną 1939 r. także przestrogi płynące kanałami dyplomatycznymi, że taka postawa doprowadzi do paktu niemiecko-sowieckiego, uważanego przezeń najpierw za niemożliwy, a po fakcie – za nieistotny, czy wręcz potwierdzający słuszność jego linii.

Żywołne interesy

Podnosząc w maju 1939 r. „swobodę” polskiej polityki zagranicznej, Beck zdawał się nie rozumieć, że pole manewru państwa na arenie międzynarodowej określa przede wszystkim jego relatywna potęga, tj. stosunek sił do państw ościennych, a nie wola kierownictwa i morale ludności. Złowrogą karierę w słowniku polskich dyplomatów zrobiło w tym okresie pojęcie „żywołnych interesów” Rzeczypospolitej. Dla ministra i innych kreatorów polityki zagranicznej II RP nie było takim uniknięcie wojny na dwa fronty i rozbioru, ale utrzymanie przywilejów politycznych w Gdańsku. W razie ich naruszenia – jak Beck ostrzegał ambasadorów brytyjskiego i francuskiego w sierpniu 1939 r. – Polska była gotowa wystąpić zarówno przeciw Niemcom, jak i Lidze Narodów, a także każdemu mocarstwu, „które by do tego rękę przyłożyło”¹. Świadczy to o nieumiejętności ustalenia elementarnej hierarchii interesów państwa, którą Beck zastąpił po fakcie teorią równi pochyłej, wedle której najmniejsze ustępstwo musiało nieuchronnie prowadzić do upadku.

Przekonany, że sojuszem z Wielką Brytanią „osadził Niemców na miejscu”², deklarował gotowość wznowienia rozmów z Berlinem, nie zdając sobie sprawy, że nie wzmocnił, ale osłabił swoją pozycję negocjacyjną. Beck nie rozumiał, że współrzędzone przez niego państwo ma w rozgrywce międzynarodowej wartość jako sojusznik jednego z potężnych sąsiadów, a nie jako bufor między nimi. Gotowość Niemców do kompromisu z Polską wynikała przede wszystkim z ich planów włączenia Polski do własnego systemu sojuszy, a nie z obawy przed nią i jej odległymi aliantami.

We wspomnianej mowie sejmowej stawiał Niemcom warunki: pokojowych zamiarów i pokojowych metod wobec Polski. Tragizm tkwi w tym, że Niemcy te warunki spełniali jesienią 1938 r., przed wybuchem kryzysu.

Nie ulega wątpliwości, że kierownictwo Rzeszy było zdeterminowane, by osiągnąć z Polską kompromis. Beck kompromis uważał jednak za naruszenie „żywotnych interesów”. W imię tego przekonania torpedował najpierw negocjacje z Berlinem, a potem wszelkie inicjatywy mediacji podejmowane przez dyplomację włoską, japońską i watykańską; nie zgadzał się także na konferencje wielostronne w celu rozwiązania kryzysu. Nie dostrzegł w tym szansy na odsunięcie wybuchu wojny lub choćby utrudnienie Niemcom osiągnięcia porozumienia z Sowietami.

Wolne ręce

Jak na przełomie 1938 i 1939 r. przecenił niebezpieczeństwo związane z niemieckimi propozycjami uregulowania wzajemnych relacji, tak pół roku później nie docenił zagrożenia wojną. Wobec Włochów, zainteresowanych odprężeniem na linii Berlin – Warszawa, ale nieukrywających, że o ich wyjściu z Osi nie ma mowy, pozwalał sobie na groteskowe w obliczu słabości Rzeczypospolitej oświadczenia, że ma wolne ręce do wchodzenia w „antywłoskie kombinacje”³. Pogłoski o pakcie niemiecko-sowieckim kierowane przez niego Ministerstwo Spraw Zagranicznych postanowiło wykorzystać do pogarszania relacji niemiecko-japońskich, innymi słowy: polska dyplomacja – abstrahując od mocy sprawczej tych zabiegów – chciała skłócać Niemcy z państwem, które było zainteresowane uniknięciem wojny niemiecko-polskiej, torując jednocześnie drogę ich porozumieniu z państwem zainteresowanym naszym rozbiorem.

Minister Beck, zasłaniając się stanowiskiem opinii publicznej, nie podejmował starań na rzecz wytłumaczenia społeczeństwu niebezpieczeństwa związanego z położeniem między Niemcami a Związkiem Sowieckim. Odrzucał jednostronne koncesje, a jednocześnie źle reagował na wszelkie możliwości zrekompensowania ustępstw, które być może pozwoliłyby pogodzić je z przekonaniem o mocarstwowym statusie Rzeczypospolitej.

Na obronę Becka można by przytoczyć fakt, że mimo pewnej swobody nie był dyktatorem polskiej polityki zagranicznej i musiał liczyć się z przekonaniem o potęgze II RP oraz antyniemieckimi nastrojami liderów sanacji i kół wojskowych oraz całego społeczeństwa. Niełatwo jednak wśród jego działań dopatrzyć się dowodów, by zagrożenia z tym związane rozumiał, nie mówiąc już o przeciwdziałaniu tym zagrożeniom. Nie wykorzystał do tego okresu dobrej koniunktury lat 1933–1938, uwarunkowanej względną słabością sąsiadów oraz niechęcią Niemiec do współpracy ze Związkiem Sowieckim.

Sojusze, które zawarł wiosną 1939 r., okazały się bezwartościowe: Francja i Wielka Brytania nie miały odpowiednich sił i determinacji, aby pomóc Polsce we wrześniu, a później nie sposób było wyobrazić sobie wyzwolenia ziem polskich bez rozbitcia sojuszu Berlina i Moskwy. Winszując sobie tymczasowego zniechęcenia Brytyjczy-

ków do włączenia Związku Sowieckiego do bloku antyniemieckiego, nie przyjmował do wiadomości, że ta niechęć z czasem zniknie, a Zachód będzie poszukiwał na wschodzie możliwie najsilniejszego sojusznika przeciw III Rzeszy i jego interesom poświęci interesy słabszych aliantów. Winston Churchill nadziejom, które wiąże z nieuniknioną wojną niemiecko-sowiecką, dawał wyraz już pod koniec września 1939 r., kiedy w Polsce trwały jeszcze walki⁴.

Pewność siebie Beck czerpał z przekonania, że Hitler blefuje i nie odważy się na wojnę. W rzeczywistości Beck sam blefował w sposób skrajnie nieodpowiedzialny, kładąc na szali samo istnienie państwa. Bronił niepodległości tak, jakby była to kompletnie abstrakcyjna wartość niepowiązana w żaden sposób z warunkami, w których musi funkcjonować naród polski, a nie po prostu stopień niezależności od zewnętrznych ośrodków politycznych.

Józef Beck nie był oczywiście w stanie uratować pełnej suwerenności, gdyż na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych XX w., wobec przewagi, jaką mieli nad nami i Niemcy, i Sowieci, wymagałoby to szczęśliwych zbiegów okoliczności i geniuszu przywódców. Mógł jednak spowalniać ograniczanie zakresu niepodległości państwa, odsuwać – za cenę ustępstw – wybuch wojny i wyczekiwać okazji do osłabienia przeciwników. Wpatrzony jednak w odległe niebezpieczeństwa, przeoczył zagrożenia bezpośrednie. Obawiał się dominacji Niemców na kontynencie, do której była jeszcze daleka droga. Niemcy musiały wcześniej pokonać Francję i Wielką Brytanię, Związek Sowiecki, a prawdopodobnie także oprzeć się – niechętnym hegemonii jakiegokolwiek państwa w Europie – Stanom Zjednoczonym. Nie dostrzegał za to – do ostatnich chwil – groźby rozbioru pomiędzy III Rzeszę i ZSRS.

Łudząc się, że Polska może nie wybrać strony w nieuniknionym konflikcie niemiecko-sowieckim, Beck sprawił, że ten konflikt został odsunięty w czasie i poprzedzony straszną okupacją ziem polskich przez oba totalitarne mocarstwa; jego następcy (rząd emigracyjny) nie mieli już w sprawie wyboru strony nic do powiedzenia i pozostawało im przyjmowanie do wiadomości decyzji sojuszników zachodnich.

Po wojnie głos w sprawie polskiej miały mocarstwa realizujące własne interesy w nowym łańdź międzynarodowym, nieobciążone zobowiązaniami zaciągniętymi wobec ostatniego ministra urzędującego w nieistniejącym już w 1945 r. pałacu Brühla.

JAN SADKIEWICZ wicedyrektor wydawnictwa Universitas, redaktor *Pism wybranych* Stanisława Cata-Mackiewicz, Władysława Studnickiego i Adolfa Bocheńskiego. Autor *Ci, którzy przekonali nie umięją. Idea porozumienia polsko-niemieckiego w publicystyce Władysława Studnickiego i wileńskiego „Słowa”*. Na Uniwersytecie Jagiellońskim przygotowuje pracę doktorską poświęconą myśli politycznej Aleksandra Bocheńskiego.

¹ Zob. S. Żerko, *Stosunki polsko-niemieckie 1938–1939*, Poznań 1998, s. 425–426. ² Tamże, s. 349. ³ Tamże, s. 354. ⁴ W. Churchill, *Druża wojna światowa*, t. 1: *Nadciągająca burza*, ks. 2: *Nierealna wojna*, Gdańsk 1995, s. 52–54.

ZROZUMIEĆ WOJNĘ

GRUPY OPERACYJNE

Główną przesłanką planu operacyjnego wojny obronnej była ocena niemieckich uderzeń zgrupowań lądowych. Przewidywano cztery główne uderzenia na nasz kraj:

1. z Prus Wschodnich na Modlin i Warszawę;
2. z niemieckiego Pomorza na Bydgoszcz – Inowrocław – Kutno i Warszawę;
3. z Dolnego Śląska, przez Łódź i Piotrków, na Warszawę;
4. z Górnego Śląska i Moraw na Kraków¹.

By przeciwstawić się tak zdefiniowanej ocenie przeciwnika, marsz. Edward Śmigły-Rydz zdecydował się na następujące ugrupowanie, które miało uniemożliwić przeciwnikowi osiągnięcie zakładanych celów operacji:

- z kierunku Prus Wschodnich utworzył zgrupowanie w składzie: Samodzielna Grupa Operacyjna „Narew”, Armia „Modlin”, odwód „Wyszków”;
- z niemieckiego Pomorza przeciwstawił siły Armii „Pomorze”, Armii „Poznań” i odwód „Kutno”;
- z Dolnego Śląska przeciw natarciu przeciwnika wystawił Armię „Łódź” i odwodową Armię „Warszawa”;
- z Górnego Śląska – obronę Armią „Kraków”, od lipca Armią „Karpaty”, oraz odwodem „Tarnów”.

Jak wynika z przedstawionego sposobu rozegrania walki przed wybuchem wojny w ramach mobilizacyjnego rozwinięcia naszych sił zbrojnych, została utworzona Samodzielna Grupa Operacyjna „Narew”. Była ona podporządkowana bezpośrednio Naczelnemu Wodzowi i otrzymała zadanie osłony prawego skrzydła Armii „Modlin” z przednim skrajem obrony na rubieży przeszkód wodnych: Narwi, Biebrzy i Kanału Augustowskiego. W jej skład weszły dwie dywizje piechoty (18 i 33 Dywizja Piechoty), dwie brygady kawalerii (Podlaska i Suwalska) oraz jednostki artylerii i lotnictwa².

Już podczas działań wojennych została powołana Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie”. Również ją utworzył Naczelny Wódz z zadaniem osłony odwrotu SGO „Narew” i obrony Polesia na linii przeszkód wodnych, czyli rzek: Muchawiec, Pina i Prypeć, z twierdzą Brześć. W jej skład weszły związki taktyczne: 60 Dywizja Piechoty (Dywizja „Kobryń”), 50 Dywizja Piechoty (Dywizja „Brzoza”), Dywizja Kawalerii „Zaza”, Podlaska Brygada Kawalerii, załoga twierdzy Brześć, grupa



Marsz. Edward Śmigły-Rydz (z prawej) podczas rozmowy z gen. Kazimierzem Sosnkowskim (z lewej) i gen. Juliuszem Rómmlem na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie, sierpień 1939 r.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Korpusu Ochrony Pogranicza, załoga Floty Pińskiej.

Naczelny Wódz zamierzał zorganizować jeszcze Grupy Operacyjne „Kutno”, „Tarnów” i „Wyszków”, które miały być jego odwodami na przewidywanych kierunkach działania przeciwnika. Jednak z powodu zmian sytuacji operacyjno-strategicznej – grupy nie zostały utworzone, a siły przewidziane do ich składu w wyniku walk podporządkowano dowódcom armii.

Również dowódcy armii, tworząc ugrupowania obronne, organizowali grupy operacyjne z zadaniem utrzymania określonych obszarów i niedopuszczenia do rozcięcia bądź oskrzydlenia broniących się związków taktycznych. Ich skład był różny i w większości przypadków stanowiły jedną lub dwie dywizje piechoty ze środkami wzmocnienia.

Na dowódcę wyznaczano zazwyczaj jednego z dowódców dywizji, podporządkowując mu pozostałe siły i środki. Należy wspomnieć o Grupie Operacyjnej Kawalerii, którą utworzył dowódca Armii „Warszawa”. Myślą przewodnią organizowania takiego elementu ugrupowania operacyjnego było skrócenie łańcucha dowodzenia oraz zwiększenie samodzielności ich dowódców w walce.

Działania bojowe w kampanii wrześniowej przyniosły wyższym dowódcom wiele istotnych doświadczeń, przede wszystkim w dziedzinie operacyjnego i taktycznego użycia wojsk w nowoczesnej wojnie, potrzeb w zakresie jej struktur organizacyjnych, organizacji dowodzenia i pracy sztabów, wreszcie wsparcia logistycznego. Nie wszystkie z tych doświadczeń znalazły zrozumienie w sztabach i dowództwach alianckich, gdzie przyszło dalej walczyć polskim żołnierzom. Wszystkie natomiast wzbogaciły praktyczno-teoretyczny dorobek polskiej myśli wojskowej.

Rodzima myśl wojskowa, która rozwinęła się w okresie międzywojennym, w niewielkim tylko stopniu wpłynęła na prowadzenie działań w kampanii wrześniowej. Przyczyną tego były faktyczny stan armii i możliwości ekonomiczne państwa, które nie pozwalały na wprowadzenie radykalnych zmian przez najbliższe kilkanaście lat.

J.B.

¹ M. Porwit, *Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku*, Warszawa 1983, s. 78. ² S. Komomicki, *Wojsko Polskie. Krótki informator historyczny o Wojsku Polskim w latach II wojny światowej*, t. 7, Warszawa 1975, s. 197.

Bój Wołyńskiej Brygady Kawalerii pod Mokną 1 września 1939 r. i walka pod Ostrowami z niemiecką 4 Dywizją Pancerną następnego dnia – stanowią przykład skutecznego prowadzenia działań opóźniających przez brygadę reprezentującą anachroniczny w 1939 r. rodzaj broni – kawalerię – przeciwko nowoczesnemu rodzajowi broni: niemieckim wojskom pancernym.



NIE BYŁO SZARŻY NA CZOŁGI

JULIUSZ S. TYM

Ten przykład bojowy ze względu na anachroniczność zderzoną z nowoczesnością był tematem zajęć w Wyższej Szkole Wojennej działającej w czasie wojny w Wielkiej Brytanii. Obecnie w Akademii Sztuki Wojennej każdego roku elitarny kurs dowódców batalionów realizuje te zajęcia w rejonie, gdzie w 1939 r. polscy ułani i artylerzyści konni pokazali, że dla nich nie ma zadań niewykonalnych.

W połowie sierpnia 1939 r. na lewym skrzydle pasa odpowiedzialności Armii „Łódź” została ześrodkowana Wołyńska Brygada Kawalerii dowodzona przez płk. dypl. Juliana Filipowicza. Ta trzypułkowa brygada – składająca się z 19 Pułku Ułanów Wołyńskich, 21 Pułku Ułanów Nadwiślańskich, 2 Pułku Strzelców Konnych, 2 Dywizjonu Artylerii Konnej, 21 Dywizjonu Pancernego, szwadronu łączności, 8 Szwadronu Pionierów, 82 baterii artylerii przeciwlotniczej – została wzmocniona 12 Pułkiem Ułanów Podolskich, IV batalionem 84 Pułku Piechoty oraz 11 batalionem strzelców, a także pociągiem pancernym „Śmiały”.

Rozkaz dowódcy Armii „Łódź”

Dowódca Wołyńskiej BK 30 sierpnia 1939 r. otrzymał rozkaz dowódcy Armii „Łódź” gen. dyw. Juliusza Rómmla nakazujący przesunięcie całej brygady do rejonu Miedzo, Ostrowy, w pas działania Armii „Kraków”, a zarazem bezpośredniego współdziałania z jednostkami Armii „Kraków”. W rozkazie operacyjnym z tego dnia gen. Rómmel określał cel, rodzaj i pas działania Wołyńskiej BK. Brygada użyta została w ramach wyższego związku, którego siły główne otrzymały zadanie prowadzenia działań opóźniających, w celu ubezpieczenia mobilizacji, ześrodkowania i rozwinięcia pozostałych sił armii. Celem działania brygady było rozpoznanie przeciwnika i opóźnianie jego natarcia przez czas określony założeniem, utrzymanie łączności taktycznej z sąsiadami: 30 DP z Armii „Łódź” i 7 DP z Armii „Kraków”, a jednocześnie zamknięcie luki operacyjnej pomiędzy tymi związkami, co przesądzało również o tym, że brygada miała osłonić i ubezpieczyć lewe skrzydło armii. W tej sy-



Dwa szwadrony liniowe pułku kawalerii w marszu na przełaj w linii plutonów trójkami, na siwych koniach trębacze, na lewym skrzydle ugrupowania taczanki szwadronu ciężkich karabinów maszynowych, lato 1939 r.

Fot. Wojskowe Biuro Historyczne

Pluton kolarzy pułku kawalerii w czasie jazdy na przełaj w szczyłach, lato 1939 r.

Fot. Wojskowe Biuro Historyczne

tacji pas działania brygady wytyczały linie rozgraniczenia z obiema dywizjami piechoty. W rozkazie dowódca Armii „Łódź” precyzował, że brygada ma: „być w gotowości do stawienia oporu na skraju lasów płnc. Kłobuck, wsch. Łobodno. Pod naporem bardzo przeważających sił nieprzyjaciela walczyć wstrzymując w kierunku na Brzeźnica Nowa. Przewidzieć możliwość wykonania zwrotu zaczepnego w kierunku Działoszyn na korzyść 30 DP i w kierunku Wręczyca Wielka na korzyść 7 DP”¹.

W przydzielonym pasie działania Wołyńskiej BK teren był falisty, a znajdujące się tam kompleksy leśne ułatwiały organizację obrony. Znajdujące się na przedpolu tych lasów wzgórza: 258,6 (tzw. Wzgórze Rębielickie), 263 (tzw. Wzgórze Opatowskie) oraz 264 na południe od Wilkowicka – dawały możliwość dalekiego wglądu w kierunku zachodnim. Otoczona wzgórzami Polana Opatowska – poprzercinana polami uprawnymi, rowami odwadniającymi i sadzawkami – dawała dobry wgląd na przedpole w kierunku na Krzepice. Przerwa pomiędzy kompleksami leśnymi szerokości 1 km wyprowadzała z kierunku zachodniego na polanę

Mokra, której najwyższy punkt stanowiło wzniesienie 256. Centralną część tej polany zajmowały wsie Mokra I, Mokra II i Mokra III. Jedyną drogą do tych wsi prowadziła z Wilkowicka do Mokrej III. Zarówno droga, jak i zabudowania kanalizowały ruch na polanie. Na północ i południe od polany rozciągał się las. Od wschodu polanę zamykała leżąca na nasypie jednotorowa linia kolejowa Kłobuck – Działoszyn, będąca fragmentem magistrali węglowej Herby – Gdynia. Nasyp linii kolejowej stanowił bardzo dobrą przeszkodę przeciwpancerną, tym cenniejszą, że z obu stron przesłonięty był wąskim pasem lasu, rozszerzającym się na południu w kierunku położonej dalej na zachód wsi Łobodno. Linie kolejową można było przekroczyć tylko w czterech miejscach: wiaduktem nad torami na szosie Izbiska – Miedźno koło stacji kolejowej Miedźno, dwoma przejazdami kolejowymi położonymi na drodze leśnej Rębielice Królewskie – Izbiska i na drodze leśnej łączącej wieś Mokra I z przysiółkiem Golczewo, a także w rejonie wsi Mokra II i Mokra III przepustem w nasypie, którym wiodła droga do wsi Miedźno. Linia kolejowa w rejonie Popowa na północ- ▶

nym brzegu Liswarty przechodziła z wykopu na wysoki nasyp, za stacją Miedzno przebiegała na odcinku 1 km w głębokim wykopie, na odcinku pomiędzy wsiami Mokra I i Mokra III przebiegała na nasypie wysokości 4–6 m, a następnie kryła się w wykopie długości około 1 km.

W rozkazie dowódca Armii „Łódź” precyzował zadanie dowódcy brygady, odpowiadając na pytania: kto? kiedy? gdzie? co? w jakim celu? Nakazywał stawić opór w wyznaczonym pasie działania, na najbardziej wysuniętej w stronę granicy, dogodnej rubieży terenowej, określonej jako: „skraj lasów płnc. Kłobuck, wsch. Łobodno”², pozostawiał swobodę co do sposobu realizacji zadania. Ocena terenu w wyznaczonym pasie działania wskazywała, że dokonano trafnego wyboru. Warunki terenowe umożliwiały prowadzenie obserwacji dalekiego przedpoja, a także wykorzystanie kompleksów leśnych, które wydawały się silną przeszkodą przeciwpancerną. Istniała również możliwość oparcia jednego ze skrzydeł o przeszkodę wodną – Liswartę. Jednocześnie kolejne przeszkody terenowe – Biała Oksza oraz kompleks lasów nadleśnictwa Łobodno – dawały korzystne warunki prowadzenia opóźniania na kierunku Kłobuck – Brzeźnica. Ponadto takie wysunięcie Wołyńskiej BK w stronę granicy było zgodne z zapisami *Ogólnej instrukcji walki*, która przewidywała, że „Celem całkowitego wykorzystania przestrzeni wysuwa się oddziały opóźniające w kierunku nieprzyjaciela jak najdalej”³.

Szerokość pasa opóźniania brygady kawalerii według założeń projektu *Ogólnej instrukcji walki* z 1938 r. wynosiła w terenie przeciętnym typowym polskim krajobrazie 4–6 km, a w terenie mającym naturalne przeszkody przeciwpancerne szerokość ta mogła sięgać 8 km. Głębokość pasa opóźniania dla jednej doby walk miała wynosić 10–15 km. Zawsze jednak te wartości przestrzenne określać miała możliwość opanowania go ogniem posiadanych środków ogniowych. Pas działania Wołyńskiej BK w rejonie Mokra, Miedzno wynosił 12 km



szerokości, a brygada nie miała możliwości całkowitego panowania nad nim posiadanymi środkami ogniowymi.

Ugrupowanie bojowe brygady

Dowódca Wołyńskiej BK nakazał przyjąć ugrupowanie bojowe. Na kierunku głównego wysiłku brygady działania opóźniające prowadził 21 Pułk Ułanów wzmocniony szwadronem 12 Pułku Ułanów. Część pododdziałów rozmieszczono na Wzgórzu Rębielickim i Wzgórzu Opatowskim jako linii czat, czyli ubezpieczeń bojowych. Przerwy między lasami wiodącej na polanę Mokra broniły pozostałe pododdziały 21 Pułku Ułanów. W jego ugrupowaniu bojowym rozmieszczono 2 Dywizjon Artylerii Konnej, którego poszczególne baterie zajęły stanowiska ogniowe na polanie Mokra w rejonie zabudowań wiejskich. Na prawym skrzydle brygady 19 Pułk Ułanów dozorował rejon Danków, Leszczyny, Zawady. Na lewym skrzydle brygady IV batalion 84 Pułku Piechoty organizował obronę lasu Kłobuck.





Pluton łączności pułku kawalerii w marszu w kolumnie marszowej tzw. kolumnie trójkami. Na pierwszym planie tańczanka radiowa, za nią patrole telefoniczne konne, lato 1939 r.

Fot. Wojskowe Biuro Historyczne

Działko przeciwpancerne wz.36 plutonu działek przeciwpancernych pułku kawalerii na stanowisku ogniowym, na pierwszym planie zastępca dowódcy plutonu, działonowy ma na sobie pas do przeciągania działka założony przez lewe ramie na prawy bok, lato 1939 r.

Fot. Wojskowe Biuro Historyczne

W rejonie Miedzno, Kołaczkowice ześrodkowano silny odwód brygady – 12 Pułk Ułanów, 2 Pułk Strzelców Konnych oraz 21 Dywizjon Pancerny. Rejon ten ubezpieczał od południa 11 batalion strzelców organizujący obronę w lesie Łobodno przy drodze Kłobuck – Ostrowy. Pociąg pancerny „Śmiały” znajdował się w rejonie wyczekiwania na stacji Miedzno. Na przedpolu brygady rozpoznanie prowadził Oddział Wydzielony „Danków” złożony z czołgów rozpoznawczych TK i kolarzy oraz podjazd w sile plutonu z 21 Pułku Ułanów. Stanowisko dowodzenia brygady znajdowało się we wsi Ostrowy, a posterunek bojowy dowódcy był w Miedznie. Służby rozmieszczono w rejonie Brzeźnicy Nowej.

Działania opóźniające

Zamiarem dowódcy Wołyńskiej BK było prowadzenie działań opóźniających. Analiza ugrupowania przyjętego przez brygadę wskazuje, że płk dypl. Filipowicz zdecydował się prowadzić działania opóźniające metodą obrony przejściowej na dwóch kolejnych rubieżach. Pierwszą z nich była rubież Zawady, zachodni skraj lasu Grodzisko, las Kłobuck; drugą zaś rubież drogi Zawady – Mokra – Kłobuck i linii kolejowej Działoszyn – Kłobuck. Pozycje organizowane na tych rubieżach były jednorzutowe. Należy zauważyć, że druga rubież poprzez istnienie nasypu linii kolejowej stwarzała możliwość organizacji warstwowego systemu ognia. Nie wiemy jednak, na której z tych rubieży dowódca brygady planował stawić zasadniczy opór. Jednocześnie trzeba dodać, że ukształtowanie terenu, a zwłaszcza kompleksów leśnych sprzyjało organizacji obrony w rejonie polany Mokra, gdzie istniała możliwość organizacji tzw. worków ogniowych. Ewidentnym mankamentem tego planu walki było to, że 19 Pułk Ułanów miał jedynie dozorować rejon Danków, Zawady, ponieważ – jak pokazał przebieg działań – nie był to kierunek drugorzędny.

Dnia 1 września 1939 r. o godz. 4.30 czołowe pododdziały niemieckiej 4 Dywizji Pancerniej z XVI Korpusu Armijnego przekroczyły polsko-niemiecką granicę państwową w rejonie wsi Starokrępie. Dowódcą dywizji był gen. mjr Georg-Hans Reinhardt. Składała się ona z 5 Brygady Pancerniej (35 i 36 Pułki Pancerne), 12 Pułku Strzelców Zmotoryzowanych, 103 Pułku Artylerii Zmotoryzowanej, 49 zmotoryzowanego dywizjonu przeciwpancernego, 7 dywizjonu rozpoznawczego, 5 baterii 66 zmotoryzowanego dywizjonu artylerii przeciwlotni-

czej, 7 batalionu łączności, 3 kompanii 79 batalionu saperów oraz pododdziałów służb tyłowych. Dywizja liczyła 10 221 żołnierzy i była uzbrojona w 357 czołgów; dodatkowo została wzmocniona 12 Pułkiem Piechoty i dywizjonem 31 Pułku Artylerii z 31 Dywizji Piechoty oraz 2 Dywizjonem 54 Pułku Artylerii, a także pododdziałami saperów. Stosunek sił w pasie działania Wołyńskiej BK wykazywał przewagę wojsk niemieckich: 27,4:1 – w czołgach; 4,2:1 – w środkach artyleryjskich do ognia pośredniego; 3:1 w działkach przeciwpancernych.

Oddziały niemieckie około godz. 7.00 oparowały Krzepice bronione przez pododdziały batalionu Obrony Narodowej „Kłobuck”, a godzinę później podeszły w rejon Wilkowicka i zaatakowały pododdziały 21 Pułku Ułanów na Wzgórzu Opatowskim, w rejonie polany Mokra oraz IV batalionu 84 Pułku Piechoty w lesie Kłobuck. Sytuację obrońców komplikowało przemieszczanie się na wschód grupy ludności cywilnej przed frontem podchodzących pododdziałów niemieckich. Polskie działka przeciwpancerne unieruchomiły kilka czołgów niemieckich, jednak następne zdołały przełamać obronę 21 Pułku Ułanów i dotrzeć do zachodniego skraju wsi Mokra III, ale pozbawione osłony piechoty zawróciły. Natarcie czołgów wspierał ogień artylerii niemieckiej. Nastąpił również pierwszy z piętnastu wykonanych tego dnia ataków powietrznych Luftwaffe, która od wczesnych godzin porannych intensywnie prowadziła loty rozpoznawcze. Dokonała ona ataku bombowego na las położony na zachód od wsi Mokra II, gdzie znajdowały się rejon wyczekiwania koniowodnych pierwszorzutowych szwadronów 21 Pułku Ułanów. Spowodował on duże straty wśród ludzi i koni.

Niemieckie natarcia

Okolo godz. 10.00 pododdziały niemieckie zaatakowały równocześnie pozycje 21 Pułku Ułanów i IV batalionu 84 PP, jak i rejon 19 Pułku Ułanów na prawym skrzydle Wołyńskiej BK. Wówczas płk dypl. Filipowicz podjął decyzję o użyciu części odwodu – 12 Pułku Ułanów, który otrzymał zadanie zorganizowania obrony na linii kolejowej w rejonie przepustu na drodze Mokra – Miedzno i wysunięcia ubezpieczeń bojowych na linię drogi Kłobuck – Zawady na polanie Mokra. W czasie tego natarcia 4 szwadron 19 Pułku Ułanów został odrzucony na wschód, czym odsłonił drogi prowadzące z północnego zachodu na pola-



nę Mokra. Natarcie niemieckich czołgów, które przełamały obronę 21 Pułku Ułanów i wdarły się na polanę Mokra zostało zatrzymane i odrzucone ogniem 2 Dywizjonu Artylerii Konnej, pociągu pancernego „Śmiały” oraz działek przeciwpancernych 12 Pułku Ułanów.

Po godz. 12.00 wyszło ponowne natarcie niemieckich pododdziałów pancernych, tym razem wspieranych przez piechotę zmotoryzowaną. Z nacierającymi na północ od wsi Mokra III czołgami niemieckimi na wzgórzu 256 zetknęły się patrole bojowe poruszającego się w szykach luźnych 3 szwadronu 12 Pułku Ułanów rtm. Jerzego Hollaka, z plutonem ciężkich karabinów maszynowych i dwoma działkami przeciwpancernymi, wysłanego z zadaniem wzmocnienia obrony pododdziałów 21 Pułku Ułanów na zachodnim skraju wsi Mokra III i dla zyskania na czasie dla ukończenia organizowania obrony.

Wówczas nastąpił incydent, który dał pretekst do rozpowszechnianych później przez propagandę niemiecką informacji o rzekomych szarżach polskiej kawalerii na czołgi. Poruszające się galopem patrole 3 szwadronu, nie mogąc zawrócić, częściowo wymieszały się z czołgami, co mogło wyglądać na szarżę. Patrole na-

tychmiast odskoczyły do lasu Grodzisko, natomiast dzięki błyskawicznej reakcji rtm. Hollaka szwadron uniknął zagłady, obsadził zabudowania wsi Mokra III, gdzie przyjął walkę w szyku pieszym. W toku dalszych walk 3 szwadron przegrupował się na południowo-zachodni skraj wsi Mokra II, skąd ubezpieczał ogniem stanowiska ogniowe osamotnionej 1 baterii 2 Dywizjonu Artylerii Konnej oraz oderwanie się wykrwawionych pododdziałów 21 Pułku Ułanów. Zmiana stanowisk obronnych szwadronu podyktowana była tym, że niemieckie czołgi, wykorzystując lukę w ugrupowaniu pomiędzy 19 i 21 Pułkiem Ułanów w lesie Grodzisko, wtargnęły tamtędy na polanę Mokra na kierunku 1 baterii 2 Dywizjonu Artylerii Konnej. Rozwijające natarcie niemieckie zostało ponownie zatrzymane ogniem armat baterii artylerii konnej oraz pociągu pancernego nr 53. W tym czasie na prawym skrzydle Wołyńskiej BK niemieckie pododdziały piechoty i motocyklistów zdołały wedrzeć się w ugrupowanie 19 Pułku Ułanów. Sytuację uratowała szarża dwóch szwadronów dowodzona przez dowódcę 1 szwadronu rtm. Antoniego Skibę. Umożliwiło to wycofanie się tego pułku.



Zbiórka pułku kawalerii w kolumnach pododdziałów, na pierwszym planie pluton kolarzy, pojazdy plutonu łączności – dwie taczanki radiowe i taczanka telefoniczna na ogumionych kołach, po lewej stronie koń juczny patrolu łączności z lotnikiem, lato 1939 r.

Fot. Wojskowe Biuro Historyczne

Około godz. 15.00 Niemcy ponowili natarcie. Tym razem zostało ono starannie zaplanowane i zorganizowane. Poprzedził je atak powietrzny na całe ugrupowanie bojowe 12 Pułku Ułanów. Główny wysiłek natarcia, podobnie jak poprzednio, skupiony został na kierunku Wilkowiecko – Mokra – Miedzno. Ponadto silne zgromadzenie niemieckie działało na kierunku Rębielice Królewskie – Izbiska. Lepiej zorganizowanemu i skoordynowanemu atakowi czołgów przeciwnika towarzyszył ogień artylerii, która zaczęła wstrzeliwać się w cele wykryte na polanie Mokra, zwalczając przede wszystkim stanowiska ogniowe baterii artylerii konnej. Ogień niemieckiej artylerii i zbliżających się czołgów oraz szalejące wśród zabudowań wiejskich pożary zmusiły baterie do zmiany stanowisk ogniowych. Wówczas do walki tej włączyły się działka przeciwpancerne 12 Pułku Ułanów i 2 Pułku Strzelców Konnych, które ze stanowisk w rejonie linii kolejowej skutecznie wsparły obronę baterii.

Ogień artylerii niemieckiej przeniesiony został na rubież linii kolejowej, gdzie stanowiska zajmowały szwadrony 12 Pułku Ułanów. Gdy pierwsze czołgi niemieckie dotarły na odległość 800–700 m od skraju lasu, pierwszorzutowe szwadrony otworzyły ogień. Nacisk niemiecki koncentrował się na rejonie przepustu. Straty pułku broniącego tego rejonu wzrastały bardzo szybko.

Tak sytuację w rejonie przepustu kolejowego zapamiętał dowódca szwadronu ciężkich karabinów maszynowych 12 Pułku Ułanów rtm. Antoni Kropielnicki: „wylania się prawdziwe mrowie czołgów. Skóra cierpieć na ten widok. Dla dodania sobie otuchy i uspokojenia nerwów zaczynamy je liczyć. Jedni podają 72, inni 67, jeszcze inni 70. Sieką gęstym ogniem, tak że igliwie i gałęzie syją się nam na głowy jak śnieg. Betonowy most kolejowy nad drogą jest tak posieczony jakby go pszczoły obsiadły. [...] Mamy mnóstwo poległych i ciągle zabieramy obsługi koniowodnych, bo nam brak ludzi w linii. Koledzy odsunięci na bok leżą, niekiedy w spokojnej postawie człowieka śpiącego, niekiedy zaś w tragicznym położeniu okaleczonego ciała. Czasem pasemko krwi z ust zalewa oczodoły, czasem widać mózg pomieszany z pokręconym żelaziwem francuskiego hełmu. [...] amunicję donoszą wszyscy i lekarz weterynaryjny, adiutant, dowódca szwadronu, zastęp-

ca dowódcy pułku. Obsługi zaś tymczasem walą co tchu z armatek i karabinów maszynowych. Obok nich stopy wystrzelonych łusek mosiężnych dymią od spalonego prochu. [...] ułan niosący skrzynkę amunicyjną ginie obok dowódcy pułku. Ten chwytą ją i donosi do obsługi armaty przeciwpancernej”⁴. Na rozkaz dowódcy Wołyńskiej BK 21 Dywizjon Pancerny wykonał kontratak, którego efekty były dość ograniczone, jednak przyczynił się do zatrzymania natarcia niemieckiego.

Pociąg pancerny „Śmiały” kontra niemieckie czołgi

Kontratak 21 Dywizjonu Pancernego miał wesprzeć ogniem pociąg pancerny „Śmiały”, który otrzymał rozkaz dowódcy brygady przekazany za pomocą radiostacji. Pociąg wyruszył z rejonu stacji kolejowej Miedzno około godz. 15.30. Podczas jazdy natknął się w rejonie przejazdu kolejowego na drodze Rębielice Królewskie – Izbiska na kolumnę niemieckiego I batalionu 12 Pułku Strzelców zmotoryzowanych wspieranego przez czołgi II batalionu 36 Pułku Pancernego, która działała w luce pomiędzy 19 i 21 Pułkiem Ułanów i usiłowała wedrzeć się na tyły ugrupowania brygady. Zaskoczenie było obustronne. Polscy artylerzyści otworzyli ogień, koncentrując się na zwalczaniu czołgów przeciwnika, zaś obsługi ciężkich karabinów maszynowych zwalczały żołnierzy przeciwnika. Manewrując po obu stronach przejazdu, pociąg prowadził ogień, a do walki wprowadzono pluton wypadowy. Jeden z wagonów bojowych otrzymał cztery bezpośrednie trafienia pociskami przeciwpancernymi, które przebiły opancerzenie i unieruchomiły jedną z wież, na platformach zaczęła wybuchać znajdująca się tam amunicja, a ponadto saperzy niemieccy zdołali wysadzić odcinek toru prowadzący na polanę Mokra. W tej sytuacji pociąg pancerny wycofał się na stację kolejową Miedzno. Walka prowadzona na bardzo małych odległościach oraz poniesione straty zdemoralizowały Niemców, którzy w nieładzie wycofali się do lasu Grodzisko.

W tym położeniu płk dypl. Filipowicz podjął decyzję o odejściu na kolejną linię opóźniania na rzece Biała Oksza w rejonie Ostrowy, Łobodno. Około godz. 17.00 odbyło się wycofanie baterii 2 Dywizjonu Artylerii Konnej. Zaraz po odejściu baterii nastąpił ostatni akord południowego natarcia niemieckiego, jakim



był atak niemieckiej kompanii czołgów stanowiącej prawdopodobnie odwód 35 Pułku Pancernego. Nie można wykluczyć, że pododdział ten świadomie odczekał do momentu, gdy stanowiące trzon polskiej obrony przeciwpancernej na polanie Mokra działa 2 Dywizjonu Artylerii Konnej odejdą za linię kolejową, i wówczas wykonał atak na przepust kolejowy. Brońące tego rejonu szwadrony 12 Pułku Ułanów, które poniosły znaczne straty, zostały odrzucone ze stanowisk na skraju lasu na linię kolejową, a czołgi przeciwnika dotarły do przepustu. Tam jednak czołowe czołgi zostały unieruchomione, a atak – załamany. Brak piechoty, która mogłaby osłonić wozy, spowodował, że Niemcy zmuszeni byli wycofać się wobec ognia polskiego prowadzonego z wysokości nasypu kolejowego. Na lewym skrzydle brygady IV batalion 84 Pułku Piechoty zdołał odprzeć atak pododdziałów niemieckiego 12 Pułku Piechoty. Natarcie niemieckie zostało zatrzymane kontratakami na bagnety odwodu dowódcy batalionu. Oderwanie się od przeciwnika i odejście do nakazanych rejonów przeprowadzono w zorganizowany sposób, chociaż niektóre pododdziały wycofały się dopiero po zmroku i samodzielnie. W tym czasie Niemcy nie podejmowali już kolejnych ataków, również po ich stronie nastąpiły bowiem objawy wyczerpania. Rozkaz o wycofaniu nie dotarł do mjr. Wacława Sokola, dowódcy IV batalionu 84 Pułku Piechoty, który nadal zajmował stanowiska w lesie Kłobuck. Batalion opuścił rejon obrony w lesie Kłobuck dopiero około pół-

nocy i nieniekajony przez przeciwnika dotarł w godzinach rannych do wsi Ostrowy, a następnie około godz. 10.00 zorganizował obronę na linii rzeki Warty w rejonie miejscowości Ważne Młyny.

Bilans walk

Dnia 1 września 1939 r. o godz. 22.00, a więc kilka godzin po zakończeniu boju pod Mokrą, płk dypl. Filipowicz przesłał do sztabu Armii „Łódź” meldunek sytuacyjny, w którym podał pierwsze, szacunkowe dane dotyczące strat własnych i przeciwnika. Dowódca brygady ocenił własne straty bezpowrotne na 50–100 ludzi i około 200 koni, 40 wozów taborowych, 3 działa ppanc. rozbite przez czołgi i lotnictwo, na konto brygady zaś zaliczył około 20 rozbitych czołgów przeciwnika⁵. We wrześniu 1941 r. szef sztabu Wołyńskiej BK mjr dypl. Wilhelm Lewicki straty brygady szacował następująco: zabitych około 7 oficerów, 200–300 szeregowych i około 200 koni, rozbite 5 dział, 2 działka ppanc., jeden TK, a straty niemieckie ocenił na 80–90 czołgów⁶. Po wojnie Komisja Historyczna b. Sztabu Głównego obliczyła straty Wołyńskiej BK na około 500 żołnierzy. Najbardziej prawdopodobne wydają się szacunki dowódcy 21 Pułku Ułanów: 350–400 żołnierzy Wołyńskiej BK, a w niemieckiej 4 DPanc 40–50 czołgów⁷.

Straty, które poniosła 1 września 1939 r. w boju z Wołyńską BK niemiecka 4 DPanc są trudne do ustalenia. Według relacji dowódcy 35 Pułku Pancernego płk. Heinricha Eberba-

Trzy karabiny maszynowe na taczankach wz.36 szwadronu ciężkich karabinów maszynowych pułku kawalerii w galopie, zwraca uwagę brak wyrównania szeregów jeźdźców, lato 1939 r.

Fot. Wojskowe Biuro Historyczne

cha jednostka ta straciła: 15 zabitych i 14 rannych oraz 14 czołgów. Z kolei 36 Pułk Pancerny odnotował 7 zabitych i 13 rannych. Analiza strat niemieckiej dywizji poniesionych w okresie 1–20 września 1939 r. prowadzi do konstatacji, że większość wozów bojowych utraciła ona pierwszego dnia wojny pod Moką – około 50 czołgów, co częściowo potwierdzają meldunki niemieckiego XVI Korpusu Armijnego z początku drugiej połowy września 1939 r.

Nie jest możliwe określenie, ile wozów bojowych przeciwnika zniszczyły lub uszkodziły poszczególne oddziały Wołyńskiej BK. W boju tym, zwłaszcza w walkach toczonych na polanie Mokra w rejonie przepustu, często zdarzały się sytuacje, że do tego samego czołgu strzelały jednocześnie działa 2 Dywizjonu Artylerii Konnej oraz działka przeciwpancerne pułków kawalerii. W czasie ostatniego natarcia niemieckiego czołgi przeciwnika w rejonie przepustu zwalczały działka przeciwpancerne aż trzech pułków. Ponadto część czołgów zniszczyły działa pociągu pancernego nr 53.

naniu zadania postawionego przed brygadą. Dowódca brygady dzięki przyjęciu odpowiedniego ugrupowania bojowego zastosował zasadę ekonomii sił, a zarazem umożliwił wykorzystanie zasady elastyczności poprzez urzeczywistnienie zasady manewrowości – zapewniając możliwość manewru po liniach wewnętrznych, wewnątrz ugrupowania bojowego brygady, a jednocześnie zachowując możliwość oddziaływania na korzyść sąsiadów. Zaplanowana linia czat i kolejne linie obrony, a także zakładane warianty użycia odwodów spełniały wymagania zasady aktywności. Zasada skupienia wysiłku została zrealizowana poprzez odpowiedni podział sił i środków na kierunku polany Mokra i rubieży linii kolejowej jako rejonu kluczowego dla prowadzenia działań w pierwszej dobie walki. Odpowiednie rozmieszczenie pododdziałów na stanowiskach obronnych umożliwiło w pierwszej fazie walk częściową realizację zasady zaskoczenia. Plan walki brygady spełniał jednocześnie wymagania prostoty. Problemem była zasada swobody działania. Jej zastosowanie utrudniała nie-

W POŁOWIE SIERPNI 1939 R. NA LEWYM SKRZYDLE PASA ODPOWIEDZIALNOŚCI ARMII „ŁÓDŹ” ZOSTAŁA ZEŚRODKOWANA WOŁYŃSKA BRYGADA KAWALERII PŁK. DYPL. JULIANA FILIPOWICZA.

Na odległościach 1,5–1 km czołgi niemieckie były zwalczane przez baterie 2 Dywizjonu Artylerii Konnej. Poniżej 1000 m ogień otwierały działka przeciwpancerne, a na odległościach poniżej 300 m wspierały je karabiny przeciwpancerne. W ten sposób współdziałały one z działkami przeciwpancernymi, na których spoczywał główny ciężar prowadzenia obrony przeciwpancernej. Nie można w tym miejscu pominąć wyszkolenia żołnierzy Wołyńskiej BK, już bowiem w 1938 r. ówczesny dowódca brygady, gen. bryg. Adam Korytowski nakazał w wytycznych wyszkolenia zwrócić specjalną uwagę na obronę przeciwpancerną, a szczególnie indywidualną obronę przeciwpancerną oraz sposoby czynnego zwalczania broni pancernej (pojedynczych wozów), w tym „Szkolić racjonalną zaczepność małych zespołów w stosunku do czołgów oraz przeciwdziałanie moralnym skutkom napadu broni pancernej”⁸, ściśle przestrzegając zapisów najnowszych *Wytycznych walki kawalerii z bronią pancerną*, których współautor to ówczesny szef sztabu Wołyńskiej BK mjr dypl. Wincenty Iwanowski.

Ocena

W kontekście niezmiennych zasad sztuki wojennej pojmowanych w ich taktycznych aspektach przyjęty plan walki spełniał wymagania zasady celowości – wszystkie jego elementy podporządkowane były wyko-

miecka przewaga w powietrzu. W warunkach znacznej przewagi przeciwnika zachowanie zdolności bojowej wojsk okazało się znacznym wyzwaniem, możliwym dzięki postawie dowódców oraz zwartości i wysokiemu morale pododdziałów.

Wołyńska BK 2 września 1939 r. skutecznie opóźniała niemiecką 4 DPanc na linii Białej Okszy w rejonie miejscowości Ostrowy i Łobodno. W rezultacie dopiero 3 września 1939 r. elementy rozpoznawcze 4 DPanc osiągnęły Wartę w okolicy Szczepocic. ■

JULIUSZ S. TYM pułkownik, doktor habilitowany, profesor nadzwyczajny Akademii Sztuki Wojennej, historyk wojskowy. Współautor monografii *Mokra, Działoszyn 1939. Działania wielkich jednostek Grupy Operacyjnej „Piotrków” w pierwszych dniach kampanii 1939 roku.*

¹ Wojskowe Biuro Historyczne, *Materiały z Kampanii Wrześniowej*, sygn. II 1.1, Ogólny rozkaz operacyjny nr 1 inspektora armii gen. dyw. J. Rómmela l.dz. 146/5/III op. z 30 sierpnia 1939 r. ² Wojskowe Biuro Historyczne, *Materiały z Kampanii Wrześniowej*, sygn. II 1.1, Ogólny rozkaz operacyjny nr 1 inspektora armii gen. dyw. J. Rómmela l.dz. 146/5/III op. z 30 sierpnia 1939 r. ³ *Ogólna instrukcja walki*, cz. 1, Warszawa 1931, s. 212; *Ogólna instrukcja walki*, cz. 2, *Działania kawalerii samodzielnej*, Warszawa 1933, s. 31. ⁴ Wojskowe Biuro Historyczne, Kolekcja WIH, sygn. IX 2.3.31, Relacja mjr. Antoniego Kropielnickiego, Bój 12 pułku ułanów Podolskich pod Moką. ⁵ Wojskowe Biuro Historyczne, *Materiały z Kampanii Wrześniowej*, sygn. II 1.3, Meldunek sytuacyjny dowódcy Wołyńskiej Brygady Kawalerii z 1 września 1939 r., godz. 22.00. ⁶ Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego, Relacje z kampanii wrześniowej, sygn. B I 43a, mjr Wilhelm Lewicki, Wołyńska Brygada Kawalerii z września 1941 r. ⁷ Wojskowe Biuro Historyczne, Kolekcja WIH, sygn. IX 2.241 Relacja ppłk. Kazimierza de Rostwo-Suskiego. ⁸ Wojskowe Biuro Historyczne, Departament Kawalerii Ministerstwa Spraw Wojskowych, sygn. I 300.30.97, Wołyńska Brygada Kawalerii L.dz. 711/tjn. Rozkaz Tajny nr 8, Wytyczne wyszkolenia Wołyńskiej Brygady Kawalerii w półroczu letnim 1938 r. Równe, w maju 1938 r.

Przekłete wzgórze



Wzgórze Wietrzni-
ca, o które toczyły
się ciężkie walki
4 września 1939 r.
Fot. Dawid Gólik

Jest to jeden z najmniej znanych epizodów polskiego Września '39: trzy kompanie piechoty okopane na położonym w zakolu Dunajca wzgórzu Wietrznica przez kilkanaście godzin blokowały marsz nieprzyjacielskich dywizji. A nie atakował byle kto, tylko niemiecka 2 Dywizja Górská i słowacka 1 Dywizja Piechoty „Jánošík”.

DAWID GOLIK

Przygotowania do obrony doliny Dunajca przed ewentualną agresją niemiecką rozpoczęły się już w marcu 1939 r., po ogłoszeniu częściowej mobilizacji alarmowej i sformowaniu mającej chronić Polskę od zachodu i południa Armii „Kraków”. To wówczas z Wołunia na Sądecczyznę skierowano batalion odwodowy Korpusu Ochrony Pogranicza „Żytyń”, który swymi szczupłymi siłami miał bronić podejść do ważnego dla Polaków ośrodka mobi-

lizacyjnego: Nowego Sącza. Wsparcie dla niego stanowiłyby zaś placówki Straży Granicznej, a z czasem także sformowany z rezerwistów i przedpoborowych batalion Obrony Narodowej „Limanowa”. Jak zanotował gen. bryg. Wacław Stachiewicz, szef Sztabu Wojska Polskiego, mieszane jednostki Korpusu Ochrony Pogranicza i Obrony Narodowej miały funkcjonować jako „pierwsza straż pożarna, która zamknęłaby kierunki na przełęczach”¹.

Wraz z upływem miesięcy polscy sztabowcy z coraz większym niepokojem spoglądali na granicę południową, skąd przez zajęte tereny Czech i Moraw oraz terytorium zależnego od woli Hitlera państwa słowackiego mogło nastąpić bardzo groźne uderzenie oskrzydłujące główne siły obrońców. W związku z tym zdecydowali, że front Armii „Kraków” należy skrócić, a za jej lewe skrzydło odpowiadać będzie zupełnie nowy związek operacyjny: powstała 11 lipca 1939 r. Armia „Karpaty”. Z uwagi na słabość sił, które można było przeznaczyć do ochrony kilkusetkilometrowego odcinka Karpat (granica ze Słowacją i Węgrami), sztabowcy od początku zakładali, że działania jednostek wchodzących w skład Armii „Karpaty” przyjmą przede wszystkim charakter osłony oraz opóźniający i będą polegać na obronie odcinków ufortyfikowanych oraz stopniowym wycofywaniu się oddziałów przy jednoczesnym dokonywaniu zniszczeń na szlakach komunikacyjnych. W ten sposób planowano zrealizować dwa najważniejsze cele stawiane nowej armii – osłonę Centralnego Okręgu Przemysłowego oraz lewego skrzydła i tyłów Armii „Kraków”, a także dozorowanie kierunków wyprowadzających z Węgier na Małopolskę Wschodnią.

Mimo powstania nowego związku operacyjnego rola batalionu KOP „Żytyń” w zabezpieczaniu karpaccich dolin pozostała niezmienna. Jego dowódca, mjr Włodzimierz Kraszkiewicz, wspominał, że z jego perspektywy najważniejszym zadaniem było stawienie oporu nieprzyjacielowi na drodze do Nowego Sącza i niedopuszczenie do zajęcia miasta do piątego dnia mobilizacji. Aktywna obrona miała być prowadzona od pierwszych chwil wojny na odcinku od Czorsztyna do Muszyny, przy czym kluczowe były dwie doliny przecinających Karpaty rzek – Dunajca i Popradu. To tam umiejscowiono najważniejsze dla obrońców ośrodki oporu, które „miały pozostać i bronić się nawet po wyminięciu”².

Niedokończony rygiel

Mieszane – złożone z oddziałów KOP i ON – zgrupowanie mjr. Kraszkiewicza miało tworzyć pododcinek zachodni 2 Brygady Górskiej Strzelców płk. Aleksandra Stawarza, ta zaś wchodziła w skład Grupy Operacyjnej „Jasło” gen. bryg. Kazimierza Łukoskiego. Siły brygady

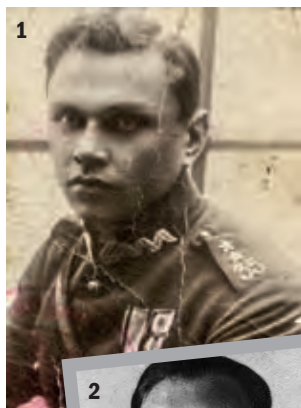
nie były duże – zaledwie siedem batalionów piechoty, symbolicznie wspartych artylerią oraz jednostkami saperскими i Strażą Graniczną. Obronę należało więc umiejętnie rozmieścić, a tam, gdzie było to możliwe, wzmocnić fortyfikacją polową i stałą.

Pierwsze plany ufortyfikowania doliny Dunajca przygotował już mjr Kraszkiewicz podczas zaznajamiania z nowym terenem swoich żołnierzy przybyłych z Wołyń. W czerwcu w Beskidach i na Sądecczyźnie pojawili się także oficerowie wysłani tam przez Sztab Główny Wojska Polskiego w celu dokładnego rozmieszczenia umocnień. Ich przybycie wynikało bezpośrednio z wytycznych marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza, który w instrukcji dla dowódcy Armii „Karpaty” gen. dyw. Kazimierza Fabrycego ujął szczegółowo charakter przyszłych fortyfikacji: „Plan fort[yfikacji] stałej opracować dla odcinka Nowy Sącz – Łupków. Fortyfikację na tym odcinku wyobrażam sobie jako fortyfikację szkieletową, składającą się tylko z ośrodków fort[ecznych] zamykających główne kierunki komunikacyjne. Ośrodki te mają służyć jako oparcie dla sił żywych. Budowę przewiduję, zaczynając od Nowego Sącza w kierunku Łupkowa”³.

Po przeprowadzeniu przez przybyłą z Warszawy ekipę projektową wizji lokalnej i rozmowach z dowódcami przyszłej obrony ustalono w sztabie Armii „Karpaty”, że we wskazanych przez mjr. Kraszkiewicza ośrodkach oporu pod Rytrzem i na Wietrznicy pod Tylmanową powstaną z czasem fortyfikacje stałe, jednak równocześnie przygotowywane będą także lekkie, żelbetowe schrony bojowe. Zgodzono się również, że ośrodki te mają blokować przede wszystkim ruch broni pancernej i artylerii przeciwnika, przy czym chronione mają być przez nie zarówno doliny, jak i stoki nad nimi panujące, co zmusi nieprzyjaciela do uciążliwego obchodzenia umocnień. Planowano też, że staną się one zdolne do obrony ze wszystkich stron, a na każdy ośrodek będą przypadać jeden lub dwa tak zwane

silne punkty, uzupełnione obiektami polowymi. Wstępny projekt taktyczny wszystkich karpaccich fortyfikacji przedstawiono Sztabowi Głównemu 9 sierpnia 1939 r.

Polskie dowództwo zakazało podejmowania przez wojsko jakichkolwiek prac w terenie aż do czerwca 1939 r.,



1



2



3

1. Mjr Włodzimierz Kraszkiewicz.

Zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Hrubieszowie udostępnione Dawidowi Golikowi

2. Por. Jerzy Grudnicki.

Zbiory Jana Grudnickiego udostępnione Dawidowi Golikowi

3. Kpt. Roman Wróblewski.

Zbiory Wojskowego Biura Historycznego

aby nie ujawnić przyszłego ugrupowania obronnego. A kiedy już zostało wydane pozwolenie na budowę – to początkowo prace były obwarowane wieloma obostrzeniami, na przykład ochroną pól rolnych. Decyzję o budowie umocnień na terenach prywatnych i bez względu na zasiewy podjęto dopiero w lipcu 1939 r. Wówczas też rozpoczęto kopanie rowów strzeleckich i przygotowania do budowy obiektów żelbetowych, za powstanie których odpowiadać miały Grupa Fortyfikacyjna nr 2 oraz Kierownictwo Robót nr 20.

Rozpoczęte latem prace nie zostały ukończone. Wykonano wprawdzie dużą część umocnień ziemnych, nie zdążono jednak przygotować nawet lekkich schronów polowych, których w początkowej fazie miało powstać około 20. Na Wietrznicy wykopano jedynie rowy fundamentowe pod przyszłe obiekty (najprawdopodobniej miało tam powstać od 3 do 5 schronów), z kolei w dolinie Popradu, na wzgórzu Połom nad Rytrem, wylano schron do ognia jednostronnego, którego nie zdążono jednak wyposażać, oraz fundamenty dwóch budowli. Na resztę prac nie starczyło czasu, chociaż wstrzymano je dopiero 29 sierpnia.

Niemiecko-słowackie kleszcze

Według założeń prace nad fortyfikacjami karpackimi miały zostać ukończone dopiero w 1940 r., nie ulega jednak wątpliwości, że odpowiednie ich zaplanowanie i wykonanie części umocnień polowych znacznie przyczyniło się do późniejszego powodzenia polskich działań obronnych w dolinie Dunajca. Ugrupowanie

obronne Polaków składało się z położonych nad granicą polsko-słowacką posterunków i czat, pozycji wysuniętej (stanowiska polowe w Ochotnicy Dolnej oraz na wzgórzach na północ od Krościenka nad Dunajcem) i pozycji głównej z ośrodkiem oporu na Wietrznicy. Wprawdzie polskie odwody znajdowały się w Starym Sączu, jednak innych umocnień i fortyfikacji między Tylmanową a oddalonym o blisko 30 km Nowym Sączem już nie było. Przełamanie oporu ośrodka na Wietrznicy otwierało więc nieprzyjacielowi drogę do Nowego Sącza i umożliwiało sforsowanie linii Karpat.

Tym większa odpowiedzialność spoczywała na obrońcach, którymi byli na tym odcinku żołnierze Oddziału Wydzielonego „Roman” dowodzonego przez kpt. Romana Wróblewskiego. W jego składzie znalazły się 3 kompanie batalionu KOP „Żytyń”, 2 kompanie batalionu ON „Limanowa”, dwa plutony ciężkich karabinów maszynowych (7 karabinów), pluton moździerzy (2 moździerze) oraz armata przeciwpancerna i działo pozycyjne. Ponadto siły te uzupełnione były przez Komisariat Straży Granicznej „Krościenko” (wraz z tzw. Plutonom Wzmocnienia), pluton łączności, patrol kolarzy, pionierów i lekarza. O ile było to ugrupowanie odpowiednie do krótkotrwałej obrony przed poruszającymi się główną szosą jednostkami wrogiej piechoty, o tyle nie było ono do końca przygotowane do wstrzymania marszu doborowych oddziałów niemieckiej 2 Dywizji Górskiej złożonej z wychowanych w austriackich Alpach żołnierzy i doskonale przygotowanych do działań w górach, a przy tym odpowiednio wspartych artylerią. Ta dowodzona przez gen. dyw. Valentina Feursteina jednostka liczyła ponad 17 tys. żołnierzy i miała zostać włączona do walki najpóźniej 4 września. Była jednak gotowa już dwa dni wcześniej. Zadanie postawione przed jej oddziałami było jasne – uderzyć wzdłuż doliny Dunajca w kierunku Nowego Sącza, a następnie „jak najszybciej przedrzeć się do Lwowa”⁴.

Niespodziewanie niemieccy strzelcy górscy okazali się niejedynymi przeciwnikami oddziałów kpt. Wróblewskiego. Obok nich w działaniach przeciwko Polsce mieli wziąć udział Słowacy z dowodzonej przez gen. dyw. Antona Pulanicha 1 Dywizji Piechoty „Jánošík”. I choć wchodzące w jej skład poszczególne pułki siłą odpowiadały raczej batalionom piechoty, gdyż nie zdążono w pełni ich zmobilizować, to ich nasycenie bronią maszynową i artylerią znacznie przewyższało wyposażenie strony polskiej.

Wysadzony fragment Baszty Tylmanowskiej na tle Wietrznicy.
Zbiory Dawida Golika



Część oddziałów słowackich miała się znajdować w gotowości bojowej już 1 września o godz. 4.00, zaś o godz. 5.00 dowódcom poszczególnych jednostek wydano dokładne rozkazy dotyczące ich udziału w ataku na Polskę. Stwierdzano w nich: „Od dzisiaj jesteśmy w stanie wrogości z Polską. Słowacka armia będzie walczyć wspólnie z armią niemiecką. Jednostki słowacko-niemieckie nacierają będą w dwóch rzutach; w pierwszym rzucie niemiecki 9. pułk rozpoznawczy, w drugim rzucie słowackie oddziały grupy Pulanich. Cel Nowy Targ – Krościenko”⁵.

Walki pod Krościenkiem

Niemiecko-słowackie natarcie rozpoczęło się 2 września 1939 r. na odcinku bronionym przez siły Oddziału Wydzielonego „Roman”. Pierwszym celem atakujących były Pieniny, gdzie stosunkowo szybko udało się odrzucić polskich obrońców i zająć między innymi Jaworki, Szlachtową, Szczawnicę, a na zachodnim skrzydle także leżący u ich stóp Czorsztyn. Mimo to atakujący ponieśli pierwsze straty, a umiejętnie wykonane zniszczenia na drogach (między innymi w pienińskim przełomie Dunajca) wstrzymały ich natarcie. Także kolejnego dnia ruch oddziałów niemieckich został zatrzymany niemal natychmiast po opuszczeniu przez nich Pienin. Wprawdzie na skutek szturmów kompanii strzelców górskich i szwadronu rozpoznawczego kolarzy zdobyte zostało Krościenko nad Dunajcem (bronione zaledwie przez drużynę KOP), to marsz całej dywizji zatrzymał się kilka kilometrów za tą miejscowością. Niemcy byli zupełnie zaskoczeni, kiedy dopadły ich serie z polskiej pozycji wysuniętej zlokalizowanej na obu brzegach Dunajca. Niemiecki oficer podkreślał: „Przeciwnik jest doskonale wstrzelany w drogę”⁶. Ostrzał objął także samochód, którym szosą z Krościenka w stronę Tylmanowej poruszał się gen. dyw. Feurstein. Wspominał: „Wpadłem w zasadzkę, mój samochód otrzymał kilka trafień, a oficer mojego pocztu został ranny. To była paskudna sytuacja, ale zdołaliśmy się przebić”⁷. Walki pod Krościenkiem zakończyły się o zmroku planowym wycofaniem się Polaków i wysadzeniem kilkunastometrowego odcinka szosy. Późną nocą niemieccy strzelcy górscy zajmowali puste już polskie okopy. Równocześnie Słowacy obchodzili przez cały dzień stanowiska Polaków od zachodu, przez Knurów i Ochotnicę. O pięciokilometrowej kolumnie piechoty słowackiej meldowało w godzinach przedpołudniowych polskie lotnictwo. Sytuacja stawała

się groźna, więc wszystkie siły obrońców skoncentrowano na pozycji głównej.

Nocą z 3 na 4 września poza kompaniami kpt. Wróblewskiego na Wietrznicy znalazła się też wysłana jako wsparcie 2 kompania i pluton ckm z batalionu KOP „Żytyń”. Dowódca plutonu ckm por. Karol Falzman relacjonował: „Okolo godz. 19 przyjeżdżamy na miejsce i przy pomocy chłopów ładujemy się z całym ciężarem pod górę. Na przedpolu cisza, żadnego strzału. Na wzgórzu zastaję por. [Jerzego] Grudnickiego i por. [Januarego] Wigurę. Wojsko odpoczywa my zaś w trójkę obchodzimy pozycję, która właściwie jeszcze zupełnie nie istnieje. Zaczynamy od trasowania a potem kopanie poszczególnych stanowisk. Strzelcy przynaglani spieszą się. Tak zastaję nas świt”⁸. Część okopów była gotowa, ale te zająć mieli w pierwszej kolejności żołnierze wycofani spod Krościenka. Z kolei stanowiska na skrzydłach pozycji trzeba było dopiero budować, a do jednego z wykopów pod schron wciągnięto pamiętającą jeszcze czasy zaborów rosyjską armatę. Gdy niemieckie szpice zbliżały się do Wietrznicy, wysadzono też wiszącą nad drogą skałę, tzw. Basztę Tylmanowską, która zatarasowała szosę. Niemieckiego i słowackiego ataku obrońcy spodziewać się mogli w każdej chwili.

Zaczęło się piekło

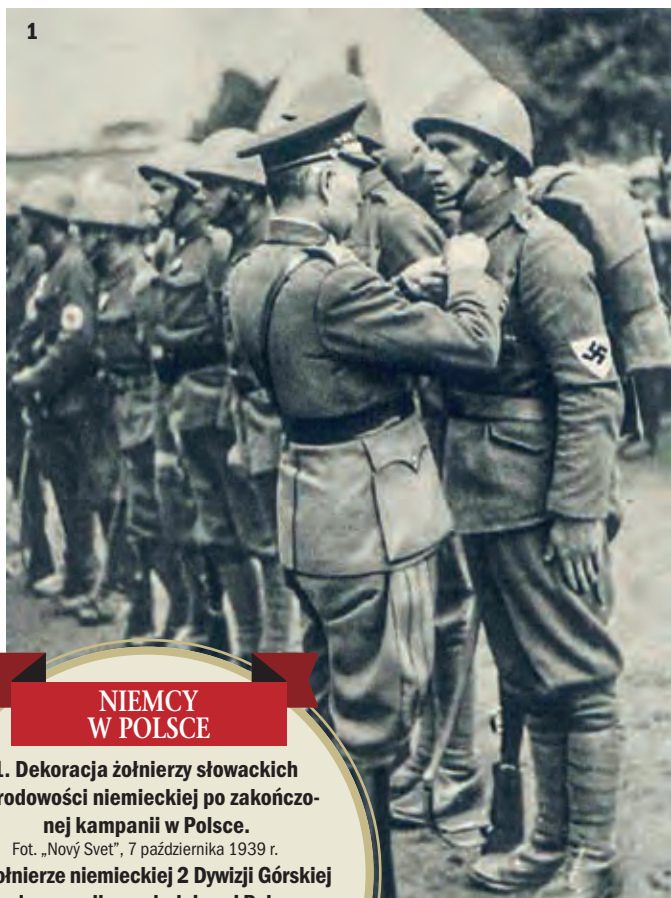
Doświadczeni wydarzeniami pod Krościenkiem podkomendni gen. dyw. Feursteina – zanim przystąpili do szturmów polskich pozycji – zdecydowali się najpierw osłabić przeciwnika ostrzałem baterii armat górskich i ciężkich haubic. Po czym miał nastąpić błyskawiczny atak, który jeszcze tego samego dnia doprowadzić miał do wyjścia Niemców na przedpola Nowego Sącza. Szybko ogniem artylerii rozbita została przez Niemców jedyna polska armata, a niebawem wśród obrońców – zwłaszcza słabo okopanych – pojawiły się oznaki paniki. Dostrzegł to por. Falzman: „Pociski zaczynają padać coraz gęściej i celniej. [...] U strzelców widać wahanie i chęć wycofania się. Zaczyna się piekło. Kilku mam rannych. Jeden celowniczy zabity. Strzelcy w tym ogniu zaczynają się pojedynczyć, potem całymi grupami wycofywać na przeciwstok, co powoduje dalsze straty. [...] Wyciąganie [...] strzelców z przeciwstoku na stanowiska napotyka na duże trudności, dopiero groźba użycia broni zmusza ich do zajęcia stanowisk”⁹. Ku zaskoczeniu Niemców Polacy zaraz po ostrzale wracali jednak na swoje pozycje, skutecznie strzelały też polskie ckm-y. Atak na prawym brzegu Dunajca

przeprowadzony przez 7 kompanię 137 Pułku Strzelców Górskich załamała się pod kulami obrońców, bez powodzenia nacierała też wzdłuż szosy 8 kompania 137 Pułku wspierana przez niemieckich saperów usiłujących zlikwidować zawał blokujący drogę.

Równolegle z Niemcami próbowali na lewym skrzydle atakować żołnierze słowaccy. Natarcie I batalionu 1 Pułku Piechoty prowadzone wzdłuż szosy ochotnickiej spotkało się jednak z takim odporem obrońców, że doprowadziło do rozproszenia tej jednostki. Dopiero podciągnięcie bliżej artylerii i próba obejścia przez Słowaków polskich stanowisk od północnego zachodu pozwoliła na skuteczne nawiązanie walki z okopanymi żołnierzami KOP. Generał dywizji Pulanich musiał jednak rzucić do walki aż dwa bataliony żołnierzy, których wspierali na tym odcinku Niemcy ze 136 Pułku Strzelców Górskich. Mimo bohaterskiej postawy i przeprowadzonych w kilku

miejscach kontrataków, położenie obrońców stawało się z każdą godziną coraz poważniejsze. Dowódca 3 kompanii batalionu KOP „Żytyń” por. Tadeusz Piotrowski tak zapamiętał sytuację panującą na Wietrznicy: „Idę krzakami – na odcinku 2. kompanii znać walkę. Leżą części wyposażenia żołnierskiego, krew, karabiny. Biegnę trzymając się kabla. Jest telefon 2. kompanii. Strzelcy mówią abym się chował – n[ie]p[rzyjacie]l z tyłu. Łączność z d[owód]cą baonu nawiązana. Jeszcze siedzi, rozkazu do wycofania nie ma”¹⁰. Kiedy po południu obrońcy zorientowali się, że ich tyły penetrują już Słowacy, kpt. Wróblewski zdecydował o wycofaniu całego ośrodka w stronę Starego Sącza. Odejście miało nastąpić o zmroku w styczności z atakującymi wzgórze świeżymi kompaniami niemieckiego 137 Pułku Strzelców Górskich.

Jako pierwszy wycofał się dowódca ośrodka i żołnierze ON, którzy jednak w rejonie Zabrzeży



NIEMCY W POLSCE

1. Dekoracja żołnierzy słowackich narodowości niemieckiej po zakończonej kampanii w Polsce.

Fot. „Nový Svet”, 7 października 1939 r.

2. Żołnierze niemieckiej 2 Dywizji Górskiej podczas walk w południowej Polsce we wrześniu 1939 r. Zbiory Dawida Golika

3. Niemieccy artylerzyści podczas odpoczynku nad Dunajcem między Krościenkiem a Tylmanową.

Zbiory Dawida Golika



musieli się przebić przez znajdujące się już w tej miejscowości oddziały słowackie. Jako druga, także walcząca ze Słowakami, Wietrznicę opuszczała 2 kompania KOP por. Grudnickiego. Towarzyszący jej por. Falzman zapisał: „Nie czekając zmroku zaczynamy się wycofywać. [...] Artyleria tymczasem bije po naszych dawnych stanowiskach. Strzelcy idą za nami trzymając się każdy swego oficera. Musimy ich czasem powstrzymywać tak rwą naprzód, byle dalej od tego przeklętego wzgórza”¹¹. Ostatni opuścili stanowiska podkomendni por. Piotrowskiego, którzy podobnie jak żołnierze 2 kompanii musieli pod ostrzałem pokonywać w bród Dunajec i całą noc górami maszerowali do Starego Sącza, gdzie znajdowało się stanowisko dowodzenia pododdziału. Nad ranem 5 września dotarło tam około połowy obrońców Wietrznicy.

Obrona na Virtuti Militari

Nocą z 4 na 5 września Niemcy zdobyli ostatni brzość im dostępu do Nowego Sącza rygiel. Poza poległymi żołnierzami stracili jeszcze coś bardzo ważnego: niezwykle cenny dla nich czas. Co więcej, nawet bez przygotowanych wcześniej umocnień Polacy byli w stanie opóźnić ich marsz także w kolejnym dniu, dzięki czemu Nowy Sącz – już opróżniony z polskich oddziałów i rezerwistów – wpadł w ręce Niemców dopiero nad ranem 6 września.

Już wieczorem 4 września 1939 r. podczas odprawy w sztabie Grupy Operacyjnej „Jasło” mjr Kraszkiewicz zwrócił się do gen. bryg. Łukoskiego o nadanie kpt. Romanowi Wróblewskiemu Orderu Virtuti Militari. Na polu walki kapitana nie zdołano już odznaczyć, ale do sprawy wrócono po zakończeniu wojny, gdy dawni oficerowie znaleźli się na Zachodzie. Wówczas mjr Kraszkiewicz ponownie wystąpił z formalnym wnioskiem, motywując go następująco: „W dniu 4. IX. dowodząc baonem bronił ośrodka oporu Wietrznica (kilka klm. pld. Łącko) zamykającego jedyną linię komunikacyjną na N[owy] Sącz lub Limanową. W ciężkiej walce tej p-ko wielkiej jednostce niem[ieckiej] i Słowakom pod ogniem licznej art[ylerii] lekkiej i ciężkiej pozycję utrzymał odpierając Niemców częściowo ogniem, częściowo przeciwnatarciami. W nocy na rozkaz będąc całkowicie i bezpośrednio otoczony, szturmem otworzył sobie drogę wyprowadzając oddział z pierścienia i wynosząc z ośrodka całą broń ciężką baonu. Całą tą uporczywą walką, w której trzymał na sobie niemiecką dywizję lekką i siły słowackie, umożliwił wykonanie mojego zadania, to jest utrzymania N[owego] Sącza do dnia 5.IX.39 r.”¹² Wniosek ten polskie władze wojskowe rozpatrzyły pozytywnie i kpt. Romana Wróblewskiego odznaczono Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari 5 kl.



DAWID GOLIK doktor nauk humanistycznych, historyk, politolog, pracownik Oddziału IPN w Krakowie, gdzie zajmuje się poszukiwaniami i identyfikacją ofiar zbrodni totalitarnych. Specjalizuje się w historii polskiego podziemia niepodległościowego w latach 1939–1956. Autor m.in. monografii *Partyzanci „Lamparta”. Historia IV batalionu 1. pułku strzelców podhalańskich AK oraz Wrzesień 1939 w dolinie Dunajca. Bój graniczny i walki nad górnym Dunajcem między 1 a 6 września 1939 roku*.

¹ R. Rybka, K. Stepan, *Najlepsza broń. Plan mobilizacyjny „W” i jego ewolucja*, Warszawa 2010, s. CXXIII. ² Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, B.I.61.d., 2. Brygada Górska – batalion KOP „Żytyń”, W. Kraszkiewicz, *Sprawozdanie z kampanii wrześniowej*, rkps, b.m., 10 XII 1945 r., b.p. ³ Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, A.II.6.7., Akta Sztabu Głównego z czerwca 1939 r. – Armia „Karpaty”, Instrukcja dla Inspektora Armii gen. dyw. Fabrycego. Załącznik Nr 1. Prace do wykonania, mps, b.m.d., s. 1. ⁴ V. Feurstein, *Irrwege der Pflicht 1938–1945*, München–Wels 1963, s. 46. ⁵ *Proti Polsku. Odráž žaženia roku 1939 v denníkoč a kronikách slovenskej armády*, red. M. Lacko, Bratislava 2007, s. 30 (zał. 68a). ⁶ Bundesarchiv-Militärarchiv Freiburg im Breisgau, RH 53-18/17, Wehrkreiskommando XVIII (Salzburg), Abteilung Wehrmachtpropaganda, Polenfeldzug, Erlebnisberichte Polenfeldzug, Bd. 6. 1939, [K. Giese], „Spähtrupp Lt. Giese am 3.9.39”, b.p. ⁷ V. Feurstein, *Irrwege...*, s. 46. ⁸ Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, B.I.61.d., 2. Brygada Górska – batalion KOP „Żytyń”, K. Falzman, *Wrażenia osobiste...*, b.p. ⁹ Tamże. ¹⁰ Tamże. ¹¹ Tamże. ¹² Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, Sztab Naczelny Wodza i Ministerstwo Spraw Wojskowych/Ministerstwo Obrony Narodowej 1939–1948, A. I.85/165/91, Wniosek o nadanie Orderu „Virtuti Militari” klasy 5-tej, b.m., 17 III 1946 r., b.p.

NIERÓWNA

Kilkanaście dni zaciętych bojów z Luftwaffe znacząco osłabiło polskie lotnictwo wojskowe. Właśnie wówczas ze wschodu spadło na II Rzeczpospolitą drugie uderzenie.

MARIUSZ NIESTRAWSKI

Fronty Białoruski i Ukraiński skierowały do ataku na Polskę 1080 bombowców, 1385 myśliwców i 247 samolotów rozpoznawczych. Do tego należy doliczyć lotnictwo podległe bezpośrednio Naczelnemu Dowództwu – głównie ciężkie bombowce TB-3, a także należące do NKWD samoloty specjalnego przeznaczenia.

Pierwsze cele

Już pierwszym wkraczającym na terytorium II RP czerwonoarmistom asystowały patrole myśliwskie i samoloty rozpoznawcze. Te rekonesansowe oddziały Armii Czerwonej niekiedy ostrzeliwały polskich żołnierzy z karabinów maszynowych bądź zrzucały na nich niewielkie bomby. Wrogie samoloty rozrzucaly też przeznaczone dla szeregowych żołnierzy ulotki, które zawierały hasło „Bijcie oficerów!”.

Poza rozpoznaniem od sowieckiego lotnictwa oczekiwano ochrony przed atakami polskich samolotów nad Zbruczem, a także podczas forsowania Seretu, Strypy i Dniestru. W drugiej kolejności zobowiązywano je do niszczenia siły żywej, środków technicznych i polskiego lotnictwa, a także odcinania dróg komunikacyjnych na polskich tyłach. Siedemnasty września był jedynym dniem,

gdy doszło do masowego użycia sowieckich bombowców. Ładunki wybuchowe spadły między innymi na Nową Wilejkę, Grodno, a także na batalion Korpusu Ochrony Pogranicza „Osowiec”.

Nieprzyjacielskie bombowce zaatakowały też Sarny, celnie trafiając stojący na stacji kolejowej pociąg z amunicją. Atakowany w tym samym czasie pociąg pancerny zgłosił zestrzelenie wrogiego samolotu. Bombowce nadleciały także nad Niemowicze, ale tam silny ogień przeciwlotniczych karabinów maszynowych uniemożliwił im skuteczny atak. Na południowym odcinku frontu bomby spadały pod Tarnopolem, na Stanisławów oraz na lotniska: Równe, Łuck, Młynów i Czortków. Bombowce agresora zniszczyły ponadto pociąg pod Iwanowcami.

11 i 2 Pułk Lekkich Bombowców rzuciły po kilkadziesiąt bomb na stacje kolejowe Hłuboczek Wielki, Krasne, Borki Wielkie i Chodacków Mały, pojedyncze trafienia odnotowano w Krasnem i Chodackowie. Cele wzdłuż linii kolejowych zostały zaatakowane.

Jedyny zachowany polski myśliwiec PZL P-11c znajduje się w Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie. Fot. archiwum Muzeum Lotnictwa w Krakowie



WALKA

wane również przez 10 i 55 Brygadę Szybkich Bombowców. Uszkodzeniu uległy stacje kolejowe w Brodach, Złoczowie, Krasnem, Krzemieńcu i Tyśmienicy, najbardziej zaś ucierpiały te w Kiwercach i Kołomyi. Lotnictwo Frontu Ukraińskiego omyłkowo zbombardowało też zajęłą przez własne wojska Frydrychówkę.

Myśliwce zaangażowano zarówno do akcji rozpoznawczych, jak i szturmowych. Były one obecne w rejonie Postaw, Jeziora Narocz, Duniłowicz, Głębokiego, Płoskirowa, Tarnopola, Kołomyi, Kamieńca Podolskiego, Zbrzyzia, Satanowa, Czortkowa, Nowogrodu Wołyńskiego, Równego, Brodów i Krzemieńca. Sześć myśliwców I-16 wykryło lądowisko XV Dywizjonu Bombowego pod Buczaczem. Po południu pojawiło się tam dziewięć nieprzyjacielskich maszyn, które niecelnie zrzuciły bomby.

Polskie lotnictwo 17 września

W dniu agresji sowieckiej Brygada Pościgowa i Brygada Bombowa – rdzeń polskiego lotnictwa – były zgrupowane w południowo-wschodniej Polsce. W skład bazującej w Buczaczu Brygady Pościgowej wchodziły dywizjony „Warszawski” i „Krakowski”, a także Eskadra Rozpoznawcza. Ta ostatnia miała do dyspozycji 8 przestarzałych myśliwców P.7, w Dywizjonie „Warszawskim” były natomiast 22, a w Dywizjonie „Krakowskim” – 24 myśliwce P.11. Brygada Bombowa dysponowała 21 bombowcami PZL.37 Łoś, które rozmieszczono na lotniskach w Buczaczu i Gwoźdźcu Starym. Liczby te mogłyby sugerować, że polskie lotnictwo stanowiło ciągle pewną siłę. Paraliżował je jednak niedobór paliwa i amunicji.

Na wieść o marszu Armii Czerwonej w stronę Buczacza sztab Brygady Pościgowej wysłał ppor. pil. Stanisława Zatorskiego i ppor. pil. Włodzimierza Miksę na rozpoznanie. Pierwszy z nich już nie wrócił. Nad Rokitnem zrzucił meldunek ciężarkowy batalionowi KOP, po czym został przechwycony przez trzy wrogie myśliwce. Zatorski uszkodził i zmusił do odwrotu dwa dwupłatowe samoloty, ale – pozostały na placu boju – I-16 trafił polską „Jedenastkę”. Zatorski rozbił się na przedmieściach Sarn; zmarł później w wyniku odniesionych ran. Miksa przywiózł natomiast meldunek o przerastających najgorsze obawy postępach Armii Czerwonej. Wkrótce jego raport potwierdziła kolejna dwójka pilotów Brygady Pościgowej.

Jeszcze przed południem Armia Czerwona straciła w rejonie Stanisławowa szturmowego Polikarpowa R-5Sz z 51 Brygady Lotnictwa Szturmowego. Na macierzyste lotnisko nie wrócił też bombowiec SB. R-5Sz

i SB najpewniej zestrzelono po ataku lotniczym na stację kolejową Tarnawica Leśna. Uderzenie nie wyrządziło większych strat, za to trzy maszyny zostały przechwycone przez dwa myśliwce z białoczerwonymi szachownicami. W polskich relacjach jest mowa o zestrzeleniu dwóch, trzech, a nawet sześciu agresorów, wzięciu do niewoli pilota i zabiciu obserwatora w powietrzu. Jedno zwycięstwo przypisuje się ppor. pil. Tadeuszowi Kowaleckiemu. Wszystko wskazuje na to, że autorem drugiego był ppor. pil. Zdzisław Zazdroziński. Obaj piloci zasiadali za sterami PZL P.11.

Wbrew często powtarzanej w historiografii opinii – swego drugiego zestrzelenia w wojnie nie miał ppor. pil. Tadeusz Koc. Po ewakuacji do Francji przyznawał się on wprawdzie do zwycięstwa, ale rzeczywisty przebieg wydarzeń przedstawił dopiero w wydanych wiele lat po II wojnie światowej wspomnieniach. W rozdziale *Spotkanie z sowieckim niedołęgą* wspominał, że napotkał wrogi dwupłatowiec, miał pozycję korzystną do ataku, ale nie strzelał, tylko obleciał dwukrotnie przeciwnika.

W pasie natarcia Frontu Białoruskiego został zaatakowany samotny bombowiec SB. Wszystko wskazuje jednak na to, że ostrzelał go inny samolot sowiecki.

Oslabione polskie lotnictwo skupiało się na łączności i rozpoznaniu. Rankiem ppor. pil. Włodzimierz Kławe z Dywizjonu „Warszawskiego” odleciał z rozkazem marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza dla gen. bryg. Franciszka Kleeberga. W Pińsku dowiedział się o agresji ze wschodu. W drodze powrotnej rozpoznał rejon przygraniczny i ostrzelał nieprzyjacielskie ciężarówki. Przed południem

ppor. pil. Władysław Gnyś z III/2 Dywizjonu Myśliwskiego rozpoznał obszar Czortkowa i złożył meldunek o obecności w powietrzu wielu wrogich samolotów. Podporucznik Gnyś powrócił na macierzyste lotnisko. Mniej szczęścia mieli ppor. pil. Gerard Ranozek i por. obs. Feliks Sobierski. W trakcie poszukiwania sztabu Naczelnego Wodza ich maszynę LWS-3 Mewa nieprzyjaciel celnie trafił z ziemi. Polska załoga awaryjnie lądowała pod Horodenką. Samolot został rozbity, ale lotnicy nie ucierpieli.

Straty w tym dniu poniósł też X Dywizjon Bombowy. Podporucznik pil. Władysław Kramarz i ppor. rez. pil. Wiktor Pełka na RWD-8

szukali dla swego dywizjonu terenu nadającego się na lotnisko. Po wylądowaniu i wyjściu z kabiny ppor. Kramarz został wzięty do niewoli. Podporucznik Pełka zdołał odlecieć. Kramarza natomiast wiosną 1940 r. NKWD zamordowało w Katyniu.

Polskie lotnictwo straciło też kilka nowoczesnych PZL.37 Łoś. W rejonie Równego celnie z ziemi została ostrzelana maszyna z ppor. pil. Michałem Sobańskim, ppor. obs. Józefem Długoszem, kpr. mech. Józefem Matusiakiem i st. szer. Józefem Kołodziejem. Samolot wylądował awaryjnie w rejonie Jam-pola. Oficerów Rosjanie później zamordowali, Kołodziej został zwolniony. Los Matusiaka pozostaje niezany. Zestrzelenie nie ominęło też załogi kpr. pil. Leona Mukowoza lecącej z Żabczyc w kierunku Czortkowa. Samolot został celnie ostrzelany z ziemi i piloci musieli lądować pod Beresteczkiem. Następne dwa Łosie uciekły przed czerwoarmistami z lotniska w Czortkowie. Aż tyle szczęścia nie miała kolejna maszyna tego typu, którą trafiły pociski z czołgowych dział.

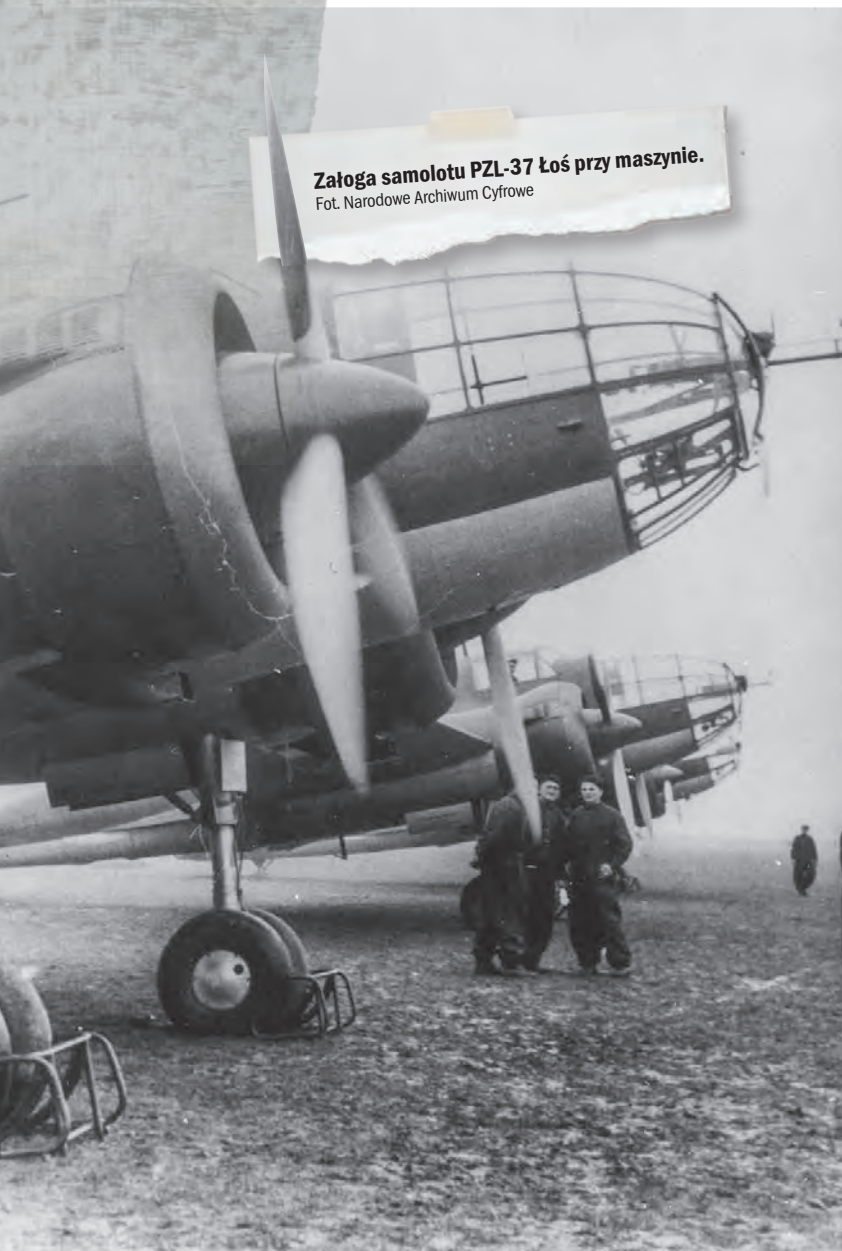
Po południu kpr. pil. Stanisław Laskowski i por. obs. Antoni Barański na RWD-14 Czapla wylecieli z południowo-wschodniej Polski na północ. Załoga miała dotrzeć do gen. Franciszka Kleeberga w Pińsku i do Bazy Lotniczej nr 5 w Lidzie. Sowiecka artyleria przeciwlotnicza trafiła silnik samolotu. Lotnicy wylądowali awaryjnie, spalili Czaplę i wrócili do macierzystej jednostki.

Tego samego dnia RWD-8 z kpr. pil. Józefem Talagą i por. obs. Stanisławem Królem został przez nieprzyjaciela zaatakowany i zmuszony do lądowania. Polscy lotnicy spalili samolot i przedarli się do Rumunii. Niejasne z kolei są okoliczności, w których Wojsko Polskie utraciło RWD-13S z kpr. pil. Janem Daczką za sterami oraz Lublina R.XIIF pilotowanego przez kpr. pchor. rez. Kazimierza Leskiego.

Ewakuacja

W obawie przed przejęciem całego polskiego lotnictwa przez Armię Czerwoną około godz. 16.00 naczelny dowódca lotnictwa gen. bryg. Józef Zając wydał rozkaz odlotu z przedmościa rumuńskiego na lotnisko Czerniowce w Rumunii; maszynom bazującym na Wileńszczyźnie polecono zaś przelecieć na Łotwę. Do Rumunii odleciało ponad 40 myśliwców P.7 i P.11 oraz po mniej więcej 20 bombowców PZL.37 Łoś, rozpoznawczych

Załoga samolotu PZL-37 Łoś przy maszynie.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe





Pokaz oddziałów łączności podczas rewii wojskowej na Polu Mokotowskim. Samolot wojskowy Lublin R.XIII zabrał meldunek przyczepiony na rozpiętych drutach.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

PZL.23 Karaś i obserwacyjnych RWD-14 Czapla oraz Lublin R.XIII. Łącznie w Rumunii wylądowało około 300 polskich maszyn cywilnych i wojskowych.

Nietypowo potoczyły się losy ppor. pil. Aleksandra Wróblewskiego, który oburzony na ewakuację rządu do Rumunii zdecydował się lecieć nie tam, gdzie rozkazano, lecz do Związku Sowieckiego. Wróblewski rozbił się jednak w rejonie Kamieńca Podolskiego. Funkcjonariusze NKWD nie dawali wiary jego wersji, sugerując, że zabłądził i celowo zniszczył myśliwiec. Wkrótce pilo-

Leszek Kamiński i por. obs. Jerzy Zbroja. Trafiony przez Sowieków celnie z ziemi samolot wylądował przymusowo pod Zbarażem. Lotników agresorzy wzięli do niewoli. Zbroja opuścił Związek Sowiecki z 2 Korpusem Polskim, a Kamiński dzięki zmyślonej historii zyskał zwolnienie z obozu jenieckiego.

Po południu załogi grupy sowieckich maszyn wykryły polskie lotnisko Karolin koło Grodna. Wieczorem nastąpił atak bombowców. Polacy ponieśli straty w ludziach. Spłonął też hangar z szybowcami. Kolejnego dnia agre-

W RUMUNII WYLĄDOWAŁO OKOŁO 300 POLSKICH MASZYN CYWILNYCH I WOJSKOWYCH. NA ŁOTWĘ DOTARŁO 80 SAMOŁOTÓW. NIELICZNE ZNALAZŁY SIĘ W ESTONII, NA LITWIE I WĘGRZECH.

towi udało się uciec i przedostać do Francji.

Rozkaz o przelocie z Wileńszczyzny na Łotwę został wykonany 18 września. Na terenie najprzychylniej względem II RP ustosunkowanego państwa bałtyckiego wylądowało ponad 80 samolotów. Dominowały aeroklubowe RWD i szkolne PWS. Nieliczne polskie maszyny dotarły również do Estonii i Litwy, a także na Węgry.

Działania lotnictwa od 18 września

Począwszy od drugiego dnia agresji, lotnictwo Armii Czerwonej coraz bardziej ograniczało liczbę bombardowań. Na nieliczne polskie samoloty nadal czyhały jednak myśliwce i obrona przeciwlotnicza. Polacy 18 września stracili bombowiec PZL.37, którym lecieli ppor. pil.

sorzy powtórzyli atak. Tym razem kilkanaście myśliwskich I-16 ostrzelało z broni maszynowej stanowiska artylerii przeciwlotniczej. Milczące dotąd działa odpowiedziały ogniem. W polskich relacjach wspomniano o zestrzeleniu trzech intruzów. Tego samego dnia, czyli 19 września, lotnictwo Frontu Białoruskiego wykonało loty rozpoznawcze i rozrzuciło ulotki w rejonie Wilna, Lidy, Wołkowyska, Baranowiczów i Grodna.

Nieprzyjacielski 43 Pułk Lekkich Bombowców wystąpił 19 września 20 Polikarpowów R-Z do zniszczenia linii kolejowej Dukszy – Ignalino. Samoloty te zrzuciły 160 bomb, które w sześciu miejscach przerwały tory.

We wrześniu, 19 lub 20, miała miejsce jedna z najbardziej niezwykłych akcji sowieckiego lotnictwa. Sztab ►

12 Armii skierował do Stanisławowa samolot U-2, czyli popularnego „Kukuruźnika”, którego dwuosobowa załoga z pomocą innej grupy dywersyjnej miała uwolnić z tamtejszego więzienia komunistów. Szaleńczo wyglądający plan udało się Sowietom zrealizować.

Polskich lotników spotykały natomiast głównie gorzkie chwile. Podporucznik pil. Alfred Grodzki 19 września starał się uciec samolotem PWS-26 z opanowanych przez Rosjan terenów. Na południe od Czortkowa jego maszynę zestrzeliła nieprzyjacielska artyleria przeciwlotnicza. Pilot zbiegł z niewoli.

Natomiast jedna z głośniejszych akcji lotników spod znaku czerwonej gwiazdy miała miejsce 20 września, gdy w rejonie Łunińca zaatakowali oni pociąg pancerny „Głowiński”.

I-16 przywitał ogień karabinów maszynowych. Żaden z samolotów nie powrócił już na macierzyste lotnisko. Polska artyleria przeciwlotnicza ostrzelała też powietrznego intruza nad Grodnem. Lotnictwo szturmowe atakowało jednostki KOP w pobliżu Borowiczów, Kołków i Gródka. Potężne uderzenie lotnicze spadło na Batalion KOP „Sienkiewicz”. Stracił on połowę kolumny taborowej. Pod Lwowem polska obrona przeciwlotnicza trafiła samolot łącznikowy. W rejonie Kowla 40 maszyn 51 Brygady Lotnictwa Szturmowego zaatakowało pociąg pancerny „Pierwszy Marszałek”. Bomby zniszczyły jeden z wagonów artyleryjskich. W położeniu bez wyjścia dowódca zdecydował o wysadzeniu pociągu. Wcześniej załoga miała zestrzelić dwa samoloty, a kolejne dwa uszkodzić. Lotnictwo

Samoloty PZL-37 Łoś na lotnisku.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Zginęło kilku polskich żołnierzy. Strona polska meldowała zestrzelenie dwóch wrogich maszyn. Dwie dalsze uszkodził ogień karabinów maszynowych w rejonie Grodna. Straty zwiększali strzelający do wszystkich pojawiających się samolotów czerwonoarmiści. W ten sposób zginął pilot maszyny łącznikowej V Korpusu Kawalerii. Zdarzały się też pomyłki lotników. Załoga R-5 rzuconymi bombami uszkodziła jeden z czołgów XXXII Brygady Pancernej.

W dniach 21–22 września nieprzyjacielskie lotnictwo wzięło udział w boju pod Antopolem i Włodawą. Celami były tam jednostki KOP i Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”. Cztery

Armii Czerwonej ponosiło też straty niebojowe – we mgle rozbił się łącznikowy U-2.

Pewnym sukcesem polskiego lotnictwa była ewakuacja sześciu RWD-8 z 1 plutonu por. obs. Zbigniewa Osuchowskiego pod nosem Rosjan z Kamionki Strumiłowej do Rumunii. Mimo wykrycia przez wroga samoloty przygotowań do odlotu, zajęcia lotniska przez czołgi w chwili startu i czterech ostrzałów z ziemi po drodze – wszystkie załogi przedostały się do Rumunii. Za sterami jednego z „Erwudziaków” siedział czeski pilot, późniejszy legendarny lotnik 303 Dywizjonu Myśliwskiego – plut. Josef František.

Dzień później dziewięć myśliwców agresora atakowało Zgrupowanie Drohiczyn Poleski, zabijając i raniąc kilku żołnierzy oraz kilkadziesiąt koni. Innym celem były maszerujące oddziały marynarzy Floty Pińskiej. W miejscowości Nujno sowieckie lotnictwo doprowadziło do znacznych strat w polskich taborach. Atakowani żołnierze zameldowali zaś zestrzelenie samolotu.

Nadal pojawiały się samoloty z biało-czerwonymi szachownicami, choć ich głównym celem było wydostanie się spośród żelaznych uścisków Wehrmachtu i Armii Czerwonej. Kapral pil. Stanisław Rochmański i kpt. obs.

łudniowy nalot odpędził ogień karabinów maszynowych. Dwa wrogie samoloty (R-5 oraz U-2) zostały niegroźnie trafione z ziemi.

W czasie dwóch ostatnich dni września i dwóch pierwszych dni października sowieckie lotnictwo prowadziło ataki i intensywnie rozpoznawało trasy marszu Dywizji „Kobryń”. W wyniku jednego z nalotów kilku żołnierzy dywizji poniosło śmierć, a kilkunastu zostało rannych, było także kilka zabitych koni taborowych. Podoficer z polskiej 13 Eskadry Szkolnej zgłosił zestrzelenie I-16 z karabinu maszynowego zamontowanego na ciężarówce.

ZA STERAMI JEDNEGO Z „ERWUDZIAKÓW” SIEDZIAŁ CZESKI PILOT, PÓŹNIEJSZY LEGENDARNY LOTNIK 303 DYWIZJONU MYŚLIWSKIEGO – PLUT. JOSEF FRANTIŠEK.

Franciszek Rybicki 24 września podjął zuchwałą próbę przedarcia się jednomiejscowym myśliwcem P.7a z Warszawy do Rumunii. Z samolotu wymontowano część wyposażenia, a lotnicy bez spadochronów usiedli plecami do siebie. W rejonie Horodenki „Puławszczak” został zestrzelony. Lotników Rosjanie wzięli do niewoli, którą opuścili z gen. dyw. Władysławem Andersem.

Też 24 września bombowce Związku Sowieckiego zaatakowały jednostkę KOP pod Radoszinem. Zmasowany nalot w rejonie Łunińca rozproszył batalion polskiej piechoty. Bomby i pociski spadły także na jednostki Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” koło Kobrynia oraz na Zgrupowanie Drohiczyn Poleski – w Datyniu, Dubecznie i Krymnie. Silny atak lotniczy zdziesiątkował maszerujące w pobliżu Gródka, Derewka i Pniewa: 135 Pułk Piechoty, siły KOP oraz stołeczny batalion Przysposobienia Wojskowego. Pod Gródkiem i Pniewem nieprzyjaciół stracił dwa dwupłatowce.

Pierwszego zestrzeliła obsługa działa przeciwpancernego 37 mm, a drugiego trafił strzelec karabinu maszynowego. Ponadto kilka samolotów zostało uszkodzonych.

Bombardowań nie wykonywały czterosilnikowe TB-3. W dniach 20–24 września zaangażowano je do transportu paliwa dla jednostek pancernych i żywności dla sztabów.

Po 24 września działania lotnictwa Armii Czerwonej znów straciły na sile. Co najwyżej samoloty rozpoznawcze za pomocą małych bomb atakowały maszerujące polskie oddziały. Poza tym rozrzucaly one ulotki i prowadziły rekonesans.

Sowieckie lotnictwo 28 września wspierało własną 52 Dywizję Strzelecką, która zmagala się z siłami Korpusu Ochrony Pogranicza. Rankiem polskie pozycje zostały rozpoznane przez U-2, natomiast po południu rozpoczęły się ataki z użyciem bomb i broni pokładowej. O ile samoloty rozpoznawcze latały bezkarnie, to popo-

Samoloty myśliwskie uderzyły też na Brygadę Kawalerii „Plis”, natomiast grupa 20 bombowców zaatakowała jednostki SGO „Polesie” pod Miłkowem i Siemieniem. Straty okazały się nieznaczne. Sowieckie samoloty wstrzeliwały też ogień własnej artylerii i obrzucały polskie oddziały niewielkimi bombami. Jednym z ich najważniejszych zadań było zniszczenie polskich sił w rejonie Włodawy i Parczewa. Lotnictwo XXIII Korpusu Strzeleckiego zrzuciło 38 bomb na mosty w drugiej z tych miejscowości. Ładunki wybuchowe padały też na drogę Pieszowola – Sosnowica, na zachód od Włodawy oraz pod Wytcznem. Ostatnie sowieckie meldunki z rozpoznania lotniczego spłynęły 7 października.

Nie tylko jednak Rosjanie korzystali ze wsparcia samolotów w czasie ostatnich dni kampanii. Improwizowana, działająca przy SGO „Polesie”, 13 Eskadra Szkolna por. pil. Edmunda Piorunkiewicza wykonywała jeszcze loty, rozpoznając zarówno pozycje niemieckie, jak i sowieckie. Między innymi 30 września wykryła koncentrację Armii Czerwonej w rejonie Rudno – Bezwoła – Milanów i ruch na drogach Wisznice – Radzyń Podlaski. Co najmniej dwukrotnie samoloty Piorunkiewicza stawały się celami dla wrogich myśliwców. Kończyło się na szczęście tylko na uszkodzeniach.

Wojskowe Siły Powietrzne Związku Sowieckiego zwycięsko kończyły walkę przeciw polskiemu lotnictwu. Wbrew jednak powtarzanej przez dziesięciolecia opinii, nie wychodziły z tej konfrontacji bez strat. W czasie kampanii 1939 r. życie straciło co najmniej 11 sowieckich lotników, a zniszczonych zostało 15–25 samolotów z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach. ■

MARIUSZ NIESTRAWSKI absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Doktor nauk humanistycznych w dziedzinie historii. W latach 2010–2014 pracownik Wielkopolskiego Muzeum Walk Niepodległościowych w Poznaniu. Od 2015 r. w Muzeum Narodowym Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego w Szreniawie.

**Monitory rzeczne
i motorówki
Flotylli Pińskiej.**
Fot. Narodowe
Archiwum Cyfrowe

DNI CHWAŁY I DRAMAT FLOTYLLI

Historia oficerów i marynarzy Flotylli Pińskiej rozpoczęła się w stolicy województwa poleskiego i skończyła okrutnie w Mokranach.

RAFAŁ MICHLIŃSKI

Po otrzymaniu rozkazu o zatopieniu organizuję osłonę artyleryjską przed ewentualnym atakiem band dywersyjnych, a po rozładowaniu sprzętu i zatopieniu wszystkich mniejszych jednostek polecam zatopić ORP Kraków, co nastąpiło o godz. 14.10. Pamiątkową banderę ofiarowaną w 1926 roku przez miasto Kraków oraz dziennik okrętowy zabieram ze sobą”¹. Tak brzmią słowa kpt. art. Jerzego Wojciechowskiego, dowódcy ORP „Kraków”, ostatniego zatopionego monitora rzeczno-flotylnego Flotylli Rzeczonej Marynarki Wojennej. Po ataku Sowieców 17 września 1939 r., na skutek rozkazu gen. Franciszka Kleeberga, 21 września pod Kuźliczynem poszedł na dno ostatni okręt Flotylli Rzeczonej Marynarki Wojennej. Marynarska epopeja na Kresach Wschodnich II RP dobiegała końca, a pińskim marynarzom pozostało zejść na ląd i ruszyć z odsieczą Warszawie.

Przedwojenny Pińsk nad rzeką Piną (lewy dopływ Prypeci) był miastem powiatowym. Do 1921 r. odgrywał rolę stolicy województwa poleskiego, ale na skutek pożaru miasta stolicę przeniesiono do Brześcia nad Bugiem. Pińsk liczył około 36 tys. mieszkańców. Podobnie jak wiele innych kresowych miast miał wielokulturowy charakter: zamieszkiwali go Polacy, Białorusini i Żydzi. Znajdujący się na wschodniej rubież II Rzeczypospolitej pośród poleskich błot spełniał dodatkową rolę: był miejscem stacjonowania 84 Pułku Strzelców Poleskich oraz Flotylli Rzeczonej Marynarki Wojennej, zwanej Flotyllą Pińską, które strzegły polsko-sowieckiej granicy, a także były manifestem polskości tamtych ziem. Flotylla Pińska powstała w czasie wojny polsko-bolszewickiej, gdy do dowódcy Grupy Poleskiej gen. Antoniego Listowskiego zgłosił się były oficer rosyjskiej marynarki wojennej, książę Jan Giedroyc z propozycją utworzenia zespołu motorówek do celów transportowych i zwiadowczych. Giedroyc 19 kwietnia 1919 r. został powołany do służby czynnej i przystąpiono do utworzenia

pierwszej grupy motorówek. Generał Listowski początkowo nie był chętny wykorzystaniu Flotyli do celów bojowych. Z biegiem czasu, wraz rozwojem sytuacji na froncie, przystał jednak na propozycję wzięcia udziału Flotyli w walkach z Sowietami. Podczas wojny z bolszewicką Rosją Flotylla Pińska skutecznie walczyła z Flotyllą Dnieprzańską, między innymi pod Horodyszczem i pod Czarnobyłem, gdzie odniosła swoje największe zwycięstwo. Na pamiątkę pierwszej wiktoryi marynarzy – w bitwie pod Horodyszczem dzień 3 lipca ustanowiono świętem Flotyli Pińskiej. Wzięła ona udział w wyprawie kijowskiej, wspierając walki na lewym brzegu Dniepru i finalnie opanowując 350-kilometrowy odcinek rzeki. W wyniku kontrofensywy Armii Czerwonej przeprowadzonej w maju i czerwcu 1920 r. przez Grupę Filipa Golikowa i odcięcia od głównych sił polskich walczących na lądzie – tabor Flotyli Pińskiej w czerwcu 1920 r. zatopiono. Ministerstwo Spraw Wojskowych 2 sierpnia 1920 r. formalnie rozwiązało Flotyllę. Po podpisaniu traktatu ryskiego 18 marca 1921 r., kończącego wojnę polsko-bolszewicką, z dniem 2 marca 1922 r. Oddział Detaszowany Flotyli Wiślanej na Prypeci przeformowano na Flotyllę Pińską. Jej rozbudowa i modernizacja trwała nieprzerwanie do jesieni 1939 r.

Mobilizacja w porcie wojennym

W sierpniu 1939 r. Flotylla Rzeczna Marynarki Wojennej dysponowała 40 jednostkami bojowymi i około 50 jednostkami pomocniczymi. Na skutek podpisania 23 sierpnia 1939 r. paktu Ribbentrop-Mołotow tego samego dnia ogłoszono mobilizację alarmową, a 31 sierpnia mobilizację powszechną. Mobilizację jednostek Flotyli Rzecznej Marynarki Wojennej przeprowadził port wojenny w Pińsku. Letnie ćwiczenia marynarskiej braci z ostrym strzelaniem włącznie okazały się ostatnimi szkoleniami dla wielu spośród nich. W przededniu wybuchu wojny, biorąc pod uwagę stan osobowy wynoszący około 2 tys. marynarzy (po mobilizacji liczba ta wzrosła) i uzbrojenia, Flotylla Rzeczna MW stanowiła równowartość pułku piechoty, ze względu na mobilność odpowiadała brygadzie pancer-

no-motorowej. W chwili wybuchu II wojny światowej żołnierze 84 Pułku Piechoty w ramach mobilizacji dołączyli do 30 Poleskiej Dywizji Piechoty Armii „Łódź”, marynarze Flotyli Pińskiej – pozostali na Polesiu, walcząc z dwoma przeciwnikami: Niemcami oraz Sowietami.

Pierwsze dni września 1939 r. na Polesiu – w przeciwieństwie do zachodniej części kraju błyskawicznie opanowywanej przez Niemców – przebiegały nad wyraz spokojnie. Znajdujące się tam jednostki pływające Flotyli zajęły stanowiska ogniowe zgodnie z przyjętym planem osłonowym, jednak nie bez utrudnienia, które stanowił coraz niższy poziom wód w rzekach. Jak się później okazało, obniżający się stan wód z powodu wyjątkowo upalnego lata w 1939 r. również odegrał w pewnym momencie znaczącą rolę. W Pińsku, w związku z odejściem na front 84 Pułku Piechoty w składzie Armii „Łódź” komendantem garnizonu został dowódca kadry Flotyli Rzecznej kmdr ppor. Alojzy Pawłowski. Z magazynów pobierano niezbędne paliwo, amunicję i sprzęt. Nieprzerwanie trwała mobilizacja rezerwistów, a cały cywilny i wojskowy tabor pływający został podporządkowany Flotylli. Pierwszą oznaką niemieckiej agresji był lotniczy atak niemieckich sił powietrznych (Luftwaffe) 2 września na Mosty Wolańskie znajdujące się w odległości około 45 km na wschód od Pińska, gdzie zbombardowano przeprawę kolejową. Polesie, leżące pośród rozlewisk licznych rzek i bagien, było słabo skomunikowane, co powodowało, że każda przeprawa i każdy most w warunkach wojennych odgrywały istotną rolę w manewrach wojsk. We znaki dawał się brak własnego lotnictwa i odpowiedniej obrony przeciwlotniczej. Wobec tego aby chronić czołowe mosty: kolejowy wolański, kolejowy i drogowy na rzece Jasiolda w Horodyszczu oraz drogowy na Pinie w Pińsku – dowódca Flotyli kmdr Witold Zajączkowski około 4 września zdecydował o zorganizowaniu ich obrony. Wspomniany wyjątkowo niski stan wód w poleskich rzekach był nie lada utrudnieniem przy przemieszczaniu się okrętów. 6 września w Pińsku doszło do spotkania dowództwa Flotyli Rzecznej Marynarki Wojennej z ewakuowanym z Warszawy Kierownictwem Marynarki Wojennej. Jerzemu Świrskiemu, szefowi Kierownictwa Marynarki Wojennej, przedstawiono propozycję rozmieszczenia okrętów i jednostek uzbrojonych Flotyli na pozycji osłownej przy granicy z Sowietami. Gdy prowizoryczna obrona mostów została zorganizowana i utrzymana, po kilku dniach doszło do pierwszych zmian organizacyjnych, które później wpłynęły na losy Flotyli. Decyzją Naczelnego Wodza marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza 9 września 1939 r. dowódca Okręgu Korpusu nr IX gen. Franciszek Kleeberg w związku z przewidzianym okrążeniem sił polskich został zobowiązany do utworzenia zabezpieczenia na linii Brześć – Pińsk. Wspominał to wydarzenie gen. bryg. Wilhelm Orlik-Rückemann, dowódca Korpusu Ochrony Pogranicza: „Obronę tę zamierzał gen. [Franci-



Monitory rzeczne ORP „Kraków” i ORP „Wilno” wyprodukowane przez Polskie Fabryki Maszyn i Wagonów L. Zieleniewski S.A. zacumowane przy nabrzeżu Wisły. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Motorówki Flotylli Pińskiej na rzece Pinie.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

szek] Kleeberg zorganizować na północ od linii tych rzek, opierając się na lasach na południe od szosy słuckiej”². Flotyllę Rzeczną Marynarki Wojennej 13 września podporządkowano gen. Kleebergowi dowodzącemu Grupą Operacyjną „Polesie”. Nowym zadaniem przydzielonym jednostkom Zajączkowskiego była obrona odcinka wzdłuż rzek Piny i Prypeci o długości około 180 km od Kanału Królewskiego do granicy z Sowietami. Odcinek ten miał strategiczne znaczenie, gdyż znajdował się na linii potencjalnych przejść rzecznych i dróg, którymi w głąb Polesia mogliby przedostać się Niemcy. Wszystkie jednostki przesunięto na zachód i wydano rozkaz zaminowania mostów. Aby skutecznie realizować postawione cele, dowództwo Flotylli rozmieściło siły na sześciu pododcinkach: Janów, Horodyszcz, Osobowicze, Mosty Wolańskie, Przewóz Łachewski oraz Sytnica. Gdy sytuacja na Prypeci zdawała się względnie opanowana, nieoczekiwany zwrot sytuacji przyniósł 17 września 1939 r.

Napaść ze wschodu

Siedemnastego września Związek Sowiecki zaatakował Polskę, a wojska Armii Czerwonej przekroczyły granicę na całej jej długości. Wystąpienie zbrojne oznaczało, że zerwane zostały dotychczasowe umowy polsko-sowieckie. Naczelný Wódz marsz. Śmigły-Rydz nakazał unikać walki z agresorem. W rozkazie wydanym 17 września w godzinach wieczornych wskazywał: „Sowiety wkroczyły. Nakazuję ogólne wycofanie na Rumunię i Wę-

gry najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony lub próby rozbiorzenia oddziałów. Zadanie Warszawy i miast, które miały się bronić przed Niemcami – bez zmian. Miasta, do których podejść bolszewicy, powinny z nimi pertraktować w sprawie wyjścia garnizonów do Węgier lub Rumunii”³. Następnego dnia, 18 września Naczelný Wódz wraz z Dowództwem przekroczył granicę polsko-rumuńską w Kutach nad Czeremoszem. Na wieść o ataku sowieckim na Polskę, gen. Franciszek Kleeberg wydał Ogólny rozkaz operacyjny dowódcy Okręgu Korpusu IX do obrony Polesia, w którym napisał: „Położenie: Wojska sowieckie przekroczyły granicę, uderzając na KOP. Oddziały własne w walkach z Niemcami na przedpolu Brześćcia i Kobrynia. Zamiar: Bronić się na błotach poleskich, wykorzystując wszystkie przeszkody wodne”⁴. Wobec zaistniałej sytuacji i zagrożenia otoczeniem przez Niemców i Sowietów kmdr Zajączkowski wydał rozkaz o samozatopieniu jednostek i wysadzeniu bronionych mostów; najprawdopodobniej w całej jego wojskowej karierze była to najtrudniejsza decyzja, jaką musiał podjąć. Jednocześnie rozkazem bojowym dowódcy Flotylli Recznej z wyjątkiem I i II baonów Flotylla została podporządkowana dowódcy Brygady Korpusu Ochrony Pogranicza „Polesie” płk. dypl. Tadeuszowi Różyckiemu-Kołodziejczykowi z zadaniem opóźniania w kierunku na Pohost Zarzeczny. W tym samym czasie wojska niemieckie znajdowały się już w oddalonym zaledwie o 120 km na zachód od Piń-

ska Kobryniu bronionym przez żołnierzy pod dowództwem płk. Adama Eplera. W dniach 18–21 września w wodach Prypeci i Horynia oraz okolicznych jezior Polacy zatopili jednostki pływające Flotyli Rzecznej Marynarki Wojennej. Był to dramatyczny moment zarówno dla dowództwa, w szczególności dla kmdr. Zajączkowskiego, który poświęcił 12 lat na budowanie i rozwój Flotyli, jak i dla pełnych zapału do walki marynarzy. Tak oto moment zatopienia statku sztabowego ORP „Admirał Sierpinek” zapamiętał bosmanmat Jan Sobiegraj: „Dowódca, stojąc na górnym pokładzie rzucił ostatnie komendy: »Otworzyć kingstony, luki i iluminatory!«, a po krótkim gwizdku: »bandery z masztu!«, oraz: »Bandere, znak dowódcy opuść!« Powoli bandera i znak dowódcy spłynęły w dół, załoga na lądzie zamarła w postawie na baczność. Teraz por. mar. Marciniewski zakomenderował: »Bandere i znak dowódcy do połowy podnieść! Reszta załogi opuścić pokład!« Ostatni z trupu ORP »Adm. Sierpinek« zszedł dowódca i stanąwszy wśród załogi rozkazał zapalić stos. Wkrótce języki płomieni ogarnęły całą powierzchnię stosu i strzeliły w górę. Padła komenda: »Czapki zdejm!« i od płonącego stosu rozniósł się w polskiej głuszy Hymn Narodowy. Rozgrzane powietrze nad

kiedyś w wolnej Ojczyźnie – czego Wam życzy wasz dowódca»⁵.

Samozatopiono około 150 jednostek pływających, a likwidowano wszystkie odcinki obrony. Dwa dni przed zajęciem Pińska przez Sowieców, 18 września dwa bataliony morskie pod dowództwem kmdr. ppor. Pawłowskiego stanowiące odwód wojsk gen. Kleeberga opuściły Pińsk, udając się do miejsca koncentracji we wsi Moroczna Wielka. Przemarsz do Moroczny tak wspominał kmdr Zajączkowski: „Odległość przeszło 40 km marszu po złych piaszczystych drogach była zbyt wielkim wysiłkiem dla ludzi niewytrenowanych do marszów. Wydane poprzedniego dnia nowe buty z zapasów kwatermistrzostwa Grupy poodparzały marynarzom nogi, tak iż kolumny marszowe rozciągnęły się na kilometry, a ciężko ładowane samochody ciężarowe trzeba było odkopywać z piasku. [...] Z braku kuchni połowych ludzie cały dzień nic nie jedli i zostali obudzeni na obiad dopiero późno w nocy»⁶. Ostatni oddział Wojska Polskiego opuścił Pińsk 20 września po uprzedniej walce z sowieckimi czołgami w okolicach mostu na Pinie. Uformowana z około 1000 żołnierzy kolumna udała się w kierunku Janowa Poleskiego i Kobrynia. Ostatnim monitorem rzeczny, który poszedł na dno, był ORP „Kra-

Monitory rzeczne i motorówki Flotyli Pińskiej. Statek uzbrojony ORP „Generał Szeptycki” i dwa monitory rzeczne na Prypeci.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

płonącym stosem uniosło w górę czarną perzynę, niczym roje jaskółek latających nad drzewami. I znów ze ściśniętych, marynarskich krtani popłynęła pieśń »Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...«. Łza zakręciła się w niejednym oku, kiedy kadłub okrętu z wolna chylił się na prawą burtę. Ognisko dogorywało, buchały snopy iskier, kiedy bosakami poruszano żar, aby dokładnie wszystko spłonęło. Porucznik Marciniewski zwrócił się do swoich: »Przyjaciele! Dziś spędziliśmy ostatni dzień służby w Marynarce Wojennej na ORP 'Adm. Sierpinek'; symbol go-dła Ojczyzny niech pozostanie w naszych sercach, nie odbierze go nam żadna siła ani przemoc. Gwałt dokonany na naszej Ojczyźnie skończy się tryumfem dla nas, choć czekają nas ofiary i cierpienia. Obyśmy spotkali się

ków” zatopiony 21 września pod Kuźliczynem. Tym samym zakończyła się dwudziestoletnia historia Flotyli Rzecznej Marynarki Wojennej.

Z okrętu na ląd

Teraz spieszonym marynarzom przyszło walczyć w nowych – lądowych – warunkach w ramach Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”. Załogi broniące pododdziałów Nyrca, Przewóz Łachewski, Mosty Wolańskie oraz Osobowicze skoncentrowały swoje siły w miejscowości Płotnica i następnie przemaszowały do wsi Moroczna Wielka, by tam połączyć się z pozostałymi jednostkami pod dowództwem gen. Wilhelma Orlika-Rückemanna, który 19 września podporządkował się gen. Kleebergowi

jako najstarszemu stopniem. Generał Kleeberg 23 września, na skutek niemożności przebijania się ku Rumunii, podjął decyzję o przeforsowaniu rzeki Bug i marszu z odsieczą Warszawie. Mając świadomość trudnej sytuacji, pozwolił opuścić szeregi wątpięcym w celowość dalszej walki marynarzom mieszkającym na Polesiu, w szczególności pochodzenia białoruskiego i ukraińskiego. Mimo odejścia około 50 żołnierzy stan Grupy wciąż się powiększał, gdyż dochodzili kolejni ochotnicy pragnący walczyć za ojczyznę. Do dowódcy SGO „Polesie” wiadomość o kapitulacji Warszawy dotarła 27 września. Stacjonujący we Włodawie gen. Kleeberg mimo beznadziejnej sytuacji postanowił kontynuować walkę. Moment ten tak wspominał oficer sztabowy artylerii ppłk. Włodzimierz Klewszczyński: „Dalsze posunięcia na zachód były już tylko końcową fazą Grupy, bowiem coraz mniej było amunicji, środków opatrunkowych i żywności przy coraz większym przeciążeniu ludzi [...] spowodowanym ciągłymi walkami”⁷.

Po kapitulacji Warszawy

Generał Franciszek Kleeberg 27 września we Włodawie dokonał reorganizacji podlegających mu oddziałów. Dotychczasowe bataliony marynarskie pod dowództwem kmdr. ppor. Alojzego Pawłowskiego przeformowano w batalion morski. Wszedł on w skład 182 Pułku Piechoty 60 Dywizji Piechoty jako III batalion morski. Dowództwo nad batalionem objął kmdr. ppor. inż. Stefan Kamiński. Ponadto z części marynarzy utworzono kompanię zbiorczą z ppor. mar. rez. Bohdanem Korsakiem na czele, która była podporządkowana rezerwowemu batalionowi 179 Pułku Piechoty 60 Dywizji Piechoty⁸.

W ostatnich dniach września polescy marynarze-piechurzy stoczyli walki z Sowietami pod Jabłoniem (28–29 września) i Milanowem (29–30 września) oraz z Niemcami pod Lipinami, Helenowem, Wolą Gułowską oraz Kocikiem (2–5 października). W ostatnim etapie walk kampanii wrześniowej 3 batalion uczestniczył w natarciu na Wolę Gułowską. W jej wyniku wyrzucono Niemców z zajmowanych pozycji i zajęto kościół oraz cmentarz. Następnie batalion uczestniczył w natarciu na Helenów, docierając tam po ciągłych starciach z Niemcami



ZAMORDOWANI W MOKRANACH

śp.

Bolesław Albo, Bolesław Chabałowski,
Gabriel Deczer, Mieczysław Jarczyński,
Władysław Kwinciński, Józef Lis, Jan May,
Roman Mendyka, Marian Radziejewski,
Bogusław Roth-Rutyński, Ludwik Szefer,
Wacław Schwartz, Stanisław Sęk,
Julian Tomaszewski, Tadeusz Jacyna,
Zygmunt Dąbrowski, nieznany z imienia
bosman Wiernik, nieznany z imienia i nazwiska
sierż. Korpusu Ochrony Pogranicza.

Nazwiska ustalone przez Mariusza Borowiaka,
badacza dziejów Marynarki Wojennej.

przez Lipiny. Tak ostatnie chwile walki z udziałem marynarzy zapamiętał plut. pchor. rez. Zygmunt Dzieciółowski z 82 Pułku Piechoty Dywizji Kobryń: „W międzyczasie rozpoczęło się natarcie pułku, które wywarło na nas silne i niezapomniane wrażenie. Widzieliśmy jak na dłoni oderwanie się naszych żołnierzy od podstawy wyjściowej, silny ogień artyleryjski nieprzyjaciela, rwące się pociski na linii natarcia naszych żołnierzy, którzy całą siłą parli naprzód. Przez nasze stanowiska przeszły dwie linie natarcia, a w trzeciej szedł batalion marynarzy z Flotyli Pińskiej pod dowództwem kmdr. ppor. Kamińskiego. Słyszałem jak mówił do marynarzy, że mimo ognia nieprzyjaciela marynarz na ziemię nie pada. I tak faktycznie było. Padali jedynie tylko zabici i ranni”⁹. Zwycięskie bitwy przeciwko Niemcom nie przyniosły jednak korzyści militarnej. Wobec braku amunicji i bardzo złej sytuacji strategicznej gen. Kleeberg podjął decyzję o kapitulacji. W pożegnalnym rozkazie datowanym na 5 paź-



Panorama Pińska od strony rzeki z widocznym kościołem
Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

dziennika 1939 r. Kleeberg napisał: „Żołnierze! dalekiego Polesia, znad Narwi, z jednostek, które oparły się w Kowlu demoralizacji – zebrałem Was pod swoją komendę, by walczyć do końca. Chciałem iść najpierw na południe – gdy to się stało niemożliwe – nieść pomoc Warszawie. Warszawa padła, nim doszliśmy. Mimo to nie straciliśmy nadziei i walczyliśmy dalej, najpierw z bolszewikami, następnie w 5-dniowej bitwie pod Serokomlą z Niemcami. Wykazaliście hart i odwagę w czasie zwątpień i dochowaliście wierności Ojczyźnie do końca. Dziś jesteśmy otoczeni, a amunicja i żywność są na wyczerpaniu. Dalsza walka nie rokuje nadziei, a tylko rozleje krew żołnierską, która jeszcze przydać się może. Przywilejem dowódcy jest brać odpowiedzialność na siebie. Dziś biorę ją w tej najcięższej chwili – każąc zaprzestać dalszej bezcelowej walki, by nie przelewać krwi żołnierskiej nadaremnie. Dziękuję Wam za Wasze męstwo i Waszą Karność, wiem, że staniecie, gdy będziecie potrzebni. Jeszcze Polska nie zginęła. I nie zginie. Powyższy rozkaz przeczytać przed frontem wszystkich oddziałów. Dowódca SGO »Polesie« /-/ Kleeberg gen. bryg.”¹⁰. Tym samym zakończyła się epopeja SGO „Polesie” i polskiego żołnierza walczącego przeciwko dwóm najeźdźcom. Wola walki jednak trwała nadal – część byłych marynarzy Flotylli Rzecznej Marynarki Wojennej po zakończeniu działań wojennych w 1939 r. podjęła walkę – tym razem konspiracyjną – głównie w szeregach Związku Walki Zbrojnej-Armii Krajowej, a także w Batalionach Chłopskich. Zatopione jednostki zaś zostały podniesione i wyremontowane przez Sowieców i służyły im w walkach z Niemcami do 1941 r.

Agresja z trzeciej strony

Z chwilą wkroczenia Sowieców na terytorium Polski uaktywniły się lokalne bojówki ukraińskich nacjonalistów, a także pospolite bandy rabunkowe terroryzujące okoliczne miejscowości. Tragycznym wydarzeniem, którego doświadczyli marynarze Flotylli Rzecznej Marynarki Wojennej, był mord w Mokranach dokonany na nich przez ukraińskich nacjonalistów pod dowództwem Artemija Sadza za cichym przyzwoleniem dowództwa 32 Brygady Pancernej Armii Czerwonej. Część marynarzy, którzy wyruszyli z Płotnicy do Moroczny Wielkiej, nie dołączyło do głównej grupy wojsk SGO „Polesie”, lecz do Grupy KOP gen. bryg. Wilhelma Orlika-Rückemanna, tworząc w niej zbiorczy batalion marynarski. Oddział pod komendą kpt. Bronisława Bończaka kierował się na Kamień Koszyrski i Ratno. W marszu oddział rozciągnął się i podzielił na dwie grupy. Marynarze znajdujący się w kolumnie kpt. Bończaka zostali 26 września otoczeni przez Sowieców i wzięci do niewoli w okolicy jeziora Tur. Po dokonaniu selekcji w miejscowości Małoryta marynarze zostali wyprowadzeni do wsi Mokran, do której dotarli 27 września. Następnego dnia w Mokranach, po drugiej selekcji, grupę oficerów Flotylli Rzecznej MW przetrzymywanych w Domu Ludowym Sowieci pozbawili odzieży i pognali za zabudowania dworu należącego do rodziny Rayskich. Tam w odległości kilkuset metrów od dworu zamordowali ich i wrzucili do dołu. Dziś w Mokranach (rejon małorycki, obwód brzeski Republiki Białorusi) nieopodal miejsca kaźni stoi pomnik upamiętniający to tragiczne wydarzenie.

RAFAL MICHLIŃSKI pracownik Biura Poszukiwań i Identyfikacji Instytutu Pamięci Narodowej. Do jego głównych zainteresowań należą historia Flotylli Rzecznej Marynarki Wojennej i dzieje Kresów Wschodnich II RP.

¹ M. Borowiak, *Zapomniana flota. Mokran. Polska Marynarka Wojenna w wojnie z Rosją sowiecką w 1939 r.*, Warszawa 2014, s. 130. ² K. Liszewski, *Wojna polsko-sowiecka 1939*, Londyn 1988, s. 217. ³ J. Łojek, *Agresja 17 września 1939 r. Studium aspektów politycznych*, Warszawa 1990, s. 104. ⁴ SGO „Polesie” w dokumentach i wspomnieniach, cz. 1: Dowództwo, Warszawa 2013, s. 185. ⁵ J. Sobiegraj, *Poleski marsz*, „Nasze Sygnały” nr 162, 1988, s. 9–10. ⁶ J. Przybylski, *Ostatnia wachta Mokran, Katyń, Charków...*, Warszawa 2000, s. 32. ⁷ Sprawozdanie z Kampanii Wrześniowej w 1939 r. w Polsce, Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, sygn. B 197 D, s. 10. ⁸ J. Wróblewski, *Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” 1939*, Warszawa 1989, s. 95–96. ⁹ SGO „Polesie” w dokumentach i wspomnieniach, cz. 3: Dywizja „Kobryń”, Warszawa 2014, s. 33. ¹⁰ SGO „Polesie” w dokumentach i wspomnieniach, cz. 1: Dowództwo, Warszawa 2013, s. 328.

Bibliografia

- Adamska A., *Jeszcze o zbrodni w Mokranach*, „Polska Zbrojna” nr 2, 1991, s. 1.
Bartlewicz J., *Flotylla Pińska i jej udział w wojnie polsko-bolszewickiej*, Oświęcim 2013.
Borowiak M., *Zapomniana flota. Mokran. Polska Marynarka Wojenna w wojnie z Rosją Sowiecką w 1939 r.*, Warszawa 2014.
Dyskant J., *Flotylla Rzecznej Marynarki Wojennej 1919–1939*, Warszawa 1994.
Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, B 197 D, s. 10.
Januszewski S. (red.), *Zapomniane bandery. Flotylla rzeczna II Rzeczypospolitej*, Wrocław 2019.
Liszewski K., *Wojna polsko-sowiecka 1939*, Londyn 1988.
Łojek J., *Agresja 17 września 1939 r. Studium aspektów politycznych*, Warszawa 1990.
Przybylski J., *Ostatnia wachta Mokran, Katyń, Charków...*, Warszawa 2000.
Sawicki J.K., *Kadry morskie Rzeczypospolitej, t. V: Dokumentacja organizacyjna i kadrowa oficerów, podoficerów i marynarzy (1918–1947)*, Gdynia 2011.
SGO „Polesie” w dokumentach i wspomnieniach, cz. 1: Dowództwo, Warszawa 2013.
SGO „Polesie” w dokumentach i wspomnieniach, cz. 3: Dywizja „Kobryń”, Warszawa 2014.
Sobiegraj J., *Poleski marsz*, „Nasze Sygnały”, nr 162, Londyn 1988.
Taube K., *Figle diablika błot pińskich. Ze wspomnień marynarza*, Oświęcim 2018.
Wieczorkiewicz P., *Wojna 1939 r.*, Warszawa 2001.
Wróblewski J., *Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” 1939*, Warszawa 1989.

SAMOTNA MORSKA

W przeddzień wybuchu II wojny światowej adm. Józef Unrug dowodził całością polskich sił morskich, lądowych i powietrznych Obrony Wybrzeża. Wszystkie jednostki lądowe i morskie dysponowały łącznie setką dział. Siły niemieckie zaś druzgocąco przeważały.

MARIUSZ BOROWIAK

W momencie ogłoszenia mobilizacji adm. Józef Unrug objął dowództwo operacyjne Obrony Wybrzeża, podlegające bezpośrednio Naczelnemu Wodzowi, marsz. Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi. Dowódca floty przeniósł się ze swoim sztabem z Oksywia do opróżnionego schronu amunicyjnego, kilka kilometrów od nasady Półwyspu Helskiego po stronie Zatoki Puckiej.

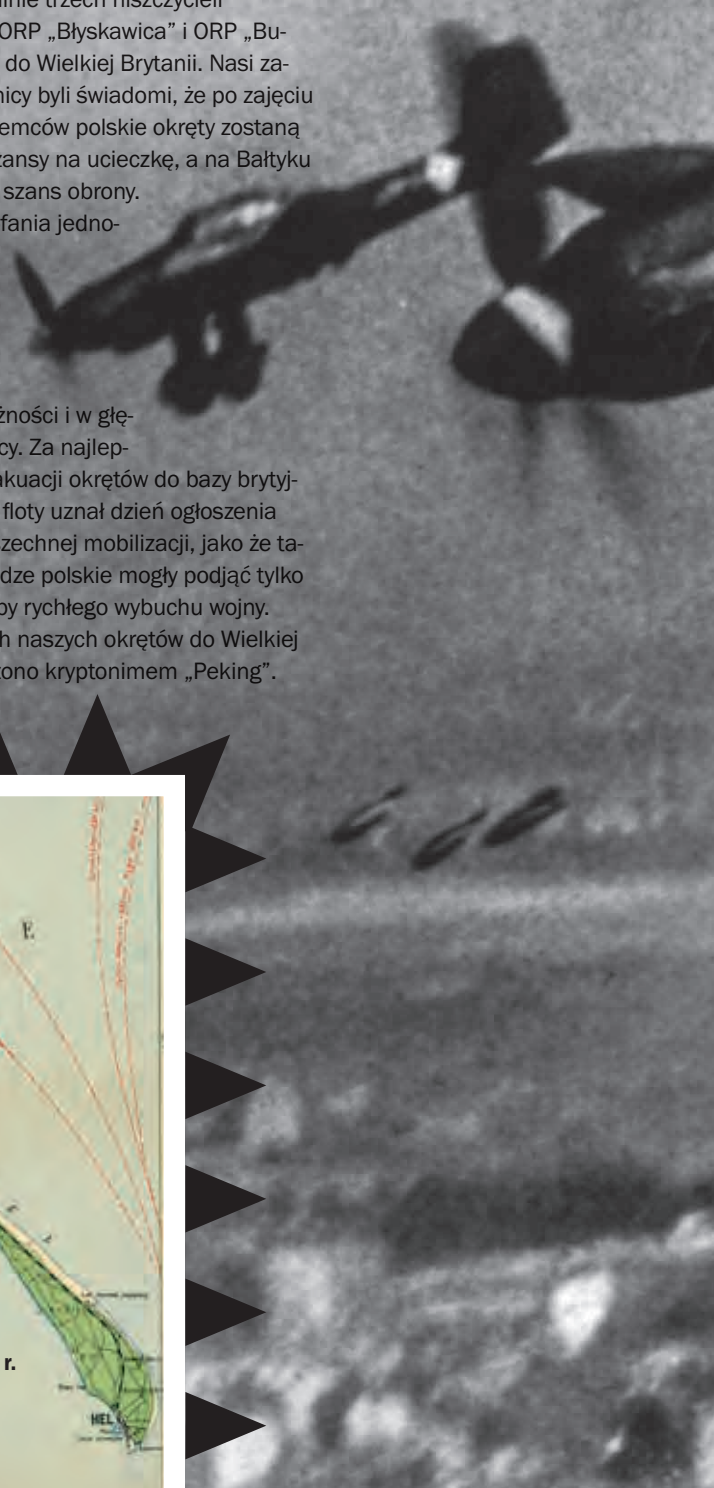
Alarm dla floty ogłoszono 23 sierpnia 1939 r. Załogi okrętów znalazły się w pełnej gotowości bojowej. Młodzi wiekiem podporucznicy z formacji lądowych, którzy odbywali w lipcu i sierpniu kilkutygodniowe kursy oficerskie w głębi kraju, otrzymali teraz kartę mobilizacyjną z rozkazem zameldowania się na Helu 24 sierpnia.

Jeszcze w połowie sierpnia kmdr Eric Lloyd Wharton z brytyjskiej Królewskiej Marynarki Wojennej (Royal Navy) w rozmowie z kontradm. Jerzym Świrskim, szefem Kierownictwa Marynarki Wojennej w Warszawie, omówili szczegóły bezpiecznego odesłania w jak naj-

szybszym terminie trzech niszczycieli (ORP „Grom”, ORP „Błyskawica” i ORP „Burza”) z Bałtyku do Wielkiej Brytanii. Nasi zachodni sojusznicy byli świadomi, że po zajęciu Gdyni przez Niemców polskie okręty zostaną pozbawione szansy na ucieczkę, a na Bałtyku nie będą mieć szans obrony. Operacja wycofania jednostek musiała być przeprowadzona przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności i w głębokiej tajemnicy. Za najlepszy termin ewakuacji okrętów do bazy brytyjskiej dowódca floty uznał dzień ogłoszenia w Polsce powszechnej mobilizacji, jako że taką decyzję władze polskie mogły podjąć tylko w obliczu groźby rychłego wybuchu wojny. Przejście trzech naszych okrętów do Wielkiej Brytanii opatrzone kryptonimem „Peking”.



Mapa Wybrzeża z 1938 r.
Fot. domena publiczna



TWIERDZA

Junkers Ju-87.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

„Peking”

Unrug 30 sierpnia z Kierownictwa Marynarki Wojennej otrzymał sygnał o rozpoczęciu tajnej misji. 31 sierpnia niszczyciele wyszły w morze.

W godzinach rannych 1 września załogi naszych

okrętów dowiedziały się z komunikatu radiowego o napaści Niemiec na Polskę, co wywołało zrozumiałe poruszenie. Mimo że celu misji nie udało się ukryć – niszczyciele pod białą-czerwoną banderą zostały wcześniej wykryte przez okręty Kriegsmarine i samoloty niemieckich sił powietrznych (Luftwaffe) – bezpiecznie dotarły na wody kontrolowane przez brytyjskie okręty i po południu rzuciły kotwice na redzie szkockiego portu Leith. Odejście z Bałtyku na Zachód kilku jednostek stanowiących trzon floty Polskiej Marynarki Wojennej źle odebrała część sił zbrojnych i społeczeństwa polskiego, jednak takie posunięcie zapobiegło ich pewnemu unicestwieniu.

Stosunkowo najczęściej uwagi dowództwo Polskiej Marynarki Wojennej w latach trzydziestych poświęciło obronie Gdyni i Helu od strony morza. Obszary te miało osłaniać pięć okrętów podwodnych: trzy typu Wilk (ORP „Ryś”, ORP „Wilk”, ORP „Żbik”) i dwa typu Orzeł (ORP „Orzeł” i ORP „Sęp”), dywizjon trałowców (sześć jednostek, popularnie nazywanych „ptaszkami” – ORP „Jaskółka”, ORP „Mewa”, ORP „Rybitwa”, ORP „Czajka”, ORP „Czapla”, ORP „Żuraw”) wraz z największym okrętem bojowym stawiaczem min ORP „Gryf”, niszczycielem ORP „Wicher”, kanonierkami ORP „Komendant Piłsudski” i ORP „Generał Haller” oraz artylerią nadbrzeżną. W rejonie Gdyni znajdowała się 11 bateria dysponująca dwoma działami kal. 100 mm. Natomiast mierzący blisko 40 km długości, a w najszerszym miejscu do 3,5 km Półwysep Helski miał 31 baterię im. Heliodora Laskowskiego, nazywaną też baterią cyplową, która składała się z czterech dział artylerii nadbrzeżnej kal. 152,4 mm, dwóch baterii dwudziałowych kal. 105 mm – nr 32 (grecka) i nr 33 (duńska), trzech baterii (21, 22, 23) dwudziałowych przeciwlotniczych kal. 75 mm, kompanii ckm, baterii 8 dział kal. 40 mm Boforsa, plutonu reflektorów przeciwlotniczych (cztery reflektory), dwóch baterii dwudziałowych kal. 75 mm tzw. przeciwdesantowych. W czasie działań wojennych obronę Helu wzmocniły działa zdjęte z zatopionych okrętów.

Militaryzacja cypla

Końcową część cypla zmilitaryzowano i wybudowano tam basen portu wojennego o wymiarach 300 x 400 m. Roboty budowlane trwały w latach 1931–1939; część projektu nie wykonano z powodu wybuchu wojny. Dekretem prezydenta RP Ignacego Mościckiego w drugiej połowie sierpnia 1936 r. przekształcono półwysep, czyli rejon umocniony na Mierzei Helskiej i wodach przylegających, w Rejon Umocniony Hel.

W marcu 1938 r. kmdr Włodzimierz Steyer objął obowiązki dowódcy Rejonu Umocnionego Hel.



Heinkel He-111.
Fot. Bundesarchiv



**Kpt. mar. Zbigniew
Przybyszewski, około 1933 r.**
Fot. zbiory Mariusza Borowiaka

**Widok na baterię cypłową,
którą dowodził kpt. mar. Zbigniew
Przybyszewski, 2009 r.**
Fot. Piotr Stanisławski/zdjęcie udostępnione Mariuszowi Borowiakowi

Z braku piechoty do obrony lądowej półwyspu i obsadzenia budowanego ośrodka oporu w Jastarni, w maju 1939 r. utworzono IV batalion 7 Pułku Korpusu Ochrony Pogranicza „Hel”. Składał się z kompanii strzeleckiej i kompanii ckm z batalionu KOP „Sienkiewicz” oraz kompanii strzeleckiej z batalionu KOP „Sarny”. Gdy rozpoczęła się wojna, załoga pod rozkazami kmdr. Steyera liczyła 2800 żołnierzy Wojska Polskiego. Nie jest tajemnicą, że Półwysep Hel-ski, mimo że miał duże znaczenie militarne, w planach państwa odgrywał drugorzędną rolę.

Załoga Helu miała się bronić od sześciu tygodni do trzech miesięcy i oczekiwać odsieczy, ale owe oczekiwania Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego były zbyt optymistyczne. Żołnierze polscy byli na straconej pozycji z powodu przeważającej siły wroga.

Port w Gdyni zaminowany

Szef Oddziału Operacyjnego Sztabu Głównego Naczelnego Wodza 29 sierpnia 1939 r. przekazał szefowi Sztabu Kierownictwa Marynarki Wojennej kmdr. Karolowi Korytowskiemu rozkaz o zaminowaniu gdyńskiego portu, jeśli nie ma w nim statków handlowych. Powiadomiony o tym rozkazie Unrug, odmówił wykonania polecenia, obawiając się o bezpieczeństwo patrolujących od dwóch dni Zatokę Gdańską własnych okrętów podwodnych. Rozkaz Sztabu Głównego polegał na postawieniu przewidzianych planem „Rurka” zagród minowych na linii Hel – Gdańsk, uzależniając wykonanie

operacji od ruchu statków w gdyńskim porcie. Główną zagrodę składającą się z kilkaset min morskich miał postawić ORP „Gryf” oraz okręty dywizjonu trałowców. Postawienie min w zasięgu artylerii Helu miało je chronić przed wytrasowaniem przez wroga. Do osłony wyznaczono ORP „Wicher” i dwie kanonierki. Okręty te miały wziąć udział w pierwszym morskim zadaniu bojowym Polskiej Marynarki Wojennej w tej wojnie. Jednak Unrug zdecydował, że wykonanie planu „Rurka” już teraz byłoby przedwczesne. Tym samym dał on wolną rękę dowódcy okrętów podwodnych. Tymczasem niepostawienie zagród minowych przez okręty nawodne najpóźniej w nocy z 31 sierpnia na 1 września uznać trzeba za istotny błąd dowódcy floty, który szanse przeprowadzenia operacji całkowicie zaprzepaścił. Z chwilą rozpoczęcia działań wojennych postawienie pól minowych przez okręty stawało się przedsięwzięciem ryzykownym lub wręcz niemożliwym do wykonania. Rozumowanie Unruga było błędne, bo skoro zagrody miały być gotowe w momencie wybuchu wojny, to działania jednostek podwodnych i tak zostałyby nimi ograniczone. I choć prowadzenie akcji minowania przed 1 września gwarantowało większe prawdopodobieństwo jej powodzenia, to generalnie plan „Rurka” okazał się po prostu niedopracowany.

Plan „Worek”

Pięć jednostek podwodnych, które mogły działać zarówno przeciw morskim liniom komunikacyjnym wroga, jak i bronić Wybrzeża, miało największą wartość bojową w całej Polskiej Marynarce Wojennej. Okręty planowano rozmieścić gwiazdździe wokół Półwyspu Helskiego i w zachodniej części Zatoki Gdańskiej, co miało dać im szansę wykonania ataków torpedowych na niemieckie okręty atakujące Hel albo usiłujące wysadzić desant. Trzy okręty podwodne miały operować wzdłuż Półwyspu Helskiego, kolejny na wschód od cypla Helu, ostatni – między Gdynią a Helem, ryglując



wejście do portu gdyńskiego. Był to plan typowo obronny, oznaczono go kryptonimem „Worek”. Słabą stroną tego przedsięwzięcia były okręty podwodne, które ze względu na swoją wielkość miały ograniczone możliwości działania w płytkich wodach zatoki. Istniało duże prawdopodobieństwo wykrycia ich przez niemieckie jednostki nawodne współdziałające z lotnictwem.

Dysproporcje sił

W przeddzień wybuchu wojny Unrugowi podlegało bezpośrednio do 18 tys. ludzi; dowodził on całością sił morskich, lądowych i powietrznych Obrony Wybrzeża. Wszystkie jednostki lądowe i morskie dysponowały łącznie setką dział różnego kalibru i przeznaczenia. Siła przeciwnika była zaś druzgocąca. Na morzu dziesięciokrotnie większa. W powietrzu piloci Luftwaffe byli bezkarni, gdyż nie napotykali żadnego przeciwnika. Na lądzie przewagę ilościową szacowano jako najmniej przytłaczającą, bo dwuipółkrotnie większą, przy czym zdecydowanie lepsze było uzbrojenie przeciwnika.

W ostatnich dniach sierpnia Unrug wraz z szefem sztabu dowództwa floty kmdr. dypl. Marianem Majewskim przeniósł się z Oksywia do Helu. W pierwszych dniach wojny to samo zrobił, zakwaterowany dotychczas w Juracie, dowódca Morskiej Obrony Wybrzeża, kmdr dypl. Stefan Frankowski. W ten sposób tuż obok siebie ulokowały się trzy dowództwa różnych szczebli: Dowództwo Obrony Wybrzeża, Dowództwo Morskiej Obrony Wybrzeża, a potem także Dowództwo Rejonu Umocnionego Hel. To ostatnie mieściło się początkowo

w koszarach przy helskim porcie wojennym, później także w niedokończonych koszarach półstalej baterii przeciwlotniczej. Już po rozpoczęciu walk okazało się, że między trzema działającymi tuż obok siebie sztabami źle funkcjonuje łączność. Ścisłą współpracę utrudniały też nieporozumienia przy podziale kompetencji poszczególnych ośrodków dowódczych. Między wyższymi oficerami: Frankowskim, Majewskim i Steyerem – dochodziło na tym tle do niepotrzebnych animozji.

Zgodnie z rozkazami Naczelnego Wodza

Dowódca floty, nauczony doświadczeniem I wojny światowej, zdawał sobie sprawę ze spoczywającej na nim odpowiedzialności. Choć czuł się osobiście odpowiedzialny za życie tysięcy obrońców, zgodnie z wcześniejszymi rozkazami Naczelnego Wodza zamierzał walczyć dopóty, dopóki pozwalają na to okoliczności. Nie miał jednak zamiaru przelewać krwi żołnierzy i marynarzy nadaremnie.

Już w pierwszych godzinach działań wojennych okazało się, że helskie Dowództwo Floty musi koordynować wszelkie akcje Obrony Wybrzeża. Unrug, pozostając odpowiedzialny za całość działań, nie miał jednak fizycznej możliwości ingerowania w decyzje Lądowej Obrony Wybrzeża i w obronę Westerplatte. Admirał całkowicie zawierzył tu płk. Stanisławowi Dąbkowi, który dowodził obroną Gdyni i Oksywia. Podobnie wyglądała sprawa z obroną Wojskowej Składnicy Tranzytowej. Działalność Naczelnego Dowódcy Obrony Wybrzeża ograniczała się zatem do dowodzenia flotą oraz do bez- ▶

▲ ▲ ▲ ▲ ▲ ▲ ▲ ORP „ORZEŁ”

ORP „Orzeł”, 1939 r.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



pośredniego zwierzchnictwa nad dowódcą Rejonu Umocnionego Hel.

Rano 1 września okręty podwodne opuściły dotychczasowe miejsce postoju i przystąpiły do realizacji planu „Worek”. Rozkaz „Rurka” wyznaczał Hel jako punkt wyjściowy. Duża zagroda minowa miała być postawiona w zasięgu 31 baterii im. Heliadora Laskowskiego na Helu w celu uniemożliwienia trałowania przez nieprzyjaciela. Ponieważ akcja miała się odbyć w nocy, w odległości kilkuset mil od bazy niemieckiej w Pillau (Piława, obecnie Bałtyjsk), dowódca floty do zapewnienia bezpieczeństwa dużemu stawiaczowi min w wypadku niespodziewanego spotkania się z okrętami niemieckimi przydzielił mu wszystkie zdolne do walki okręty nawodne.

Bombardowanie floty

Pierwsze bomby spadły na Hel 1 września w godzinach rannych. Samoloty niemieckich sił powietrznych przystąpiły do systematycznego bombardowania. By przeszkodzić działaniom bojowym skromnej floty polskiej, o godz. 17.25 gen. por. (Generalleutnant) Helmuth Förster, dowódca szkolnej dywizji lotniczej, wysłał do walki doborowy IV Dywizjon 1 Szkolnego Pułku Lotnictwa Bombowego Luftwaffe, stacjonujący w Słupsku (niem. Stolp-Reitz)

w sile 33 samolotów, pod dowództwem hauptmanna Petera Kögla. Niemiecy piloci byli specjalnie przeszkoleni, wielu miało też duże doświadczenie bojowe w wojnie domowej w Hiszpanii. W pułkach przeprowadzano wiele ćwiczeń taktycznych mających na celu opracowanie nowych sposobów skutecznych uderzeń z powietrza. Doświadczenie pilotów miało zaprocentować w walce z polskimi okrętami nawodnymi. Piloci niemieckich sił powietrznych potrzebowali blisko 20 minut, by znaleźć się nad celem. Po przelocie w rejonie na północ od Rozewia dywizjon w zwartym jeszcze ugrupowaniu miał zmienić kurs na południowo-wschodni i dopiero przed Jastarnią podzielić się na mniejsze grupy, a następnie przelecieć w poprzek nad Półwyspem Helskim i niespodziewanie pojawić się nad Zatoką Pucką, gdzie w pobliżu Jastarni spodziewano się zastać ORP „Gryf”. Plan obmyślony był więc dobrze, uwzględniał nawet moment zaskoczenia załogi stawiacza min.

Bitwa koło Helu

Pierwsza w historii II wojny światowej bitwa powietrzno-morska, zwana bitwą koło Helu, rozegrała się w odległości około 3 mil morskich (5,5 km) od cypla. Po stronie polskiej uczestniczyła w niej niemal cała pozostawio-

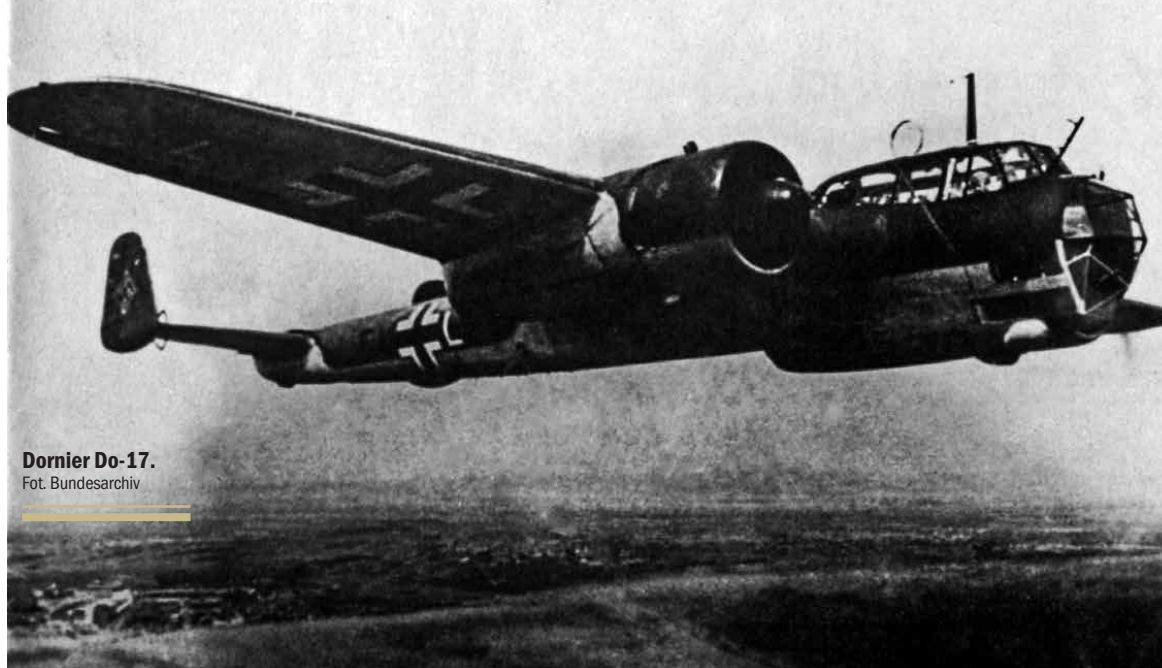


Kmdr Włodzimierz Steyer, dowódca Rejonu Umocnionego Hel w latach 1938–1939, zdjęcie z lat późniejszych.
Fot. zbiory Mariusza Borowiaka

ORP „BŁYSKAWICA”

ORP „Błyskawica”, 1938 r.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe





Dornier Do-17.

Fot. Bundesarchiv

na do obrony Wybrzeża flota nawodna. W zmaganiach wojennych na Bałtyku owa bitwa była jedną z większych batalii, a w historii wojen na morzach i w skali całej II wojny światowej – znacząca.

Od początku bitwy przewaga ilościowa i ogniowa była po stronie niemieckiej. Na 10 okrętach polskich znajdowało się tylko 6 armat przeciwlotniczych kal. 40 mm, z tego 2 na ORP „Wicher” i 4 na ORP „Gryf”. Artyleria głównego kalibru na niszczycielu i stawiaczu min nie była przystosowana do prowadzenia walki z samolotami. Ponadto okręty dysponowały 11 najcięższymi karabinami maszynowymi kal. 13,2 mm, przy czym po 4 karabiny miały ORP „Gryf” i ORP „Wicher”, a po 1 trałowiec ORP „Czajka”, ORP „Czapla” i ORP „Żuraw”. Trałowce i kanonierki dysponowały jeszcze 20 ciężkimi karabinami maszynowymi, ale tą bronią o niewielkim zasięgu ognia mogły się co najwyżej bronić, trudniej zaś było im osłaniać większe okręty, chyba że manewrowały w ich pobliżu i ostrzeliwały samoloty na wysokości do 2000 m. Łącznie wszystkie okręty uzbrojone były w 6 armat i 31 karabinów maszynowych. Junkersy dysponowały 96–99 karabinami maszynowymi. Samoloty nadlatywały eskadrami, pikując na okręty. Bitwa powietrzno-morska trwała kilkanaście minut. Podczas pierwszej fali ataku na ORP „Gryf” zrzucono około 30 bomb. Straty na stawiaczu min to kilku zabitych, m.in. dowódca kmdr ppor. Stefan Kwiatkowski, a 16 poważnie lub lekko rannych. Atak na polskie okręty obserwował z Helu Unrug. Niestety, kpt. mar. Wiktor Wachtang-Łomidze, który po śmierci kmdr. Kwiatkowskiego został chwilowo dowódcą okrętu, podjął decyzję o wyrzuceniu nieuzbrojonych min do morza. Akcja, która została zaplanowana w godzinach nocnych, zakończyła się fiaskiem. Około 23.00 stawiacz min wszedł do portu helskiego. Zaczumował lewą burtą do zanurzonego doku pływającego

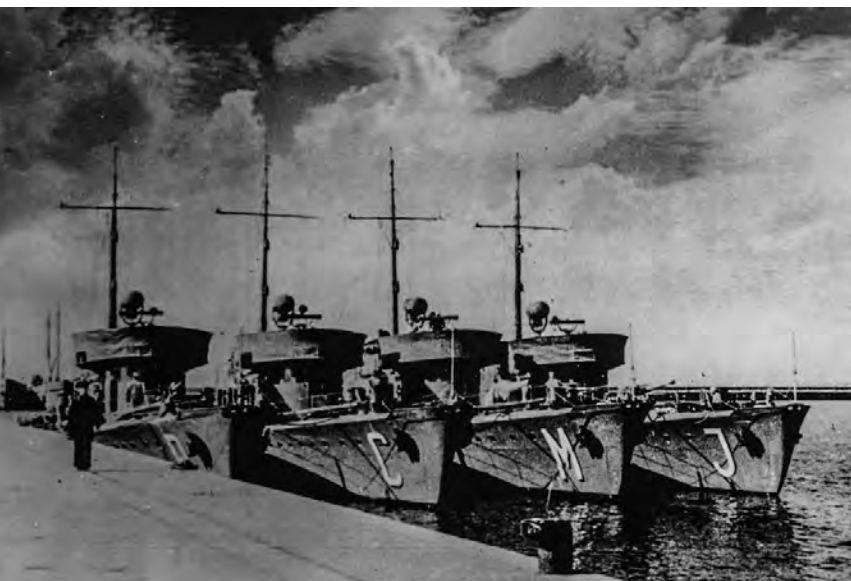
o nośności 5000 t, który został przyholowany w lipcu 1939 r. z Gdyni na Hel, gdzie powstały Warsztaty Marynarki Wojennej. Teraz służył on jako osłona przed pociskami artyleryjskimi od strony Zatoki Gdańskiej.

Do walki włączyła się także niemiecka marynarka. Silne ostrzeliwanie z armat dużego kalibru miało ułatwić Niemcom oczyszczenie drogi morskiej do Prus Wschodnich, gdzie potrzebne było zaopatrzenie. Odpowiadała im przeważnie bateria helska. Po zapadnięciu zmierzchu lotnictwo wroga kontynuowało naloty na Hel. Trwały one z przerwami do godz. 4.00 rano dnia następnego. W zmasowanym nalocie wzięło udział około 60 bombowców Heinkel He 111, Dornier Do 17M i Junkers Ju 87B. Zaatakowały one kilkoma zespołami zakotwiczone w porcie wojennym okręty „Gryf”, „Wicher” i „Mewa”, holownik „Smok” oraz baterie cyplowe i baseny portu rybackiego. Zrzucone bomby nie wyrządziły większych szkód. Żaden z okrętów nie został trafiony bezpośrednio. Mimo że obsługujący działka przeciwlotnicze na ORP „Gryf” i ORP „Wicher” strzelali celnie – zgłaszano trafienia samolotów wroga, żaden nie spadł.

Piloci 2 Eskadry 506 Dywizjonu Lotnictwa Przybrzeżnego Luftwaffe, po całonocnym bombardowaniu cypla helskiego, które miało charakter nękający, meldowali przełożonym o zniszczeniach, których dokonali wśród

Jedno z dobrze zamaskowanych dział helskiej baterii im. Heliodora Laskowskiego, tzw. baterii cyplowej. Fot. zbiory Mariusza Borowiaka





„Rybitwa”,
„Czajka”,
„Mewa”,
„Jaskółka”.

Fot. Narodowe Archiwum
Cyfrowe

obiektów wojskowych na Helu. Podczas porannego nalotu 3 września większość samolotów Morskiego Dywizjonu Lotniczego w Pucku została zniszczona lub uszkodzona. W tych warunkach dowództwo polskiej floty utraciło ostatnie narzędzie taktycznego rozpoznania. Jednak kontradm. (Konteradmiral) Günther Lütjens, dowódca niemieckich okrętów torpedowych, z niewiarą przyjmował te relacje. Oficer Kriegsmarine uważał, że dotychczasowa efektywność dwudniowych bombardowań Helu przez niemieckie siły powietrzne była słaba. Dla Lütjensa sprawą najważniejszą było wyeliminowanie baterii nadbrzeżnej. Dopiero potem mógł przystąpić do akcji zatopienia okrętów polskich cumujących w porcie. Teraz chciał tylko podejść pod Hel i przekonać się o wiarygodności tych informacji.

Tymczasem Unrug polecił kmdr. por. Aleksandrowi Mohuczemu, dowódcy Dywizjonu Okrętów Podwodnych, by opracował nową koncepcję stawiania zagród minowych przez okręty podwodne typu Wilk, które miały zamianować określone akweny uczęszczane przez niemieckie okręty. Nowe wytyczne były następstwem faska operacji „Rurka”. Okręty „Wilk” i „Żbik” postawiły po 20 min, „Ryś” – 10. Dopiero 12 września trałowce „Czajka”, „Rybitwa” i „Jaskółka” postawiły zagrodę z 60 min morskich na południe od Helu. Akcję zaplanowano na życzenie sztabu Lądowej Obrony Wybrzeża. Była to jedyna operacja bojowa polskich okrętów nawodnych przeprowadzona bezpośrednio pod rozkazami adm. Unruga.

Pierwsze dni wojny

O świcie 3 września Niemcy postanowili sprawdzić gotowość bojową polskich marynarzy i ocenić stan cumujących na Helu okrętów wojennych. Przed godz. 7.00 wywiązała się zacięta walka między dwoma niszczycielami Kriegsmarine: „Leberecht Maass” i „Wolfgang Zenker” a polskimi okrętami „Wi-cher” i „Gryf”. Cztery minuty od momentu rozpoczęcia wymiany ognia artyleryjskiego do walki włączyła się jeszcze bateria cyfłowa nr 31 im. Heliodora Laskowskiego (dowodził nią kpt. mar. Zbigniew Przybyszewski). Bateria cyfłowa otworzyła ogień od razu dość celny – zdołała oddać zaledwie siedem salw, wystrzelując 28 pocisków. Bitwa zakończyła się po 12–15 minutach taktycznym zwycięstwem – lekko uszkodzone okręty niemieckie przerwały walkę i oddaliły się za zasłoną dymną.

Z chwilą zniszczenia i zatopienia ORP „Wi-cher” i ORP „Gryf” przez samoloty niemieckich sił powietrznych przekreślona została możliwość wykorzystania polskich okrętów do wzmocnienia artylerii lądowej. Flota nawodna w kraju 3 września przestała istnieć. Po rozbrojeniu kanonierek jedynymi nawodnymi pływającymi jeszcze okrętami pozostały „ptaszki” – „Jaskółka”, „Czajka” i „Rybitwa”. Dla dowódcy floty był to dotkliwy cios. Od 4 września ciężar obrony Półwyspu Helskiego spoczywał na bateriach artylerii nadbrzeżnej, przeciwdesantowej i przeciwlotniczej, a także – w mniejszym stopniu – na oddziałach piechoty.

Według opinii Unruga Hel mógł się bronić do 15 grudnia 1939 r., na tyle w każdym razie powinno starczyć amunicji i oszczędnie racjonowanej żywności. Najbardziej brakowało amunicji przeciwlotniczej. Dowódca floty zdecydował się jednak bronić Helu jak najdłużej. Mała szerokość półwyspu sprzyjała obrońcom, uniemożliwiając nieprzyjacielowi rozwinięcie większych sił i użycie czołgów. Polacy, choć zepchnięci do defensywy, bronili się bardzo umiejętnie. Dlatego też po upadku Oksywia, gdzie walki trwały od 1 do 19 września, Niemcy postanowili wzmocnić siły przeznaczone do zdławienia oporu i zdobycia Helu.

Unrug i Frankowski każdego dnia objeżdżali półwysep. Helskie umocnienia składały się z dwu linii fortyfikacji. Pierwsza linia ciągnęła się między Kuźnicą a Jastarnią. W jej skład wchodziły cztery betonowe schrony bojowe, były one jednak nieuzbrojone, gdyż zamówio-

ne do nich działka i ciężkie karabiny maszynowe nie zostały dostarczone na czas. Druga linia obrony – powstała około 300 m od Jastarni – składała się z czterech stanowisk ciężkiej broni maszynowej, trzy z nich nie były wykończone. W pobliżu Helu była jeszcze jedna linia umocnień polowych – fortyfikacje wzniesiono też u nasady półwyspu, w rejonie Wielkiej Wsi, Władysławowa i Chałup. Trzon sił lądowych na Helu stanowiła piechota i artyleria nadbrzeżna. Po zakończeniu walk wiele słów pochwały padło pod adresem żołnierzy z batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza „Hel”. Dowodzący obroną placówki adm. Unrug nie unikał spotkań ze swoimi żołnierzami. Wizytując baterię im. Heliodora Laskowskiego, która była trzonem artyleryjskiej obrony półwyspu, przekazał jej załodze wyrazy najwyższego uznania i żołnierskie podziękowanie¹. Wizyty admirała na pierwszej linii miały duży wpływ na podniesienie morale prostych żołnierzy. Istotne było dla nich, że dowódca floty nie dowodzi z bunkra, ale osobiście poznaje sytuację. Unrug z uwagą wysłuchiwał spostrzeżeń oficerów na temat posunięć nieprzyjaciela, jego strat w wyniku ostrzału helmskiej artylerii oraz meldunków o stanie amunicji. Na koniec prosił podkomendnych o wnioski.

Naloty bombowe

Do 20 września Niemcy nie atakowali Półwyspu Helmskiego. Później na obrońców półwyspu ruszył stalowy walec niemieckiej ofensywy. Atakującym nie na wiele zdało się wsparcie ogniowe pancerników szkolnych „Schleswig-Holstein” i „Schlesien”. Dysponowały one wprawdzie wielką przewagą ognia, ale dzięki działaniom naszej baterii cyplovej – znacznie słabszej, lecz wspa-

niale dowodzonej przez kpt. Przybyszewskiego – tuż przed zakończeniem walk pancerne kolosy musiały dwukrotnie zmienić pozycję, uciekając przed pociskami obrońców. Do złamania oporu załogi Niemcy rzucili bowiem znaczne siły lotnicze. Piloci Luftwaffe, oprócz nekającego ostrzału z broni maszynowej, przeprowadzili wielokrotnie ciężkie naloty bombowe na porty, powodując poważne zniszczenia portów w Jastarni i Helu. Powodowane przez kilka kolejnych dni bombardowania miały doprowadzić do zmęczenia fizycznego i wyczerpania psychicznego tak wojska, jak i ludności cywilnej.

Taktyka ta okazała się skuteczna. W wyniku nieustannych ataków niemieckich oddziałów lądowych, lotnictwa i marynarki wojennej, w sytuacji braku spektakularnych własnych sukcesów – morale polskich żołnierzy zaczęło upadać. Podkopywaniu ducha obrońców służyła też niemiecka propaganda – z samolotów zrzucano ogromne ilości ulotek, by skłonić walczących do zaprzestania walki.

Utrata nadziei

Gdy 23 września lotnictwo niemieckie zbombardowało Kuźnicę, a dwa dni później zaatakowało także Chałupy – Kaszubi zaczęli domagać się zaprzestania walki, grożąc wymówieniem posłuszeństwa polskim władzom². Większość mieszkańców Helu ewakuowano. Domostwa opuścili jedynie ci, którzy przyznawali się do polskości. Mieszkańcy Jastarni, Boru i Chałup – jak wynika ze wspomnień Unruga – pozostali na miejscu. Reszta, oddana Niemcom, pozostała, spodziewając się osobistych korzyści od przyszłego okupanta. Wybuch wojny uniemożliwił przymusową ewakuację przeszło 500 osób cywilnych z okolic Helu. ►

ORP „GROM”

ORP „Grom”, 1937 r.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Rezerwiści pod wpływem meldunków o wycofywaniu się polskiej piechoty z kolejnych pozycji zaczęli głośno mówić o bezcelowości walki. Najgorzej pod tym względem było w 23 baterii przeciwdesantowej. Przypadki dezercji były jednak rzadkie.

Tymczasem 28 września do Unruğa dotarła wiadomość o buncie w szeregach 13 Kompanii Przeciwdesantowej. Do tragedii nie doszło tylko dzięki wzorowej postawie oficerów i pomocy marynarzy z sąsiednich jednostek, którzy bezkrytycznie uporali się z buntownikami. Sprawą miał zająć się prokurator Morskiego Sądu Wojennego w Juracie, ale nie zdążył, bo nazajutrz, 29 września, musiał interweniować w związku z kolejnym buntem. Doszło do niego w szeregach 12 Kompanii Przeciwdesantowej w rejonie Jastarni-Bór. Około 100 żołnierzy zgromadziło się tam pod białymi flagami, po czym bezładną gromadą pomaszerowało do Jastarni. Po dojściu na miejsce, żołnierze ruszyli do portu rybackiego z zamiarem przedostania się łodziami na zajętą przez Niemców stronę zatoki. Próba ucieczki nie powiodła się, gdy przeciw dezertnikom wysłano część 11 Kompanii Korpusu Ochrony Pogranicza, a przed portem w Jastarni otoczyła ich kompania kadrowa marynarzy. Buntownicy zostali pojmieni.

Admirał Unrug nakazał polskim władzom spalić przed kapitulacją akta sądowe, ewidencyjne i personalne w oddziałach i sztabach, a aresztowanych wypuścić. Amnestia, która przyniosła buntownikom wolność, uchroniła ich od niechybnej śmierci przez rozstrzelanie. Gdy 2 października Niemcy wkroczyli do Jastarni, Juraty i Helu, wśród jeńców znaleźli się zarówno ci, którzy walczyli, jak i pragnący się poddać już dużo wcześniej.

Po ogłoszeniu kapitulacji Warszawy, w nocy z 27 na 28 września, gen. dyw. Juliusz Rómmel, najstarszy wówczas rangą dowódca walczących polskich wojsk, poinformował szyfrem Polskiej Marynarki Wojennej (mar-gamma) adm. Unruğa, że daje mu wolną rękę w sprawie zaprzestania walki na Helu, z sugestią, że zbyt wielki rozlew krwi jest niepożądany. Dowódca musiał teraz wybrać optymalny termin kapitulacji. Podczas odprawy z ust Włodzimierza Steyera padły historyczne słowa: „Wszyscy kapitulują we wrześniu, my wytrzymamy do października!”³.

Wytyczne uderzenia na Hel

Tymczasem w sopockim Grand Hotelu spotkali się niemieccy dowódcy. Kontradmiral Hubert Schmudt, dowódca niemieckich sił morskich w Zatoce Gdańskiej, i gen. Leonhard Kaupisch, dowódca niemieckich sił lądowych, uzgodnili wytyczne uderzenia na Hel drogą lądową. Kaupisch stwierdził, że jego oddziały będą gotowe do natarcia w ciągu najbliższych dni. Choć ostatecznie zrezygnowano z desantu, oficerowie postanowili, że część oddziałów lądowych opłynie na pontonach pozycje obronne Polaków pod Chałupami. Aby jednak zdo-

być te pozycje, należało je wcześniej skruszyć silną nawałą artyleryjską. Jednocześnie ciężkie jednostki nawodne Kriegsmarine miały obłóżć ogniem odcinek między Kuźnicą a Jastarnią, aby uniemożliwić obrońcom otrzymanie wsparcia i zaopatrzenia z zewnątrz.

Podczas spotkania w Sopocie wspomniani dowódcy postanowili także wystosować do adm. Unruğa radiowe wezwanie do poddania Helu. Tekst odezwy w języku polskim nadawało wieczorem radio gdańskie, sukcesywnie co pół godziny. Znalazła się tam informacja, że 29 września o godz. 14.00 do obrońców przybędzie niemiecki parlamentarzysta. Gdy dowódca floty nie zareagował na tę propozycję, nieprzyjaciel rozpoczął przygotowania do ostatecznego szturmu.

Niemcy 30 września rozpoczęli zmasowane lądowe natarcie, zajęły Chałupy i posuwali się w kierunku Kuźnicy. Złamanie oporu Polaków było kwestią czasu. Część rezerwistów jawnie skłaniała się do złożenia broni.

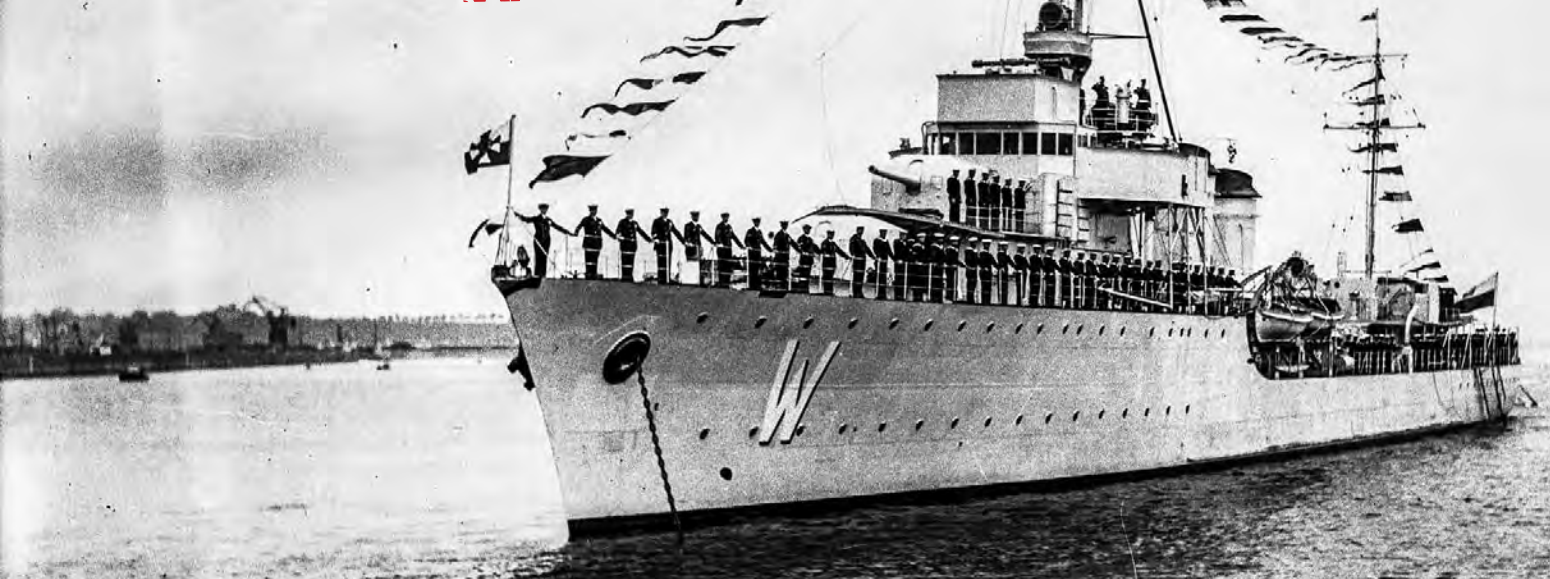
Narada wojenna

Do decydującego natarcia Niemcy mogli przystąpić dopiero po sprowadzeniu dodatkowych sił. Atak lądowy na Hel przy wsparciu z morza i powietrza był możliwy dopiero 3 października. Jednym z powodów opóźnienia było wysadzenie 30 września złożonych w poprzek półwyspu – pod Chałupami – dwóch zapór minowych z 83 głowic torpedowych. Obrońcy chcieli w ten sposób przerwać mierzecę, co stworzyłoby dodatkową przeszkodę dla atakujących. Eksplozja, choć potężna, okazała się jednak nie dość silna. Zakopane zbyt płytko głowice torped nie były w stanie oddzielić polskiej części półwyspu od terenu opanowanego przez wroga. Wybuch spowodował jedynie powstanie lejów, które szybko napełniły się wodą. Zmuszono jednak Niemców do wzmożonej ostrożności, co spowolniło tempo natarcia.

W nocy z 30 września na 1 października w schronie dowódcy floty odbyła się narada wojenna. Oprócz głównodowodzącego wzięli w niej udział komandorzy Majewski, Frankowski i Steyer. Oficerowie, z adm. Unrugiem na czele, byli zgodni co do tego, że dalsza obrona Helu straciła sens. W oddziałach piechoty brakowało amunicji i żywności. Podczas narady tylko kmdr Majewski sprzeciwił się poddaniu placówki. Później także oficerowie z pierwszych linii mieli do admirała pretensje z powodu zbyt wczesnej, ich zdaniem, kapitulacji. Unrug odpowiedział im w sobie właściwy sposób: „Panowie oficerowie [...] Wszakże, nie zezwalam na dalszy rozlew marynarskiej i żołnierskiej krwi! Niemcy i tak tę wojnę przegrają. Jeszcze Polska nie zginęła!”⁴.

Admirał Unrug 1 października wydał rozkaz nr 28: „W dniu dzisiejszym o godzinie 8 rano zwróciłem się przez radio do prowadzącego przeciwko nam działania wojenne admirała niemieckiego z propozycją zaprzestania walki i porozumienia się przez parlamentarzysty.

ORP „WICHER”



ORP „Wicher”, 1937 r.

Fot. Narodowe Archiwum
Cyfrowe

Żołnierze! W tej decydującej chwili wzywam was do zachowania karności i spokoju oraz bezwzględnego wykonania rozkazów waszych przełożonych. Rozkaz proszę odczytać przed frontem wszystkich oddziałów”⁵. Już 20 minut po nadaniu radiowego sygnału w języku polskim do dowódcy niemieckich oddziałów operujących przeciw załodze Helu nadeszła odpowiedź: Niemcy zaproponowali zawieszenie broni o godz. 14.00. Dwie godziny później parlamentariusze, którzy mieli wziąć udział w rozmowach kapitulacyjnych, czekali już w helskim porcie wojennym. Na delegata strony polskiej adm. Unrug wyznaczył kmdr. Majewskiego, któremu przydzielono jako tłumacza kpt. Antoniego Kasztelana, oficera wywiadu. O godz. 17.00 w sopockim Grand Hotelu rozpoczęło się ustalanie warunków kapitulacji. W rozmowach uczestniczyli kadm. Schmudt i gen. Kaupisch. Strony ustaliły, że niemieckie oddziały wojskowe zajmą część półwyspu od jego nasady do Jastarni, a jednostki Kriegsmarine – od Jastarni po Hel. Polaków zobowiązano do przekazania w dobrym stanie wszelkich obiektów wojskowych oraz składów broni i amunicji. Tymczasem w nocy z 1 na 2 października na rozkaz Unruga, mimo zastrzeżeń strony niemieckiej, w oddziałach przystąpiono do niszczenia broni, amunicji i sprzętu wojskowego. Na niezatopionych jednostkach morskich zdewastowano wszelkie me-

chanizmy, przede wszystkim zniszczono dokumenty i szyfry. O godz. 19.30 kmdr Majewski podpisał akt kapitulacyjny, występując w imieniu adm. Unruga. Przekazanie Niemcom półwyspu po 32 dniach walk ustalono na 2 października. Półwysep Helski okazał się najdłuższym i najcięższym środkiem oporu polskiego na Wybrzeżu. Na Helu poległo około 100 obrońców, a 150 zostało rannych. Do niewoli trafiło około 3600 żołnierzy i marynarzy, w tym 52 oficerów. Nieprzyjacieli stracił m.in. 52 samoloty, z czego 36 nad samym półwyspem. Ofiarą polskich podwodnych minowców padł 1 października 1939 r. niemiecki trałowiec „M 85”, który wszedł na minę postawioną przez ORP „Żbik” i zatonął na północy wschód od Jastarni, 7 grudnia niemiecki kuter rybacki „Heimat” poszedł na dno na minie postawionej przez polski okręt „Wilk”. Uszkodzony został pancernik „Schleswig-Holstein”. Straty w ludziach są trudne do określenia. ■

MARIUSZ BOROWIAK pisarz, dziennikarz, poszukiwacz wraków. Autor 80 książek o tematyce wojenno-morskiej.

¹ W. Paca, *Bateria im. H. Łaskowskiego we wrześniu 1939 roku*, w: *Ostatnia Reduta*, wybór, oprac. i wstęp R. Witkowski, Gdańsk 1973, s. 157. ² J. Koziołkowski, *Załącznik do zeszytu ewidencyjnego. Meldunki o znanych działaniach wojennych*, IPMS w Londynie, sygn. R.A.II.5/1A. ³ W. Steyer, *Samotny półwysep*, Poznań 1983, s. 53. ⁴ M. Borowiak, *Admirał Unrug 1884-1973*, Warszawa 2009, s. 245; J. Unrug, *Kampania Wrześniowa*, w: *Marynarka Wojenna. Dokumenty i opracowania*, Londyn 1968, s. 64-65. ⁵ *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, t. 1: *Kampania Wrześniowa 1939*, cz. 5: *Marynarka Wojenna i obrona polskiego Wybrzeża*, Londyn 1962, s. 197.



Jesień krakusów

We wrześniu 1939 r. obok regularnych oddziałów kawalerii do obrony ojczyzny ruszyli krakusi – formacja, której historia sięga epoki napoleońskiej i powstań narodowych. Dziś niewiele się o nich pamięta.

PIOTR KORCZYŃSKI

Po klęsce Wielkiej Armii pod Moskwą w 1812 r. jej wódz Napoleon Bonaparte z charakterystyczną dla siebie energią przystąpił do odbudowy wojska. Największą bolączką był brak kawalerii, którą wytracił prawie zupełnie w walkach odwrotowych. Elitę korpusów kawaleryjskich Wielkiej Armii stanowili Polacy. Kawalerzyści znad Wisły i Niemna okazali się niezwykle skuteczni w kampanii rosyjskiej. Znający język przeciwnika i dysponujący, w odróżnieniu od kawalerii francuskiej, podkutymi końmi – na rosyjskich bezdrożach przewyższali pod każdym względem swych towarzyszy broni z francuskich i sprzymierzonych pułków kawaleryjskich Wielkiej

Armii. Z tego też powodu byli nieustannie wysyłani na najbardziej zagrożone odcinki frontu. Napoleon bez pardonu rzucał polską kawalerię do walki nie tylko z rosyjską jazdą i piechotą, ale, niestety, także z artylerią. W ten sposób wytracił ponad 20 pułków kawalerii liczących 30 tys. szabel z Księstwa Warszawskiego i Litwy. Olbrzymie straty zadały Polakom również rosyjska zima i głód. Do końca grudnia 1812 r. do kraju powróciła mniej niż połowa polskich kawalerzystów, a ci, którzy przeżyli, byli na ogół chorzy lub ranni. Straty wielu pułków sięgały jednej trzeciej stanu. Napoleon zdawał się nie zauważać kryzysu, w którym pogrążyło się Księstwo Warszawskie, i naciskał na naczelnego wodza armii Księstwa, księcia Józefa Poniatowskiego, by jak najszybciej i wszelkimi sposobami odtworzył polską kawalerię. Cesarz Francuzów sugerował

nawet Poniatowskiemu, by na konie posadził polskich piechurów, wszak Polacy są urodzonymi kawalerzystami.

Postrach Kozaków

Dekretem Rady Ministrów z 20 grudnia 1812 r. zarządzono pobór jednego uzbrojonego konnego z 50 dymów (zagród). Jednak ziemie polskie były już mocno огоłocone z koni wierzchowych i większość poborowych stawiała się na małych, lichych chłopskich mierzynkach. Szybko okazało się, że jeźdźcy ci nie nadają się do wcielenia do pułków liniowych – ułanów, szwoleżerów, nie mówiąc o kira-

cia. Żołnierze wyglądali jak kosynierzy Tadeusza Kościuszki posadzeni na konie. W szarych, białych lub granatowych sukmanach, z krakuskami na głowach z czarnym lub białym „barankiem” na otoku, dzierżyli w dłoniach długie lance bez proporców, a na sznurkach mieli zawiązane pistolety i szable „jak Bóg dał”. Po defiladzie tę chłopską jazdę nazwano krakusami i pomimo niepozornego wyglądu mundurów i koni szybko okazało się, że polskie wojsko zyskało kolejną wyjątkową formację. Poziomym wyszkolenia zdumiali cesarza, który 25 września 1813 r. w saksońskim Grossharthau osobiście do-



2



3



4

KRAKUSI

1. Wojsko polskie z okresu Księstwa Warszawskiego. *Jazda Krakusy z roku 1812*. Akwarela z połowy XIX w. Fot. Polona.pl
2. Dwaj Krakusi na koniach i dwaj oficerowie. Litografia Kajetana Saryusz-Wolskiego z końca XIX w. Fot. Polona.pl
3. Krakus z Korpusu gen. [Józefa] Dwernickiego z czasów Powstania Listopadowego. Autor Jan Feliks Piwarski, rysunek z pierwszej połowy XIX w. Fot. Polona.pl
4. Litografia z albumu *Wojsko polskie. Zbiór wszystkich gatunków wojska polskiego w r. 1831*. Piąty i szósty od lewej: żołnierze formacji krakusów. Współautor Teofil Mielcarzewicz, pierwsza połowa XIX w. Fot. Polona.pl

sierach. Wtedy wybitny kawalerzysta, gen. Jan Nepomucen Umiński wpadł na pomysł, by stworzyć z nich zupełnie nową formację lekkiej jazdy, służącą do rozpoznania i ubezpieczeń głównych sił armii. Książę Poniatowski poparł projekt i jako główny punkt formowania jednostki wyznaczył Częstochowę, a jej pierwszym organizatorem i dowódcą został sam pomysłodawca – gen. Umiński. Żołnierzy rekrutowano głównie z departamentów krakowskiego, kaliskiego, radomskiego i poznańskiego, czyli z tych ziem Księstwa Warszawskiego, na których jeszcze można było dokonać poboru przed zajęciem ich przez Rosjan.

Kiedy na początku maja 1813 r. kawalerzyści Umińskiego po raz pierwszy przedefilowali przed Poniatowskim stojącym na tarasie pałacu Pod Lipami w Krakowie, by niebawem dołączyć do armii Napoleona za granicami Księstwa, ich wygląd niezmiennie zdumiał księ-

konat przeglądu pułku.

Podczas pokazu pułk wykonał przed nim manewr rozwijania i zwiżania szyków, zmianę frontu i atak, wykonując wszystko w pełnym galopie i całkowitej ciszy, według sygnałów optycznych wykonywanych buńczukiem. Następnie jeźdźcy zaprezen-

towali umiejętności indywidualne, na przykład chwytając w galopie z ziemi cza-

pyki, kamyczki, a nawet piasek. Zachwycony Napoleon powiedział wtedy do Poniatowskiego: „Właśnie oglądałem pańską jazdę pigmejską, muszę mieć 3000 podobnej!”¹. Określeniem pigmejska cesarz w żartobliwy sposób nawiązał do małych, niepozornych wierzchowców, których dosiadali krakusi, ale znał już ich wartość, bo takie same wytrzymałe konie spotkał u Kozaków w czasie odwrotu spod Moskwy w 1812 r. Skojarzenia krakusów z Kozakami nie dotyczyły tylko wierzchowców.

W istocie przejęli oni taktykę i sposób walki tych jeźdźców ze wschodu, siejących postrach w szeregach napoleońskich armii.

Krakusi w ostatnich kampaniach Napoleona rozgromili niejedną kozacką sotnię. Im też przypadła rola ostatnich żołnierzy, którzy oddali strzały do szturmujących Paryż 30 marca 1814 r. huzarów pruskich. W lipcu tego roku dwuosobowy oddział krakusów jako honorowa eskorta zwłok księcia Józefa Poniatowskiego powrócił z Lipska do Warszawy. Tym samym krakusi zamknęli chwalebny, ale i pełen rozczarowań rozdział służby polskich żołnierzy pod napoleońskimi sztandarami.

W każdym kolejnym powstaniu przeciw zaborcom w polskim wojsku reaktywowano szwadrony krakusów. W wojnie z Rosją 1830–1831 walczyły dwa ich pułki:

w skład 9 dyonu artylerii konnej. Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej wydawało się, że dla krakusów nie znajdzie się miejsce w Wojsku Polskim, które ówczesnie dysponowało już trzema pułkami szwoleżerów, dwudziestoma siedmioma pułkami ułanów i dziesięcioma pułkami strzelców konnych. Ostatecznie jednak krakusi nie przeszli wtedy do historii, lecz stali się jedną z najpopularniejszych formacji paramilitarnych, przygotowujących młodzież do służby w regularnych jednostkach kawalerii. Pierwszy taki oddział powstał w 1928 r. w powiecie łęczyckim. Rotmistrz rez. Stanisław Młodzianowski z 12 Pułku Ułanów sformował go z młodzieży pierwszego i drugiego stopnia przysposobienia wojskowego. Stanowiska podoficerskie pełnili w nich doświadczeni podoficerowie rezerwy, a chętni do służby ochotnicy zobowiązani byli



1

1 Pułk Jazdy Krakowskiej oraz 2 Pułk Krakusów i cztery samodzielne oddziały. Jeden z nich – Warszawski Dyon Krakusów im. Tadeusza Kościuszki ppłk. Antoniego Szymańskiego – odznaczył się w bitwie pod Stoczkiem 14 lutego 1831 r. Za szarżę na rosyjskie armaty krakusi otrzymali wtedy trzy Ordery Virtuti Militari, a Wincenty Pol unieśmiertnił ich pieśnią *Grzmia pod Stoczkiem armaty, błyszczą białe rabaty*. Nie zabrakło krakusów i w Powstaniu Styczniowym, gdzie w partyzanckiej armii tworzyli najbardziej doborowe formacje jazdy, przydzielane do ochrony sztabów naczelników wojskowych i kolejnych dyktatorów powstania.

Nowe zadania

W odrodzonym Wojsku Polskim krakusi pojawili się w obliczu nawały bolszewickiej 1920 r. Wówczas sformowano w Krakowie dyon krakusów, wcielony do 108 Pułku Ułanów. Ponadto kapitan artylerii konnej Tadeusz Dzieduszycki wystawił baterię konną krakusów, która weszła

zgłaszać się razem z wierzchowcem. Inicjatywa rtm. Młodzianowskiego zdobyła szybko tak wielką popularność, że władze wojskowe postanowiły organizować oddziały krakusów w całej Polsce. W 1932 r. powstał Referat Krakusów przy Departamencie Kawalerii Ministerstwa Spraw Wojskowych, na czele którego stanął rtm. Młodzianowski. W ciągu trzech lat od rozpoczęcia pracy Referatu Krakusów prawie każdy powiat w Polsce mógł poszczycić się swoimi krakusami. Kiedy w 1936 r. odbył się gwiazdzysty zjazd szwadronów krakusów z całego kraju, pod Warszawą stanęła doskonale umundurowana i wyćwiczona armia konna.

Obowiązkiem krakusa II RP był udział w wykładach i ćwiczeniach dwa razy po dwie godziny tygodniowo przez 10 miesięcy w roku (lipiec i sierpień były wolne od służby). Trzy niedziele w miesiącu były przeznaczone na całodzienne ćwiczenia. Dwa razy do roku, na wiosnę i na jesień, odbywały się tzw. koncentracje krakusów, które trwały trzy dni. Wtedy to krakusi w pełnym uzbrojeniu

i konno prowadzili ćwiczenia polowe. Ponadto z okazji świąt narodowych zobowiązani byli do udziału w defiladach, maszerując z innymi oddziałami przysposobienia wojskowego lub z Obroną Narodową. Służba w krakusach niosła też sporo przywilejów: skrócenie służby wojskowej, awanse, urlopy, a przede wszystkim pierwszeństwo przy obejmowaniu państwowych posad. Nie dziwi więc, że punkty rekrutacyjne przeżywały ciągłe obleżenie chętnych do tej służby. Najczęściej była to młodzież przedpoborowa pierwszego i drugiego stopnia, zdarzało się jednak i tak, że jednocześnie konno zgłaszali się dziadek, syn i wnuk. Poza tym o przyjęcie prosiła cała rzesza chłopców niepełniających wymogów wiekowych lub niemających własnych wierzchowców. Z nich organizowano ponadetatowe plutony cyklistów. Kadre dowódczą stanowili



1. Ćwiczenia 8 Pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego. Oddział kawalerii z lancami przed szarżą. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe **2. Święto 8 Pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego w Krakowie. Defilada na terenie koszar.** Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

na ogół oficerowie i podoficerowie kawalerii w rezerwie lub stanie spoczynku.

Ostatni akord

W ostatnich miesiącach pokoju w 1939 r. część szwadronów krakusów przeformowano na kawalerię dywizyjną przy poszczególnych dywizjach piechoty lub brygad Obrony Narodowej. Krakusi we Wrześniu '39 udowodnili, że godni są tradycji poprzedników. Warto w tym miejscu przywołać wspomnienia por. Józefa Jerzego Grzyba, żołnierza siedleckiego szwadronu kawalerii, który we wrześniu 1939 r. walczył w ramach 9 Dywizji Piechoty z Armii „Pomorze”. Krakusi rtm. Władysława Czecha 1 września 1939 r., prowadząc dywizyjne rozpoznanie w rejonie Tucholi, pierwsi podjęli walkę z niemieckimi oddziałami pancernymi. Porucznik Grzyb tak wspominał wydarzenia, które nastąpiły bezpośrednio po ataku Niemców: „Zaczęły dołączać patrole własne [krakusów], dosłownie pomiędzy czołgami nieprzyjaciela, składając

spóźnione meldunki o położeniu. [...] Pierwsi zabici i ranni wśród patroli. Kpr. Izdebski jako dowódca patrolu spieszył się z patrolem i tak długo strzelał, aż został zmiażdżony przez czołg na moich oczach. Żołnierze spisywali się doskonale i z dużą przytomnością umysłu, tak że całość robiła wrażenie raczej manewrów. Mgła zaczęła opadać i widoczność stawała się doskonała. Wróciły wszystkie patrole. Po parogodzinnej walce rtm. Czech kazał wycofać się na drugą linię obronną, na widocznym wzgórzu, po czym sam skoczył motocyklem do dowódcy dywizji. Udało nam się oderwać od nieprzyjaciela szczęśliwie”². Niestety, 9 Dywizję Piechoty szybko otoczyły niemieckie dywizje pancerne i zmotoryzowane. Wtedy 2 września zapadła decyzja o przebijaniu się z kotła w Borach Tucholskich. Tym razem krakusi stanowili straży tylną dywizji i przebijali się przez dwie linie niemieckie, gęsto najeżone gniazdami karabinów maszynowych i czołgami. Porucznik Grzyb podkreśla, że nie doszło wtedy do żadnej „szalonej szarży na czołgi”, gdyż te znajdowały się daleko i strzelały do nas ogniem dalekim; cel miały na dłoni; galopujące konie podnoszące kurz, a było nas jeszcze około 180 koni”³. Krakusi przejechali w tym morderczym ogniu obydwie linie nieprzyjacielskie i zanim znaleźli osłonę między drzewami, stracili połowę ludzi i koni. Zginął wtedy ich dzielny dowódca, rtm. Czech, a por. Grzyb został ranny i zabito pod nim konia. W ten sposób porucznik pozostał w grupie, która nie zdołała się wyrwać z okrążenia.

Przed świtem 4 września por. Grzyb z kilkoma krakusami dotarł do wsi, w której napotkał kilku piechurów z 35 Pułku Piechoty. Żołnierze mieli ze sobą cztery erkamy i zdecydowali byli przebić się z okrążenia za wszelką cenę. Niestety, nie było to już możliwe. Patrole niemieckie szybko ich wykryły. Wywiązała się walka – wspomina por. Grzyb. – Poległo kilkunastu Niemców, ale nadchodzili następni i wreszcie przybył czołg. Zapalili zabudowania i obrzucili granatami. Wreszcie dostali nas. Pozostali przy życiu ośmiu naszych żołnierzy wyprowadzili w pole i natychmiast rozstrzelali. Gdy rozpoznali mnie jako »leitnanta« wsadzili do motocykla i powieźli na szosę, gdzie kazali mi stać na baczność przed jakimś generałem. [...] Po krótkim badaniu w najczystszej mowie polskiej jakiegoś osobnika bez odznak, generał zauważył, że jestem ranny i polecił odwieźć mnie do szpitala”⁴.

Mówi się, że wrzesień 1939 r. był końcem polskiej kawalerii, co jest nieprawdą, gdyż kawalerzyści pancerni generałów Stanisława Maczka i Władysława Andersa wyrównywali rachunki z nieprzyjacielem do końca wojny, ale dla krakusów była to rzeczywiście ostatnia kampania. ■

PIOTR KORCZYŃSKI redaktor kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia”, publicysta. Autor książek, m.in.: *Elitarnie oddziały specjalne Wojska Polskiego 1939–1945; Wojownicy, żołnierze i śmierć nie zawsze pełna chwały*.

¹ M. Łukasiewicz, *Armia księcia Józefa 1813*, Warszawa 1986, s. 115. ² J.J. Grzyb, *Sprawozdanie z działań siedleckiego szwadronu krakusów*, w: *Jazda polska w II wojnie światowej*, praca zbiorowa, Londyn 1956, s. 163–164. ³ Tamże, s. 168. ⁴ Tamże, s. 169.



Opracowanie map: Szefostwo Rozpoznania Geoprzestrzennego



A WIĘC WOJNA!

Wojsko Polskie we wrześniu 1939 r. zmuszone zostało do konfrontacji z najpotężniejszymi ówczesnymi armiami świata – Wehrmachtem i Armią Czerwoną. Powtarzane od lat zdanie, że nie mieliśmy żadnych szans, stało się w końcu bezdyskusyjnym truizmem. Warto jednak pochylić się nad rzeczywistym potencjałem sił, by zrozumieć fenomen, jakim była walka polskiego żołnierza z przeważającymi siłami nieprzyjacielskich armii.

MICHAŁ PRZYBYŁAK

Fot. domena publiczna

ARMIA „MODLIN”**Dowódca:**gen. bryg.
Emil Krukowicz-Przedrzymirski**Szef sztabu:**

płk dypl. Stanisław Grodzki

Zadania:

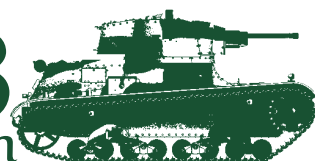
- osłonić kierunki na Warszawę i Płock;
- rozpoznać siły nieprzyjaciela działające na obu kierunkach i opóźniać je, wycofując się w ostateczności na linię Wisła – Narew. Tej linii bronić, utrzymując w ręku wyjścia na północny brzeg Wisły w Modlinie i na Narwi w Pułtusku.

Skład Armii „Modlin”: 8 Dywizja Piechoty,
20 Dywizja Piechoty, Nowogródzka Brygada Kawalerii,
Warszawska Brygada Obrony Narodowej.

We wrześniu 1939 r. armia
polska mogła przeciwstawić
najeźdźcom około

713

pojazdów pancernych

**PORÓWNANIE POTENCJAŁU POLSKICH ZWIĄZKÓW OPERACYJNYCH**

Nazwa związku	Dywizje piechoty	Brygady piechoty	Brygady motorowe	Brygady kawalerii	Brygady Obrony Narodowej	Bataliony piechoty	Szwadrony kawalerii	Liczba dział	Liczba czołgów i samochodów pancernych	Liczba samolotów	Liczba pociągów pancernych
Samodzielna Grupa Operacyjna „Narew”	2	–	–	2	–	22	38	136	42	29	–
Armia „Modlin”	2	–	–	2	1	28	37	192	68	31	1
Armia „Pomorze”	5	–	–	1	2	65	25	310	34	52	1
Armia „Poznań”	4	–	–	2	2	55	19	276	94	56	2
Armia „Łódź”	4	–	–	2	1	34	29	180	107	55	2
Armia „Kraków”	6	2	1	1	2	60	29	252	102	53	2
Armia „Karpaty”	2	2	–	–	3	43	2	96	–	20	–
Armia Odwodowa „Prusy”	7	2	–	1	–	54	25	489	80	–	–
Grupa Operacyjna „Wyszków”	3	–	–	–	–	21	3	144	–	–	1
Lądowa Obrona Wybrzeża i Marynarka Wojenna	–	–	–	–	1	17	1	53 + artyleria okrętowa	–	31	1 improwizowany
Korpus Ochrony Pogranicza	–	1	–	–	1/2	25	6	–	–	–	–
W bezpośrednim podporządkowaniu Naczelnego Wodza	–	–	1	–	–	1	5	48	41	190	1
ZWIĄZKI IMPROWIZOWANE W TRAKCIE KAMPANII POLSKIEJ 1939 R.											
Armia „Lublin”	2	–	1	1	–	21	11	264	73	–	–
Armia „Warszawa”	resztki 9 DP	–	–	resztki 4 BK	–	ponad 48	ponad 13	około 300	ponad 43	–	1
Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie”	2	–	–	3	–	17 niepełnych	30 niepełnych	34	30	3	–



SAMODZIELNA GRUPA OPERACYJNA „NAREW”

Dowódca:

gen. bryg. Czesław Młot-Fijałkowski

Szef sztabu:

ppłk dypl. art. Stanisław Podkowiński

Zadania:

- rozpoznać nieprzyjaciela działającego w rejonie odpowiedzialności Grupy;
- osłonić wschodnie skrzydło Armii „Modlin”;
- osłonić linię kolejową Grodno – Białystok – Warszawa;
- nie dopuścić, by nieprzyjaciół przeszedł linię Narew – Biebrza.

Skład Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”:

18 Dywizja Piechoty, 33 Dywizja Piechoty, Podlaska Brygada Kawalerii, Suwalska Brygada Kawalerii, 3 Pułk Piechoty Korpusu Ochrony Pogranicza.

ARMIA „POZNAŃ”

Dowódca:

gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba

Szef sztabu:

płk dypl. Stanisław Lityński

Zadania:

Podstawowe zadanie Armii „Poznań”:

- osłona skrzydeł Armii „Łódź” i Armii „Pomorze”; uporczywe powstrzymywanie nieprzyjaciela, by nie dać się zepchnąć zbyt szybko na ostateczną pozycję obrony.

W rozwinięciu tego zadania:

- nie dać się odrzucić od armii sąsiednich; w tym celu rozpoznać i opóźniać nieprzyjaciela przede wszystkim na kierunkach:
 - a) Piła – Inowrocław,
 - b) Głogów, Wrocław – Głogów.
- na kierunku Frankfurt – Poznań:
 - a) wykorzystać jak najdłużej przedpole Warty i osłonić Poznań przed zaskoczeniem;
 - b) rozpoznać działające na tym kierunku siły nieprzyjaciela.

Do opóźnienia nieprzyjaciela wykorzystać wszystkie nadające się w tym celu linie terenowe.

- ostateczna pozycja obrony: nawiązanie do przedmościa Bydgoszczy – jeziora Żnin – jeziora Gopło – kanału Gopło-Warta – rzeki Warty z wysunięciem się w rejon Konina – Turka.

Skład Armii „Poznań”:

14 Wielkopolska Dywizja Piechoty, 17 Wielkopolska Dywizja Piechoty, 25 Dywizja Piechoty, 26 Dywizja Piechoty, Wielkopolska Brygada Kawalerii, Podolska Brygada Kawalerii, Poznańska Brygada Obrony Narodowej, Kaliska Brygada Obrony Narodowej.

ARMIA „POMORZE”

Dowódca:

gen. dyw. Władysław Bortnowski

Szef sztabu:

płk dypl. dr Ignacy Izdebski

Zadania:

- osłonić kierunki wyprowadzające z Prus Zachodnich i z Gdańska na Bydgoszcz oraz z Prus Wschodnich na Toruń i Włocławek;
- rozpoznać siły nieprzyjaciela;
- przeciwstawić się nieprzyjacielowi na odcinku armii działaniem obronnym;
- wykorzystać każdą okazję do działania zaczepnego na prawym brzegu Wisły;
- jak najdłużej i jak najwydatniej podtrzymać rozdział sił nieprzyjaciela po obu brzegach Wiły. W tym celu przeprowadzić zniszczenia na kierunku Prusy Zachodnie – Prusy Wschodnie;
- pozycja ostatecznej obrony: przedmoście Bydgoszcz i Toruń – rzeka Wisła.

Skład Armii „Pomorze”: 4 Dywizja Piechoty, 9 Dywizja Piechoty, 15 Wielkopolska Dywizja Piechoty, 16 Pomorska Dywizja Piechoty, 27 Dywizja Piechoty, Pomorska Brygada Kawalerii, Pomorska Brygada Obrony Narodowej, Chełmińska Brygada Obrony Narodowej.



ARMIA „ŁÓDŹ”

Dowódca:

gen. dyw. Juliusz Rómmel

Szef sztabu:

płk dypl. Aleksander Pragłowski

Zadania:

- oddziałami osłonowymi osłonić kierunki Łódź i Piotrków;
- przeciwstawić się obronnie z wyzyskaniem możliwości przeciwnatarć siłami skoncentrowanej armii w odcinku armii; bezwzględnie utrzymać rejon Łódź i Piotrków;
- ugrupować się w ten sposób, aby móc wykonać uderzenie z rejonu Sieradz w ogólnym kierunku zachodnim na nieprzyjaciela działającego na kierunku Kalisz – Koło;
- na lewym skrzydle trzymać łączność z Armią „Kraków” i nadzorować kierunek Radomsko – Skarżysko-Kamienna.

Skład Armii „Łódź”: 2 Dywizja Piechoty Legionów, 10 Dywizja Piechoty, 28 Dywizja Piechoty, 30 Dywizja Piechoty, Wołyńska Brygada Kawalerii, Kresowa Brygada Kawalerii, Sieradzka Brygada Obrony Narodowej.

ARMIA „KRAKÓW”**Dowódca:**

gen. bryg. Antoni Szylling

Szef sztabu:

płk dypl. Stanisław Wiloch

Zadania:

- bronić rejonu przemysłowego Górny Śląsk;
- osłonić kierunek na Kraków od południowego zachodu, opóźniać i rozpoznać działające tu siły nieprzyjaciela;
- zabezpieczyć możliwie jak najdłużej odcinek linii kolejowej Żąbkowice – Częstochowa;
- ostateczna pozycja obrony: obszar umocniony „Górny Śląsk” – Mikołów – Pszczyna – Biała – Żywiec.

Skład Armii „Kraków”: 6 Dywizja Piechoty, 7 Dywizja Piechoty, Krakowska Brygada Kawalerii, 10 Brygada Kawalerii, 5 Brygada Obrony Narodowej.

Grupa Operacyjna „Bielsko”: 6 Dywizja Piechoty, 21 Dywizja Piechoty Górskiej, 1 Brygada Górską Korpusu Ochrony Pogranicza,

Grupa Operacyjna „Śląsk”: 23 Górnośląska Dywizja Piechoty, 55 Dywizja Piechoty Rezerwowa, Grupa Forteczna „Katowice”.



950 000
żołnierzy

ARMIA „KARPATY”

(od 6 września Armia „Małopolska”)

Dowódca: gen. dyw. Kazimierz Fabrycy**Szef sztabu:** płk dypl. Witold Morawski**Zadania:**

- osłonić południową granicę państwa na przestrzeni od Tatr wyłącznie po Rumunię, a w szczególności:
 - a) osłonić Centralny Okręg Przemysłowy oraz skrzydło i tyły Armii „Kraków”;
 - b) dozorować kierunki wyprowadzające z Węgier na Małopolskę Wschodnią, a zwłaszcza na zagłębie naftowe Borysław.

Skład Armii „Karpaty” – Odcinek „Słowacja”:

2 Brygada Piechoty Górskiej, 3 Brygada Piechoty Górskiej; **Odcinek „Węgry”:** 1 Pułk Piechoty „Karpaty”, Karpacka Półbrygada Obrony Narodowej, 216 Pułk Piechoty. Po 3 września: 11 Karpacka Dywizja Piechoty, 24 Dywizja Piechoty.

MORSKA I LĄDOWA OBRONA WYBRZEŻA**DOWÓDZTWO MORSKIEJ OBRONY WYBRZEŻA:****Dowódca Morskiej Obrony Wybrzeża:**

kmdr dypl. Stefan Frankowski

Szef sztabu: kmdr ppor. dypl.

Romuald Gintowt-Dziewałtowski

DOWÓDZTWO LĄDOWEJ OBRONY WYBRZEŻA:**Dowódca Lądowej Obrony Wybrzeża:**

płk piech. Stanisław Dąbek

Szef sztabu: ppłk dypl. piech.

Marian Sołodkowski

Zadania na morzu:

- przeszkadzać w komunikacji morskiej między Rzeszą a Prusami Wschodnimi.

Zadania na Wybrzeżu:

- bronić Helu jako zasadniczej bazy dla Marynarki Wojennej;
- bronić rejonu Gdyni;
- nie dopuścić do zaskoczenia rejonu Gdyni;
- umożliwić mobilizację Floty i przesunięcie wyposażenia znajdującego się w Gdyni na Hel;
- jak najdłużej uniemożliwić nieprzyjacielowi swobodne korzystanie z szosy i linii kolejowej Wejherowo – Gdynia oraz nie dopuścić do umieszczenia artylerii dalekonośnej w rejonie Oksywie dla ostrzeliwania Helu;
- na pozostałej części przedpola utrudnić nieprzyjacielowi posuwanie się przy pomocy zniszczeń.

Skład Morskiej i Lądowej Obrony Wybrzeża:

Morska Obrona Wybrzeża: Rejon Umocniony „Hel”, Dywizjon Artylerii Nadbrzeżnej, Dywizjon Minowców, ORP „Wicher”, ORP „Gryf”, ORP „Mazur”.

Lądowa Obrona Wybrzeża: 1 Morski Pułk Strzelców, 2 Morski Pułk Strzelców, 1 Batalion Marynarzy, 1 Batalion Straży Granicznej, Morski Dywizjon Żandarmerii Wojskowej, oddziały ochotnicze.

Dowództwo Floty: Dywizjon Kontrtorpedowców, Dywizjon Okrętów Podwodnych, Morski Dywizjon Lotniczy, Wojskowa Składnica Tranzytowa na Westerplatte.

I90

samolotów było
w bezpośrednim
podporządkowaniu
Naczelnego Wodza

ARMIA ODWODOWA „PRUSY”

Dowódca:

gen. dyw. Stefan Dąb-Biernacki

Szef sztabu:

płk dypl. Tomasz Obertyński

Zadania: Armia „Prusy” była odwodem Naczelnego Wodza na tyłach Armii „Łódź” i Armii „Kraków” na osi przewidywanego ataku. Miała zmobilizować się do 10–12 dnia wojny i przeprowadzić uderzenie na korzyść Armii „Łódź” lub Armii „Kraków”.

Skład Armii „Prusy” – grupa północna: 13 Dywizja Piechoty, 19 Dywizja Piechoty, 29 Dywizja Piechoty, Wileńska Brygada Kawalerii; **grupa południowa:** 3 Dywizja Piechoty Legionów, 12 Dywizja Piechoty, 36 Dywizja Piechoty.

GRUPA OPERACYJNA „WYSZKÓW”

Dowódca:

gen. bryg. Stanisław Skwarczyński
faktycznie gen. bryg. W. Kowalski

Szef sztabu:

ppłk dypl. Bogdan Szeligowski

Zadania: grupa planowana jako odwód Naczelnego Wodza, miała bronić linii Narwi od strony Prus Wschodnich, w obszarze odpowiedzialności Armii „Modlin”. Odwód „Wyszków” miał uderzyć w kierunku Narwi, a w przypadku przekierowania głównego uderzenia na Narew winien przejść do obrony na Narwi.

Skład Grupy Operacyjnej „Wyszków”: 1 Dywizja Piechoty Legionów, 35 Dywizja Piechoty, 41 Dywizja Piechoty.

KORPUS OCHRONY POGRANICZA

Dowódca:

gen. bryg. Wilhelm Orlik-Rückemann

Szef sztabu:

mjr dypl. piech. Stanisław Gawroński

Zadania: KOP wystawił: 3 dowództwa dywizji piechoty, 8 dowództw pułków, 24 bataliony piechoty, batalion saperów, 2 dywizjony artylerii, 7 szwadronów kawalerii, pozostałe oddziały i pododdziały miały osłaniać granicę wschodnią.

Skład Korpusu Ochrony Pogranicza po mobilizacji: Brygada KOP „Polesie”, Dziśnieńska Półbrygada ON, Pułki KOP: „Wilno”, „Głęboke”, „Wilejka”, „Snów”, „Sarny”, „Zdołbunów”, „Czortków”.

ZWIĄZKI IMPROWIZOWANE:

ARMIA „LUBLIN”

Dowódca: gen. dyw. Tadeusz Piskor

Szef sztabu: płk dypl. Jerzy Zawisza

Zadania: Armia „Lublin” powstała 4 września 1939 r., a jej głównym zadaniem była obrona środkowej Wisły. Jej trzonem była Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa, a pozostałe oddziały pochodziły z rozbitej Armii „Prusy”.

Skład: 39 Dywizja Piechoty Rezerwowa, Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa, Kombinowana Brygada Kawalerii, Grupa „Sandomierz” (2 Pułk Piechoty).

ARMIA „WARSZAWA”

Dowódca: gen. dyw. Juliusz Rómmel

Szef sztabu: płk Aleksander Pragłowski

Zadania: Armia „Warszawa” powstała 8 września 1939 r. jako kontynuacja rozformowanej Grupy Armii „Warszawa” – dowództwo i sztab powstały na bazie oficerów z Armii „Łódź”. Armia „Warszawa” miała za zadanie bronić do upadłego Warszawy i Modlina angażując jak największe siły nieprzyjaciela.

Skład: Obrona Warszawy, Obrona Modlina, resztki oddziałów z Armii: „Łódź”, „Poznań”, „Pomorze” i „Modlin”.

SAMODZIELNA GRUPA OPERACYJNA „POLESIE”

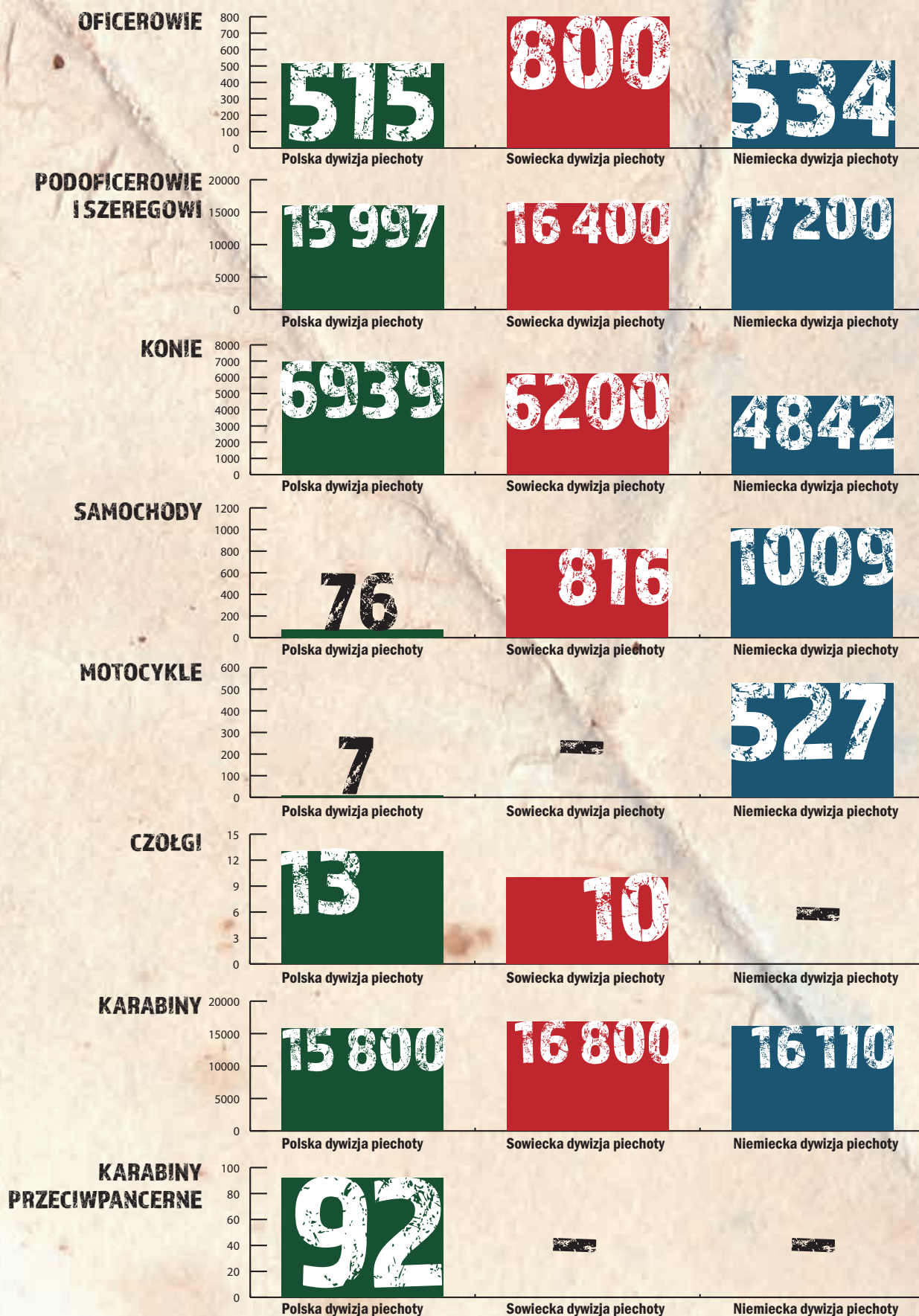
Dowódca: gen. bryg. Franciszek Kleeberg

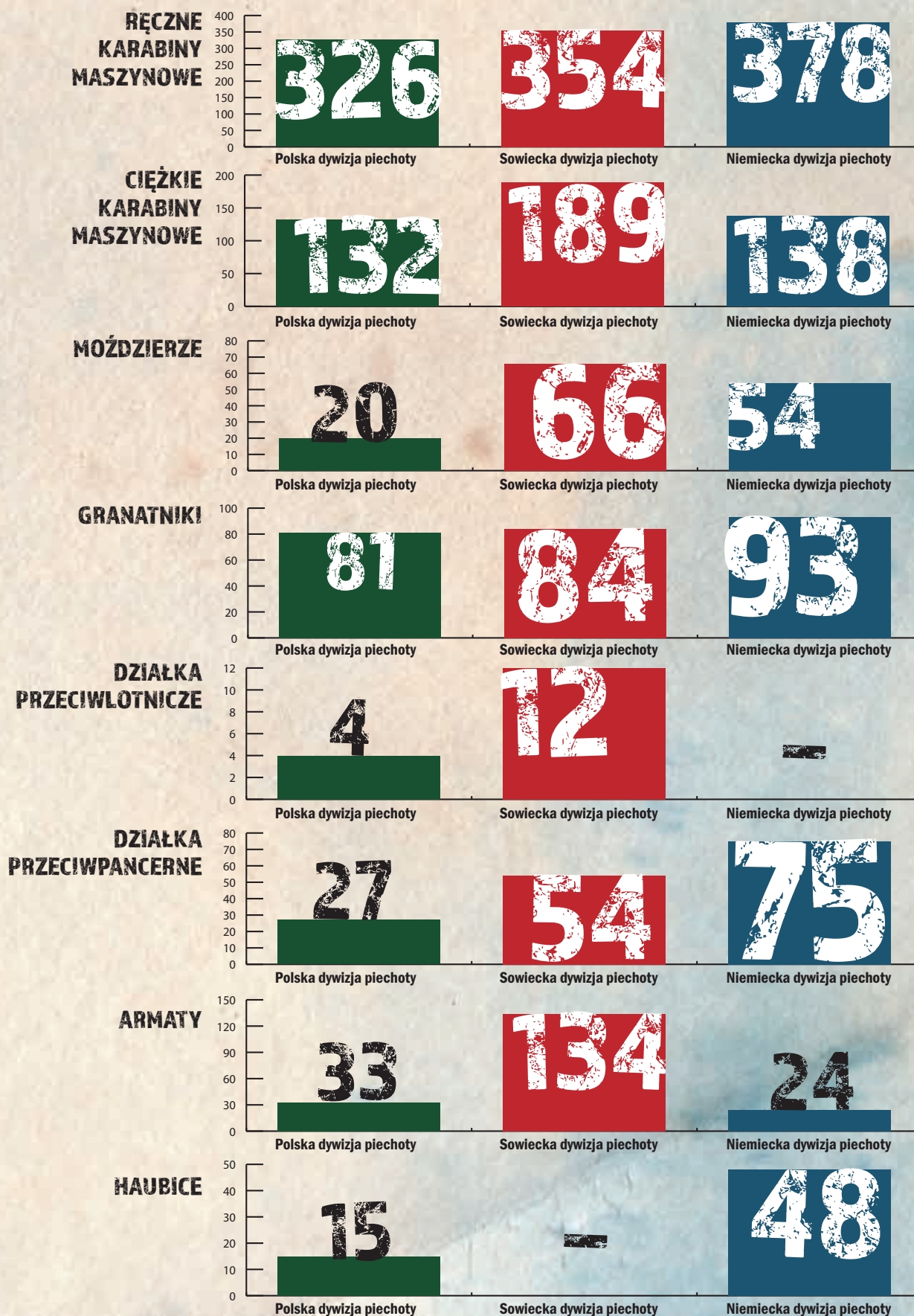
Szef sztabu: płk dypl. art. Mikołaj Łapicki

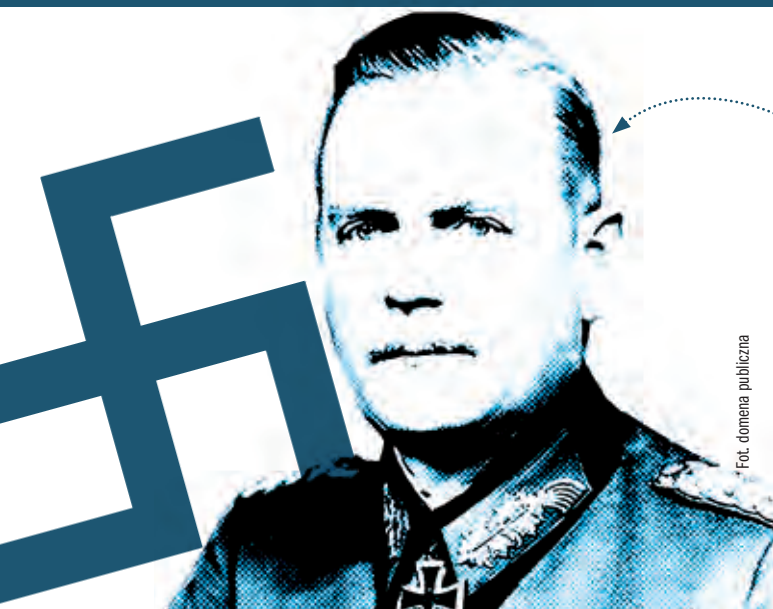
Zadania: została utworzona rozkazem Naczelnego Wodza z 11 września 1939 r. z ośrodków zapasowych 18, 20 i 30 Dywizji Piechoty, wycofujących się jednostek kawalerii, marynarzy z Flotyli Pińskiej oraz innych improwizowanych oddziałów. Początkowo Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” wypełniła lukę na północy polskiego frontu pod Brześciem i Kobryniem. Następnie gen. Kleeberg postanowił przebić się do Warszawy, a po jej kapitulacji w kierunku Gór Świętokrzyskich, by rozpocząć tam walkę partyzancką. Największą bitwą Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” było starcie pod Kockiem (Serokomlą), które zakończyło kampanię polską 1939 r. kapitulacją 6 października 1939 r.

Skład: 60 Dywizja Piechoty („Kobryń”), 50 Dywizja Piechoty („Brzoza”), Dywizja Kawalerii „Zaza”, Podlaska Brygada Kawalerii, Grupa Korpusu Ochrony Pogranicza (pozostałości wojsk gen. Wilhelma Orlika-Rückemana).









Fot. domena publiczna

NACZELNY WÓDZ: Adolf Hitler
Szef OKW (Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu): gen. płk Wilhelm Keitel

Szef OKH (Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych):

gen. płk Walther von Brauchitsch

Szef OKL (Naczelnego Dowództwa Sił Powietrznych):

feldmarsz. Hermann Göring

Szef OKM (Naczelnego Dowództwa Marynarki Wojennej):

wielki adm. Erich Raeder

Odwody OKH: 56 Dywizja Piechoty, 57 Dywizja Piechoty,
 252 Dywizja Piechoty, 257 Dywizja Piechoty,
 258 Dywizja Piechoty, 1 Dywizja Strzelców Górskich,
 2 Dywizja Strzelców Górskich.

ZWIĄZKI OPERACYJNE WEHRMACHTU WE WRZEŚNIU 1939 R.

Nazwa związku	Dywizje piechoty	Dywizje górskie	Brygady piechoty	Brygady kawalerii	Dywizje zmotoryzowane	Dywizje lekkie	Dywizje pancerne	Liczba czołgów	Liczba samolotów
Odwody Kwatery Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych (Oberkommando des Heeres)	5	2	-	-	-	-	-	-	-
Odwody Grupy Artylerii „Północ”	3	-	-	-	-	-	1	154	-
3 Armia	7	-	3	1	-	-	1	221	-
4 Armia	6	-	1	-	2	-	1	375	-
1 Flota Powietrzna	-	-	-	-	-	-	-	-	824
Odwody Grupy Artylerii „Południe”	5	-	-	-	-	-	-	-	-
8 Armia	4	-	-	-	-	-	-	73	-
10 Armia	6	-	-	-	2	3	2	1064	-
14 Armia	6	1	-	-	2	1	2	699	-
4 Flota Powietrzna	-	-	-	-	-	-	-	-	676
Armia Słowacka	3	-	1 (zmot.)	-	-	-	-	-	-

GRUPA ARMII „PÓŁNOC”

Dowódca: gen. płk Fedor von Bock

Szef sztabu:

gen. mjr Hans von Salmuth

Odwody Grupy Armii „Północ”: 73 Dywizja Piechoty,
 206 Dywizja Piechoty, 208 Dywizja Piechoty,
 10 Dywizja Pancerna.

3 ARMIA:

Dowódca: gen. art. Georg von Küchler

Szef sztabu: gen. mjr Herbert von Böckmann

Odwód 3 Armii: 217 Dywizja Piechoty,
 Brygada Piechoty „Danzig”.

I KORPUS ARMIJNY

Dowódca: gen. por. Walter Petzel

Szef sztabu: płk Walter Weiss

Skład: 11 Dywizja Piechoty, 61 Dywizja Piechoty,
 Dywizja Pancerna Kempf.

XXI KORPUS ARMIJNY

Dowódca: gen. por. Nikolaus von Falkenhorst

Szef sztabu: płk Erich Buschenhagen

Skład: 21 Dywizja Piechoty, 228 Dywizja Piechoty.

KORPUS ARMIJNY „WODRIG”

Dowódca: gen. por. Albert Wodrig

Szef sztabu: gen. por. Hans Boeckh-Behrens

Skład: 1 Dywizja Piechoty, 12 Dywizja Piechoty,
 1 Brygada Kawalerii.

GRUPA OPERACYJNA „BRAND”

Dowódca: gen. mjr Albrecht Brand

Skład: Brygada Piechoty „Goldap” Dowództwo Forteczne
 „Lotzen”, Dowództwo Forteczne „Konigsberg”.

4 ARMIA

Dowódca: gen. artylerii Günther von Kluge

Szef sztabu: gen. mjr Kurt Brennecke

Odwód 4 Armii: 23 Dywizja Piechoty, 218 Dywizja Piechoty.

1. Odcinek WOP (Dowództwo Regionalne Straży
 Granicznej): 207 Dywizja Piechoty.



Luftwaffe wydzieliło
 do ataku na Polskę

2739 samolotów

II KORPUS ARMIJNY

Dowódca: gen. piech. Adolf Strauss

Szef sztabu: gen. mjr Karl Tiedemann

Skład: 3 Dywizja Piechoty, 32 Dywizja Piechoty.

III KORPUS ARMIJNY

Dowódca: gen. art. Curt Haase

Szef sztabu: gen. mjr Curt Gallenkamp

Skład: 50 Dywizja Piechoty, Brygada Piechoty „Netze”.

XIX KORPUS ARMIJNY (ZMOTORYZOWANY)

Dowódca: gen. wojsk pancernych Heinz Guderian

Szef sztabu: gen. Walther Nehring

Skład: 3 Dywizja Pancerna, 2 Dywizja Piechoty Zmotoryzowanej, 20 Dywizja Piechoty Zmotoryzowanej.

1 FLOTA POWIETRZNA

Dowódca: gen. lotnictwa Albert Kesselring

Skład: 1 Dywizja Lotnicza, Zgrupowanie Lotnicze Ostpreussen, Lotnicza Dywizja Instruktorska

GRUPA ARMII „POŁUDNIE”

Dowódca:

gen. płk Gerd von Rundstedt

Szef sztabu:

gen. por. Erich von Manstein

Odwody Grupy Armii „Południe”: 27 Dywizja Piechoty, 68 Dywizja Piechoty, 62 Dywizja Piechoty, 213 Dywizja Piechoty, 221 Dywizja Piechoty.

8 ARMIA

Dowódca: gen. piech. Johannes Blaskowitz

Szef sztabu: gen. mjr Hans Felber

Odwód 8 Armii: 30 Dywizja Piechoty.

X KORPUS ARMIJNY

Dowódca: gen. art. Wilhelm Ulex

Szef sztabu: płk Gerhard Körner

Skład: 24 Dywizji Piechoty, 30 Dywizji Piechoty.

XIII KORPUS ARMIJNY

Dowódca:

gen. kaw. Maximilian Reichsfreiherr von Weichs

Szef sztabu: gen. mjr Wilhelm Stemmermann

Skład: 10 Dywizja Piechoty, 17 Dywizja Piechoty, Pułk SS (Leibstandarte SS) „Adolf Hitler”.

10 ARMIA

Dowódca: gen. art. Walter von Reichenau

Szef sztabu: gen. mjr Friedrich Paulus

Odwód 10 Armii: 1 Dywizja Lekka.

IV KORPUS ARMIJNY

Dowódca: gen. piech. Viktor von Schwedler

Szef sztabu: gen. mjr Walter Model

Skład: 4 Dywizja Piechoty, 46 Dywizja Piechoty.

XI KORPUS ARMIJNY

Dowódca: gen. art. Wilhelm Ritter von Leeb

Szef sztabu: gen. mjr Erwin Vierow

Skład: 18 Dywizja Piechoty, 19 Dywizja Piechoty.

XIV ZMOTORYZOWANY KORPUS ARMIJNY

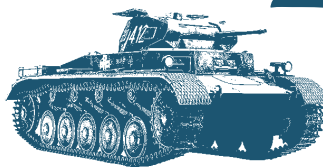
Dowódca: gen. mjr Gustav von Wietersheim

Szef sztabu: gen. mjr Friedrich-Wilhelm von Chappuis

Skład: 13 Dywizja Piechoty Zmotoryzowanej, 29 Dywizja Piechoty Zmotoryzowanej.

2586

czołgów



XV ZMOTORYZOWANY KORPUS ARMIJNY

Dowódca: gen. płk Hermann Hoth

Szef sztabu: gen. mjr Joachim Stever

Skład: 2 Dywizja Lekka, 3 Dywizja Lekka.

XVI ZMOTORYZOWANY KORPUS ARMIJNY

Dowódca: gen. płk Erich Hoepner

Szef sztabu: płk Ferdinand Heim

Skład: 1 Dywizja Pancerna, 4 Dywizja Pancerna, 14 Dywizja Piechoty, 31 Dywizja Piechoty.

14 ARMIA

Dowódca: gen. płk Wilhelm List

Szef sztabu: gen. mjr Eberhard von Mackensen

VIII KORPUS ARMIJNY

Dowódca: gen. piech. Ernst Busch

Szef sztabu: gen. mjr Erich Marcks

Skład: 5 Dywizja Pancerna, 8 Dywizja Piechoty, 28 Dywizja Piechoty, 239 Dywizja Piechoty, Zmotoryzowany Pułk SS „Germania”.

XVII KORPUS ARMIJNY

Dowódca: gen. piech. Werner Kienitz

Szef sztabu: płk Lothar Rendulic

Skład: 7 Dywizja Piechoty, 44 Dywizja Piechoty, 45 Dywizja Piechoty.

XVIII KORPUS ARMIJNY

Dowódca: gen. piech. Eugen Beyer

Szef sztabu: gen. mjr Rudolf Konrad

Skład: 2 Dywizja Pancerna, 4 Dywizja Lekka, 3 Dywizja Piechoty Górskiej.

4 FLOTA POWIETRZNA LUFTWAFFE

Dowódca: gen. lotnictwa Alexander Löhr

Skład: 2 Dywizja Lotnicza, 7 Spadochronowa Dywizja Lotnicza, zgrupowanie lotnictwa do zadań specjalnych.

SIŁY MORSKIE WSCHÓD

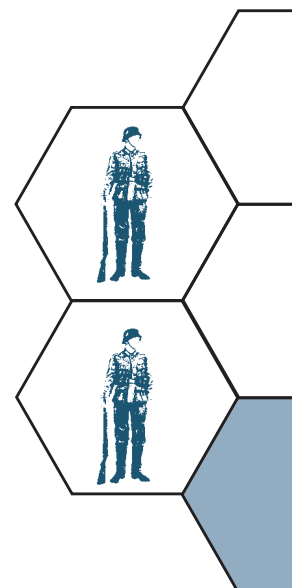
Dowódca: gen. adm. Conrad Albrecht

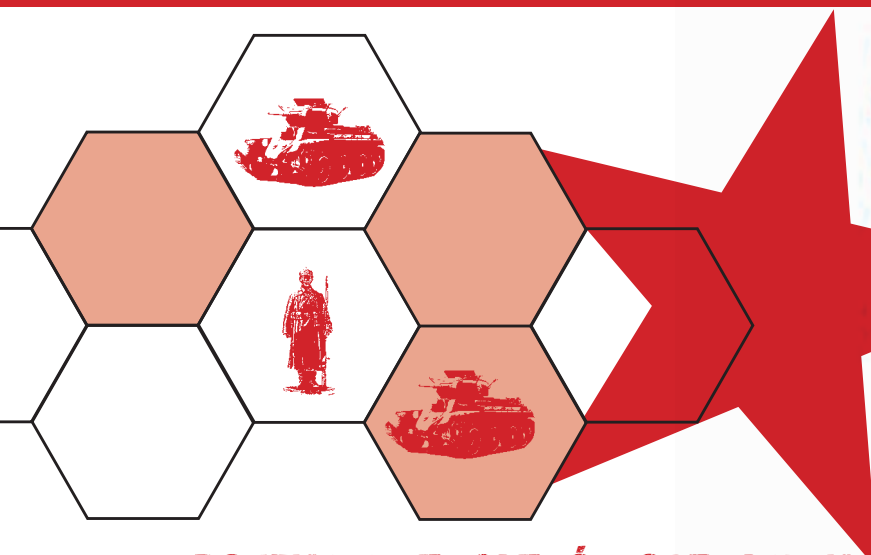
Skład: pancernik „Schleswig-Holstein”, 3 Flotylla Okrętów Podwodnych, 5 Flotylla Okrętów Podwodnych, 1 Flotylla Niszczycieli, 2 Flotylla Niszczycieli, 1 Flotylla Ścigaczy, 1 Flotylla Trałowców, 3 Flotylla Trałowców, 1 Flotylla Poławiaczy Min, 2 Flotylla Poławiaczy Min, 7 Flotylla Poławiaczy Min, Flotylla Eskortowa, Lotnictwo Morskie Morza Bałtyckiego.

ARMIA SŁOWACKA

Dowódca: gen. Ferdinand Čatloš

Skład: 1 Dywizja Piechoty „Janošík”, 2 Dywizja Piechoty „Škultéty”, 3 Dywizja Piechoty „Razus”, Grupa Szybka „Kalinčiak”.





POTENCJAŁ ZWIĄZKÓW OPERACYJNYCH ARMII CZERWONEJ 17 WRZEŚNIA 1939 R.

Nazwa związku	Dywizje strzelców	Dywizje kawalerii	Brygady pancerne	Brygady strzelców zmotoryzowanych	Liczba czołgów (szacunkowo)
3 Armia Witebska Grupa Armijna	3	1	2	–	743
4 Armia Bobrujska Grupa Armijna (wraz z XXIII Korpusem Strzeleckim)	2	–	2	–	536
10 Armia Moskiewska Grupa Armijna	3	–	–	–	28
11 Armia Mińska Grupa Armijna	2	2	1	–	265
Dzierżyńska Grupa Konno-Zmechanizowana	2	3	3	1	834
5 Armia (Szepietowska Grupa Armijna)	5	–	1	–	522
6 Armia (Wołoczyska Grupa Armijna)	2	3	3	–	675
12 Armia (Kamieniecka Grupa Armijna)	2	4	4	1	1133

FRONT BIAŁORUSKI

Dowódca:

komandarm 2 rangi Michaił Kowalow

Szef sztabu:

komkor Maksim Purkajew

Zadaniem Frontu było natarcie na linię Wilno, Baranowicze – Wołkowysk – Grodno – Suwałki, Brześć nad Bugiem.

Skład: 3 Armia, 4 Armia, 10 Armia, 11 Armia, Wojska Ochrony Pogranicza Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, Dnieprzańska Flotylla Wojenna.

3 ARMIA – WITEBSKA GRUPA ARMIJNA

Dowódca: komkor: Wasilij Kuzniecowa

Szef sztabu: płk Aleksandr Kondratiew

Skład: Grupa Połocka: 5 Dywizja Strzelców, 24 Dywizja Kawalerii, 22 Batalion Pancerny, 25 Batalion Pancerny, IV Korpus Strzelców: 27 Dywizja Strzelców, 50 Dywizja Strzelców.

4 ARMIA – BOBRUJSKA GRUPA ARMIJNA

Dowódca: komdiw Wasilij Czujkow

Szef sztabu: płk Iwan Wiktorow

Skład: XXIII Korpus Strzelców: 52 Dywizja Strzelców, 8 Dywizja Strzelców, 29 Batalion Pancerny, 32 Batalion Pancerny.

10 ARMIA – MOSKIEWSKA GRUPA ARMIJNA

Dowódca: komkor Iwan Zacharkin

Szef sztabu: kombrig Gawriił Szyszenin

Skład: XI Korpus Strzelców: 6 Dywizja Strzelców, 33 Dywizja Strzelców, 121 Dywizja Strzelców.

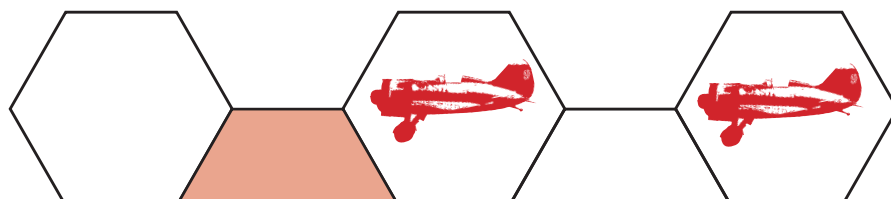
11 ARMIA – MIŃSKA GRUPA ARMIJNA

Dowódca: komkor Nikifor Miedwiediew

Szef sztabu: płk Anton Pawłowicz

Skład: Mińska Grupa Szybka: III Korpus Kawalerii: 7 Dywizja Kawalerii, 36 Dywizja Kawalerii, 6 Brygada Pancerna; XVI Korpus Strzelców: 2 Dywizja Strzelców, 100 Dywizja Strzelców.

Fot. domena publiczna



DZIERŻYŃSKA GRUPA KONNO-ZMECHANIZOWANA

Dowódca: komkor Iwan Boidin

Szef sztabu: kombrig Iwan Nikitin

Skład: VI Kozacki Korpus Kawalerii: 4 Dywizja Kawalerii, 6 Dywizja Kawalerii, 11 Dywizja Kawalerii; XV Korpus Pancerny: 2 Brygada Pancerna, 21 Brygada Pancerna, 27 Brygada Pancerna, 20 Brygada Strzelców Zmotoryzowanych.

V Korpus Strzelców: 4 Dywizja Strzelców, 13 Dywizja Strzelców.



Armia Czerwona
1000
samolotów



1133
szacunkowa liczba
czołgów 12 Armii

6 ARMIA – WOŁOCZYSKA GRUPA ARTYLERII

Dowódca: komkor Filip Golikow

Szef sztabu: kombrig Iwan Sawinow

Skład: II Korpus Kawalerii: 3 Dywizja Kawalerii, 5 Dywizja Kawalerii, 14 Dywizja Kawalerii, 24 Batalion Pancerny; XVII Korpus Strzelców: 96 Dywizja Strzelców, 97 Dywizja Strzelców, 10 Brygada Pancerna, 38 Brygada Pancerna.

12 ARMIA – KAMIENIECKA GRUPA ARMIJNA

Dowódca: komandarm Iwan Tiulieniew

Szef sztabu: płk Wiktor Baranin

Skład: IV Korpus Kawalerii: 32 Dywizja Kawalerii, 34 Dywizja Kawalerii, 26 Brygada Pancerna; V Korpus Kawalerii: 9 Dywizja Kawalerii, 16 Dywizja Kawalerii, 23 Brygada Pancerna; XXV Korpus Pancerny: 4 Brygada Pancerna, 5 Brygada Pancerna, 1 Brygada Strzelców Zmotoryzowanych; XIII Korpus Strzelców: 72 Dywizja Strzelców, 99 Dywizja Strzelców.

FRONT UKRAIŃSKI

Dowódca: komandarm 1 rangi
Siemion Timoszenko

Szef sztabu: komdiw Nikołaj Watutin

Zadaniem Frontu było natarcie na linię: Dubno – Łuck – Włodzimierz Wołyński – Chełm – Zamość – Lublin, Tarnopol – Lwów, Czortków – Stanisławów – Stryj – Sambor – Kołomyja.

Skład: 5 Armia (Szebietowska GA), 6 Armia (Wołoczyska GA), 12 Armia (Kamieniecka GA), Wojska Ochrony Pogranicza Ukraińskiej SRS.

5 ARMIA – SZEPIETOWOWSKA GRUPA ARMIJNA

Dowódca: komdiw Iwan Sowietnikow

Szef sztabu: komdiw Siergiej Trofimenko

Skład: VIII Korpus Strzelców: 45 Dywizja Strzelców; 60 Dywizja Strzelców, 87 Dywizja Strzelców. XV Korpus Strzelców: 44 Dywizja Strzelców, 81 Dywizja Strzelców, 36 Batalion Pancerny.

I3

dywizji kawalerii
mieli Sowietci
w momencie
ataku na Polskę



618 000
żołnierzy

MICHAŁ PRZYBYŁAK asystent w Zakładzie Historii Sztuki Wojennej i Polemologii Akademii Sztuki Wojennej. Absolwent historii wojskowości Akademii Sztuki Wojennej oraz historii Uniwersytetu Warszawskiego. Z zawodu i pasji historyk skupiający się na II Rzeczypospolitej i stosunkach Polski z syjonistami-rewizjonistami.



Posłusznie

Cały proces szkolenia w czasie pokoju jest podporządkowany jednemu celowi – przygotowaniu do wojny. Armie z reguły przygotowują jednak żołnierzy do tej wojny, która już się zakończyła.

ANDRZEJ ŁYDKA

Jest w tym pewna prawidłowość: I wojna światowa rozpoczęła się ogniem pośrednim artylerii i masowym użyciem karabinów maszynowych, a zakończyła natarciami czołgów i masowym użyciem lotnictwa; II wojna światowa rozpoczęła się od natarć czołgów i masowego użycia lotnictwa, a zakończyła zrzuconiem bomb atomowych. Przejście z czasu pokoju do czasu wojny dotyczy każdego żołnierza biorącego w niej udział. Zderzenie wyobrażeń o wojnie z wojenną rzeczywistością może przybierać różne formy.

NIGDY NIE ŚPIJ NA CZUJCE. Nie inaczej było we wrześniu 1939 r. Podczas nocnego patrolu sekcja kpr. Grabowskiego z 2 plutonu 4 szwadronu 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich wygarnęła z dołków zaspaną niemiecką czujkę. Niemcy leżeli brzuchami na ziemi z rękami posłuszenie wyciągniętymi przed siebie. Kupry trzęsły im się ze strachu. *Diese schreckliche Polnische Kawalerie* (straszna polska kawaleria). Między nimi leżał gruby feldfelbel. Gонец z meldunkiem biegł do tyłu. Po kilkunastu minutach pojawił się por. Wiktor Ziemiński. Wydał polecenie: „Odprowadzić cicho i szybko do szwadronu”¹. Kiedy feldfelbel podniósł się, trzymając ręce w górze, kpr. Grabowski uderzył go w pysk. Porucznik Ziemiński oburzony prawie krzyknął: „Nie wstyd wam, kapralu, jeńca bić?”². Kapral Grabowski na to: „Ja nie jeńca, panie poruczniku. Ja go za to, że sk...syn na czujce spał”³.

EPITAFIUM STRZELCA SZOSKISA. Dnia 3 września 1939 r. mjr Stefan Majewski, dowódca 11 dywizjonu pancernego Mazowieckiej Brygady Kawalerii, udał się „łazikiem” (Polski Fiat 508 III) do 11 Pułku Ułanów Legionowych pod Ciechanowem w celu omówienia wspólnego działania. W drodze powrotnej do dywizjonu, gdy mijali placówki wystawione przez wysunięty szwadron pułku, otrzymał prośbę od dowódcy szwadronu o zabranie ze sobą szeregowca piechoty, który kilka godzin wcześniej dołączył do pododdziału. Major się zgodził, miał wolne miejsce w łaziku. Ułani przyprowadzili piechurą. „Nieogolony od paru dni, z wychudłą twarzą i za dużym hełmem, przedstawiał dość żałosny wygląd”⁴. Major poznał z daleka, że był to Żyd. Żołnierz podszedł i przepisowo się zameldował: „Panie majorze, strzelec Szoskis melduje się posłuszenie na rozkaz!”⁵. Na pytanie majora, skąd się tu wziął, strzelec odparł, że 20 dywizja została rozbita i on się dołączył do kawalerii. Majora na te słowa z miejsca szlag trafił. Była to typowa odpowiedź łazika, który twierdził, że wszyscy zginęli i tylko on ocalał. Po dłuższej indagacji w obecności ułanów, co chwila wybuchających śmiechem, okazało się, że to nie dywizja, nie pułk, nie batalion i nie kompania, a pluton został rozbity. Strzelec znał jednak nazwiska wszystkich swoich kolejnych przełożonych, czym mile zaskoczył majora. Na polecenie majora odpowiedział, jak było z rozbitym plutonem. Mówił o bombardowaniu pozycji dywizji przez dwieście samolotów, huraganowym ogniu artylerii niemieckiej i natarciu czołgów. „To był taki straszny ogień, że ja już nic nie widziałem. Nasz kapral i starszy strzelec, co stali przy mnie, byli zabici. A potem już był wieczór i ja sam jeden się wycofałem”⁶.

melduję...



Monte Cassino. Jeńcy niemieccy na górskiej ścieżce w drodze do niewoli.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Major wiedział, że strzelec mówi prawdę. Trochę ochrzanił strzelca, że niewiele widział, a teraz sieje panikę. Strzelec stanął na baczność i drżącym głosem odpowiedział: „Panie majorze, ja wiem, ale mi się zdawało, że w tej strasznej wojnie nikt już nie został żywy. Ja jestem dobry żołnierz, ja nie uciekałem do Modlina, ja szukałem wojska i tu się dołączyłem. Ja jestem z czynnej służby, ja wszystko mam przy sobie, i karabin, i bagnet. Ja.. ja.. ja się chcę bić o Polskę”⁷. Jak wspominał major, „powiało wzruszeniem”. Następnie zdecydował: „Biorę was do dobrego wojska, do trzeciego batalionu strzelców”⁸. Strzelec wskoczył do łoża. Pojechali do stanowisk 3 batalionu, gdzie major przekazał strzelca dowódcy, ppłk. Marianowi Wierońskiemu. Po kilku dniach ciężkich walk mjr Majewski ponownie spotkał się z ppłk. Wierońskim i zapytał o strzelca Szoskisa. Dowódca batalionu chwilę pomyślał, po czym odrzekł: „Był to jeden z najdzielniejszych patrolowców, niesłychanie odważny i śmiały, nigdy niezmęczony, szedł na ochotnika na najcięższe patrole. W okolicach Wyszkowa, będąc na patrolu, wpadł w zasadzkę Niemców, ale walczył do ostatniego naboju, nie chcąc się poddać. Zginął na polu chwały”⁹. Słowa pułkownika można uznać za epitafium na mogile strzelca Szoskisa.

PRZYJACIELU, DAJ MU W MORDE. Pierwsze dni września 1939 r.; 10 Brygada Kawalerii (zmot.); przesłuchanie dwóch jeńców niemieckich z rozbitego czołgu. Młodzi czołgiści ubrani byli w czarne mundury wojsk pancernych, z różowymi wypustkami. Pierwszy – cichy i potulny szeregowiec, zachowywał się grzecznie, na pytania odpowiadał bez zająknięcia. W nagrodę dostał miskę zupy. Drugi – przystojny, wysoki podoficer o blond włosach, z pogardliwą miną włożył ręce do kieszeni i oświadczył, że odmawia odpowiedzi. Oficer informacyjny na to: „Dobrze, dobrze, ale tymczasem zachowuj się przyzwoicie wobec oficera, wyjmij łapy z kieszeni i stań w postawie zasadniczej”¹⁰. Na to jeńiec beczelnie stwierdził, że dla

niego oficerem może być wyłącznie Niemiec. Kapitanowi Ludwikowi Stankiewiczowi, oficerowi operacyjnemu 10 Brygady, zrobiło się smutno. Poprosił dwumetrowego starszego ułana z ochrony sztabu: „Piotruś, przyjacielu, daj mu w mordę”¹¹. Piotruś trzasnął na odlew i jeńiec stanął na baczność, wyciągnięty jak struna, a następnie zaczął odpowiadać na wszystkie zadawane mu pytania. Do starszego ułana Piotrusia zwracał się *Jawohl, Herr Wachtmeister*, awansując go o trzy stopnie¹².

WOJNA WOJNĄ, ALE... Pierwsze godziny obrony Lwowa; 11 września 1939 r. Niemcy podchodzili pod przedmieścia. Generał Władysław Langner, dowódca Okręgu Korpusu nr VI, zwołał oficerów na odprawę. Dowództwo Okręgu Korpusu nie było operacyjne. Pełniło funkcje administracyjno-gospodarcze, mobilizacyjne i garnizonowo-porządkowe dla dywizji i brygad rozlokowanych na podległym mu terenie. Atmosfera nerwowa, wiadomo, że we Lwowie znajdują się głównie formacje tyłowe, marszowe i ośrodki zapasowe. Podczas odprawy gwar, głośnie nerwowe rozmowy. W Langnerze budził się dawny „Złom” z I Brygady. Podniesionym głosem zwrócił uwagę jednemu z oficerów, że wojna – wojną, ale jego żołnierz powinien być zapięty na haftki. Ta głośna reprimenda uspokoiła nastroje. Jak ochrzaniają za haftki, to jeszcze nie jest tak tragicznie. Nerwowość znikła z twarzy oficerów. Odprawa przebiegała już w spokojnej atmosferze, poszczególne oficerowie przyjmowali zadania do realizacji. Rozpoczęła się obrona Lwowa.

ANDRZEJ ŁYDKA podpułkownik, doktorant nauk o obronności w Akademii Sztuki Wojennej. Służył w jednostkach artylerii i w logistycznych. Od 2014 r. oficer Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Sześciokrotnie uczestniczył w misjach poza granicami kraju. Publicysta portalu Polska-zbrojna.pl.

¹ S. Lindner, *Ale serce boli. Wspomnienia starego kadeta*, Warszawa 1983, s. 203–204. ² Tamże. ³ Tamże. ⁴ S. Majewski, *Jedenasty Pancerny...*, *Opowiadania wojenne z kampanii wrześniowej 1939 r.*, Oświęcim 2016, s. 17–22. ⁵ Tamże. ⁶ Tamże.

⁷ Tamże. ⁸ Tamże. ⁹ Tamże. ¹⁰ F. Skibiński, *Pierwsza Pancerna*, Warszawa 1979, s. 49. ¹¹ Tamże. ¹² Tamże.

ROPA & POLSKA STAŁA



Pracownicy kopalni „Borysław” w Borystawiu.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

– Wojsko Polskie w 1939 r. paradoksalnie nie potrzebowało wielu produktów ropopochodnych, gdyż poziom jego zmotoryzowania był niewielki – mówi prof. Piotr Franaszek.

W latach dwudziestych ubiegłego wieku II Rzeczpospolita plasowała się na trzecim miejscu w Europie pod względem wydobycia ropy naftowej. Jednak największe zyski z tego tytułu czerpali Francuzi. Czym było spowodowane to, że tylko niewielka część strategicznej gałęzi przemysłu była kontrolowana przez państwo polskie?

Statystyki, niestety, lepiej wyglądają od rzeczywistości. Naprawdę szczyt wydobycia ropy naftowej na ziemiach polskich przypadł na 1909 r. Wtedy to w Galicji wydobyto ponad 2 mln ton ropy. Po tej dacie zaczęła się tendencja spadkowa. Szybko zostaliśmy w wydobyciu przegonieni chociażby przez Rumunię, nie mówiąc już o Związku Radzieckim. W Rumunii wielkość wydobycia ropy naftowej po I wojnie światowej wzrosła sześciokrotnie i był potencjał do kolejnych wzrostów. Nasze złoża natomiast zaczęły się wyczerpywać, a co istotne: nie mieliśmy zbyt dużego wpływu na produkcję ropy naftowej. Po I wojnie światowej większość produkcji naftowej na ziemiach polskich, czyli szczególnie w Galicji, przejął obcy kapitał, przede wszystkim francuski. Przed Wielką Wojną, kiedy pokłady ropopochodne były jeszcze dość spore, pojawiły się tutaj kapitały amerykański i kanadyjski, ale wydobycie należało zwłaszcza do spółek austriackich i niemieckich. Po przegraniu wojny przez państwa centralne ententa wprowadziła zasadę przymusowego wykupu tych przedsiębiorstw, wyłączając z tego Republikę Weimarską. Należy też zwrócić uwagę na to, że Anglicy i Francuzi nie byli zainteresowani podziałem Ukrainy właśnie ze względu na zachowanie integralności przemysłu naftowego. W tym celu w Londynie zawiązał się specjalny komitet, który miał służyć porozumieniu między Francją a Wielką Brytanią co do galicyjskich rafinerii, ale to Francuzi okazali się szybsi w działaniu i zaraz po zakończeniu walk na froncie zaczęli wykupywać niemieckie i austriackie spółki naftowe.

Gazolinia „Gazolina” S.A. w Boryslawiu.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Jednocześnie też naciskali na polskie władze, by im stwarzały w związku z tym preferencyjne warunki. W wyniku tego już na początku lat dwudziestych ogromna część przedsiębiorstw naftowych w Galicji – nie tylko austriackich czy niemieckich, lecz także częściowo polskich – znalazła się pod kontrolą wielkiego francuskiego koncernu naftowego „Dąbrowa”.

Nazwa dość swojska...

Tak. Kolejna także brzmiała swojsko – bo „Małopolska”. W dużej mierze były to działania spekulacyjne. „Dąbrowa” radziła sobie na rynku dość kiepsko, gdyż jej akcjonariusze ponosili ogromne straty i w 1928 r. przejął ją znacznie większy koncern „Małopolska”. Konsorcjum to nie tylko przejęło „Dąbrowę”, ale i rozszerzyło stan posiadania. W związku z tym ponad połowa wydobycia ropy naftowej w Polsce należała do Francuzów, więc władze polskie miały niewielki wpływ na jej eksploatację.

Panie Profesorze, a czy my w 1918 r. sami nie zaniedbaliśmy tej sytuacji?

Wiele czynników się na tołożyło. Po pierwsze, teren Galicji Wschodniej, na którym znajdowały się najważniejsze złoża ropy naftowej, objęty był konfliktem polsko-ukraińskim. Ukraińcy pozajmowali obszary naftowe i okrutnie



PIOTR FRANASZEK
profesor doktor habilitowany, profesor zwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od 2002 r. kierownik Zakładu Historii Gospodarczej i Społecznej w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 2002–2008 dyrektor Instytutu Historii UJ. Jego zainteresowania badawcze to dzieje społeczne i gospodarcze Polski i świata w XIX i XX w. oraz zagadnienia inwigilacji wyższych uczelni przez UBP/SB w czasach PRL-u. Członek Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej oraz Rady Programowej Muzeum Żup Solnych w Wieliczce i Rady Muzeum Pamięci Mieszkańców Ziemi Oświęcimskiej.



obeszli się z polskimi inżynierami. Część robotników opuściła te tereny i przeszła do zagłębia zachodniogalicyskiego, głównie w okolice Jasła i Krosna. Słowem, przez toczącą się wojnę nie mogliśmy być aż tak zaangażowani w przejęcie kontroli nad przemysłem i wydobywaniem naftowym, chociaż jednocześnie Fabrykę Olejów Mineralnych „Polmin” w Drohobyczu, która powstała w 1910 r., czyli jeszcze przed wybuchem I wojny światowej, już w grudniu 1918 r. zajęły oddziały polskie. Dzięki temu, że opanowali ją żołnierze polscy, została ona w polskich rękach i szybko stała się dumą polskiego przemysłu naftowego. „Polmin” kontrolowany był całkowicie przez polskie Ministerstwo Przemysłu i Handlu. Mielśmy jednak



Furmanka chłopska rozwożąca ropę w beczkach w Borysławiu.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

zbyt mało siły i za wiele innych problemów po odzyskaniu niepodległości, by przejąć i utrzymać w rękach znacznie więcej gałęzi przemysłu naftowego. Francuzi mieli po prostu znacznie większe możliwości, które wykorzystali bez żadnych sentymentów.

Do połowy lat trzydziestych w przemyśle naftowym panował swoisty chaos. Było bardzo wiele podmiotów, które naftę wydobywały, przerabiała, transportowały i magazynowały. Oblicza się, że w całym zagłębiu działało ponad 3100 szybów należących do wielu przedsiębiorstw, wśród których nierzadkie były firmy jednoszybowe. Władze polskie pod koniec lat dwudziestych podjęły próbę zapanowania nad tym, co, niestety, się nie udało. Ale jednocześnie skutecznie zapanowaliśmy nad przemysłem gazowym. Tę gałąź produkcji udało się



Robotnicy przy szybie w Zagłębiu Naftowym w Borysławiu.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

zdominować polskim spółkom – wspomnianemu już państwowemu „Polminowi” i prywatnej „Gazolinie”. Kiedy w 1926 r. Eugeniusz Kwiatkowski został ministrem przemysłu i handlu, podjął próbę uporządkowania sytuacji w przemyśle naftowym. Powstał między innymi Syndykat Przemysłu Naftowego, który próbował zmusić rafinerie do spójnej polityki produkcji i sprzedaży ropy naftowej. Gdy to nie do końca się udało, powstał w 1933 r. Polski Eksport Naftowy. Jak sama nazwa organizacji wskazuje, chodziło o zapanowanie nad eksportem ropy naftowej i produktów ropopochodnych – asfaltu, benzyny, nafty i smarów.

Paradoksalnie ropy i wymienionych produktów mieliśmy za dużo w stosunku do potrzeb krajowych, co wynikało z bardzo niskiego stopnia zmotoryzowania kraju. Często przy tym stosowaliśmy damping, czyli sprzedawaliśmy te surowce po cenach niższych, a ceny krajowe były wyższe, co dla wielu rafinerii było nieopłacalne. Jednak władze wprowadziły przymus przynależności do Polskiego Eksportu Naftowego, co nieco poprawiło sytuację państwa. Ale o strategicznym znaczeniu ropy naftowej



Borysławski robotnik.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Wagony cysternowe do przewozu ropy naftowej podczas napełniania cystern.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

nasze władze przekonały się właściwie już po wybuchu II wojny światowej, kiedy na początku września 1939 r. Polski Eksport Naftowy przekształcono w Wojsenny Związek Naftowy, który w założeniu miał przedstawić przemysł naftowy na potrzeby wojska. Były to już działania całkowicie spóźnione i dla toczącej się wojny nie miały żadnego znaczenia.

Warto wspomnieć, kto był przed wojną największym odbiorcą naszych produktów naftowych. Na pierwszym miejscu – Czechosłowacja, a na drugim – Wolne Miasto Gdańsk. Gdańsk leżał w polskim obszarze celnym, więc produkty naftowe bez problemu można było dostarczać; tam też „Polmin” i „Gazolina” założyły pierwszy punkt ekspedycyjny. Także port w Gdyni stał się szybko ważnym punktem przeładunkowym naszej ropy. Miało to również poważne znaczenie dla naszej floty wojennej, którą zaopatrywały tam w paliwa polskie rafinerie.

Sporo benzyny odbierali od nas także Niemcy. Były one też głównym odbiorcą naszego asfaltu. Nawierzchnie ówczesnych niemieckich autostrad w dużej mierze były wykonane z polskiego asfaltu. Doszło tutaj znowu do paradoksalnej sytuacji, kiedy zaczęto budować Centralny Okręg Przemysłowy. Okazało się, że mimo iż mieliśmy nadprodukcję asfaltu, musieliśmy go sprowadzać z zagranicy do tworzonej wokół COP infrastruktury drogowej. Tak dużo eksportowaliśmy, że zabrakło go na własne potrzeby.

I tutaj dotykamy problemu świadomości naszego dowództwa wojskowego, co do strategicznego znaczenia przemysłu naftowego w czasie nowoczesnej wojny. Jak Pan ocenia jej stan?

Muszę stwierdzić, że przebieg kampanii w 1939 r. wskazuje, iż była ona bardzo niska. Mówiąc inaczej, Wojsko Polskie nie potrzebowało wielu produktów ropopo-

chodnych z tego prostego powodu, że poziom jego zmotoryzowania był niewielki. Jednakże w drugiej połowie lat trzydziestych ta świadomość zaczęła rosnąć, co związane było pośrednio z sześciolletnim planem modernizacji polskiej armii. To, niestety, wydarzyło się zbyt późno, by mogło przynieść realne efekty. Taką zapowiedzią zmian było przeformowanie 10 Brygady Kawalerii w oddział pancerno-motorowy, który umieszczono w Rzeszowie, a więc blisko naszych rafinerii. Za kolejny symptom zmian podejścia decydentów wojskowych do przemysłu naftowego można uznać fakt, że gen. Stanisław Szeptycki od 1935 r. był prezesem Związku Polskich Przemysłowców Naftowych, a ponadto ostatnim prezesem Krajowego Towarzystwa Naftowego i praktykującym nafcjarzem, gdyż posiadał niewielką kopalnię ropy naftowej pod Sanokiem.

Sercem polskiego przemysłu naftowego było Boryslawsko-Drohobyckie Zagłębie Naftowe, które we wrześniu 1939 r. zostało przez Luftwaffe bez trudu zbombardowane. Zagłębie nie miało po- noć żadnej obrony przeciwlotniczej. Czy rzeczy- wiście było aż tak dramatycznie?

Niestety, nie istniały plany obrony naszych terenów roponośnych – nie tylko przeciwlotniczej, ale i lądowej. W tym rejonie nie ulokowano żadnych jednostek wojskowych, których zadaniem byłaby obrona zagłębia. Do feralnego bombardowania doszło 10 września. Niemcy zniszczyli wtedy jedną z największych i najnowocześniejszych rafinerii w Europie, jaką była Fabryka Olejów Mineralnych „Polmin” w Drohobyczu. Bodajże płonęła ona przez trzy tygodnie, zanim ugasili ją okupanci sowieccy, którzy zajęli te tereny po 17 września. Jej ówczesny dyrektor Zygmunt Bilutowski został przez Sowietów aresztowany i prawdopodobnie w 1940 r. zamordowany albo w więzieniu w Moskwie, albo w Kijowie



Kopalnia ropy
naftowej
„Małopolska”
w Boryslawiu.
Fot. Narodowe
Archiwum Cyfrowe

– co do tego istnieje w źródłach rozbieżność. Zagłębie – według ustaleń zawartych w pakcie Ribbentrop-Mołotow – przypadło Sowiecom, ale po wznowieniu wydobywania i produkcji pracowało na rzecz Niemiec. W tym miejscu w pełni objawił się sojusz Stalina z Hitlerem, gdyż boryslawsko-drohobycka ropa w całości była wywożona do III Rzeszy i zasilala armię niemiecką. Kiedy ten sojusz się skończył wraz z niemieckim atakiem na Związek Sowiecki 22 czerwca 1941 r., Wehrmacht szybko zajął zagłębie. Wtedy też – choć nie były to już tak roponośne obszary jak wcześniej – Niemcy przystąpili do odbudowy zniszczeń i poczynili nowe inwestycje. Niemiecki dyrektor stwierdził wówczas, że nalot Luftwaffe z września 1939 r. był złym posunięciem, można było przewidzieć, że nowoczesne zakłady i rafineria wpadną w ręce Niemców, a w 1941 r. zaoszczędzili by oni siłę i środki na ich odbudowę.

Kolejny raz rafineria została doszczętnie zniszczona 26 czerwca 1944 r., tym razem przez naszych sojuszników, Amerykanów. W ramach operacji „Frantic” na celowniku amerykańskich bombowców znalazło się między innymi Boryslawsko-Drohobyckie Zagłębie Naftowe. Superfortece po zrzuconiu ładunku bomb lądowały zgodnie z umową na sowieckich lotniskach, skąd wracały do baz. Nalot na zagłębie Amerykanie przeprowadzili precyzyjnie, na rafinerię spadło ponoć 140 ton bomb,

co spowodowało ogromne zniszczenia i śmierć ponad 120 jej pracowników, pomimo że londyńskie radio nadawało ostrzeżenia o planowanym bombardowaniu. Po tym bombardowaniu rafineria nie uzyskała już tego potencjału, który miała przed wojną.

Czy w zagłębiu działała nasza konspiracja?

Była próba zawiązania konspiracji jeszcze pod rządami Sowieców, a następnie Niemców, ale została ona bardzo szybko rozbita. Niemcy przywiązywali bardzo dużą wagę do przemysłu naftowego i kontrola obszarów roponośnych była znacznie staranniejsza niż gdzie indziej. W zagłębiu mieszkała też spora mniejszość niemiecka, co dodatkowo utrudniało funkcjonowanie konspiracji. Słowem, system infiltracji i donosicielstwa był bardzo mocno rozbudowany. Mimo to działał tutaj, związany przede wszystkim ze Stanisławowem, 48 Pułk Piechoty Armii Krajowej wchodzący w skład 11 Karpackiej Dywizji AK, którego żołnierze uczestniczyli w akcji „Burza”, mieli też za zadanie ochronę urządzeń technicznych i szybów w rejonie Drohobycza i Sambora. W Drohobyczu istniała również drużyna harcerska „Orleń”, ale szybko została zlikwidowana w wyniku aresztowania jej członków.

Rozmawiał Piotr Korczyński

MOC SŁOWA

To opowieść o życiu jako wartości o wyjątkowym znaczeniu.

MIROSLAW LENART

Trudno tej książki nie zauważyć. Pomarańczowe tło okładki zatrzymuje wzrok. Pomiędzy pi-sanym czarnym tuszem komunikatem: „jedno z moich imion brzmi” a słowem „życie” znajduje się rząd imion i nazwisk, w które wpleciony jest podtytuł: „rozmowy z tymi, którzy przetrwali piekło wojny”. Ta semantyczna zabawa z odbiorcą jest rzadkim dziś, ale tym bardziej zasługującym na wyróżnienie sposobem zachęcenia do lektury.

Wywiady zamieszczone w tej książce przeprowadzono m.in. z weteranami walk, które rozpoczął wybuch II wojny światowej. Udało im się przeżyć, często w wyniku przypadkowego splotu wydarzeń. W tych relacjach nie brak świadectw związanych z doświadczeniami obozów i prześladowań. To, że rozmówcy zgodzili się opowiedzieć o wydarzeniach dla nich traumatycznych, ukazujących nierzadko zdehumanizowany obraz człowieka, wiąże się z pytaniem: dlaczego to właśnie ja przeżyłam/przeżyłem? Dochodzimy tu do najbardziej wrażliwych, intymnych odczuć, do niewyrażonej często odpowiedzi na pytania, co w doświadczeniu zagłady, jaką jest wojna, wydaje się zasługiwać na uwagę jednostki. Tą odpowiedzią jest – życie. Jego pragnienie i decyzja o jego poświęceniu. Wszechogarniający strach przed jego utratą i szacunek dla tych, których szalona odwaga do dziś wprawia w zdumienie.

Dlatego też tytuł, zaczerpnięty z wypowiedzi jednego z bohaterów książki, oddaje w sposób najbardziej zwięzły to, czemu jest ona poświęcona. To opowieść o życiu jako wartości o wyjątkowym znaczeniu. Jednocześnie o życiu, które nie jest jednak wartością najwyższą. Spisane rozmowy, przeprowadzone z ludźmi mającymi świadomość tego, że dochodzą do kresu swojej czasowości, są niezwykle dojrzałymi refleksjami nad poję-

ciem takimi, jak: miłość, nienawiść, odwaga, bohaterstwo, honor, patriotyzm, ojczyzna czy pamięć. Poprzez relacje pozbawione ideologii otwierają wrażliwego czytelnika na poznanie nieosiągalne w kontakcie z chociażby uczonymi rozważaniami filozoficznymi. Czymże jest wobec opowiadań osób walczących w powstaniu warszawskim, ukrywających się przez lata w lasach, doświadczających tragizmu wszechobecnej śmierci na nieludzkiej ziemi czy patrzących na nią wewnątrz obozów koncentracyjnych, refleksja filozoficzna o ludzkiej czasowości? Pokolenia pozbawione takich doświadczeń, podejmując rozważania o fenomenie narodzin i śmierci, odkryją w spisanych wypowiedziach znaczące uzupełnienie.

Bohaterowie omawianej publikacji mają swoje imiona. To ich wyróżnia z wielomilionowej rzeszy ofiar wojny, pozbawionych szansy na to, aby ich pamięć przetrwała. Wydaje się, że właśnie ten aspekt, potrzeba utrwalenia samego siebie, był niejednokrotnie impulsem do tego, aby podzielić się własnym świadectwem.

W krótkiej analizie okładki, wprowadzającej w powyższe rozważania, nie uwzględniono jeszcze jednego elementu, który wydaje się szczególnie istotny. Otóż nie ma na niej ilustracji, mogącej zachęcić do zapoznania się z treścią książki. Szczególna moc, jaka tkwi w zapi-

sanych wywiadach, jest bowiem nie w obrazach, lecz w słowie. Tym samym książka nie wpisze się w żadną z serii publikacji przedstawiających okropności wojny, niczym zbiór rycin Francisca Goi. Jej przesłanie dla możliwości kształtowania przyszłych pokoleń ma znaczenie fundamentalne, jest podstawą wszelkich wysiłków, jakie podejmujemy, mając na myśli tych, którzy przyjdą po nas. ■

„Jedno z moich imion brzmi życie. Rozmowy z tymi, którzy przetrwali piekło wojny”, Wojskowy Instytut Wydawniczy, 2019.



Losy archiwów wywiadu i kontrwywiadu Wojska Polskiego we wrześniu 1939 r. do dziś budzą kontrowersje. Jak bowiem można wytłumaczyć to, że ściśle tajne dokumenty Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego pozostawiono w Warszawie na pastwę losu?

Tajemnice archiwum w Forcie Legionów

KONRAD PADUSZEK

Organizację, kadry, działalność wywiadu i kontrwywiadu II Rzeczypospolitej zorganizowanych w Oddziale II Sztabu Głównego Wojska Polskiego – otaczała tajemnica. Próżno by szukać informacji o tym w jawnym rozkazodawstwie wojskowym i powszechnie dostępnych publikacjach Polski międzywojennej. Sukcesy i porażki „dwójki”, jak popularnie nazywano służbę specjalną Wojska Polskiego, były znane jedynie najwyższym władzom państwowym i wojskowym. Kulisy operacji prowadzonych w kraju i za granicą znała jedynie wąska grupa pracowników wywiadu i kontrwywiadu, ale ci milczeli. System ochrony informacji niejawnych miał jednak słabą stronę, tak

bardzo pożądaną przez służby wywiadu państw ościenych, nieprzyjaciół II Rzeczypospolitej. Wywiad i kontrwywiad – mimo specyficznego zakresu kompetencji i działalności, wyróżniającego je spośród innych instytucji państwowych – jak każdy dział biurokracji rządowej lub wojskowej wytwarzały ogromne ilości dokumentów. Nawet w związku z najtajniejszymi działaniami z najściślej zakonspirowanymi pracownikami – powstawały dziesiątki i setki przeróżnej formy akt dotyczących spraw organizacyjnych, personalnych i finansowych. Nieużyteczną dokumentację, pozostałą po zakończonych sprawach, składowano w archiwum. Każdy niejawny dokument był niezwykle cenny, gdyż dotyczył działalności służby specjalnej Wojska Polskiego. Niepodległa II Rzeczpospolita istniała niewiele więcej niż



Grupa pracowników adiutantury Biura Szyfrów Ministerstwa Spraw Wojskowych, między 1927

a 1928 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

dwadzieścia lat, a w tak krótkim okresie nie było spraw przedawnionych, które utraciły znaczenie. W tych okolicznościach zapewnienie bezpieczeństwa dokumentom złożonym w archiwum miało pierwszorzędne znaczenie dla bezpieczeństwa działalności wywiadu i kontrwywiadu Wojska Polskiego.

Następstwa przejęcia przez Niemców dokumentów

Początkowo archiwum Oddziału II SG WP zorganizowano w Zamku Królewskim w Warszawie, ale szybko okazało się, że dawna siedziba królów nie jest dla niego najwłaściwszą lokalizacją. Nowe miejsce składowania sekretnych dokumentów zaczęto organizować pod koniec 1924 r. w dawnym carskim obiekcie wojskowym, Forcie Włodzimierza (zwanym po odzyskaniu niepodległości Fortem Legionów), położonym na warszawskim Żoliborzu. Już przed I wojną światową wojska rosyjskie Warszawskiego Okręgu Wojskowego składowały tam dokumenty, a po 1918 r. zorganizowano w tym miejscu Centralne Archiwum Wojskowe. Na potrzeby „dwójki” z magazynu CAW wydzielono dwa pomieszczenia. W ten sposób w Forcie Legionów powstało archiwum wywiadu i kontrwywiadu. Referat Archiwalny Oddziału II SG WP (tak oficjalnie nazywała się składnica niejawnych dokumentów) był wyodrębniony ze struktury CAW i podlegał bezpośrednio kierownictwu „dwójki”, a dokładnie: zastępcy szefa i kierownikowi Wydziału Organizacyjnego. Pierwszym kierownikiem Referatu był ppor. Kazimierz Skorupa-Skorupski, ale wkrótce po objęciu stanowiska popełnił samobójstwo w tajemniczych okolicznościach. Jego następca chor. Brunon Wiśniewski nadzorował archiwum przez wiele lat aż do opuszczenia Warszawy 9 września 1939 r. z personelem Oddziału II SG WP. Można zatem powiedzieć, że znał doskonale tajemnice archiwum w Forcie Legionów.

Niemcy i Związek Sowiecki we wrześniu 1939 r. były zainteresowane pozyskaniem polskich archiwów państwowych, a zwłaszcza służby specjalnej Wojska Polskiego. Władze III Rzeszy prowadziły działania w celu ich przejęcia, pomne fiaska pozyskania dokumentów czechosłowackiej służby specjalnej wywiezionych w ostatniej chwili drogą lotniczą do Wielkiej Brytanii 14 marca 1939 r. Mimo to Niemcy początkowo nie znajdowali żadnych akt w siedzibie placówek terenowych prowadzących wywiad na kierunku niemieckim, w Katowicach

i Bydgoszczy. Co więcej, kierownik tej ostatniej, mjr Jan Henryk Żychoń, opróżniwszy archiwum placówki, zadrwił z nich, pozostawiając w gabinecie jedynie bilet wizytowy. Również po wkroczeniu do Warszawy zastali oni puste pokoje w Centrali Oddziału II SG WP na placu Saskim. Niezrażeni niepowodzeniami podjęli poszukiwania w Forcie Legionów i właśnie tam odnaleźli prawdziwy skarb: niemal kompletne archiwum „dwójki” i innych znaczących instytucji, m.in. Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Przeznaczenie obiektu nie było dla nikogo tajemnicą, dlatego nie może dziwić, że Niemcy, poszukując niezwykle cennych materiałów, tam skierowali kroki. Zdziwienie wywołuje zaś to, że najtajniejsze dokumenty zawierające informacje o organizacji i działalności służby wywiadu i kontrwywiadu II Rzeczypospolitej, a przede wszystkim akta personalne kadry, a co najważniejsze, dane o informatorach, porzucone przez Polaków zostały na pastwę losu w Warszawie. Według błędnej wersji zdarzeń, publikowanej od dziesięcioleci w literaturze przedmiotu, archiwa Oddziału II SG WP odnalazł oficer Abwehry, kpt. Bulang. Dziś, dzięki badaniom historyka Aleksandra Woźnego, wiadomo już, że odnalazła je między 2 a 5 października 1939 r. grupa wydzielona ze zbrodniczej formacji niemieckich sił zbrojnych – Einsatzkommando 2/IV Auswertungstrupp (Einsatzgruppe IV) – działająca przy 4 Armii. Zdobycz była ogromna, bo materiały „dwójki” wraz z dokumentami innych instytucji wojskowych zajęły aż 90 wagonów kolejowych, którymi zostały przewiezione do organizowanego od września 1939 r. archiwum w Gdańsku-Oliwie, przeznaczonego do przechowywania i opracowywania zdobycznych polskich akt. Sprawa pozostawienia dokumentacji w Warszawie zasługuje na najsurowsze potępienie. Szacuje się, że niemieckie sądy na podstawie odnalezionych dokumentów skazały co najmniej stu informatorów polskiego wywiadu działających w III Rzeszy i kilkuset w terenach przygranicznych. Karę śmierci orzeczono wielokrotnie, a wyroki zostały wykonane¹.

Znaczenie archiwów wileńskich i lwowskich dla Sowietów

Również władze Związku Sowieckiego przed agresją na II Rzeczpospolitą prowadziły przygotowania do odnalezienia i przejęcia archiwów polskich instytucji państwowych i wojskowych, zwłaszcza akt Oddziału II SG WP. Ludowy komisarz spraw wewnętrznych

FORT WŁODZIMIERZA

Od 1918 r. nazywany Fortem Legionów – miał za zadanie osłaniać Cytadelę od strony Nowego Miasta. Już w czasach carskich, w latach 1874–1914 był miejscem przechowywania dokumentów Archiwum Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Poczłtówka z 1915 r. przedstawia widok z fortu na zniszczone przez wycofujących się Rosjan mosty kolejowe na Wiśle. Fot. Zbiory Andrzeja Witkowskiego

Akta personalne płk. Stefana Mayera, szefa Wydziału Wywiadowczego O.II.
Zbiory Centralnego Archiwum Wojskowego

ROCZNA LISTA KWALIFIKACYJNA
ZA ROK 1915

KAZIMIERZ BANACH
MAJOR WYPŁODOWANY

SŁUŻBA INFORMACYJNA
W PUŁKU PIECHOTY
W CZASIE WOJNY

WARSZAWA 1938
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-OŚWIATOWY

Burzliwe losy archiwum Oddziału II SG WP w czasie II wojny światowej i w Polsce Ludowej. Strona tytułowa książki ma ostemplowanie niemieckiego archiwum w Gdańsku-Oliwie, a także... komunistycznej Wojskowej Służby Wewnętrznej. Zbiory Centralnego Archiwum Wojskowego

Związku Sowieckiego Ławrientij Beria 8 września 1939 r. wydał zarządzenie nr 001064 O *przedsięwzięciach operacyjnych w związku z przeprowadzanymi ćwiczeniami*. Zorganizowane w Kijowie grupy operacyjne w liczbie pięciu, każda po 50–70 osób, zostały oddane do dyspozycji grup armijnych Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego gen. Siemiona Timoszenki, a powołane w Mińsku cztery grupy operacyjne w składzie po 40–50 osób przydzielono do poszczególnych grup armijnych Białoruskiego Okręgu Wojskowego gen. Michaiła Kowaliowa. Do każdej grupy operacyjnej przydzielono batalion wojska liczący 300 żołnierzy wydzie-

lonych z Kijowskiego i Białoruskiego Okręgu Wojskowego. Podstawowe zadania grup operacyjnych zostały określone w dyrektywie NKWD O *organizacji pracy w wyzwolonych rejonach zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi* wydanej 15 września 1939 r. Nadrzednym celem było zorganizowanie aparatu NKWD na okupowanym terytorium Polski. W szczegółowych dyrektywach nakazywano m.in. natychmiastowe przejście wszystkich polskich archiwów państwowych i wojskowych, w pierwszej kolejności żandarmerii i placówek Oddziału II Sztabu Głównego oraz aresztowanie na ich podstawie „wrogów władzy ludowej”. Wciąż nie znamy okoliczności pozyskania przez Sowieców archiwów Ekspozytur Oddziału II SG WP w Wilnie i we Lwowie, nie są one możliwe do ustalenia bez wnikliwych badań archiwalnych. W literaturze przedmiotu można znaleźć bu-

dzącą wątpliwość informację, że archiwa te odnalazł przypadkowo szeregowy żołnierz Armii Czerwonej.

Historyk, badając tę sprawę, staje przed pytaniem: w jaki sposób doszło do pozostawienia na pastwę okupantów najcenniejszych dokumentów II Rzeczypospolitej? Naturalnie myślimy o zdradzie, bo jakżeby władze wojskowe i kierownictwo „dwójki” mogły dopuścić do tak fatalnego w skutkach zdarzenia. Tak okoliczności te tłumaczono na emigracji. Miejsce spoczywania sekretnych dokumentów miał wskazać Niemcom nieznanemu zdrajcy, który poniósł śmierć z rąk podziemia. Według innej wersji krążącej na emigracji, Niemcy dokumenty odnaleźli przypadkowo. Oba warianty zdejmują odpowiedzialność z władz wojskowych i kierownictwa Oddziału II SG WP. Tymczasem badania historyczne wskazują, że niedbałość i bałagan spowodowały porzucenie cennej dokumentacji, co spowodowało śmierć na wielu informatorów „dwójki”. Służby archiwalne nie były przygotowane do nadchodzącej wojny. Instrukcja o przechowywaniu, wydzielaniu i niszczeniu akt w CAW weszła w życie dopiero 1 stycznia 1939 r. Niemal aż do końca sierpnia archiwum pracowało w trybie pokojowym. Planowano, że w przypadku konfliktu dokumenty, które nie zostałyby zniszczone lub ewakuowane, a tych byłaby znacząca większość, miały pozostać w Warszawie wraz z personelem niezdolnym do służby, a w przypadku wkroczenia Niemców do stolicy miano wręczyć okupantom list w języku francuskim informujący o powierzeniu im dokumentów w opiekę. Wiara w rycerskość Niemców miesza się ze skrajną naiwnością. Bardziej poważne przygotowania do wojny czyniono w Referacie Archiwalnym Oddziału II SG WP. W pierwszych dniach września 1939 r. Bernard Wiśniewski na rozkaz zastępcy szefa „dwójki” rozpoczął akcję palenia dokumentów, ale dysponował jedynie mało wydajnym piecem. Lepsze rezultaty przyniosło palenie akt w elektrowni warszawskiej, lecz Wiśniewski miał zbyt małą liczbę samochodów i pomocników przydzielonych ze Związku Strzeleckiego „Strzelec”, żeby zniszczyć całe archiwum. W większości spalił dokumenty kontrwywiadu, natomiast pozostałe akta, głównie wywiadu, porzucił w Forcie Legionów, gdy opuścił stolicę 9 września z personelem Oddziału II SG WP.

Tragiczne skutki dawniej i dziś

Większość dokumentacji zagarnęli Niemcy, pozyskując kapitalne dane o działaniach, organizacji i kadrach polskiego wywiadu, a trzeba powiedzieć, że wielu oficerów kontynuowało służbę w czasie II wojny światowej w odtworzonych Polskich Siłach Zbrojnych. Niemcy dysponowali ich zdjęciami, dokumentami personalnymi, znali miejsce zamieszkania najbliższej rodziny. Co więcej, weszli w posiadanie bezcennych akt Biura Szyfrów, choć te dokumentujące złamanie szyfru „Enigmy” zo-

stały zniszczone w czasie ewakuacji ośrodka kryptologicznego w Pyrach, gdzie pracował Marian Rejewski z zespołem matematyków. Pod koniec II wojny światowej część archiwaliów polskich z Gdańska-Oliwy wywieziono w głąb Rzeszy. Tam odnaleźli je Sowieci. Służyli przez lata aparatu terroru i represji Związku Sowieckiego i Polski Ludowej do inwigilacji polskiej emigracji wojskowej i represjonowania tych, którzy wrócili do kraju pod rządami komunistów. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX w. część dokumentacji rewindykowano do Polski Ludowej, ale wciąż co najmniej połowa archiwum „dwójki” znajduje się w Federacji Rosyjskiej, mimo że w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku działały w rosyjskich archiwach aż trzy polskie komisje historyczno-archiwalne, których celem było rozpoznanie i skopiowanie poloników w archiwach postsowieckich.

Wydawać by się mogło, że dokumenty te mają wartość jedynie w badaniach naukowych, niemniej wciąż mają znaczenie w rosyjskiej polityce historycznej. Należy wspomnieć o publikacji zbioru dokumentów z Centralnego Archiwum Służby Wywiadu Zagranicznego *Siekiety polskiej politiki. Sbornik dokumentow (1935–1945)*, podanych do druku przez gen. Lwa Sockowa. Publikacja zawiera właśnie dokumenty z zagrabionego archiwum Oddziału II SG WP, wybrane tendencyjnie i opatrzone nieobiektywnym komentarzem². Wydanie książki, którą opublikowano 1 września 2009 r., w siedemdziesiątą rocznicę wybuchu II wojny światowej, poprzedziła kilkudniowa kampania medialna. Publikacja rzekomo odsłaniała kulisy dyplomacji II Rzeczypospolitej, a w istocie jej celem było przedstawienie w czarnych barwach polskiej polityki zagranicznej w przededniu i podczas II wojny światowej. Władzom II Rzeczypospolitej zarzucono m.in. współodpowiedzialność za wybuch konfliktu zbrojnego, a ministra spraw zagranicznych Józefa Becka posądzono o współpracę z III Rzeszą. Polscy historycy wykazali tendencyjność doboru dokumentów i nieprawdziwość zaprezentowanych tez i wniosków. Czy jednak prawda przebiję się do światowej opinii publicznej?

KONRAD PADUSZEK doktor nauk humanistycznych w zakresie historii, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w historii stosunków polsko-rosyjskich i polsko-sowieckich, a także dziejów służb specjalnych. Ostatnio opublikował monografię *Zajrzeć do mózgu Lenina. Wywiad II Rzeczypospolitej a postrewolucyjna Rosja*.

¹ A. Woźny, *Wyjaśnione losy Referatu Archiwalnego Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego w 1939 roku*, „Prace Komisji Historii Wojen i Wojskowości PAU” 2009, t. V, s. 101–118; tenże, *Łużyce w planie dywersji polskiego wywiadu wojskowego w latach 1931–1939. Operacyjne działania dywersyjne Ekspozytury nr 2 Oddziału II Sztabu Głównego na kierunku zachodnim*, Opole 2010, s. 264–290; tenże, *Przebieg akcji Oddziału II SG WP przez Einsatzkommando 2/IV (SS/SD) w 1939 r.* [Dokumenty: Referatu „Zachód” i Biura Szyfrów – 4 i 3]. *Zlekcowanie procedur bezpieczeństwa ochrony dokumentów*, „Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP. Z działalności Oddziału II SG WP”, t. V, red. T. Dubicki, Łomianki 2015, s. 7–37. ² *Siekiety polskiej politiki. Sbornik dokumentow (1935–1945)*, wstęp, wybór i oprac. L. Sockow, Moskwa 2009.

KOPOWCY SPEŁNILI SWÓJ OBOWIĄZEK

**Patrol na pograniczu
polsko-sowieckim.**

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe/
koloryzacja Mirosław Szponar



„Elitarność kadry oficerskiej i żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza jest mitem” – mówi prof. Jerzy Prochwicz.

Czytając o Korpusie Ochrony Pogranicza, można natrafić na opinię, że była to specjalna i elitarna formacja wojskowa utworzona w celu ochrony granicy wschodniej i mieszkańców Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej.

Rozpatrując problem elitarności KOP, trzeba zmierzyć się z trzema podstawowymi jego zagadnieniami: wykształceniem kadr, umiejętnością czytania i pisania wśród żołnierzy KOP oraz obroną granicy wschodniej na linii strażnic 17 września 1939 r. Istotnym elementem mitu elitarności Korpusu jest też udział w kampanii polskiej jednostek i pododdziałów KOP oraz powstałych na bazie KOP związków taktycznych. Trzeba wziąć pod uwagę okoliczności i przyczyny narodzin mitu. Należy go postrzegać na trzech płaszczyznach: politycznej, społecznej i historiograficznej.

Zasadniczym pytaniem jest: co stało u podstaw powstania mitu o elitarności Korpusu? Bezwzględny prymat w kwestii elitarności miał czynnik polityczny. Obecny był on już w chwili organizacji KOP, w 1924 r. Wtedy bowiem w założeniach organizacyjnych mającej powstać formacji granicznej zapisano, że kierowani do Korpusu oficerowie, podoficerowie i szeregowcy będą stanowić doborowy element narodowości polskiej. Szczególne kryteria zastosowano wobec szeregowych, którzy oprócz tego, że mieli być narodowości polskiej, to powinni ponadto w miarę możliwości być synami chłopskimi umiejącymi czytać i pisać.

Projektowane kryteria doboru miały służyć temu, by społeczeństwu Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej pokazać dobrze umundurowanego, wykształconego oraz reprezentującego odpowiednią postawę moralną i ideologiczną obrońcę jej granic. Zetknięcie się Kresowian z tak prezentującym się żołnierzem KOP musiało rodzić przeświadczenie o sile II Rzeczypospolitej oraz o tym, że służba w Korpusie jest zaszczytem i są w nim najlepsi z najlepszych. Takie postrzeganie formacji granicznej brało się z politycznych rachub klasy rządzącej II Rzeczypospolitej, zgodnie z którymi zorganizowana formacja graniczna miała nie tylko strzec granicy, lecz także wzmocnić strukturę administracyjną państwa oraz zapewnić spokój na pograniczu.

W chwili powstawania jednostki obecne są dwa elementy mitu elitarności KOP: dobre wykształcenie i doskonałe wykształcenie jego żołnierzy. Oba miały za podstawę czynniki polityczny i społeczny. Przy czym czynnik społeczny był rezultatem czynnika politycznego i wynikał z zetknięcia się społeczeństwa z żołnierzami Korpusu. Elitarność KOP nie miała nic wspólnego z rzeczywistością, ponieważ jedno z najważniejszych kryteriów dotyczących żołnierzy Korpusu – umiejętność czytania i pisania – nie było spełnione. Okazało się bowiem, że w 1931 r. około 23% społeczeństwa nie posiadało tych umiejętności. Stąd też odsetek szeregowych, którzy byli półanalfabetami lub mieli wykształcenie poniżej szkoły powszechnej pierwszego stopnia, był przez cały okres istnienia KOP stosunkowo wysoki. Problem braku umiejętności czytania i pisania dotyczący żołnierzy kierowanych do Korpusu był szczególnie widoczny w 1936 r., gdy wśród 7007 żołnierzy aż 46,5% nie spełniało wymagań w zakresie tych umiejętności. Skalę braków odzwierciedla między innymi statystyka żołnierskich szkół początkowych, zgodnie z którą na przykład w latach 1925–1927 szkołę taką ukończyło 23 659 żołnierzy. Stan etatowy KOP w tym czasie wynosił średnio około 25 tys. żołnierzy służby zasadniczej w każdym roku poborowym. Także w latach następnych wielu żołnierzy wcielonych do KOP miało znaczne braki w wykształceniu na poziomie szkoły podstawowej pierwszego stopnia, w tym umiejętności czytania i pisania.

Kwestia niskiego wykształcenia dotyczyła nie tylko żołnierzy służby zasadniczej. Nie mniejszym problemem był również stan wykształcenia kadry podoficerskiej, która także w części nie spełniała wymagań określonych w chwili organizacji Korpusu. Okazało się bowiem, że w szeregach podoficerów zawodowych znajduje się około 20% podoficerów przy stanie etatowym wynoszącym około 2650 podoficerów niemających ukończonej siódmej klasy szkoły powszechnej. Postanowiono zatem, że wszyscy podoficerowie KOP bez wykształcenia w zakresie szkoły podstawowej będą musieli uzupełnić je do końca 1935 r. Ponadto wprowadzono zasadę, że od 1 stycznia 1936 r. nie wolno przedłużać służby zawodowej



JERZY PROCHWICZ doktor habilitowany, pracownik Filii w Piotrkowie Trybunalskim Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Historyk XX w., archiwista. Specjalizuje się w historii formacji granicznych na przestrzeni dziejów, walk we wrześniu 1939 r. z udziałem formacji granicznych, interesuje się wywiadem Korpusu Ochrony Pogranicza oraz współczesnymi zagadnieniami związanymi z bezpieczeństwem państwa. Autor oraz współautor licznych publikacji, m.in. *O Niepodległą i Granice. Korpus Ochrony Pogranicza. Wybór dokumentów; Formacje Korpusu Ochrony Pogranicza w 1939 roku; Korpus Ochrony Pogranicza 1924–1939; Wywiad Korpusu Ochrony Pogranicza 1924–1939; Wojska Ochrony Pogranicza 1945–1965. Wybrane problemy.*

podoficerom niemającym wykształcenia w zakresie siedmioklasowej szkoły podstawowej.

Dopełnieniem mitu elitarności KOP w zakresie wykształcenia było – rozpowszechnione zarówno w okresie międzywojennym, jak i obecnie – przekonanie, że wszyscy oficerowie Korpusu mieli średnie i wyższe wykształcenie. W 1939 r. wśród 83 oficerów zajmujących stanowiska w sztabach jednostek KOP, dowódców brygad, pułków i batalionów znajdował się oficer, który ukończył cztery klasy szkoły podstawowej; 16 oficerów nie ukończyło szkoły średniej; 54 – ukończyło szkołę średnią, w tym 2 bez matury; 2 – miało wykształcenie niepełne wyższe, 10 zaś wykształcenie wyższe. W odniesieniu do oficerów z wykształceniem wyższym przedstawiona statystyka dotyczy w 7 przypadkach lekarzy, a w 1 wypadku farmaceuty, który był dowódcą batalionu KOP „Orany”. Jeden z elementów mających świadczyć o elitarności KOP, odnoszący się do wysokiego wykształcenia kadr oficerskich, podoficerskich oraz powszechnej umiejętności czytania i pisania przez szeregowych – nie znajduje więc potwierdzenia.

Interesującą kwestią mitu elitarności KOP jest kryterium narodowości – wszyscy żołnierze mieli być narodowości polskiej. Niestety, wyznacznik ten spowodował dylemat władz politycznych: czy Wojsko Polskie ma być armią narodową, czy państwową? Charakter narodowy wymagał prawie w 100% rekruta narodowości polskiej, co było niemożliwe, więc postawiono na model państwowy. Stąd też charakter narodowy starano się utrzymać w piechocie i jednostkach specjalnych, jak łączność, marynarka i lotnictwo. Wobec tego do KOP nie mogli trafić wyłącznie żołnierze narodowości polskiej. W drodze kompromisu ustalono, że w Korpusie będzie 80% żołnierzy narodowości polskiej i 20% żołnierzy mniejszości narodowych. Przede wszystkim mieli to być Niemcy, Ukraińcy, Białorusini i w niewielkim stopniu, bo poniżej procenta, Żydzi.

Analogicznie było w kwestii wykształcenia, okazało się bowiem, że żołnierze, którzy trafiali do KOP, nie przedstawiali najwyższej wartości bojowej. Wynikało to z faktu, że pułki piechoty, które szkoliły żołnierzy mających trafić do KOP, nierzadko stosowały praktykę kierowania do Korpusu żołnierzy najmniej przydatnych, z najniższym wykształceniem lub niemających żadnego. Wobec tego do KOP przychodzili ci, którzy nie tylko nie umieli czytać i pisać, ale często przez okres szkolenia w jednostkach, które miały przygotować ich do służby w KOP, nie przechodzili wymaganego przeszkolenia. Stąd też wieloletni dowódca KOP gen. dyw. Jan Kruszewski alarmował

Ministerstwo Spraw Wojskowych o tych praktykach, podkreślając, że jest to zaprzeczenie zasad, które stały u podstaw kierowania żołnierzem do Korpusu. Przykładem takiego wystąpienia było między innymi sprawozdanie z maja 1936 r., w którym generał informował o tym, że skierowani do KOP żołnierze w wielu wypadkach przez okres przygotowawczy w pułkach piechoty nie odbyli szkolenia w zakresie strzelania, czynności pocztowych osobistych, w warsztatach stolarskich, krawieckich oraz na budowach jako murarze. Twierdził ponadto, że często żołnierze ci nie byli szkoleni praktycznie, lecz jedynie teoretycznie.

Kwestia wykształcenia o tyle była istotna, że zakładano, iż w wypadku wojny ze Związkiem Sowieckim KOP będzie spełniał rolę osłony procesu mobilizacji i prowadził działania opóźniające. Wymagało to przygotowania żołnierzy do działań w polu, które – jak stwierdzali podczas dokonywanych inspekcji między innymi generałowie Kazimierz Sosnkowski i Władysław Bortnowski – nie było na zadowalającym poziomie i różniło się od stanu wykształcenia jednostek Wojska Polskiego. Różnice te wprawdzie oceniano jako niewielkie, ale w działaniach bojowych we wrześniu 1939 r. były widoczne. Główną przyczyną tego stanu było jednak skupienie uwagi w procesie szkolenia na umiejętnościach związanych z pełnieniem służby granicznej. Pozytywnie na tle formułowanych krytycznych ocen co do wykształcenia żołnierzy KOP wypadali w pewnej mierze żołnierze batalionów odwodowych KOP; do grudnia 1938 r. batalionów tych było 7, a w 1939 r. – 6. Tę widoczną różnicę w wykształceniu, a także uzbrojeniu można było zaobserwować podczas działań obronnych w 1939 r. przed atakami wojsk niemieckich, jak i – na południu Polski – wojsk słowackich.

Istotna w kontekście elitarności jest kwestia kwalifikowania poborowych do służby w Korpusie. To zagadnienie niechętnie lub też wcale nie było artykułowane ze względu na to, że do KOP wcielano synów chłopskich i to jedynie z rodzin posiadających ziemię oraz gospodarstwa. Wiązało się to z przeświadczeniem, że chłopci – z natury konserwatywni, o niskim stopniu wykształcenia – będą mało podatni na agitację bolszewicką. Obawa przed oddziaływaniem owej agitacji skłaniała także do tego, by unikać wcielania do Korpusu chłopów bezrolnych, którzy w poszukiwaniu środków utrzymania zmieniali miejsca pobytu, mieli zatem więcej możliwości kontaktu z komunistyczną propagandą. Stosując te kryteria, starano się nie wciągać także rzemieślników, poza specjalizującymi się w potrzebnych dla funkcjo-



Polski posterunek na granicy polsko-sowieckiej. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Patrol na granicy polsko-sowieckiej. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

nowania formacji dziedzinach. Przestrzegano też zasady, że do KOP nie należy wciągać robotników. Incydentalne odstępstwa od niej nie dotyczyły dużych ośrodków miejskich, jak Katowice, Łódź, Warszawa i Zagłębie Dąbrowskie. Biorąc zatem pod uwagę skład osobowy, wykształcenie ogólne i specjalistyczne żołnierzy oraz stopień wykształcenia podoficerów i oficerów, który oceniano jako niższy od kadr znajdujących się w jednostkach Wojska Polskiego, teza o elitarności KOP nie ma uzasadnienia.

O ówczesnej sytuacji wiele mówi wykorzystanie kadr przedwojennych formacji granicznych i kadr wywodzących się z sił zbrojnych II Rzeczypospolitej w organizacji Wojsk Ochrony Pogranicza, które powstały we wrześniu 1945 r. Wiązało się ono przede wszystkim z brakiem własnych kadr wyszkolonych już przez komunistów. Stąd przez krótki czas, do 1948 r., żołnierze byłego KOP, Straży Granicznej i kadr wywodzących się z sił zbrojnych II Rzeczypospolitej nierzadko zajmowali wysokie stanowiska w WOP. Przykładem były pośrednie szczeble dowodzenia: Wydziały WOP (sześć) przy dowództwach okręgów wojskowych, w których oficerowie wywodzący się ze Straży Granicznej (czterech) i z Korpusu Ochrony Pogranicza (jeden) byli ich szefami. Ciekawostką jest sytuacja w Wydziale WOP przy Śląskim Okręgu Wojskowym, którego szefem był ppłk Mikołaj Grajworoński, oficer sowiecki wywodzący się z wojsk pogranicznych NKWD. Otóż jako przełożony oddziałów WOP znajdujących się na terytorium tego okręgu wojskowego za podwładnego miał on dowódcę oddziału Wojsk Ochrony Pogranicza mjr. Lucjana Kępińskiego, przed wojną – w latach 1932–1935 – dowódcę batalionu KOP „Luźki”, z którym Grajworoński uczestniczył w spotkaniach granicznych. Ten swoisty flirt

komunistów zwłaszcza z kadrami przedwojennych formacji granicznych zakończył się w 1948 r. Po tej dacie kadry wywodzące się z przedwojennych formacji były usuwane z WOP i poddawane różnorodnym represjom.

Po 1989 r. dla celów politycznych i przywracania pamięci II Rzeczypospolitej Korpus Ochrony Pogranicza zaczęto określać mianem formacji elitarniej, mając na myśli wykształcenie i wykształcenie. Nie pokrywało się to jednak z rzeczywistością. Była to po prostu normalna formacja graniczna.

Dlaczego więc mówiono o elitarności Korpusu w II Rzeczypospolitej?

Ponieważ KOP – oprócz ochrony granicy państwa – miał zadania natury społeczno-politycznej. Ważnym zadaniem Korpusu było wsparcie ludności narodowości polskiej na Kresach Wschodnich. Musimy sobie zdawać sprawę, że w II Rzeczypospolitej na Kresach Wschodnich ludność innych narodowości stanowiła zdecydowaną przewagę. Stąd żołnierze KOP mieli być forpczą polskości.

Trzecim zadaniem formacji była szeroko pojęta praca społeczna. Wiązało się to z przeświadczeniem, że niezbędnym czynnikiem skutecznego działania KOP w ochronie granicy państwa oraz utrzymania porządku i bezpieczeństwa na terenach przygranicznych jest kształtowanie wśród wielonarodowościowej ludności pogranicza modelu obywatela świadomie uczestniczącego w życiu społeczno-politycznym, obywatela przyjaznego państwu polskiemu. Realizując te założenia, KOP od chwili powstania inicjował akcje kulturalno-oświatowe i społeczne, by w ten sposób nawiązać współpracę

**Przemytnik schwytany przez patrol Korpusu
Ochrony Pogranicza.** Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



z miejscową ludnością. Mieszkańcom pogranicza między innymi udostępniano świetlice i kluby, organizowano dla nich różnego rodzaju odczyty, udzielano im pomocy lekarskiej, a także wspomagano najbiedniejsze dzieci, organizując dla nich bezpłatne żywienia.

W zamyśle polityków II Rzeczypospolitej takie zadania mogli wykonywać tylko dobrze przygotowani, wykształceni żołnierze KOP, którzy mieli stanowić swoistą elitę pogranicza. Nie było to jednak możliwe. W kawalerii KOP w 1929 r. na 64 oficerów – 2 oficerów posiadało wykształcenie na poziomie szkoły podstawowej, 31 miało wykształcenie gimnazjalne, 1 oficer miał nieukończoną szkołę średnią, 27 oficerów ukończyło szkołę średnią, 3 legitymowało się wykształceniem wyższym, w tym 1 oficer bez zdanego ostatecznego egzaminu uniwersyteckiego.

W kwestii kadr oficerskich KOP w wielu publikacjach można wyczytać, że oficerowie skierowani do Korpusu służyli w nim przez dwa – trzy lata, a następnie wracali do macierzystych jednostek. W rzeczywistości często pozostawali oni w tej formacji przez wiele lat. Powodem było przeświadczenie o małej przydatności tych żołnie-

rzy w siłach operacyjnych. Jakkolwiek to uogólnienie może się wydawać niesprawiedliwe, to nierzadko znajdowało odzwierciedlenie podczas działań w obronie ojczyzny w 1939 r.

Nasuwa się tutaj pytanie: czy wobec tego służba w KOP traktowana była jako swoiste zesłanie?

Po części tak. Często oficerowie, którzy nie sprawdzili się w armii, szli do Korpusu. Trafiali tutaj nierzadko też oficerowie podejrzewani o sympatie proniemieckie. Pobyt w formacji dla wielu z nich był też przepustką do kariery w wojskach operacyjnych. Takim przykładem są późniejsi generałowie Mikołaj Bołtuć i Stefan Rowecki.

Do tych zadań dochodziła jeszcze nieustanna walka z przygraniczną kontrabandą i dywersją. Granicę wschodnią II RP przez cały okres jej istnienia można by nazwać pograniczem w ogniu i określenie to dotyczy nie tylko linii granicznej ze Związkiem Sowieckim, ale i z Litwą. Utarczki z bolszewickimi bądź litewskimi dywersantami stanowiły codzienność, kopowcy zmuszeni byli

także walczyć z przemytnikami, co obrazowo przedstawił w swych książkach Sergiusz Piasecki, który taką nielegalną działalnością się w pewnym okresie parał. Jak KOP radził sobie z tymi problemami?

Najczęściej mówi się, że KOP kontrolował granicę wschodnią. Do grudnia 1938 r. Korpus ochraniał odcinek granicy z Prusami Wschodnimi kompanią graniczną batalionu odwodowego KOP „Suwałki”. Jej obowiązki dopiero na początku 1939 r. przejęła Straż Graniczna. Do lipca 1939 r. Korpus patrolował także granicę z Łotwą. Był to batalion KOP „Słobódka”, od którego Straż Graniczna obowiązki przejęła 15 lipca 1939 r. Granicę z Rumunią ochraniał batalion KOP „Borszczów”. Oczywiście pozostaje granica z Litwą i Związkiem Sowieckim. I tutaj można powrócić do Sergiusza Piaseckiego. Jego opisy na granicy wschodniej są rzeczywiście zbieżne z panującymi tam realiami. Wyniszczone zarówno I wojną światową, jak i wojną polsko-bolszewicką tereny wschodnie II Rzeczypospolitej były bardzo ubogie, wobec tego przemyt kwitł. Działo się tak jednak nie tylko na odcinku ze Związkiem Sowieckim i Litwą, ale także z Rumunią, a w mniejszym stopniu i z Łotwą. Korpus był na to przygotowany, ponieważ miał w strukturze komórki wywiadowcze – przeciwp przemytnicze. Przy tej rozległości granicy i ukształtowaniu terenu była to walka z wiatrakami. Piasecki niczego więc nie przerysował.

Czy Pańskim zdaniem decyzja o dyslokacji najwartościowszych jednostek KOP na zachodnią granicę przed wybuchem wojny z Niemcami nie była zbyt pochopna. Kopowcy w walce z Wehrmachtem zapisałi piękną kartę bojową, ale 17 września wyraźnie zabrakło doświadczonych żołnierzy KOP na Kresach Wschodnich.

Z wojskowego punktu widzenia była to decyzja całkowicie błędna, wręcz katastrofalna. Jednostki KOP nie nadawały się do walki liniowej. Jak świadczą sprawozdania z manewrów generałów Sosnkowskiego i Bortnowskiego, żołnierze KOP byli niedostatecznie przygotowani do walki na froncie, na którym operuje nie tylko piechota i kawaleria, ale też lotnictwo i broń pancerna. Korpus był też słabo wyposażony w broń, nie mówiąc już o artylerii. Jego żołnierze mogli co najwyżej pełnić rolę oddziałów zaporowych, pilnujących zaplecza frontu, zwal-

czających dywersję i wyłapujących maruderów z rozbitych jednostek. Odesłanie tych najbardziej wartościowych sześciu batalionów odwodowych na zachód, a ponadto utworzenie z jednostek Korpusu 36 i 38 Dywizji Piechoty oraz 1 i 2 Brygady Górskiej miało się z celem. Odsłoniłszy zupełnie wschodnią granicę. W procesie mobilizacyjnym strażnice graniczne poza batalionem „Borszczów” i „Kopyczyńce” liczyły po 11 ludzi, tam liczyły po 16. W planach przewidywano wzmocnienie ich o 50%. W procesie mobilizacyjnym jednak z załóg strażnic pozostawiano dwóch – trzech żołnierzy starego rocznika, a resztę poszła na front. W dodatku strażnice pozbawiono broni ciężkiej, w nielicznych wypadkach pozostawiając broń maszynową. To wszystko spowodowało, że ich wartość bojowa zmalała drastycznie.

Ponadto do ogołoconych z doświadczonych żołnierzy strażnic w wielu wypadkach nie dotarło planowane uzupełnienie. Tam przede wszystkim mieli trafiać poborowi pochodzenia niemieckiego i ukraińskiego, co z wiadomych przyczyn po wybuchu wojny 1 września 1939 r. nie następowało. Improwizowano wtedy, między innymi zasilając załogi junakami: szesnasto-, siedemnastoletnimi chłopcami. Dysponuję relacją junaka, który na strażnicy 17 września 1939 r. miał składać przysięgę. Po dyslokacji najwartościowszych batalionów KOP na zachód nie zastąpiono ich nowymi oddziałami. W tym momencie KOP na Kresach Wschodnich nie miał żadnej wartości bojowej, a jedynie akcentował polską obecność. Strażnice nie były w stanie obronić się nawet przed bandą, gdyż przy obsadzie 11 czy 12 ludzi lub w porywach – gdy dotarło uzupełnienie – 15 bądź 16, bez broni maszynowej nie miały najmniejszych szans.



Harcerki 8 Drużyny z Katowic podczas naprawy mundurów żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

W takim wypadku można stwierdzić, że i tak nad podziw dobrze spełniły swoje zadanie.

I tutaj mamy kolejny mit. Bo przecież na 190 strażnic, które wtedy istniały, tylko w ośmiu – dziesięciu strażnicach doszło do walk. Jednym z błędów było to, że ówczesny dowódca Korpusu gen. Wilhelm Orlik-Rückemann, który objął to stanowisko w grudniu 1938 r. i słabo orientował się w stanie tej formacji, nie zarządził z chwilą wybuchu wojny przejścia swych podkomendnych na granicy wschodniej na system wojenny. Przed 17 września 1939 r. w rosyjskich meldunkach wyrażano zdumienie, że kopowcy pełnią służbę w systemie pokojowym. W 95% strażnice były drewniane i w większości znajdowały

się tuż przy linii granicy lub w niewielkiej odległości. A system pokojowy polegał na tym, że załoga strażnicy zamykała się na noc w jej wnętrzu. W środku czuwał jeden żołnierz, a drugi na zewnątrz, reszta na ogół poza wysłanym patrolem w tym czasie spała. Sowieci, przygotowując się do ataku na strażnice 17 września, przyjęli taką zasadę, co wynika z ich dokumentów, że będą napadać przy co najmniej trzykrotnej przewadze. Uderzenie głównie wykonywali żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza NKWD, wspomagani pododdziałami liniowymi. Przeciennie atakowały: pluton wopistów, trzy plutony piechoty plus pododdział kawalerii. Miażdżąca przewaga, której często nie trzeba było wykorzystywać po cichym zlikwidowaniu wartownika i wrzuceniu wiązki granatów przez okno strażnicy, kończyła walkę, która w rzeczywistości nawet się nie rozpoczęła.

Czy to prawda, że wywiad KOP był pewien, że Sowieci na nas uderzą po wybuchu wojny z Niemcami?

Można to rozważać na podstawie dokumentów wywiadowczych i kontrwywiadowczych polskich i po części także sowieckich. Od 1937 r. wywiad KOP był centralą wywiadu polskiego na Wschód. Stąd też włączono Ekspozyturę nr 1 w Wilnie i Ekspozyturę nr 5 we Lwowie w skład KOP, aczkolwiek służbowo podlegały one i tak II Oddziałowi Sztabu Generalnego. Pierwsze komórki wywiadu KOP zorganizowano nie w 1924 r., jak twierdzi znawca polskiego wywiadu Andrzej Peplowski, ale dopiero rok później. Ten wywiad był dość słaby i ówczesnie mocno krytykowany. Generał Stanisław Maczek przez pewien czas był szefem Ekspozytury nr 5 we Lwowie i on bronił przed tymi zarzutami oficerów wywiadu Korpusu. Po czystkach, które Józef Stalin poczynił w swej armii po 1937 r., wywiadowi KOP trudno było cokolwiek się dowiedzieć. Niemniej dość do-

brze rozpracowano odcinek, który w uproszczeniu możemy nazwać odcinkiem ukraińskim. Sowieci ogołocili swoją strefę przygraniczną z ludności tak, że na obszarze 100–120 km nie można było nikogo uświadczyc. Korpus organizował własne bojówki dywersyjne: grupy dziesięcio-, jedenastoosobowe z psami wyszkolonymi do rzucania się na ludzi. I te grupy wyprawiały się na akcje wywiadowcze za granicę.

Nie tylko Sowieci i Litwini stosowali więc tę taktykę.

Dokładnie. Zachował się ciekawy rozkaz z 1 września 1939 r. Tego dnia w Warszawie odbywała się odprawa wszystkich szefów placówek wywiadu KOP, których w tym czasie było 12. Ówczesny szef wywiadu mjr Jan Grubski zakazał wtedy z dniem dzisiejszym stosowania dotychczasowej praktyki wysyłania na teren Rosji bolszewickiej bojówek w celu zdobycia języka i rozkazał wszystkie siły skierować przeciwko Niemcom.

Z zachowanych meldunków, którymi dysponujemy – niestety, tylko niewielką częścią, bo większość znajduje się w Podolsku pod Moskwą, w centralnym archiwum wojskowym armii rosyjskiej – wynika, że wywiad KOP obserwował poczynania Sowieców na granicy. Składał meldunki o koncentracji wojska, ba – dowódcy strażnic meldowali o aktywności Sowieców.

A czy to prawda, że Rosjanie niespecjalnie się kryli ze swymi przygotowaniem?

Można stwierdzić, że wcale nie ukrywali swych przygotowań. W zachowanych dokumentach widać wyraźnie, że nasi obserwowali jawne ruchy wojsk. A Rosjanie w swoich meldunkach podkreślali, że służba po stronie polskiej jest prowadzona w sposób pokojowy, że nie widać żadnych przygotowań obronnych. Oni się temu bardzo dziwili. Podkreślali, że trwa piętnasty czy szesnasty dzień wojny, a żołnierze KOP pełnią służbę jak gdyby się nic nie działo.

Z obserwacji wywiadu KOP, z obserwacji meldunków jego strażnic i patroli można było się domyślać, co się święci. Biorąc to wszystko pod uwagę, trzeba zaprzeczyć tezie, która ma usprawiedliwiać marsz Edwarda Śmigłego-Rydza, że atak Armii Czerwonej był zaskoczeniem. Jeśli jest się głównodowodzącym armii, to należy dokonywać analiz, a wszystkie materiały wskazywały, że atak nastąpi. Na datę agresji 17 września wpłynęło kilka czynników, między innymi była to wspomniana czystka w kadrze oficerskiej i niedostateczne przygotowanie Armii Czerwonej do działań wojennych.

Żołnierze KOP wypełnili obowiązek obrony ojczyzny na miarę sił i możliwości. Nie mogli się bardziej efek-



Patrol z rkm wz.28 podczas zasadki na granicy polsko-sowieckiej. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Polski posterunek na granicy polsko-sowieckiej. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

tywnie przeciwstawić Armii Czerwonej. Gdyby nawet na granicy pozostały pełne załogi strażnic z bronią maszynową, to i tak nie były w stanie się obronić bez wsparcia wojsk regularnych.

Jako człowiek zajmujący się historią KOP od trzydziestu kilku lat jestem pozytywnie nastawiony do tej formacji. Właśnie dlatego, że jej żołnierze zrobili to, co mogli. Biorąc pod uwagę skład osobowy, stopień wykształcenia, możliwości bojowe i uzbrojenie, ci żołnierze i tak zrobili bardzo wiele. To jest bezdyskusyjne. Pojawia się jednak sporo wątpliwości, czy oficerowie KOP spełnili swe zadanie. W wielu przypadkach dowódcy pododdziałów i jednostek KOP zawiedli, by nie powiedzieć, że się skompromitowali. Klasycznym tego przykładem jest znany legionista płk dypl. Tadeusz Różycki-Kołodziejczyk, któremu odebrano dowództwo brygady „Polesie”, dlatego że w bitwie pod Szackiem nie wykonał rozkazu. Innym niesławnym przykładem jest płk Bolesław Ostrowski, mianowany później przez rząd emigracyjny generałem, który opuścił swą 36 Dywizję Piechoty Rezerwowej walczącą w okolicach Skarżyska-Kamiennej i Szydłowca. Podobnie uczynił płk Alojzy Wir-Konas, dowódca 38 Dywizji Piechoty Rezerwowej, który po utracie łączności z dywizją w trakcie walk w Lasach Janowskich nie podjął próby nawiązania z nią łączności. Ten wypadek, napiętnowany w *Cieniach września* przez gen. Sosnkowskiego, właściwie powinien skończyć się plutonem egzekucyjnym. Dla przeciwwagi mamy też wspaniałe przykłady bohaterstwa i umiejętnej dowodzenia przez oficerów Korpusu.

Siłą rzeczy nasuwa się tutaj heroizm kpt. Władysława Raginisa pod Wizną. Mamy przykład świetnego dowodzenia przez płk. Bronisława Sulika, dowódcę Pułku KOP „Sarny”. Podobnie bohaterstwem wykazał się dowódca 4 kompanii w Tynnem, kpt. Emil Markiewicz. Także mjr Kazimierz Czarkowski, dowódca batalionu odwodowego „Berezwecz” w walkach pod Węgierską Górką. Należy też pamiętać o tych, którzy potem znaleźli się w dołach katyńskich. Ci, którzy ocalili, wiedzę i charakter poświęcali wszędzie tam, gdzie walczyli Polacy, a także powstającym w 1945 r. jednostkom Wojsk Ochrony Pogranicza.

A gdyby Pan miał wymienić trzy największe sukcesy KOP we wrześniu 1939 r., co by Pan wskazał?

Na pewno obronę Odcinka Umocnionego Sarny, a w nim obronę odcinka Tynne, który był najsłabszy, bo nieukończony, i Sowieci doskonale o tym wiedzieli. Drugi sukces to bitwa pod Szackiem zgrupowania KOP gen. Wilhelma Orlika-Rückemanna. Oczywiście byłaby to także obrona Węgierskiej Górki. Dodam czwarty przykład, bo wszyscy wskazują, że ostatnia bitwa KOP, po której przestał on istnieć, to było Wytyczne. Nieśluszenie. Wprawdzie Rückemann rozwiązał tam zgrupowanie, ale wielu jego żołnierzy zlekceważyło ten rozkaz i dotarło do gen. Franciszka Kleeberga. Dlatego ostatnie walki żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza odbyły się pod Kockiem, a nie pod Wytycznym. ■

Rozmawiał Piotr Korczyński

SILNI, ZWARCI,

KAMPANIA 1939 R. Z PERSPEKTYWY



Nie zachowała się żadna część planu z marca 1939 r., która zawiera myśl Sił Zbrojnych co do sposobu prowadzenia operacji obronnej.

Żołnierz na letnich manewrach Wojska Polskiego, 1938 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

GOTOWI?

OSIEMDZIESIĘCIOLECIA

Odległa perspektywa umożliwia dokonanie chłodnej oceny tamtych wydarzeń, tym bardziej że nie żyją już ich uczestnicy, którzy później wywarli mniejszy lub większy wpływ na obraz ówczesnych zmagañ zbudowany przez historyków i utrwalony w historiografii.

JULIUSZ S. TYM

Od 30 lat nie istnieją przeszkody pozamerytoryczne, które wywierały wpływ na historiografię PRL. Jednocześnie historycy mają wgląd do zasobów archiwalnych, które wcześniej były dostępne wyłącznie nielicznym lub w ogóle zamknięte. Z perspektywy 80 lat można pokusić się o ocenę, że jest to najlepiej opisana przez polskich historyków kampania II wojny światowej, natomiast wiele ustaleń, które wydawałoby się, że trwale wpisało się w historiografię tej kampanii, należy zweryfikować.

Po śmierci marsz. Józefa Piłsudskiego w 1935 r. dokonał się istotny zwrot w otoczeniu międzynarodowym Polski oraz w jej systemie politycznym i w siłach zbrojnych. *Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej o sprawowaniu zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi i organizacji naczelnych władz wojskowych w czasie pokoju* z 9 maja 1936 r. wzmocnił pozycję nowego Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych gen. dyw. Edwarda Śmigłego-Rydza, który dokonał zmian w obsadzie kierowniczej kadry Sztabu Głównego, wyznaczając zarazem nowy kierunek pracy tego najważniejszego organu w wojennym systemie dowodzenia. Nowym szefem Sztabu Głównego został dotychczasowy dowódca 7 Dywizji Piechoty gen. bryg. Wacław Stachiewicz, powołany na to stanowisko *Dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej* z 5 czerwca 1935 r.

Plan „Wschód”

Generalny Inspektor Sił Zbrojnych w czasie pierwszego spotkania z nowym szefem Sztabu Głównego postawił mu zadania przekraczające ówczesne możliwości tego organu, co wymusiło natychmiastową jego reorganizację. W ramach zmian personalnych wymieniono wszystkich szefów głównych komórek organizacyjnych. Kierowany przez gen. Stachiewicza Sztab Główny w stosunkowo krótkim czasie stał się dominującą instytucją w Wojsku Polskim, szczególnie w dziedzinie organizacji i mobilizacji sił zbrojnych, programowania rozwoju sił

zbrojnych, a także inspirującą działania w zakresie przygotowań obronnych państwa.

Generalny Inspektor Sił Zbrojnych jesienią 1935 r. pod wpływem informacji na temat stanu rozbudowy Armii Czerwonej podjął decyzję o przygotowaniu planu operacyjnego „Wschód” na wypadek wojny ze Związkiem Sowieckim. Mając na uwadze wiele zaniedbań z poprzednich lat, gen. Śmigły-Rydz postawił Sztabowi Głównemu zadanie określenia przede wszystkim ostatecznej wojennej struktury organizacyjnej sił zbrojnych i opracowania nowego planu mobilizacyjnego. Jednocześnie Sztab Główny miał rozpocząć prace nad planem operacyjnym „Wschód” na poziomie strategicznym, a na poziomie operacyjnym (poszczególnych związków operacyjnych) – prace te mieli realizować inspektorzy armii. Trudność sprawiała to, że w Sztabie Głównym nie było tradycji tego rodzaju zadań, dlatego sztabowcy nie mieli potrzebnego w tym zakresie doświadczenia. Dodatkowy problem stanowił fakt, że prace nad planem operacyjnym „Wschód” toczyły się równolegle z opracowywaniem nowego planu mobilizacyjnego, co powodowało, że pewne etapy i czynności planowania operacyjnego nie mogły rozpocząć się bez elementów planu mobilizacyjnego, przede wszystkim kwestii związanych z planami transportowymi. Obecnie w polskich archiwach znajduje się szczątkowa ilość dokumentów dotyczących planu operacyjnego „Wschód”. Część z nich zniszczono w 1939 r., część wpadła w ręce niemieckie, a pozostałe – w 1945 r. przejęła strona sowiecka i najprawdopodobniej znajdują się w archiwach rosyjskich.

Plan „W”

Dynamiczny rozwój i modernizacja sił zbrojnych potencjalnych przeciwników Polski w połowie lat trzydziestych XX w. spowodowały, że Wojsko Polskie zaczęło znacząco odstawać jakościowo od sił zbrojnych Związku Sowieckiego i Niemiec. Wysiłek finansowy Polski

związany z utrzymywaniem sił zbrojnych liczących ponad 250 tys. żołnierzy był procentowo większy od znacznie bogatszych krajów europejskich i sięgał 1/3 budżetu państwa. Jednocześnie korzystna koniunktura gospodarcza po wielkim kryzysie spowodowała, że po 1935 r. można było przystąpić do rozbudowy, a zarazem modernizacji Wojska Polskiego. Sztab Główny wykonał wówczas wiele prac studyjnych z tym związanych. Początkowo były to studia porównawcze dotyczące potencjału Polski i innych państw, w tym ich sił zbrojnych; następnie – liczne prace koncepcyjne. Punkt wyjścia – zarówno dla planu rozbudowy, jak i planu mobilizacyjnego oraz planu operacyjnego „Wschód” – stanowiło założenie o konieczności wystawienia w czasie mobilizacji 40 dywizji piechoty. W wyniku licznych uzgodnień pomiędzy Sztabem Głównym, Ministerstwem Spraw Wojskowych oraz Komitetem do Spraw Uzbrojenia i Sprzętu w latach 1936–1937 udało się wypracować plan rozbudowy Wojska Polskiego, który zarazem był programem jego modernizacji technicznej. Przyjęty plan obejmował również programy zwiększenia rezerw strategicznych i rozbudowy przemysłu zbrojeniowego.

Obowiązujący od 1926 r. plan mobilizacyjny „S” był w 1935 r. nieaktualny, niedostosowany do turbulentnego środowiska bezpieczeństwa Europy na początku drugiej połowy lat trzydziestych XX w. Z tego powodu nowy szef Oddziału I Sztabu Głównego płk dypl. Józef Wiatr podjął trud opracowania nowego planu mobilizacyjnego, który wszedł w życie 1 maja 1938 r. jako plan mobilizacyjny „W”. Zakładał on zmobilizowanie Wojska Polskiego w ramach mobilizacji alarmowej i mobilizacji powszechnej. Alarmowa polegała na indywidualnym (imiennym) szybkim wezwaniu rezerwistów do jednostek, a także osób bądź instytucji do świadczeń osobistych i rzeczowych. Karty powołania złożone były w czasie pokoju w starostwach powiatowych i na posterunkach Policji Państwowej. Mobilizacja powszechna była ogłaszana publicznie za pomocą rozwieszanych obwieszczeń. Plan mobilizacyjny „W” charakteryzował się dużą elastycznością wyrażającą się w możliwościach rozwijania wybranych oddziałów i wielkich jednostek, ich grup lub całości sił zbrojnych. Mobilizacja alarmowa ze względu na jej utajniony charakter wymagała ścisłych reżymów gotowości mobilizacyjnej jednostek oraz wysokiej sprawności terenowego aparatu mobilizacyjnego. Największą trudność sprawiała utrzymanie aktualności planu mobilizacyjnego. Doświadczenie związane z częściowym uruchomieniem procesu mobilizacji wybranych jednostek w związku z rewindykacją Zaolzia przyniosło pierwsze wnioski. Kolejne doświadczenia przyniosła mobilizacja alarmowa niektórych jednostek w marcu 1939 r. Umożliwiło to dokonanie modyfikacji planu mobilizacyjnego, który wszedł w życie 17 maja 1939 r. jako tzw. plan „W2”.

*Szef Oddziału I Sztabu Głównego
płk dypl. Józef Wiatr podjął trud
opracowania nowego planu
mobilizacyjnego, który wszedł
w życie 1 maja 1938 r. jako plan
mobilizacyjny „W”*

Nowe spojrzenie na polskie planowanie operacyjne

W czasie odprawy kierownictwa Sztabu Głównego, która odbyła się 4 marca 1939 r., gen. Stachiewicz stwierdził: „Przystępujemy do pracy nad Zachodem. Ta praca może i musi iść prędzej niż poprzednia, gdyż zasady i metoda pracy są przetarte przy pracy nad planem Wschód¹⁷”. Wykonano plan pracy sztabu zakładający opracowanie ogólnego projektu wstępnego ugrupowania i dokonanie kalkulacji czasowo-przestrzennych dotyczących transportu, po jego zatwierdzeniu przez Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych – zorientowanie w tych założeniach inspektorów armii, opracowanie zadań dla związków operacyjnych, stawianie zadań inspektorom armii, uszczegółowienie struktury organizacyjnej poszczególnych związków operacyjnych i uszczegółowienie zadań oraz opracowanie planu transportowego.

Dynamicznie zmieniająca się sytuacja polityczno-wojskowa spowodowała, że zanim zrealizowano jego pierwszy punkt – zmieniło się położenie Polski, 15 marca 1939 r. bowiem wojska niemieckie zajęły Czechy i Morawy, tym samym państwo czeskosłowackie przestało istnieć. We wcześniejszych pracach studyjnych nie dość przywiązywano wagę do obszaru śląskiego oraz przełęczy karpackich. Gwałtowna zmiana położenia powinna wymusić wolę dotychczasowego postrzegania zagrożenia niemieckiego przez Sztab Główny, który tkwił w schemacie myślowym zagrożeń z kierunku północnego i zachodniego. O skali tego zjawiska świadczą najnowsze studia dr. Tomasza Wesołowskiego z Muzeum Wojska w Białymstoku, które wywracają obraz polskiego planowania operacyjnego utrwalały w historiografii polskiej i nakazują poddać głębokiej rewizji ustalenia autorów części pierwszej niedokończonego tomu pierwszego syntezy *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej* przygotowanej przez Komisję Historyczną b. Sztabu Głównego i publikowanej w Londynie w 1951 r.



Powitanie marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza podczas zjazdu legionistów w Krakowie w sierpniu 1939 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Obraz rzeczywisty

Od 15 do 21 marca 1939 r. uszczegółowiono pasy odpowiedzialności poszczególnych związków operacyjnych i ustalono ich skład. Dla wszystkich związków operacyjnych opracowano zadanie na pierwszą fazę operacji obronnej, przygotowując dla każdego dowódcy dokument obejmujący zadanie, wskazówki wykonawcze oraz informację o sąsiadach. Przyszli dowódcy armii mieli opracować wstępny plan działania, ustalić rejony wylądowania i rejony ześrodkowania związków taktycznych po ich przewiezieniu w pas odpowiedzialności armii, a także zaplanować niszczenia w pasie granicznym oraz kolejność prac fortyfikacji polowych. Przyszli dowódcy związków operacyjnych 23 marca 1939 r. zostali wezwani do marsz. Śmigłego-Rydza i tam otrzymali zadania przygotowane przez Sztab Główny. Tego samego dnia rozpoczęła się częściowa mobilizacja alarmowa obejmująca wybrane jednostki Okręgu Korpusu IX i IV.

Na podstawie otrzymanych dokumentów przyszli dowódcy armii jeszcze tego dnia zameldowali marszałkowi swój zamiar. W ciągu kolejnych dwóch dni opracowali oni plan działania armii obejmujący zadanie i skład armii, ocenę zadania, ocenę możliwości przeciwnika, myśl przewodnią, zadania oraz zarządzenia wspólne. Ponadto opracowali rozkazy do osłony.

Nie zachowała się żadna część planu z marca 1939 r., która zawiera myśl przewodnią Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych co do sposobu prowadzenia operacji obronnej. Przekazane 23 marca 1939 r. przyszłym dowódcom armii zarządzenia również nie uwzględniały myśli przewodniej przyszłego Naczelnego Wodza, ograniczając się do podania zadania danej armii wraz z ogólnymi wskazówkami wykonawczymi. Plan, który powstał, zawierał opracowanie pierwszej fazy działań, co wówczas określano jako tzw. bitwa na wybranej pozycji. Opierał się on na założeniu, że to, co określano jako tułów strategiczny państwa, musi zostać utrzymane jak

najdłużej, stąd wyznaczenie głównej pozycji obrony na Śląsku, na linii Widawy i Warty z przedmościem Koło, na ciągu jezior ślesieńskich z przedmościem Bydgoszcz na Noteci, na linii Wisły, Narwi i Biebrzy. W pierwszej fazie działań obronnych armie miały prowadzić opóźnianie od granicy do głównej pozycji obrony, kolejno odchodząc na nią, poczynając od prawego skrzydła na północy. Najsilniejszy związek operacyjny – Armia „Kraków” – miał stanowić swoisty zawias tego manewru, od początku trwać na głównej pozycji obrony, która na Śląsku pokrywała się z linią graniczną, gdzie w latach trzydziestych wzniesiono fortyfikacje Obszaru Warownego „Katowice”.

Nie sporządzono planu operacyjnego obejmującego kolejne fazy działań. Dalsze zamiary operacyjne nie zostały opracowane sztabowo, choć oficerowie Oddziału III Operacyjnego, który odpowiadał za plan użycia sił zbrojnych, rozpracowywali sztabowo kwestię odwrotu na linię Wisły i Dunajca lub Sanu, a ponadto warianty odejścia z linii Wisły. Naczelny Wódz nie nakreślił jednak ich szkicu na piśmie. Według autorów tomu pierwszego *Polskich Sił Zbrojnych w drugiej wojnie światowej*: „Trudność przewidywania, w jakich warunkach nastąpi przejście do drugiej fazy działań, czyli przerwanie bitwy na wybranej pozycji i odskok w tył, oraz niechęć do rozpraszania wysiłków spowodowały, że generalny inspektor zdecydował nie czynić żadnych przygotowań do drugiej fazy”, aczkolwiek przyszły Naczelny Wódz rzekomo „miał co do niej pewne ogólne przewidywania”. Generalny Inspektor Sił Zbrojnych „decydując się na stoczenie bitwy obronnej na zachód od Wisły, nie nakazał bitwy rozstrzygającej, która przy tak wielkiej przewadze ilościowej i technicznej nieprzyjaciela nie miałyby żadnych szans powodzenia”. Celem działań prowadzonych w pierwszej fazie wojny było zadanie maksymalnych strat nacierającemu przeciwnikowi, opóźnianie jego natarcia, utrzymanie najważniejszych obszarów niezbędnych do prowadzenia wojny oraz

przeciąganie kampanii do czasu rozpoczęcia ofensywy sprzymierzonych, co sprowadzało się do dyrektywy generalnej: nie dać się rozbić. Miejsce, czas i sposób użycia odwodów Naczelnego Wodza nie były znane dowódcom związków operacyjnych pierwszego rzutu. Jedynie dowódca Armii „Modlin” został poinformowany o planowanym użyciu Grupy Operacyjnej „Wyszków”.

Zaskakujący rozkaz

Zadziwiające jest, że marsz. Śmigły-Rydz 27 marca 1939 r. wydał rozkaz, w którym podkreślał, że zadania związków operacyjnych, ich składy i plany działania stanowią tajemnicę najwyższej wagi i w związku z tym zabronił inspektorom armii przysyłania do sąsiednich związków planów działań i rozkazów ich armii. Zahamowało to nie tylko możliwość optymalnego funkcjonowania organów dowodzenia, ale również normalny w warunkach planowania i organizowania działań obieg informacji i ich wymianę z sąsiadami.

Z tego powodu plan operacyjny „Z” nie został sprawdzony w formie gry wojennej, której celem byłaby próba weryfikacji przyjętego sposobu wykonania zadania postawionego na pierwszą fazę działań przez Naczelnego Wodza. Po latach płk dypl. Marian Porwit ocenił, że błędem było, iż Śmigły-Rydz „nie poddał swego planu operacyjnego sprawdzeniu drogą rozgrywki³”, ponieważ takie przedsięwzięcie ujawniłoby wszystkie słabe strony planu. Zaliczył do nich przede wszystkim brak skupienia wysiłku, ograniczenie swobody działania, brak dostatecznie wczesnej wizji następnych działań, nadmierną centralizację dowodzenia. Również to, że poprzez brak zgody na aktywne przeciwdziałanie „zagubiła się myśl o częściowym chociażby pobiciu przeciwnika⁴”. Ponadto w przypadku każdego konfliktu zbrojnego, w którym jedna ze stron broni się, pierwsza faza działań obronnych musi mieć swój kres. Polski Sztab Główny nie określił w drodze gry wojennej, gdzie i kiedy może lub powinien nastąpić jej koniec.

Plan transportowy opracowano w Sztapie Głównym w niespełna trzy miesiące, jednak jego późniejsze korekty wynikające z konieczności wycofania Korpusu Interwencyjnego z Pomorza oraz zmiany podporządkowania części wielkich jednostek spowodowały, że w praktyce tylko częściowo zdał on egzamin, a pojawiające się opóźnienia transportowe w pierwszych dniach wojny pogłębiły się na skutek niemieckich ataków z powietrza na transporty przewożące oddziały zmobilizowane w czasie mobilizacji powszechnej bądź na obiekty infrastruktury kolejowej.

Ostatnie przygotowania

W maju 1939 r. Sztab Główny wraz z Ministerstwem Rolnictwa i Reform Rolnych ukończyły opracowywanie planów aprowizacyjnych – planu aprowizacji sił zbroj-

W czerwcu i lipcu 1939 r. Sztab Lotniczy Sztapu Głównego dał wytyczne użycia lotnictwa zarówno centralnego podporządkowania, jak i lotnictwa armii.



Samoloty PZL P.11 C ze 113 Eskadry Myśliwskiej 1 Pułku Lotniczego. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

nych o kryptonimie „Apr.IV” oraz planu aprowizacji ludności cywilnej o kryptonimie „Apr.IX”. Również w maju określono ostatecznie zadania dla Lądowej i Morskiej Obrony Wybrzeża, w czerwcu przygotowano wytyczne użycia oddziałów Obrony Narodowej. W czerwcu i na początku lipca zarządzono przewiezienie zmobilizowanych dywizji piechoty w rejon rozwinięcia w pasie działania Armii „Modlin”, „Pomorze”, „Poznań” i „Łódź”.

Dopiero w drugiej połowie czerwca 1939 r. uwzględniono konieczność korekty wstępnego ugrupowania do operacji obronnej poprzez utworzenie nowego związku operacyjnego – Armii „Karpety” – z zadaniem ubezpieczenia lewego skrzydła ugrupowania polskiego. Sztab Główny 11 lipca 1939 r. wydał instrukcję dla dowódcy armii „Karpety” gen. dyw. Kazimierza Fabrycego; 25 lipca 1939 r. wydał on rozkaz operacyjny dla podporządkowanych mu wojsk, a dwa tygodnie później przedstawił plan działania armii. W czerwcu i lipcu 1939 r. Sztab Lotniczy Sztapu Głównego dał wytyczne użycia lotnictwa zarówno centralnego podporządkowania, jak i lotnictwa armii.



Jednowieżowy czołg lekki 7TP.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

W związku z antypolskimi prowokacjami w Wolnym Mieście Gdańsku, 13 sierpnia 1939 r. szef Sztabu Głównego zarządził częściową mobilizację alarmową jednostek Okręgu Korpusu II. Zmobilizowane wówczas 13 i 27 Dywizje Piechoty miały być użyte w ramach Korpusu Interwencyjnego przewidzianego do interwencji w Gdańsku. Jednostki te 16 sierpnia 1939 r. rozpoczęły przemieszczenie transportami kolejowymi na Pomorze.

Pod wpływem informacji, że minister spraw zagranicznych III Rzeszy Joachim von Ribbentrop udaje się do Moskwy, gen. Stachiewicz 22 sierpnia 1939 r. zdołał przekonać marsz. Śmigłego-Rydza o konieczności zarządzania mobilizacji alarmowej. Mobilizacja alarmowa większości sił zbrojnych rozpoczęła się 23 sierpnia 1939 r., z wyjątkiem Okręgu Korpusu VI i X, gdzie przeprowadzono ją 27–30 sierpnia Sztab Lotniczy Sztabu Głównego 27 sierpnia wydał rozkaz przejścia na lotniska polowe.

Natomiast 29 sierpnia 1939 r. zarządzono, że następnego dnia odbędzie się mobilizacja powszechna, jednak na skutek nacisków politycznych Francji i Wielkiej Brytanii została ona tego samego dnia w godzinach popołudniowych wstrzymana. Równolegle z pierwszym rozkazem o mobilizacji powszechnej marsz. Śmigły-Rydz wydał dowódcom armii zgodę na przyjęcie ugrupowania wstępnego. Następnego dnia między godz. 10.00 a 11.00 zarządzono mobilizację powszechną na 31 sierpnia 1939 r. Krytykowane od wielu lat ogłoszenie mobilizacji powszechnej 29 sierpnia 1939 r., a następnie jej odwołanie w godzinach popołudniowych – miało jednak tę dobrą stronę, że pozwoliło sprawdzić w realnych warunkach efektywność systemu w początkowej fazie, wyłapać jego błędy i niedociągnięcia oraz podjąć środki zaradcze, co w żargonie wojskowym określa się jako „przedmuchiwanie systemu”. Problemem natomiast było to, że stracono 24 godziny, a mobilizacja powszechna, w ramach której mo-

bilizowano m.in. służby związków operacyjnych, odbywała się pod niemieckimi bombami.

Przebieg działań

Generalny Inspektor Sił Zbrojnych na mocy *Dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej o sprawowaniu zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi, o organizacji naczelnych władz wojskowych i o komisarzach cywilnych* – od chwili mianowania Naczelnego Wodza z dnia 1 września 1939 r. – mianowany został Naczelnym Wodzem. W związku z tym dotychczasowy Sztab Główny przekształcił się w Sztab Naczelnego Wodza.

Ugrupowanie bojowe Armii „Kraków” 2 września 1939 r. zostało przełamane w pasie obrony 6 Dywizji Piechoty oraz oskrzydłone i zagrożone obejściem. W tym położeniu dowódca armii gen. bryg. Antoni Szylling zwrócił się do Naczelnego Wodza o zgodę na rozpoczęcie odwrotu. W ten sposób armia, która miała stanowić zawias całego manewru odwrotowego, musiała rozpocząć odwrót, co wywracało cały polski plan wojny.

Porażki poniesione przez większość polskich związków operacyjnych w tzw. bitwie granicznej spowodowały, że 6 września 1939 r. – przede wszystkim pod wpływem niekorzystnych informacji z Armii „Łódź” i odwodowej Armii „Prusy” – Śmigły-Rydz podjął decyzję o zarządzeniu odwrotu w łuku Wisły w celu przejścia do obrony na linii środkowej Wisły, a jednocześnie nakazał przenieść swoje stanowisko dowodzenia do Brześcia nad Bugiem. Niestety, Brześć nad Bugiem nie był na to przygotowany. Zdołano nawiązać łączność tylko z Lublinem i Grodnem. Ponadto część dowódców poszczególnych armii, nie znając zamiaru Naczelnego Wodza, jego decyzję o odejściu za Wisłę zrozumiała opacznie, a wojska Armii „Łódź” nie znały jej treści, gdyż zostały opuszczone przez dowódcę Juliusza Rómmła. Miało to niebagatelne konsekwencje dla rozwoju sytuacji w łuku Wisły, a zwłaszcza działań dowódcy Armii „Poznań” gen. dyw. Tadeusza Kutrzeby, planującego zwrot zaczepny na skrzydło niemieckiej 8 Armii.

W pierwszej fazie kampanii 1939 r. Śmigły-Rydz niepotrzebnie wchodził w szczegóły działań poszczególnych związków operacyjnych, zamiast koordynować najważniejsze działania mające wymiar operacyjny. Naczelnym Wódz zagłębiający się w czasie pierwszych dni wojny w kwestie taktyczne, mogące być tematem rozważań dowódców armii, grup operacyjnych i dywizji, zatracił się i nie obejmował całokształtu działań wojennych.

W rezultacie Śmigły-Rydz nie dostrzegł tego, że zwrot zaczepny Armii „Poznań” i „Pomorze” mógł stać się osią strategiczną działań prowadzonych w drugiej dekadzie września 1939 r. na lewym brzegu Wisły, a w zasadzie nawet całej kampanii 1939 r. Bitwa nad Bzurą, niezależnie od przewidywań i woli Naczelnego Wodza, stała się głównym starciem Wojska Polskiego w kampanii 1939 r. ►

Stanowiła ona zarazem jedyny zwrot zaczepny w skali operacyjnej. Ale Naczelny Wódz nie dostrzegł szansy, którą mógł wytworzyć ten zwrot zaczepny, nie dostrzegł jego znaczenia we właściwym momencie, przyspieszając, wynikającą stąd biernością, ogólną katastrofę.

Spóźniona próba naprawy błędów

Naczelny Wódz 10 września 1939. wydał *Ogólny rozkaz operacyjny dla skrzydła północnego*, który w jego zamyśle określał elementy dowodzenia i koordynacji działań wojsk prowadzących walki odwrotowe na północny wschód i wschód od Warszawy. Tego dnia Sztab Naczelnego Wodza opracował plan ogólnego odwrotu w kierunku południowo-wschodnim, który następnego dnia przybrał postać wytycznych Śmigłego-Rydza. W rozkazach tych próbował on naprawić jeden z kardynalnych błędów polskiego wojennego systemu dowodzenia polegający na braku pośrednich szczebli dowodzenia pomiędzy Nacelnym Wodzem a dowództwami armii w postaci dowództw frontów (grup armii). Na potrzebę utworzenia takich pośrednich szczebli wskazywali inspektorzy armii już wiosną 1939 r. Niestety, Śmigły-Rydz konieczność tę dostrzegł dopiero w czasie kampanii, gdy okazało się, że sam nie potrafił zastąpić dowódców frontów, czego nieudany przykładem były próby koordynowania działań na froncie północnym (Samodzielna Grupa Operacyjna „Narew”, Armia „Modlin” i Odwód „Wyszków”). Dlatego wyznaczono trzech dowódców – gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, gen. dyw. Tadeusza Piskora i gen. dyw. Stefana Dęba-Biernackiego – którzy mieli koordynować działania kilku związków operacyjnych. Niestety, żaden z nich nie dysponował organem dowodzenia zdolnym do sprostania zadaniom postawionym przed generałami.

Sztab Naczelnego Wodza 11 września 1939 r. otrzymał meldunek o zbliżaniu się do Brześcia nad Bugiem oddziałów niemieckiego XIX Korpusu. W związku z tym wieczorem rozpoczęła się zmiana stanowiska dowodzenia Naczelnego Wodza, które przeniesiono do Włodzimierza Wołyńskiego. Z kolei 12 września 1939 r. wojska niemieckie podeszły pod Lwów. Rzut oka na

O świcie 17 września Sztab Naczelnego Wodza otrzymał meldunek o agresji sowieckiej.



Gen. bryg. Wacław Stachiewicz, szef Sztabu Głównego.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

mapę II Rzeczypospolitej wystarczy, aby zorientować się, że walki toczono po tej dacie były przedłużaniem agonii, zwłaszcza w kontekście dzisiejszej wiedzy o tym, że tego samego dnia Francja i Wielka Brytania w Abbeville zdecydowały, że ofensywy na zachódzie nie będzie. Tego jednak wówczas nie wiedzano.

W dniach 13–15 września 1939 r. Sztab Naczelnego Wodza przeniósł się w kilku rzutach z Włodzimierza Wołyńskiego do Kołomyi nad Prutem. Generał Śmigły-Rydz 16 września wydał rozkaz dla dowódcy Okręgu Korpusu IX gen. bryg. Franciszka Kleeberga dotyczący działań podległych mu wojsk w kontekście prób utworzenia przyczółka na rzekach Dniestr i Stryj. O świcie 17 września Sztab Naczelnego Wodza otrzymał meldunek o agresji sowieckiej. W tej sytuacji w nocy z 17 na 18 września 1939 r. Śmigły-Rydz wraz ze swoim sztabem w miejscowości Kutry przekroczył granicę Rumunii, gdzie został internowany.

Źródło klęski tkwiło w wadliwie działającym wojennym systemie dowodzenia. Poza wieloma już przedstawionymi błędami wskazać należy kolejny, którym okazała się nadmierna centralizacja dowodzenia polegająca na bezpośrednim dowodzeniu przez Śmigłego-Rydza po-

szczególnymi armiami i nagminne wchodzenie przez niego w szczegóły ugrupowania bojowego związków operacyjnych. To czyniło z Naczelnego Wodza „naddowódcę armii”, a jednocześnie nie pozwalało dostrzec całości kształtu położenia. Szybko dał o sobie znać brak pośrednich szczebli dowodzenia, które mogłyby odciążyć Śmigłego-Rydza, a zarazem – będąc bliżej wydarzeń – lepiej zorganizować elementy dowodzenia i koordynacji działań niż odległy Sztab Naczelnego Wodza.

JULIUSZ S. TYM pułkownik, doktor habilitowany profesor nadzwyczajny Akademii Sztuki Wojennej, historyk wojskowy. Autor kilkunastu publikacji naukowych na temat kampanii 1939 r.

¹ Centralne Archiwum Wojskowe, Oddział II Sztabu Głównego, sygn. I.303.4.4883, Protokół odprawy szefa Sztabu Głównego nr 94 z 4 marca 1939 r.

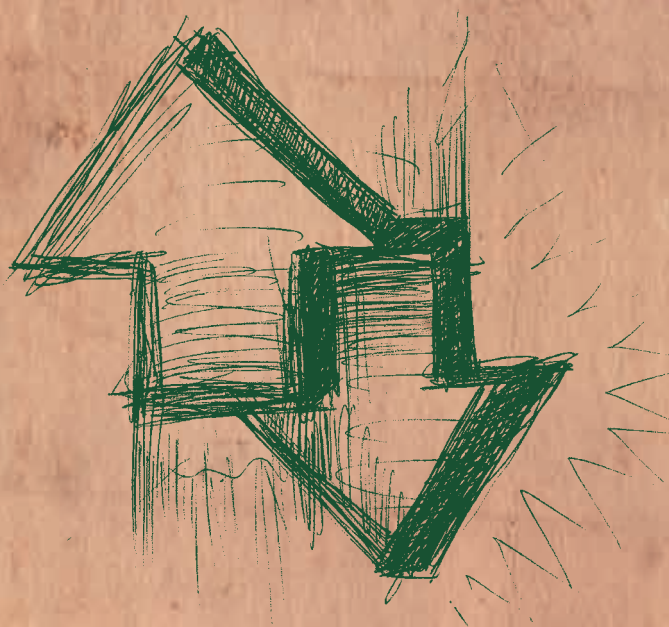
² *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, t. I: *Kampania wrześniowa 1939*, cz. 1: *Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną*, Londyn 1951, s. 277. red. cz. 1 tomu Adam Sawczyński.

³ M. Porwit, *Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku*, cz. 1: *Plany i bitwy graniczne*, Warszawa 1983, s. 114–115. ⁴ Tamże.

Dowódcy Września

RANKING

Generałowie brygady Antoni Szylling i Franciszek Kleeberg oraz gen. broni Kazimierz Sosnkowski okazali się najlepszymi dowódcami związków operacyjnych Wojska Polskiego w kampanii 1939 r.



DANIEL KOREŚ, JULIUSZ S. TYM

Podejmując się oceny najważniejszych dowódców Wojska Polskiego w kampanii 1939 r., przyjęliśmy założenie, że skupimy się wyłącznie na dowódcach szczebla operacyjnego – dowódcach związków operacyjnych w ówczesnym rozumieniu tego pojęcia. Takimi związkami były wówczas armie i za takie mogły uchodzić samodzielne grupy operacyjne, tym bardziej że zasadniczy potencjał bojowy Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew” był taki sam jak Armii „Modlin”, a w marcu 1939 r. zakładano, że związek będzie Armią „Białystok”. Wobec tego ranking obejmuje dowódców siedmiu armii i SGO „Narew” istniejących 1 września 1939 r., a także dowódców związków operacyjnych powołanych później – Armii „Lublin” i Frontu Południowego, który został ograniczony do dowodzenia Armią „Małopolska”, oraz Samo-

dzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”, której obszar działań i ich wymiar stawiał ją wśród związków operacyjnych. Ogółem jest to jedenastu generałów.

W 1939 r. najmłodszy spośród nich – gen. bryg. Czesław Młot-Fijałkowski – miał 47 lat, a najstarszy – gen. dyw. Juliusz Rómmel – 58. Większość wywodziła się z Legionów Polskich, trzech – z byłej armii austriackiej i dwóch z byłej armii rosyjskiej. Przeważnie byli to oficerowie piechoty, trzech było artylerzystami, a jedynie gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba wywodził się z wojsk saperskich. Większość wymienionych generałów ukończyła kursy w Centrum Wyższych Studiów Wojskowych w Warszawie przygotowujące do dowodzenia wielkimi jednostkami, czyli dywizjami piechoty oraz dywizjami i brygadami kawalerii. Dwaj, gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba i gen. bryg. Franciszek Kleeberg – ukończyli austriacką Wojskową Akademię Techniczną w Wiedniu; jeden, gen. dyw. Tadeusz Piskor, wojenny kurs Sztabu Generalnego w ramach Polskiej Siły Zbrojnej, a jeden, gen. dyw. Władysław Bortnowski, kurs Wojennej Szkoły Sztabu Generalnego oraz francuską École Supérieure de Guerre, także jeden, gen. bryg. Emil Przedzrymirski, polską Wyższą Szkołę Wojenną.

Generalskie doświadczenie

Generałowie ci mieli zróżnicowane doświadczenie wojskowe. Inspektor armii gen. broni Kazimierz Sosnkowski dowodził w 1914 r. I Brygadą Legionów w bitwie pod Łowczówkiem oraz Armią Rezerwową w maju i czerwcu 1920 r. Od 1927 r. był inspektorem armii. Z kolei gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba nigdy niczym nie dowodził poza plutonem saperów w armii austriackiej, natomiast w latach 1919–1920 dał się poznać jako wybitny szef sztabu związków taktycznych i operacyjnych dowodzonych przez gen. Edwarda Śmigłego-Rydza. Później zajmował również stanowiska sztabowe. W latach 1928–1939 był komendantem Wyższej Szkoły Wojennej, a od 1935 r. równocześnie generałem do prac Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych odpowiedzialnym za



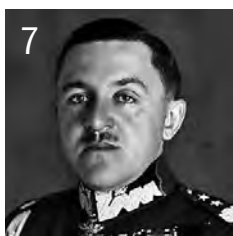
NAJWAŻNIEJSI DOWÓDCY WOJSKA POLSKIEGO

	STOPIEŃ I NAZWISKO	ZWIĄZEK OPERACYJNY	CZAS DOWODZENIA ZWIĄZKIEM OPERACYJNYM W KAMPANII (W DNIACH)	WIEK	ARMIA, Z KTÓREJ POCHODZIŁ
1	Generał dywizji Władysław Bortnowski	Armia „Pomorze”	17	48	Legiony
2	Generał dywizji Stefan Dąb-Biernacki	Armia Odwodowa „Prusy” i Front Północny	9+17	49	Legiony
3	Generał dywizji Kazimierz Fabrycy	Armia „Karpaty” i Armia „Małopolska”	11	51	Legiony
4	Generał brygady Franciszek Kleeberg	Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie”	21	51	austriacka
5	Generał dywizji Tadeusz Kutrzeba	Armia „Poznań”	22	53	austriacka
6	Generał brygady Czesław Młot-Fijałkowski	Samodzielna Grupa Operacyjna „Narew”	12	47	Legiony
7	Generał dywizji Tadeusz Piskor	Armia „Lublin”	16	50	Legiony
8	Generał brygady Emil Przedzimirski-Krukowicz	Armia „Modlin”	26	53	austriacka
9	Generał dywizji Juliusz Rómmel	Armia „Łódź” i Armia „Warszawa”	6+21	58	rosyjska
10	Generał broni Kazimierz Sosnkowski	Front Południowy i Armia „Małopolska”	10	54	Legiony
11	Generał brygady Antoni Szylling	Armia „Kraków”	20	55	rosyjska

kierunek poznański. W 1939 r. wraz z awansem został inspektorem armii. Wszyscy – oprócz Kutrzeby – mieli doświadczenie w dowodzeniu wielką jednostką: dywizją piechoty bądź dywizją kawalerii; kilku wieloletnie, jak gen. dyw. Stefan Dąb-Biernacki, gen. bryg. Emil Przedzimirski-Krukowicz, gen. bryg. Czesław Młot-Fijałkowski, niektórzy dowodzili dwoma wielkimi jednostkami. Tylko część miała doświadczenie sztabowe na szczeblu związku operacyjnego – armii, część jeszcze z okresu wojen o niepodległość w latach 1918–1920, a część ze służby w inspektoratach armii w latach dwudziestych.

Niektórzy pełnili służbę w kręgu najwyższych władz wojskowych na stanowiskach ministra lub wiceministra spraw wojskowych (jak gen. broni Kazimierz Sosnkowski, gen. dyw. Kazimierz Fabrycy), szefa Sztabu Generalnego/Głównego lub jego zastępcy (jak gen. dyw. Tadeusz Piskor, gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba).

Siedmiu generałów było inspektorami armii, najdłuższy staż na tym stanowisku mieli gen. broni Kazimierz Sosnkowski (od 1927 r.), gen. dyw. Juliusz Rómmel (od 1929 r.) oraz gen. dyw. Tadeusz Piskor i gen. dyw. Stefan Dąb-Biernacki (od 1931 r.). Tylko pięcioletni staż



W KAMPANII WRZEŚNIOWEJ 1939 ROKU

RODZAJ BRONI	UKOŃCZONE WYŻSZE STUDIA WOJSKOWE	DOŚWIADCZENIE W DOWODZENIU WIELKĄ JEDNOSTKĄ (DYWIZJĄ)	DOŚWIADCZENIE SZTABOWE NA SZCZEBLU ZWIĄZKU OPERACYJNEGO
piechota	Wojskowa Szkoła Sztabu Generalnego, École de Guerre	3 Dywizja Piechoty Legionów	tak
piechota	nie	1 Dywizja Piechoty Legionów	nie
piechota	Centrum Wyższych Studiów Wojskowych	3 Dywizja Piechoty Legionów	nie
artyleria	austriacka Wojskowa Akademia Techniczna	14 i 29 Dywizja Piechoty	tak
saperzy	austriacka Wojskowa Akademia Techniczna	nie	tak
piechota	Centrum Wyższych Studiów Wojskowych	18 Dywizja Piechoty	nie
piechota	kurs wojenny w Polskiej Sile Zbrojnej, Centrum Wyższych Studiów Wojskowych	28 Dywizja Piechoty	tak
artyleria	Wyższa Szkoła Wojenna	30 Dywizja Piechoty	tak
artyleria	Centrum Wyższych Studiów Wojskowych	1 Dywizja Jazdy, 1 Dywizja Kawalerii	tak
piechota	nie	nie	tak
piechota	Centrum Wyższych Studiów Wojskowych	23 i 8 Dywizja Piechoty	nie

na tym stanowisku miał gen. dyw. Kazimierz Fabrycy (od 1934 r.), a dwaj najmłodsi – gen. dyw. Władysław Bortnowski i gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba – byli inspektorami armii od marca 1939 r. Pięciu spośród nich wcześniej pełniło służbę na stanowiskach generała do prac Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. W 1937 r. na to stanowisko został wyznaczony gen. bryg. Antoni Szylling, a w marcu 1939 r. gen. bryg. Emil Przedzymirski-Krukowicz. Oznacza to, że od maja 1935 r., czyli od momentu objęcia stanowiska Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, odpowiedzialnego za tor przygoto-

wań wojennych, przez gen. dyw. Edwarda Śmigłego-Rydza, siedmiu spośród ocenianych generałów przygotowywało się do dowodzenia związkami operacyjnymi od co najmniej kilku lat, a miało na to 2 lata, a jeden z nich zaś – Przedzymirski – przed 1939 r., w ogóle nie był przewidywany na dowódcę operacyjnego.

Kryteria oceny

Dokonując oceny dowodzenia związkami operacyjnymi przez wskazanych generałów w kampanii 1939 r., wzięto pod uwagę przede wszystkim wypracowane przez

nich koncepcje prowadzenia działań, celowość i realność tych koncepcji, postępowanie dowódcy w czasie planowania, organizowania i prowadzenia działań, jego rolę w procesie dowodzenia, reakcje na zmiany położenia w dynamice działań, a także styl dowodzenia, w tym sposób realizacji misji przywództwa wojskowego.

Mówiąc o ówczesnym procesie dowodzenia, należy umiejscowić go w szerszym pojęciowo systemie dowodzenia, zawierającym organizację dowodzenia, środki dowodzenia i proces dowodzenia. Organizacja dowodzenia obejmuje ogólne zasady działania poszczególnych elementów systemu dowodzenia, rozmieszczenie i przemieszczenie stanowisk dowodzenia, strukturę organizacyjno-funkcjonalną oraz wzajemne relacje wewnętrzne i zewnętrzne. Środki dowodzenia to zasoby techniczne i materiałowe wydzielone do wykorzystania w systemie dowodzenia, obejmujące zarówno środki łączności przewodowej, radiowej i pocztowej, jak i sprzęt oraz materiały biurowe, środki przewozowe i inne środki techniczne i materiałowe. Proces dowodzenia to proces informacyjno-decyzyjny odbywający się w cyklach decyzyjnych regulowanych przez procedury i techniki działania, polegający na cyklicznym zbieraniu i opracowywaniu informacji, a następnie ich przetwarzaniu w informacje decyzyjne, które w formie zadania doprowadza się do wykonawców.

Jeden z najwybitniejszych inspektorów armii gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, który zginął w katastrofie lotniczej w 1936 r., wskazywał, że wobec przewagi technicznej po stronie przeciwników Polski jedynym atutem, który będzie można przeciwstawić, powinna być „umiejętność dobrego dowodzenia”, a w zasadzie ponadprzeciętne dowodzenie, tymczasem w 1934 r. stwierdził on: „nie mogę powiedzieć, byśmy ten atut mieli w tej chwili w ręku. Przeciwnie, im więcej oddalamy się od wojny, tym zatracamy poczucie rzeczywistości wojennej [...] i zamiast coraz lepiej, jesteśmy coraz gorzej przygotowani do wojny”.

Niestety, poziom dowodzenia polskimi związkami operacyjnymi w kampanii 1939 r. był niski. Dowodzenie utrudniał bardzo zły stan środków dowodzenia, w tym katastrofalny stan łączności. W tej sytuacji i wobec miażdżącej przewagi przeciwnika – w tym technicznej, również w zakresie łączności, a więc szybkości przekazywania informacji – żadnego błędu w sztuce dowodzenia, żadnej błędnej decyzji nie dawało się już później naprawić, a ich skutki miały charakter kaskadowy, tak w czasie, jak i w przestrzeni. Niestety, do dziś bez odpowiedzi pozostaje pytanie o to, czy ówcześni dowódcy polskich związków operacyjnych mieli świadomość tych ograniczeń.

OCENA DOWÓDCÓW

Ocena poszczególnych dowódców polskich związków operacyjnych w kampanii 1939 r. przedstawiona jest zgodnie z ówczesną wojskową zasadą prezentacji ugrupowania bojowego od prawego do lewego skrzydła.



DOWÓDCA SGO „NAREW” GEN. BRYG. CZESŁAW MŁOT-FIJAŁKOWSKI

Wieloletni dowódca 18 Dywizji Piechoty okazał się generałem nieprzygotowanym do dowodzenia związkiem operacyjnym. Tylko dzięki umiejętnościom dowódczym dowódców części wielkich jednostek wchodzących w skład tego związku nie zostały one całkowicie rozbite pomiędzy Narwią a Bugiem. Generał Młot-Fijałkowski 12 września 1939 r. rozwiązał dowództwo SGO „Narew”, ponieważ jego wojska zostały przekazane w podporządkowanie innym dowódcom, a on sam stał się biernym obserwatorem przebiegu działań wojennych, nie wykazując najmniejszej inicjatywy. Obie brygady kawalerii SGO „Narew” – Podlaska i Suwalska – znalazły się ostatecznie w składzie SGO „Polesie”.

DOWÓDCA ARMII „MODLIN” GEN. BRYG. EMIL PRZEDRZYMIŃSKI- KRUKOWICZ

✎ Nie miał zbyt wiele czasu na przygotowanie się do roli dowódcy związku operacyjnego, ponieważ został wyznaczony na stanowisko generała do prac Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych przewidzianego na dowódcę tej armii dopiero w marcu 1939 r., a wcześniej kierował Departamentem Artylerii Ministerstwa Spraw Wojskowych. Odnosi się wrażenie, że generał ten zbyt zaufał swemu szefowi sztabu, płk dypl. Stanisławowi Grodzkiemu, w pewien sposób dając się ubezwłasnowolnić. Uwidoczniła się tu negatywna cecha swoistego wygodnictwa generała. Również sztywna organizacja dowodzenia i przywiązanie do stanowiska dowodzenia twierdzy Modlin spowodowały, że w sytuacji pojawienia się pierwszego kryzysu w ugrupowaniu bojowym Armii „Modlin” w nocy z 3 na 4 września 1939 r. jej dowództwo nie było w stanie elastycznie reagować na zmiany położenia i wydawało rozkazy wykluczające się nawzajem. Gdy wojska Armii „Modlin” przeszły na lewy brzeg Bugu, gen. Przedrzymiński



wszedł w podporządkowanie innych dowódców operacyjnych i z samodzielnego dowódcy związku operacyjnego zamienił się w dość biernego wykonawcę rozkazów przełożonych. Dlatego – mimo że jego organ dowodzenia sprawował funkcje dowódcze do 26 września 1939 r. – trudno mówić o ponadprzeciętnym dowodzeniu, a co najwyżej o dostatecznej ocenie, którą można wystawić temu dowódcy.

DOWÓDCA ARMII „POMORZE” GEN. DYW. WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

✎ Otrzymał zadanie, które było bardzo trudne do wykonania. Planowane użycie Korpusu Interwencyjnego w Wolnym Mieście Gdańsku zmusiło tego zdolnego dowódcę do przyjęcia niekorzystnego ugrupowania wstępnego, które miało stanowić silną podstawę wyjściową do działań Korpusu Interwencyjnego i jednocześnie ubezpieczać jego działania. Z tego powodu nastąpiło tak niekorzystne nagromadzenie wojsk Armii „Pomorze” w Borach Tucholskich, czyli na terenie określanym przez Niemców mianem korytarza pomorskiego. Rezultatem tak przyjętego ugrupowania bojowego była klęska wojsk polskich w Borach Tucholskich i rozbięcie części wielkich jednostek Armii „Pomorze” w pierwszych pięciu dniach wojny. Stanowiło to niewątpliwie wstrząs psychiczny dla gen. Bortnowskiego, z którego nie zdołał się już otrząsnąć do końca kampanii. Dlatego jego dowodzenie w późniejszym okresie kampanii pozostawiało wiele do życzenia. Gdy 12 września 1939 r. gen. Kutrzeba, co należałoby kłaść na karb błędów Bortnowskiego w dowodzeniu w czasie bitwy nad Bzurą, powierzył mu misję zdynamizowania natarcia polskiego na Głowno, generał ten był cieniem dawnego Bortnowskiego, a jego apatia, upadek ducha i niewiara w szanse tego natarcia destrukcyjnie wpłynęły na podwładnych.



DOWÓDCA ARMII „POZNAŃ” GEN. DYW. TADEUSZ KUTRZEBA

✎ Okazał się z kolei bardzo zdolnym dowódcą armii, umiejętnie kierującym jej działaniami w początkowym okresie kampanii, usiłującym utrzymać współdziałanie z sąsiadami, a zwłaszcza przygotowanym na wsparcie działań lewoskrzydłowej Armii „Łódź”. Na bieżąco analizując zmiany położenia, dostrzegł szansę wykonania zwrotu zaczepnego na skrzydło niemieckiej 8 Armii prowadzącej pójście za wycofującymi się jednostkami Armii „Łódź”. Błędy popełnione w czasie planowania, organizowania i prowadzenia działań na szczęblu armii, gdzie nie stworzono odpowiednich mechanizmów kontroli, stały się przyczyną niepowodzenia pierwszej fazy bitwy nad

Bzurą. Kontrola właściwej realizacji zamiaru i wykonania zadania jako jedna z faz procesu dowodzenia była i jest ważną funkcją dowodzenia, umożliwiającą reakcję dowódcy na nieprawidłowości w realizacji zadań w stosunku do przyjętego planu walki. Dzięki niej dowódca wie, czy jego podwładni działają tak, jak tego chce. W dużej mierze wynikało to z braku – przy wszystkich zaletach intelektu gen. Kutrzeby – niezbędnej twardości charakteru, konsekwencji i uporu w dążeniu do osiągnięcia celu postawionego podkomendnym. Jeden z nich, dowódca Wielkopolskiej Brygady Kawalerii gen. bryg. dr Roman Abraham, napisał, że „jego wartości dowódcze umniejszała wysoka kultura

osobista i zbyt daleko posunięte poczucie koleżeństwa, co powodowało brak żołnierskiej bezwzględności w zdecydowanym wymuszaniu powziętych decyzji. Raczej dyskutował i uzgadniał działania niż rozkazywał”. Według prof. Pawła Wieczorkiewicza, musiał o tym wiedzieć Naczelny Wódz Edward Śmigły-Rydz, który prawdopodobnie zakładał, że w warunkach współdziałania między Bortnowskim a Kutrzebą górę weźmie ten pierwszy, kreowany przez część środowiska wojskowego na następcę Śmigłego. Poza tym wynikało to ze starszeństwa w stopniu. Ostatecznie jednak to gen. Kutrzeba zdołał doprowadzić resztki Armii „Poznań” i Armii „Pomorze” do Warszawy.



DOWÓDCA ARMII „ŁÓDŹ” GEN. DYW. JULIUSZ RÓMMEL

 Bardzo dobrze zaplanował ugrupowanie bojowe swego związku operacyjnego. W czasie bitwy granicznej wykazał się niezbędną inicjatywą, dzięki czemu część wielkich jednostek Armii „Łódź” narzuciła przeciwnikowi rejon stoczenia zasadniczych walk opóźniających, a ponadto skutecznie ubezpieczył swe lewe skrzydło, przesuwając Wołyńską Brygadę Kawalerii w pas działania Armii „Kraków”, która w rejonie Mokrej i Ostrowy przez dwa dni



skutecznie opóźniała niemiecką 4 Dywizję Pancerną, aczkolwiek część tych inicjatyw należy jednak zapisać na konto jego szefa sztabu płk. dypl. Aleksandra Pragłowskiego. Niekorzystna zmiana położenia oraz atak powietrzny przeprowadzony przez niemieckie bombowce na stanowisko dowodzenia armii w Julianowie 6 września 1939 r. spowodowały, że gen. Rómmel odjechał w stronę Warszawy, porzucając swe wojska. Wówczas w rolę dowódcy armii wcielił się dowódca lewoskrzydłowej Grupy Operacyjnej „Piotrków” gen. bryg. Wiktor Thommée, który zdołał skoordynować odwrót większości Armii „Łódź” i doprowadzić jej jednostki do Modlina. Z kolei gen. Rómmel w Warszawie wyznaczono na stanowisko dowódcy Armii „Warszawa”, wtedy – nie rozumiejąc ogólnego położenia na teatrze działań wojennych oraz zamiarów Naczelnego Wodza – Rómmel nie udzielił pomocy zarówno wojskom gen. Thommée, jak i Armii „Poznań” i „Pomorze” przebijającym się do stolicy. Zamiast tego próbował zorganizować, z opłakanym skutkiem, bitwę na prawym brzegu Wisły.

Generał Wiktor Thommée po wyjeździe Rómmela do Warszawy objął dowodzenie nad Armią „Łódź” i przebiegał się w stronę Warszawy, jak Armie „Poznań” i „Pomorze” po zmianie kierunku działania w czasie bitwy nad Bzurą.

DOWÓDCA ARMII „KARPATY”, OD 6 WRZEŚNIA ARMII „MAŁOPOLSKA” GEN. DYW. KAZIMIERZ FABRYCY

 Otrzymał zadanie stosunkowo późno, ponieważ dopiero w drugiej połowie czerwca 1939 r. niezbędna okazała się korekta wstępnego ugrupowania do operacji obronnej poprzez utworzenie nowego związku operacyjnego – Armii „Karpaty” – z zadaniem ubezpieczenia lewego skrzydła ugrupowania. Sztab Główny 11 lipca 1939 r. wydał instrukcję dla dowódcy armii, gen. Fabrycy 25 lipca wydał rozkaz operacyjny dla podporządkowanych mu słabych wojsk – zaledwie dwóch improwizowanych brygad górskich, a dwa tygodnie później przedstawił plan działania armii. We wrześniu 1939 r. popełnił jako dowódca armii wiele błędów. Między innymi podjął fatalną decyzję o odwołaniu 24 Dywizji Piechoty z linii Dunajca. Podobnie jak o nieangażowaniu w walki 11 Dywizji Piechoty, zanim nie osiągnie linii Sanu, gdy wymagało tego położenie armii. Zmarnowane więc zostały wysiłki obu brygad górskich, które otrzymały niewykonalne zadania, nastąpiło rozproszenie tych jednostek, a przeciwnik osiągnął znaczące sukcesy relatywnie niewielkimi siłami. Ponadto Fabrycego obciąża ciągle przesuwanie stanowiska dowodzenia w tył, z dala od pierwszej linii frontu, ostatecznie do Lwowa, następnie odmowa opuszczenia Lwowa, by objąć bezpośrednie dowództwo Armii „Małopolska”, i wreszcie fałszywe meldunki wysyłane do Naczelnego Wodza, w których bezpodstawnie oskarżał podległe mu oddziały o demoralizację i brak chęci walki.



DOWÓDCA ARMII „KRAKÓW” GEN. BRYG. ANTONI SZYLLING

 W opinii prof. Wieczorkiewicza dowodził powierzonym mu związkiem operacyjnym z wielką odwagą i zimną krwią, unikając rozwiązań ryzykanych, a wybierając optymalne. Był dowódcą najsilniejszej armii, która otrzymała trudne zadanie trwania od pierwszych godzin walki w obronie stałej, ponieważ w myśl planu Naczelnego Wodza Edwarda Śmigłego-Rydza miała stanowić zawias całego manewru odwrotowego pozostałych związków operacyjnych z pasa

przesłaniania na główną pozycję obrony. W pasie działania Armii „Kraków” główna pozycja obrony na niektórych odcinkach przebiegała wzdłuż granicy z Niemcami, co wynikało ze strategicznych założeń dotyczących konieczności utrzymania tzw. tułowia strategicznego państwa. Niekorzystny rozwój położenia w pasie Armii „Kraków”, wynikający z przełamania obrony 6 Dywizji Piechoty w centrum ugrupowania i oskrzydlenia armii, zmusił gen. Szyllinga do wystąpienia już 2

września 1939 r. do Naczelnego Wodza o zgodę na rozpoczęcie odwrotu, co w zasadzie przekreślało całą koncepcję operacyjną marsz. Śmigłego. Po otrzymaniu tej zgody przeprowadził w dobrym stylu niezwykle trudny odwrót armii, pomimo nieustannych niemieckich prób oskrzydlenia bądź obejścia Armii „Kraków”. Ten w miarę uporządkowany odwrót umożliwił podjęcie walk na linii Wisły i Sanu, a później na Lubelszczyźnie w składzie wojsk gen. Piskora.





Fot. Getty Images

DOWÓDCA FRONTU POŁUDNIOWEGO GEN. BRONI KAZIMIERZ SOSNKOWSKI

 Podjął decyzję (wobec wyczerpania gen. Fabrycego) o osobistym objęciu dowodzenia trzema wielkimi jednostkami:

11 Karpacką Dywizją Piechoty i 24 Dywizją Piechoty oraz 38 Rezerwową Dywizją Piechoty, stanowiącymi trzon Armii „Karpaty”, a następnie Armii „Małopolska”. Generał wyznaczony został na stanowisko dowódcy Frontu Południowego. Brak środków dowodzenia spowodował, że trudno było koordynować działania trzech dywizji Armii „Małopolska”. Mając ograniczoną swobodę działania, gen. Sosnkowski podjął decyzję o wywalczeniu jej i przebijaniu się do Lwowa. Ten zamiar konsekwentnie realizował. Przyjęty wówczas sposób dowodzenia cechowała prostota i elastyczność. Generał nieustannie poszukiwał optymalnego położenia wojsk własnych w stosunku do przeciwnika. Zarazem starał się racjonalnie dysponować siłami i środkami, odpowiednio do przyjętego planu walki, w tym koncepcji manewru. Wycucie położenia, przyjęty kierunek działań, sposób ich realizacji, utrzymanie ciągłości dowodzenia, a zarazem realizacja zasad celowości, aktywności, manewrowości, a także najtrudniejszej wśród nich – zasady ekonomii sił – świadczą o kunszcie dowódczym gen. Sosnkowskiego.

DOWÓDCA ARMII ODWODOWEJ „PRUSY” GEN. DYW. STEFAN DĄB-BIERNACKI

 Od pierwszych godzin wojny znajdował się w dość trudnym położeniu. W czasie planowania działań nastąpiła zmiana dotycząca rejonu koncentracji armii odwodowej, który został przesunięty bardziej na południe, bliżej styku Armii „Łódź” i Armii „Kraków”. Część wielkich jednostek jego armii mobilizowana była w ostatniej fazie mobilizacji alarmowej na terenie Okręgu Korpusu VI, a część w ramach mobilizacji powszechnej, ponadto 13 Dywizja Piechoty przekazana z Korpusu Interwencyjnego była w transportach kolejowych z Pomorza. W dniu wybuchu wojny żadna wielka jednostka tej armii nie znajdowała się w zaplanowanym rejonie koncentracji. Nie została w pełni zmobilizowana 44 Dywizja Piechoty rezerwowa, jedynie jej 146 Pułk Piechoty walczył na przedpolach Piotrkowa, natomiast 39 Dywizja Piechoty rezerwowa zakończyła mobilizację po 6 września 1939 r. i wzięła udział w walkach w ramach improwizowanej Armii „Lublin” na Lubelszczyźnie. W tej sytuacji Armia „Prusy” przystąpiła do działań w dwóch zgrupowaniach taktycznych. Zgrupowanie północne w dniach 4–6 września pobiły niemieckie jednostki pancerne w rejonie Piotrkowa Trybunalskiego i Tomaszowa Mazo-

wieckiego, a rozmiary klęski w znacznej mierze były skutkiem błędnych decyzji i chaotycznego stylu dowodzenia gen. Dęba-Biernackiego, między innymi w wyniku wydawania sprzecznych rozkazów, często bezpośrednio dowódcom oddziałów. Zgrupowanie południowe, którego działania nie były w żaden sposób koordynowane przez dowódcę armii, w toku walk odwrotowych stoczyło w dniach 8–9 września bój pod Łhą. Resztki zgrupowania północnego 9 września przestały się na prawy brzeg Wisły. Następnie gen. Dąb-Biernacki objął dowództwo wojsk Frontu Północnego działającego na Lubelszczyźnie. Niestety, również tu popełnił wiele błędów, których skutkiem było okrążenie i rozbicie tych wojsk w drugiej bitwie pod Tomaszowem Lubelskim w dniach 21–26 września. Brak środków łączności spowodował, że gen. Dąb-Biernacki nie wiedział, iż 19 września w rejonie tym walczyły wojska gen. Piskora. Dąb-Biernacki, podobnie jak Fabrycy, posunął się do usprawiedliwiania swoich porażek krzywdzącymi i nieuzasadnionymi oskarżeniami wobec podległych sobie oddziałów.



DOWÓDCA ARMII „LUBLIN” GEN. DYW. TADEUSZ PISKOR

 Naczelnny Wódz 4 września 1939 r. zarządził powstanie nowego związku operacyjnego – Armii „Lublin” którego zadaniem było utrzymanie linii Wisły od Góry Kalwarii do Sandomierza. Dowódcą tej improwizowanej armii został gen. dyw. Tadeusz Piskor, któremu podporządkowano Warszawską Brygadę Pancerno-Motorową oraz Grupę Mostową Naczelnego Dowództwa Saperów, a później również 39 Rezerwowa Dywizję Piechoty oraz improwizowaną Grupę „Sandomierz” i zgromadzenie kawalerii płk. Tadeusza Komorowskiego. System dowodzenia nowego związku operacyjnego budowano z sił i środków dowództwa Okręgu Korpusu II, które były niewystarczające. Pomimo to gen. Piskor zdołał zorganizować obronę na linii Wisły, skutecznie powstrzymując w dniach 9–12 września wszystkie niemieckie próby sforsowania rzeki. Po objęciu dowództwa nad połączonymi wojskami Armii „Kraków” i części Armii „Lublin” gen. Piskor w toku walk odwrotowych na Lubelszczyźnie konsekwentnie dążył do przełamania obrony niemieckiej w rejonie Tomaszowa Lubelskiego, co związane było z dobrym stanem dróg w tym rejonie i umożliwiało wykorzystanie potencjału Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej. Nazbyt optymistyczna ocena jej możliwości spowodowała, że gen. Piskor zdecydował się na uderzenie w miejscu, gdzie przeciwnik był najsilniejszy. Kolejnymi błędami były: brak rozpoznania kierunku natarcia, przedwczesne natarcie na Tomaszów, nieprzestrzeganie zasady zachowania zdolności bojowej wojsk, niewykorzystanie czynnika zaskoczenia, a przede wszystkim zła organizacja systemu dowodzenia. Z powodu nieuzasadnionego pośpiechu gen. bryg. Mieczysława Boruty-Spiechowicza Grupa Operacyjna „Boruta” zamiast ubezpieczyć działania sił głównych armii gen. Piskora, odłączyła się od nich i samodzielnie przedzieliła w kierunku Bełżca i Narola. Z powodu braku odpowiednich środków łączności, a w związku z tym nieznanymi położenia ogólnego, nie doszło do współdziałania armii gen. Piskora z wojskami Frontu Północnego, których czołowe elementy znajdowały się w odległości 35 km od Tomaszowa Lubelskiego.



DOWÓDCA SAMODZIELNEJ GRUPY OPERACYJNEJ „POLESIE” GEN. BRYG. FRANCISZEK KLEEBERG

 Na tle przedstawionych już generałów jawi się jako niezwykle sprawny, pełen inicjatywy organizator i dowódca improwizowanego zgrupowania wojsk, których rozmach działań i ich wymiar nakazuje traktować to zgrupowanie w kategoriach ówczesnego związku operacyjnego. Generał Kleeberg wykorzystał ośrodki zapasowe wielkich jednostek na terenie Okręgu Korpusu IX oraz potencjał Flotylli Pińskiej, a także przyłączył do swoich wojsk cofające się inne wielkie jednostki. Zdołał w ten sposób utworzyć zgrupowanie wojsk składające się z dwóch dywizji piechoty – (50 i 60 DP) oraz dwóch wielkich jednostek kawalerii – Podlaskiej Brygady Kawalerii i zgrupowania kawalerii „Zaza” nazywanego niekiedy na wyrost dywizją, składającego się z dwóch improwizowanych brygad, a powstałego w oparciu o Suwalską Brygadę Kawalerii. Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” skutecznie zablokowała w rejonie Brześcia nad Bugiem i Kobrynią działania niemieckiego XIX Korpusu Armijnego, następnie skutecznie opóźniała działania wojsk sowieckich, a później przeszła na lewy brzeg Bugu i na Lubelszczyźnie w dniach 2–5 października stoczyła ostatnią bitwę w kampanii 1939 r. Bitwę według napoleońskiego systemu, w której zwycięstwo było na wyciągnięcie ręki, jednak brak amunicji spowodował, że gen. Kleeberg zmuszony był podjąć decyzję o kapitulacji. W ostatniej bitwie kampanii 1939 r. gen. Kleeberg wykazał się wysokim kunsztem dowodzenia, konsekwentnie dążąc do osiągnięcia celu, którym było rozbicie niemieckiej dywizji zmotoryzowanej. Nieustannie dążył do zapewnienia swoim wojskom swobody działania, umiejętnie zmieniając punkty ciężkości, manewrem doprowadził do tego, że przeciwnik znalazł się w niekorzystnym położeniu. Wojska SGO „Polesie”, choć w znacznym stopniu improwizowane, do końca działań zachowały wysokie morale. Przykład gen. Kleeberga i SGO „Polesie” oraz Armii „Łódź” po przejęciu dowodzenia przez gen. Thommée potwierdza tezę, że jakość dowodzenia miała znaczne przełożenie na postawę moralną podległych wojsk.

KRYTERIA OCENY

Przystępując do oceny dowodzenia związkami operacyjnymi przez wskazanych generałów w kampanii 1939 r., braliśmy pod uwagę przede wszystkim:

- 1 wypracowane przez nich koncepcje prowadzenia działań,
- 2 celowość i realność tych koncepcji,
- 3 postępowanie dowódcy w czasie planowania, organizowania i prowadzenia działań,
- 4 jego rolę w procesie dowodzenia,
- 5 reakcje na zmiany położenia w dynamice działań,
- 6 styl dowodzenia, w tym sposób realizacji misji przywództwa wojskowego.

Skala ocen 1–10, czyli najwyższa ocena to 60, a średnia oznaczająca ocenę dostateczną to 31.



Gen. Kazimierz Sosnkowski podczas przeglądu „swojego” 7 Pułku Ułanów Lubelskich im. gen. Kazimierza Sosnkowskiego, Mińsk Mazowiecki, 23 marca 1938 r. Fot. Wojskowe Biuro Historyczne

STOPIEŃ, IMIĘ I NAZWISKO	ZWIĄZEK OPERACYJNY	1	2	3	4	5	6	OGÓŁEM
Gen. dyw. Władysław Bortnowski	Armia „Pomorze”	7	6	3	6	3	3	28
Gen. dyw. Stefan Dąb-Biernacki	Armia Odwodowa „Prusy” i Front Północny	6	6	2	2	2	2	20
Gen. dyw. Kazimierz Fabrycy	Armia „Karpaty” i Armia „Małopolska”	6	6	5	3	2	3	25
Gen. bryg. Franciszek Kleeberg ★	Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie”	9	7	9	9	9	8	51
Gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba	Armia „Poznań”	9	8	7	5	5	5	39
Gen. bryg. Czesław Młot-Fijałkowski	Samodzielna Grupa Operacyjna „Narew”	6	5	3	3	2	2	21
Gen. dyw. Tadeusz Piskor	Armia „Lublin”	6	6	6	7	5	5	35
Gen. bryg. Emil Przedzimirski-Krukowicz	Armia „Modlin”	6	5	5	5	5	5	31
Gen. dyw. Juliusz Rómmel	Armia „Łódź” i Armia „Warszawa”	7	6	3	4	3	3	26
Gen. broni Kazimierz Sosnkowski ★	Front Południowy i Armia „Małopolska”	9	7	8	8	8	9	49
Gen. bryg. Antoni Szylling ★	Armia „Kraków”	8	8	9	8	9	9	51

Przedstawione oceny wskazują, że najlepszymi dowódcami polskich związków operacyjnych okazali się gen. bryg. Antoni Szylling, gen. bryg. Franciszek Kleeberg oraz gen. broni Kazimierz Sosnkowski. Na tle tej trójki pozostali wypadli dość słabo, a w niektórych okolicznościach znacznie poniżej oczekiwań, jak gen. dyw. Juliusz Rómmel, gen. dyw. Kazimierz Fabrycy i gen. dyw. Władysław Bortnowski. Najgorszymi okazali się gen. dyw. Stefan Dąb-Biernacki oraz gen. bryg. Czesław Młot-Fijałkowski. ■

Portrety dowódców: Narodowe Archiwum Cyfrowe, Wojskowe Biuro Historyczne, domena publiczna

DANIEL KOREŚ doktor nauk humanistycznych w zakresie historii XX w., adiunkt w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego oraz pracownik Oddziału Instytutu Pamięi Narodowej we Wrocławiu. Autor monografii *Generał brygady Aleksander Radwan-Pragłowski (1895–1974)*, oraz artykułów naukowych z zakresu biografistyki wojskowej, wojny polsko-sowieckiej 1918–1920, armii II Rzeczypospolitej, a także II wojny światowej i okresu powojennego.

JULIUSZ S. TYM pułkownik, doktor habilitowany, profesor nadzwyczajny Akademii Sztuki Wojennej, historyk wojskowy. Autor kilku monografii oraz kilkunastu artykułów naukowych na temat Wojska Polskiego w latach 1918–1947, w tym monografii *Kawaleria w operacji i w walce. Koncepcje użycia i wyszkolenie kawalerii samodzielnej Wojska Polskiego w latach 1921–1939*.



W kampanii wrześniowej zginęło 175 polskich lotników. Tę tragiczną listę otwiera kpt. pil. Mieczysław Medwecki, dowódca III/2 Dywizjonu Myśliwskiego lotnictwa Armii „Kraków”.



Pierwszy poległy pilot

WOJCIECH KRAJEWSKI

Kapitan pilot Mieczysław Medwecki jest pierwszym poległym polskim lotnikiem i zarazem pierwszym poległym lotnikiem państw walczących z III Rzeszą w II wojnie światowej. Zginął rankiem 1 września podczas startu alarmowego z podkrakowskiego lotniska Balice na przechwycenie samolotów niemieckich.

Przebieg służby

We wczesnej młodości Mieczysław Medwecki był członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej. W wieku 15 lat wstąpił do tzw. Ochotniczej Jazdy mjr. Jaworskiego (19 Pułku Ułanów Wołyńskich) i w 1920 r. walczył jako ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej, za co otrzymał Krzyż Walecznych. Uczył się w Korpusie Kadetów nr 1 we Lwowie. Był absolwentem II promocji Oficerskiej

Szkoły Lotniczej w Dęblinie, promowanym na stopień ppor. obs. 15 sierpnia 1928 r.

Początkowo odbywał służbę w 61 Eskadrze Liniowej 6 Pułku Lotniczego jako obserwator. W 1929 r. został przeszkolony w Centrum Wyszkożenia Oficerów Lotnictwa na pilota. Powrócił do 61 Eskadry Liniowej, a w 1931 r. został przeniesiony do 121 Eskadry Myśliwskiej w 2 Pułku Lotniczym, gdzie okazał się jednym z najlepszych pilotów. W 1931 r. otrzymał awans na porucznika. W 1933 r. organizował 123 Eskadrę Myśliwską i był jej pierwszym dowódcą do grudnia 1934 r. Następnie został przeniesiony do 122 Eskadry Myśliwskiej. We wrześniu 1934 r. był członkiem polskiej delegacji w Jugosławii prezentującej samoloty PZL P.7a. Podczas pokazów uległ ciężkiemu wypadkowi lotniczemu. Był zagrożony amputacją nóg, a nawet utratą życia. Wskutek odniesionych obrażeń, decyzją komisji lekarskiej w Polsce, odsunięto go od latania. Od maja



Junkersy Ju 87B w locie nad Polską.
Niemiecka fotografia propagandowa.

Fot. zbiory Wojciecha Krajewskiego

Września '39



Odnaka pamiątkowa
2 Pułku Lotniczego.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego,
fot. Wojciech Krajewski

1937 do czerwca 1938 r. był adiutantem dowódcy 2 Pułku Lotniczego. Po wielu wysiłkach z jego strony z powrotem dopuszczono go do latania. W 1938 r. został awansowany na kapitana. W listopadzie 1938 r. mianowano go dowódcą III/2 Dywizjonu Myśliwskiego (121 i 122 Eskadry Myśliwskiej).

Wspomnienia bliskich

W rodzinie kpt. Medweckiego i wśród pilotów, którzy go znali, zachowały się wspomnienia o nim. Wiadomo, że był doświadczonym dowódcą, dobrym organizatorem i doskonałym pilotem myśliwskim. Rozmiałowany w lotnictwie – życia poza nim sobie nie wyobrażał. Gdy w 1934 r. w Jugosławii uległ poważnemu wypadkowi lotniczemu – nigdy nie odzyskał pełnej sprawności nóg, a wojskowe komisje lekarskie odsunęły go

od latania. Był jednak do tego stopnia zdeterminowany, że wywalczył sobie powrót do służby w lotnictwie myśliwskim. Cenił wysoko dyscyplinę wojskową i porządek. Wymagał tego od siebie i od innych. Miał wielu przyjaciół. Był koleżeński i lubiany przez dowódców i pilotów, podoficerów oraz żołnierzy za bezpośredniość w kontaktach z podwładnymi.

Chorąży Gustaw Pokrzywka, wówczas oficer techniczny 122 Eskadry, wspominał: „To był myśliwiec z krwi i kości. Nie miał szczęścia. Przypadek tylko zrzucił, ślepy los tak chciał, że zginął w pierwszych minutach wojny [...]. Był to wyjątkowo uroczy człowiek. Urodzony żołnierz i dowódca. Skromny, ale zdecydowany w działaniu. Na ziemi przyjaciel i kolega, w powietrzu służbista i generał”¹. Podoficer sanitarny, sierż. Jan Wojdyła potwierdzał: „Był wspaniałym pilotem. Wszyscy żołnierze 2 pułku lotniczego powiedzą [...] to samo. Kryształowy charakter. Przy tym przystojny jak aktor filmowy”².

Maria Strzemieńska, żona kpt. Medweckiego, wspominała: „Według tego, co słyszałam od jego kolegów i podwładnych, był bardzo lubiany. Jako żołnierz i pilot był bardzo zdyscyplinowany, wymagał wiele od siebie i od innych; latał w dzień i w nocy, choć nóg nie miał zupełnie sprawnych”³. Spisując po wojnie dzieje męża, zakończyła je słowami: „To był naprawdę gorący patriota, świetny pilot – żał tylko, że tak zginął”⁴. Trzeba przyznać, że Medwecki, jak na doświadczonego pilota myśliwskiego zginął w nadzwyczaj niefortunnych okolicznościach. Nie stało się to w walce powietrznej z myśliwcami wroga, jak można by przypuszczać, ale od celnej serii „w plecy” wystrzelonej przez pilota niemieckiego bombowca nurkującego Junkers Ju 87.

W opisach tego zdarzenia wykorzystywano zwykle opublikowane wspomnienia kilku pilotów krakowskiego dywizjonu: Władysława Gnysia, Tadeusza Arabskiego, Mieczysława Wiórkiewicza i Wacława Króla. Poza Gnysiem, który wraz z Medweckim był wtedy w powietrzu, pozostali obserwowali przebieg wydarzeń z lotniska w Balicach, z odległości ok. 2 km. Wiele zobaczyć nie mogli. Po wojnie niezwykle istotną relację złożył także pilot Stukasa Frank Neubert, człowiek, który był sprawcą zestrzelenia Medweckiego. Nikt jednak nie próbował dotrzeć do żyjących jeszcze świadków i ustalić miejsce upadku samolotu kpt. Medweckiego. Sprawa warta była bliższego zbadania.



KAPITAN MEDWECKI PRYWATNIE

1. Maria i Mieczysław Medweccy.

Fot. zbiory Anny Medweckiej-Komaś

2. Od lewej: kpt. pil. Tadeusz Sędzielowski (dowódca 121 Eskadry Myśliwskiej; poległ 7 września 1939 r.), kpt. Medwecki, Julia Zatorska (żona Sędzielowskiego), kpt. pil. Walerian Jasionowski, Maria Strzemińska (żona Medweckiego).

Fot. zbiory Anny Medweckiej-Komaś

3. Piloci 2 Pułku Lotniczego z żonami. Pierwszy z prawej stoi kpt. Medwecki; jego żona Maria (trzecia z prawej); kpt. pil. Tadeusz Sędzielowski (pierwszy z lewej).

Fot. zbiory Anny Medweckiej-Komaś



Na lotnisku w Balicach

Pod koniec sierpnia 1939 r. w związku z nadchodzącym zagrożeniem wojennym 121 i 122 Eskadra Myśliwska 2 Pułku Lotniczego stacjonującego na krakowskim lotnisku Rakowice otrzymały ściśle tajny rozkaz przeniesienia się na lotnisko polowe w Balicach, położone w majątku ksiąg Radziwiłłów, ok. 15 km na zachód od Krakowa. 2 Pułk rozformowano, a w jego miejsce powołano III/2 Dywizjon Myśliwski włączony do Armii „Kraków”, którego zadaniem było w tym czasie zwalczanie niemieckich samolotów rozpoznawczych penetrujących południową Polskę. Dywizjonem dowodził kpt. pil. Mieczysław Medwecki.

Lotnisko polowe w Balicach było wówczas rozległym pastwiskiem obsianym koniczyną. Wybrano to miejsce, jak wiele innych, jeszcze w okresie pokoju. Lądowisko przylegało do drogi, wzdłuż której rosły rozłożyste kasztany – łatwo można było więc zamaskować pod nimi samoloty. Znalazło się tam 16 maszyn PZL P.11c i samolot łącznikowy RWD 8. Dywizjon III/2 liczył ogółem 20 samolotów

PZL P.11c. Pozostałe 4 „Jedenastki” ze 121 Eskadry Myśliwskiej z 6 pilotami były w tym czasie na zasadzce w Aleksandrowicach k. Bielska-Białej. Personel latający zakwaterowano w leżącym tuż obok lądowiska okazałym drewnianym budynku, który zajmowała rodzina zarządcy majątku w Balicach, i w leżącym nieco dalej pałacu Radziwiłłów, ówczesnych właścicieli Balic. Personel naziemny – w namiotach rozbitych bezpośrednio przy lotnisku. Córka administratora majątku Renata Gostyńska, wówczas nastolatka, tak wspominała: „Lotników pamiętam doskonale. Jak się ma 16–17 lat i widzi się mundury, tych przystojnych lotników, to człowiek wszystko pamięta. U nas kwaterował na pewno kapitan Medwecki i drugi lotnik o „alkoholowym”, włoskim nazwisku Florian Martini. On był chyba podporucznikiem. Tych dwóch pamiętam doskonale [...]. U nas mieszkało 8–10 lotników. Żołnierzy było sporo. W pałacu też kwaterowało wojsko, bo widocznie wszyscy nie mogli się u nas pomieścić. Medwecki dlatego u nas kwaterował, że miał z naszego domu bardzo blisko do samolotów – około 100 metrów”⁵.



NA SŁUŻBIE

1. Kpt. pil. Mieczysław Medwecki w kabinie samolotu PZL P.7. Fot. zbiory Anny Medweckiej-Kornaś
2. Piloci 2 Pułku Lotniczego w przerwie zajęć podczas obozu narciarskiego w górach. Kpt. pil. Mieczysław Medwecki siedzi w środku. Fot. zbiory Anny Medweckiej-Kornaś

Tragiczny start

Świt 1 września 1939 r. Personel Dywizjonu III/2 pogrążony był we śnie. Nikt nie mógł wiedzieć, że właśnie wybuchła wojna z Niemcami. Lotników obudził dopiero odgłos silników przelatującej w pobliżu grupy samolotów. Była to wyprawa bombowa złożona z Heinkli He 111, Junkersów Ju 87 oraz Dornierów Do 17 eskortowanych przez Messerschmitty Bf 110, która kierowała się na Kraków. Półmrok, mgła i zachmurzenie spowodowały, że lotnicy przelatujące maszyny wzięli za polskie „Łosie”. Nalot na Kraków rozpoczął się około godz. 5.15. Bomby spadły też na lotnisko na Rakowicach. Samolotów Dywizjonu III/2 od dawna już tam nie było. Stały ukryte pod kasztanami na lotnisku w Balicach, o którym Niemcy nie mieli wówczas żadnych informacji.

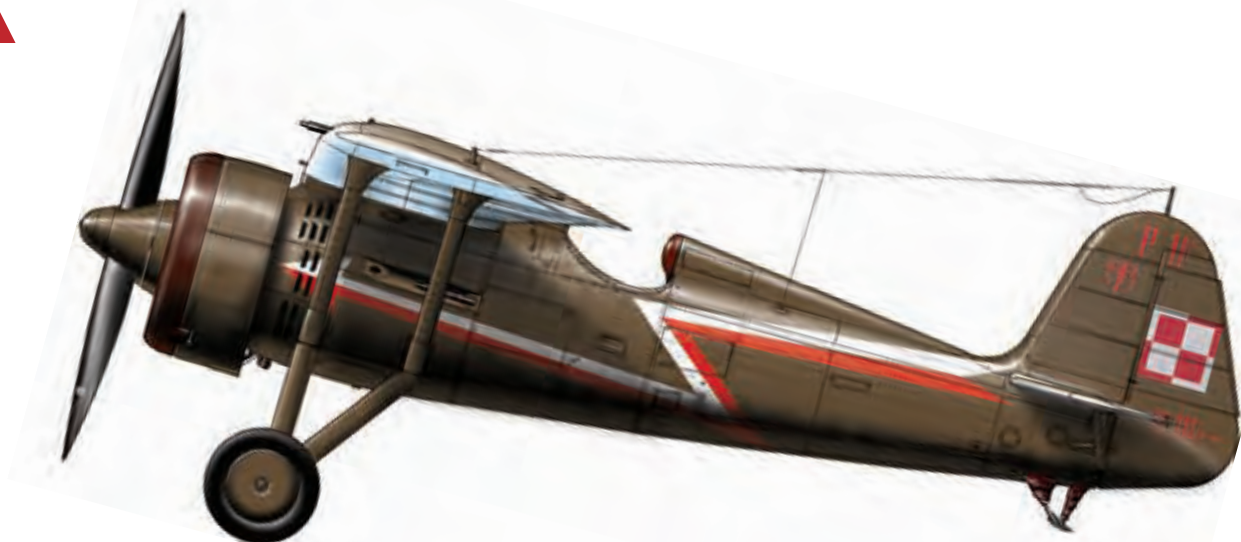
To, co działo się w Balicach o świcie 1 września 1939 r., opisało kilku uczestników tamtych wydarzeń. Wiadomo, że kpt. Medwecki ogłosił alarm i poderwał pilotów z łóżek po odebraniu telefonicznej wiadomości o bombardowaniu Krakowa. Odbyla się krótka odprawa, podczas której wyznaczono zadania. Klucz samolotów 121 Eskadry w składzie: kpt. Medwecki z tzw. bocznymi pchor. Gnysiem i st. szer. Arabskim, miał polecieć na patrol w rejon Chrzanowa, klucz 122 Eskadry dowodzony przez ppor. E. Pilcha miał zaś patrolować

rejon Wadowic. Gdyby w okolicy Balic pojawiły się samoloty wroga, miały wystartować pozostałe maszyny.

Wyznaczeni do lotu piloci biegiem ruszyli do samolotów. Po kilku minutach dotarli na lotnisko. Tam jednak okazało się, że dywizjon nie jest w stanie gotowości bojowej do natychmiastowego startu. Samoloty miały jeszcze silniki okryte plandekami. By wystartować, potrzeba było przynajmniej dodatkowych 20 minut. W tym czasie niemieckie maszyny po zbombardowaniu Krakowa zawracały do swych baz. Balice były na trasie ich przelotu.

Gdy między godz. 6.15 a 6.30 polscy piloci zajmowali miejsce w kabinach samolotów, nad lotnisko w Balicach nadciągały lotem koszącym powracające z Krakowa Junkersy Ju 87. Kapitan Medwecki prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, że za plecami ma zbliżające się niemieckie bombowce. Niebezpieczeństwo dostrzegł personel lotniska. Wiadomo, że któryś z oficerów podbiegł do kabiny samolotu Medweckiego i coś do niego mówił. Pilot natychmiast rozpoczął start. Być może obawiał się, że za chwilę na ich lotnisko posypią się bomby i chciał jak najszybciej znaleźć się w powietrzu.

Tymczasem przelatujący nad Balicami piloci Junkersów Ju 87 nie przypuszczali, że pod nimi znajduje się ►



Kpt. pil. Mieczysław Medwecki został pośmiertnie odznaczony przez władze PRL Krzyżem Srebrnym Wirtuti Militari oraz Medalem za udział w Wojnie Obronnej 1939 r. Zbiory Sali Tradycji JW. 1616 w Balicach.

Fot. Wojciech Krajewski

Rysunek samolotu PZL P.11c. kpt. pil. M. Medweckiego z jego osobistym oznakowaniem, którym – według relacji świadków – była biało-czerwona strzała namalowana wzdłuż kadłuba (forma oznakowania według koncepcji Wiesława Bączkowskiego zamieszczona niegdyś w „Skrzydlatej Polsce”). Niestety, nie jest znane do tej pory zdjęcie tego samolotu zarówno sprzed wojny, jak i wraku po jego upadku na ziemię, co potwierdziłoby opowieści świadków. Wygląd strzały na kadłubie, jej długość i kształt pozostają zatem w sferze domysłów. Rys. Robert Gretzkyngier.

polowe lotnisko, na którym zamaskowano kilkanaście polskich myśliwców. Dwa klucze przeleciały nad Balicami, a trzeci klucz właśnie się do nich zbliżał. Jeden z lecących samolotów pilotował Uffz (plut.) Frank Neubert z 2 eskadry I./St.G 2 „Immelmann”, który zauważył startujące polskie maszyny. Samoloty Medweckiego, Gnysia i prawdopodobnie także Arabskiego znalazły się tuż przed frontem lecących Sztukasów. Neubert nie miał już bomb, bo zrzucił je nad Krakowem, ale los dał mu niepowtarzalną szansę ostrzelania z broni pokładowej wznoszących się wolno przed nim i w tej sytuacji jeszcze bezbronnym polskich myśliwców. Niemiec wybrał na cel jeden z polskich samolotów. Była to niesłychana gratka, by Junkersem Ju 87 mógł zaatakować wrogi samolot myśliwski. Zajął dogodną pozycję, wycelował i wystrzelił dwie serie pocisków ze skrzydłowych kaemów MG 17 kalibru 7,92 mm.

Wiele lat po wojnie Frank Neubert tak opowiadał: „Przymierzyłem się do lecącego po prawej stronie polskiego myśliwca. Potem oddałem pierwszą w tej wojnie serię, bez zaobserwowanego przez siebie rezultatu. Musiałem zaatakować po raz drugi [...]. Przy drugiej serii widziałem, jak moje pociski świetlne gięły w kabine pilota polskiego myśliwca, ale żadnej reakcji na razie nie zauważyłem. Kiedy przymierzałem się do trzeciego ostrzelenia, atakowana przeze mnie maszyna eksplodowała w powietrzu w wielkiej kuli ognia. Czy

pilot zginął, czy też ratował się na spadochronie, nie mogę powiedzieć”⁶.

Jeden z pilotów, Wacław Król, wówczas w Balicach nieobecny, przytaczając wrażenia kolegów napisał, że „samolot Medweckiego stanął w płomieniach i z wysokości około 100 metrów runął wraz z pilotem na ziemię”⁷. Z dwóch bocznych kpt. Medweckiego, pchor. pil. Władysław Gnys został również ostrzelany od tyłu. Ocalał tylko dzięki swym umiejętnościom i zwrotności samolotu. Nim zanurkował ku ziemi, zdążył zauważyć, że „samolot kpt. Medweckiego kołysze się ze skrzydła na skrzydło, utrzymując nierówny lot”⁸. Drugi boczny Medweckiego, st. szer. pil. Tadeusz Arabski, widząc, co się dzieje, wykażał najwięcej rozsądku i prawdopodobnie w ogóle przerwał start. W powojennej relacji napisał, że Medwecki „próbował się wywinąć, ale chyba druga seria zapaliła jego samolot. Za nisko był, aby skakać ze spadochronem. Widziałem, jak spada w płonącym samolocie. Spadł w Morawicy, jakieś trzy – cztery kilometry od naszego lotniska w Balicach”⁹. Zestrzelenie kpt. Medweckiego opisał też kpt. pil. Mieczysław Wiórkiwicz, dowódca 122 Eskadry Myśliwskiej, który obserwował tę walkę z ziemi. Pisał, że Medwecki „musiał być zabity w powietrzu. Być może zapalił się już w powietrzu. Zwalił się 2–3 km poza lotniskiem”¹⁰. Inny świadek, podoficer sanitarny sierż. Jan Wojdyła wspominał, że „Medwecki był bardzo nisko nad ziemią. Dziesięć, może

dwadzieścia metrów, gdy jego samolot ścięła seria Stukasów”¹¹.

Z relacji tych wynika, że kpt. Medwecki został ciężko ranny drugą serią pocisków wystrzelonych przez Uffz (plut.) Neuberta, otrzymując postrzał w plecy. Równocześnie zapalił się trafiony pociskami zbiornik paliwa umiejscowiony w przedniej, spodniej części kadłuba. Zawierał on 320 litrów benzyny lotniczej. Pożar takiej ilości paliwa musiał być tragiczny w skutkach, gdy płomień gnany pędem powietrza wdarł się od dołu do kabiny pilota. Ranny Medwecki resztką sił jeszcze przez krótki czas prowadził samolot, a następnie – jak wynika z relacji lotników – uderzył w ziemię. Dramat ten rozegrał się na oczach całego Dywizjonu III/2.

Miejsce upadku samolotu zauważył z powietrza ppor. pil. Tadeusz Kawalecki, który wracał z patrolu: „Spojrzałem w dół: pode mną moje lotnisko Balice, a na zachód od niego, na plecach, w ogniu leżała maszyna. Czerwone płomienie objęły cały przód samolotu, snując w górę długą kichę dymu”¹².

Śmierć dowódcy na personel dywizjonu podziałała deprymująco. Zwłoki Medweckiego wydobyto z samolotu. W pobliżu był cmentarz parafialny w Morawicy, ale lotnicy nie mogli zająć się pogrzebem dowódcy. Lotnisko w Balicach musiało być niezwłocznie opuszczone, ponieważ rozpoznał je nieprzyjaciel i w każdej chwili mogło być zaatakowane z powietrza. Dywizjon III/2 przenosił się do Igołomi, 25 km na wschód od Krakowa.

Miejsce pochówku

Kapitana Medweckiego pochował na cmentarzu w Morawicy k. Balic ówczesny proboszcz, ksiądz dziekan Jan Danek. Tak o tym napisał w parafialnej kronice: „Pochowałem go tego samego dnia wieczorem, o godz. 21 bez asysty wojskowej i honorów wojskowych, gdyż jednostki lotnicze kilka godzin przed tym musiały opuścić Balice”¹³.

Zapis o śmierci i pogrzebie Medweckiego znajduje się też w tzw. Liber Defunctorum (Księdze Zmarłych) przechowywanym w kościele pw. św. Bartłomieja parafii Morawica. Na s. 143, poz. 14 księgi pod datą 1 września czytamy: „Na polach Morawicy spadł samolot płonący z nim ranny pilot / Miecislaus Medwecki vel Medweckzy (dowódca 3 dywizjonu myśli. II p. lotniczego, Kapitan pilot), / 35 [lat]”.

W Liber Defunctorum napisano: „Rana postrzałowa w okolicy wątroby. Pęknięcie podstawy czaszki. Ludzie wyciągnęli nieżywego z płonącego samolotu”. Dalej widnieje objaśnienie dotyczące poległego: „Chwilowo stacjonowany w Balicach, gdzie do 1/9 1939 było lotnisko [z] 30 samolotami [tak w oryginale]. Pochowany na cmentarzu w Morawicy 1/9 og. 20 1/2”.

Kapitan pilot Mieczysław Medwecki zginął w wieku 35 lat. Pozostawił żonę Marię Adelajdę ze Strzemieńskich

(2° voto Rospond), z którą był w związku małżeńskim od 22 czerwca 1935 r. Podobno do końca lat siedemdziesiątych XX w. nie wiedziała co się z mężem stało. Nie pozostały jej nawet zdjęcia, gdyż mieszkanie Medweckich w Krakowie we wrześniu 1939 r. doszczętnie ograbiono. Po wojnie poszukiwała męża za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża. W końcu dowiedziała się o jego śmierci i wreszcie mogła pojechać na grób męża.

Tradycja i pamięć

Pośmiertnie w 1967 r. kpt. pil. Medwecki został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari kl. V. Jego grób do dziś znajduje się na cmentarzu w Morawicy położonym przy barokowym kościele pw. św. Bartłomieja. Jest dobrze utrzymany.

Szkoła Podstawowa w Morawicy dla uczczenia pamięci poległego lotnika nosi jego imię. Urządzono w niej niewielki kąciok pamięci jemu poświęcony.

Lotnisko polowe, w którym pod kasztanami 1 września 1939 r. stały ukryte samoloty Dywizjonu III/2, dawno wchłonął Międzynarodowy Port Lotniczy im. Jana Pawła II w Balicach. Miejsce po ówczesnym lotnisku znajduje się według wszelkiego prawdopodobieństwa w jego północno-wschodnim narożniku; dziś startują z niego w dalekie trasy samoloty pasażerskie.

WOJCIECH KRAJEWSKI archeolog, historyk i muzealnik; kustosz Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Badacz miejsc katastrof samolotów i poszukiwacz lotników zestrzelonych nad Polską podczas II wojny światowej. Zajmuje się też archeologią dawnych pól bitew i historią Powstania Listopadowego. Autor książek, artykułów i wystaw.

Bibliografia

- Betting G., *Das waren die deutschen Stuka-Asse 1939–1945*, Stuttgart 1985.
Cynk J.B., *Polskie lotnictwo myśliwskie w boju wrześniowym*, Gdańsk 2000.
Cynk J.B., *Pierwsze zwycięstwo*, „Skrzydła”, nr 141/627.
Emmerling M., *Luftwaffe nad Polską 1939*, cz. III: *Stukafieger*, Gdynia 2006.
Gretzyngier R. i in., *Ku czci poległych lotników 1939–1945*, Warszawa 2006.
Król W., *Krakowskie skrzydła*, Warszawa 1974.
Król W., *W dywizjonie poznańskim*, Warszawa 1970.
Kuliński R., *Pierwsi i ostatni*, Warszawa 1972.
Medwecka-Kornaś A., *Kpt. Mieczysław Medwecki – lotnik i pilot*, mps, wiosna 2009 r.
Nawrot R., *Dzieci śmiertelnych wrogów pojednały się*, *Miasta.gazeta.pl* [dostęp 30.09.2019].
Oleksy M., *Kombatanci – Kawalerowie Orderu Virtuti Militari. Pilot por. Tadeusz Arabski*, „Zeszyty Historyczne”, nr 1, Kraków (b.d.).
Oleksy M., *Pierwsi wystartowali do walki z wrogiem!*, „Zeszyty Historyczne”, nr 6, Kraków (b.d.).
Pawlak J., *Polskie eskadry w Wojnie Obronnej. Wrzesień 1939*, Warszawa 1991.
Percha J., *Życie i działalność kpt. pil. Mieczysława Medweckiego*, Dęblin 1980.
Simmons-Gnyś B., *Pierwsze spotkanie*, Lublin 1996.

¹ R. Kuliński, *Pierwsi i ostatni*, Warszawa 1972, s. 21. ² Tamże, s. 21–22. ³ Tamże, s. 28; J. Percha, *Życie i działalność kpt. pil. Mieczysława Medweckiego*, Dęblin 1980, s. 26–27. ⁴ List Marii Medweckiej, żony Mieczysława Medweckiego, kopia w archiwum Wojciecha Krajewskiego. ⁵ Relacja Renaty Gostyńskiej z 14 września 2010 r., archiwum Wojciecha Krajewskiego. ⁶ J.B. Cynk, *Pierwsze zwycięstwo*, „Skrzydła”, nr 141/627. ⁷ W. Król, *W dywizjonie poznańskim*, Warszawa 1970, s. 44–45. ⁸ J.B. Cynk, *Polskie lotnictwo myśliwskie w boju wrześniowym*, Gdańsk 2000, s. 159. ⁹ J. Stachiewicz, *Garstka przeciw tysiącom*, „Nowiny”, nr 197, 1–2 września 1979 r. ¹⁰ J. Pawlak, *Polskie eskadry w Wojnie Obronnej. Wrzesień 1939*, Warszawa 1991, s. 64. ¹¹ R. Kuliński, *Pierwsi i ostatni*, s. 23–24. ¹² Jednodniówka Lotnictwa Polskiego w Anglii, s. 36–37. ¹³ J.M. Kwaśnik, *Polska ma wielu bohaterów...*, mps, archiwum Wojciecha Krajewskiego.



Kpt. pil. Mieczysław Medwecki w kabinie samolotu.
Fot. zbiory Anny Medweckiej-Kornaś

NA TROPIE SAMOLOTU

W kontekście badań lotniczego epizodu września 1939 r., jakim było zestrzelenie samolotu kpt. pil. Mieczysława Medweckiego, opartych na relacjach świadków, zawsze pada pytanie, gdzie to się wszystko działo i gdzie mógł spaść poszukiwany samolot.

WOJCIECH KRAJEWSKI

Wiadomo, że o świcie 1 września 1939 r. polskie myśliwce startowały z Balic w kierunku zachodnim, w stronę wioski Aleksandrowice i dalej ku wsi Chrosna. Gdzieś tam należało zatem szukać miejsca upadku samolotu Medweckiego zestrzelonego właśnie w czasie tego startu przez niemieckiego Junkersa Ju 87.

Podczas pierwszych poszukiwań podjętych w 2007 r. udało się odnaleźć w Balicach kilku świadków pamiętających wydarzenia z 1939 r. Maria Bater, wówczas dziewięcioletnia, wspominała: „samoloty startowały w kierunku zachodnim. Widziałam, jak polski samolot został trafiony i zaraz spadł gdzieś pod lasami pod Aleksandrowem [Aleksandrowicami]”¹. Jedna ze starszych mieszkanek wsi Morawica opowiadała, wskazując dosyć precyzyjnie, że „pilot został ostrzelany nad polami chrośnieńskimi i tam się rozbił”². Takie określenie miejsca upadku samo-

lotu Medweckiego potwierdził też, wówczas dwudziestoletni, Józef Krawczyk, Opowiadał, że „polski samolot spadł na pola pod wsią Chrosna”³ leżącą w linii prostej na zachód od lotniska w Balicach, za Aleksandrowicami.

Resztki wypalonego samolotu rozebrali na swój użytek okoliczni mieszkańcy. To, co mogło pozostać z niego do dziś, to trudne do zauważenia zalegające na nie wielkiej powierzchni skorodowane skrawki duralu. Wypatrzyć przykryte ziemią drobne kawałki metalu, na wielokrotnie przeoranym lemieszem pługa kawałku gruntu, zwykle nie jest łatwo.

Ostatni świadkowie

Kto w 2007 r. mógł przypuszczać, że we wspomnianej przez świadków wiosce Chrosna mieszka Stefan Rzewuski, który co prawda urodził się kilka lat po wojnie, ale z opowiadań rodziców wiedział, że w 1939 r. na polach w pobliżu ich wsi rozbił się samolot kpt. Medweckiego. Tak o tym mówił: „Wszyscy ludzie wiedzieli, że to tam spadł ten samolot. Ale nikt precyzyjnie tego nie pokazał. Mój ojciec mówił, że wojna się zaczęła upadkiem samolotu, z którego w pośpiechu chowali pilota, i to tak zrobili, że żona nie wiedziała, gdzie on jest. I tyle o tym mówiono”⁴.

Z dzieciństwa zapamiętał drewnianą łopatę śmigła stojącą w jednym z pól w wsi. Czasy po wojnie nie sprzyjały jednak wyjaśnianiu losów pilota wrogiej klasowo sanacyjnej Polski, więc gdy o to śmigło pytał dorosłych, kazano mu się tym nie zajmować. Dopiero w latach osiemdziesiątych XX w. Rzewuski – jako sołtys Chrosnej – powrócił do sprawy zestrzelenia kpt. Medweckiego. Około 2010 r. zdołał w końcu ustalić, kto może pamiętać wydarzenia z 1 września 1939 r. Okazało się, że żyje kilka osób, które widziały zestrzelenie polskiego samolotu, a nawet były przy jego wraku. Tak o tym opowiadał: „Pomyślałem sobie, że jeżeli jest teraz 70 lat od tamtych wydarzeń, to trzeba dotrzeć do najstarszych mieszkańców Chrosny, może coś pamiętają. Jako sołtys wiedziałem, kogo szukać. Wytypowałem początkowo grupkę może ze 28 osób. Zawężyłem ją po trochu, bo niektórzy ludzie mówili: »Nie było mnie. Byłam 'na ucieczce'«. Okazało się, że część z nich w tamtym czasie uległa przedwojennej panice i opuściła wieś – nie było ich w Chrosnej w dniu

Relacja Stefani Krawczyk

Widziałam, że leci dym. Poszliśmy tam na łąki. Jak żeśmy zaszli, to już był pilot spalony na czarno i samolot już się kończył palić. Kupa ludzi była. Nie wiem, jak był ubrany pilot – był spalony, czarny jak węgiel. Z samolotu jeszcze były skrzydła. Samolot był chyba popielaty. Miał taką jakby białą-czerwoną strzałę namalowaną wzdłuż kadłuba. Stał silnikiem w stronę kościoła. Potem ktoś przyjechał i zabrał samolot. To miejsce jest koło autostrady, na polu od strony północnej.

Źródło: relacja uzyskana przez W. Krajewskiego podczas wizji lokalnej w Balicach i Chrosnej w latach 2007–2010.

Relacja Stanisława Śbi

Byłem wtedy małym chłopakiem. W pierwszy dzień [1 września 1939 r.] widzieliśmy, jak się tu wysoko samoloty biły. Później jeden zaczął się palić i leciał tu, nad wieś. A myśmy się przyglądali. Samolot zakręcił nad środkiem wsi. Leciał niziutko i palił się, takie dymy czarne szły. Leciał i tu zawrócił, no i po tych polach tak jechał. Zatrzymał się i tak stał. Widzę go, jak dziś, jak stał kołami do przodu w stronę Morawicy. Spalił się, ale nie doszczętnie. Stał silnikiem w stronę kościoła, ogonem na zachód. Ja blisko nie podchodziłem, jak się palił. Ludzi było, ale też nie podchodzili, bo się bali. [Samolot] miał amunicję, wybuchy były. Pilota pochowali po cichu, wieczorem. Później tam podchodziliśmy. Przynosiliśmy kawałki blachy, korytka z tego robiono. Wszystko było aluminiowe, białe. Kury potem z tych korytek jadły. Wysprząтали to. O ile coś jeszcze było, to wywieźli na złom. Teraz jest autostrada i wszystko się tu zmieniło.

Źródło: relacja uzyskana przez W. Krajewskiego podczas wizji lokalnej w Balicach i Chrosnej w latach 2007–2010.

1 września. Krag potencjalnych świadków zawęził mi się w ten sposób do kilku osób. Chodziłem do tych ludzi i mówiłem im: »wiem, że tam spadł samolot, ale nie wiem dokładnie gdzie, pomóżcie mi«. Uzyskałem mapę gruntów Morawicy, na której były widoczne te działki, na których prawdopodobnie spadł samolot. Ustaliłem następnie wśród mieszkańców Morawicy, kto jest właścicielem konkretnych pól. Ale był problem z ustaleniem dokładnie, na którym polu spadł samolot.

Dużo wiedziałby na pewno Józef Soja, miał ze 100 lat, ale już nie żył. Żył natomiast jego syn, który był wtedy dzieckiem i to on mnie naprowadził. Gdy narobiłem zamieszania w Morawicy tymi moimi poszukiwaniami, okazało się, że chce się ze mną widzieć jeden z mieszkańców – Paweł Bator (lat około 80), który powiedział, że wtedy jako [...] młody chłopak był przy tym samolocie. Znalazłem tu jeszcze jedną starszą kobietę, która miała wtedy 8–11 lat i zna dokładnie miejsce upadku samolotu. Opowieści wszystkich tych świadków wskazywały na jedno miejsce [...]. Ludzie mówili różnie, ale w końcu jako pierwszy, 20 marca ustaliłem dokładnie miejsce upadku samolotu”⁵.

W 2010 r. udało się nam, Stefanowi Rzewuskiemu i Wojciechowi Krajewskiemu, do tych świadków dotrzeć ponownie i zarejestrować wypowiedzi o dramatycznych okolicznościach śmierci polskiego lotnika. Pozwalały one spojrzeć na przebieg wydarzeń z innej perspektywy, niż opisywali je piloci obserwujący zestrzelenie kpt. Medweckiego z odległego o kilka kilometrów lotniska w Balicach. Z opowieści mieszkańców Chrosnej wynika przede wszystkim to, że samolot Medweckiego wcale nie uderzył w ziemię z wysoka. Wysokość lotu trudno jest określić. Rozmaici świadkowie wydarzeń z 1939 r. – wojskowi i osoby cywilne – określają ją różnie: od kilkudziesięciu metrów do nawet 300 m nad ziemią. Samolot w rzeczywistości znajdował się prawdopodobnie na wysokości nie większej niż 100 m i dopiero mozolnie nabierał wysokości, lecąc w kierunku ze wschodu na zachód.



Stefan Rzewuski, mieszkaniec Chrosnej pod Krakowem, z wykonanym przez siebie brzozowym krzyżem, który w 2010 r. ustawił na miejscu, gdzie zginął kpt. pil. Mieczysław Medwecki.

Fot. arch. Stefan Rzewuski

Nieprawdą było także to, że maszyna wybuchła w powietrzu lub nawet efektownie rozsypała się na kawałki. Relacje świadków są jednoznaczne. Samolot był cały. Kiedy myśliwiec został trafiony i zapalił się, pilot zawrócił nad wioską Chrosna na wschód, czyli w kierunku lotniska w Balicach, skąd dopiero co wystartował. Lecił nad domami. Ciągnęła się za nim smuga czarnego dymu. Na skok ze spadochronem było zbyt nisko. Nie skakał też z tego powodu, że był ranny i zapewne nie byłby w ogóle w stanie wykonać tej czynności. Rana postrzałowa to jedna przyczyna jego tragedii. Drugą był pożar paliwa. Nie wiadomo, dlaczego natychmiast nie odrzucił zbiornika paliwa zainstalowanego w spodniej części kadłuba, mimo że konstrukcja samolotu umożliwiała to pilotowi. Można sobie wyobrazić, jak bardzo musiał cierpieć, gdy gnana pędem powietrza struga ognia obejmowała jego kabinę. Ciężko ranny, umierający lotnik musiał zdawać sobie sprawę, że nie utrzyma długo płonącego samolotu w locie i na lotnisko nie zdoła powrócić. Szukał więc miejsca nadającego się do natychmiastowego lądowania. Zauważył większe, zaorane pole i podszedł do lądowania. Było to prawdopodobnie tzw. twarde lądowanie. Z oględzin zwłok Medweckiego, których wyniki skrótkowo opisano w Księdze Zmarłych w 1939 r., przechowywanej w kościele pw. św. Bartłomieja w Morawicy, wiadomo, że oprócz rany postrzałowej lotnik miał „pękniętą podstawę czaszki⁶”. Do tego urazu mogło dojść właśnie w momencie zetknięcia, czy w tym wypadku raczej uderzenia samolotu w ziemię. Z relacji świadków wiadomo, że dalej samolot „kołamijechał po polu i w końcu się zatrzymał⁷”. Nie wiadomo, czy kpt. Medwecki jeszcze wtedy żył. Prawdopodobnie umierał podczas tego lądowania lub stało się to chwilę później.

Zestrzelenie samolotu obserwował personel lotniska w odległych Balicach, a także ci mieszkańcy Chrosnej, którzy byli najbliżej i którzy od razu pobiegli do samolo-

tu ratować pilota. Dramatyczne relacje świadków opisują w jak tragicznych okolicznościach polski pilot stracił życie. Palił się przód kadłuba. Niektórzy bali się podchodzić bliżej, ponieważ, jak mówili, strzelały pociski z rozrywających się pojemników z amunicją do kamów⁸. Kilku śmiazków jednak odważyło się i podbiegło do kabiny, by wydostać z niej pilota. Musieli się jednak wycofać właśnie ze względu na eksplodującą amunicję. Gdy wybuchy nieco osłabły, spróbowali ponownie. Dostali się do kabiny, ale okazało się... że pilot jest przypięty pasami siedzeniowymi do fotela. Nie potrafili rozpiąć klamry, a nikt nie miał narzędzia, by pasy przeciąć. W końcu ktoś podbiegł z nożem, pasy przecięto i wydostano poparzonego pilota z samolotu. Z relacji świadków wiadomo, że był już martwy, „nogi do kolan miał prawie spalone. Po wydostaniu go z samolotu ciało przykryto kocem⁹. Inni dodają, że był on spalony, „czarny jak węgiel¹⁰ i nie można było rozpoznać munduru¹¹. Tu młodociani świadkowie ulegli emocjom i uznali noszony przez pilotów myśliwskich, a więc także przez kpt. Medweckiego, regulaminowy, czarny, skórzany lotniczy płaszcz zakrywający mundur i sięgający do kolan – za efekt działania płomieni. Relacje innych świadków zawierają rozbieżne informacje. Niektórzy twierdzą nawet, że ugaszony samolot stał z martwym pilotem w kabinie i nie był przez nikogo pilnowany¹².

Potwierdza się jednak to, że samolot nie był rozbity jak od uderzenia w ziemię z wysokości, ale wylądował cało i stał na kołach. Przód kadłuba był spalony, ale reszta zachowała się bez uszkodzeń. Samolot stał przodem w kierunku wschodnim, ogonem na zachód. Dopiero po pewnym czasie do wraku dotarli żołnierze polscy. Był to zapewne personel lotniska w Balicach. Przy wraku stanęli wartownicy i nie dopuszczali do niego cywilów¹³. Kapitana Medweckiego pogrzebano wieczorem na pobliskim niewielkim cmentarzyku w Morawicy. Wrak maszyny pozostawiono. Dywizjon jeszcze tego samego dnia opuścił znane już Niemcom Balice i przeniósł się na kolejne polowe lotnisko w Igołomi, 25 km na północny wschód od Krakowa.

Co pozostało z samolotu?

Można domniemywać, że myśliwiec PZL P.11c kpt. pil. Mieczysława Medweckiego – jak na maszynę dowódcy przystało – był zapewne jednym z najlepszych samolotów w III/2 Dywizjonie Myśliwskim i mało wyeksploatowanym. Interesujący jest mało znany szczegół jego oznakowania, o którym mówią świadkowie. Twierdzą oni, że maszyna Medweckiego była oznaczona biegnącą wzdłuż kadłuba białą-czerwoną strzałą. Starszy szer. Tadeusz Arabski wspominał właśnie, że „samolot dowódcy oznaczony był po obu stronach kadłuba namalowanymi białą-czerwonymi strzałami¹⁴. W innej relacji pisał, że samolot „nie miał żadnego nu-

meru na kadłubie, namalowano na nim biało-czerwony pasek, biegnący od silnika aż do ogona¹⁵. Również wówczas dwunastoletnia Stefania Krawczyk, która widziała stojący wrak samolotu na polu w Chrosnej, zapamiętała, że „[samolot] miał taką jakby białą-czerwoną strzałę namalowaną wzdłuż kadłuba”¹⁶.

Losy wraku samolotu

Do Balic oddziały niemieckie dotarły po 6 września, czyli przynajmniej pięć dni po opisanych tu wydarzeniach. Podobno Niemcy oglądali wrak samolotu. Nie udało się jednak do tej pory odnaleźć żadnego zdjęcia PZL P.11c pochodzącego ze źródeł niemieckich, o którym można by powiedzieć, że przedstawia wrak samolotu kpt. Medweckiego, a żołnierze niemieccy często i z upodobaniem fotografowali zdobyty polski sprzęt wojskowy w czasie kampanii wrześniowej 1939 r.

Wiadomo, że wrak został rozebrany przez okoliczną ludność na jej własne potrzeby. Jedna łopata śmigła stała w płocie jako sztacheta. Z blach aluminiowych robiono m.in. korytka do karmienia kur. Później te metalowe pozostałości samolotu wywieziono na złom¹⁷. Świadkowie stwierdzają, że samolot rozbierano na części, a potem nagle zniknął. Wszystko więc wskazuje, że rozebrano go w całości. Ze wzmianek prasowych z lat dziewięćdziesiątych XX w. wiadomo, że przez kogoś był przechowywany wał korbowy z tego samolotu. Ludność rozebrała zatem wszystko – także trudniejszy do demontażu silnik. Podobno wówczas żyły jeszcze osoby, które mogłyby wskazać miejsce, gdzie leżały pozostałości samolotu. Funkcjonowała plotka, że ludność zasyłała wrak ziemią i jest on gdzieś ukryty do tej pory.

Relacja Stefanii Ślusarczyk

” Poszłam tam i byłam przy samolocie, bo byłam ciekawa. Nikogo więcej nie było. Samolot był nieduży. Jak tam doszłam, to ognia już nie było – nie palił się już. Pilot był spalony. Nieprzyjemnie było patrzeć. Był skurczony w kabinie przy „kierownicy”. Wszystko było spalone. Miał buty z wysokimi cholewami. Nogi miał spalone – że aż kości było widać. Twarz miał poparzoną. Wszystko na nim było spalone – munduru, kombinezonu, pilotki nie można było w ogóle rozpoznać. Widać było, że już nieżywy jest. Buty tylko zapamiętałam. Samolot był popalony, ale skrzydła były. Samolot stał silnikiem w stronę kościoła. Leciał i palił się i tak spadł na pole. Uciekłam stamtąd szybko i nawet tacie nie mówiłam, że tam byłam. Tydzień później, jak tam poszłam, to miejsce było takie rozebrane, ludzie tam chodzili. Słyszałam, że lotnika zabrali i pochowali. A wrak leżał i dzieci chodząły i sobie brały, jak to dzieci. Niemców tam nie widziałam. Samolot potem zniknął – ludzie brali po kawałku. Ja nie brałam, bo co mi po tym. Byłam dziewczynką. Żeby tam jaka lalka była... Teraz jest tu autostrada i wszystko zostało tu zmienione.

Źródło: relacja uzyskana przez W. Krajewskiego podczas wizji lokalnej w Balicach i Chrosnej w latach 2007–2010.

Gdzie zginął kpt. Medwecki

Najwięcej dla ustalenia, gdzie kpt. Medwecki zakończył lot i jakie były jego ostatnie chwile, uczynił Stefan Rzewuski z Chrosnej. O rozbiciu się samolotu kpt. Medweckiego w 1939 r. na okolicznych polach usłyszał w dzieciństwie od swego ojca. Około roku 2010, rozmawiając o tym ze starszymi mieszkańcami wsi, ustalił dokładnie, w którym miejscu wydarzył się dramat.

Od tamtego czasu chęć upamiętnienia miejsca śmierci bohaterskiego lotnika, pierwszego z poległych w obronie polskiego nieba w 1939 r., stała się ważnym celem jego działania. Sprawę tę nagłaśniano w programach telewizyjnych i w internecie. Środowisko krakowskich miłośników lotnictwa rozpisało w 2013 r. na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej konkurs na opracowanie koncepcji miejsca pamięci kpt. pil. Mieczysława Medweckiego. Wybrano najciekawszy projekt, autorstwa mgr inż. arch. Marii Gołębiowskiej, noszący nazwę „Eskadra Braci”. Niestety, do realizacji pomnika nie doszło. Do dnia dzisiejszego próby wykupienia gruntu pod jego budowę podejmowane przez rozmaite fundacje i społeczne komitety kończą się niepowodzeniem. Budowę pomnika w tym miejscu negatywnie zaopiniował Instytut Pamięci Narodowej, który wskazał jako bardziej odpowiednią lokalizację lotnisko, które stanowiło bazę 2 Pułku Lotniczego.

Stefan Rzewuski oznaczył miejsce śmierci kpt. Medweckiego wykonanym samodzielnie i postawionym z własnej inicjatywy brązowym krzyżem z tabliczką informacyjną. Stanął on w 2010 r. tuż przy autostradzie A4 na wysokości wioski Chrosna. Do dziś zatem miejsce, gdzie poległ pierwszy polski lotnik II wojny światowej, znaczą jedynie skromny, brązowy krzyż postawiony ręką polskiego patriotę.

Dziękuję panu Stefanowi Rzewuskiemu, niestrudzonemu w dążeniach do utrwalenia pamięci o kpt. pil. Mieczysławie Medweckim, za wieloletnią współpracę i pomoc w badaniach nad losami tego wybitnego pilota poległego na polach wsi Chrosna 1 września 1939 r.

Autor składa podziękowania pani prof. Annie Medweckiej-Kornaś za udostępnienie ze zbiorów rodzinnych fotografii archiwalnych przedstawiających kpt. pil. M. Medweckiego. Dziękuję również panu Wojciechowi Potępie za przekazane cenne informacje dotyczące życiorysu tego lotnika.

W artykule wykorzystano m.in. informacje zawarte w relacjach Marii Bater, Pawła Batora, Józefa Bobaka, Józefa Krawczyka, Stefanii Krawczyk, Jadwigi Maciusiak-Korpak, Stanisława Soi oraz Stefanii Ślusarczyk.

¹ Relacja Marii Bater spisana przez Wojciecha Krajewskiego we wrześniu 2007 r.

² Relacja osoby anonimowej spisana przez Wojciecha Krajewskiego we wrześniu 2007 r.

³ Relacja Józefa Krawczyka spisana przez Wojciecha Krajewskiego we wrześniu 2007 r.

⁴ Wypowiedź Stefana Rzewuskiego z 2010 r., w archiwum Wojciecha Krajewskiego.

⁵ Wypowiedź Stefana Rzewuskiego z 2010 r., w archiwum Wojciecha Krajewskiego.

⁶ Fragment z relacji Stanisława Soi z 2010 r., w archiwum Wojciecha Krajewskiego.

⁷ Tamże.

⁸ Fragment z relacji Stanisława Soi z 2010 r., w archiwum Wojciecha Krajewskiego.

⁹ Fragment z relacji Józefa Bobaka, w archiwum Wojciecha Krajewskiego.

¹⁰ Fragment z relacji Stefanii Krawczyk z 2010 r., w archiwum Wojciecha Krajewskiego.

¹¹ Fragment z relacji Stefanii Ślusarczyk z 2010 r., w archiwum Wojciecha Krajewskiego.

¹² Fragment z relacji Pawła Batora z 2010 r., w archiwum Wojciecha Krajewskiego.

¹³ Fragment relacji Jadwigi Maciusiak-Korpak, w archiwum Wojciecha Krajewskiego.

¹⁴ W. Król, *W dywizjonie poznańskim*, Warszawa 1970, s. 44.

¹⁵ W. Król, *Krakowskie skrzydła*, Warszawa 1974, s. 36.

¹⁶ Fragment relacji Stefanii Krawczyk z 2010 r. w archiwum Wojciecha Krajewskiego.

¹⁷ Relacja Pawła Batora, Stefana Rzewuskiego, archiwum Wojciecha Krajewskiego.

ppłk Jan Kruk-Śmigła

Honor mój w porządku



ŻYCIE ŻOŁNIERZA

Pochodził z małopolskiej chłopskiej rodziny, urodził się 17 maja 1895 r. w Wiśniowej w powiecie wielickim. Od 1901 r. uczęszczał do szkoły powszechnej w rodzinnej wsi, a od 1907 r. do IV Gimnazjum Klasycznego w Krakowie. Tam w grudniu 1912 r. wstąpił do Związku Strzeleckiego. Przybrał wówczas pseudonim „Kruk”, który w II RP stał się pierwszym członem nazwiska. W Związku początkowo był strzelcem, a po ukończeniu szkoły podoficerskiej sekcyjnym. Na zdjęciu na czele 85 Pułku Strzelców Wiślickich. Święciany,

18 sierpnia 1938 r. Fot. Zbiory
Jerzego Kirszaka

**W kampanii 1939 r. bywało,
że rozbitkowie z polskich oddziałów
nie składali broni. Największe
i najsukuteczniejsze zgrupowanie
o charakterze partyzanckim działało
między Pilicą a Wisłą. Był to oddział
ppłk. dypl. Jana Kruka-Śmigli.**

JERZY KIRSZAK

W wyniku błyskawicznych niemieckich uderzeń polskie jednostki często były rozpraszane, a ich żołnierze odcięci na zapleczu wroga. Niektórzy nie byli skorzy do złożenia broni i kryli się w lasach z nadzieją na odmianę losów wojny, która – jak sądzili – niechybnie nadejdzie wraz z wystąpieniem zachodnich sprzymierzeńców, połączonym z własną kontrofensywą. Wierzone bowiem, że za Wisłą front się ustabilizuje, a nowe zmobilizowane tam jednostki powstrzymają niemieckiego najeźdźcę, później zaś same przystąpią do ofensywy.

Tymczasem niektórzy z owych rozbitków, aby nie czekać biernie na rozwój wypadków, samorzutnie podjęli działania o charakterze partyzanckim. Pierwszymi byli żołnierze z Armii „Pomorze” w Borach Tucholskich, ostatnimi z owianego legendą Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala”. Trwale zapisali się w historii hubalczy, o innych wiadomo zaś znacznie mniej. Dość słabo rozpoznawalnym oddziałem było kilkutysięczne zgrupowanie ppłk. dypl. Jana Kruka-Śmigli, które na tyłach Niemców działało około dwóch tygodni, zadając im bolesne straty.

Sitwes I Brygady

Jan Śmigła zgłosił się 2 sierpnia 1914 r. w Krakowie na mobilizację „Strzelca”. Kolejnego dnia służył już w oddziale Józefa Piłsudskiego – późniejszej 2 kompanii I baonu 1 Pułku Piechoty Legionów.

Z pododdziałem tym przeszedł całą kampanię I Brygady Legionów. Brał udział we wszystkich jej walkach, awansując do stopnia sierżanta i dowodząc sekcją, a później plutonem. W bojach pułku był czterokrotnie ranny: (pod Laskami w 1914 r., Tarłowem, Jastkowem i Wielkim Miedwieżem w 1915 r.). Należał do grupy bezgranicznie oddanych Komendantowi sitwesów –



Wycieczka uczniów VII klasy z krakowskiego IV Gimnazjum na Babią Górę wiosną 1914 r. Jan Śmigła drugi od prawej.

Fot. Zbiory Jerzego Kirszaka



*Odnazka pamiątkowa
I Brygady Legionów
Polskich „Za wierną
służbę” projektu Wojciecha
Jastrzębskiego. Na zdjęciu
egzemplarz Jana Śmigli.*

Fot. Zbiory Jerzego Kirszaka

jak od słowa sitwa nazywali się żołnierze I Brygady.

Latem 1916 r. ruszyła wielka ofensywa rosyjska gen. Aleksieja Brusilowa, która zwała się także na odcinek frontu obsadzony przez wszystkie trzy brygady Legionów. Rozpoczęła się największa bitwa Legionów – pod Kostiuchnówką. Jednym z jej bohaterów był Jan Śmigła. W sporządzonym w kwietniu 1922 r. wniosku na odznaczenie go Krzyżem Virtuti Militari napisano:

„4 VII 1916 r. podczas ofensywy rosyjskiej skierowanej głównie przeciwko pozycji zajmowanej przez Legiony Pol-

skie pod Kostiuchnówką nad Styrem, ówczesny sierż. Kruk-Śmigła Jan, z 2 komp. otrzymał rozkaz o godz. 11-tej w nocy pozostania z III plutonem na pozycji [...] i wytrwania przez noc, miarkując dotychczasową obsadę odcinka, by umożliwić przygotowanie i umocnienie pozycji rezerwowej I Baonu. Sierż. Kruk-Śmigła, zręcznym przerzucaniem sekcji i kierowaniem ognia oraz osobistą odwagą, wszystkie próby nieprzyjaciela zajęcia tej pozycji odparł. Pozycję utrzymał do godz. 3-ej po południu, następnego dnia, pomimo że był otoczony z prawego skrzydła przez Moskali w sile co najmniej jednej kompanii, mając przed sobą zgrupowanego nieprzyjaciela na jakieś 100 kroków. O godz. 3-ej po południu przy silnym ataku nieprzyjacielskim, cofnął się dopiero na rozkaz D-cy Baonu. Swym postępowaniem umożliwił zajęcie dogodnej pozycji rezerwowej”¹.

Wkrótce Legiony Polskie wycofano z frontu. Od października sierż. Śmigła stacjonował wraz z pułkiem w Baranowiczach, następnie w Łomży, skąd w styczniu 1917 r. przeszedł do Zambrowa. Tam uczęszczał do szkoły oficerskiej.

Po odmowie złożenia przysięgi na wierność cesarzom Austrii i Niemiec (12 lipca 1917 r.) 1 Pułk Piechoty Legionów, po wydzieleniu żołnierzy pochodzących z Królestwa, został przewieziony do Przemyśla. Tam pułk rozwiązano, ►



1. Dyplom ukończenia szkoły podoficerskiej 1 Pułku Piechoty I Brygady z podpisem płk. Edwarda Śmigłego-Rydza.

Fot. Zbiory Jerzego Kirszaka

2. Dyplom Orderu Virtuti Militari kpt. Jana Kruka-Śmigli.

Fot. Zbiory Jerzego Kirszaka

3. Dyplom nadania sierż. Janowi Śmigłemu odznaki „Za wierną służbę” z podpisem Józefa Piłsudskiego.

Fot. Zbiory Jerzego Kirszaka

4. Podporucznik Jan Kruk-Śmigła. Kielce, 1920 r.

Fot. Zbiory Jerzego Kirszaka

a legionistów wcielono do armii austriackiej i wysłano na front włoski. Sierżant Śmigła otrzymał przydział do 100 Pułku Piechoty, z którym wziął udział w walkach nad kanałem rzeki Piawy. Pod Cortelano 17 grudnia 1917 r. został ciężko ranny po raz piąty. Po wyjściu ze szpitala 20 marca 1918 r. skierowano go do kadry 20 Pułku Piechoty w Tarnowie, gdzie uzyskał odroczenie w celu kontynuowania nauki. Podjął studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W Polsce niepodległej

Tymczasem Wielka Wojna dobiegała końca. Śmigła, jako podchorąży i dowódca plutonu 1 kompanii Legii Akademickiej, 1 listopada 1918 r. rozbrajał Austriaków i obsadził dworzec kolejowy w Krakowie. Od lutego 1919 r. był dowódcą kompanii sztabowej Dowództwa Okręgu Generalnego Kielce. Miesiąc później awansował do stopnia podporucznika.

W działaniach bojowych wojny polsko-bolszewickiej nie wziął udziału – mimo wysła-

nych próśb o skierowanie do oddziałów liniowych nie otrzymał na to zgody. W maju 1920 r. został referentem personalnym w sztabie Dowództwa Okręgu Generalnego Kielce. Do jego obowiązków należało prowadzenie list kwalifikacyjnych, urlopowych, przydziałów, przeniesień, nominacji i awansów. Niewątpliwie dla liniowego oficera, jakim z krwi i kości był ppor. Śmigła, to służba niewdzięczna i niechciana. Tym bardziej że z frontu dochodziły coraz bardziej niepokojące wieści. Jednak i tym razem przełożeni pozostali nieugięci. Jeden z nich tak pisał: „Jest bardzo sumienny i pracowity, energiczny i ofiarny w pracy; kilkakrotnie stawał do raportu z prośbą o przeniesienie do oddziałów frontowych. Prośbę załatwiono odmownie ze względu na to, że wymieniony na swym stanowisku był i jest nie do zastąpienia”². Pod koniec wojny Polski z bolszewicką Rosją, 14 października 1920 r. awansował do stopnia kapitana.

Rok później rozpoczął pracę w sztabie Dowództwa Okręgu Korpusu nr X w Przemyślu,



Żołnierze wiernego Marszałkowi 1 Pułku Piechoty Legionów z Wilna podczas przewrotu majowego. Na plecaku z lewej siedzi mjr Zygmunt Wenda, czwarty z lewej stoi kpt. Jan Kruk-Śmigła. Wilanów, 13–17 maja 1926 r. Fot. Zbiory Jerzego Kirszaka

by po kolejnym roku wrócić wreszcie do swojej ulubionej służby liniowej w szeregach macierzystego 1 Pułku Piechoty Legionów, w którym w październiku 1922 r. został dowódcą kompanii. Pułk stacjonował wtedy już w Wilnie. Czas pokazał, że Kruk-Śmigła na Wileńszczyźnie spędził większość międzywojennej służby wojskowej.

W październiku 1925 r. został dowódcą II batalionu 1 Pułku Piechoty Legionów. Na jego czele, wraz z pułkiem – uchodzącym z całą 1 Dywizją Piechoty Legionów za gwardię Józefa Piłsudskiego – wziął udział w przewrocie majowym w 1926 r. Oczywiście po stronie Marszałka. Rok później awansował do stopnia majora.

Od 15 października 1930 r. był słuchaczem XI promocji Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie. Nauka trwała dwa lata. Podczas uroczystego wręczenia dyplomów komendant szkoły gen. bryg. Tadeusz Kutrzeba powiedział absolwentom: „Niech wam nie przesłaniają horyzontu zdobyte orzełki i piękne sznury oficera sztabu generalnego. Pracujcie nadal nad sobą. Zachowajcie wdrożoną w tych murach umiejętność pracy zespołowej. Bądźcie skromnymi, lojalnymi i bezimiennymi pracownikami i dobrymi kolegami”³. Przesłanie to towarzyszyło Krukowi-Śmigłowi przez resztę życia. Zresztą nie tylko jemu, ostatnie bowiem słowa gen. Tadeusza Kutrzeby do serca musieli wziąć sobie także pozostali uczestnicy kursu, skoro gen. Stanisław Kopański wiele lat po wojnie, charakteryzując ów rocznik, stwierdził: „Główną cechą tej wyjątkowo licznej i zwartej promocji była i pozostała silna więź koleżeńska”⁴.

Jeszcze w trakcie nauki w WSWoj., 1 stycznia 1932 r. Kruka-Śmigłę awansowano do stopnia podpułkownika. Po ukończeniu szkoły został szefem sztabu 21 Dywizji Piechoty Górskiej w Bielsku-Białej. W listopadzie 1933 r. mianowano go dowódcą 2 batalionu strzelców w Tczewie, a w grudniu 1936 r. – II oficerem sztabu inspektora Armii w Wilnie. Od 5 marca 1938 r. ppłk dypl. Jan Kruk-Śmigła dowodził 85 Pułkiem Strzelców Wileńskich stacjonującym w Nowej Wilejce.

Podczas kampanii 1939 r.

Jego 85 Pułk Piechoty wraz ze swą macierzystą 19 Dywizją Piechoty wszedł w skład głównego odwodu Naczelnego Wodza – Armii „Prusy”. Armię tę utworzono latem 1939 r. i zamierzono skoncentrować za Armią „Łódź” i za północnym skrzydłem Armii „Kraków”, w rejonie Radomia, Kielc i Tomaszowa Mazowieckiego. Jej zadaniem miało być przeprowadzenie przeciwuderzeń na korzyść obu tych armii lub prowadzenie działań obronnych w wielkim łuku Wisły. Dowództwo armii objął gen. dyw. Stefan Dąb-Biernacki. W nocy z 31 sierpnia na 1 września 85 Pułk Piechoty wyładował się w rejonie na północ od Łowicza, po czym pomaszerował na południe. O świcie 4 września dotarł w rejon lasów na północny zachód od Piotrkowa. Zadaniem pułku było zorganizowanie obrony stałej na południowym skraju lasów od szosy Piotrków – Łódź oraz ubezpieczenie dywizji od zachodu. Jeden z oficerów wspominał: „pułk nasz stał pomiędzy Piotrkowem a Wolborzem w ugrupowaniu obronnym, a dookoła szły niemieckie kolumny pancerne. Dowodziłem wówczas kompanią gospodarczą pułku, co oznacza, że do mnie należała bardzo uciążliwa w podobnej sytuacji troska o rozłokowane w lesie tabory. Dowódca pułku, płk Kruk-Śmigła, wezwał mnie do telefonu, wydał rozkazy wystawienia placówek do obserwacji przechodzącej na naszych tyłach szosy i w końcu rozmowy dodał: „A od południa może pan być spokojny. Tam broni pana [Jerzy] Bychowiec [kpt. i dowódca 1 kompanii I batalionu, zamordowany w Katyniu – przyp. J.K.]”⁵. Nazajutrz rozpoczęła się bitwa, w której Niemcy przy wsparciu silnej artylerii, czołgów i lotnictwa rozbili 19 DP. Swoją pozycję 85 Pułk Piechoty utrzymał między innymi dzięki pułkowemu plutonowi artylerii piechoty, który zniszczył dwa czołgi i powstrzymał nieprzyjaciela. W boju tym chwilowo zapanował kryzys, kiedy dowódca tego plutonu por. Emil Lewicki został zabity, kilku strzelców rannych, a jedno działo uszkodzone. Powstała wówczas wśród żołnierzy panika, szybko opanował dowódca pułku, który przebywał tam na punkcie obserwacyjnym. ►

Uległ jedynie i został rozbity walczący poza pułkiem III baon. Wieczorem ppłk Kruk-Śmigła po naradzie z zastępcą dowódcy 19 DP płk. dypl. Tadeuszem Pełczyńskim – późniejszym szefem sztabu AK gen. „Grzegorzem” – zdecydował się zwinąć obronę i uderzyć na nieprzyjaciela, który maszerował szosą na Tomaszów. Niestety, na skutek wahań przełożonego wyruszone zbyt późno i natarcie trafiło w próżnię – Niemcy zdążyli odjechać. Po latach, wspominając w liście do przyjaciela tę niedosłą akcję, Kruk-Śmigła pisał: „gdy dochodziliśmy do szosy Piotrków – Tomaszów ostatnia kolumna kończyła przejazd. Józiu pomyśl, 3 godziny wcześniej mogłem uderzyć na niespodziewających się niczego Niemców w nocy, w lesie, w mgłach. Co to byłoby za bałagan! Wściekłość mnie ogarnia na samą myśl o tym! Nie mogę tego darować Pełczyńskiemu”⁶. Poza tym przepadł gdzieś I baon. Pomaszerowano na wschód i w nocy z 6 na 7 września przeprawiono się przez Pilicę. W południe płk Pełczyński odjechał z pięcioma ludźmi na poszukiwanie innych oddziałów 19 DP i do pułku już nie wrócił. Wówczas ppłk Kruk-Śmigła objął samodzielne dowodzenie. W krótkim czasie w lesie koło Antoniowa stanął na czele silnego oddziału złożonego ze swojego pułku (bez I i III baonu), 77 Pułku Piechoty, I baonu 86 Pułku Piechoty, dywizjonu 19 Pułku Artylerii Lekkiej oraz taborów Wileńskiej Brygady Kawalerii z kuchniami polowymi (w sumie ok. 5 baonów i 15 dział, razem przeszło 7 tys. ludzi i 1 tys. koni).

Zgrupowanie było oddalone od Wisły o ok. 150 km i znajdowało się na głębokich tyłach niemieckiej 10 Armii. W tej sytuacji ppłk Kruk-Śmigła, nie znając ogólnego położenia i nie mając żadnych rozkazów, po naradzie z dowódcami oddziałów, postanowił pozostać w tym rejonie i przejść do działań partyzanckich w nadziei, że wkrótce nastąpi własna kontrofensywa. Był to pierwszy tak duży oddział o charakterze partyzanckim w 1939 r.

Rozpoczęto kilkunastodniowe działania na tyłach wroga, czyniąc wypadki na obiekty, lotniska polowe i kolumny zaopatrzeniowe oraz jednostki bojowe. Zgrupowanie ppłk. Kruka-Śmigli zadało Niemcom poważne straty w ludziach, między innymi zniszczyło 2 czołgi, 2 samoloty granatami w nocnym ataku na lotnisko Rzeczyca i ok. 23 samochodów ciężarowych. Dużym sukcesem była też udana zasadzka pod Dęboryczą na szosie Opoczno – Inowódz, w której 11 września zginął gen. mjr SS Wilhelm Fritz von Roettig – jeden z dwóch poległych w Polsce niemieckich generałów. Nocą z 15 na 16 września, w trakcie przygotowywania ataku na lotnisko Kamień, część oddziału, pod bezpośrednim dowództwem ppłk. Kruka-Śmigli, została okrążona przez niemiecki pułk spadochronowy. Ze stratami przebito się przez pierwszą linię nieprzyjaciela. W trakcie wydawania rozkazów do przełamania drugiej linii, podpułkownik został uderzony przez ścięte nieprzyjacielskim granatem drzewo, pod którym akurat stał, i kontuzjowany,

chwilowo stracił przytomność. Udało mu się jednak wyrwać z matni. Ostatecznie w walkach od 18 do 20 września zgrupowanie ppłk. Kruka-Śmigli zostało rozbite. Wtedy to, wraz z pozostałymi przy nim dwoma oficerami i ośmioma strzelcami, postanowił przedostać się do Warszawy, bo sądził, że stolica pewnie się jeszcze broni. W nocy z 20 na 21 września w okolicach Warki przepłynęli oni wpraw Pilicę, obrzucając granatami oddział nieprzyjaciela, na który wyszli przypadkowo. Następnej nocy dotarli do Wisły i przez spotkanego rybaka zostali przewiezieni na wschodni brzeg. Tutaj jednak zaraz po przejściu wałów wiślanych natknęli się na Niemców, którzy wzięli ich do niewoli.

W niemieckiej niewoli i Polsce „ludowej”

Od 22 września 1939 r. przebywał w przejściowych obozach jeńców: Biała, Ostrołęka, Stablack, Riesenburg. Z tego ostatniego 8 października wysłał list do żony, w którym pisał: „Jestem w niewoli [...]. O mnie się nie martw, jestem wprawdzie zgnębiony, ale zdrow, a honor mój w porządku, a to najważniejsze”⁷.

Trafił 31 października 1939 r. do Oflagu XVIII A Lienz nad Drawą u zbiegu granic austriacko-jugosłowiańsko-włoskiej, gdzie został komendantem baraków 7 i 8. W obozie podnosił morale młodszych oficerów, zwalczał wroga propagandę oraz przygotowywał zbiorową ucieczkę. W tym celu przez całą zimę 1939/1940 robiono podkop, który ukończono pod koniec maja. Ucieczkę zaplanowaną na pierwsze dni czerwca, podczas której łącznie miało zbiec 72 oficerów, zniweczyło przeniesienie 31 maja 1940 r. do Oflagu II C Woldenberg (Dobiegniew) na Pomorzu. Tam Kruk-Śmigła odmówił złożenia komendy i raportu w języku niemieckim, za co 19 czerwca przewieziono go do karnego, niefigurującego w spisach Czerwonego Krzyża, Oflagu VIII B Silberberg (Srebrna Góra) na Dolnym Śląsku.

Od 1 listopada 1940 r. był jeńcem międzynarodowego karnego Oflagu IV C Colditz, od 20 stycznia 1942 r. Oflagu X C Lubeka, a od 30 sierpnia 1944 r. Oflagu VI B Dössel, gdzie oczekiwał się wyzwolenia.

Następnie przebywał do 5 listopada 1945 r. w Polskim Obozie Wojskowym w Dössel, skąd przybył do Szczecina, a później do Krakowa. Stanął 20 listopada przed Komisją Rehabilitacyjną Departamentu Personalnego Wojska Polskiego w Ministerstwie Obrony Narodowej. Jej przewodniczący w sporządzonej dzień później swoistej charakterystyce napisał: „Pochodzi z I Brygady Legionów Polskich, należał do Związku Strzeleckiego. Do czerwca b.r. był jeszcze zwolennikiem b. Rządu londyńskiego i emigracji. Od chwili uznania Rządu Jedności Narodowej przez wielkie mocarstwa – przerzucił się na drugą stronę »barykady«. Nie budzi zaufania. Pragnie pozostać w armii. Do armii się nie nadaje”⁸.



1. Przed frontem żołnierzy 85 Pułku Strzelców Wileńskich. Nowa Wilejka, 1938 r.

Fot. Zbiory Jerzego Kirszaka



2. Podczas manewrów, ppłk Kruk-Śmigła w koszu motocykla, 1936 r. Fot. Zbiory Jerzego Kirszaka

Przez dłuższy czas miał kłopoty ze znalezieniem pracy, chorował i pozostawał pod opieką matki w Raciechowicach w powiecie myślenickim. Od sierpnia 1946 r. do października 1947 r. pracował w Tenczynku jako szef biura aprowizacji Kopalni Węgla Kamiennego „Krystyna”. Następnie do kwietnia 1948 r. był bez pracy, po czym w maju zatrudniono go w Dolnośląskich Zakładach Wytwórczych Urządzeń Radiowych (późniejsze Zakłady Radiowe „Diora”) w Dzierżonowie jako komendanta straży przemysłowej i referenta higieny. Z uwagi na swoją „sanacyjną” przeszłość był inwigilowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, a wkrótce zwolniony z zajmowanych stanowisk. Ostatecznie, z czasem, został w „Diorze” radcą prawnym. Na emeryturę przeszedł 1 czerwca 1964 r. Rok później przeniósł się do Wrocławia.

W następnych latach włączył się do pracy w powołanej przez Związek Bojowników o Wolność i Demokrację Centralnej Podkomisji ds. Odznaczeń Bojowych za Wojnę Obronną 1939 roku, pod przewodnictwem płk. dypl. Mariana Porwita. Został wówczas przewodniczącym Podkomisji ds. Odznaczeń Bojowych za Wojnę Obronną 1939 roku dla 19 Dywizji Piechoty. Kierując jej pracami, sporządził większość wniosków odznaczeniowych dla byłych żołnierzy tej dywizji. Sam, za osobiste męstwo i skuteczne dowodzenie w kampanii wrześniowej, został w 1972 r. odznaczony Złotym Krzyżem Virtuti Militari. Wcześniej za walki w Legionach odznaczono go Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari (1922), Krzyżem Niepodległości (1931) i dwukrotnie Krzyżem Walecznych (1922).

Podpułkownik Jan Kruk-Śmigła przez całe życie był gorącym patriotą. W czasach PRL, kiedy to w każdy możliwy sposób szargano pamięć Józefa Piłsudskiego, nie przestał – nie bacząc na konsekwencje – być jego wiernym żołnierzem. Nie krył swoich poglądów. W liście z 24 lutego 1973 r. do kolegi, inwigilowanego przez Służbę Bezpieczeństwa, płk. dypl. Kazimierza Pluty-Czachowskiego pisał: „Miał rację Dziadek, twierdząc, że z dwóch wrogów

Polski nie ten jest gorszy, który pragnął jej fizycznej zagłady, bo niszcząc jednych, wywoływał u drugich najwyższe bohaterstwo i poświęcenie dla Polski, ale gorszym wrogiem był i jest ten, który podstępem, zdradą i kłamstwem, z hasłami braterstwa i przyjaźni na ustach wbija zdradziecko bagietkę od tyłu w najcięższej chwili dla Polski (wzmowa z tamtym), rozbraja i wsadza do »łagrow« oficerów i żołnierzy, mordując bezbronnych jeńców w Katyniu, oświadcza, że Polskę oswobodził i dał Jej wolność i wymaga za to wdzięczności i pokłonów przy każdej okazji. Z suwerennej Polski zrobił swą kolonię, a z Polaków lokai i niewolników”⁹. I dalej jeszcze: „musi się uznać Piłsudskiego jako największego wodza Polski od czasu Sobieskiego. Kościuszko i Poniatowski to przy nim karły. Uznał go cały świat, a manewr znad Wieprza był tematem studiów wojskowych i we Francji i w Niemczech, przypuszczam, że również w Związku Radzieckim. Nie uznawać tego, to już oczywista głupota”¹⁰.

Był człowiekiem o szerokich horyzontach, dobrze znał języki niemiecki i francuski, słabiej angielski. Podczas I wojny światowej prowadził dziennik, wydany drukiem już po jego śmierci pod tytułem *Za wierną służbę ojczyźnie. Dziennik legionisty I Brygady* (Krosno 2004). Do ostatnich chwil życia aktywny, utrzymywał żywy i serdeczny kontakt z kolegami. Zmarł 14 marca 1976 r. we Wrocławiu. Został pochowany, bez honorów wojskowych, na tamtejszym cmentarzu Świętej Rodziny na Sępolnie. ■

JERZY KIRSZAK doktor habilitowany, pracownik Instytutu Pamięci Narodowej oraz Wojskowego Biura Historycznego im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego.

¹ Centralne Archiwum Wojskowe, J. Kruk-Śmigła, I. 482.72-6590, k. 6. ² Centralne Archiwum Wojskowe, J. Kruk-Śmigła, I. 482.104-10834, k. 8. ³ *W 50-lecie powstania Wyższej Szkoły Wojskowej w Warszawie*, oprac. W. Chocianowicz, Londyn 1969, s. 376. ⁴ Tamże. ⁵ J. Lebiechowski, *Znak Pogoni w mogile katyńskiej. Z notatnika oficera dywizji Litewsko-Białoruskiej, w: Katyń. Relacje, wspomnienia, publicystyka*, oprac. A.L. Szczepniak, Warszawa 1989, s. 170 [przedruk za: „Wiadomości”, Londyn, nr 15 z 15 kwietnia 1951]. ⁶ List Jana Kruka-Śmigły do Józefa Trzęsińskiego, Wrocław, 22 października 1973 r., w zbiorach Jerzego Kirszaka. ⁷ Zbiory Jerzego Kirszaka. ⁸ CAW, J. Kruk-Śmigła, ap. 8027. ⁹ List Jana Kruka-Śmigły do Kazimierza Pluty-Czachowskiego, Wrocław, 24 lutego 1973 r., w zbiorach Jerzego Kirszaka. ¹⁰ Tamże.

Bronił Warszawy przed Niemcami we wrześniu 1939 r., niezgodę na klęskę chciał zmanifestować uderzeniem poza granicami miasta, na uchodźstwie starał się przeciwdziałać opiniom o nieprzygotowaniu Polski do wojny.



WACŁAW LIPIŃSKI
I Brygada Legionów, 1915 r.

Fot. Wacław Lipiński.pl

WIERNY ŻOŁNIERZ NIEPODLEGŁEJ

ppłk Wacław Lipiński

Płonący Zamek
Królewski.
Fot. domena publiczna



Legitymacja nadania
Orderu Virtuti Militari
Wacławowi
Lipińskiemu.
Fot. Wacław Lipiński.pl

MARK GĄŁĘZOWSKI

Warszawa będzie broniona do ostatniego tchu. Jeśli padnie, świadczyć to będzie, iż po ostatnim żołnierzu polskim przejechał czołg niemiecki. Obywatele stolicy winni od tej chwili poświęcić całą swą energię, by ułatwić zadanie walczącemu wojsku” – wzywał pierwszego dnia obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. ppłk Wacław Lipiński¹.

Nie zmienił zdania do końca oblężenia stolicy Polski przez Niemców. Jak wspominał Marian Porwit, w czasie ostatniej narady sztabu Dowództwa Obrony Warszawy Lipiński zaproponował, by wojska podjęły próbę zbrojnego wyjścia z miasta i kontynuowały walkę poza nim². „Był z nami też ppłk Lipiński, który również poprosił o głos i w sposób namiętny i szczerzy zaczął namawiać generała, żeby wykonać ostatni szturm, wystrzelić ostatni nabój i wtedy dopiero, »z pustą całkowicie ładownicą«, jak się wyraził, kapitulować” – wspominał inny uczestnik tej narady³. Słowa te padły w czasie narady oficerów, podczas której miała zapaść decyzja co do dalszej obrony Warszawy, po czarnym poniedziałku – całodziennym bombardowaniu miasta przez niemieckie lotnictwo. Dobrze oddawały charakter polskiego oficera, który nie chciał pogodzić się z klęską – było już bowiem wiadomo, że wyczerpano możliwości dalszej obrony. On tę niezgodę chciał zmanifestować uderzeniem, którego zabrakło wcześniej ze strony Armii „Warszawa”, gdy w ostatnich dniach bitwy nad Bzurą do miasta usiłowały się przebić skrawione wielodniowymi bojami oddziały Armii „Poznań” i Armii „Pomorze”. Ten, który proponował ostatnie uderzenie na Niemców,

ppłk Wacław Lipiński, nieprzypadkowo został nazwany wzorem piłsudczyka⁴.

Skaut poszedł do Legionów

Urodzony w 1896 r. w położonej wówczas w zaborze rosyjskim Łodzi Wacław Lipiński już jako uczeń gimnazjalny zaangażował się w działalność niepodległościową⁵. Współzałożyciel łódzkiego skautingu, który był przykrywką tajnego sprysiężenia przeciw zaborcy; wstąpił do Polskich Drużyn Strzeleckich. Niedługo młodzi musieli czekać na okazję wystąpienia przeciw Moskalom z otwartą przyłbicą. Latem 1914 r. wybuchła I wojna światowa, a w październiku Lipiński był już żołnierzem Legionów Polskich, 5 Pułku Piechoty I Brygady Józefa Piłsudskiego. Z zuchowatymi, bo tak dla ich dzielności nazywano piąтакów, przeszedł cały szlak bojowy Legionów. Bił się pod Krzywopłotami i w ciężkim starciu pod Łowczówkiem, które legioniści okupili stratą prawie 140 poległych, w tym 8 znakomicie zapowiadających się oficerów, przeszedł walki w Królestwie i boje na Wołyniu, aż do największej bitwy Legionów – pod Kostiuchnowką: „Rozpoczęła się bitwa, bitwa o jakiej dotąd pojęcia nie mieliśmy, bitwa najkrwawsza z krwawych. Bledną przy niej Łowczówek, Konary, Tarłów, Kukle, blednie ofensywa jesienna na też samą Kostiuchnowkę zeszłego roku [...]. Rwie wszystko na mostek. Jedyna droga odwrotu, jedyny cel. Wokół zielone, grząskie bagno. Na mostku krzyk straszliwy. Tam w mig, piorunem powybijano kolbami, porozdzielano bagnietami żołdatów, co już zaszedłszy z boku zastąpili drogę. Lecz cofać się dalej nie można. Zatrzymać trza tłum, co wali na nas.

Tyaliera od mostku! Podniesione w górę rewolwery. Kontratak! Na przedzie linia oficerów. Ślepe na wszystko z odwagi. Z rozkrzyżowanymi rękoma, wołaniem ostatnim prowadząc do kontrataku – pada Sław, kulą ugodzony w serce. Walka na śmierć i życie. Chamska, zacięta pasja. Tam Mazur-Sekara, podporucznik, nie strzela już, lecz kolbą tłucze, butami kopie z obłądnej, wściekłej pasji, że musi się cofać, uciekać! Tam Hajec porucznik, szpicrutą na wołanie – zdajsia – siecze po twarzach chłopów. Kolbami po łbach, po ramionach, strzałami, ogniem prosto w twarz. Aż odepchnęliśmy tłum⁶ – tak widział ten bóg o niepodległość młody Wacław Lipiński, który w Legionach używał pseudonimu „Socha”.

Po kryzysie przysięgowym w lipcu 1917 r. Lipiński uniknął internowania i w Krakowie wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej. W końcu października 1918 r. wysłano go w misji do komendanta lwowskiej Polskiej Organizacji Wojskowej. I kiedy 1 listopada okazało się, że miasto opanowali Ukraińcy, Lipiński znalazł się wśród lwowskich Orląt, udział w tym boju wspominał później w książce, którą wydał pod takim właśnie tytułem: *Wśród lwowskich Orląt*. Kiedy do miasta dotarła odsiecz prowadzona przez płk. Michała Tokarzewskiego-Kara-

storii Polski, z czasem objął funkcję sekretarza wydanego przez tę placówkę badawczą czasopisma „Niepodległość”. Lecz przede wszystkim pisał. Oprócz wspomnień z walk legionowych i w obronie Lwowa opublikował liczne prace naukowe i popularyzatorskie, poświęcone polskim formacjom zbrojnym z lat I wojny światowej. Jego największe osiągnięcie stanowiła *Walka zbrojna o niepodległość Polski w latach 1905–1918*, a także napisana wspólnie z Franciszkiem Demelem biografia płk. Leopolda Lisa-Kuli. Habilitację przyniosły mu jednak badania nad nowożytnymi dziejami polskiej wojskowości – studia dotyczące wojny polsko-moskiewskiej o Smoleńsk w 1632–1634.

Lipiński jest także autorem zarysu biografii Józefa Piłsudskiego *Wielki Marszałek. 1867–1935*. Śmierć Komendanta 12 maja 1935 r. była dlań wielką tragedią osobistą. Kilka miesięcy później pisał do prof. Stanisława Zakrzewskiego: „Po 12 maja zapadłem ciężko na zdrowiu, zwłaszcza że wraz z kilkoma przyjaciółmi z Pierwszej Brygady podjąłem się sprawozdań radiowych z uroczystości pogrzebowych. Że była to najcięższa służba w moim życiu [...] zrozumie Pan Profesor aż nadto dobrze⁷”.

WACŁAW LIPIŃSKI ZDECYDOWAŁ, ŻE POZOSTANIE W MIEŚCIE, KTÓRE SZYKOWAŁO SIĘ DO OBRONY. OBJĄŁ STANOWISKO SZEFA PROPAGANDY DOWÓDZTWA OBRONY WARSZAWY.

szewicza, Lipiński był podwójnie szczęśliwy, gdyż jej trzon stanowił odtworzony 5 Pułk Piechoty Legionów, do którego też natychmiast się zgłosił. Lecz sytuacja Lwowa nadal była bardzo ciężka, a walki toczyły się teraz niemal u wrót miasta. Podczas jednej z nich 17 lutego 1919 r. Lipiński został ranny. Rana nie była ciężka, a okazana odwaga uzasadniała mianowanie młodego żołnierza na stopień podporucznika. Po opuszczeniu szpitala nie wrócił jednak z pułkiem na front pod Lwowem, lecz jako dowódca kompanii wiosną i latem 1919 r. wziął udział w walkach z bolszewikami na wschód od Wilna. Później służył na różnych stanowiskach sztabowych w Wojsku Polskim. Jego męstwo w Legionach, w wojnie z Ukraińcami i z bolszewikami doceniono, przyznając mu Krzyż Virtuti Militari i Krzyż Walecznych.

Po zakończeniu działań wojennych Lipiński pozostał w czynnej służbie wojskowej. Spędziwszy kilka lat w Krakowie, gdzie ukończył studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, w 1927 r. awansował do stopnia majora i, przeniesiony do Warszawy, rozpoczął pracę naukową w Wojskowym Biurze Historycznym. Jego zadaniem było zorganizowanie badań nad historią polskiego czynu zbrojnego przed I wojną światową i podczas niej. Równocześnie zaangażował się w prace Instytutu Badania Najnowszej Hi-

stории Polski w Instytut Józefa Piłsudskiego. Lipiński objął stanowisko dyrektora tej placówki. Jego zasługą było opublikowanie drugiego wydania *Pism-Mów-Rozkazów Józefa Piłsudskiego*. Cel prac Instytutu widział w przekazaniu „następnym pokoleniom [...] możliwie jak największej ilości źródeł i materiałów, na podstawie których zbudowany zostanie w przyszłości stosunek nauki historycznej do jednej z największych epok w dziejach narodu i do jednego z największych ludzi, jakich ziemia polska wydała⁸”.

Wsparcie dla Starzyńskiego

Na początku 1939 r. Lipiński został awansowany do stopnia podpułkownika i równocześnie przeniesiony w stan spoczynku. Ów „spoczynek” nie trwał jednak długo. W przededniu wybuchu wojny Lipiński został przydzielony do Biura Propagandy Naczelnego Wodza Wojska Polskiego. Po kilku dniach zarówno Biuro, jak i cały sztab ewakuowano z Warszawy. Lecz podpułkownik zdecydował, że pozostanie w mieście, które szykowało się do obrony. Objął stanowisko szefa propagandy Dowództwa Obrony Warszawy. Okazał się jednym z najbardziej zdecydowanych zwolenników prowadzenia



1. Podczas procesu.

Fot. Wacław Lipiński.pl

2. W ziemiance nad Stochodem, 1915 r.

Fot. Wacław Lipiński.pl

walki. Komentując 8 września w radiu rozkaz szefa DOW gen. Waleriana Czumy, mówił: „Warszawa będzie broniona do ostatniego tchu. Jeśli padnie, świadczyć to będzie, iż po ostatnim żołnierzu polskim przejechał czołg niemiecki. Obywatele stolicy winni od tej chwili poświęcić całą swą energię, by ułatwić zadanie walczącemu wojsku [...]. Nikt nie powinien ruszać się z miejsca, gdzie go obrona stolicy zastanie. Opuszczenie Warszawy w takiej chwili będzie uważane za tchórzostwo”⁹.

Następnego dnia, po odparciu pierwszego silnego ataku niemieckich wojsk pancernych na miasto, Lipiński zaproponował gen. Czumi, aby obaj udali się na Ochotę, gdzie walki miały najbardziej dramatyczny przebieg. Samochodem dojechali do zbiegu ulic Filtrowej i Szustra, dalej pieszo. Dotarli na plac Narutowicza, gdzie zatrzymano niemieckie czołgi. Ten „nosi już ślady dzisiejszej porannej walki – notował Lipiński. – Kamienice gęsto podziurawione granatami, szkło z rozbitych szyb zgrzyta pod nogami [...]. Biegnę ku potężnej barykadzie, blokującej całą szerokość Grójec-

kiej. Twarze żołnierzy roześmiane, pogodne, zżywieniem pokazują mi stojący bokiem, w odległości dwustu kroków potężny niemiecki czołg, dymiący jeszcze jak smok”¹⁰.

Przez prawie trzy następne tygodnie przez radio zagrzewał do wytrwania żołnierzy i ludność cywilną Warszawy, nie unikał wyjazdów na pozycje bojowe, dawał przykłady brawury, przemieszczając się po mieście swoim Oplem nawet w czasie ostrzału artyleryjskiego i bombardowań. „Kurier Warszawski” 29 września 1939 r. napisał: „Warszawa umie być wdzięczna i nigdy nie zapomni tego, co dla niej zrobił jej prezydent – budowniczy i prezydent – obrońca, major Stefan Starzyński. Nie zapomni także o pułkowniku Wacławie Lipińskim, który przez prawie trzy tygodnie pobudzał nas do walki i ofiarności”¹¹.

Warszawiacy nie wiedzieli jednak, że ppłk. Lipiński udzielał się nie tylko w radiu. W sztabie obrony Warszawy był jednym z tych oficerów, którzy nalegali na wsparcie bijących się nad Bzurą Armii „Poznań” i Armii „Pomorze”. Zwolennikami powiązania obrony stolicy z działaniami obu armii byli gen. Czuma, płk Marian Porwit, który później nazwał tę koncepcję najistotniejszym zadaniem operacyjnym Armii „Warszawa”¹², ppłk Leopold Okulicki. Pułkownik Stefan Koeb, szef oddziału operacyjnego DOW miał wówczas powtarzać przy każdej sposobności, że historia im tego nie zapomni, że nie poszli na huk dział. Opracował on kilka projektów operacji zaczepnej przeprowadzonej z Warszawy. Żaden z nich nie doczekał się jednak realizacji.

Decyzja o działaniach zaczepnych pozostawała w rękach dowódcy Armii „Warszawa” gen. Juliusza Rómmła, któremu podporządkowano DOW z gen. Czumą i ppłk. Lipińskim, to bowiem w kompetencjach gen. Rómmła leżały wszystkie zadania operacyjne związane z obroną stolicy. Oddajmy głos płk. Tomaszewskiemu: „W dniu 20 września, po przybyciu gen. Kutrzeby dowiedziałem się od niego – pisał Tomaszewski – że parokrotnie wzywał i prosił gen. Rómmła o pomoc [...]. Otrzymał zapewnienie, że wyjdzie mu naprzeciw uderzenie w sile dywizji. I nic nie wyszło, mimo że mogły wyjść nie jedna a dwie dywizje [...]. Liczyliśmy jeszcze na pewne możliwości, na nowy jakiś »cud nad Wisłą« i dlatego nie wolno było nam być biernymi [...]. Czynne wystąpienie wojsk zgrupowanych w Warszawie byłoby dodało do wieńca sławy bohaterskiej obrony

o wiele wspanialszy wawrzyn bohaterskiego ducha ofensywnego. Niestety! Tego już nie było i byliśmy zdolni tylko do bierności [...]. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ciężar odpowiedzialności za tę beczynność, a trwa ona na naszym froncie od 12 do 25 września [...], nie licząc drobnych lokalnych natarć, spada głównie na generała Rómmela [...]. Dowództwo armii nie było już zdolne do tego i mimo teatralnego, jak się okazało, nieprzyjęcia przez generała Rómmela parlamentariusza niemieckiego w dniu 16 września, on sam, jak i jego doradcy, psychicznie biorąc, byli już kapitulantami. Okazało się, że słuszna była ocena nastrojów w Armii przez ppłk. Piaseckiego, Lipińskiego i przez Starzyńskiego¹³.

Takie też były powody, dla których ppłk Lipiński wysunął propozycję ostatniego polskiego uderzenia na Niemców, stoczenia z agresorem jeszcze jednego boju o Warszawę w momencie, gdy nastąpił kres możliwości jej obrony. Jak relacjonował dalej płk Tomaszewski, gen. Rómmel „wysłał ppłk. Lipińskiego, a chcąc go zaskoczyć i speszzyć, powiada: »Dobrze, pan pułkownik poprowadzi czołowy batalion«. »Doskonale panie generale« – odrzekł Lipiński – »będzie to dla mnie najwyższym szczytem«. Wywołało to jedynie irytację Rómmela, który „machnął ręką i oświadczył, że nie będzie urządził teatrów”¹⁴.

W podziemiu

Po kapitulacji Lipiński początkowo pozostał w mieście. Gdy gestapo aresztowało prezydenta Stefana Starzyńskiego, przedostał się na Węgry. Chciał iść do Francji, wstąpić do armii polskiej. Ale ze względu na wrogi wobec piłsudczyków stanowisko rządu Władysława Sikorskiego plany te się nie ziściły. Lipiński pozostał na ziemi bratanków. Tam starał się przeciwdziałać opiniom o nieprzygotowaniu Polski do wojny i wyłączonej odpowiedzialności za klęskę obozu piłsudczykowski. Napisał broszurę – jedną z pierwszych prac poświęconych tej tematyce, wydaną wkrótce w okupowanym kraju.

Lipiński wrócił do kraju wiosną 1942 r. i wkrótce stał się jednym z liderów konspiracji piłsudczykowskiej, a także czołowym przedstawicielem myśli politycznej tego nurtu politycznego w kraju. Przestrzegał przed niebezpieczeństwem, jakie groziło Polsce ze strony Związku Sowieckiego. „Pod koniec wojny nie Niemcy opuszczający Polskę stanowić będą główne zagrożenie polityczno-wojskowe, lecz przychodzący Rosjanie [...]. Nie będzie warunków ani na powstanie antyniemieckie, jako akt polityczno-wojskowy, ani na żaden inny akt wywołany potrzebą odwetu [...]. Skierowanie energii narodowej i jej siły materialnej przeciw Niemcom, celem ich dobijania wobec zbliżania się nowego, potężnego przeciwnika byłoby akcją nieodpowiedzialnych głupców albo rosyjskich agentów”¹⁵. W licznych artykułach i broszurach konspiracyjnych przekonywał, że taka postawa byłaby szaleństwem politycznym i samobójstwem wojskowym. Podobnego zdania było

wielu polityków polskich, w tym Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych, gen. Kazimierz Sosnkowski.

Lipiński kontynuował działalność konspiracyjną również po zakończeniu okupacji niemieckiej i narzuceniu Polsce rządów komunistycznych. Doprowadził do powstania Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej, jest autorem memoriału do Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych, w którym protestował przeciw powojennemu zniewoleniu Polski, wydawał konspiracyjne pismo „Głos Opozycji”.

Działalność Lipińskiego przerwało aresztowanie go przez komunistyczną bezpiekę na początku 1947 r. W procesie Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej i III Zarządu Głównego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość (najbardziej znaczącej powojennej organizacji niepodległościowej), który toczył się w grudniu 1947 r. w Warszawie, podpułkownik zachował postawę niezłomną, dumnie odrzucając komunistyczne oskarżenia. Został skazany na karę śmierci, zmienioną następnie na dożywocie. Zginął w więzieniu we Wronkach 4 kwietnia 1949 r.

Wedle wersji przedstawionej rodzinie przez władze więzienne – popełnił samobójstwo. Świadectwa więźniów dowodzą, że został zamordowany jak wielu polskich patriotów w rządzonej przez komunistów Polsce. Okoliczności śmierci ppłk. Wacława Lipińskiego nie udało się wyjaśnić nawet w czasach III Rzeczypospolitej. Instytut Pamięci Narodowej – po śledztwie, które przeprowadził – wydał opinię, że zabójstwo Wacława Lipińskiego jest poza sporem, chociaż jego sprawcy nie zostali ustaleni.

Tak zginął oficer Wojska Polskiego, który jako młody chłopiec wstąpił do Legionów Józefa Piłsudskiego, żeby walczyć o Niepodległą, który bił się o jej granicę wschodnią z Ukraińcami i bolszewikami, bronił Warszawy przed Niemcami we wrześniu 1939 r., uczestniczył w konspiracji w okupowanym przez nich kraju, by w końcu sprzeciwić się komunistycznemu totalitaryzmowi, który został narzucony Polakom przez sowieckie mocarstwo. ■

MAREK GAŁĘZOWSKI doktor habilitowany, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor Uczelni Łazarskiego, pracownik Biura Edukacji Narodowej Instytutu Pamięci Narodowej. Zajmuje się biografistyką uczestników działań niepodległościowych w pierwszej połowie XX w. Autor wielu prac naukowych i popularnonaukowych.

¹ W. Lipiński, *Dziennik. Wrześniowa obrona Warszawy 1939 r.*, wstęp, komentarz i przyp. J.M. Kłoczowski, Warszawa 1989, s. 175. ² M. Porwit, *Obrona Warszawy. Wrzesień 1939*, Warszawa 1979, s. 233. ³ T. Tomaszewski, *Byłem szefem sztabu obrony Warszawy w r. 1939*, Londyn 1961, s. 82. ⁴ W. Jędrzejewicz, *Śmierć ppłk. dr. Wacława Lipińskiego*, „Niepodległość”, t. 18, 1985, s. 143. ⁵ M. Gałęzowski, „Wzór piłsudczyka”. Wacław Lipiński 1896–1949. Żołnierz, historyk, działacz polityczny, Warszawa 2001. ⁶ W. Lipiński, *Szlakiem Pierwszej Brygady*. *Dziennik żołnierski*, Łomianki 2014, s. 325–326. ⁷ Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, Papiery S. Zakrzewskiego, 7347/II, t. 5, k. 51, List W. Lipińskiego do S. Zakrzewskiego z 11 października 1935. ⁸ W. Lipiński, *Stan badań nad najnowszą historią Polski. Zadania i metody*, „Niepodległość”, t. 18, 1938, s. 172. ⁹ W. Lipiński, *Dziennik. Wrześniowa obrona Warszawy 1939 r.*, s. 175. ¹⁰ Tamże, s. 74. ¹¹ Cyt. za: M.J. Kwiatkowski, *Wrzesień 1939 w rozgłosie Polskiego Radia*, Warszawa 1984, s. 298. ¹² M. Porwit, *Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku*, t. 3, Warszawa 1983, s. 332–333. ¹³ T. Tomaszewski, *Byłem szefem...*, s. 66–67. ¹⁴ Tamże, s. 82. ¹⁵ W. Lipiński, *Bilans czterolecia*, Warszawa 1944, s. 62.

Od dekompozycji Służby Bezpieczeństwa do narodzin Urzędu Ochrony Państwa

Książka warszawskiego historyka jest kompendium wiedzy na temat transformacji organów bezpieczeństwa państwa w latach 1989–1990.

PAWEŁ SZTAMA

Do czytelników trafiło pierwsze pełne i rzetelne, choć niewielkie objętościowo, bo liczące niecałe 330 stron, opracowanie na temat przemian, które dokonały się w służbach specjalnych w okresie transformacji w Polsce w latach 1989–1990. *Koniec imperium MSW. Transformacja organów bezpieczeństwa państwa 1989–1990* Tomasza Kozłowskiego, pracownika Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięi Narodowej, porządkuje, uściśla i poszerza naszą wiedzę o tamtych wydarzeniach.

Autor już na początku książki skonstatował, że: „Likwidacja Służby Bezpieczeństwa od lat wzbudza silne emocje, które sprzyjają budowaniu skrajnych narracji. Jedna z nich głosi, że elita solidarnościowa miała w dużym stopniu związane ręce, była skrępowana sytuacją międzynarodową oraz oporem ze strony aparatu bezpieczeństwa. Według drugiej liderzy »Solidarności« narzucili sobie ograniczenia zgodnie z umowami zawartymi w Magdaleniec i przy Okrągłym Stole. Obie te narracje opierają się na uproszczeniach – snutych w oderwaniu od kontekstu, często zbudowanych na ahistorycznym rozumowaniu” (s. 8). Choćby z powyżej przytoczonego powodu należało wreszcie podjąć badania nad problemem przemian, które dokonały się w służbach specjalnych w Polsce w latach 1989–1990.

Opracowanie warszawskiego historyka jest syntetycznym spojrzeniem na tamte wydarzenia. Zostało przygotowane na podstawie wielu materiałów źródłowych odnalezionych w polskich archiwach, a także w Archiwum Instytutu Hoovera. Literatura przedmiotu nie wzbudza żadnych zastrzeżeń. Co więcej, autor posłużył się publikacjami prasowymi z lat 1989–1990, dzięki którym mógł przywołać opinie najważniejszych rozgrywających tamtych czasów.

Kozłowski rozpoczął od pokazania potęgi Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w ostatniej dekadzie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Opisał rządzącego Czesława Kiszczaka, zmiany strukturalne w MSW pod koniec lat osiemdziesiątych XX w., a także proces „zwijania się” Służby Bezpieczeństwa wiążący się między innymi z niszczeniem na szeroką skalę dokumentacji wytworzonej przez organy bezpieczeństwa Polski Ludowej. Autor opisał zakulisowe gry toczące się wokół transformacji służb, plany i projekty, a także ich wykonanie i realizację. Kozłowski poprowadził czytelnika przez gabi-

nety ministrów, posłów i ważnych polityków, którzy mieli wpływ na ówczesne dzieje.

Następnie autor pokazał, w jaki sposób tworzone Urząd Ochrony Państwa. Opowiedział, jak przebiegał proces weryfikacyjny funkcjonariuszy, a także co działo się z tymi, którzy tej procedury nie przeszli. Bo przecież wielu z nich weszło na stałe do biznesu, tworząc firmy, w których dobrze ulokowali finanse, lub też doradzając takim firmom. Kozłowski opisał nie tylko to, jak politycznie i strukturalnie komunistyczny aparat bezpieczeństwa został przekształcony w działający w demokratycznym państwie UOP, ale przede wszystkim scharakteryzował zmiany koncepcyjne i zadaniowe tej komórki. Pokazał też pierwsze

sukcesy i porażki nowej służby.

Koniec imperium MSW. Transformacja organów bezpieczeństwa państwa 1989–1990 Tomasza Kozłowskiego to nie tylko znakomita pod względem merytorycznym książka, ale również doskonale napisana, przez co czyta się ją niczym świetną, niekiedy polityczno-kryminalną powieść. Warto zatem sięgnąć po *Koniec imperium MSW*, aby zrozumieć, na czym polegała operacja zmian w polskich organach bezpieczeństwa. ■



Tomasz Kozłowski, *Koniec imperium MSW. Transformacja organów bezpieczeństwa państwa 1989–1990*, Warszawa 2019.

W tym „szaleństwie” była metoda

Władysław Studnicki wierzył, że terytorialne skutki II wojny światowej da się odwrócić, a miejsce Polski i Niemiec będzie w szerszym europejskim związku polityczno-gospodarczym.

JAN SADKIEWICZ

Aleksander Bocheński pisał, że polityką polską od końca XVIII w. rządzą dwa kompleksy. Kompleks wyższości nie pozwalał nam powiedzieć sobie: jesteśmy narodem słabym, położonym między silnymi, i wzbraniał cofnąć się przed beznadziejnymi z reguły konfrontacjami. Natomiast kompleks nieuzasadnionej niższości kazał wierzyć, że bez tych konfrontacji z oboma potężnymi sąsiadami przestaniemy być Polakami. Władysław Studnicki był pozbawiony obu tych kompleksów. Nie znaczy to, by jego sposobu widzenia świata nie deformowały inne uprzedzenia.

Od socjalisty do państwowca

Urodzony w 1867 r. Studnicki należał do pokolenia „dzieci 1863 roku”; jedno z jego pierwszych wspomnień związane było z widokiem dyneburskiego więzienia, w którym zamykano powstańców. Żarliwy patriotyzm stawiał go na marginesie pogrążonego w depresji społeczeństwa i wzmacniał przekonanie o konieczności bronięcia własnej racji, choćby przeciw wszystkim.

Zanik dążeń niepodległościowych na ziemiach polskich przy jednoczesnym wrznięciu społecznym w Rosji

sztorcowywał strażników, z izby, w której mieszkał, wyrzucał portrety carów, obiady zamawiał z restauracji, dużo czytał. Józef Mackiewicz już po II wojnie światowej zapisał, że chętnie zamieniłby los tułacza w słonecznej Italii na pobyt w Tobolsku i Minusińsku za cara Aleksandra III. Studnicki na zesłaniu wzmocnił się fizycznie, psychicznie i rozwinął intelektualnie, by po 1896 r. z nowymi siłami wrócić do działalności politycznej.

Najtrwalszą pamiątką z zesłania była nienawiść do Rosji i Rosjan, których przed 1890 r. gotów był uważać za sojuszników w walce z caratem, a po 1896 – już tylko za barbarzyńskie zagrożenie dla cywilizacji europejskiej. Niechęcią darzył też wszelkich sojuszników Moskwy, szczególnie Czechów i Francuzów, których rusofilskie skłonności uważał wręcz za „przestępcze”. Z drugiej strony na jego życzliwość liczyć mogli wszyscy zarówno rzeczywisci, jak i potencjalni przeciwnicy Rosji: od Japonii, przez ludy Kaukazu, po Węgry, Austrię i – wreszcie – Niemcy.

Pierwszym refleksjom na temat zbieżności polskich i niemieckich interesów narodowych sprzyjały wykłady prawnika Georga Jellinka i socjologa Maxa Webera, których Studnicki słuchał w Heidelbergu w 1899 r. Większe jeszcze znaczenie miały zajęcia historyka Szymona Askenazego, na które trafił parę lat później we Lwowie.

JEDNO Z PIERWSZYCH WSPOMNIEŃ WŁADYSŁAWA STUDNICKIEGO ZWIĄZANE BYŁO Z WIDOKIEM DYNEBURSKIEGO WIĘZIENIA, W KTÓRYM ZAMYKANO POWSTAŃCÓW.

skierował go w stronę fascynacji socjalizmem, który uznał za sposób kontestacji istniejącego porządku. Zawodziło to studiami ekonomicznymi i odcisnęło trwałe ślady na jego myśli politycznej. Tymczasem jednak tajną organizację, do której należał, szybko zlikwidowała policja rosyjska, a Studnicki w 1889 r. trafił na zesłanie.

Pobyt na Syberii go zahartował, choć nie trzeba sądzić, by był dla niego wyłącznie gehenną. Więzień ob-

Jego naukom przypisywał wpływ na wiele elementów własnej publicystyki, m.in. przekonanie o trwałości interesu narodowego uwarunkowanego położeniem geograficznym, dostrzeganie powtarzalności zjawisk w historii, przekonanie o znaczeniu siły zbrojnej oraz definitywne potępienie koncepcji ugody z Rosją (zarówno współczesnej, jak i historycznych, jak projekty króla Stanisława Augusta i Aleksandra Wielopolskiego).

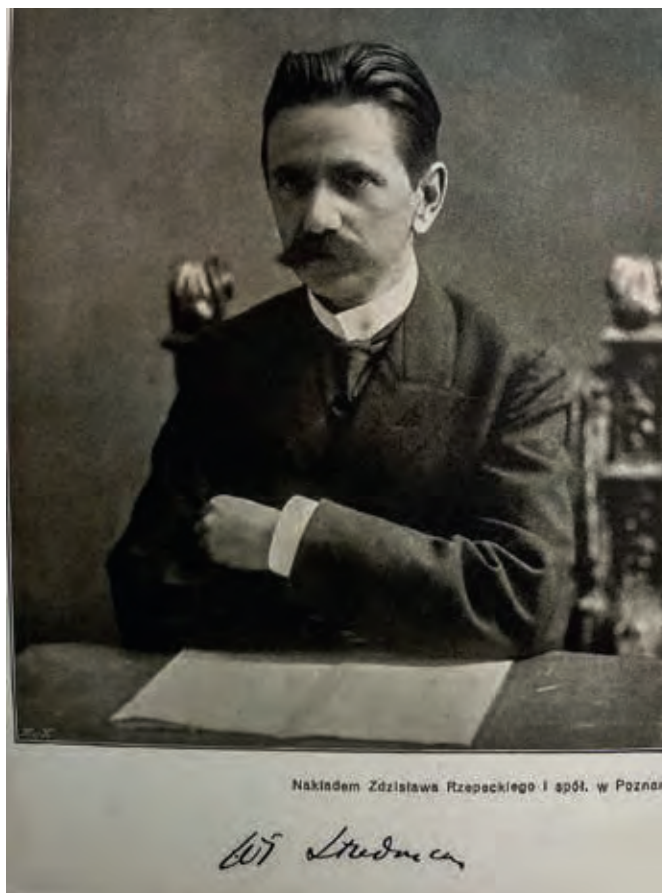
Przełom pierwszej i drugiej dekady XX w. to jedyny bodaj w życiu Studnickiego okres politycznego powodzenia. W Galicji stał się teoretykiem orientacji niepodległościowej. Wzywał rodaków do psychicznej i militarnej gotowości, aby w przewidywanym konflikcie europejskim dysponowali realną siłą, zdolną zaważyć w odpowiednim momencie na szali wypadków.

Na taran, który miał rozbić Rosję, typował wtedy Austro-Węgry. Był przekonany, że samodzielnie podołają temu zadaniu. Dopiero niepowodzenia cesarsko-królewskiej armii na frontach I wojny światowej, kontrastujące ze sprawnością niemieckiej maszyny wojennej – zwróciły jego uwagę na Rzeszę jako czynnik decydujący o przyszłym kształcie Europy Środkowej. Za punkt zwrotny w swoich zapamiętaniach Studnicki podawał widok mogił żołnierzy niemieckich w świeżo wyzwolonej spod jarzma Moskali Kongresówce. „Niemcy ze wszystkich części Rzeszy Niemieckiej legli tu, na polskiej ziemi – zapisał później – a konsekwencją tych ofiar stała się Polska niepodległa. Jak nie możemy bez niechęci myśleć o tym, który nawet bez złego zamiaru wyrządził nam olbrzymią krzywdę, tak nie możemy myśleć bez rozczulenia o tym narodzie, który bez zamiarów dobroczynnych dał nam największe dobrodziejstwo – możliwość osiągnięcia niepodległości”¹. Na przełomie 1915 i 1916 r. stał się zdecydowanym „germanofilem” i takim pozostał do końca życia.

Za najważniejszy cel w czasie I wojny światowej uważał rozbudowę polskiej siły zbrojnej, przekonany, że niezależnie od więzów spajających ją z armiami państw centralnych będzie ona najlepszym zabezpieczeniem interesów narodowych. Stawianie realnej siły ponad papierowe gwarancje pozostało charakterystycznym rysem jego stylu myślenia. Tymczasem poróżniło go to jednak z innymi aktywistami i skazało na postępującą izolację, mimo że ogłoszona 5 listopada 1916 r. proklamacja dwóch cesarzy zapowiadająca utworzenie Królestwa Polskiego, do której znacząco się przyczynił, stanowiła szczytowy punkt jego kariery politycznej.

Program dla państwa słabego

Klęska Niemiec w 1918 r. nie zachwiała już jego światopoglądem, którego zasadnicza ewolucja dobiegła końca w czasie wojny. Z mieszanki uprzedzeń, sentymentów, zimnej kalkulacji, gruntownej wiedzy i rzadko spotyka-



nej intuicji zrodziła się jedna z najciekawszych koncepcji w polskiej myśli politycznej, której Studnicki bronił przez następnych kilkanaście lat. U jej podstaw leżało przekonanie – dziś oczywiste, ale przecież w II RP powszechnie negowane – o słabości Polski wobec Niemiec i Rosji. Umiejętność trafnego określenia siły państw i identyfikacji ich długofalowych interesów można uznać za najmocniejszą stronę Studnickiego. Zawdzięczał ją żmudnym analizom statystyk ekonomicznych, które zajmowały znaczącą część jego publicystyki.

Studnicki uważał, że Polska nie może utrzymywać antagonizmu, nie mówiąc już o prowadzeniu wojny, z oboma wielkimi sąsiadami jednocześnie. Mało tego: nawet z jednym z nich nie mogłaby sobie poradzić bez wsparcia drugiego. Mocarstwa Zachodu nie mają zaś w Europie Środkowej wystarczająco ważnych interesów, by być zainteresowane utrzymywaniem polskiej niepodległości. Stworzenie koalicji równoważącej ewentualny sojusz Berlina i Moskwy jest niemożliwe. Warszawa musi więc starać się udaremnić taki alians poprzez daleko idące zbliżenie z jednym z sąsiadów, nawet jeżeli wiązałoby się to z częściowym ograniczeniem niepodle-

Strona tytułowa książki *Sprawa polska, z 1910 r.*

Fot. Zbiory Biblioteki
Instytutu Historii
Uniwersytetu Jagiellońskiego



Działacz polityczny i publicysta Władysław Studnicki. Fotografia sytuacyjna zamieszczona w prasie w związku ze skazaniem Studnickiego na trzy miesiące więzienia za zniesławienie wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

głości, które – jego zdaniem – wszak zawsze będzie lepsze niż rozbiór pomiędzy państwa ościenne.

Wybór w dużej mierze dyktowało serce – Studnicki nie dopuszczał myśli o współpracy z Rosją. Miał na to jednak wiele racjonalnych argumentów. Po pierwsze, zasięg roszczeń terytorialnych. Biała Rosja pretendowała do połowy terytorium Polski, bolszewicka – do całości, stawiając sobie za cel także zmianę ustroju Rzeczypospolitej. Natomiast spór z Rzeszą dotyczył Pomorza i Śląska, prowincji ważnych dla Polski, ale dla Niemców mających mniejsze znaczenie; paliwem rewizjonizmu były raczej nastroje wynikające z utraty ziem na rzecz słabszego sąsiada niż realne interesy. Z Berlinem łatwiej było zatem o kompromis, co bynajmniej nie znaczyło, by Studnicki chciał z tych prowincji zrezygnować.

Po drugie, za porozumieniem z Niemcami przemawiały względy ekonomiczne. Studnicki do znudzenia powtarzał, że rynki polski i niemiecki są kompensacyjne, nie konkurencyjne, ale ponieważ Niemcy są dla Polski o wiele ważniejszym partnerem niż Polska dla Niemiec, to bardziej na wojnie gospodarczej ucierpiałby nasz kraj. Współpraca tymczasem pozwalała na wzmocnienie Polski – także wobec Rzeszy.

Rozwój kontaktów gospodarczych miałby także konsekwencje społeczne i polityczne. Im więcej Polacy robiliby interesów z Niemcami, tym większa byłaby po obu stronach granicy grupa ludzi, dla których wojna polsko-niemiecka oznaczałaby wymierne straty materialne, a więc na tym większe poparcie społeczne mogłaby liczyć koncepcja porozumienia polsko-niemieckiego. Studnicki nie obawiał się też zdominowania stosunków gospodarczych przez zasobniejszych Niemców. Zwracał uwagę, że to właśnie w Poznaniu w rywalizacji z przedsiębiorcami niemieckimi Polacy osiągnęli najlepsze rezultaty.

Studnicki przestrzegał, że próby zniwelowania zagrożenia za pomocą szyszan wobec mniejszości niemieckiej w Polsce są absurdalne. Podobnie niedorzeczny byłby – jego zdaniem – polski sprzeciw wobec niemieckiej ekspansji w innych kierunkach: Alzacji i Lotaryngii, Austrii, Bałkanów i kolonii zamorskich. Stosunek sił nie mógłby zostać przez to zmieniony na korzyść Rzeczypospolitej.

Dla Polski przymierze z Niemcami było, jego zdaniem, sprawą życia lub śmierci: zabezpieczałoby Rzeczpospolitą przed rewizjonizmem niemieckim, osłaniało przed Rosją i zapewniało szybki rozwój z wykorzystaniem niemieckich inwestycji, co – w niedającej się na razie przewidzieć przyszłości – pozwalałoby myśleć o wejściu do grona państw o decydującym znaczeniu na arenie międzynarodowej. Alternatywą – ostrzegał – jest tylko klęska wojenna i dominacja sowiecka.

Przesłanek przymierza Studnicki szukał także w niemieckiej racji stanu. Proponował, by złożyć Berlinowi ofertę reorganizacji Europy Środkowej w sojuszu z Polską, którego warunkiem byłoby jednak uszanowanie terytorium Rzeczypospolitej. Chodziło o przekonanie Niemców, że taka polityka da im większe korzyści, niż podział regionu do spółki z Moskwą, który postawiłby u granic Rzeszy mocarstwo – potencjalnego sojusznika wszystkich jej wrogów z zachodu. Owa reorganizacja miałaby obejmować połączenie Austrii z Niemcami, częściowy rozbiór Czechosłowacji, tj. odebranie jej terytoriów nieczeskich i obdzielenie nimi Niemiec, Węgier i Polski, wreszcie utworzenie w nowo powstałej konstelacji politycznej gospodarczego bloku środkowoeuropejskiego, obejmującego państwa od Bałkanów do Morza Bałtyckiego. Blok taki miał zapewnić Niemcom mocarstwowość na równi ze Stanami Zjednoczonymi, imperium brytyjskim i Związkiem Sowieckim, wprowadzić

Berlin do polityki światowej i zdjąć z jego agendy drobne spory ze słabymi sąsiadami, którzy tym samym uzyskaliby bezpieczeństwo i możliwość rozwoju gospodarczego.

Polska – jako drugie co do wielkości państwo bloku – miała w nim zająć stosunkowo wygodną pozycję, stanowiąc oparcie dla państw mniejszych, a jednocześnie mając możliwość wykorzystania ich do uniknięcia niemieckiej dominacji. Innymi słowy: w koncepcji Studnickiego Polska nie powinna zaczynać od budowania federacji w regionie dla wzmocnienia swej pozycji wobec potężnych sąsiadów, ponieważ była na to za słaba i przedsięwzięcie takie skazane było na niepowodzenie. Przeciwnie, powinna przez porozumienie z jednym z tych sąsiadów wzmocnić swą pozycję wobec państw mniejszych i dopiero wtedy kreować się na ich lidera.

Do jesieni 1938 r. wszystko pozornie szło zgodnie z proponowanym przez Studnickiego planem. Za pierwszą rysę na wznoszonym – jak błędnie sądził, gdyż polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych nigdy nie traktowało jego koncepcji poważnie – gmachu współpracy polsko-niemieckiej uznał nieutworzenie granicy polsko-węgierskiej po konferencji monachijskiej. Przestrzegał Niemców, że nieuszanowanie interesów mniejszych partnerów pchnie ich ku blokowi antyniemieckiemu, co wprowadzi Rzeszę na powrót w kleszcze Zachodu i Rosji, które już raz złamały siłę armii niemieckiej. Jednocześnie apelował, by postulat wspólnej granicy z Węgrami nie przedstawiać w polskiej prasie jako wstępu do budowy bloku państw mniejszych skierowanego przeciw Niemcom. Był to jednak zaledwie jeden z wielu czynników pogłębiającego się w pierwszych miesiącach 1939 r. kryzysu relacji polsko-niemieckich, którego Studnicki rozpaczliwymi działaniami, w tym proroczą książką *Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej*, nie był w stanie zatrzymać.

Okrucieństwo okupacji niemieckiej w Polsce, upadek sił obu narodów i wzrost potęgi Związku Sowieckiego na długie lata zamknęły szanse realizacji koncepcji Studnickiego. On sam, u kresu wojny człowiek już blisko osiemdziesięcioletni, nie porzucił swojej doktryny. „Chciałem przytłumić poczucie doznanych krzywd

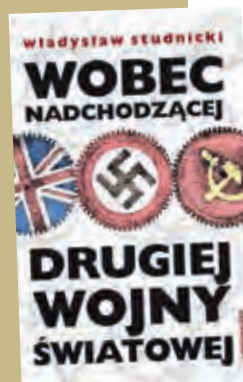
i ugasić pragnienie zemsty – napisał w 1949 r. – Zadaniem polityki nie jest podleganie do zemsty, lecz poprawianie sytuacji narodu”². Do końca życia wierzył, że terytorialne skutki II wojny światowej da się odwrócić, a miejsce Polski i Niemiec jest w szerszym europejskim związku polityczno-gospodarczym. Zmarł w 1953 r. w Londynie.

Szkoła politycznego myślenia

Nielatwo w polskiej historii o polityka, którego postulaty potraktowane by były przez rozwój wydarzeń równie brutalnie. Spełnienia przepowiedni Studnickiego o klęsce Polski i finalnym zwycięstwie Związku Sowieckiego nie sposób jednak uznać za argument przeciwko jego koncepcji, podobnie jak na jej konto nie można kłaść skutków przewa-

żenia koncepcji przeciwnej. Jego idea współpracy polsko-niemieckiej pozostaje odważną, oryginalną, a przede wszystkim solidnie uargumentowaną próbą odpowiedzi na wyzwanie, jakim jest polskie położenie geopolityczne, bynajmniej nie bardziej szalone niż koncepcje tych, którzy w latach trzydziestych XX w. nie bali się wojny z Niemcami, lekceważyli Związek Sowiecki, a nadsziedzie pokładali w sojuszu z Zachodem.

O wartości człowieka świadczą też jego uczniowie. Stanisław Mackiewicz, Adolf i Aleksander Bocheńscy czerpali z nauk Władysława Studnickiego, w niejednej kwestii przerastając swego mistrza. Zadanie, z którym się mierzyli, nie było łatwe, a rozważania nie prowadziły do miłych polskiej wyobraźni politycznej wniosków. Za życia skazywało ich to na marginalizację, po dziesięcioleciach daje status szkoły myślenia politycznego, do której w poszukiwaniu zasad Realpolitik przede wszystkim należy wracać.



Okładka wyboru pism Studnickiego *O przymierze z Niemcami*, Kraków 2019 r.
Fot. Universitas

Okładka wznowienia książki Studnickiego *Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej*, Kraków 2018.
Fot. Universitas

Okładka książki Władysława Studnickiego *System polityczny Europy a Polska*, z 1935 r. Fot. domena publiczna

JAN SADKIEWICZ wicedyrektor wydawnictwa Universitas, redaktor *Pism wybranych* Stanisława Cata-Mackiewicza, Władysława Studnickiego i Adolfa Bocheńskiego. Autor *Ci, którzy przekonać nie umięją. Idea porozumienia polsko-niemieckiego w publicystyce Władysława Studnickiego i wileńskiego „Słowa”*. Na Uniwersytecie Jagiellońskim przygotowuje pracę doktorską poświęconą myśli politycznej Aleksandra Bocheńskiego.

¹ W. Studnicki, *Wyznanie germanofila polskiego*, „Wiadomości Literackie”, 1 kwietnia 1934 r. ² W. Studnicki, „*Tragiczne manowce*”; *próby przeciwdziałania katastrofom narodowym 1939–1945*, Gdańsk 1993, s. 18.

WYMYŚLONE ZWYCIĘSTWA

W warszawskiej prasie do 8 września 1939 r. nie pojawiały się wiadomości zapowiadające tragiczny przebieg kampanii. Pojedyncze klęski próbowano przekuć w sukcesy polskiej armii.

MICHAŁ PRZYBYŁAK

We wrześniu 1939 r. Berlin leżał już w gruzach, na ulicach niemieckich miast trwały zamieszki spowodowane głodem, polskie lotnictwo roznosiło w puch niemieckie kolumny pancerne, Anglicy topili dziesiątki niemieckich statków i okrętów, a Francuzi kilkakrotnie przełamywali Linie Zygryda. Pierwsze osiem dni II wojny światowej było pasmem nieustannych sukcesów i polskich zwycięstw. Taki obraz kampanii polskiej przedstawiała warszawska prasa. A 8 września warszawiacy mogli na własne oczy przekonać się o realności niemieckich postępów – tego dnia bowiem pierwsze niemieckie oddziały zaatakowały stolicę Polski.

Aż do pełnego zwycięstwa

Choć pierwsze bomby spadły już rankiem 1 września 1939 r., to gazety warszawskie swoją wojnę rozpoczęły dopiero popołudniem – wtedy to pierwsze dzienniki poinformowały o niemieckiej agresji. Podobnie jak w sierpniu 1914 r., prasa była wręcz entuzjastyczna. Kalek z I wojny światowej było więcej: Niemcy znów stali się rozbójnikami, Hunami świata. Prasa podkreślała również spójność narodu i wiarę w szybkie zwycięstwo: Pisano: „Zbrodnicza napaść Niemców na Polskę. Do boju i zwycięstwa idzie cały Naród i Ramie przy ramieniu do boju AŻ DO PEŁNEGO ZWYCIĘSTWA” oraz „Rozbójnicy świata – Niemcy napadli dziś na Polskę. Wojna o wolność Narodu rozpoczęta. O stalowy mur bohaterkiej Armii rozbije się bandycki napad na Polskę”. Ten ton był kontynuacją przedwrześniowej propagandy rządowej. Najbardziej lakonicznie zaś o wojnie zawiadomiła „Polska Zbrojna”, w której powtórzono słowa spikera Polskiego Radia: „A więc wojna”. Pierwszy dzień wojny zdominowały zapewnienia szybkiego zwycięstwa i deklaracje o niewzruszonej polskiej potęgze. Informację o przebiegu walk 1 września podał tylko „Goniec Warszawski”, który przytoczył lakoniczny komunikat Polskiej Agencji Telegraficznej o bombardowaniu polskich miast

i „przekroczeniu granicy polskiej w szeregu miejscowości, zarówno od strony Prus Wschodnich, jak i Rzeszy Niemieckiej”.

Jedynie „Kurier Warszawski” 2 września w wydaniu wieczornym podawał wieści z frontu. Donosił o zniszczeniu w całej Polsce ok. 100 niemieckich czołgów i strąceniu 16 samolotów nieprzyjacielskich, przy stracie 2 własnych (za Komunikatem nr 1 Naczelnego Dowództwa). Dodał również informacje ze swojej katowickiej redakcji o zażartych walkach z dywersantami niemieckimi na Śląsku – „od wczesnego ranka i w nocy wszędzie na pograniczu czynne były bandy dywersyjne niemieckie uzbrojone w karabiny i granaty ręczne. Między in. banda taka usiłowała przedostać się na teren województwa w pobliżu Łagiewnik. [...] Wkrótce bandy pokonano i ujęto ich członków żywych”. Motyw niemieckich dywersantów był w gazetach stale obecny. W prasie warszawskiej ukazywały się jednocześnie artykuły, w których starano się umniejszyć rolę niemieckich sabotażystów. Liczne są przypadki opisywania łatwego pojmania spadochroniarzy niemieckich przez ludność cywilną uzbrojoną tylko w widły i siekiery. W warszawskich dziennikach pisano też o tragicznym przygotowaniu przyszłych sabotażystów oraz ich wręcz śmiesznym wyszkoleniu i wyposażeniu. W „Kurierze Warszawskim” 18 września ukazał się artykuł o złapanych na ulicach stolicy niemieckich spadochroniarzach. Zostali oni schwytani dzięki ubiorowi, w jaki byli wyposażeni jeszcze w Niemczech. Poruszali się w poleskich łapciach, starych spodniach przewiązanych sznurkiem i dziurawych koszulach. Jak pisał „Kurier Warszawski”: „tak Niemcy wyobrażali sobie zwykłych mieszkańców Warszawy”.

Nadzieja na pomoc aliantów

Kolejnego dnia, 3 września, głównym tematem było włączenie się do wojny Francji i Anglii: „Francja i Anglia śpieszą z pomocą napadniętej Polsce”. Redakcja „Polski Zbrojnej” publikowała tekst radiowego przemówienia Neville'a Chamberlaina, podkreślając fragment: „Może powstrzymać go [Adolfa Hitlera] jedynie siła i my wraz z Francją, wypełniając dzisiaj nasze zobowiązania idziemy z pomocą Polsce, która tak mężnie przeciwstawia się temu podłemu i niesprawokowanemu atakowi na ►

jej naród". Z kolei w „Expressie Porannym” tak komentowano ruch sojuszników Polski: „Dziś jest dniem triumfu polskiej myśli politycznej, która broniąc własnej wolności i niosąc jednocześnie wolność innym narodom podbitym lub agresją zagrożonym – znalazła u swych sojuszników nie tylko pełne zrozumienie, ale i poparcie czynem – jakim było wypowiedzenie wojny przez Anglię i Francję”.

Dzienniki warszawskie po trzech dniach wojny obwieściły, że „bezustannie reklamowanym »strasza-kiem« było lotnictwo i broń pancerna przeciwnika. Rzeczywistość całkowicie zadała kłam niemieckim przechwałkom”. Tego dnia na łamach prasy pierwsze triumfy zaczęły odnosić polskie bombowce: „Dotkliwą porażkę zadało czołgom niemieckim nasze lotnictwo w rejonie Częstochowy. Samoloty nasze dokonały brawurowego natarcia na dwie kolumny pancerne. Kolumny w popłochu poszły w rozsypkę”.

Już 4 września publicyści „Gońca Warszawskiego” pokusili się nawet o rozszyfrowanie strategii niemieckiej: „Dzisiaj już można sobie odtworzyć zamiary nieprzyjaciela: Hitler chciał błyskawicznym, zdradzieckim, bez uprzedzenia napadem na Polskę zniszczyć jej siły obronne i złamać nastrój społeczeństwa – ażeby osiągnąwszy zamierzone cele zwrócić się do państw zachodu z oznajmieniem, że »uporał się« już z Polakami, zajął Gdańsk i »korytarz« [...]. Ten plan Hitlera upadł. Sparaliżowała go Polska sama, [...] armia nasza zniweczyła zamiar wroga”.

W powietrzu i na morzu

Doniesienia o rozpoczęciu powietrznej ofensywy brytyjskiej pojawiły się 5 września. Według „Polski Zbrojnej”, samoloty angielskie zrzuciły na Niemcy parę milionów ulotek, w których zachęcano do obalenia rządów nazistowskich i rozpoczęcia rokowań pokojowych. Ponadto na stronach gazet wojska francuskie rozpoczęły ofensywę: „oddziały armii francuskiej ruszyły od strony Metz i przeszły w 12 punktach granicę niemiecką, wchodząc na terytorium Rzeszy”. Komentując działania militarne w Polsce, dzienniki skupiały się na wkroczeniu oddziałów kawalerii polskiej do Prus Wschodnich: „fakt ten dowodzi, że siły nasze są niezużyte, gotowe do akcji i marszu naprzód”. Warszawiacy – poza informacjami o kolejnych klęskach Wehrmachtu – mogli dowiedzieć się o dramatycznej sytuacji wewnętrznej Rzeszy: „przygnębienie w Berlinie, brak żywności, starcia z policją”, „głód i nędza w wojennym Berlinie, tłumy kobiet przed pustymi sklepami”. Prasa warszawska tego dnia podawała same entuzjastyczne wiadomości. Największą sensację wzbudził nalot polskiego lotnictwa na Berlin – donosiły o tym wszystkie dzienniki. „Goniec Warszawski” pisał, że „we wtorek [5 września] eskadra naszych bombowców, złożona z 30 maszyn bombardowała z powietrza Berlin, zadając ogromne straty. Samoloty polskie bombardowały

obiekty wojskowe stolicy Niemiec”. Wszystkie bombowce miały powrócić do baz bezpiecznie. W „Kurierze Warszawskim” do tej informacji dodano komentarz: „artyleria przeciwlotnicza niemiecka była bezsilna”. W innym artykule w tym samym dzienniku pojawiła się niesprecyzowana informacja o nalotach polskich maszyn na Frankfurt nad Odrą. Następnego dnia ukazały się kolejne doniesienia na ten temat. „Czas-7”, powołując się na prasę belgijską, pisał o nalocie z 6 września, przeprowadzonym wspólnie przez trzy eskadry – polską, francuską i angielską. Wszystkie eskadry nadleciały równocześnie i obrzuciły bombami kruszącymi i zapalającymi obiekty wojskowe i dworce kolejowe: „pojawienie się od razu trzech silnych eskadr nieprzyjacielskich zaskoczyło i zdeorientowało niemiecką obronę przeciwlotniczą [...]. Również lotnictwo niemieckie wysłało do walki pościgowce, atakujące eskadry zdążyły już jednak wykonać zadanie i ostrzeliwujące się niemieckim myśliwcom odleciały do swych baz. Skutek nalotu na Berlin eskadr polskiej, angielskiej i francuskiej jest bardzo poważny”. Poza rewelacjami o bombardowaniach niemieckich miast, 6 września ukazały się artykuły dotyczące działań na morzu. Warszawski czytelnik mógł nabrać przekonania, że był to najczarniejszy dzień w historii niemieckiej marynarki wojennej. W „Polsce Zbrojnej” pisano o zainicjowaniu przez Royal Navy działań na wszystkich morzach świata oraz o rozpoczęciu blokady Niemiec.

„Kurier Warszawski” donosił o zatopieniu dwóch statków niemieckich, których załogi ocalały. W „Gońcu Warszawskim” ukazały się wiadomości o zatopieniu trzech niemieckich okrętów korsarskich, w tym największego pancernika niemieckiego – „Gneisenau” – o wyporności 28 tys. ton. W rzeczywistości wyporność pancerników typu Scharnhorst wynosiła niemalże 40 tys. ton. Powołując się na prasę francuską, gazeta informowała również o zatopieniu przez flotę francuską dwóch transportowców niemieckich. Ponadto „szkody wyrządzone przez brytyjskie siły lotnicze niemieckim jednostkom morskim są znacznie większe niż podawano pierwotnie”.

Na lądzie

W prasie warszawskiej wojska sprzymierzonych nieustannie odnosiły zwycięstwa również na lądzie: „dziś od rana podjęte zostały operacje na froncie zachodnim. Przez siedem wyłomów dokonanych wczoraj przez francuskie kolumny pancerne w Linii Zygfryda maszerują dalsze oddziały francuskie”. Na froncie polskim powstrzymywano Niemców na linii Warta – Szczerców – Kamieńsk, na południu, atak niemiecki idzie w kierunku Łodzi i Piotrkowa. Tu działają niemieckie dywizje zmotoryzowane, które wstrzymuje męstwo naszego żołnierza”. W kilku czasopismach pisano o powtórnych wypadach polskiej kawalerii na terytorium Prus. Prasa warszawska była pełna nadziei:

**Dziś do południa Niemcy muszą udzielić odpowiedzi
Wielka Brytania uderzy, jeżeli wojska najeźdźcy nie przestaną
napadów na pogranicze Polski**

„Przeżywamy teraz ciężkie dni naporu gwałtownego niemieckiej armii na Polskę. Nie łudziliśmy się nigdy, że rozprawa z tak silnym przeciwnikiem, który od lat przygotowywał się do wojny będzie lekka. Nie mniej nigdy nie wątpiliśmy ani na chwilę nie wątpimy w ostatecznie zwycięstwo. Musimy obecny napór dwóch milionów armii niemieckiej wytrzymać. I wytrzymamy! Nasze musi być zwycięstwo!”

Doskonały przykład interpretowania złych wiadomości można zauważyć w „Gońcu Warszawskim” z 6 września. Komentując komunikat Sztabu Głównego Naczelnego Wodza z 5 września, dziennikarze gazety wysnuli własne wnioski: „po raz pierwszy w komunikacie spotkaliśmy się z określeniem »6 samolotów nie wróciło do baz«. Dotąd komunikat takiego określenia nie używał. Daje to powód do wniosku, że samoloty te wleciały na teren nieprzyjacielski i urządziły nalot na nieprzyjacielskie obiekty”. Warto przytoczyć oryginał komunikatu wojennego nr 6 Sztabu Głównego Naczelnego Wodza: „Straty własne: 6 samolotów nie wróciło do baz”.

W piątek 8 września w prasie można było zaobserwować symptomy załamania. Jeden z największych dzienników – „Kurier Warszawski” – opublikował, że: „Z powodu ograniczonego zapasu papieru Kurier na

mieckich pomimo ogromnej przewagi: „wojsko nasze wstrzymało potężne uderzenie Niemców, wspartych chyba całą bronią pancerną jaką posiadali. Wojsko to nie uległo zniszczeniu i jest w toku przegrupowania w gotowości do podjęcia dalszego wysiłku”. Nawet szybkie postępy niemieckie i zajmowanie polskich miast było na łamach prasy kolejnym powodem nieuchronnej klęski Rzeszy: „oddawanie przez nas polskiej ziemi, podobnie jak w 1920 roku nie jest rzeczą łatwą i nie czynimy tego z lekkim sercem, jednak jest pewne, że aby wykonać skok trzeba najpierw wziąć rozbieg”. Nie najlepszą sytuację na froncie komentowali dziennikarze „Czasu 7” w artykule *Nie ma podstaw do paniki. Sytuacja jest coraz lepsza*: „nie ma żadnych absolutnie podstaw do paniki i popłochu, jeśli wykluczmy plotki i baśnie [...]. Wiadomości z pola walki świadczą o osłabieniu siły uderzeniowej niemieckich dywizji pancernych. Osłabione zostało również mocno niemieckie lotnictwo. Przed przerzuceniem części sił niemieckich na Zachód, operacje naszego dowództwa – zmniejszyły znacznie linię frontu, co dało możliwość wciągnięcia do akcji tych sił – które przed tym zużywane były na osłonę granic. [...] wątpliwym jest dostanie się niemieckich dywizji pancernych



Łódźki „Głos Poranny” z 3 września 1939 r. Fot. Polona.pl

razie ukazywać się będzie w zmniejszonej objętości, raz na dobę po południu”. Zamiast optymistycznych artykułów zaczęły się ukazywać wezwania do okazywania pomocy rannym, zarządzenia warszawskiej Straży Obywatelskiej i prezydenta m.st. Warszawy Stefana Starzyńskiego oraz doniesienia z samej stolicy. Tylko w kilku mniejszych tekstach, na dalszych stronach – informowano o rozwoju sytuacji militarnej i międzynarodowej.

Niemcy na przedmieściach Warszawy

Jedynie „Express Poranny” nie zmieniał tonu przekazu 8 września. Na pierwszej stronie informowano o generalnym ataku wojsk francuskich „Francuzi przekroczyli Mozelę, spędzili oddziały niemieckie z przedpola Renu. Wstępem do właściwych działań przebiecia Linii Zygfryda były koncentracje ognia artyleryjskiego na poszczególne wysunięte obiekty. Dziś już teren do Renu łącznie z mostami jest w rękach wojsk francuskich. Niemcy na całej linii, nie chcąc dopuścić do zniszczenia wojska odchodzą”. Doniesienia z frontu polskiego były równie pomyślne. Podkreślano wspólną postawę polskich żołnierzy i brak postępów nie-

do Warszawy. Bądźmy dobrej myśli. Nie jedna fala wraza już się rozbiła o mury Warszawy. Rozbija się i ta”.

Obraz ten nie runął nawet wtedy, gdy pierwsze ładowe oddziały wojsk niemieckich pojawiły się na przedmieściach Warszawy w godzinach popołudniowych 8 września¹. Były to czołgi niemieckiej 4 Dywizji Pancernej gen. Georga Hansa Reinhardta. Około godz. 17.20 obrońcy Warszawy oddali pierwsze strzały do czołgów niemieckich, uszkadzając trzy wozy². Od 8 września narracja prasy zmieniła się już wyraźnie – zamiast optymistycznych doniesień pojawiały się apele o poświęcenie i wytrwałość. Wielkie zwycięstwa ustąpiły miejsca tym mniejszym – związanym już bezpośrednio z obroną Warszawy. Od tego momentu aż do podpisania zawieszenia broni i kapitulacji stolicy 27 września 1939 r. Warszawa stała się miastem frontowym. ■

MICHAŁ PRZYBYŁAK asystent w Zakładzie Historii Sztuki Wojennej i Polemologii Akademii Sztuki Wojennej. Absolwent historii wojskowości Akademii Sztuki Wojennej oraz historii Uniwersytetu Warszawskiego. Historyk skupiający się na II Rzeczypospolitej i stosunkach Polski z syjonistami-rewizjonistami.

¹ A. Zawilski, *Bitwy polskiego września*, Kraków 2009, s. 342. ² M. Porwit, *Obrona Warszawy, wrzesień 1939 r. Wspomnienia i fakty*, Warszawa 1969, s. 53.

Marian Buczek i Zaleszczyki –



Zaleszczyki. Zabudowania i mosty na Dniestrze, 1938 r.

Fot. Józef Kremer/Narodowe Archiwum Cyfrowe

Stalinizm chciał stworzyć nowego człowieka, który miał mieć nową, ideologicznie słuszną pamięć o najnowszej historii. Atak historycznej propagandy tego okresu wymierzony był między innymi w legendę kampanii 1939 r.

TOMASZ LESZKOWICZ

Wokół kampanii wrześniowej już od momentu zakończenia walk toczyło się wiele sporów, które skutkowały powstaniem różnych opowieści na jej temat. Niedługo po zakończeniu działań wojennych w rządzonej przez komunistów kraju zagadnienie to w naturalny sposób dalej budziło emocje. Wrzesień '39 był przecież doświadczeniem całego społeczeństwa polskiego. O ile do 1947 r. na ten temat mówiono jeszcze w sposób mało propagandowy, to wraz z 1948 r. i przyspieszoną stalinizacją narracja o 1939 r. znacząco się zmieniła. Ważnym elementem nowej polityki historycznej była propaganda ludowego Wojska Polskiego. Wrzesień 1939 r. wybrzmiewał w niej chętnie i wyraziście. Władze komunistyczne zaś równolegle stosowały represje wymierzone w przedwojennych oficerów.

Nowy bohater Września

O tym, że w sposobie mówienia o wydarzeniach 1939 r. „idzie nowe” – dużo bardziej zideologizowane – świadczyć mogły materiały, które pojawiły się w wojskowej prasie przy okazji dziesiątej rocznicy wybuchu wojny. Miały one jednego bohatera głównego: Mariana Buczka. Ten żołnierz Legionów Polskich i Pogotowia Bojowego Polskiej Partii Socjalistycznej w dwudziestolecie międzywojennym stał się aktywnym działaczem komunistycznym, między innymi w ramach Wydziału Wojskowego, tzw. wojskówki, Komunistycznej Partii Polski. W aresztach i więzieniach spędził łącznie 16 lat. W dniu wybuchu wojny wydostał się z więzienia w Rawiczu i dołączył do walki z Niemcami. Zginął 9 września 1939 r. w potyczce w rejonie Ożarowa Mazowieckiego w czasie próby przebijania się wraz z żołnierzami do Warszawy. Został pochowany na cmentarzu w Ołtarzewie. Chociaż według prof. Pawła Wieczorkiewicza Buczek był agentem pol-

narodziny fałszywego mitu

skiej policji w ruchu komunistycznym, już w 1946 r. oficjalna propaganda Polskiej Partii Robotniczej uczciła jego osobę. Prawdziwa sława miała jednak nadejść kilka lat później.

Imię i nazwisko nowego bohatera wymieniono w rozkazie ministra obrony narodowej marsz. Michała Żymierskiego z 1 września 1949 r.: „Nigdy nie zapomni naród polski bohatera września, komunisty Mariana Buczka, który po szesnastu latach sanacyjnego więzienia stanął na czele walczących oddziałów i poległ na polu chwały”¹. W wydaniu oficjalnego dziennika wojaskowego „Polska Zbrojna” z tego samego dnia słowa te powtórzono w formie podpisu do dużego zdjęcia portretowego Buczka. Odbiorcy tego przekazu, przede wszystkim oficerowie polityczni, mieli utrwalić sobie historię bohaterskiego komunisty i dalej przekazywać ją żołnierzom.

Propagandowy obraz życia Mariana Buczka tkano z różnych nici. Na łamach wojskowej prasy podkreślano między innymi, że żołnierze, do których dołączył na froncie, uznali jego autorytet przywódczy, ponieważ... był prawdziwym robotnikiem-komunistą. Jednocześnie też rozwijano charakterystykę jego działalności w Komunistycznej Partii Polski, wieloletniego uwięzienia i sławy, którą cieszył się w partii. Wyraźnie chodziło tu o pokazanie, że zasługa wojenna i aktywność polityczna były ze sobą nierozzerwalnie połączone, co więcej – wynikały z siebie.

Budując kult Mariana Buczka i podkreślając wrześniowe epizody innych bohaterów ludowego WP, między innymi poległego pod Lenino Mieczysława Kalinowskiego, oraz przypominając, że w Robotniczej Brygadzie Obrony Warszawy służyli przyszli dygnitarze PRL, tacy jak Edward Ochab i Stanisław Radkiewicz – wojskowa propaganda kreowała konkretny przekaz, że to komuniści stali we wrześniu 1939 r. w pierwszym szeregu patriotycznej walki z Niemcami. Za jednym zamachem unaradawiano więc całą tę formację polityczną, z umarłych jej reprezentantów tworzone bohaterów nowej pamięci, a żyjącym... dawano dodatkowe prawo do rządzenia Polską.

Szosa zaleszczycka

Propaganda okresu stalinowskiego nie mogła jednak istnieć bez ataku na wroga. W tej roli obsadzano przede wszystkim rządzących II Rzeczpospolitą piłsudczyków.

10 IX.1939. ŚMIERĆ MARIANA BUCZKA. Marian Buczek jest symbolem walki o socjalizm. Jako członek KPP w ciągu 20 lat istnienia Polski przedwrześniowej – 16 lat spędza w więzieniach. W r. 1939, nie bacząc na stan zdrowia, wprost z więzienia idzie z bronią w rękę do walki z faszyzmem, który nie przestaje być dla niego śmiertelnym wrogiem. W obronie Warszawy ginie śmiercią bohaterską.



Propagandowe przedstawienie śmierci Mariana Buczka w publikacji *Poradnik rolnika. Kalendarz Związku Samopomocy Chłopskiej* na 1952 rok. Fot. Dominik Kaźmierski

W 1949 r. w „Żołnierzu Polskim” pisano między innymi: „Kiedy samozwańczy »Wódz Naczelny«, kiedy wysocy oficerowie w malowniczych pelerynach opuścili polskiego żołnierza, poprowadził go do walki o wydobycie się z hitlerowskiej matni Marian Buczek, rewolucyjny więzień polityczny Drugiej Rzeczypospolitej”². Role były rozpisane w jasny sposób: z jednej strony bohater-komunista, z drugiej zła elita „burżuazyjno-faszystowska”, które porzuciły naród w godzinie próby i tchórzliwie uciekły. W artykule w „Polsce Zbrojnej” pisano: „Zielony płaszcz żołnierski, w którym walczył i ginął robotnik i chłop polski, ten płaszcz żołnierski posłużył sanacyjnemu ministrowi, Kasprzyckiemu, tylko do tego celu, by w przebraniu, bez odznak, tym łatwiej przedostać się przez granicę rumuńską”³. Hasłem wywoławczym stały się Zaleszczyki, uzdrowiskowa miejscowość nad Dniestrem, w której rządzący II RP mieli przekroczyć 17 września granicę z Rumunią. W rzeczywistości zrobili to w położonych na południowy zachód Kutach.

Wyjazd najwyższych władz państwowych i wojskowych – w optyce propagandy: „ucieczka” – miał być

się „wyzwoleniem ukraińskich i białoruskich braci”, a nawet... ratunkiem dla milionów Polaków. Przy okazji zaś uzasadniano, że zajęcie przez Armię Czerwoną terenów aż po Bug pomogło Józefowi Stalinowi pokonać Hitlera w latach 1941–1945.

Żołnierz bez charakteru

Zbiorowym bohaterem stalinowskich narracji o Wrześniu '39 był oczywiście zwykły, najczęściej wywodzący się z ludu, żołnierz – zdradzony, patriotyczny i gotowy do walki z Niemcami. Jego zmagania były w znacznym stopniu tragiczne, gdyż pełna poświęcenia służba była skazana na klęskę. W „Żołnierzu Polskim” w 1949 r. pisano: „Tylko żołnierz polski, zdradzony przez sojuszników, opuszczony przez własne dowództwo, które uciekło szosą zaleszczycką, walczył do ostatniej chwili z zalewającymi Polskę hordami faszystowskich zbirów”⁴. Uwagę zwraca jednak anonimowość i ogólnikowość tych opisów – w rocznicowych tekstach nie pojawiały się nazwiska dowódców, nawet niższego szczebla, miejsca bitew i bohaterkich epizodów, które należałoby zapamiętać. Wydaje się, że chwalebne czyny zarezerwowane były w propagandzie tylko dla komunistów.

Jednocześnie przy różnych okazjach bardzo wyraźnie szkalowano przedwojenne Wojsko Polskie, czego przykładem jest jeden z tekstów w „Żołnierzu Polskim” z 1949 r.: „Ułaństwo, tromtadacja, fałszywy blichtr i... serwilizm, znamionowały sanacyjny korpus oficerski, podczas gdy żołnierz wychowywany był w stylu pruskim jako bezduszne narzędzie dyscypliny”⁵. Szczególnym celem ataku stalinowskiej propagandy stała się przedwojenna kawaleria, przedstawiana jako archaiczna, powiązana z „klasami posiadającymi” oraz szykowana do ekspansji na wschód. W ramach ataków na ułanów propagowano też kłamliwy mit szarż polskiej kawalerii na czołgi, będący symbolem beznadziei i błędnego dowodzenia.

Ta niechęć do przedwojennego wojska miała podstawy ideologiczne – w propagandzie ludowego WP wyraźnie podkreślano, że powojenna armia ma „nowy”, ludowy charakter i różni się od „burżuazyjnego” wojska, które było narzędziem ucisku klasy pracującej. Ważną rolę odgrywały też osobiste doświadczenia – większość kierownictwa aparatu polityczno-propagandowego wojska stanowili dawni działacze KPP, którzy przedwojenną armię znali najczęściej z konspiracyjnej działalności w „wojskówce” lub obowiązkowego szkolenia. Była ona dla nich czymś obcym i wrogim, dlatego też aktywnie angażowali się w jej szkalowanie.

Pułkownik bronił wrześniowych walk

Rok 1956 zmienił wiele obszarów życia w PRL, w tym również stosunek oficjalnej polityki historycznej do II wojny światowej. Odnowiony Związek Bojowników

o Wolność i Demokrację, będący organizacją społeczną budującą poparcie dla systemu, włączył w swoją działalność kombatantów z innych niż komunistyczne formacji zbrojnych – Polskich Sił Zbrojnych, Armii Krajowej i żołnierzy Września '39. Najważniejsze było wspólne doświadczenie walki z faszyzmem i akceptacja władzy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a różnice niwelowano narracją „dobrzy żołnierze – źli dowódcy”. Od drugiej połowy lat pięćdziesiątych XX w. zaczęto więc – również w wojsku – szerzej i bardziej szczegółowo opowiadać o wybranych epizodach września 1939 r., choć nadal krytykowano Śmigłego-Rydza i całość rządów piłsudczykowski oraz negatywnie oceniano postawę aliantów zachodnich.

O tym, jak ludowe WP zmieniło w tym okresie stosunek do wydarzeń z 1939 r., świadczyć może książka płk. Zbigniewa Załuskiego *Siedem polskich grzechów głównych* z 1962 r. Autor, oficer polityczny i publicysta prasy wojskowej, w popularnonaukowym stylu bronił polskich tradycji orężnych przed romantykami rozkochanymi w martyrologii oraz „szydercami”, reprezentowanymi między innymi przez twórców polskiej szkoły filmowej. Publikacja wywołała dyskusję, pośrednio związaną z polityką, którą musiał przeciąć Komitet Centralny PZPR. W *Siedmiu polskich grzechach głównych* płk Załuski opisał między innymi szarżę pod Krojantami i obronę Westerplatte, podając przy tym czytelnikom w przystępny sposób rzetelną wiedzę na temat tych starć i polemizując z mitami, takimi jak szarża na czołgi. Jednocześnie oficer uczciwie wskazywał racjonalne działania polskiego żołnierza w czasie kampanii wrześniowej. W kontekście Krojant stwierdzał między innymi: „We Wrześniu bili się nie zbiegowie z domu wariatów, nie szaleńcy, ale milion ludzi, którzy chcieli bronić ojczyzny i wierzyli, że ją obronią”⁶.

W ciągu nieco ponad 10 lat propaganda ludowego WP przeszła od bardzo krytycznego i wąskiego spojrzenia na Wrzesień '39 do umiarkowanego przychylnego, skupiając się na bohaterstwie żołnierzy i politycznej krytyce dowódców. Zmiana ta jest charakterystyczna dla wielu dziedzin działania peerelowskiego wojska na polu historii, dużo mówi też o propagandzie tego okresu – ostrej i ideologicznej w okresie stalinowskim i bardziej zawaolowanej po 1956 r.

TOMASZ LESZKOWICZ historyk, pracownik Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej i redaktor portalu Histmag.org, w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk przygotował rozprawę doktorską o polityce pamięci historycznej ludowego Wojska Polskiego do 1981 r.

¹ Rozkaz Ministra Obrony Narodowej, „Polska Zbrojna”, 1 września 1949 r., s. 1.

² Marian Buczek, „Żołnierz Polski”, nr 34, 26 sierpnia 1949 r., s. 4.

³ W rocznicę Września, „Polska Zbrojna”, 31 sierpnia 1949 r., s. 3.

⁴ Zdrada Anglii w 1939 r., „Żołnierz Polski”, nr 33, 19 sierpnia 1949 r., s. 10.

⁵ Wrzesień, „Żołnierz Polski”, nr 34, 26 sierpnia 1949 r., s. 3. ⁶ Z. Załuski, *Siedem polskich grzechów głównych. Nieśmieszne igraszki*, Warszawa 1973, s. 76.



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

WRZESIEŃ 1939 W FILMIE POLSKIM

**Druga wojna światowa już
w czasie jej trwania stała się
niezwykle popularnym tematem
dla filmowców.**

ŁUKASZ JASINA, MICHAŁ KOZŁOWSKI

Kłęska wrześniowa w obecnej debacie historycznej nie jest wydarzeniem pierwszoplanowym. Bardzo mocno wybrzmiewają bowiem Powstanie Warszawskie, Holocaust i dzieje powojennego podziemia antykomunistycznego. Nie zawsze tak było. W czasie wojny i po niej, a także przez długą noc PRL to właśnie klęskę poniesioną w wojnie obronnej 1939 r. intensywnie analizowano na wszelkie sposoby. Mocniejsze było także jej miejsce w kulturze popularnej, a nade wszystko w filmie. Wrzesień '39 pojawiał się już w pierwszych polskich filmach fabularnych, które powstały po zakończeniu działań wojennych.

Nieoczekiwana symultana – Waszyński i Buczkowski

Historycy filmu wciąż spierają się o to, któremu obrazowi przysługuje miano pierwszego powojennego filmu polskiego. Przez długie lata za taki uchodził „Zakazane piosenki” Leonarda Buczkowskiego, które miały premierę w styczniu 1947 r., tuż przed sfalszowanymi wyborami do Sejmu Ustawodawczego. Łódzki „Film Polski” wcześniej zrealizował film fabularny „Dwie godziny” Stanisława Wohla i Józefa Wyszomirskiego, który zatrzymała cenzura. Pojawiła się wówczas kwestia tego, która produkcja powinna być uznana za pierwszy powojenny film polski. W rzeczywistości była nim – „Wielka droga” (1946) – wyprodukowana sumptem dowodzonego przez gen. Władysława Andersa 2 Korpusu Polskiego, a dokładniej Ośrodka Prasy i Kultury tej formacji. Film wyprodukowany w atelier słynnej rzymskiej wytwórni „Cinecittà”, gdy w tym samym czasie kiełkował tam włoski neorealizm, wyreżyserował weteran przedwojennego kina Michał Waszyński. W rolach głównych wystąpiły: Jadwiga Andrzejewska i Renata Bogdańska, wkrótce Andersowa.

Twórcy filmu pokazali Polaków zesłanych na Syberię i do Kazachstanu przez Związek Sowiecki po jego agresji na Polskę, którzy następnie przez Iran, Irak i Palestynę dotarli do Włoch. Obraz został wzbogacony fragmentami dokumentalnymi. Był to także przez lata jedyny film polski, w którym wrzesień 1939 r. opisany został w sposób prawdziwy i harmonijny. W kinie ludowej Polski nigdy nie pojawiła się bowiem nawet wzmianka o sowieckiej agresji i okupacji. Panujący w Polsce ustrój komunistyczny nie zamierzał do tego dopuścić. Sowieci owszem pojawiali się na ekranie albo jako tzw. wyzwolicieli, albo w formie aluzji. Prawdę powiedziano dopiero w „Wiatrakach z Ramley” (1989) Juliusza Janickiego. Film Waszyńskiego mimo że jest dziełem dobrym, nigdy

nie odegrał większej roli w polskim myśleniu. Zaprezentowany kilka razy po roku 1989 na pokazach lub w telewizji – nie zdobył popularności.

„Zakazane piosenki” Buczkowskiego oglądał zaś niemal każdy Polak, wpływ tego dzieła na popularne wyobrażenie przeciętnego Polaka był więc zdecydowany. Wrzesień '39 pojawił się tu na początku jako obraz klęski i bezprzykładnego załamania. Bez względu na to, jak wyglądała prawda historyczna, był to zasadniczy schemat peerelowskiej kinematografii. Peerel nie mógł wybaczyć elicie II RP tej porażki. Bez względu na prawdziwe ułomności międzywojennej Polski – klęska II RP była dla nowej władzy czynnikiem ją legitymizującym.

Stalinowskie milczenie

Względą prawdziwość zawartą w pierwszych powojennych filmach szybko zdusiła cenzura. Tak stało się również z tematyką wrześniową. Wtedy poświęcono jej tylko jeden – dość przypadkowy – film. W papierach lewicującego pisarza Emila Zegadłowicza odnaleziono po jego śmierci w 1941 r. sztukę teatralną „Domek z kart”. Ponieważ jej rozliczeniowy i komunizujący charakter pasował powojennym decydom, trafiła ona na deski Teatru Współczesnego w Warszawie, wyreżyserowana przez Erwina Axera. Wielki reżyser w 1953 r. przeniósł ją również na ekran. Historia komunistycznego dziennikarza Brunona Sztorca, zagranego przez Tadeusza Białoszczyńskiego, dzieje się w „pełnej prześladowań” sanacyjnej Polsce, w której nikt nie spodziewa się nadciągającej burzy. W najlepsze trwają bale i zabawy. Gdy wybucha wojna, pojawiają się liczne sekwencje ucieczki i kompromitacji władz. Rozmowę z uciekającym Sztorcem odbywa nawet premier Felicjan Sławoj Składkowski zainteresowany jedynie stanem higienicznym wiejskich toalet. Na końcu pojawiają się tzw. wyzwolicieli, czyli żołnierze sowieccy. W roli jednego z nich debiutował na dużym ekranie Bronisław Pawlik.

Gomułkowski przełom

Najtrwalsze okazały się te zdobycze polskiego października 1939 r., które dotyczyły spraw kulturalnych i historycznych. Potępienie okresu sprzed 1939 r. nigdy nie miało już tak jednoznacznego charakteru jak w okresie stalinowskim. Polska kinematografia także stała się instytucją wolniejszą, artystycznie ciekawszą i odważnie debatującą o historii. Pewne tematy zniknęły też z listy zakazanych, co nie oznacza, że nastąpił okres pełnej prawdy. Jeden z najbardziej symbolicznych filmów historycznych tego okresu: „Orzeł” (1958) Leonarda Buczkowskiego – był tego przykładem. Obraz miał gloryfikować bohaterską walkę, aby pokrzepić serca Polaków, którzy gorzko odczuwali każde wspomnienie o tamtej klęsce. „Orzeł” to film-pomnik. Oddawał ▶



hołd żołnierzom Września '39, jednak bez lukru, odczłowieczania i patosu. W założeniu reżysera „Orzeł” miał być wierną rekonstrukcją dziejów jednego z polskich okrętów podwodnych biorących udział w walkach Września '39. Historię wrześniowej walki i ucieczki z Morza Bałtyckiego legendarnego okrętu podwodnego jednak zmanipulowano. W opowieści o internowaniu okrętu w estońskim Tallinie całkowicie pominięto rolę dyplomatów sowieckich. Taki miał być odtąd wrzesień 1939 r. w polskiej kulturze: Polska odpierała agresję z Zachodu i była zdradzana przez aliantów, a na Wschodzie nie działo się nic. Swoista autocenzura nie zmieniało jednak tego, że filmowe dzieło Buczkowskiego może być uznane za jedno z najwybitniejszych osiągnięć kina wojenno-marynistycznego. Wieńczysław Gliński, Bronisław Pawlik, Jan Machulski i Ignacy Machowski chyba na zawsze pozostaną dla widzów twarzami załogi „Orła”, która z honorem legła na dnie kilka miesięcy po przedarciu się do Wielkiej Brytanii.

Wrzesień '39 pojawia się także w kinie gatunkowym. Jeden z pierwszych filmów Wojciecha Jerzego Hasa – „Pożegnania”, a dokładniej jego narracja, zasadza się na wrześnio-

wych pożegnaniach. Moment wojennego rozstania nie jest jedynie polskim motywem filmowym. To obraz, który – podobnie jak książkę – można zaliczyć do nurtu tzw. rozrachunków inteligenckich.

Błyskotliwa i piękna kariera filmowa Andrzeja Munka to polskie kino gatunkowe w najlepszej formie. „Eroica” (1958) i „Zezowate szczęście” (1960) uczyniły więcej dla rozliczenia z polską historią niż niejedno dzieło całkiem poważne. Starania Jana Piszczyka (Bogumił Kobiela), by dotrzeć do Zegrza, obraz upadku Polski, wzięcie protagonisty do niewoli i później jego kłamstwa są mocnym obrazem. A do tego jest to niezwykle śmieszne.

W tym samym czasie tematykę wrześniową wziął na warsztat najwybitniejszy reżyser polskiego kina – Andrzej Wajda. Jego „Lotna” (1959) to adaptacja powieści Wojciecha Żukrowskiego. Film wystawny i kolorowy, co wtedy było rzadkością. Niemniej Wajda często o nim nie wspominał i uważał go za nieudany, a opinię tę podzielała większość krytyków filmowych. Z perspektywy lat nadal razi podtrzymywanie różnych wrześniowych mitów, jak „walka ułanów z czołgami”, ale wątek konia i obraz ułanów bronią się. Wajda powrócił do

Kadr z filmu

„Wielka droga”.

Fot. FilMOTEKA Narodowa

września po latach, choćby w „Kronice wypadków miłosnych” (1985) i „Korczaku” (1990), ale przede wszystkim w „Katyniu” (2007). „Katyń” Wajdy to pierwsza polska fabuła, w której na równi postawiono niemiecką i sowiecką agresję, a nawet więcej uwagi poświęcono tej drugiej. Dzieło o katyńskim ludobójstwie było pierwszym filmem, w którym tak mocno ten temat wybrzmiał.

Różewicz i Wrzesień w Gdańsku

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych na dużym ekranie zadebiutował Stanisław Różewicz. Film „Wolne miasto” (1958) zapoczątkował cykl jego dzieł o kampanii wrześniowej. Był reklamowany jako pierwszy polski film o Wrześniu '39. Jego premiera odbyła się 1 września 1958 r. Obrona Poczty Polskiej w Gdańsku nie pochłonęła wszak tyle ofiar co walki o Warszawę. Nie miała też takiego polityczno-militarnego znaczenia jak bitwa pod Bzurą. „Wolne miasto” to przejmujący dramat o obronie poczty gdańskiej oraz wydarzeniach bezpośrednio ją poprzedzających, a także późniejszych, z barbarzyńską egzekucją polskich pocztowców włącznie. Obrazy niemieckich prowokacji, uczciwe oddanie atmosfery panującej w przedwojennym Gdańsku i historia obrony złożyły się na najlepszy film o wybuchu wojny. I to najwyższe miejsce – mimo upływu sześćdziesięciu lat – obraz ten zachował. Różewicz wrócił do Gdańska jeszcze raz, tym razem z epickim „Westerplatte” (1967). To film stworzony z rozmachem i... dużą dozą szczęścia. Realizatorzy niemalże ścigali się z budowniczymi pomnika Obrońców Wybrzeża niwelującymi półwysep. Większość ujęć filmowych nakręcono jednak na poligonie w podwarszawskim Rembertowie. Efektem był obraz historycznie znośny, acz nierówny. Niemniej podobnie jak w wypadku poprzedniego dzieła, lepszemu obrazowi obrony Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte ciągle się nie doczekaliśmy. „Tajemnica Westerplatte” (2013) Pawła Chochlewa może być co najwyżej uznana za filmowe kuriozum. O randze artystycznej twórczości Stanisława Różewicza świadczy paradoksalnie również plagiat, którego – w nagrodzonym Oscarem dla najlepszego filmu obcojęzycznego – filmie „Blaszany bębnek” (1979) dopuścił się Volker Schlöndorff. Sceny obrony poczty gdańskiej kręcone w Polsce i z udziałem polskich aktorów są niemalże przeniesieniem jeden do jednego z „Wolnego miasta”.

Tematyka obrony Wybrzeża wróciła później, ale już w serialach telewizyjnych. Pojawiła się w symbolicznym zakończeniu sensacyjnego serialu: „Na kłopoty... Bednarski” (1986) Pawła Pitery. Stanowi także oś narracyjną jubileuszowego serialu „Gdańsk '39” (1989) weterana Zbigniewa Kuźmińskiego. Są tam nie tylko pocztowcy i westerplatczycy, ale także mordowani celnicy i kolejarze, polska ludność cywilna i urzędnicy Komisarjatu Generalnego RP w Wolnym Mieście Gdańsku.

Petelscy

W czasach gomułkowskich rozwinęła się też twórczość zapomnianych obecnie i stygmatyzowanych za serwilizm wobec komunistycznej władzy reżyserów: Ewy i Czesława Petelskich. Ta twórcza para zajmowała się głównie kinem historycznym, ale nie tylko. Wszak Petelskim zawdzięczamy jeden z najdojrzalszych filmów o wrześniowych losach cywilów – „Don Gabriela” (1966). To jedna z nielicznych produkcji, w których Bronisław Pawlik otrzymał główną rolę. Dzieje profesora Uniwersytetu Warszawskiego i miłośnika niemieckiej kultury, który trochę przypadkiem, a trochę z miłości do kobiety został wojennym bohaterem, godne są przypomnienia filmowej publiczności. Po latach w scenariuszu „Urodzin młodego warszawiaka” (1980) napisanym przez Jerzego Stefana Stawińskiego pojawił się wrześniowy segment. Film jest ekranizacją powieści Stawińskiego. Jego akcja toczy się podczas czterech dni urodzinowych Jerzego Bieleckiego. Jurek 24 września 1939 r., w swoje osiemnaste urodziny, pod silnym ob-

Pierwszym powojennym filmem polskim była „Wielka droga” Michała Waszyńskiego.

strzałem naprawiał przerwana linię telefoniczną pomiędzy gmachem Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowej przy Targowej a Zamkiem Królewskim. Wieczorną wizytę u ojca na Mokotowie zakłócały odgłosy walk o pobliską Królikarnię. Był to jeden z najmocniejszych opisów oblężenia Warszawy.

Symbolicznym zakończeniem obecności Września '39 w kinie polskim ery gomułkowskiej są „Sąsiedzi” (1969) Aleksandra Ścibora-Rylskiego. To próba rekonstrukcji wydarzeń 3 i 4 września 1939 r. w Bydgoszczy i opowiedzenia o zbrodniach na ludności cywilnej, do tej pory – jeśli nie liczyć gdańskich pocztowców – zazwyczaj pomijanej. Odtąd jest w polskim filmie więcej o jej tragedii, a nie tylko o przemarszach ułanów.

Filmy lat siedemdziesiątych

W czasach gierkowskich inwestowano wielkie środki w telewizję i to właśnie produkcje kreowane na Woronicza miały się stać rychło nowym rodzajem kina historycznego w Polsce. Rozwijało się też kino paradokumentalne. Najbardziej znaczącym filmem o wrześniu

1939 r. z tego okresu pozostało dzieło tradycyjne – „Hubal” (1973) Bohdana Poręby. Reżyser wprowadzić nie zapisał się dobrze w historii Polski ze względu na kolaborację z komunistyczną władzą, niemniej monumentalne dzieło o dowódcy Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego jawi się jako pierwszy polski film wojenny „na skalę amerykańską” z wciąż wzruszającą muzyką Wojciecha Kilara i wspaniałymi rolami pierwszo- i drugoplanowymi. Ryszard Filipiński to „Hubal” doskonały. Manipulacji nie uniknęła jednak warstwa historyczna, a scenarzysta Jan Józef Szczepański odżegnywał się potem od gotowego filmu. Cóż... w czasach gierkowskich żołnierze mjr. „Hubala” dalej nie mogli walczyć z Sowietami.

Okres propagandy sukcesu to także pierwszy, wielki wrześnieiowy film biograficzny „Gdziekolwiek jesteś, panie prezydencie...” (1978) zrealizowany przez dokumentalistę Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego. Tytuł nawiązuje do dalszych losów jego bohatera, Stefana Starzyńskiego, prezydenta Warszawy i jej obrońcy we wrześniu. Mimo ewakuacji prezydenta i rządu – Starzyński pozostał na posterunku do czasu swojego aresztowania przez Niemców w październiku 1939 r. Rastawieckiemu udało się uniknąć pułapek cenzuralnych, a Tadeusz Łomnicki w roli Starzyńskiego dał dojrzawy portret tego męża stanu. Sceny tragedii barbarzyńsko niszczonego miasta i losy jego mieszkańców pozostają jednak we wspomnieniach najmocniej. Film sprawia wrażenie, jakby był dokumentem pochodzącym z 1939 r.

W tym czasie odzyskał również miejsce na ekranie Górny Śląsk i obrona Katowic. Niemalże nie pamiętaliśmy o niej i nie zostałyby postawione po wielu latach pomniki, gdyby nie „Ptaki ptakom” (1976) Pawła Komorowskiego, film o obronie wieży spadochronowej. Z perspektywy lat wiemy, że nie wyglądała ona tak jak w filmie, ale przywrócenie należnego miejsca obrońcom zachodniej granicy Rzeczypospolitej pozostała tego filmu osiągnięciem. Możliwości produkcyjne telewizji umożliwiły też realizację mniejszych, ale ciekawych produkcji, które dotyczyły także tematyki wrześnieiowej jak „Operacja Himmler” (1979) w reżyserii Zbigniewa Chmielewskiego. Film jest opowieścią o tzw. prowokacji gliwickiej. Grupa esesmanów w polskich mundurach wtargnęła 31 sierpnia 1939 r. w Gliwicach do stacji radiowej i ogłosiła komunikat w języku polskim, w którym nawoływała do wojny z Niemcami. Prowokacja ta miała stanowić usprawiedliwienie napaści III Rzeszy na Polskę. Autorzy filmu z dokumentalną wiernością odtworzyli tamte wydarzenia. Przedstawili dzień po dniu, godzina po godzinie przygotowania do akcji i jej przebieg. Reżyserzy jednak z przedstawienia kulis polityki na najwyższym szczeblu. Innym przykładem produkcji telewizyjnej jest „Tajemnica Enigmy” (1979) Romana Wionczka, która z uwagi na zainteresowanie widzów została przerobiona na film kinowy „Sekret Enigmy”.



Danuta Szaflarska i Jerzy Duszyński, aktorzy odtwarzający główne role w filmie „Zakazane piosenki”. Okładka pisma „Film” z 1 stycznia 1947 r. Fot. domena publiczna

Najciekawszy i najbardziej zgodny z historią obraz wrześnieiowej klęski daje w tym okresie jednak wielodcinkowa produkcja telewizyjna Janusza Morgensterna: „Polskie drogi” (1976). Segment poświęcony 1939 r. jest najmniej zakłamywany. Pokazane są tu walki oddziału Wojska Polskiego, samobójstwa przed kapitulacją, losy cywilów, a także irredenta niektórych mniejszości narodowych (Niemców z Wołynia). Mamy także po raz pierwszy Sowietów i Kresy Wschodnie II RP, choć w bardzo ograniczonym zakresie.

Pełnym nieporozumieniem okazała się próba ukazania losów polskiego złota we wrześniu 1939 r. w formie sensacyjnej. Sprawcą tej klęski był reżyser wspomnianego już „Hubala” Bohdan Poręba („Złoty pociąg”, 1986).

MICHAŁ KOZŁOWSKI historyk, pracownik Sekcji Badań nad Wojskiem po 1945 roku Wojskowego Biura Historycznego im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego.

ŁUKASZ JASINA doktor filmoznawstwa, historyk, pracownik Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, sekretarz redakcji „Polskiego Przeglądu Dyplomatycznego”.

Wojna górali

Historia wojskowych formacji górskich – obok jednostek specjalnych – budzi nieustające zainteresowanie miłośników militariów.

PIOTR KORCZYŃSKI

W odróżnieniu od akcji specjalnych i desantowych, kampanie górskie są wciąż mało znane. W książce *Wrzesień 1939 w dolinie Dunajca* Dawid Golik szczegółowo przybliża pierwsze wielkie starcie jednostek górskich w II wojnie światowej, i nie jest to jedyna zaleta tej książki.

Spisz, Orawa, Pieniny, Beskid Wyspowy, doliny Dunajca i Popradu, Krościenko, Limanowa, Stary Sącz i Nowy Sącz... Wszystkie te nazwy kojarzą się miłośnikom turystyki nie tylko z malowniczymi krajobrazami południowych krańców Polski. Kto choć raz płynął przełomem Dunajca, między pienińskimi szczytami, ten przyzna, że jest to widok niezapomniany. Tymi okolicami oczarowani byli również żołnierze niemieckiej 2 Dywizji Strzelców Górskich, którzy 1 września 1939 r. przynieśli w nie pożogę i zniszczenia. Agresorom z Tyrolu wspomaganym przez Słowaków zejścia w doliny bronili żołnierze 1 Pułku Strzelców Podhalańskich, Korpusu Ochrony Pogranicza i Obrony Narodowej z Armii „Karpaty” gen. Kazimierza Fabrycego.

Książka dr. Golika nosi podtytuł, który wskazuje dokładnie jej zakres tematyczny: *Bój graniczny i walki nad górnym Dunajcem między 1 a 6 września 1939 roku*. Jak autor przyznaje we wstępie: „Mimo że walki nad górnym Dunajcem były już wielokrotnie opisywane, nigdy jednak nie powstało wyczerpujące opracowanie, które sumowałoby dotychczasowe ustalenia i zestawiało z sobą dokumenty i relacje polskie, niemieckie i słowackie. Nie starano się również, jak dotąd, rzetelnie przedstawić losów dotkniętej działaniami wojennymi ludności cywilnej” (s. 12). Dawid Golik wszystkie te niedociągnięcia poprzedników dopełnił znakomicie. W sześciu

rozdziałach przedstawił chronologicznie, lecz z różnych punktów widzenia – pierwsze starcia w Pieninach i na Spiszu, obronę umocnionych pozycji pod Kłodnem i na Wietrznicy, która pokrzyżowała niemieckie plany blitzkriegu w głąb Małopolski, wreszcie ukazał walki o Nowy Sącz. Autor wykazuje, przywołując dokumenty i relacje obu stron konfliktu, że Wehrmacht od pierwszych dni wojny stosował wobec ludności cywilnej brutalny terror. Nabiera to dodatkowej wymowy, jeśli weźmie się pod uwagę, że 2 Dywizja Strzelców Górskich nie tylko była jednostką elitarną, ale większość jej żołnierzy stanowili Austriacy, którzy przecież nie tak dawno byli dla mieszkańców Małopolski „współobywatelami”. Zdarzało się, że naprzeciw siebie stawiali weterani z ck armii walczący ramie w ramie na wysokogórskim froncie włoskim I wojny światowej. Mimo to zatrwajając często dochodziło do krwawych pacyfikacji, jak chociażby w Świniarsku niedaleko Nowego Sącza, gdzie 5 września strzelcy górcy rozstrzelali kilkunastu mieszkańców tej wsi.

Czytając opisy bohaterskiej obrony przez nieliczne oddziały polskie, nasuwa się refleksja, że wielka szkoda, iż tacy bojowi oficerowie, jak mjr Włodzimierz Kraszkiewicz, kpt. Roman II Wróblewski, kpt. Włodzimierz Pałucki i por Karol Falzman, dysponowali tak szczupłymi siłami do obrony doliny Dunajca. Podhalańscy, żołnierze KOP z Wołynia i limanowskiej Obrony Narodowej spełnili obowiązki wobec ojczyzny z nawiązką, stając na przeciw przytłaczających sił nieprzyjaciela. *Wrzesień 1939 w dolinie Dunajca* nie tylko oddaje im w pełni zasłużony honor i przywraca o nich pamięć, ale stanowi także przewodnik po miejscach ich walki. I to jest kolejna niebagatelna wartość tej publikacji. ■



Dawid Golik, *Wrzesień 1939 w dolinie Dunajca. Bój graniczny i walki nad górnym Dunajcem między 1 a 6 września 1939 roku*, Kraków 2018.



Zaświadczenie Alicji Bełdowskiej o przejściu kursu przy sposobieniu wojskowego. Fot. Zbiory Dominika Kaźmierskiego



Przegląd obozu. Fot. Zbiory Dominika Kaźmierskiego



Alarmy polowe odbywały się z reguły nad ranem. W kilka minut – czas mierzono stoperem – cały obóz (namioty i postania) musiał zostać zlikwidowany, a żołnierze mieli być gotowi do wymarszu. Fot. Zbiory Dominika Kaźmierskiego

Love story bez happy endu

Bywają takie spotkania jej z nim, które pozostają w pamięci do końca życia. Zwłaszcza jeśli zdarzyły się w obliczu wojennych zagrożeń, gdy ten przedwczesny koniec mógł nadejść w każdej chwili.

DOMINIK KAŹMIERSKI

Mijał pierwszy tydzień września 1939 r. Był upalny wieczór. On jechał w konwoju, w którym transportowano czołgi TKS zgierskiego garnizonu. Była to jedna z dwóch kompanii czołgów rozpoznawczych sformowanych z 10 Batalionu Pancernego stacjonującego przed wojną w Zgierzu. Ona wyszła na drogę porozmawiać z żołnierzami.

– Opuścimy miasto – powiedział. – Za moment będą tutaj Niemcy. Wskakuj na ciężarówkę, zabierzemy cię ze sobą.

– Nie mogę – odpowiedziała. – Dowodzę posterunkiem i nie chcę go opuścić. – Po czym ze smutnym wyrazem twarzy patrzyła, jak polscy żołnierze odjeżdżają w kierunku zachodzącego słońca.

Historia jak z taniego romansu, prawda? A jednak wydarzyła się naprawdę. Znali się od dawna. Pochodzili z dobrze sytuowanych rodzin z okolicy Zgierza. Ich rodziny były znane i poważane. Mogli przypuszczać, że czeka ich świetlana przyszłość. Ale okrutny los chciał inaczej.

Roman Piaskowski był podoficerem, mechanikiem służącym w zgierskim garnizonie. Alicja Bełdowska to również... żołnierz. Nie byle jaki, choć mało znane jest formowanie w przedwojennym Wojsku Polskim oddziałów kobiecych. I to nie tylko formacji pomocniczych. Organizowano też kursy, na których szkolono kadrę kierowniczą, która w chwili wybuchu wojny miała zorganizować i nadzorować wojskowe placówki położone na tyłach.



1



2



3

1. Na obóz przyjechały też dziewczęta z Rumunii (w strojach ludowych). Ich szkolenie odbywało się w języku francuskim. Fot. Zbiory Dominika Kaźmierskiego
2. Narada instruktoerek obozu. W środku komendantka obozu Helena Wenryk. Fot. Zbiory Dominika Kaźmierskiego
3. List do Alicji Beldowskiej wysłany z obozu internowania na Węgrzech. Fot. Zbiory Dominika Kaźmierskiego

Jednym z miejsc, w których organizowano szkolenia, była miejscowość Połczyn koło Kościerzyny na Pomorzu. Alicja Beldowska brała udział w obozie zorganizowanym tam na przełomie lipca i sierpnia 1939 r. „Było nas około 1000 dziewcząt – wspominała po latach. – Przeszliśmy pełne przeszkolenie wojskowe. Uczono udzielania pierwszej pomocy i organizowania służb pomocniczych na wypadek wojny (połowe szpitale czy kuchnie), ale nie tylko. Odbywały się także strzelania ostrą amunicją, ćwiczenia w obsłudze karabinów. Rzucałyśmy nawet granatami”¹.

Obóz w Kościerzynie znajdował się na poligonie wojskowym i – jak na tamte czasy – był znakomicie wyposażony. Wszystkie uczestniczki kursu spały w namiotach. Jednak kuchnia, prysznice i pozostałe budynki gospodarcze były murowane. Niczego nie brakowało. Całość finansowało Ministerstwo Spraw Wojskowych.

Alicja Beldowska patriotyczne zaangażowanie wyniosła z rodzinnego domu. Podczas I wojny światowej jej ojciec Teofil Beldowski w swojej cegielni zorganizował tajny kurs podoficerski członków Polskiej Organizacji Wojskowej, więc nie sprzeciwiał się, gdy jego córka nie chciała się dzieć biernie w obliczu nadciągającego zagrożenia.

„Wiedza zdobyta na kursie [ukończonym 15 sierpnia] przydała mi się już dwa tygodnie później – opowiadała. – Pierwszego września zorganizowałam kuchnię dla posterunku Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej w ce-

gielni mojego ojca w podzgierskiej wówczas wsi Aniołów. Na dachach budynków, skąd było widać całą okolicę, [członkowie Ligi] zamontowali wieżę obserwacyjną. Dyżurowali całą dobę i wypatrywali niemieckich samolotów. Informowali o nich pobliskie koszary w Zgierzu przy ulicy Konstantynowskiej”². Trwało to niecały tydzień. Niemcy 6 września ostrzelali cegielnię Teofila Beldowskiego i zlikwidowali posterunek. Tego samego dnia zajęli też zgierskie koszary. Kuchnię pozostawili. Przez kilka tygodni gotowane było w niej jedzenie dla polskich jeńców, dla których w koszarach urządzono obóz przejściowy.

Wówczas to – jak po latach wspominała z rozrzewaniem – nastąpiła scena przytoczona na początku tekstu. A co było dalej? Ano to, co stało się udziałem tysięcy, milionów obywateli przedwojennej Rzeczypospolitej. Rozłąka. Najpierw wojenna. Później zaś rozdzielił ich powojenny porządek polityczny świata. Roman Piaskowski pozostał na emigracji w Wielkiej Brytanii, Alicja Beldowska mieszkała w komunistycznej Polsce. I nie spotkali się już nigdy więcej. Pozostały pocztówki i zdjęcia. Oraz historia, która się za nimi kryje, a którą to pani Beldowska mi kiedyś opowiedziała. ■

DOMINIK KAŻMIERSKI historyk, dziennikarz, nauczyciel. Współpracował m.in. z „Nowym Państwem”, „Dziennikiem. Polska, Europa, Świat” i „Uważam Rze. Historia”.

¹ Relacja złożona Dominikowi Kaźmierskiemu jesienią 2007 r. ² Tamże.

Legenda wrześniowych sztandarów

Od rozpoczęcia II wojny światowej minęło 80 już lat, muzealnicy i kolekcjonerzy nie zaprzestali jednak poszukiwania sztandarów, pod którymi we wrześniu 1939 r. polscy żołnierze bronili napadniętej ojczyzny. A najważniejszym miejscem dla tych znaków jest Muzeum Wojska Polskiego.

JAROSŁAW PYCH

Opowieści wrześniowych sztandarów – tak swoją książkę zatytułował Kazimierz Satora w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku zastępca dyrektora Muzeum Wojska Polskiego. Publikacja ta wydana w 1990 r. stanowiła bilans rozpoczętej w 1959 r. akcji społecznej poszukiwania sztandarów pułkowych, z którymi polscy żołnierze wyruszyli w bój we wrześniu 1939 r. Choć od tamtych wydarzeń minęło już 80 lat, nadal trwają poszukiwania zaginionych w zawierusze wojennej sztandarów, a ich legenda rozpala wyobraźnię muzealników i kolekcjonerów. Znaki, które odnaleziono lub uratowano przed najeźdźcami, w większości trafiły tam, gdzie znalazły godne miejsce i właściwą ochronę – do zbiorów muzealnych.

Londyn 1939 r.

Niektóre sztandary – uratowane i wywiezione z kraju jeszcze w 1939 r. – różnymi drogami trafiły do Londynu. Tam – nie pełniąc już roli znaków bojowych – przechowywano je w wojskowej składnicy muzealnej w szkockiej miejscowości Banknock. Po zakończeniu wojny sztandary te – na mocy dekretu prezydenta RP Władysława Raczkiewicza z 26 czerwca 1945 r. – wraz ze sztandarami bojowymi Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie złożono w Instytucie Historycznym

im. gen. Sikorskiego (w 1964 r. przekształconym w Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego). Wiszą one w salach muzealnych instytutu do dziś, dając świadectwo męstwa polskiego żołnierza, a w latach zimnej wojny przypominając dawnym sojusznikom o polskim wkładzie w zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami.

Akcja poszukiwania sztandarów zapoczątkowana przez Muzeum Wojska Polskiego w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku zaowocowała pozyskaniem wielu z ukrytych do tej pory sztandarów. W odpowiedzi na apel zgłaszali się kombatanci, byli żołnierze, a także osoby cywilne, którym powierzono na przechowanie sztandary. Przekazywali oni ukrywane przez siebie znaki lub pomagali ustalić, gdzie należy ich poszukiwać. W muzeum skrupulatnie spisywano wszystkie relacje, sprawdzano tropy i podejmowano akcje poszukiwawcze, do których często włączało się wojsko rozumiejące wagę przedsięwzięcia. Pozyskane w ten sposób sztandary poddawano zabiegom konserwatorskim, przywracając im świetność i pierwotny blask najwyższych znaków wojskowych, po czym – o ile było to możliwe – udostępniano badaczom oraz zwiedzającym.

Chorągwie, które trafiły do Londynu, i te, które pozyskało w wyniku akcji poszukiwaw-



Fot. zbiory Muzeum Wojska Polskiego

czej Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie – szczęśliwie uniknęły niemieckiej i sowieckiej niewoli. Jednak nie wszystkie znaki miały to szczęście. Kilka sztandarów dostało się w ręce Niemców. Nie były to jednak typowe trofea wojenne. Nie zdobyto ich bowiem w boju, lecz wydobyto z ukrycia. Pozyskiwano informacje o nich od jeńców, torturując ich, lub zdrajców oraz od świadków wydarzeń i wielu innych osób. Niemcy chętnie się tymi zdobyczami, eksponując je w berlińskim arsenale, gdzie urządzono wystawę trofeów kampanii polskiej i francuskiej. Wiosną 1942 r. sztandary te zobaczył młody robotnik przymusowy Władek Lenczewski i – zraniony tym faktem, w poczuciu patriotyzmu – postanowił je wykraść z arsenału. W przedsięwzięcie wtajemniczył brata. Nocą z 20

na 21 czerwca 1942 r. braciom Władowi i Frankowi Lenczewskim udało się wykraść pamiątkową buławę marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza. Ze sztandarów musieli zrezygnować ze względu na ich duże rozmiary. Na skutek akcji rozwścieczeni Niemcy wstydliwie usunęli z centralnego dziedzińca arsenału wystawę polskich sztandarów, chowając je do magazynów, by uchronić znaki przed zakusami Polaków. Nieco ponad rok później inni Polacy podjęli kolejną wyprawę po polskie trofea do berlińskiego Zeughausu (arsenału), tym razem we współpracy z niemieckim antyfaszystowskim ruchem oporu. Ponieważ sztandary ukryte były nadal w magazynach, odzyskano tylko proporzec prezydenta RP i kilka mniejszej rangi weksyliów.

Niemcy 1971 r.

Ukryte w magazynach berlińskiego arsenału sztandary trafiły jednak do Polski. Szczęśliwie przetrwały zdobycie Berlina i masowe wywózki przez sowieckich żołnierzy ocalałych z pożogi wojennej dzieł sztuki oraz pamiątek historycznych. W 1970 r. w Berlinie gościł Aleksander Czerwiński, ówczesny wicedyrektor Muzeum Wojska Polskiego. Podczas wizyty w magazynach berlińskiego Muzeum Historii Niemiec, na które po wojnie zamieniono arsenał, dostrzegł wystające z pokrowca skrzydło orła głowicy sztandaru wrześnieowego. Szybko okazało się, że w kącie pomieszczenia stoi jeszcze kilka sztandarów polskich. Były to te same znaki, które widzieli w czasie wojny polscy robotnicy i których nie udało się wówczas wynieść z arsenału. W wyniku starań strony polskiej i życzliwej postawy muzealników oraz władz Niemieckiej Republiki Demokratycznej sztandary już w 1971 r. trafiły do zbiorów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Pewna bliżej nieokreślona ilość sztandarów wrześnieowych dostała się w ręce Armii Czerwonej. Po inwazji Związku Sowieckiego na Polskę ok. 35 znaków znalazło się na obszarze Kresów Wschodnich. Niektóre z nich zostały ukryte, inne szlakiem wschodnim

wywieziono przez Węgry i Rumunię na Zachód. Również znaki, które dostały się w ręce sowieckie, trudno nazwać trofeami. Wszak nie zdobyto ich w walce, bo też żołnierz polski, zgodnie z rozkazem Kwatery Głównej Naczelnego Wodza, miał „z Sowietami nie walczyć”.

Rosja po 1989 r.

Przez wiele lat problem rewindykacji sztandarów ze Związku Sowieckiego nie był podnoszony. Pierwsze nieśmiałe próby podjęto dopiero w 1986 r., wnosząc o rozpoczęcie kwerend w muzeach i archiwach rosyjskich. Dopiero jednak po 1989 r., polityczna koniunktura umożliwiła postawienie sprawy odzyskania sztandarów jako jednego z celów ułożenia stosunków z będącym w kryzysie politycznym sąsiadem. W wyniku starań ówczesnej dyrekcji Muzeum Wojska Polskiego oraz Ambasady RP w Moskwie w magazynach Centralnego Muzeum Sił Zbrojnych Rosji odnaleziono trzy wrześnieńskie sztandary. Stronie polskiej zostały one przekazane przy okazji wizyty delegacji państwowej z prezydentem RP Lechem Wałęsą u prezydenta Borysa Jelcyna w maju 1992 r. Trafiły następnie – podobnie jak transfer z Berlina – do zbiorów Muzeum Wojska Polskiego. Od tego czasu nie udało się jednak przeprowadzić dalszej kwerendy w zbiorach rosyjskich.

Sztandary przekazane z Rosji były ostatnimi, które Muzeum Wojska Polskiego pozyskało dzięki wsparciu instytucji państwa polskiego. Od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku wobec obojętności ówczesnych władz i niekorzystnej dla muzealników interpretacji przepisów prawnych inicjatywę poszukiwania zaginionych sztandarów wrześnieńskich przejęły prywatne grupy poszukiwawcze i kolekcjonerzy militariów, a odnajdywane sztandary i ich elementy stały się przedmiotem handlu kolekcjonerskiego. Muzeum Wojska Polskiego, chcąc pozyskać takie sztandary, było zmuszone ulegać dyktatu kolekcjonerów i płacić coraz większe sumy za pamiątki, które z mocy prawa powinny trafiać do zbiorów.

Warszawa dzisiaj

Dopiero ostatnie lata przyniosły wyraźną poprawę w tym zakresie. Polityka historyczna prowadzona przez rząd RP zaowocowała także troską o los tych historycznych pamiątek. Ministerstwo Kultury coraz częściej



Fot. zbiory Muzeum Wojska Polskiego

włącza się w akcje restytucji takich pamiątek, stojąc na stanowisku, że sztandary jako insygnia jednostek Wojska Polskiego – stanowiły własność Skarbu Państwa, a ich ukrycie przed wrogiem w czasie wojny nie może stanowić przesłanki utraty własności sztandaru. Należy więc przyjąć domniemanie, że sztandary ukryte w 1939 r. i odnajdywane współcześnie pozostają własnością Skarbu Państwa.

Tak rozumując, można przyjąć, że znalazcy powinni znaki przekazywać nieodpłatnie do zbiorów muzealnych. Rodzi się tu od razu pytanie, które muzea krajowe mają prawo do przechowywania takich pamiątek. W ostatnich latach jednak kilka sztandarów wrześnieńskich – wolą kombatantów, osób je przechowujących lub znalazców – trafiło do różnych muzeów. Ale w ślad za wieloletnią tradycją – jedynym właściwym miejscem przechowywania pamiątek militarnej chwały i sławy oręża polskiego jest Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Właśnie w tym celu blisko sto lat temu zostało ono powołane przez marsz. Józefa Piłsudskiego. To tu znajduje się większość ocalałych z wojen sztandarów wojskowych, tu też trafiły sztandary wrześnieńskie odzyskane z Berlina i Moskwy oraz większość tych, które udało się odnaleźć w drugiej połowie ubiegłego wieku.

Sprawę tę regulował już *Rozkaz Ministra Spraw Wojskowych nr 1029 z 31 grudnia 1920 r.* opublikowany w *Dzienniku Rozkazów MSWojsk nr 50/1920*. Rozkaz nakazywał przekazywanie sztandarów likwidowanych jednostek Wojska Polskiego i sztandarów nieaktualnych wzorów do zbiorów Muzeum Wojska. Przepisy te nigdy nie zostały uchylone, a po wojnie stosowne, aktualizowane wielokrotnie przepisy wojskowe wskazywały i wskazują do dziś Muzeum Wojska Polskiego jako jedyną placówkę muzealną uprawnioną do przechowywania historycznych sztandarów wojskowych. Wydaje się więc oczywiste, że właśnie MWP powinno

nadal gromadzić jako jedyne uprawnione sztandary zarówno jednostek likwidowanych w drodze administracyjnej, jak i tych, które przestały istnieć na skutek działań wojennych, ale ich znaki ocalały z pożogi. ■

JAROSŁAW PYCH muzealnik, weksylolog, pracownik naukowy i kustosz kolekcji weksyliów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, członek Polskiego Towarzystwa Weksylologicznego i komisji historycznej w Ministerstwie Obrony Narodowej. Autor wielu publikacji z zakresu weksylologii i historii kolekcjonerstwa polskiego.

Zbyszko z Kruszwicy – obrońca Helu

Decyzją władz polskich na uchodźstwie za męstwo i niezłomną postawę został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari.

ANNA DĄBROWSKA

Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militari V klasy z okresu dwudziestolecia międzywojennego.

Fot. WCN



Kmdr por. Zbigniew Przybyszewski.

Fot. zbiory Mariusza Borowiaka

Zbigniew Przybyszewski urodził się 22 września 1907 r. w Giżewie pod Kruszwicą, w rodzinie ziemiańskiej. Za namową ojca skończył Wydział Morski Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej w Toruniu. Służył m.in. jako I oficer artylerii na niszczycielu ORP „Burza” i ORP „Błyskawica”. Pod jego dowództwem marynarze z ORP „Burza” w 1937 r. zdobyli mistrzostwo floty w strzelaniu artyleryjskim.

Dzięki temu, że miał opinię jednego z najlepszych artylerzystów morskich we flocie, kpt. Przybyszewski, nazywany w Marynarce Wojennej „Zbyskiem z Kruszwicy”, został pod koniec 1938 r. dowódcą 31 Baterii Artylerii Nadbrzeżnej im. Heliadora Laskowskiego, najpotężniejszej polskiej baterii obrony Wybrzeża. Znajdowała się ona na helskim cyplu i składała się z czterech dział Boforsa kal. 152,4 mm.

Kapitan Przybyszewski dowodził baterią przez 32 dni obrony Helu. Prowadził skuteczny ogień przeciwko niemieckiej flocie i do końca utrzymał dyscyplinę wśród swoich żołnierzy. Helskie działa 25 września stoczyły pojedynek z niemieckimi pancernikami „Schleswig-Holstein” i „Schlesien”. „Doszło do pamiętnej walki artyleryjskiej baterii cyplowej z obu pancernikami, które opuszczając Gdańsk i podchodząc na bliższą niż zazwyczaj odległość, umożliwiły baterii otworzenie do nich skutecznego ognia” – zapisał Jerzy Pertek w książce *Wielkie dni małej floty*. Oba okręty nie wytrzymały pojedynku i opuściły pole walki.

Podczas ostrzału kapitan został ranny, jednak już po trzech dniach wrócił z ręką na

temblaku do dowodzenia baterią. Za męstwo w czasie obrony Helu i niezłomną postawę kpt. Przybyszewski został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari decyzją władz polskich na uchodźstwie z 30 października 1946 r.

Po kapitulacji oficer dostał się do oflagu, a po zakończeniu wojny wrócił do kraju i włączył się w odbudowę Marynarki Wojennej. Awansował do stopnia komandora porucznika i był m.in. dowódcą nowo sformowanego 31 Dywizjonu Artylerii Nadbrzeżnej w Redłowie oraz zastępcą szefa Wydziału Marynarki Wojennej przy Sztabie Generalnym Wojska Polskiego.

We wrześniu 1950 r. został aresztowany i oskarżony przez komunistyczne władze o stworzenie w Marynarce Wojennej wraz z grupą oficerów organizacji mającej na celu obalenie władzy ludowej w ramach tzw. spisku komandorów. Po trwającym niemal dwa lata brutalnym śledztwie Najwyższy Sąd Wojskowy skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano 16 grudnia 1952 r.

Jego szczątki odnaleziono dopiero w 2014 r. w kwaterze na Łączce na Wojskowych Powązkach w Warszawie. Trzy lata później oficera uroczystie pochowano na Cmentarzu Marynarki Wojennej w Gdyni-Oksywiu. Pośmiertnie został awansowany do stopnia komandora.

ANNA DĄBROWSKA dziennikarka portalu Polska-zbrojna.pl i miesięcznika „Polska Zbrojna”.

BIBLIOGRAFIA

Jerzy Pertek, *Wielkie dni małej floty*, Poznań 2015.

II wojnę światową zdominowały lotnictwo, czołgi i artyleria. Podstawowym rodzajem broni pozostawała jednak piechota, której trzon tworzyli strzelcy z karabinami. Standardową bronią przedwojennego Wojska Polskiego były karabiny i karabinki systemu stworzonego przez braci Mauserów.

MICHAŁ MACKIEWICZ

Wojsku Polskiemu 1 września 1939 r. przyszło się zmierzyć z nowoczesną armią stosującą strategię wojny błyskawicznej. Choć obrońcy II Rzeczypospolitej nie byli pozbawieni atutów, a w ich arsenale znajdowało się sporo nowoczesnych środków walki, to technologiczna i ilościowa przewaga Wehrmachtu była bezdyskusyjna. Tylko pojedynczy żołnierze zdawali się być niemal identyczni, jakby przeniesieni z pól bitewnych poprzedniego światowego konfliktu. Ich uzbrojenie stanowiły karabiny i karabinki (kb i kbk) systemu Mausera, konstrukcyjnie sięgające schyłku poprzedniego stulecia, chociaż wciąż odpowiadające założeniom taktycznym. „Karabin nie stracił nic na wartości i znaczeniu w boju. Jest on w dalszym ciągu główną i groźną bronią w ręku piechura – doskonałym i niezastąpionym narzędziem walki”¹ – zapisano w polskim przedwojennym regulaminie.

Sukces wieńczy dzieło – Gewehr 98

W lipcu 1900 r. międzynarodowy korpus ekspedycyjny rozpoczął tłumienie chińskiego powstania bokserów (1899–1901). Wśród interweniujących wojsk znajdował się kontyngent niemiecki wyposażony w kb wz.1898.² Był to początek bojowej kariery broni opracowanej w firmie braci Mauserów mającej siedzibę w Oberndorfe nad rzeką Neckar. Firma zdobyła doświadczenie w projektowaniu długiej broni palnej, ponieważ od początku lat siedemdziesiątych XIX w. zaopatrywała w kb armię Rzeszy, a z końcem lat osiemdziesiątych zaczęła przebojem zdobywać rynki zagraniczne. Jej produkty odznaczały się wysoką jakością, a każdy nowy model zawierał kolejne, przełomowe rozwiązania konstrukcyjne. Broni Mauserów sławę przyniosła wojna w Afryce Południowej (1899–1901), w której Burowie, notabene świetni strzelcy, dziesiątkowali Anglików ogniem z niemieckich kb wz.1895 kal. 7,5 mm. Broń z 1898 r. stanowiła efekt



Mauzery dla

wieloletnich doświadczeń. Jedną z jej największych zalet stanowiła konstrukcja zamka – wyróżniała go prostota i niezawodność. Zasadniczym elementem był jednocześnie trzon zamkowy, kryjący w sobie iglicę, trzypunktowo ryglowany w komorze zamkowej. Pudełkowy magazynek, umieszczony w punkcie ciężkości broni i schowany całkowicie w osadzie, mieścił 5 naboju układających się w dwóch rzędach. Rewelacyjnym wynalazkiem była blaszana 5-nabojowa łódka, która umożliwiała błyskawiczne załadowanie magazynka. Broń dostosowano do małokalibrowego naboju 7,92 mm (nabój 7,92 x 57 mm). Z początku stosowano stare naboje z pociskami o tępym czubku, jednak na początku XX w. opracowano znacznie doskonalszą amunicję ze szpiczastym pociskiem, tzw. S-Patrone³, a celownik wyskalowany był do 2000 m. Suma tych wszystkich udoskonaleń uczyniła z kb wz.1898 (Gewehr 98) jedną z najdoskonalszych broni powtarzalnych (czyli wielostrzałowych, ale ręcznie przeładowywanych) w historii, a niektóre z zastosowanych ponad 120 lat temu rozwiązań wykorzystuje się do dzisiaj. Karabin kb przyjęto do uzbrojenia 5 kwietnia 1898 r., a testy w wybranych jednostkach liniowych rozpoczęto w lutym następnego roku. Poza macierzystymi zakładami





strzelców

Żołnierze 6 Pułku Strzelców Podhalańskich uzbrojeni w karabiny wz.1898 i karabinek wz.1929 (pierwszy żołnierz z pierwszego szeregu).
Zbiory Muzeum Wojska Polskiego



DLA PIECHOTY I KAWALERYSTÓW

 Polski karabinek wz.1898 z bagnetem wz.1924. W latach dwudziestych kbk stanowiły zasadnicze uzbrojenie piechoty, a w latach trzydziestych i we wrześniu 1939 r. – kawalerzystów. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

w Oberndorfie, produkcję uruchomiono w pruskich państwowych zbrojowniach w Erfurcie, Spandau i Gdańsku, a także w bawarskim arsenałe w Ambergu i prywatnych zakładach Deutsche Waffen und Munitionsfabriken z Berlina.

Mauzer 1898 zdał trudny bojowy egzamin w czasie I wojny światowej. Chwalono go za dużą prędkość początkową i płaski tor lotu pocisku, celność, szybkostrzelność dzięki płynnej pracy zamka i łódce naboowej, solidność wykonania i ergonomię. Do wad zaliczano: skomplikowany proces technologii produkcji i ścisłe pasowanie części, co wymagało od żołnierzy szczególnej dbałości o czystość mechanizmów. Karabiny były przeznaczone dla piechoty, natomiast artylerzyści, żołnierze broni i służb, a także kawalerzyści używali skró-

czonej wersji – kbk wz.1898 AZ. Ta różniła się między innymi zagiętą do dołu rączką zamka.

Karabiny i karabinki dla Wojska Polskiego

W latach 1918–1921 polscy żołnierze zmuszeni byli używać broni obcego pochodzenia, przejętej po zaborcach, zdobytej na wrogu bądź kupionej za granicą. Skutkowało to niesłychaną mozaiką typów, wzorów i rodzajów spędzających sen z powiek służbom kwatermistrzowskim. Proces unifikacji uzbrojenia nabrał rozpędu dopiero na początku lat dwudziestych. Jedną z najpilniejszych potrzeb był wybór standardowego systemu indywidualnej broni strzeleckiej. Wobec przewagi w oddziałach liniowych wzorów francuskich, a także przez wzgląd na bliskie relacje łączące oba państwa – wydawało się, że to właśnie ta broń stanie się u nas standardem. Sprawę przesądziły jednak rezolucja Rady Ambasadorów w Paryżu oraz decyzja Międzynarodowej Komisji Podziału Mienia Poniemieckiego z czerwca 1921 r., przyznają-

ce Polsce urządzenia, zapasy materiałów i plany niemieckiej fabryki broni z Gdańska. Sprowadzane stamtąd wyposażenie instalowano w zakładach „Gerlach i Pulst” znajdujących się na warszawskiej Woli. Firma ta przed 1914 r. cieszyła się światową renomą i uchodziła za bardzo nowoczesną; produkowała obrabiarki, a po zajęciu przez Niemców Warszawy w 1915 r. dokonywano tu napraw broni. Mimo że przedwojenne wyposażenie wywieźli Rosjanie, pozostał wyszkolony i doświadczony personel, który w krótkim czasie opanował tajniki fachu rusznikarskiego. Od lipca 1920 r. oficjalna nazwa zakładów brzmiała: Państwowa Fabryka Karabinów. Aż do 1927 r., czyli do momentu wykupienia zakładów przez skarb państwa, były one dzierżawione od holenderskiej spółki będącej ich formalnym właścicielem.

Pierwsze niemieckie maszyny trafiły na Wolę już w 1919 r. w drodze zakupów, ale dopiero skompletowanie pozostałego sprzętu umożliwiło rozpoczęcie trzy lata później produkcji kb wz.98, wiernie zresztą wzorowanego na niemieckim pierwowzorze. Już w 1921 r. postanowiono o przebrojeniu piechoty w kbk, a więc broń lżejszą i poręczniejszą od długich kb, a jednocześnie o niemal identycznych osiągnięciach balistycznych na dystansie do 700 m. Bałagan komunikacyjny i roszady personalne w PFK, jak i w Ministerstwie Spraw Wojskowych spowodowały, że ich produkcję uruchomiono dopiero w 1925 r. Nasz kbk wz.98 różnił się od niemieckiego jedynie drobnymi detalami, z początku odznaczał się także gorszą jakością wykonania. W sprawozdaniu sporządzonym w 1928 r. przez Centrum Wyszczolenia Kawalerii dla Instytutu Badań Materiałów Uzbrojenia zapisano: „Kbk. Mauser – fabrykacji polskiej. Broń dobra, pełnowartościowa. Materiał drzewny dobry. Materiał stalowy w gorszym niż niemieckiej fabrykacji gatunku. Dowodzą tego zbyt częste kruszenie się niektórych części (np. wyciąg), łatwe kaleczenie komory nab[ojowej], zbyt łatwe podleganie lufy wszelkiego rodzaju wpływom. Wskazaniem byłoby dać: a) nieco dłuższy i lepiej osadzony bagn[et], b) cieńszą szyjkę, c) magazynek wielonabojowy dla każdego wyborowego strzelca”⁴. Wielonabojowego magazynka wprawdzie nie wprowadzono, ale wszystkie niedociągnięcia karabinka wz.98 zostały usunięte w kolejnym modelu, czyli wzorze z 1929 r.





Pododdział żołnierzy Wojska Polskiego, karabinki wz.1898 ustawione w kozły. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego



Z POLSKIM GODŁEM

 Karabinek wz. 1929, obok sygnatury na komorze zamkowej: godło Polski, nazwa wytwórni i rok produkcji.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego



Dla Wojska Polskiego i na eksport

W 1927 r. warszawska wytwórnia wraz z radomską Fabryką Broni, której budowę rozpoczęto w 1923 r., Fabryką Amunicji w Skarżysku i Wytwórnią Sprawdzianów na stołecznych Powązkach weszła w skład concernu Państwowe Wytwórnie Uzbrojenia. W 1932 r., w związku z rozwijającą się produkcją broni maszynowej systemu Browninga (erkaemy wz.1928 i cekaemy wz.1930), w PFK zakończono wytwarzanie kbk systemu Mausera. Ogółem wytwórnia sprzedała MSWojsk. ponad 211 tys. karabinów i karabinków. Od 1927 r. produkcję indywidualnej broni strzeleckiej kontynuowano w FB w Radomiu. Z początku były to kbk wz.1898, ale w 1930 r. ruszyła produkcja wspomnianego wzoru 1929. Uznaje się go za jedną z najlepszych broni wśród ogromnej rodziny „1898”. Oba modele można łatwo odróżnić już na pierwszy rzut oka – w nowym kbk cofnięto osadę do bagnetu, aby zapewnić jego lepsze, dwupunktowe mocowanie, przez co lufa wyraźnie wystaje z łoża. Wz.29 wyróżniało staranne wykonanie, dobre właściwości taktycz-

no-techniczne, a także doskonała jakość luf wykonywanych z opracowanej przez polskich inżynierów stali węglowej, zamiast powszechnie stosowanej na świecie stali stopowej; warto także podkreślić pełną zamienność części, co uzyskano dzięki odpowiedniemu wymiarowaniu elementów broni. Do 1939 r. Wojsko Polskie otrzymało 264 tys. kbk tego wzoru, ale był on także szeroko eksportowany. Egzemplarze sprzedawane za granicę przez Spółkę SEPEWE, przede wszystkim dla armii republikańskiej podczas wojny domowej w Hiszpanii 1936–1939, pozbawione były standardowych polskich oznaczeń.

W drugiej połowie lat trzydziestych w związku z nowymi poglądami na taktykę walki piechoty i z potrzebą wyposażenia strzelca w broń o większym zasięgu strzału w FB w Radomiu uruchomiono produkcję klasycznego kb. Decyzja ta, wobec zupełnie odmiennej światowej tendencji, tzn. zastępowania broni dłuższej krótszą, bywa zazwyczaj krytykowana, niemniej jednak nasi strzelcy w kompaniach piechoty wyruszyli na wojnę uzbrojeni w długie Mauserki (długość karabinu 1250 mm, karabinka 1100 mm). Te wy-



produkowane w Radomiu i ochrzczone w 1936 r. wzorem 98a (szacuje się, że do września 1939 r. dostarczono ich około 70 tys.⁵) różniły się od bazowego wz.98 w zasadzie jedynie celownikiem. Polskie kb i kbk dostosowane były do klasycznej amunicji mauzerowskiej 7,92 x 57 mm. Stosowano do nich bagnety sieczne produkowane przez prywatną warszawską wytwórnię „Perkun” i FB w Radomiu. Polskie kb i kbk sygnowane były na komorze zamka polskim orłem, skrótem wytwórni (P.F.K. lub F.B.) oraz rokiem produkcji. Z lewej strony umieszczano oznaczenie wzoru.

Polski strzelec wyborowy

Karabin, nawet o najlepszych parametrach taktyczno-technicznych niewiele znaczy, jeśli posługujący się nim żołnierz nie nabędzie w toku szkolenia odpowiednich umiejętności. Szkolenie strzeleckie należało w WP do podstawowych. W latach dwudziestych, z uwagi na ogólnie kiepską kondycję poborowych, szkolenie szło opornie. Problemem był m.in. analfabetyzm, utrudniający instruktorom wytłumaczenie nawet najprostszych prawideł wojennego rzemiosła. W *Instrukcji o broni piechoty* z 1929 r. zamieszczono budowę i zasadę działania kb i kbk, rozkładanie na części, a także sposoby pielęgnacji i właściwego przechowywania. „Podczas nauki należy się posługiwać metodą obrazową, porównaniami, przemawiającymi do wyobraźni żołnierza, rysunkami i modelami. Wiele wiadomości można wpoić żołnierzowi drogą stawiania odpowiednich pytań. Unikać należy określeń zbyt trudnych i niezrozumiałych”⁶. Wyszkołenie strzeleckie polegało na nauce o strzale, nauce strzelania i nauce oceny odległości, przy czym w tym pierwszym wypadku wystarczało, aby strzelec zrozumiał tylko konieczne minimum. Szkolenie rozpoczynało się już od pierwszych dni wcielenia do wojska i trwało przez cały czas służby czynnej. Kluczowym czynnikiem decydującym o dobrym wyszkoleniu były częste strzelania. Najpierw praktykowano ćwiczenia wstępne i strzelania szkolne. Następnie przechodzono do ćwiczeń i strzelań szkolno-bojowych, obejmujących technikę dawania strzału do figur polowych w terenie. Naukę kontynuowano poprzez ćwiczenia i strzelania specjalne, np. przeciwlotnicze, i wreszcie strzelania bojowe. Często organizowane zawody strzeleckie wzmacniały ducha rywalizacji i przyczyniały się do podnoszenia umiejętności. Dzięki tak intensywnemu pro-

gramowi polscy żołnierze reprezentowali w 1939 r. wysoki poziom wyszkolenia strzeleckiego, co znajduje potwierdzenie w niemieckich relacjach. Są one pełne stereotypowych odniesień do polskich strzelców, walczących jakoby niehonorowo i oddających zdradzieckie strzały zza węgła, z ukrycia, z drzew. Jeden z żołnierzy 133 Pułku Piechoty z 45 Dywizji Piechoty Wehrmachtu tak zapamiętał walki z 15 września pod Uszkowicami (powiat lubaczowski, województwo podkarpackie): „Oczy z wytęsknieniem obserwują powolne zapadanie zmroku i chciałoby, aby kontury zacierały się szybciej; każda godzina trwania na pozycjach kosztuje w końcu dalsze straty, bo polscy strzelcy wyborowi z bezpiecznych kryjówek odstawiają sobie wręcz strzelanie do tarcz”⁷. W Wojsku Polskim nasycenie nowoczesnymi środkami walki było dalece niewystarczające, dlatego to właśnie zwykły piechur z Mauzerem w ręku był prawdziwym bohaterem kampanii 1939 r. Przemierzając na nogach setki kilometrów, gnany przez czołgi, pod gradem bomb i pocisków artyleryjskich, potrafił wielokrotnie zwyciężać nieprzyjaciela. Zwłaszcza w sprzyjających okolicznościach. „Npl [nieprzyjacieli] atakował z ogromną przewagą materiałową sprzętu i amunicji, ale jakżesz tchórzliwy był co noc, gdy myśmy bez artylerii i bez jakiegokolwiek broni ciężkiej wypadami nocnymi parliśmy częstokroć do przodu. Npl rujnował nas w dzień, swoją olbrzymią ilością różnorodnej artylerii, lotnictwem, moździerzami itp., za to noc każda do nas należała” – zanotował ppor. Zbigniew Szedwoj z 3 batalionu strzelców⁸. W boju nocnym i w leśnej gęstwinie oraz w zasadzkach polski piechur wykazywał się doskonałym przygotowaniem i niejednokrotnie zwyciężał. Doskonałym przykładem jest bitwa pod Kałuszyńem, gdzie 1 Dywizja Piechoty, słynna Żelazna Dywizja w zaciętym i krwawym boju przebiła się przez nieprzyjacielski pierścień okrążenia. Tu pierwsze skrzypce odgrywał Mauzer z założonym na wylot lufy bagnetem. Tradycja Raszyńska i Olszyny Grochowskiej zobowiązywała. ■



MAUZER DLA PIECHOTY

Mauzer z warszawskiej Państwowej Fabryki Karabinów. Taka broń znajdowała się na uzbrojeniu strzelców w kompaniach piechoty Wojska Polskiego.

Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

MICHAŁ MACKIEWICZ absolwent Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego, pracuje w Dziale Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego. Zajmuje się m.in. ewolucją broni strzeleckiej i archeologią militarną. Autor licznych publikacji z dziedziny broniostwa, historii wojskowości i muzealnictwa.

¹ *Regulamin piechoty*, Warszawa 1934, s. 2. ² D. Storz, *Rifle & Carbine 98. M 98 firearms of the German army from 1898 to 1918*, Vienna 2006, s. 47. ³ Tamże, s. 302–304. ⁴ Centralne Archiwum Wojskowe, Departament Uzbrojenia Ministerstwa Spraw Wojskowych, I.300.35.62. ⁵ A. Konstankiewicz, *Broń strzelecka i sprzęt artyleryjski formacji polskich i Wojska Polskiego w latach 1914–1939*, Lublin 2003, s. 264. ⁶ *Instrukcja o broni piechoty*, cz. I: Karabin i karabinek, Warszawa 1929, s. 4–5. ⁷ *Wehrmacht 1939. Szkice z bojów kampanii wrześniowej*, Oświęcim 2014, s. 64. ⁸ Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego, Mazowiecka Brygada Kawalerii – 3 batalion strzelców, B.I.24f/4.

Czeska lekcja

Czechosłowacja po zakończeniu działań bojowych w czasie II wojny światowej jako jedno z nielicznych państw europejskich zachowała olbrzymie możliwości wytwórcze w zakresie techniki wojskowej, a w szczególności broni palnej. W połączeniu ze znakomitą kadrą konstruktorów zaowocowało to powstaniem wielu ciekawych konstrukcji broni strzeleckiej.

PIOTR KOCYAN

Po II wojnie światowej rynek europejski nasycony był zużytą bronią z magazynów wojsk walczących, jedyną szansą wykorzystania zasobów przemysłowych odradzającego się państwa stał się więc eksport wszędzie tam, gdzie ciągle walczone. Dla Czechosłowacji – niezwiązanej do końca lat pięćdziesiątych XX w. z żadną ze stron znajdujących się za żelazną kurtyną – była to szansa na zasilenie budżetu pokaznymi kwotami i to bez konieczności nadmiernego tłumaczenia się społeczności międzynarodowej. Co ważne, w historii broni palnej to czas, kiedy pistolety maszynowe stały się najefektywniejszym uzbrojeniem w działaniach nieregularnych i mimo że ten rodzaj broni był łatwo dostępny na rynku wtórnym, to istniał ogromny popyt na nowe egzemplarze. Tak zwane peemy – broń prosta, tania w produkcji i nabyciu, łatwa do przerzutu, strzelająca wystarczająco silną amunicją – były hitem w Azji Mniejszej i walczącej Afryce, czyli wszędzie tam, gdzie kolonializm upadał i rodziły się nowe byty państwowe.

W 1946 r. wojsko armii czechosłowackiej potrzebowało broni nadającej się do masowej produkcji, ale zdecydowanie prostszej od przedwojennego ZK 383 o ewidentnie karabinowej proveniencji. Przywieziona z amerykańskimi wojskami tzw. smarownica M3 była wzorem do naśladowania. Mały i poręczny peem robił wrażenie i pozwalał wyposażać dużą część wojska w broń samoczynną. Zarówno brytyjski Sten, jak i sowiecki PPS – mimo prostoty technologii – były mało poręczne, niemniej zrujnowana Polska podjęła produkcję tego drugiego. Czechosłowacja obrała jednak własną drogę dojścia do masowej produkcji pistoletu maszynowego.

W końcowym okresie wojny na Wyspach Brytyjskich polski inżynier Jerzy Podśędkowski, współkonstruktor peemu Mors, stworzył kilka odmian pistoletu maszynowego MCEM. Zamek teleskopowy, magazynek w chwycie, rurowa komora zamkowa i kolba-kabura dystansowały świat o dekadę. Konstrukcja ta jednak w sytuacji zakończenia walk na froncie nie wyszła poza stadium prototypów, jednak stała się forpocztą nadchodzących

zmian. Zapowiadała nową jakość, która miała pojawić się u naszego południowego sąsiada.

Jaroslav Holeček w momencie zakończenia wojny był ledwie 22-letnim młodzieńcem, który miał krótką praktykę rzeźniczą i ślusarską. Kiedy wstępował do armii czechosłowackiej, bardziej interesowały go wszelkiego rodzaju maszyny niż broń palna. Jednak jako ślusarz szybko przekierował uwagę na karabiny maszynowe, a z czasem także na pistolety. W 1946 r. dowódca jednostki skierował go do pracy w Wojskowym Instytucie Technicznym (Vojenský technický ústav). Pomysł młodego konstruktora samouka cechowała duża oryginalność i zerwanie z dotychczasową szkołą konstruktorską, co spotkało się z przychylnością i doprowadziło ostatecznie do stworzenia na bazie jego dokumentacji prototypu pod oznaczeniem H/47. Broń nie była udana, ale prezentowała nowe podejście do zagadnienia. Po tej próbie Holeček został skierowany do prac nad peemami, po czesku nazywanymi: samopal. Doprowadziło to do powstania w 1948 r. konstrukcji, która układem przypominała MCEM inż. Podśędkowskiego z 1944 r. Technologicznie jednak bliżej jej było do Stena ze swoją ordynarną prostotą. Z końcem roku nowy pistolet wszedł do produkcji w fabryce w Uherskim Brodzie pod oznaczeniem Samo-



Po prawej stronie łoża urządzenie do szybkiego ładowania magazynka

Egz. w zbiorach Adama Łuca, fot. Jaroslav Wiśniewski

PM SA 26



Lufa Samopala SA 26. Element o prostej geometrii i dzięki temu tani w produkcji. Po lewej nakrętka mocująca lufę w komorze zamkowej, wyposażona w podkładkę z uchem do montażu pasa. Fot. Jarosław Wiśniewski



Teleskopowy zespół zamka pistoletu SA 26 składający się z opory tylnej, dwóch żerdzi oraz sprężyny powrotnej, zespołu iglicy, zespołu dźwigni przeładowania, a wszystko zamontowane w cylindrycznym drążonym walcu zamka. Na jednej z widocznych żerdzi jest nawinięta drobnozwojna sprężyna powrotna, druga stabilizuje zamek w czasie pracy. Widoczna tylna płytka oporowa. Innowacją było zastosowanie cylindrycznego zamka nasuwającego się w przeważającej długości na lufę (zamek teleskopowy). Fot. Jarosław Wiśniewski

Nakrętka zamykająca komorę zamkową z gwintem bagnetowym. Ciekawostką jest zastosowanie symetrycznych wybrań na czole zamka jako narzędzia do odkręcania nakrętki lufy. Fot. Jarosław Wiśniewski



Szkielet broni z dobrze widoczną rurową komorą zamkową. Składana kolba w tym położeniu umożliwiła jej wykorzystanie jako chwytu przedniego. Okładki chwytu i łożo przednie są drewniane. Fot. Jarosław Wiśniewski

pal Vz.48. Broń produkowana jest w dwóch odmianach z kolbą drewnianą dostawną (Vz.48a) i prętową; składana na bok, pozwala wykorzystać stopkę kolby w pozycji złożonej jako chwyt przedni (Vz.48b). Rok 1950 to nowe oznaczenia Sa 23 (kolba stała) i Sa 25 (kolba składana). Czechosłowacja z racji, że w 1950 r. całkowicie znajdowała się w strefie wpływów Związku Sowieckiego, wprowadziła nabój 7,62x25 mm w miejsce standardowego do tej pory dla peemów naboju pistoletowego 9x19 mm Parabellum. W efekcie tego broń została dostosowana do nowej amunicji i zyskała odpowiednio nowe oznaczenia: Sa 24 i Sa 26. W tej postaci wprowadzono ją do armii czechosłowackiej i pozostała na jej wyposażeniu do późnych lat siedemdziesiątych XX w.

Pistolet maszynowy Sa 23 stał się pierwszym wielkoseryjnie produkowanym peemem z zamkiem teleskopowym, rurową komorą zamkową i magazynkiem w chwycie. W produkcji w ramach CZ-UB utrzymał się do czasu wdrożenia swojego następcy Skorpiona Sa vz.61. Sa 23 był konstrukcją zwartą, dystansującą sowiecki PPS. Zaprzestanie produkcji peemów w Związku Sowieckim spowodowało, że samopál eksportowano wszędzie tam, gdzie państwo to miało swoją strefę interesów. Liczba egzemplarzy jest dzisiaj trudna do określenia z uwagi na liczne licencyjne i bezlicencyjne kopie. Dla Polaków Sa 23/24/25/26 stał się elementem drzewa konstrukcyjnego, u którego korzeni jest MCEM inż. Podśkadowskiego, konary zaś to izraelski Uzi Uziela Gała i polskie PM wz.1963 inż. Pio-

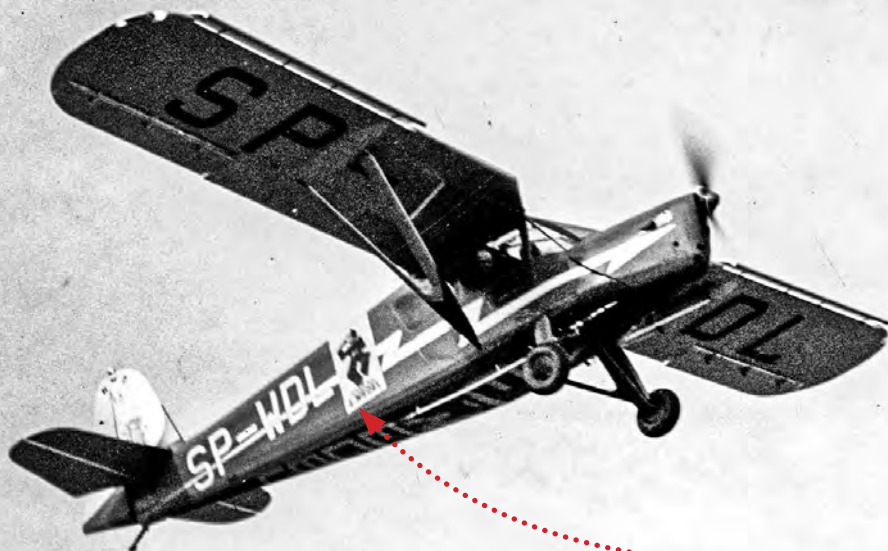
tra Wilniewczyca i obecnie produkowany PM-98 Głaubery. Polski PM-63 RAK był wzorowany właśnie na Sa 26, które znalazły się na wyposażeniu formacji ochraniającej członków rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Smaczkowi tej historii dodaje wspólna praca inż. Piotra Wilniewczyca i inż. Jerzego Podśkadowskiego nad pistoletem maszynowym Mors i tworzeniem dokumentacji wykonawczej pistoletu Vis w Warszawskiej Fabryce Karabinów. Dwóch różniących się koncepcjami konstruktorów zrealizowało marzenie o pistolecie maszynowym w jakże odrębnych rzeczywistościach.

Sa 26 jest też symbolem tragicznych zmagania leśnych braci, czyli antykomunistycznej partyzantki krajów bałtyckich. W 1950 r. w ramach działań dywersyjnych na terytorium Litewskiej Republiki Ludowej jeden z wywiadów państw zachodnich przerzucił grupę trzech kurierów. Byli to Klemensas Širvys vel Sakalas, Juozas Lukša vel Daumantas, Benediktas Trumpys vel Rytis. Rok później – w wyniku działalności agentury NKWD i informacji szpiegowskich pozyskanych prawdopodobnie ze źródła brytyjskiego – zginęli oni w walce. Do dziś zachowało się kilka zdjęć wspomnianej grupy, z czego Benediktas Trumpys prezentował na piersi pistolet maszynowy Samopál Sa 25 lub 26 z nieoryginalną kolbą.

PIOTR KOCYAN magister inżynier, konstruktor mechanik, bronioznawca, członek Security Direct. Specjalizuje się w tematyce uzbrojenia, lotnictwa i energetyki jądrowej. Autor ok. 100 publikacji z dziedziny budowy, eksploatacji i produkcji broni w miesięcznikach „Arsenal” i „W Sieci Historii”.



Plakat autorstwa
Leonetto Cappiello.
Fot. domena publiczna



Samolot RWD-13 o rejestracji SP-WDL, własność firmy E. Wedel; na burtach „ludzik z czekolady”. Zdjęcie wykonane między 1937 a 1939 r.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Samolot w czekoladzie

W czasie kampanii wrześniowej 1939 r. do służby trafiła maszyna RWD-13, którą dwa lata wcześniej ozdobiono reklamami firmy E. Wedel zaprojektowanymi przez włoskiego plastyka.

TOMASZ ZAWISTOWSKI

Witryny warszawskich sklepów w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości nie grzeszyły urodą. Małe, prostokątne bądź półkolistie zwieńczone okna wystawowe, pozostałości obcojęzycznych napisów, prostokątne szyldy informacyjne w pastel-

wych, spłowiałych kolorach były wtedy codziennością. Firmy szacowniejsze wyglądały nieco lepiej, ale stylistyka ich siedzib tak czy inaczej wywodziła się z ostatniej dekady XIX stulecia. Okres powojennej prosperity w latach dwudziestych miał przynieść przynajmniej częściową zmianę tego stanu.



*Emalowany sztyft
rszysnowany przez
firmę Emgra
w Warszawie.*

Fot. Zbiory Tomasa Zawistowskiego

Najstarszy polski producent czekolady, firma E. Wedel, nie zwykł oszczędzać na wizerunku. Dość powiedzieć, że sufit sklepu przy ulicy Szpitalnej w Warszawie zdobył plafon autorstwa Józefa Buchbindera, co we wspomnieniach odnotował Jarosław Iwaszkiewicz. Podczas modernizacji w lokalu przy Szpitalnej właściciele firmy świadomie zachowali staroświecki styl. Postanowili jednak zatrudnić fachowca światowej klasy, który by temu stylowi nadał nowy rys graficzny. Zwrócili się do pracującego w Paryżu projektanta reklam, Włocha z pochodzenia, Leonetta Cappiella. Czasy jego największych tryumfów zaczynały już co prawda powoli odchodzić w przeszłość, niemniej nazwisko w dalszym ciągu było marką samą w sobie.

Z Toskanii do Paryża

Leonetto Cappiello urodził się w 1875 r. we Włoszech, ale z własnego wyboru większość życia spędził

we Francji. Był początkującym artystą, gdy wiosną 1897 r. przybył do brata pracującego w Paryżu, i to akurat w dniu tragicznego pożaru drewnianej hali Charity Bazaar, który pochłonął 126 ofiar śmiertelnych. Katastrofa wstrząsnęła paryżanami, a widok ich rozemocjonowanych i przerażonych twarzy kontrastujących z obrazem miasta w pogodne, majowe dni wywarł na młodym Włoszu wstrząsające wrażenie. Musiał wprawdzie szybko jechać do rodzinnego Livorno na pogrzeb ojca, ale już w czerwcu powrócił nad Sekwanę, by rysować mieszkańców francuskiej stolicy, w której przyjdzie mu – jak się miało okazać – spędzić 35 lat. Malarz amator szybko stał się karykaturzystą. Za namową przyjaciół zaniósł swoje prace do humorystycznego magazynu ilustrowanego „Le Rire”, w którym bez wahania zaczęto je publikować. Nawiązał współpracę z takimi tytułami, jak „La Revue Blanche” (notabene

założonym przez synów przybyłego z Warszawy Adama Natanson), „Le Journal” i „Le Figaro”. Podpisany w listopadzie 1900 r. kontrakt z paryskim wydawcą Pierre'em Vercassonem zmienił życie artysty. Mimo popularności jego rysunków prawdziwą sławę Capiellemu przyniosły plakaty.

Początek pracy utalentowanego Włocha nad plakatami zbiegł się z rozkwitem secesji. Pierwsze jego dzieło powstało w 1899 r. dla humorystycznego pisma „Le Frou-Frou”. Capiello czerpał wzorce od najlepszych plakacistów swojej epoki, a jego wczesne prace przypominają energią i barwą grafiki Julesa Chéreta, a kreską Henri de Toulouse-Lautreca. Dość szybko jednak postanowił porzucić wyszukane detale i secesyjną stylistykę. W poszukiwaniu własnego stylu odkrył, że plakat reklamowy powinien być dla odbiorcy zarówno zaskakujący, co pozwoli na przykucie uwagi, jak i możliwie prosty, co ułatwi zapamiętanie go. To był początek rewolucji. Barwne, dynamiczne postaci wychodzące z czarnego tła, które stało się wręcz znakiem firmowym

Capiella, łatwo wpadały w oko przechodniów widzących je choćby przelotnie. Odróżniały się kontrastowo na tle wszechobecnych grafik secesyjnych, a charakterystyczny kształt i kolor ułatwiał ich natychmiastowe zapamiętanie i późniejsze rozpoznanie. Leonetto Capiello był pierwszym plakacistą, który przypisywał konkretnym markom charakterystyczne tylko dla nich rysunki, dzięki czemu widz rozpoznając symbol, natychmiast kojarzył z nim konkretny produkt. Te rewolucyjne zmiany sprawiły, że Capiello po dziś dzień nazywany jest ojcem nowoczesnej reklamy.

Capiello znalazł licznych naśladowców pośród współczesnych mu grafików, a jego styl zdominował francuską i europejską reklamę aż do połowy lat dwudziestych, kiedy to zaczął ustępować miejsca rozwijającemu się art déco. Sam Capiello stworzył z górą tysięcy plakatów, spośród których bodaj najsłynniejszym była reklama Maurin Quina, na której zielony diabeł odkorkowuje butelkę absyntu, trunku niebywale popularnego wśród paryskiej bohemy artystycznej. Projekt, powsta-



ły w 1906 r., czyli jeszcze przed zdelegalizowaniem absyntu przez rząd francuski, odwoływał się do faktu nazywania tego alkoholu la fée verte, czyli zieloną wróżką.

Ponad połowa plakatów Capiella była reklamami promującymi sporą liczbę alkoholi, a także produkty spożywcze i wyroby przemysłowe. Pośród zleceniodawców były firmy znane do dzisiaj, jak Campari, Cinzano i Pirelli, ale były też i takie, które rozpoznawalność na świecie zawdzięczają właśnie słynnym dziełom włoskiego autora, jak Chocolat Klaus.

Polski ślad

Najsłynniejszą reklamę dla E. Wedla Leonetto Capiello zaprojektował w 1926 r. Rysunek przedstawiał postać jadącą na zebrze i wiozącą tabliczki czekolady ozdobione firmowymi napisami. Symbol ten firma upowszechniła – z plakatu trafił on na opakowania słodczy i na ulotki, ozdobił w postaci neonu szczyt kamienicy należącej do Wedla przy ulicy Szpitalnej i pierwszy sklep firmowy w Paryżu, ponadto umieszczony został na samochodach firmowych, a w wersji ułożonej z ceramicznej mozaiki po dziś dzień można

*Emalowany
szklid
sygnowany przez
firmę Emgra
w Warszawie.*

Zbiory Tomasza Zawistowskiego

go podziwiać na podłodze dawnego sklepu firmy E. Wedel przy krakowskim Rynku.

Plakat z 1926 r. nazywany jest dzisiaj „chłopcem na zebrze”, choć w rzeczywistości Capiello użył postaci clowna, często i w różnych wersjach występującej w jego dziełach. Wygląda na to, że ta dobrze znana reklama nie była jedyną, którą artysta stworzył dla firmy E. Wedel, choć z pewnością stała się najsłynniejszą. Oprócz niej istnieją jeszcze przynajmniej dwa rysunki reklamujące wedlowskie czekoladę i karmelki, których autorstwo – mimo braku podpisów – można z dużą dozą pewności przypisać włoskiemu projektantowi. Umieszczone są na barwnych, emaliowanych, wielkoformatowych szyldach, najwyraźniej przeznaczonych do ekspozycji na zewnętrznej ścianie budynku. Jeden z nich przedstawia jaskrawego arlekina na czarnym tle żonglującego karmelkami, drugi zaś ludzika z wedlowskiej czekolady, dla odmiany na tle żółtym. Nie udało się jak dotąd odnaleźć zdjęć archiwalnych, które pozwoliłyby na zidentyfikowanie miejsca ekspozycji tych szyldów; nie udało się również odnaleźć innych zachowanych egzemplarzy. Rodzi to pytania: z jakiego okresu są te reklamy, czy były wykorzystywane masowo i czy rzeczywiście wyszły spod ręki Leonetta Capiella?

odnaleźć danych wskazujących na to, by Graff miał prowadzić własną emaliernię; być może szyldy zostały wykonane i opatrzone jego sygnaturą przez anonimowego podwykonawcę. Nie udało się również natrafić na związek łączący dostawcę baterii, prezerwatyw i zapewne wielu innych dóbr z firmą E. Wedel. Sygnatury Graffa pozwalają jednak datować wedlowskie tablice na okres 1930–1939, gdyż w 1930 r. uruchomiono w Warszawie automatyczną centralę z pięciocyfrowymi numerami telefonów. Stwierdzenie to dotyczy oczywiście jedynie tablic; nie ma żadnych przesłanek pozwalających datować powstanie projektów jako dzieła.

SP-WDL

W 1937 r. firma E. Wedel kupiła w Doświadczalnych Warsztatach Lotniczych samolot RWD-13. Maszyna pomalowana na kolory niebieski i srebrny otrzymała znak SP-WDL. Używana była zarówno do celów reklamowych, jak i do przewozu towarów wedlowskich w Polsce i za granicą. Obie jej burty ozdobiła figurka pływającego „ludzika z czekolady”; obok emaliowanej tablicy z sygnaturami Maurycego Graffa jest to jedyny jak dotąd znany przykład wykorzystania tej grafiki. Na spodzie kadłuba

PO WOJNIE KOMUNIŚCI ZNACJONALIZOWALI FABRYKĘ CZEKOLADY. JEJ WYROBOM NADALI SWOISTĄ NAZWĘ: 22 LIPCA DAWNIEJ E. WEDEL.

EMGRA – Maurycy Graff

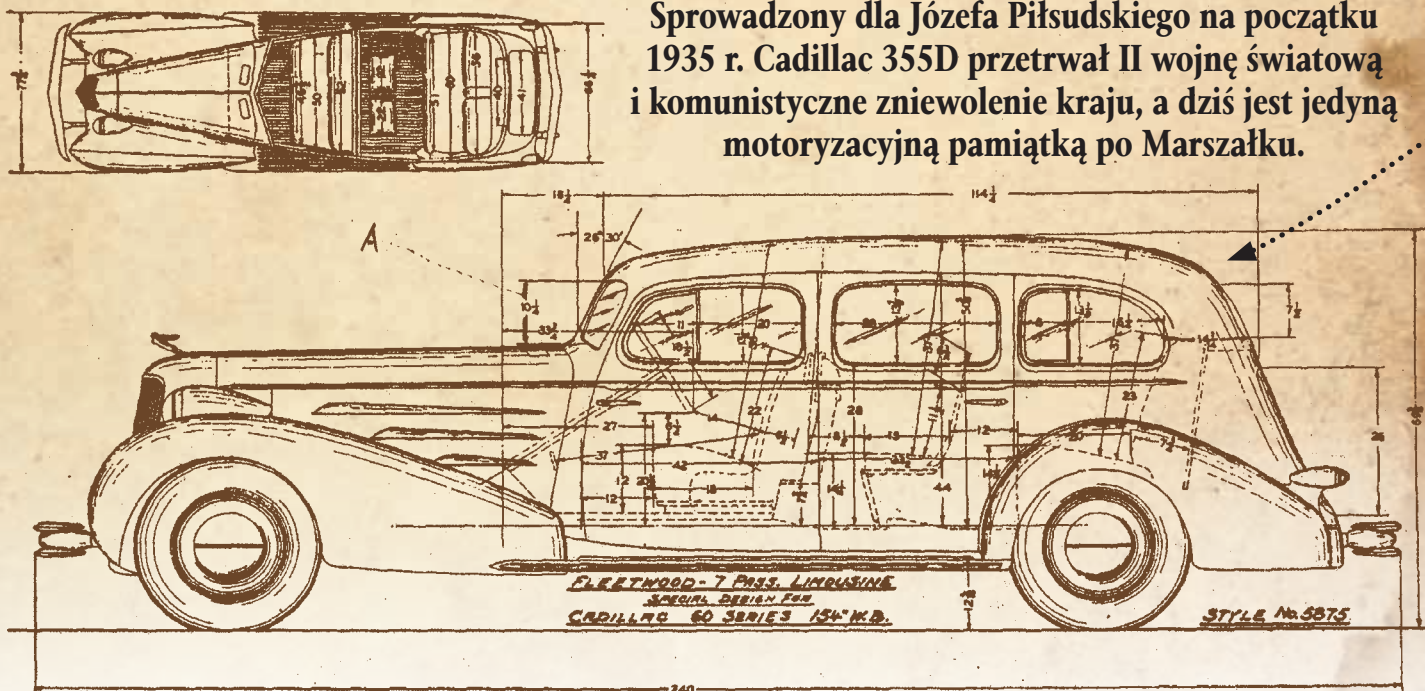
Obie emaliowane tablice wykonano przynajmniej kilka lat później od datowanego na 1926 r. słynnego „chłopca na zebrze”, o czym świadczą sygnatury umieszczone w ich prawych, dolnych narożnikach. Choć sygnatura na reklamie czekolady uległa częściowemu zniszczeniu i pozostało z niej jedynie słowo EMGRA, to na drugiej, dotyczącej karmelków, napis zachował się prawie w całości i brzmi „EMGRA” W-wa tel. 651-10. Wprawdzie firma o takiej nazwie nie występuje w przedwojennych książkach telefonicznych, lecz telefon o tym numerze przypisany jest w latach 1935–1939 adresowi „Jerozolimka 93”, pod którym zamieszkiwał Maurycy Graff. Rozwinięcie inicjałów przedsiębiorcy w słowo EMGRA to zabieg typowy dla lat międzywojennych, aczkolwiek inne przedsięwzięcia ogłaszane w prasie Maurycy Graff podejmował pod własnym nazwiskiem, a nie jako EMGRA. Imał się różnych zajęć, w 1929 r. na łamach miesięcznika „Radio” oferował klientom „nieodściżnionej dobroci baterię anodową AMMON”, dwa lata wcześniej zaś w poznańskiej „Powszechnej Gazecie Fryzjerskiej” reklamował się jako dostawca austriackich prezerwatyw marki OLLA w ilościach hurtowych, zaręczając odbiorcom, że oczekuje ich „gładki zarobek”. Nie udało się

umieścić widoczne z ziemi logo E. Wedel. Samolotu używano jako szybkiego środka transportu wyrobów oraz do lotów reklamowych; jego model ozdabiał witrynę jednego z warszawskich sklepów wedlowskich.

We wrześniu 1939 r. SP-WDL znalazł się wśród maszyn cywilnych przejętych przez wojsko. Z zamalowanymi cywilnymi znakami rejestracyjnymi – najprawdopodobniej zamalowano również reklamy, choć fakt ten nie jest wyraźnie potwierdzony – trafił do Eskadry Sztabowej Naczelnego Dowódcy Lotnictwa. Stefania Wojtulanis-Karpińska wykonywała na nim loty łącznikowe z kilku kolejnych lotnisk, oddalonych – w miarę rozwoju sytuacji – coraz bardziej na południowy wschód. Po agresji sowieckiej 17 września 1939 r. SP-WDL został ewakuowany drogą powietrzną do Rumunii, gdzie wbrew umowom międzynarodowym zarekwirowały go tamtejsze władze wojskowe. Na tym kończy się jego historia w polskiej służbie. Nie ma danych dotyczących dalszych losów samolotu RWD-13, na którego kadłubie pod warstwą farby khaki znajdowały się reklamy autorstwa Leonetta Capiella. ■

TOMASZ ZAWISTOWSKI miłośnik historii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego. Autor pięciotomowego opracowania *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*.

Sprowadzony dla Józefa Piłsudskiego na początku 1935 r. Cadillac 355D przetrwał II wojnę światową i komunistyczne zniewolenie kraju, a dziś jest jedyną motoryzacyjną pamiątką po Marszałku.



Ostatni samochód Marszałka

JAN TARCZYŃSKI

Odtwarzanie historii motoryzacji wojskowej II Rzeczypospolitej nie jest w pełni możliwe z powodu uszczuplenia zasobów archiwalnych przez wypadki dziejowe. Dotyczy to zwłaszcza materiałów szczególnie interesujących obu najeźdźców Rzeczypospolitej we wrześniu 1939 r. – Niemców i Rosjan, a po wojnie komunistów. W tej grupie są nie tylko dokumenty o charakterze naukowo-badawczym i konstrukcyjno-produkcyjnym, ale także użytkowym, dotyczące zwłaszcza jednostek specjalnego przeznaczenia. Jedną z nich była Samodzielna Kolumna Samochodowa Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, utworzona pod koniec 1926 r.

Najciekawszy pojazd Kolumny Samochodowej GISZ, jedyny, który przetrwał wojenną zawieruchę, jest dzisiaj eksponatem Narodowego Muzeum Techniki w Warszawie. Ten unikat to amerykański Cadillac 355D Series 30 Fleetwood 7 Passengers Limousine, zamówiony pod koniec 1934 r. dla marsz. Józefa Piłsudskiego, Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i ministra spraw wojskowych, a sprowadzony do kraju na początku na-

stępного roku. Wykonany jednostkowo w edycji specjalnej dla Józefa Piłsudskiego, jako rozwinięcie seryjnego pojazdu tej marki, miał wiele zmian i udogodnień podnoszących bezpieczeństwo i wygodę.

W trosce o zdrowie Marszałka

W 1934 r., a więc pod koniec życia Marszałka, użytkowane przez niego pojazdy marki Cadillac z Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ nie należały do najnowszych. Jak bardzo ten wizerunek zapadł w świadomość współczesnych, świadczą słowa: „Marszałek Piłsudski jeździł zwyczajowo na swoim starożytnym Cadillacu” – napisane w 1942 r. w Londynie przez gen. bryg. Tadeusza Kossakowskiego, który w latach 1927–1936, pełniąc różne funkcje służbowe, odpowiadał za zakup wojskowych pojazdów¹.

Józef Piłsudski nie przywiązywał szczególnej wagi do samochodowych nowości. Rozumiał jednak wartość motoryzacji, a traktując „automobile” jak narzędzie pracy, chętnie i często z nich korzystał.

PLANY SAMOCHODU

Plany samochodu Cadillac 452D Series 60 Fleetwood 7 Passengers Special Limousine z 1934 r. Nadwozie Cadillaca 355D Series 30 Fleetwood 7 Passengers Limousine zamówionego dla marsz. Józefa Piłsudskiego było niemal identyczne z prezentowanym na rysunku (styl nr 5675). Różniło się jedynie wysokością – było podwyższone o 10 cm. Stąd w specyfikacji budowy (list przewozowy) tego auta widnieje adnotacja „styl nr 5675 H4”. Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego

W okresach pogarszającego się stanu zdrowia Marszałka próbowa-
no ograniczyć jego samochodowa-
wą aktywność. Na przykład
w kwietniu 1928 r. konsylium
lekarskie pod przewodnictwem
rektora Uniwersytetu Stefana
Batorego w Wilnie, prof. Alek-
sandra Januszkiewicza, stwier-
dziło że „ściśle procentowe okre-
ślenie stopnia dopuszczalnych wy-
siłków fizycznych [Józefa Piłsudskie-
go] na podstawie dotychczas przepro-
wadzonych badań jest trudne. Chodzenie
i jazda autem lub powozem są dopuszczalne obec-
nie w takim stopniu, aby nie wywołały nawet niewielkie-
go znużenia. [...] Auto: szybkość nie wyżej 50 kilome-
trów na godzinę, po drogach równych i przy dobrej pogo-
dzie, dziennie nie więcej niż 4 godziny”².

Stan techniczny samochodu Kolumny GISZ, determi-
nowany także okresem jego użytkowania, miał w tej sy-
tuacji pierwszorzędne znaczenie. Istotny był też produ-
cent pojazdu i rodzaj nadwozia. Kierując się pozytywnymi
doświadczeniami z samochodami Cadillac wożą-
cymi Józefa Piłsudskiego od 1919 r., wybrano wóz tej
marki, z karoserią zamkniętą, dostosowaną do wieku
i stanu zdrowia schorowanego Marszałka.

Wojskowe zamówienie – prywatny import

Sprawę zlecono prywatnemu importerowi. Inżynier
Adolf Skwarczewski, współwłaściciel spółki Stołeczne To-
warzystwo Handlu Samochodami z biurami i salonem wy-
stawowym przy ulicy Kredytowej 2/4, magazynem
i warsztatami przy Kredytowej 1, wspominał: „W 1934 ro-
ku otrzymałem rządowe zamówienie na samochód dla
Marszałka Józefa Piłsudskiego. Pamiętam, że nie sprecy-
zowano, o jakie wyposażenie chodzi, co nie ułatwiło reali-
zacji zamówienia. Postawiono tylko jeden warunek: żeby
Marszałek mógł wsiadać bez pochylania głowy, bo był już
wtedy poważnie chory. Firma przebudowała więc znacz-
nie całe nadwozie podwyższając je, czego w zasadzie ni-
gdy nie robiono, nawet na usilne żądania bogatych klien-
tów. Tym razem odstąpili od zasady i taki egzemplarz Ca-
dillaca powstał na moje zamówienie”³.

W piśmie do kierownika Zaopatrzenia Broni Pancernych
zastępca dowódcy Broni Pancernych Ministerstwa
Spraw Wojskowych ppłk Władysław Spałek 25 stycznia
1935 r. pisał: „W związku z referatem w sprawie samo-
chodu osobowego o specjalnym przeznaczeniu, odpowia-
dającego żądaniom Szefa Biura Inspekcji G.I.S.Z., Pan
II Wiceminister Spraw Wojskowych w dniu 19.I.35r. zarzą-
dził zakup 1 samochodu osobowego marki »Cadillac«
8 cyl. karety 7-osobowej »Fleetwood Specjal«, najnowsze-

go typu, o nadwoziu specjalnie pod-
wyższonym o 10 cm., w luksusowo-
wym wykonaniu, według oferty fir-
my »Towarzystwo Handlu Samo-
chodami Sp. z ogr. odp.«, złożo-
nej do Kier. Zaop. Br. Panc.
19 grudnia 1934 r. Wyposaże-
nie samochodu ma być specja-
lne wg wykazu Samodzielnej Ko-
lumnary Samochodowej G.I.S.Z. Za-
kup tego samochodu polecam
przeprowadzić niezwłocznie [...]. Do
odbioru samochodu należy wezwać Do-
wódcę Samodzielnej Kolumnary Samocho-
dowej G.I.S.Z. Po odbiorze samochód przekazać na
stałe do kolumny G.I.S.Z. Wykonanie meldować”⁴.

Oferta Stołecznego Towarzystwa Handlu Samochoda-
mi była zapewne potrzebną formalnością poprzedzającą
wojskowe zlecenie zakupu samochodu. Specyfikacja bu-
dowy (list przewozowy) tego pojazdu nosi bowiem datę
8 listopada 1934 r., z listopadowym terminem wysyłki
przez General Motors Export w Nowym Jorku do General
Motors International A/S w Kopenhadze i miejscem od-
bioru w porcie w Gdyni. Dokument dotyczył Cadillaca
355D „for Marshall Piłsudski”, siedmioosobowej limuzy-
ny serii 30 modelu na rok 1935, z nadwoziem w kolorze
czarnym, a w załącznikach zawarto informacje odnośnie
do dodatkowego wyposażenia, określonego przez inż.
Adolfa Skwarczewskiego, w tym ogrzewania elektryczne-
go, oświetlenia stopni w przedziale pasażerskim, sie-
dzeń z wypełnieniem puchowym oraz uchwytów sznuro-
wych dla ułatwienia wsiadania i wysiadania a także spe-
cjalnego sygnału dźwiękowego – syreny⁵.

W kolejnym korygującym załączniku podano, że Cadil-
lac Józefa Piłsudskiego miał być o 4 cale wyższy niż wóz
standardowy, mieć kuloodporne wszystkie szyby o grubo-
ści 1 1/8 cala, zbiornik paliwa o pojemności 55 galonów,
pomocniczy zbiornik paliwa o pojemności 3 galonów
i 2 akumulatory. W zawieszeniu samochodu zastosowano
specjalne sprężyny śrubowe o podwyższonej wytrzymało-
ści, dostosowane do zwiększonego obciążenia.

W wyniku pertraktacji pomiędzy Stołecznym Towarzy-
stwem Handlu Samochodami a Kierownictwem Zaopa-
trzenia Broni Pancernych, prowadzonych na podstawie
nowej oferty złożonej przez inż. Adolfa Skwarczewskiego
7 lutego 1935 r., wypracowano pewien konsens. Siedem
dni później mjr inż. Józef Jeszke, kierownik Zaopatrzenia
Broni Pancernych, meldował płk. dypl. Witoldowi Wartha,
szefowi Biura Inspekcji GISZ, o ustaleniu wyposażenia
Cadillaca, zamówionego dla marsz. Józefa Piłsudskiego,
zgodnego z otrzymanymi wcześniej wytycznymi.

Szef Biura Inspekcji GISZ zaakceptował ofertę ze zmia-
nami proponowanymi przez Stołeczne Towarzystwo Han-
dlu Samochodami. Ta decyzja mogła spowodować

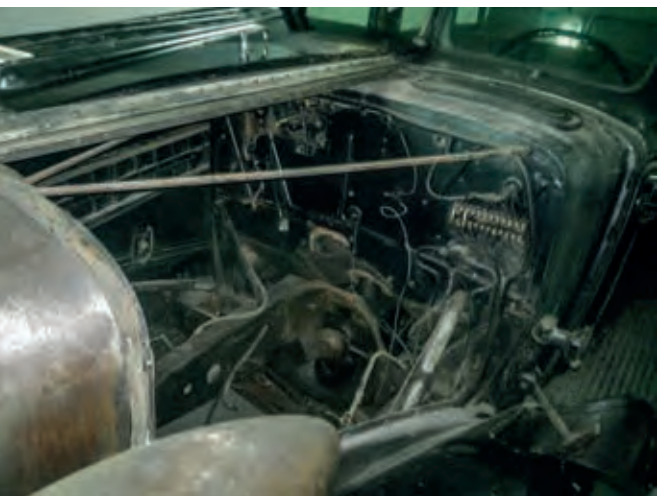
formalne zamówienie samochodu w firmie inż. Adolfa Skwarczewskiego, co uruchomiło transport wozu z Danii do Polski. Cadillac Marszałka jeszcze 18 lutego 1935 r. był w Kopenhadze – zatrzymany przez General Motors International A/S w Danii do czasu wyjaśnienia sytuacji.

„Ale mój fotel lepszy”

Samochód dotarł drogą morską do Gdyni pod koniec lutego lub w pierwszej połowie marca 1935 r., na pewno na kilka dni przed 18 tego miesiąca, gdyż 18 marca 1935 r. powstał „akt techniczno-rachunkowy nr 1524 naprawy samochodu Cadillac nr rej. 8311 z Samodzielnej Kolumny Samochodowej G.I.S.Z.”, podpisany przez jej p.o. dowódcy, por. Franciszka Kawalę, dotyczący dodatkowych prac wyposażeniowych.

Inżynier Adolf Skwarczewski przyprowadził ten kosztowny (70 000 zł) wóz do Warszawy. „Czy Pan wie – wspominał po latach – jak się prowadziło taki ciężki pojazd po ówczesnych drogach, pozbawionych często utwardzonych nawierzchni? Pamiętam, że egzemplarz ten zużywał ok. 30 litrów paliwa na 100 kilometrów. Po sprowadzeniu czekaliśmy na przyjazd przedstawiciela koncernu z Kopenhagi, który uprawniony był do jego ostatecznego od-

go) mieszkanie Marszałka. Nie był zaplanowany, a wynikł podobno z ciekawości Józefa Piłsudskiego, który zobaczył z okna swojego mieszkania nowy okazały samochód, przyprowadzony do GISZ przez p.o. dowódcy Kolumny Samochodowej por. Franciszka Kawalę. Według relacji schorowany Marszałek wyszedł na podwórze, widząc błyszczącą czernią lakieru nadwozia i chromowane elementy wyposażenia pojazdu, miał powiedzieć z typowym dla niego sarkazmem: „no, trumnę mi tu szykujecie!”⁷. Gdy usiadł na obszernej kanapie w przedziale pasażerskim, stwierdził podobno „ale mój fotel lepszy”⁸ i po chwili, z pewną trudnością, wysiadł z samochodu. Zapytał jeszcze o prędkość maksymalną i wrócił do mieszkania. Można domniemywać, że zdarzenie to wywarło istotny wpływ na doposażenie auta, przeprowadzone przed 18 marca 1935 r. Przebudowano wówczas główne kanapowe siedzenie w przedziale pasażerskim. Zamontowano tam również w części pasażerskiej dwa „uchwyty metalowe do rąk”⁹ i „dwa sznury do zamykania drzwi”¹⁰ oraz „dwa sznury oporowe”¹¹. Ślady tego doposażenia samochodu zachowały się do dzisiaj. Z dermatoidu wykonano przypinaną osłonę pod zespół napędowy dla zabezpieczenia przedziału kierowcy przed pyłem drogowym, przenikającym przez podłogę z de-



Zdewastowane wnętrze komory silnika samochodu Cadillac 355D marsz. Józefa Piłsudskiego.

Fot. Maksymilian Sokół-Potocki



Lata osiemdziesiąte XX w., Cadillac 355D Series 30 Fleetwood 7 Passengers Limousine. Zniszczone obicie drzwi przednich i brak skórzanych siedzeń w przedziale kierowcy. Widoczne zastępcze siedzisko – materac z obiciem tapicerskim. Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego

bioru, a później już choroba Marszałka unieruchomiła go w domu i nie miał okazji korzystać z Cadillaca”⁶.

Cadillac 355D, przydzielony do Samodzielnej Kolumny Samochodowej Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i przeznaczony do jego dyspozycji, został jednak zaprezentowany Józefowi Piłsudskiemu! Według słów kpt. Mariana Brodzisza, wieloletniego dowódcy Kolumny Samochodowej GISZ, pokaz odbył się na podwórzu Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych w Alejach Ujazdowskich 1-5, gdzie znajdowało się drugie (oprócz Pałacu Belwederskie-

sek. Samochód marsz. Józefa Piłsudskiego jest lekko opancerzony. Oprócz kulooodpornych szyb Triplex o grubości 2,5 cm ma w drzwiach, pasie tylnym i nadkolach od strony kabiny niewymienione w zamówieniach blachy pancerne o grubości 1 cm. Opancerzenie wykonano zapewne w warsztatach Kolumny Samochodowej, na co wskazuje zarówno sposób wykonania, jak i pewien „kamufaż” w dokumentacji określający je jako obciążenie ołowiane.

Mimo przejęcia przez Kolumnę Samochodową nowoczesnego Cadillaca 355D, dotychczasowy wóz Marszałka

– Cadillac 314 kareta – pozostał nadal do jego dyspozycji. Postępująca choroba Józefa Piłsudskiego i związane z nią utrudnienia były zapewne przyczyną, dla której zdublowano dyspozycyjne pojazdy Generalnego Inspektora, pozostawiając w służbie także dobrze mu znany samochód. Oba te pojazdy używała rodzina zmarłego w czasie przygotowań do uroczystości pogrzebowych i ostatniego pożegnania Marszałka w Warszawie 17 maja 1935 r.

Po śmierci Marszałka

Można domniemywać, że bez żadnej przerwy Cadillac 355D był przez dalsze lata w użytkowaniu wdowy po Marszałku – Aleksandry Piłsudskiej. Wraz z samochodem w służbie rodziny Piłsudskich pozostał wieloletni kierowca Marszałka, Zygmunt Malinowski, pracownik cywilny Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ. Nieznana jest data rozstania się Aleksandry Piłsudskiej z samochodem męża. Zapewne był to koniec 1936 r. lub początek następnego, gdyż w 1937 r. wóz ten wykorzystywany był do odmiennych zadań. Wiadomo natomiast, że 15 marca 1938 r. marszałkowa użytkowała inny pojazd z Kolumny Samochodowej, nowoczesnego Buicka 90L.



Lata osiemdziesiąte XX w., Cadillac 355D Series 30 Fleetwood 7 Passengers Limousine marsz. Józefa Piłsudskiego w Muzeum Techniki NOT.

Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego

Do września 1939 r. Cadillac 355D był w Samodzielnej Kolumnie Samochodowej eksploatowany dość intensywnie, o czym świadczą liczne „polecenia usunięcia usterek”¹² w warsztacie samochodowym Kolumny, wydawane w latach 1937–1939 przez jej dowódcę por./kpt. Franciszka Kawalę.

Trudno ustalić, kto przejął po Aleksandrze Piłsudskiej użytkowanie Cadillaca 355D. Wiadomo tylko z Wykazu taboru Samochodowego Samodzielnej Kolumny Samochodowej G.I.S.Z. w dniu 12 września

1938 roku, że wóz stanowił „rezerwę w dyspozycji Szeffa Biura Inspekcji G.I.S.Z.”¹³.

W latach 1937–1939 Cadillac 355D Józefa Piłsudskiego, wóz niewątpliwie reprezentacyjny, był używany przez Kolumnę Samochodową GISZ Zamkowej Kolumnie Samochodowej Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Widywano, gdy wraz z zamkowymi pojazdami obsługiwał wizyty zagranicznych gości, między innymi króla Rumunii Karola II w 1937 r. czy też – według słów inż. Skwarczewskiego – marszałka Rzeszy Niemieckiej Hermana Göringa na polowaniu w Puszczy Białowieskiej.

Na wojennym wygnaniu

W kampanii wrześniowej 1939 r. Cadillac 355D był w użytkowaniu Naczelnego Wodza, marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza, przed wojną Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Rozwój sytuacji wojennej w Polsce powodował przemieszczanie się najwyższych władz państwowych i wojskowych w kierunku południowo-wschodnim, gdzie planowano ostateczną obronę. Wkroczenie wojsk sowieckich do Rzeczypospolitej 17 września 1939 r. przyniosło jednak tragiczne następstwa. Dzień później, wskutek agresji Rosji sowieckiej na walczącą z Niemcami Polskę, unie-



Zdewastowane wnętrze przedziału kierowcy. Zdekompletowana deska rozdzielcza, bez wskaźników i oprzyrządowania, wyrywana pokrywa schowka i kierownica z wymontowanym przyciskiem sygnału dźwiękowego. Dobrze widoczne uszkodzenia szyb i zniszczone obicie prawych drzwi przednich.

Fot. Zbiory Jana Tarczyńskiego

możliwiającej dalszą obronę kraju, marsz. Śmigły-Rydz przekroczył rumuńską granicę opancerzonym samochodem Cadillac 355D, bezpieczniejszym w warunkach wojennych niż Cadillac 452D, używany w czasie pokoju.

Dobre stosunki polityczne z Rumunią przyniosły pewną korzyść w czasie kampanii wrześniowej. Kraj rządzony przez Karola II dał schronienie ponad 50 tys. Polaków, ale jednocześnie, łamiąc zobowiązania traktatowe, uwięził w Rumunii prezydenta i rząd Rzeczypospolitej. Polskie władze państwowe chciały przedostać się ►



Ostatni samochód Józefa Piłsudskiego Cadillac 355D po kompleksowej renowacji.
Fot. Jerzy Kossowski

do Francji, aby z sojuszniczego terytorium prowadzić dalszą walkę. Rząd rumuński przejął także, bez odškodowań, polski majątek państwowy, a więc także mienie wojskowe, w tym cały sprzęt bojowy.

Co mogło stać się dalej z samochodem marsz. Śmigłego-Rydza, opowiada Wojciech Krzyżanowski, b. konsul RP w Czerniowcach, od września 1939 r. pracownik Ambasady Rzeczypospolitej w Bukareszcie: „W kraju obfitej a taniej benzyny samochody używane były bardzo poszukiwane, tym bardziej, że nabycie nowego wozu w czasie wojny było praktycznie niemożliwe. Samochody służbowe, przeważnie mocno sfatygowane i noszące dramatyczne ślady działań wojennych, pozostawiano naszej opiece. Wkrótce zebrało się ich sporo i »opiekę« nad nimi objął Tadeusz Lubaczewski, nasz radca handlowy, który zorganizował duży parking, ogrodzony i strzeżony, i przy pomocy kilku szoferów-mechaników starał się doprowadzić je do takiego stanu używalności, aby można je było sprzedać lub używać jako przekonującego argumentu w pertraktacjach z władzami. Nasze samochody ściągnęły na siebie uwagę potencjalnych posiadaczy i rychło wytworzyło się w Bukareszcie coś w rodzaju psychozy. Wielu dygnitarzy zaczęło coraz natężej zabiegać o uzyskanie polskiego uchodźczego samochodu. Wykorzystywaliśmy tę pomyślną koniunkturę i na przykład pięknemu Buickowi zawdzięczamy otrzymanie in blanco kilku tysięcy wiz wyjazdowych na naszych improwizowanych paszportach”¹⁴. Po ucieczce Naczelnego Wodza z Rumunii w 1940 r., ten sam los uchodźczych pojazdów podzielił jego Cadillac 355D.

Do czerwca 1940 r. Biuro Samochodowe Komisji Ochrony Mienia Państwowego przy Ambasadzie RP sprzedawało – tylko na zlecenie attaché wojskowego – 15 samochodów

osobowych po cenach obniżonych o 5–70% ich rzeczywistej wartości wyłącznie notabdom wojskowym i policyjnym, a 6 dalszych przekazało bezpłatnie. Samochodowe prezenty, którymi obdarowano znanych z łapówkarstwa rumuńskich prominentów, pozwalały na uzyskiwanie dużych, chociaż raczej nieformalnych udogodnień w życiu internowanych i pracy polskich instytucji na terytorium Rumunii. Wiosną 1940 r. dr Karol Aleksandrowicz, przewodniczący Komisji Badawczej w Komisji Ochrony Mienia Państwowego przy Ambasadzie RP w Bukareszcie, sporządził zestawienie sprzętu przekazanego Rumunom: „Oprócz wymienionych samochodów specjalnych wywieziono do Rumunii szereg innych samochodów – razem zdano władzom rumuńskim 763 pojazdów mechanicznych, a mianowicie:

25 motocykli a zł. 2.000, - zł. 50.000,-
16 autobusów a zł. 50.000, - zł. 800.000,-
721 samochodów a zł. 15.000, - zł. 10.800.000,-

W liczbie 721 samochodów było około 60% samochodów ciężarowych; 25% osobowych; 15% sanitarnych i innych specjalnych »łazików«”¹⁵. Sprzedażą samochodów stanowiących własność Skarbu Państwa, a znajdujących się poza Bukaresztem, miał zająć się według umowy z Biurem Samochodowym Komisji Ochrony Mienia Państwowego z 27 marca 1940 r. inż. Skwarczewski, przedwojenny dostawca samochodów Cadillac dla najwyższych władz cywilnych i wojskowych RP.

Rewindykacja

Spisy pojazdów polskich w Rumunii, sporządzone po zakończeniu działań wojennych przez przedstawicieli komunistycznej Polski, zawierają o wiele większe liczby utraconych samochodów. Ich liczba implikowała zakres działania i stopień trudności rewindykacji polskiego

mienia, którą zamierzano przeprowadzić. Wśród podlegających restytucji lub odszkodowaniom pojazdów wojсковych w liczbie minimum 1452, bez samochodów specjalnych łączności i parku motorowego 21 Batalionu Czołgów R-35, oraz minimum „1370 polskich samochodów prywatnych przejętych przez władze rumuńskie lub przymusowo sprzedanych przez Rumunów z licytacji”¹⁶, bez co najmniej 50 samochodów Polskich Linii Lotniczych „Lot” oraz wozów straży pożarnej miasta Bielska, znajdował się opancerzony Cadillac 355D Józefa Piłsudskiego. Samochód spędził wojnę w Rumunii; użytkowany był przez najwyższych urzędników Prezydium Rady Ministrów tego kraju. Rok po zakończeniu II wojny pojazd znalazł się w grupie „kilku samochodów reprezentacyjnych”¹⁷, których rewindykację przeprowadził inż. Stefan Wengierow, od kwietnia 1946 r. chargé d'affaires w polskiej placówce dyplomatycznej w Bukareszcie, głównie dzięki osobistym interwencjom u szefa rumuńskiego Urzędu Rady Ministrów – Emila Bodnăraşa. Dzięki staraniom inż. Wengierowa Cadillac 355D sprowadzono w końcu 1946 r. do Polski. W ciągu z rachunku pod nazwą rewindykacja mienia państwowego widnieje kwota 500 USD, wypłacona 31 grudnia 1946 r. „za transport Cadillaca opancerzonego”¹⁸. Ironia losu sprawiła, że samochód kupiony dla Piłsudskiego został rewindykowany staraniem przedstawiciela komunistycznej Polski i powrócił do kraju zdominowanego przez wroga ideologię, z którą całe życie walczył Pierwszy Marszałek.

W prezydenckim kamuflażu

Przybycie do kraju opancerzonego Cadillaca 355D nie znalazło oddźwięku. Sytuacja polityczna ówczesnej Polski wybitnie nie sprzyjała rozgłosowi wokół tej rewindykacji. Do drugiej połowy lat pięćdziesiątych XX w. marszałkowski Cadillac użytkowało Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Wymontowano wówczas silnik i jego osprzęt, zdewastowano całkowicie wnętrze kabiny i deskę rozdzielczą, wycięto skórzaną tapicerkę drzwi i zniszczono kanapy. Ukradziono elementy oświetlenia i koła zapasowe. Próbowano też rozbić szyby – strzelali w nie funkcjonariusze MBP.

Prawdopodobnie w 1956 r. Cadillac 355D oddano do składnicy muzealnej we Wrocławiu, zorganizowanej głównie dla zabytkowego sprzętu lotniczego przez Muzeum Techniki Naczelnej Organizacji Technicznej.

W 1963 r., po przekazaniu zgromadzonych tam zabytków lotniczych Aeroklubowi Krakowskiemu, Cadillac przewożony do stołecznego Muzeum Techniki NOT. W latach tzw. Polski ludowej samochód Józefa Piłsudskiego ukryto w inwentarzu pod mianem Cadillac Ignacego Mościckiego – wspomnienie o prezydencie II Rzeczypospolitej nie stanowiło dla komunistycznych władz tak dużego zagrożenia ideologicznego, jak legenda Marszałka.

W kapsule czasu

Mimo wielu prób pozyskania środków na odbudowę samochodu zdewastowanego przez powojennych użytkowników, nie udało się wówczas doprowadzić do jej rozpoczęcia. Dopiero w 2014 r. zrekonstruowano zabytek za sprawą Społecznego Zespołu do spraw Inwentaryzacji i Opracowania Dokumentacji Konserwatorskiej Samochodu Cadillac 355D marsz. Józefa Piłsudskiego, kierowanego przez piszącego te słowa, który prowadził także nadzór i konsultację merytoryczną nad rewitalizacją wykonaną w poznańskiej firmie Rolls-Royce and Bentley Specialists.

Obecnie samochód można oglądać w specjalnym pawilonie wystawienniczym, zwanym kapsułą czasu, w Łazienkach Królewskich, obok pomnika marsz. Józefa Piłsudskiego, u wylotu ulicy Bagatela.

JAN TARCZYŃSKI doktor nauk humanistycznych. Dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej. Działacz polskiej emigracji niepodległościowej w Wielkiej Brytanii, publicysta, autor ponad 30 książek i przeszło 350 artykułów z dziedziny historii wojskowości i emigracji niepodległościowej po II wojnie światowej. Od ponad 20 lat tworzy dokumentalne filmy historyczne dla TVP. W latach 1996–2010 dyrektor biura byłego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ryszarda Kaczorowskiego w Londynie. Były doradca prezesa Federacji Światowej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Londynie oraz szefa Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych w Warszawie. Członek Zarządu Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie oraz Rady Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie, wiceprezes Polskiej Fundacji Kulturalnej w Wielkiej Brytanii. Wielokrotnie odznaczany, m.in. przez prezydenta RP prof. Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i prezydenta RP na Uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego Srebrnym Krzyżem Zasługi.

¹ Gen. bryg. Tadeusz Kossakowski, *Protokół komisji powołanej w związku z wynikiem kampanii wojennej 1939 r.*, Londyn, 23 marca 1942 r., s. 9. IPiMS, B. 1709.

² Pismo konsylium lekarskiego *Do Pana Prezesa Rady Ministrów, Marszałka Józefa Piłsudskiego*, podpisane przez prof. (nazwisko nieczytelne), lek. med. Eugenię Lewicką, płk. lek. med. A. Bylinę, prof. dr. med. Aleksandra Januskiewiczę; mps; b.d., b.m.w. Dokument uzyskany dzięki uprzejmości red. Tomasza Stańczyka z Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. ³ B. Koperski, *Cadillac Naczelnika*, „Motor”, nr 42, 16 października 1988 r. ⁴ Pismo zastępcy dowódcy Broni Pancernych MSWojsk do Kierownika Zaopatrzenia Broni Pancernych z 25 stycznia 1935 r. CAW, GISZ I.302.4.1893. ⁵ Specyfikacja budowy „Cadillac series 30 7 pass. limousine”, „for Marshall Piłsudski, Gdynia” z 8 listopada 1934 r., General Motors Media Archive – Vehicle Invoice Department, Built Sheet Collection, Livonia, Stany Zjednoczone; VIN 3105032. Dokument uzyskany po przesłaniu numeru podwozia (3105032) umieszczanego na podłużnicy ramy Cadillaca 355D, zachowanego w Muzeum Techniki NOT w Warszawie. ⁶ B. Koperski, *Cadillac Naczelnika*. Cenę ok. 70 000 zł podano za: Informację inż. A. Skwarczewskiego na temat okoliczności sprowadzenia do Polski samochodu marki Cadillac (nr inw. MT-IV-321), załącznik do listu inż. Jerzego Jasiuka, dyrektora Muzeum Techniki NOT DM/390/88 z 8 września 1988 roku do inż. Adolfa Skwarczewskiego. ⁷ Relacja płk. dypl. Kazimierza Skrzywanca z Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, zaprzyjaźnionego (jako kpt. dypl. Oddziału II Sztabu Głównego) z kpt. M. Brodzińskim, złożona – na podstawie jego przekazu – Janowi Tarczyńskiemu w grudniu 1989 r. ⁸ Tamże. ⁹ „Akt techniczno-rachunkowy nr 1524” z 18 marca 1935 roku „naprawy samochodu Cadillac nr rej. 8311 z Samodzielnej Kolumny Samochodowej G.I.S.Z.”; CAW, G.I.S.Z. 302.4.1893. ¹⁰ Tamże. ¹¹ Tamże. ¹² Wykaz taboru samochodowego Samodzielnej Kolumny Transportowej G.I.S.Z. w dniu 12 września 1938 roku. CAW, G.I.S.Z. I.302.4.1895. ¹³ Tamże. ¹⁴ Wojciech Krzyżanowski, *Lata bukareszteńskie*, Zeszyty historyczne nr 44, 1978, s. 180–181. ¹⁵ Notatka służbowa dla przedstawicieli armii francuskiej płk. Hugona. Bukareszt, marzec 1940; IPiMS (Londyn), Ambasada w Rumunii. A. III. ¹⁶ Majątek obywateli polskich, podlegający restytucji lub odszkodowaniom, wykaz z 29 kwietnia 1947 r. oraz Zestawienie pretensji Rzeczypospolitej Polskiej w stosunku do Rumunii z tytułu: I – rozrachunków między obu państwami, II – należności polskich w Rumunii, III – szkód i strat poniesionych przez Państwo Polskie, bądź przez polskie osoby prawne i fizyczne, w wyniku zajęcia lub korzystania z ich mienia zarówno na terenie Państwa Polskiego, jak i na terenie Rumunii przez władze, bądź osoby prawne lub fizyczne rumuńskie. B.m.w., po 17 lipca 1946 r. Oba dokumenty: Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Departament Polityczny, 6/361/23. ¹⁷ H. Różański, *Śladami wspomnień i dokumentów (1943-1948)*, Warszawa 1988, s. 430. ¹⁸ Wyciąg z rachunku Rewindykacja mienia państwowego, kwiecień 1947, Bukareszt, Ambasada Polska, Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Departament Polityczny 6/361/23.

WSZYSTKIE ZBRODNI JASIENICY



Paweł Jasienica.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

IPN 0204 / 19 k. 1

Nr. spr.

180/48

Fot. i daktyloskop.

Data fot.

8.7.1948r.

Nr. kontroli zdjęć fot.

511/48

Nr. opisu

WUBPKraków
1948 511

WUBPK

9 z 529

Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

„Wskrzeszając czasy minione zawsze był tu i teraz swoim nazwiskiem, swoim moralnym autorytetem wspierał wszelkie poczynania, które miały na względzie dobro Rzeczypospolitej”¹ – tymi słowami żegnano na warszawskich Powązkach Leona Lecha Beynara.

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Na starym Cmentarzu Powązkowskim, a także na cmentarzach innych, nieraz bardzo odległych coraz więcej grobów ludzi, którzy dopiero co żyli wśród nas i byli chlubą literatury polskiej [...].

Dzisiaj piśmiennictwo polskie tu w ojczyźnie Kochanowskiego, Mickiewicza i Żeromskiego, żyjące na pół oddechu i stygnące wśród obszarów myślenia, znów ma dzień żałoby. W pełni sił umarł znakomity pisarz, mężny i prawy człowiek – świętej pamięci Paweł Jasienica² – mówił 22 sierpnia 1970 r. w czasie jego pogrzebu Jerzy Andrzejewski. I dodawał: „Kiedy w najtrudniejszych czasach ostatniej wojny trzeba było walczyć z bronią w ręku [...] był żołnierzem (tu w kraju, w sławnej Armii Krajowej). Gdy należało tworzyć nowy kształt życia – współtworzył go piarstwem oraz czujnym rozeznaniem obywatelskim [...]. Wskrzeszając czasy minione zawsze był tu i teraz swoim nazwiskiem, swoim moralnym autorytetem wspierał wszelkie poczynania, które miały na względzie dobro Rzeczypospolitej [...] za swoje przekonania, za odwagę [ich]

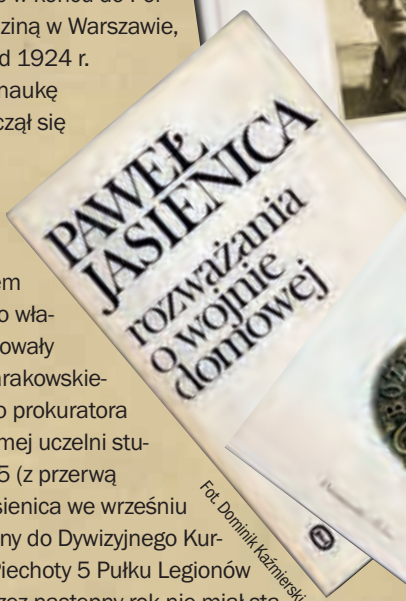
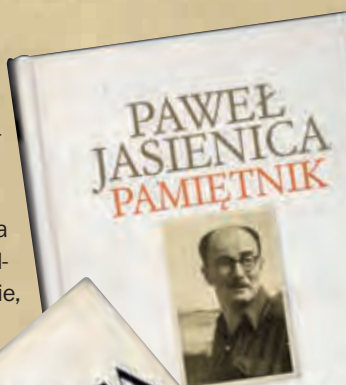
wypowiadania [...] zapłacił wysoką cenę. Oskarżony o czyn, których nie dokonał, publicznie spotwarzony i znieważony nie miał możliwości obrony [...] w pełni twórczych sił został z początkiem roku 1968 z dnia na dzień zepchnięty na margines życia publicznego – skazany na śmierć cywilną”³. Te słowa zapisali funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, którzy oczywiście na temat zmarłego – podobnie jak władze PRL – mieli zupełnie inne zdanie. Odnotali, że na jego pogrzeb przybyło „znacznie więcej ludzi”⁴, niż na pogrzeb Marii Dąbrowskiej pięć lat wcześniej. Według esbeków wzięło w nim udział około tysiąca osób, „w przeważającej większości w wieku starszym”⁵, ponadto „licznie reprezentowane było środowisko literackie”⁶. Nie udało się zatem – jak widać – tego znakomitego pisarza historycznego zepchnąć całkowicie na margines.

Dzieciństwo i młodość

Paweł Jasienica, a właściwie Leon Lech Beynar, przyszedł na świat 10 listopada 1909 r. w Symbirsku nad

Wołą (ob. Uljanowski). Urodził się w Rosji, gdyż jego ojciec – jako syn powstańca styczniowego – mógł być zatrudniony jedynie we wschodnich prowincjach carskiego imperium. Z czasem jego rodzice przenieśli się na Ukrainę, by w 1920 r. wrócić w końcu do Polski. Najpierw mieszkał z rodziną w Warszawie, a od 1921 r. w Opatowie i od 1924 r. w Grodnie, gdzie zakończył naukę w gimnazjum. Potem rozpoczął się jego wileński etap życia.

W 1932 r. ukończył studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Stefana Batorego, zostając magistrem filozofii w zakresie historii. To właśnie wtedy jego drogi skrzyżowały się z drogami Stanisława Żarokowskiego, późniejszego naczelnego prokuratora wojskowego, który na tej samej uczelni studiował w latach 1928–1935 (z przerwą w okresie 1930–1933). Jasienica we wrześniu 1932 r. na rok został wcielony do Dywizyjnego Kursu Podchorążych Rezerwy Piechoty 5 Pułku Legionów stacjonującego w Wilnie. Przez następny rok nie miał stałego zajęcia i pracował dorywczo, m.in. jako nauczyciel w jednej z wileńskich szkół żydowskich. W 1934 r. rozpoczął pracę etatową jako nauczyciel w gimnazjum. Trzy lata później został spikerem Rozgłośni Wileńskiej Polskiego Radia, gdzie był zatrudniony do wybuchu II wojny światowej. W tym czasie – w 1935 r. – wydał swoją pierwszą



Fot. Dominik Kaźmierski



książkę historyczną zatytułowaną *Zygmunt August na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa*. Kilka dni przed rozpoczęciem wojny został zmobilizowany do Wojska Polskiego – do 134 Pułku Piechoty, w którym został dowódcą 3 plutonu 3 kompanii 1 batalionu. Przeszedł cały szlak bojowy tej jednostki, aż do jej kapitulacji 27 września 1939 r. pod Białgorajem. Na krótko trafił do niewoli niemieckiej, z której udało mu się uciec na początku października i przez Warszawę wrócić do Wilna. Tam spędził kolejne lata. Jego wojenne losy były zmienne jak losy Wileńszczyzny – najpierw pozostawał bez pracy i utrzymywał się z wyprzedaży osobistego majątku, potem był instruktorem wychowania fizycznego, robotnikiem fizycznym na budowach i stróżem nocnym.

Wojenna konspiracja

Za pośrednictwem ks. Henryka Hlebowicza zaangażował się w działalność konspiracyjną – przysięgę złożył



Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie, którego absolwentem był Paweł Jasienica.
Dziedziniec Piotra Skargi.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

PROTOKÓŁ REWIZJI

Stokholm, dnia *9. VII.* 194*4* r.
 (Nazwisko, imię, oraz stopień służb, funkcje.) funkcjonariusz *Woj. Urząd. Bezpieczeństwa*
 Publicznego w *Stokholm* w obecności świadków:
 1. *Parys Horstman*
 2. *Gurowskiego Jana*
 na zasadzie art. 85 K.W.P.K.—art. 142 K.P.K. zgodnie z zarządzeniem rewizji z dnia
 wydany przez *Bejnar Leon* dokonał u ob.
 zam. w *Stokholm* przy ul. *Żurawiejskiej*
 Nr. *32* m. *3* rewizji domowej — osobistej

IPN BU 0 204/19/19
46184/II

18

Główny Pełnomocnik
 Polskiego Komitetu Wyzwolenia
 Narodowego
 Lenkijos Tautinio Išsivadavimo
 Komiteto Vyriausiojo Įgaliotinis
22. I 194*5* r.

Karta ewakuacyjna Evakuacijos lapas

Wydana obywatelowi
 Duotam piliečiui
 mieszkancowi
 gyventojui

Vilnius

powiatu (ulicy) *Universiteto* gminy (miasta)
 apskrities (gatvės) valsčiaus (miesto)

jako dowód, że za pozwoleniem Głównego Pełnomocnika Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego dla ewakuacji
 pażymint, kad jis Lenkijos Tautinio Išsivadavimo Komiteto Vyriausiojo Įgaliotinio evakuacijai Lietuvos TSR te-
 na terytorjum Litewskiej SSR ewakuuje się do *Poznań* gminy *Gdańsk* valsčiu
 ritorijoje leidimu evakuojasi į województwa
 vaivadiją.

Wraz z nim ewakuuje się następujący członkowie jego rodziny:
 Su juo kartą evakuojasi še jo šeimos nariai:

w pierwszej połowie 1940 r. Używał pseudonimów „Władysław” i „Nowina”. Zajmował się propagandą – wydawaniem ulotek, opracowywaniem biuletynów radiowych. Uczył również historii na kursach konspiracyjnych i opracował program dla kursantów. Na początku 1944 r. wyznaczono go na redaktora pisma „Pobudka”, które miało być przygotowywane dla oddziałów partyzanckich. W czerwcu 1944 r. trafił do lasu, do sztabu Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej znajdującego się w tym czasie w Dziewieniszkach. Jak zeznawał po aresztowaniu przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w 1948 r., przedstawiając po raz kolejny swój życiorys: „Znajdowała się i tam drukarnia polowa. Wydaliśmy wkrótce pierwszy numer »Pobudki«. Wszystkie zawarte w niej artykuły (z wy-

jątkiem analizy jednej z potyczek, który to artykuł napisał któryś z oficerów zawodowych) napisałem ja”⁷. Jako ochotnik 7 lipca 1944 r. wziął udział w walkach o Wilno w ramach operacji „Ostra Brama”. Następnie – po aresztowaniu przez Sowieców dowództwa Okręgu Wileńskiego AK (na czele z jego komendantem Aleksandrem Krzyżanowskim „Wilkiem”) – ponownie trafił do lasu. Potem komentował: „Tak oto ominęła mnie godność oficera łącznikowego przy sztabie Armii Czerwonej”⁸. Zamiast tego 19 sierpnia wziął udział w walce z oddziałami sowieckimi. Później zeznawał: „Tej grupie ludzi, wśród której się znalazłem, udało się, dzięki mgłę, wyjść nieopstrzeżenie z oblavy”⁹. Nie na długo jednak – wpadł w jednej z kolejnych, na wschód od Grodna. Jak sam



Uczniowie Gimnazjum Męskiego im. Henryka Sienkiewicza Polskiej Macierzy Szkolnej w Grodnie, które ukończył Paweł Jasienica.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

potem relacjonował – był nawet przesłuchiwany przez pułkownika NKWD. Po kilku, kilkunastu dniach został odstawiony „pod zbrojnym konwojem” do jednostki ludowego Wojska Polskiego w Dojlidach, skąd zdezerterował. Przesłuchiwany stwierdzał potem: „Wiedziałem o istniejących instrukcjach i rozkazach, że AK-owcy nie mogą służyć w wojsku berlingowskim, gdyż to sprzeczne jest z przyszłością. Stosując się do tych wytycznych po kilku dniach uciekłem z tego oddziału, udając się w kierunku Puszczy Białowieskiej”¹⁰. Trafił do V Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, dowodzonej przez Zygmunta Szendzielarza „Łupaszka”. Przesłuchiwany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego twierdził: „dowiedziałem się, że w okolicy ukrywa się oddział partyzantów wileńskich, którym dowodził »Łupaszka« (aż dotąd nie znalazłem go i nie widziałem). Zgłosiłem się do nich i zostałem przyjęty, jako adiutant [...]. Ku końcowi mojego pobytu w oddziale »Łupaszka« zrobił mnie swoim zastępcą”¹¹. Brał udział w co najmniej kilku potyczkach. Jak sam zeznawał np. „Także w maju 1945 r. [...] rozbiliśmy żołnierzy WP, którzy ochraniaли kolejowy most na Bugu. Żołnierze w liczbie około 40 poddali się bez strzału i dołączyli do naszego oddziału”¹².

Powojenne szykany

W nocy z 8 na 9 sierpnia 1945 r. – w czasie obławy Wojska Polskiego i Armii Czerwonej – został postrzelony w udo. Opuścił brygadę i znalazł schronienie we wsi Jasienica, gdzie ukrywał się do czasu wygojenia ran. W styczniu 1946 r. udał się do Krakowa. Jak mówił potem funkcjonariuszom Urzędu Bezpieczeństwa: „Zastanawiając się nad znalezieniem stałej pracy w kraju dowiedziałem się o istnieniu w Krakowie »Tygodnika Powszechnego«. Postanowiłem dostać się tam, ponieważ od dawna miałem ochotę na zawód publicysty”¹³. Jednak pierwsze swoje powojenne artykuły opublikował na łamach innego katolickiego tygodnika – „Dziś i jutro”. Potem związał się z „Tygodnikiem Powszechnym”, a w czerwcu 1946 r. został członkiem jego redakcji. Początkowo publikował pod własnym nazwiskiem, ale okoliczności zmusiły go do przybrania pseudonimu literackiego – Paweł Jasienica. Jak potem tłumaczył: „Pseudonim literacki musiałem jednak przybrać ze szczególnego powodu. Wiedziałem, że moja żona pozostaje w Wilnie, zarejestrowana jako wdowa. Moi bliscy w tym mieście byli przekonani, że zginąłem tam, gdzie płk Kotwicz [Maciej Kalenkiewicz, dowódca Podokręgu Nowogródzkiego AK, który zginął pod Surkontami w walce z oddziałami Armii Czerwonej]. Obawiałem się, że

moje nagłe »zmartwychwstanie« w Krakowie może łatwo skierować żonę w ślady moich rodziców i siostry, wywiezionych na początku roku 1940 do Kazachstanu”¹⁴.

Wydawało się, że rozpoczyna się nowy okres w jego życiu. Jednak nie na długo – 2 lipca 1948 r. dopadła go przeszłość: podobnie jak wielu innych żołnierzy V Wileńskiej Brygady Armii Krajowej został aresztowany przez bezpiekę, a konkretnie funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie. W przeciwieństwie do wielu z nich jednak – co było później wykorzystane do publicznego zaatakowania go – został szybko, bo już 27 sierpnia 1948 r., zwolniony postanowieniem Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Odzyskanie wolności zawdzięczał osobistej interwencji i poręczeniu szefa Stowarzyszenia PAX Bolesława Piaseckiego. Tak w kwietniu 1968 r. opisywał swe zwolnienie: »Nie spodziewałem się tego wcale. Powiedziano mi: »Wyjdzie pan na wolność, zobaczymy, czy to się Ojczyźnie opłaci«. Nie podpisywałem żadnych zobowiązań. Nawet zobowiązania do milczenia. Usłyszałem tylko: »Jest pan człowiekiem inteligentnym i sam wie, że nie wolno zdradzać tajemnic śledztwa«. Nigdzie nie musiałem się meldować, nie ograniczano mej swobody ruchów, zastrzegając jedno tylko: »Mała prośba do pana, żeby był pan łaskaw nie wyjeżdżać«”¹⁵. Co ciekawe, Departament Śledczy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego śledztwo w sprawie jego rzekomej działalności antypaństwowej umorzył dopiero dziewięć miesięcy później, 3 maja 1949. r. Jak ponad 20 lat później – w październiku 1970 r. – oceniała Służba Bezpieczeństwa: »W śledztwie przeciwko Jasienicy, w sposób rażąco dopuszczono się naruszenia obowiązującego prawa. Mimo iż materiały zebrane przez WUBP w Krakowie i następnie w MBP [...] wskazywały na to, że Jasienica dopuścił się zbrodni – nie starano się zebrać i wykorzystać tych materiałów. W uzasadnieniu postanowienia o umorzeniu śledztwa, wbrew oczywistym dowodom, pominięto działalność Jasienicy w bandzie »Łupaszkii«. Nie było żadnej podstawy prawnej do umorzenia śledztwa [...]. Nie podlegał on amnestii z dnia 2.08.1945 r., gdyż nie wypełnił warunków wynikających z tego dekretu. Brak było również podstaw do stosowania wobec niego przepisów ustawy o amnestii z dnia 2.02.1947 r.«”¹⁶

Po zwolnieniu z więzienia Paweł Jasienica powrócił do pracy w »Tygodniku Powszechnym». Odszedł z niego w styczniu 1950 r. Przeniósł się do Warszawy. Publikował na łamach: »Życia Warszawy», »Życia Literackiego», »Twórczości», »Nowej Kultury», »Przeglądu Kulturalnego», »Po prostu» i innych czasopism. Do 1956 r. jako publicysta współpracował także z PAX. Od lat pięćdziesiątych ponownie wydawano jego książki, głównie o tematyce historycznej, m.in. *Polska Piastów* (1960), *Polska Jagiellonów* (1960), *Rzeczpospolita Obojga Narodów* (cz. 1–3, 1967–1972). Jednak jego pierwszą opublikowaną (w 1951 r.) pozycją był zbiór reportaży z podróży po Kielecczyźnie: *Wi-*



Rozgłośnia Polskiego Radia w Wilnie, gdzie Paweł Jasienica pracował do wybuchu wojny. Fragment amplifikatorni, przy stole kierownik techniczny radiostacji. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

sła pożegna zaścianek – książka z ideologicznym przesłaniem, ale jednocześnie pasjonująca opowieść o czasach minionych. W 1952 r. został członkiem Związku Literatów Polskich. Z czasem coraz bardziej angażował się w działalność opozycyjną, m.in. na forum ZLP. W latach 1956–1962 był członkiem Klubu Krzywego Koła, od marca 1959 r. stał na czele Komisji Rewizyjnej KKK, a od kwietnia 1961 r. był prezesem Zarządu. Należał do sygnatariuszy tzw. Listu 34 – apelu intelektualistów z marca 1964 r. do premiera, pierwszego zbiorowego protestu przeciwko polityce kulturalnej władz PRL (przeciw ograniczeniu przydziału papieru na druk książek i czasopism, zaostreniu cenzury prasowej), zawierającego również żądanie prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji. Po zatrzymaniu Jana Józefa Lipskiego – jednego z pomysłodawców Listu – Jasienica inicjował działania w celu jego uwolnienia.

Ponownie na celowniku

Nic zatem dziwnego, że znów znalazł się na celowniku bezpieki; najpierw od 1955 r. – Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, a od jego likwidacji do 1970 r. – Służby Bezpieczeństwa. Najdłużej w ramach sprawy operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem »Kołodziej», zakończonej kilka miesięcy po śmierci Jasienicy. Funkcjonariuszom UBP/SB wyraźnie nie podobała się jego działalność, zarówno ta zawodowa, jak i publiczna oraz prywatna. I tak pod koniec marca 1965 r. stwierdzali: »prowadzi również działalność odczytową na terenie różnych klubów, bibliotek, szkół. Omawia tam swe opracowania historyczne publikowane i niepublikowane, polemizuje z niektórymi oce-

Ankieta personalna

Nazwisko **BEYNAR**
 Imię **Leon - Lech**
 Imię ojca **Nikołaj**
 Imię i nazwisko matki **Helena**
 Data urodzenia **10. II. 1909 r.**
 Miejsce urodzenia **Mjonawsk (Rosja)**
 Adres zamieszkania **Kraków ul. Łurymiecha 52**
 Zabarwienie przestępstwa **Ex-fonch brondy terror-ma-
 N.S. Z udziałem w napadach terrorystycznych
 placówki U.B. i M.O. Amsterc. dn. 3. IV. 46**
 Zwolniony dnia **16. I. 49 r.**

nami naukowymi (np. o roli jednostki w historii), stwierdza, że wiele faktów przemilcza się w historii lub fałszywie naświetla oraz wypowiada szereg uwag godzących w stosunki polityczne, społeczne i gospodarcze panujące w PRL¹⁷. Stawiali mu też zarzuty bardziej konkretne, np. „w dniu 22.01.1959 r. atakując politykę kulturalną w PRL domagał się określenia granic wolności słowa”¹⁸. W ocenie esbeków po śmierci Stanisława Cata-Mackiewicza w lutym 1966 r. miał przejąć „jego kontakty z Londynem i Paryżem”¹⁹, a nawet kontaktować się ze znenawidzoną przez władze PRL paryską „Kulturą” w celu opublikowania przez Instytut Literackich listów po Mackiewiczu. Funkcjonariuszom SB nie przypadły również do gustu jego kontakty z dziennikarzami zagranicznymi, które miały służyć „przekazywaniu informacji i materiałów do publikowania zagranicą”²⁰. Nie inaczej było w przypadku jego aktywności na forum. „Wystąpił z gorącą obroną A[ntoniego] Słonimskiego na otwartym zebraniu P[odstawowej] O[rganizacji] P[artyjnej] przy Oddziale Warszawskim Z[wiązku] L[iteratów] P[olskich] z udziałem tow. Z[enona] Kliszko w dniu 5.10.1964 r. Bardzo interesował się sprawą i procesem M[elchiora] Wańkowicza”²¹ – stwierdzali.

Po Marcu '68

Władzom PRL naraził się szczególnie w lutym i marcu 1968 r. Przede wszystkim swoim „antypaństwowym wystąpieniem” podczas zebrania Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich w dniu 29 lutego 1968 r., ale też listem otwartym z 3 marca tr. do rektora Uniwersytetu Warszawskiego Stanisława Turskiego. W trakcie obrad ZLP poświęconych zdjęciu ze sceny *Dziadów* Adama Mickiewicza w reżyserii Kazimierza Dejmka stwierdzał m.in.:

Nr akt
 Do **Nacz.** Prokuratora **G.P.**
 * **Gorszawie**
Gorszawie, dnia **9. III. 1948 r.**
 Oficer Sledczy **Chimienka** Bezpieczeństwa Publicznego
Krawczyński **Nan** **ps.**, przedstawiając przy niniejszym do zwrotu
 materiały w sprawie p-ko **Beynara Leon - Lecha o. Nikołaja**
 podejrzanemu (ej) o dokonanie przestępstwa z art. **7. Dekr. z dn. 13. II. 1946.**
 w n o s i:
 o zastosowanie wobec **Beynara Leona - Lecha o. Nikołaja**
 z rzymanego (ej) w dniu **4. III. 1948 r.** środka zapobiegawczego – aresztu
 czasowego z osadzeniem w więzieniu **W. 40 Mokotów**
 Zaświadczam.
 Sęd. – Naczeln.
 Oficer Sledczy

Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

„To są logiczne skutki rządzenia nie tylko bez kontroli, bez odpowiedzialności, ale bez jakiegokolwiek konfrontacji z opinią publiczną”²². I dodawał, że decyzja władz PRL najbardziej uderza w naród. Bronił też protestujących przeciwko niej studentów. Nie ograniczał się jednak tylko do sprawy *Dziadów* – krytykował też rozpętaną przez komunistów kampanię antysemitkę. Z kolei we wspomnianym liście ponownie bronił represjonowanych studentów. Pisał: „Młodzież akademicka pierwsza zaprotestowała przeciwko zakazowi [wystawiania *Dziadów*], składając przez to dowód postawy obywatelskiej. Jesteśmy przekonani, że ten jej postęp w piękny sposób wzbogaci historię wyższych szkół warszawskich”²³. I apelował do rektora Uniwersytetu Warszawskiego, aby ten „zechciał umorzyć postępowanie dyscyplinarne przeciwko młodym ludziom, którzy – naruszając może przepisy porządkowe – okazali się wiernymi kulturze narodowej i ogólnoludzkiej”²⁴. Taka postawa Pawła Jasienicy spowodowała reakcję samego I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Władysława Gomułki. Podczas spotkania z aktywem partyjnym w warszawskiej Sali Kongresowej wygłosił on 19 marca 1968 r. przemówienie, w którym zaatakował „syjonistów” i intelektualistów, w tym personalnie Jasienicę. Wystąpienie transmitowały radio i telewizja. Gomułka grzmiał: „Zarówno w przygotowaniu zebrania warszawskich pisarzy i jego przebiegu, jak i w inspirowaniu i organizowaniu młodzieży akademickiej do wystąpienia rzekomo w obronie *Dziadów* i twórczości Mickiewicza jedną z czołowych ról odegrał Paweł Jasienica. Jego prawdziwe nazwisko brzmi inaczej. Nazywa się on Leon Lech Beynar”²⁵. To była oczywista aluzja do pochodzenia pisarza. I pytał: „Co to za osobnik?”²⁶. Natychmiast zresztą odpo-

wiadał, mieszając fakty z insynuacjami: „W lipcu 1948 r. Paweł Jasienica został aresztowany w Krakowie. W toku śledztwa udowodniono mu przynależność do bandy »Łupaszkii« [...]. Banda ta grasowała na terenach województwa białostockiego, dokonywała z bronią w ręku napadów na posterunki Milicji Obywatelskiej, na placówki Wojska Polskiego i na ludność cywilną podejrzaną o sympatyzowanie z Polską Partią Robotniczą”²⁷. Pierwszy sekretarz twierdził, że rzekomo Jasienica przyznał się do napadów, w trakcie których zamordowano kilku funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i działaczy PPR oraz kilkunastu żołnierzy. A nawet niedwuznacznie sugerował jego współpracę z Urzędem Bezpieczeństwa. „W toku śledztwa Jasienica przyznał się, że działał w bandzie »Łupaszkii« i że dopuścił się zarzucanych mu zbrodni. W dniu 3 maja 1949 r. śledztwo przeciwko Jasienicy zostało umorzone z powodów, które są mu znane. Został on zwolniony z więzienia. Należy dodać, że »Łupaszko« i wielu członków jego bandy zostało aresztowanych i skazanych przez sąd na kary śmierci”²⁸ – stwierdzał.

Do ataku na Pawła Jasienicę przystąpili również dziennikarze wierni partii. Historyk próbował się bronić, ale objęty zakazem druku miał ograniczone możliwości. Pozostały mu zatem takie półśrodki jak na przykład oświadczenie dla Zarządu Głównego ZLP, które wystosował 6 kwietnia 1968 r. Jasienicę dotknął również towarzyski ostracyzm. Przeżył to wszystko bardzo mocno, tym bardziej że został przez władze – niejako dodatkowo – skazany na zapomnienie. Z niesłuszných oskarżeń nie podniósł się już do śmierci – wiosną 1970 r. okazało się, że zachorował na raka płuc, zmarł kilka miesięcy później: 19 sierpnia. Przeżyły go jego dzieła. Ostatnie z nich, *Pamiętnik* pisany od 5 stycznia 1970 r. i, niestety, w związku z chorobą nieukończony, ukazało się w 1986 r. w podziemiu, a trzy lata później oficjalnie w Wydawnictwie Znak. Inna rzecz, że w wolnej Rzeczypospolitej przez wiele lat prawa



Pogrzeb Pawła Jasienicy na warszawskich Powązkach.
Fot. Instytut Pamięci Narodowej

do jego twórczości dzieliła – wraz z jego córką Ewą Beynar-Czczcott – kobieta, która przez lata na niego donosiła, a także brała udział w akcji niszczenia go, czyli Zofia Nena O'Bretenny, tajny współpracownik SB o pseudonimach „Ewa” i „Max”. Kobieta, która ślub z nim wzięła za zgodą Służby Bezpieczeństwa. Dopiero pod koniec 2006 r. prawa do jego dzieł odzyskała córka.

GRZEGORZ MAJCHRZAK historyk, pracownik Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej.

Grób Pawła Jasienicy – Lech Beynar, 1902–1970 – na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



¹ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej 0204/19 t. 4, Przemówienie Jerzego Andrzejewskiego na pogrzebie Pawła Jasienicy 22 VIII 1970 r. stenogram, k. 223. ² Tamże. ³ Tamże. ⁴ AIPN 1585/4532. Notatka dyrektora Departamentu III MSW Henryka Piętka dot. przebiegu pogrzebu Pawła Jasienicy z dnia 23 sierpnia 1970 r., k. 6. ⁵ Tamże, k. 2. ⁶ Tamże. ⁷ AIPN 0204/19 t. 1. Życiorys Leona Lecha Beynara z dnia 4 lipca 1946 r., k. 54. ⁸ AIPN 0204/19 t. 4. Fragment życiorysu Leona Lecha Beynara (Pawła Jasienicy) z dnia 18 kwietnia 1968 r., k. 65. ⁹ AIPN 0204/19 t. 1. Życiorys Leona Lecha Beynara z dnia 4 lipca 1946 r., k. 54. ¹⁰ AIPN 0204/19 t. 1. Życiorys Leona Lecha Beynara z dnia 5 lipca 1946 r., k. 34. ¹¹ AIPN 0204/19 t. 1. Życiorys Leona Lecha Beynara z dnia 4 lipca 1946 r., k. 54. ¹² AIPN 0204/19 t. 4. Kronika działalności okupacyjnej i bandyckiej Beynara Leona Lecha z 7 grudnia 1964 r., k. 9. ¹³ AIPN 0204/19 t. 1. Życiorys Leona Lecha Beynara z dnia 5 lipca 1946 r., k. 34-35. ¹⁴ AIPN 0204/19 t. 4. Fragment życiorysu Leona Lecha Beynara (Pawła Jasienicy) z dnia 18 kwietnia 1968 r., k. 67. ¹⁵ Tamże, k. 68. ¹⁶ AIPN 0204/19 t. 4. Notatka dot. działalności bandyckiej Lecha Leona Beynara, opracowana przez inspektora Wydziału IV Departamentu III MSW Krzysztofa Majchrowskiego z dnia 15 października 1970 r., k. 247. ¹⁷ AIPN 0204/19 t. 2. Informacja nr 68 dyrektora Departamentu III MSW Henryka Piętka dot. Pawła Jasienicy z dnia 31 marca 1965 r., k. 46-47. ¹⁸ Tamże, k. 45. ¹⁹ AIPN 0204/19 t. 4. Notatka dot. Beynara Leona Lecha z dnia 9 marca 1968 r., k. 28. ²⁰ AIPN 0204/19 t. 2. Notatka oficera operacyjnego Wydziału IV Departamentu III MSW W. Kurczewskiego dot. Beynara Leona Lecha z dnia 5 października 1966 r., k. 78. ²¹ AIPN 0204/19 t. 2. Informacja nr 68 dyrektora Departamentu III MSW Henryka Piętka dot. Pawła Jasienicy z dnia 31 marca 1965 r., k. 46. ²² E. Beynar-Czczcott, „Taki już jestem i tego nie potrafię”, „Tygodnik Powszechny” 2002 nr 25. ²³ AIPN 0204/19 t. 4. Odpis listu Pawła Jasienicy do rektora Uniwersytetu Warszawskiego Stanisława Turskiego z dnia 3 marca 1968 r., k. 24. ²⁴ Tamże, k. 25. ²⁵ T. Leszkowicz, Jak „Wiesław” zgromił w Sali Kongresowej studentów, literatów i syjonistów?, <https://histmag.org/jak-temu-wieslaw-zgromil-w-sali-kongresowej-studentow-literatow-i-syjonistow-7729> [dostęp 3 września 2019 r.]. ²⁶ Tamże. ²⁷ Tamże. ²⁸ Tamże.

Stanisław Zarakowski.
Fot. Domena publiczna

Stanisław Zarakowski to naczelny prokurator wojskowy w Polsce Ludowej. Bezwzględny i elokwentny. Oskarżał niewinnych ludzi, którzy z racji poglądów byli niewygodni dla tzw. ludowej władzy. Niejednokrotnie żądał dla nich najwyższego wymiaru kary.

CZERWONY

Karzący miecz

warszawski jako zdrajca, nie przypomina niektórych duchownych z czasów okupacji? Któż z nas nie zna historii Polski tych czasów, gdy ojcowie duchowni naszego współczesnego wstecznictwa wszelkimi siłami otwarcie pomagali mocarstwu zaborczym w ich walce z narodem polskim. Z jakimż to aplauzem, z jaką radością powitali oni breve papieskie Piusa VI z 1795 r. do arcybiskupa gnieźnieńskiego, w którym papież wzywał do »obowiązku wierności, posłuszeństwa i miłości panom i królom«, a to »tym usilniej, chętnie i gorliwiej w tym czasie, w którym ich do tego pociąga wdzięczność sama, jaką wypłacać są obowiązani za pełne ludzkości i słuszości króla swego chęci«¹.

Kilka lat później w równie głośnym procesie, który władze Polski Ludowej wytoczyły biskupowi kieleckiemu Czesławowi Kaczmarkowi Zarakowski, już jako naczelny prokurator wojskowy, powiedział: „Proces ten z niezwykłą jasnością rozgraniczył działalność duchowną, kościelną, duszpasterską i działalność wrogą narodowi i państwu, skierowaną przeciwko zdobyczom i osiągnięciom narodu, a więc sprzeczną z interesami wiernych, szkodliwą dla samego kościoła. Działalność, która doprowadziła ich aż do szpiegostwa, do bezpośredniego wysługiwania się obcym i wrogim Polsce siłom”².

Kim zatem był człowiek, który potrafił tak barwnym językiem, a jednocześnie tak zatrważająco i kłamliwie oskarżać ludzi niewinnych, którzy z racji poglądów byli niewygodni dla „ludowej władzy”?

Szlachcic z Kresów

Na przełomie XIX i XX w. Swołna była niewielką miejscowością leżącą w powiecie drysieńskim w granicach

PAWEŁ SZTAMA

Warszawa, rok 1948. Przed Wojskowym Sądem Rejonowym rozpoczął się proces endeckiego polityka Adama Doboszyńskiego. Głównym oskarżycielem był płk Stanisław Zarakowski, ówczesny zastępca naczelnego prokuratora wojskowego. Zniszczony śledztwem Doboszyński musiał wysłuchać absurdu aktu oskarżenia. W mowie Zarakowskiego można było usłyszeć: „Proces Doboszyńskiego odsłania dzieje współczesnej Targowicy. Czyż smutnej pamięci Szczęsny Potocki, Ksawery Branicki, Seweryn Rzewuski – nie są poprzednikami współczesnej nam galerii endeków i sanatorów!? Czyż biskup Massalski, stracony przez lud

Imperium Rosyjskiego. To tam osiedlił się szlachecki ród Zarakowskich. Właścicielami nieruchomości w Swołnie był Józef Zarako-Zarakowski. Po jego śmierci ziemie te odziedziczył syn Józefa – Stanisław, który ożenił się z Heleną z d. Samonowicz, córką zamożnego ziemianina. Owocem tego związku była dwójka dzieci – Jadwiga i Stanisław.

Ten ostatni przyszedł na świat 7 listopada 1909 r. Zapewne słabo pamiętał rodzinne strony, gdyż jeszcze

pomieszkował, mieli namówić go do zmiany barw korporacyjnych. Zgodnie z ich sugestią przeniósł się do korporacji „K!Polesia”.

Wersję Zarakowskiego, która została sporządzona po latach na potrzeby raportu skierowanego do jednej z najbardziej zbrodniczych instytucji Polski Ludowej, czyli Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego, podważył jego znajomy z tamtego okresu – Leon Lech Beynar, znany bardziej jako Paweł Jasienica. Pisał on ►

PROKURATOR

niesprawiedliwości

podczas I wojny światowej Zarakowscy musieli opuścić Swołnę. Ich bezpieczeństwu zaczęli zagrażać okoliczni chłopcy, których bunt zaczęły wybuchać masowo po tzw. rewolucji lutowej 1917 r. Według relacji Stanisława, część rodziny Zarakowskich wyjechała w 1918 r. najpierw do Dryssy (obecnie Wierchniedźwińsk), następnie do Leszna, a potem do Kobrynia. W tej ostatniej miejscowości Stanisław Zarakowski senior znalazł pracę na stanowisku drogomistrza w Powiatowym Zarządzie Drogowym, natomiast Stanisław junior rozpoczął naukę w tamtejszym gimnazjum, którą zakończył w 1928 r. zdaniem egzaminu dojrzałości. Co więcej, zaangażował się tam w działalność skautowską.

Student i korporant

W tym samym roku Stanisław złożył podanie na Wydział Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Dokument ten został rozpatrzony pozytywnie i w październiku 1928 r. Zarakowski mógł się pochwalić dyplomem jednej z najlepszych polskich uczelni dwudziestolecia międzywojennego.

W okresie studiów przyszły oficer skupiał się nie tylko na nauce. Już w 1929 r. zaangażował się w działalność organizacji studenckich, takich jak Bratnia Pomoc Studentów i Koło Prawników, które funkcjonowały na tamtejszym uniwersytecie. A również w tamtym czasie wstąpił do korporacji akademickiej „Vilensia”. Jednak – jak sam wspominał – krewni, u których wówczas

Tekst przysięgi wojskowej złożonej przez płk. Zarakowskiego 17 czerwca 1953 r. Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej





Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

w Pamiętniku, że przyszły oficer ludowego WP opuścił szeregi korporacji „Vilensia”, gdyż ta za bardzo skreśliła w lewą stronę. Z tego powodu przeniósł się do organizacji „KIPolesia”. I nie byłoby w tym niczego nadzwyczajnego, gdyby nie polityczne oblicze tej ostatniej.

„KIPolesia” powstała w 1925 r., ale początkowo funkcjonowała wyłącznie w okresie akademickich przerw międzysemestralnych. Działalność rozszerzyła jednak pod koniec lat dwudziestych XX w., gdy przeniosła się z Warszawy do Wilna. Jej znaczenie urosło wówczas do tego stopnia, że „KIPolesia” stała się najprężniejszą wileńską korporacją akademicką lat trzydziestych. Jej przedstawiciele zasiadali m.in. we władzach Bratniej Pomocy Studentów USB, a także szefowali wileńskiej Młodzieży Wszechpolskiej. Tym samym korporacja, której członkiem około 1930 r. został Zarakowski, uchodziła za najbardziej narodową korporację, jaka wówczas w Wilnie funkcjonowała.

W organizacji „KIPolesia” Zarako działał co najmniej do roku akademickiego 1931/1932. W powojennych życiorysach, gdy Główny Zarząd Informacji Wojska Polskiego zaczął lustrować jego biografię, Zarakowski tłumaczył się we wspomnianym wcześniej raporcie:

„W 1930 r., gdy zorientowałem się w istotnej działalności tych organizacji i gdy wyprowadziłem się od krewnych, a zacząłem ścierać się z kolegami z korporacji »Polesia« wystąpiłem”³. Dziś już wiadomo, że prawdy wówczas nie napisał, choć powody takiego zachowania mogły być bardzo różne. Mógł przecież skłamać albo po prostu dokładnych dat nie pamiętał. Co jest jednak jeszcze bardziej interesujące: Zarakowski nie uściślił wówczas pewnych informacji ze swojej biografii. Nie napisał na przykład, że w korporacji „KIPolesia” był nie tylko tzw. comilitonem, czyli członkiem o pełni praw, ale także oldermanem. Tym samym piastował bardzo ważną i szaczną funkcję, z którą wiązały się opieka nad kandydatami na członków, tzw. fuksów, i przygotowanie

ich do wstąpienia w szeregi korporacyjne. Ponadto, jak wynika z jednego z dokumentów, jeszcze na początku 1932 r. piastował stanowisko prezesa konwentu „KIPolesia”. Musiał zatem doskonale orientować się, jakie idee przyświecały organizacji, w której się udzielał.

Niemniej faktem jest, że jego korporacyjną aktywność utrudniały różne losowe wypadki. Jeszcze w 1929 r. zmuszony był powrócić do Kobrynia, aby pod nieobecność ojca opiekować się ciężko schorowaną matką. W kolejnym roku zmarł Stanisław senior, więc przyszły prokurator dość pośpiesznie opuścił Wilno, co odnotowano w dokumentacji korporacyjnej w następujący sposób: „zawiadamiamy, iż wobec nagłego wyjazdu z Wilna na czas dłuższy comilitona Zarako-Zarakowskiego – na oldermana powołano comilitona Zdzisława Pankłę”⁴.

Być może wydarzenia te miały wpływ na jego stan psychiczny, gdyż w 1931 r. neurolog dr Icek Nejman orzekł, że Zarako był w stanie „ogólnego wyczerpania systemu nerwowego”⁵, a także zauważył u niego objawy nerwicy. Zdarzało się wprawdzie, że niektórzy studenci, chcąc przesunąć sesję egzaminacyjną, zdobywali fałszywe zaświadczenia. Trudno jednak stwierdzić, czy w przypadku przyszłego generała coś takiego miało miejsce. Bezpośrednich dowód na to nie ma.

Niemniej w kolejnych miesiącach jego forma psychiczna prawdopodobnie się unormowała, dzięki czemu Stanisław powrócił na studia. Ale rok później musiał kolejny raz przerwać edukację, gdyż otrzymał powołanie do odbycia służby wojskowej.

We wrześniu 1932 r. Zarakowski trafił na Dywizyjny Kurs Podchorążych Piechoty 19 Dywizji Piechoty w Lidzie, po którym, w połowie lipca 1933 r., otrzymał awans do stopnia plutonowego i został mianowany podchorążym piechoty. Po tej promocji przesunięto go do 1 kompanii 85 Pułku Piechoty, gdzie odbył dalszą służbę i we wrześniu 1933 r. uzyskał stopień sierżanta

podchorążego rezerwy. Po jej zakończeniu powrócił na studia, jednak co dwa lata był wzywany na różnego rodzaju szkolenia i kursy. Jako podoficer, a następnie podporucznik (awansował w 1935 r.) i dowódca plutonu oceniany był wysoko. Wątpliwości nie budziła także jego lojalność w stosunku do armii i państwa polskiego. Zarakowski był w tamtym czasie całkowicie oddanym obywatelem II RP i choćby w najmniejszym stopniu nie zdradzał żadnych komunistycznych sympatii.

gdzie miał powstrzymywać niemieckie natarcie prace w kierunku Tomaszowa Mazowieckiego, w wyniku dziwnych rozkazów dowódczych przestał istnieć jako jeden oddział już w nocy z 5 na 6 września. Z 85 Pułku Piechoty powstały wówczas trzy oddziały, które próbowały operować jako samodzielne zgrupowania.

Do jednej z takich jednostek trafił por. Zarakowski. Jego grupa dotarła do Spały, skąd skierowała się na Inowódz, a 10 września przeszła Wisłę pod Maciejowicami.

OROGA-KTÓRY SIĘ NIE PODDAJE-NALEŻY ZNISZCZYĆ! **JEŚLI GO NIE ZNISZCZYSZ-ZGINIESZ!**

Takich przynajmniej nie odnotowali jego wojskowi dowódcy.

Urzędnik państwowy

Po zakończeniu służby wojskowej Stanisław wrócił na studia, które ukończył w 1935 r., uzyskując dyplom magistra prawa. Jednocześnie nie kontynuował nauki na żadnej prawniczej aplikacji. Trudno nawet stwierdzić, czy w ogóle o takiej myślał. Po zakończeniu edukacji na Uniwersytecie Stefana Batorego został zatrudniony w wileńskim oddziale Związku Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych Rzeczypospolitej Polskiej. W instytucji tej początkowo praktykował, a następnie zdał odpowiedni egzamin w Ministerstwie Skarbu i został przeniesiony na stanowisko rewidenta w spółdzielniach oszczędnościowo-pożyczkowych, które były częścią Związku Spółdzielni. Na stanowisku tym pracował do 1937 r., wówczas bowiem znalazł zatrudnienie w bardziej prestiżowej agendzie, jaką była wileńska Okręgowa Izba Kontroli. Tam był cenionym urzędnikiem i pracował aż do wybuchu II wojny światowej.

Uczestnik kampanii polskiej 1939 r.

Gdy 1 września 1939 r. Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę, rozpoczynając II wojnę światową, Zarakowski jako żołnierz rezerwy został powołany do swojej macierzystej jednostki: 85 Pułku Piechoty. Podporucznika skierowano na stanowisko zastępcy dowódcy kompanii w III batalionie. 85 Pułk Piechoty był częścią 19 Dywizji Piechoty, ta zaś weszła w skład Armii „Prusy”, która była odwodem naczelnego wodza Wojska Polskiego marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza. Niestety, z powodu opieszałości i błędnych decyzji dowódczych jednostka bardzo szybko straciła taktyczne i strategiczne możliwości. Tym samym nie wykonała żadnego postawionego przed nią zadania. Na przykład 85 Pułk Piechoty, który został przerzucony pod Piotrków Trybunalski,

Stamtąd wyruszyła dalej na wschód, żeby w drugiej połowie września dotrzeć do stacji kolejowej w miejscowości Małoryta. Tam żołnierze byłego 85 Pułku Piechoty napotkali niedobitki z 1 Pułku Piechoty Legionów Józefa Piłsudskiego. Obie grupy podporządkowały się rozkazom dowódcy Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga. Dzięki tej decyzji Zarakowski został dowódcą jednego z plutonów i wraz z towarzyszami broni wziął udział w bitwie pod Kockiem, która rozegrała się na początku października 1939 r. Po jej zakończeniu Kleeberg zdecydował o kapitulacji. Decyzja ta nie do końca spodobała się jego niektórym żołnierzom. Ci zdecydowali, że unikną niewoli i spróbują wymknąć się z niemieckiego okrążenia. Jeden z żołnierzy, por. Czesław Buniewicz, wspominał: „Nie było to takie proste. Nie mieliśmy map, nie znaleźmy terenu, a czas uciekał. I tym razem postanowiłem nie iść do niewoli, ale próbować przebić się do wolności. Zaczęliśmy się dobierać grupkami. Ponieważ poznaliśmy się w walkach, a przebijając się mogli tylko zdecydowani i pewni, dobraliśmy się, w większości wilnianie, bo chcieli wracać za Bug – do domu. Nasza grupa obejmowała 10 osób”⁶. Wśród nich znalazł się Zarakowski.

Żołnierze ci ukryli część broni i oporządzenia, z naramienników odpięli oficerskie gwiazdki. Skierowali się na północ, lawirując pomiędzy oddziałami niemieckimi stacjonującymi na tamtym obszarze. Pod Łukowem ukryli sztandar i rozdzielili się, wyruszając w rodzinne strony. „Chcieliśmy przejść Bug i wrócić do rodzin w Wilnie. W tym czasie »na Bugu« stały już oddziały radzieckie. [...] Żadnych informacji o tworzeniu się wojsk polskich poza granicami nie mieliśmy. Natomiast w Wilnie pozostały nasze rodziny, ja miałem matkę staruszkę, żonę i siostrę. Bug przekroczyliśmy na początku października 1939 r. Zostaliśmy zatrzymani przez patrol wojsk radzieckich i przez ok. pół dnia byliśmy przesłuchiwani głównie na okoliczności skąd i dokąd idziemy. Ponieważ ►

od dziecka znałem język rosyjski, ułatwiłem rozmowę z dowódcą patrolu, który nas zatrzymał. Po pobieżnej rozmowie skierowano nas do stacji kolejowej, której nazwy obecnie nie pamiętam [chodziło o miasto Krzywda niedaleko Łukowa]. Poinformowano nas, że na tej stacji będzie pociąg, którym będziemy mogli jechać w kierunku Wilna. Rzeczywiście na tej stacji był taki pociąg i w przeciągu nocy dojechaliśmy wszyscy do Wilna⁷ – relacjonował po latach Zarakowski.

W kolejnych latach niemieckiej okupacji Zarakowski został zwolniony z funkcji administratora i groziła mu przymusowa wywózka na roboty do III Rzeszy. Tym razem z pomocą przyszedł mu szwagier, który kierował grupą budowlano-remontową, wykonującą różne czynności na niemieckie zlecenie. Przyszły generał został zatem zatrudniony przez brata swojej żony i do 1944 r. pracował jako budowlaniec i ślusarz, natomiast w lipcu 1944 r., gdy Armia Czerwona zajęła Wilno, znalazł się

Nie wypuścimy z dłoni karzącego miecza sprawiedliwości w stosunku do wrogów Ojczyzny!

W okupowanym Wilnie

Po dotarciu do Wilna Zarako próbował znaleźć pracę. Nie było to łatwe ze względu na restrykcyjną politykę prowadzoną przez władze litewskie wobec Polaków. Dopiero w grudniu 1939 r. w sukurs przyszedł mu legendarny wileński jezuita ks. Kazimierz Kucharski „Szczepan”. Był on założycielem organizacji charytatywnej, legalnie działającej w Wilnie, Towarzystwa Samopomocy Obywatelskiej. Towarzystwo pomogło wielu Polakom mieszkającym w obecnej stolicy państwa litewskiego. Jednak szczególną troską otaczało żołnierzy WP i ich rodziny.

Nic zatem dziwnego, że z pomocy TSO skorzystał także weteran kampanii polskiej por. Zarakowski. Został on tam zatrudniony jako księgowy. W 1940 r., prawdopodobnie z powodu zakończenia działalności TSO, odszedł z organizacji i znalazł zatrudnienie w innej polskiej organizacji pomocowej – Komitecie Pomocy Ofiarom Wojny, który od połowy 1940 r. działał jako Sekcja Uchodźców Polskich w strukturach Litewskiego Czerwonego Krzyża. Tam pracował jednak tylko kilka tygodni. Niemniej szczęście ponownie się do niego uśmiechnęło, gdyż w 1940 r. burmistrzem Wilna został znajomy Zarakowskiego z uniwersytetu, a zarazem działacz komunistyczny Jan Kiejstut Druto. Dzięki jego pomocy przyszedł prokurator pracował jako administrator wileńskich hoteli.

Gdy w 1941 r. Wilno zajął niemiecki Wehrmacht, Zarakowski utrzymał posadę jeszcze przez blisko rok. W tamtym czasie w jednym z hoteli administrowanych przez Zarako – „Astoria” – pracował jego kuzyn rtm. Marian Okulicz-Kozaryn, wybitny polski oficer, który służył m.in. w przedwojennym Korpusie Ochrony Pogranicza, a w czasie II wojny światowej był żołnierzem Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. Wszystko wskazuje na to, że Okulicz-Kozaryn nie wciągnął krewnego do działalności konspiracyjnej.

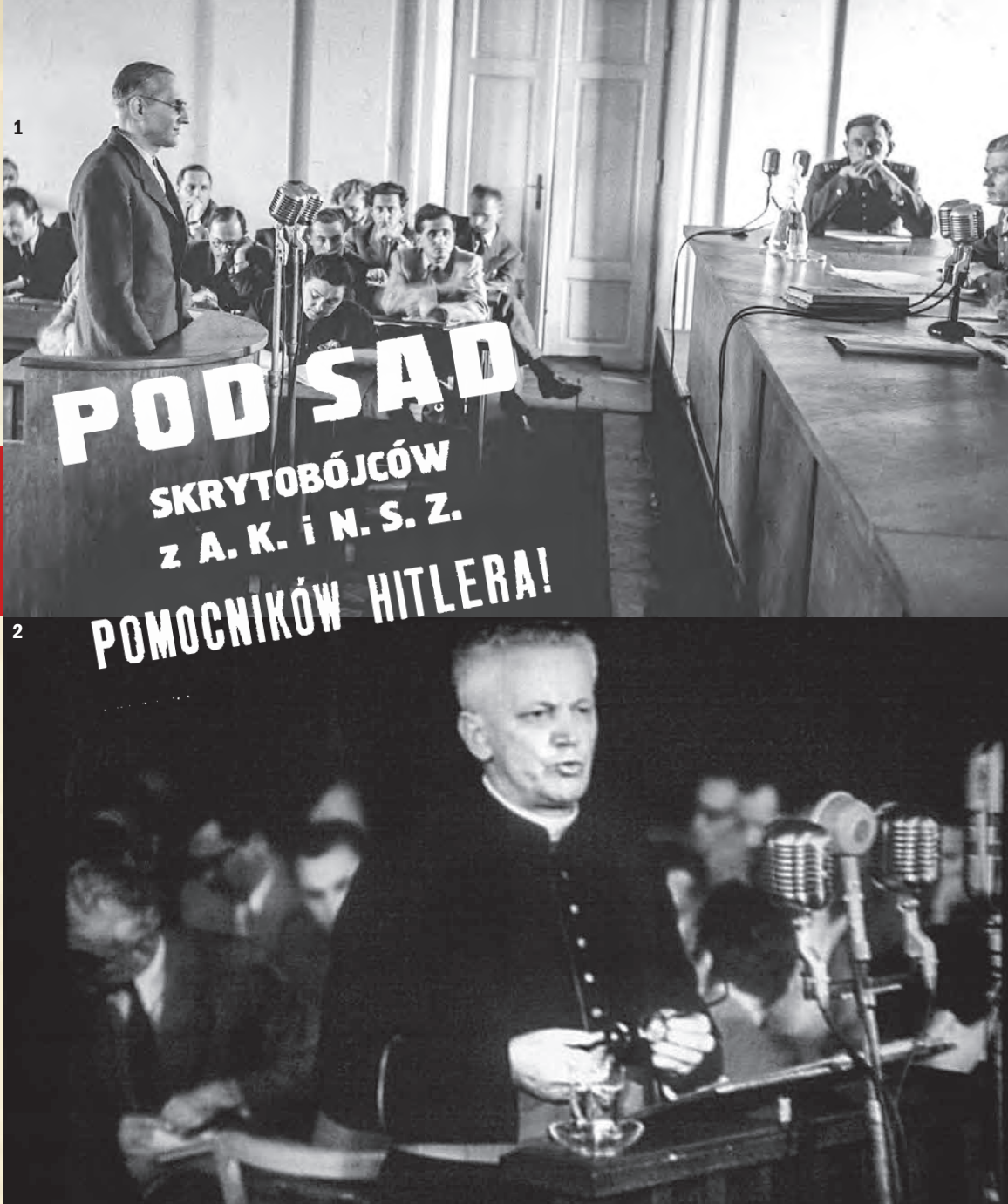
na stanowisku buchaltera w wileńskim Instytucie Geologicznym, kierowanym przez prof. Edwarda Władysława Passendorfera.

W ludowym Wojsku Polskim

Na początku lutego 1945 r. Zarakowski wstąpił do 36 Pułku Piechoty, który był w składzie 8 Dywizji Piechoty. Został od razu zweryfikowany do stopnia podporucznika i mianowany dowódcą plutonu strzeleckiego, a następnie 5 kompanii strzeleckiej. Służąc na tych stanowiskach, brał udział w forsowaniu Nysy Łużyckiej. Po przejściu rzeki został jednak ranny i przez kolejne dni, do zakończenia działań wojennych, przebywał w szpitalu w Żarach i Poznaniu.

Gdy doszedł już do siebie, pozostawał do dyspozycji Wydziału Sądownictwa Wojennego, a następnie przeszedł do pracy w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej, gdzie objął stanowisko oficera śledczego. W kolejnych latach piął się po szczeblach kariery. W 1950 r. władze Polski Ludowej skierowały go na stanowisko naczelnego prokuratora wojskowego, a trzy lata później awansowały do stopnia generała brygady. Już po 1989 r., tłumacząc swoją ówczesną służbę, Zarakowski mówił: „Ja byłem młodym komunistą [...]. Dla mnie w tym czasie komunistą był człowiek, który był ideowo związany z powstającą Ludową Polską i wierzył w idee sprawiedliwości społecznej. Dodatkowo chcę stwierdzić, że głęboko byłem przywiązany do wojska, kochałem wojsko. Byłem głęboko przekonany o szczerościach tych idei, głęboko w nie wierzyłem i wierzyłem również w zagrożenia, przed którymi miała chronić ta czujność. Nie miałem wówczas własnego krytycznego stosunku do tego, co głosiła partia i wojsko. Z tych czasów pamiętam taki plakat, który zawierał napis »Żołnierz powinien iść nie brzegiem rzeki, a nurtem rzeki«. Ja szedłem nurtem rzeki”⁸.

Idąc tym nurtem, Zarakowski całkowicie podporządkował się totalitarnej władzy. Był jej lojalny i wykonywał



1. Adam Doboszyński przed Sądem Wojskowym. Fot. Stanisław Dąbrowski/Polska Agencja Prasowa

2. Ordynariusz kielecki bp Czesław Kaczmarek przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie. Fot. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej

wszystkie jej polecenia, oskarżając w wielu politycznych procesach, niejednokrotnie żądając najwyższego wymiaru kary. Jego kariera zakończyła się wraz z politycznym trzęsieniem ziemi, które miało miejsce w połowie lat pięćdziesiątych XX w. Niemniej działalność byłego naczelnego prokuratora wojskowego Stanisława Zarakowskiego, który wiernie służył stalinowskiej Polsce, jest do dziś przykładem tzw. komunistycznej sprawiedliwości.

PAWEŁ SZTAMA absolwent Wydziału Nauk Historycznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Doktorant Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie oraz pracownik naukowy

Biura Badań Historycznych w Lublinie. Interesuje się historią aparatu represji w latach 1944–1956 w Polsce i innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej.

¹ S. Zarakowski, *Z oskarżenia w sprawie przeciw szpiegowi i zdrajcy Adamowi Doboszyńskiemu*, „Wojskowy Przegląd Prawniczy” 1949, nr 3, s. 418. ² <http://www.repozytorium.fn.org.pl/?q=pl/node/7751> [dostęp: 24 lipca 2019 r.]. ³ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, 2174/4212, Wyjaśnienia dotyczące moich danych biograficznych w objaśnianiu pochodzenia społecznego i przynależności do organizacji w czasie studiów akademickich, k. 77. ⁴ Cyt. za: M. Laszczkowski, M. Wołłejko, *Byli sobie Polesiusze... czyli szkic do dziejów Korporacji Akademickiej Polesia*, „Glaukopis” 2009, nr 15/16, s. 38. ⁵ Lietuvos centrinis valstybes archyvas, 175/2/VI/Ca/1193, Opinia dr. I. Nejmana, 28 X 1931 r., k. 40. ⁶ Relacje: Czesław Buniewicz, w: SGO „Polesie” w dokumentach i wspomnieniach, cz. 4: Dywizja „Brzoza”, red. nauk. A. Wesołowski, Warszawa 2015, s. 158–159. ⁷ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, 399/5 t. 3, Protokół przesłuchania podejrzanego S. Zarakowskiego, 3 II 1993 r., k. 39–40. ⁸ AIPN, 399/5/3, Protokół przesłuchania S. Zarakowskiego, k. 162–163.

Uniwersalne „zabezpieczenie” – słowo wytrych

Choć wojska Federacji Rosyjskiej ostatecznie wyszły z Polski w 1993 r., *obiespieczeniye* i *obiespieczywat'* pozostawiło w języku polskim trwałą pamiętkę.

ANDRZEJ ŁYDKA

Kilkadziesiąt lat temu gen. Franciszek Skibiński zauważył, że dla Polaka nie ma nic łatwiejszego, jak zarażenie się rusycyzmami.

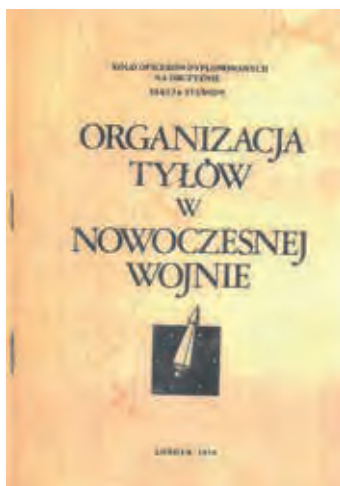
Można było to zaobserwować zarówno u zarania niepodległości, gdy w 1918 r. szeregi Wojska Polskiego zasilili kilkanaście tysięcy Polaków – byłych carskich oficerów, jak i po II wojnie światowej, kiedy porównywalna liczba Rosjan – oficerów Armii Czerwonej (potem Armii Sowieckiej) nadawała ton ludowemu Wojsku Polskiemu. Rosjanom udawało się to dużo łatwiej, gdyż w 1948 r. z wojska wyrugowano większość oficerów z przedwojennym rodowodem, wskutek czego dla Sowietów nie było żadnej przeciwwagi.

Głównym źródłem rusycyzmów, oprócz wspomnianych oficerów, były tłumaczone na język polski regulaminy Armii Sowieckiej. Do zespołów przekładających dokumenty – oprócz oficerów o wysokich kwalifikacjach – należeli niekiedy tłumacze, którzy nie znali dobrze zarówno języka polskiego, jak i rosyj-

skiego, nie mówiąc już o historii wojskowości polskiej i znajomości polskiej terminologii wojskowej. Wiele rusycyzmów i neologizmów powstało w wyniku dosłownego spolszczenia terminów rosyjskich. Na kartach regulaminów i w oficjalnej nomenklaturze wojskowej pojawiały się sformułowania dziwne i niezrozumiałe, jak „zamykanie techniczne kolumny” oraz „technika bojowa”. Występują tam również wyrazy obecne zarówno w języku polskim, jak i rosyjskim.

Do takich określeń – nadużywanych od kilkudziesięciu lat i jednocześnie uniwersalnych – należy słowo „zabezpieczenie”. Nie jest to rusycyzm, nadużywanie tego słowa było w przeszłości jednak naśladowaniem mody panującej w wojskowym piśmiennictwie sowieckim. Praktyka ta polegała na używaniu słów *obiespieczeniye* i *obiespieczywat'* we wszystkich możli-

wych sytuacjach. Rosjanie już pod koniec lat pięćdziesiątych XX w. dostrzegli to zjawisko i je skrytykowali, w Wojsku Polskim upodobanie do stosowania tego wyrazu pozostało.



Skan londyńskiego wydania *Organizacji tyłów w nowoczesnej wojnie*. Podpułkownik dypl. Roman Czerniawski, autor wprowadzenia „Od zarządu”, to słynny „Armand”, „Brutus”, lotnik, który stworzył największą ekspozyturę wywiadu aliantów w latach 1940–1941.

Zbiory Centralnej Biblioteki Wojskowej



**Tabory konne 1 Pułku Szwoleżerów
Józefa Piłsudskiego.**
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Rzeczownik „zabezpieczenie” był w przeszłości i jest obecnie używany zamiast kilku innych rzeczowników oraz pochodzących od nich czasowników, jak: „zaopatrzenie”, „zaspokojenie”, „zapewnienie”, „ubezpieczenie”, „wspierać” i „uchronić”. Frazy „zabezpieczenie dnia wolnego” i „zabezpieczenie materiałowe zajęć” krążą po koszarach jeszcze dzisiaj, świadcząc o pewnym ubóstwie językowym. Przykładowe wyrażenie „zabezpieczenie kontenerów” nie oznacza uchronienia ich przed zalaniem i pożarem. Używający tego określenia ma na myśli ich dostarczenie lub zapewnienie. Wyraz „zabezpieczenie” został, niestety, niejako zalegalizowany w oficjalnej polskiej terminologii wojskowej. W obecnie obowiązujących dokumentach doktrynalnych można spotkać terminy: „zabezpieczenie logistyczne” i „wsparcie logistyczne”. Różnica polega na tym, że zabezpieczenie logistyczne oddziału dokonywane jest przez jego organiczny pododdział logistyczny, a wsparcie logistyczne oddział ten może otrzymać od sąsiada, czyli od pododdziału logistycznego wchodzącego w skład innego oddziału. W obu przypadkach pododdział logistyczny wykonuje takie same zadania, tyle że dla różnych oddziałów. Termin „zabezpieczenie

logistyczne” ma własną definicję, która nie występuje w żadnej innej armii Sojuszu Północnoatlantyckiego. Pozostałe armie państw NATO stosują wyłącznie określenie „wsparcie logistyczne” (*logistics support*).

W polskiej myśli wojskowej, która rozwijała się po II wojnie światowej poza granicami kraju, czyli poza zasięgiem sowieckiej nauki wojennej, słowo „zabezpieczenie” jest nieobecne. Na przykład w opracowaniu ppłk. dypl. Oskara Grzechkowskiego z Sekcji Studiów Koła Polskich Oficerów Dyplomowanych na Obczyźnie zatytułowanym *Nowoczesny system logistyczny*, opublikowanym w studium *Organizacja tyłów w nowoczesnej wojnie*, wydanym w Londynie w 1978 r., słowo to nie występuje ani razu.

Układ Warszawski został rozwiązany w 1991 r. Rozsianie wyszli z Polski w 1993 r., a uniwersalne „zabezpieczenie” wszystkiego, co tylko możliwe, dalej jest modne na każdym szczeblu dowodzenia Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej.

ANDRZEJ ŁYDKA podpułkownik, doktorant nauk o obronności w Akademii Sztuki Wojennej. Służył w jednostkach artylerii i logistycznych. Od 2014 r. oficer Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Sześciokrotnie uczestniczył w misjach poza granicami kraju. Publicysta portalu polska-zbrojna.pl.



Wyższa szkoła dyplomacji

Ceremoniał powitania posłów i ambasadorów przez wieki zmieniał się na całym świecie. W Polsce wojskowa oprawa takiej uroczystości nieustannie wzbudza podziw zagranicznych gości.

MARIUSZ KUBAREK

Tradycja związana z utrzymywaniem kontaktów międzynarodowych za pośrednictwem wysłanników sięga czasów starożytnych i przez tysiąclecia zmieniała się w zależności od relacji między państwami, rozwoju ceremoniału dworskiego i innych dziejowych okoliczności. Już w starożytnej Grecji funkcja posła była wyjątkowa – zarówno z racji możliwości reprezentowania władcy, jak i szczególnych przywilejów, z którymi wiązało się to stanowisko. Dlatego też każdorazowo przybycie posłów stanowiło wydarzenie, które wymagało wyjątkowej oprawy.

Bizancjum i dwory królewskie

Najbardziej rozbudowane ceremonie związane z przyjęciem posłów odbywały się w Cesarstwie Bizantyjskim (395–1453), kiedy to oprawa związana z gościnieniem przedstawicieli innych krajów miała za zadanie podkreślić niezwykłą wagę osoby cesarza, jego bogactwo, wspaniałość i niedostępność oraz wielkość cesarstwa. W tym celu już od granicy państwa aż do Konstantynopola posłowi towarzyszyli przedstawiciele cesarza i gwardia honorowa, prowadząc go tak, by nie miał kontaktów z ludnością i by ukazać mu potęgę cesarstwa, prezentując na przykład liczne twierdze obronne i zgromadzone w ich pobliżu wojska.

Ceremoniał bizantyjski po upadku Bizancjum w części przejęli władcy europejscy. Każdy kraj do ceremoniału tego wprowadzał swoje elementy, jednak zawsze przyjęciu posła towarzyszyło wojsko – zapewniające mu bezpieczeństwo i poszanowanie immunitetu, jak i przypominające o możliwościach militarnych władcy.

W Europie wraz z rozwojem polityki zagranicznej i coraz częstszymi wizytami posłów oraz powstaniem sta-

łych misji dyplomatycznych zmieniał się charakter tych przedsięwzięć z ceremonialnego na bardziej polityczny. W protokole dyplomatycznym znamienna jest data 1 stycznia 1585 r. Wtedy król Francji Henryk III (były król Polski Henryk Walezy) wydał ordynację, którą ustanowił urząd „wprowadzającego ambasadorów i władców obcych”¹. Rozdzielił tym samym na dworze królewskim ceremonie państwowe od ceremonii związanych z przyjmowaniem delegacji i poselstw zagranicznych.

W 1815 r. na kongresie wiedeńskim podjęto wiele postanowień dotyczących odbudowania porządku w Europie po przemianach, które nastąpiły w wyniku rewolucji francuskiej i przegranej Napoleona I. Zdecydowano wówczas o równorzędnym traktowaniu wszystkich niepodległych państw, niezależnie od tego, czy były one cesarstwem, królestwem, czy republiką. I pomimo że przywilej wysyłania ambasadorów przysługiwał wówczas jedynie koronowanym monarchom, to każdy kraj – nawet republika – miał szansę rozwijania własnego ceremoniału w zakresie ich przyjmowania.

Polska gościnność

Polska w swojej historii miała bogate tradycje w zakresie ceremoniału dworskiego. Podobnie jak w dawnym Bizancjum, również w kraju nad Wisłą posłom zmierzającym do króla zapewniano eskortę: „w maju 1501 roku poselstwu saskiemu, zmierzającemu do Jana Olbrachta do Torunia, towarzyszył już od Głogowa jeden z przedstawicieli kancelarii królewskiej; podobnie w. mistrza Jana von Tiefena eskortowali w drodze do Poznania reprezentanci królewscy (1493 r.)”².

Za przykład przyjęcia wysłanników innego kraju może służyć audyencja posłów tatarskiego i tureckiego na dworze króla Augusta Mocnego w Warszawie 21 kwietnia 1713 r., którą tak opisywał Johann Christian Lünig:



LISTY UWIERZYTELNIAJĄCE

**Ambasador Francji w Polsce
Léon Noël po złożeniu listów uwier-
zytelniających prezydentowi RP
Ignacemu Mościckiemu, eskortowa-
ny przez 1 Pułk Szwoleżerów Józefa
Piłsudskiego, opuścił Zamek
Królewski w Warszawie.**

Fot. Narodowe Archiwum
Cyfrowe

„Cały garnizon piechoty zajął pozycję w bramie krakowskiej i na zamku, grenadierzy paradowali od najniższego stopnia schodów po obu stronach aż do gmachu kanclerza wielkiego, a od tego miejsca aż do sali poselskiej stali dobrze ubrani drabanci, na końcu stała kawaleria od westybulu do ustawionego tronu, na którym siedział król, pod baldachimem w purpurowym wyszywanym stroju z kapeluszem na głowie”³.

Aż do końca panowania ostatniego króla Polski przyjęcie posła zazwyczaj przebiegało według wypracowanego przez stulecia schematu. Po przybyciu do Warszawy poseł składał marszałkowi wielkiemu koronnemu listy uwierzytelniające; następnego dnia obaj spotykali się i uzgadniali termin audiencji u króla. Wizytę na zamku królewskim poprzedzał uroczysty przejazd ulicami Warszawy w towarzystwie dygnitarzy państwowych. Kiedy poseł dotarł już na zamek, był przyjmowany przez dygnitarzy koronnych i litewskich po drodze do sal królewskich. Następnie udawał się do sali Tronowej. Po audiencji następowało uroczyste przyjęcie⁴.

Nowy protokół wojskowy

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości do kraju zaczęły licznie przybywać poselstwa zagraniczne. Udział wojskowej asysty honorowej w powitaniach dyplomatów regulował opracowywany głównie przez Stefana Prze-

ździeckiego, dyrektora Protokołu Dyplomatycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, *Protokół dyplomatyczny i ceremonia państwowy II Rzeczypospolitej*. W dokumencie tym można po raz pierwszy w polskiej historii znaleźć szczegółowy zakres udziału asysty wojskowej w ceremonii złożenia listów akredytacyjnych w Polsce. W związku z brakiem rozwiązań regulaminowych obowiązujących w tym czasie w wojsku, gdyż *Regulamin służby wewnętrznej: Część X. Uroczystości, obchody i przyjęcia* – Projekt wydany w 1919 r. nie przewidywał tego typu przedsięwzięć. Nowy dokument – poza doraźnymi rozkazami komendanta m.st. Warszawy – był więc wówczas jedyną podstawą do realizacji tego typu uroczystości.

Za oprawę ceremonialną odpowiedzialne były jednostki reprezentacyjne w stolicy: Oddział Przyboczny Prezydenta Rzeczypospolitej, a od 1926 r. Kompania Zamkowa, 1 Pułk Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego oraz 36 Pułk Legii Akademickiej i od 1936 r. Baon Stołeczny.

Twórcy *Ceremoniału państwowego* dołożyli starań, aby nabrał on jak najbardziej narodowego charakteru. Dotyczyło to również udziału wojska, dlatego dużo takich elementów możemy odnaleźć w uroczystościach, które odnoszą się do polskiej barwy i broni. Również w ceremonii złożenia listów uwierzytelniających przez ambasadora przewidywano asystę wojskową i szczegółowo określano jej skład. Na przykład były to: pól

szwadronu ułanów, podwójny posterunek ułański przy drzwiach sali Audiencyjnej lub batalion piechoty na dziedzińcu zamkowym.

Wyjątkowy był też w tym okresie zwyczaj odnoszący się do polskiej tradycji rycerskiej. Gdy nuncjusz apostolski odprowadzany w asyście szwadronu do swojej siedziby błogosławił całemu orszakowi wojskowemu, „stosując się do przepisów dawnego zwyczaju, przyjętego w podobnych okolicznościach w Polsce, [...] [dodawał] do formuły błogosławieństwa słowa »Obrońców Kościoła Prawowiernego« stosując się do rycerstwa polskiego»⁵.

Zarówno przebieg uroczystości, jak i udział asysty wojskowej były znacznie bardziej rozbudowane niż współcześnie. W dniu akredytacji po ambasadora wysyłano powóz prezydencki oraz szwadron. Po pojawieniu się przed wejściem ambasadora pododdział oddawał honory, a trębacz odgrywał fanfary. Z chwilą zajęcia miejsca w powozie dowódca eskorty meldował się dyplomacie. Następnie orszak ruszał: na przedzie trębacz, za nimi pół szwadronu, później powóz z ambasadorem i dowódcą eskorty oraz jednym trębaczem po prawej stronie powozu, za nimi zaś drugie pół szwadronu. Na dziedzińcu zamkowym czekał batalion piechoty z orkiestrą, która po przyjeździe gościa grała hymn państwowy państwa, z którego przybywał witany. Ambasador wprowadzany był do zamku, gdzie wzdłuż pierwszej sali stał oddział wojskowy w szpalerze i oddawał przechodzącemu honory. W następnej sali dyplomata witali: komendant miasta, oficerowie komendy, adiutantury generalnej i oddziałów przybocznych. Przed salą audiencyjną wystawiony był podwójny posterunek ułanów. Po zakończonej audiencji na dziedzińcu zamkowym ambasadora żegnał batalion piechoty, prezentując broń, a orkiestra odgrywała fanfarę. Do ambasady dyplomacie towarzyszył – tak jak początkowo – szwadron ułanów.

Po 1925 r., do ceremoniału związanego z przybyciem do Polski ambasadora dodano dodatkowy punkt – złożenie wieńca na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie, co również odbywało się z udziałem asysty wojskowej w składzie batalionu piechoty i orkiestry wojskowej.

Po II wojnie światowej nie tylko Polska, ale i większość krajów na świecie znacznie uprościła ceremonialną oprawę przyjęcia ambasadorów. Pomimo trwania się jeszcze do końca 1950 r. przedwojennego ceremoniału, już w latach sześćdziesiątych zmodyfikowano przebieg uroczystości, który w niezmienionej formie funkcjonuje do dzisiaj. Ochronę dyplomaty przejęli od szwadronu funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu, a następnie Służba Ochrony Państwa. Towarzyszą oni gościowi podczas przejazdu z ambasady do siedziby prezydenta. Udział wojska zaś ograniczono do ceremo-

nii na dziedzińcu siedziby, a także złożenia wieńców na Grobie Nieznanego Żołnierza, obecnie odbywające się bezpośrednio po wyjeździe z pałacu lub Belwederu.

Złożenie listów uwierzytelniających

Obecnie ceremonia powitania ambasadora, po której następuje złożenie listów uwierzytelniających prezydentowi RP, odbywa się na dziedzińcu siedziby głowy państwa (Belwederu lub Pałacu Prezydenckiego), a jej przebieg szczegółowo opisano w *Ceremoniale wojskowym – załączniku do decyzji nr 392/MON Ministra Obrony Narodowej z dnia 30 września 2014 r.* (poz. 317).

Wojskową asystę honorową podczas ceremonii stanowi kompania honorowa i orkiestra wojskowa oraz posterunki honorowe. Przybycie nowo akredytowanego ambasadora oznajmiał trębacz, którzy grają sygnał „Baczność”, kompania honorowa zaś oddaje honory. Samochód z ambasadorem zatrzymuje się w wyznaczonym miejscu. Ambasador, dyrektor Protokołu Dyplomatycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i osoby towarzyszące zajmują miejsca. Uroczystość rozpoczyna orkiestra wojskowa, wykonując hymn państwa reprezentowanego przez ambasadora. Ambasador w towarzystwie dyrektora Protokołu Dyplomatycznego MSZ przyjmuje meldunek od dowódcy kompanii honorowej, dokonuje przeglądu pododdziału, wita się z żołnierzami i przechodzi do siedziby prezydenta RP. Przy pożegnaniu ambasadora kompania honorowa oddaje honory. Ambasador oraz dyrektor Protokołu Dyplomatycznego MSZ wychodzą z Pałacu Prezydenckiego w Warszawie i zajmują miejsca przed wejściem głównym. Orkiestra wojskowa odgrywa hymn Polski, po czym ambasador, dyrektor Protokołu Dyplomatycznego MSZ i osoby towarzyszące zajmują miejsca w samochodach. Samochody wyjeżdżają z dziedzińca siedziby prezydenta RP i przejeżdżają na plac Marszałka Józefa Piłsudskiego, gdzie odbywa się ceremonia składania wieńca na płycie GNŻ.

Mimo że we współczesnym świecie rolę wojskowej asysty honorowej ograniczono, nie utraciła ona charakteru reprezentacyjnego. Nadal nadaje temu wydarzeniu wyjątkową oprawę. I choć zamiast batalionu piechoty teraz jest tylko kompania, to wciąż polski ceremoniał wojskowy i poziom wyszkolenia Wojska Polskiego robią duże wrażenie na zagranicznych gościach. ■

MARIUSZ KUBAREK pułkownik, naczelnik Wydziału Protokołu Wojskowego Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych Ministerstwa Obrony Narodowej.

¹ T. Orłowski, *Protokół Dyplomatyczny Ceremoniał i Etykieta*, Warszawa 2010 s. 26.

² *Historia dyplomacji polskiej*, red. M. Biskup, t. 1: *Połowa X wieku – 1572*, Warszawa 1980, s. 577. ³ J. Kodzik, *W turbanie przed polskim królem – ceremoniał ambasady tureckiej u Augusta II w 1713 roku*, <http://www.wilanow-palac.pl> [dostęp: 4 lipca 2019 r.].

⁴ W. Zarzycki, *Ceremoniał dyplomatyczny w dawnej Polsce, „Mówią wieki”*, nr 11, 1971 r., <http://www.wilanow-palac.pl> [dostęp: 4 lipca 2018 r.]. ⁵ J. Sibora, *Protokół dyplomatyczny i ceremoniał państwowy II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2010, s. 80.

Świat



ANDRZEJ WITKOWSKI

filokartystyki

Ostatnie chwile gen. Józefa Sowińskiego przeszły do legendy za sprawą poetyckiej wyobraźni Juliusza Słowackiego utrwalonej w poemacie „Sowiński w okopach Woli”. W rzeczywistości 6 września 1831 r. bohaterski dowódca nie zginął przy ołtarzu kościoła św. Wawrzyńca, ale kilkadziesiąt metrów od bramy świątyni.

W odrodzonej Polsce, doświadczonej mrokiem ponadstuletniej niewoli, tradycje patriotyczne budowały świadomość narodową, scalały na nowo społeczeństwo obywatelskie, między innymi przez pamięć o chwalebnych wydarzeniach historycznych. Bohaterska obrona reduty 56 była jednym z czynów, którym poświęcano akademie rocznicowe, koncerty i liczne wydawnictwa okolicznościowe, w tym także pocztówki. Karty pocztowe wysyłane do adresatów w kraju i za granicą niewątpliwie przyczyniały się do utrwalania pamięci o gen. Józefie Sowińskim. Po raz pierwszy w wolnej Polsce rocznicę śmierci obrońcy wolskich szaniec obchodzono 7 września 1919 r. Warszawiacy przybyli wówczas na teren reduty uczestniczyli w uroczystości poświęcenia kościoła przez bp. Kazimierza Ruskiewicza. Pierwsza z dwóch prezentowanych pocztówek przedstawia historyczny kościół. Przed wejściem do niego zgromadzone osoby trzymają sztandar z napisem: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Na froncie świątyni

widoczne są jeszcze prawosławne krzyże. Gwoli wyjaśnienia warto dodać, że kościół św. Wawrzyńca – w czasach carskiej niewoli – w 1834 r. był przekształcony w cerkiew mauzoleum Włodzimierskiej Ikony Matki Bożej, patronki dnia, w którym Rosjanie zdobyli Warszawę.

Historia wojny polsko-rosyjskiej i walk w obronie Warszawy w 1831 r. zawsze budziła powszechne zainteresowanie. W okresie międzywojennym postulowano, także na łamach ówczesnej prasy, m.in. „Tygodnika Ilustrowanego”, aby postać bohaterskiego generała upamiętnić symbolicznym pomnikiem. Jeszcze na początku lat trzydziestych XX w. Komitet Główny Budowy Pomników pod Grochowem, Ostrołęką i na Woli, któremu patronowali Józef Piłsudski, Ignacy Mościcki i gen. Edward Śmigły-Rydz, podjął decyzję o rozpisaniu konkursu na taki monument. Zwyciężył – widoczny na drugiej z pocztówek – projekt Tadeusza Breyera, profesora warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. W pobliskim parku noszącym imię gen. Józefa Sowińskiego 28 listopada 1937 r. w niezwykle uroczystej oprawie odsłonięto pomnik człowieka, dla którego Honor i Ojczyzna znaczyły więcej niż życie.

W tym samym dniu kilkaset metrów dalej, w I Gimnazjum Miejskim stanęło popiersie generała. Gmach szczęśliwie przetrwał II wojnę, a od 1965 r. funkcjonuje pod nazwą III Liceum Ogólnokształcącego im. Generała Józefa Sowińskiego. Miałem przyjemność i wielki zaszczyt ukończyć tę szacowną szkołę, w której murach zawsze czułem, że i nade mną jej patron czuwa. ■

*Generał się poddać nie chce,
Ale się staruszek broni
Oparliśmy się na ołtarzu,
Na białym bożym obrusie*



Fot. Zbiory Andrzeja Witkowskiego

Skarb odzyskany

Ignacy Matuszewski, za sprawą przenikliwości umysłu i nowoczesności w myśleniu, był politykiem, który potrafił łączyć ów niesamowity żywioł Polaków – romantyzm i rozgrzaną głowę – z pragmatyzmem i trzeźwością oceny potencjałów – mówi prof. Sławomir Cenckiewicz.



Ignacy Matuszewski.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Panie Profesorze, czy płk Ignacy Matuszewski spotkał się w wolnej Polsce z gen. Józefem Dowborem-Muśnickim? Jeśli tak, to jakie były ich relacje? Czy generał wybaczył byłemu podwładnemu zorganizowanie buntu w I Korpusie Polskim wiosną 1918 r.?

Myślę, że nie spotkali się nigdy. Matuszewski od czasu orzeczenia Oficerskiego Trybunału Orzekającego z listopada 1921 r., który prowadził dochodzenie w sprawie tzw. buntu w Korpusie Dowbora, uznał sprawę za ostatecznie zamkniętą. Przypomnijmy, że Trybunał orzekł, że obelgi rzucane przez Dowbora-Muśnickiego na oficerów: Ignacego Matuszewskiego, Przemysława Barthel de Weydenthala i Leopolda Lisa-Kulę, który nazwał ich „łotrami działającymi za cudze pieniądze”, są „bezpodstawne i krzywdzące”. Wprawdzie Matuszewski chciał się z Dowborem nawet pojedynkować, ale kiedy Józef Piłsudski powiedział mu, że zabrania „wszelkich sądów i pojedynków”, odpuścił. Matuszewskiego poruszyła później treść pamiętników Dowbora z 1935 r., więc odpowiedział ostro na łamach „Gazety Polskiej” w 1936 r. To wszystko.

Pułkownik Matuszewski nie był zwolennikiem zachowania neutralności Polski wobec wojny domowej w Rosji. Wbrew Piłsudskiemu postulował, by poprzeć w niej białych. A czy zachowały się opinie pułkownika wobec sojuszniczej z Wojskiem Polskim 3 Armii Rosyjskiej formowanej na terytorium Polski w 1920 r. Co pułkownik myślał o idei Borysa Sawinkowa stworzenia „Trzeciej Rosji” przyjaznej Rzeczypospolitej?

Tak, to fascynujące, że kiedy jesienią 1920 r. Ignacy Matuszewski został skierowany do Rygi w roli eksperta polskiej delegacji negocjującej pokój z Sowieciami, zdobył się na odwagę napiętnować pogląd – popularny przecież w obozie Piłsudskiego – o niezbędnej neutralności Polski wobec wojny białych z bolszewikami w Rosji. Uznał, że bolszewicy są dla Polski zagrożeniem największym, a w perspektywie – dla całego świata, dlatego Polska powinna wesprzeć formację gen. Piotra



Ignacy Matuszewski z żoną Haliną Konopacką. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wrangla. Rozmawiał z Sawinkowem i uznał zapewne, że jest zbyt słaby, by się stać alternatywą dla czerwonych i białych. Chciał udzielać wsparcia każdemu przeciwnikowi bolszewizmu, ale Wrangla uważał za najbardziej przewidywalnego. Jednocześnie – co warto podkreślić – Matuszewski nie był entuzjastą zawarcia szybkiego pokoju z bolszewikami, gdyż uważał, że dzięki temu zyskają oni na zdolności bojowej, by ostatecznie rzucić wszystkie siły do walki z białymi. Miał rację, chociaż jego koncepcję porzucono.

Jako współtwórca polskiego wywiadu płk Matuszewski musiał mocno przeżywać to, co stało się z II Oddziałem we wrześniu 1939 r. Czy pułkownik w późniejszych latach wojny analizował przyczyny niepowodzeń naszego wywiadu w czasie poprzedzającym wojnę i po jej wybuchu?

Po pierwsze, Matuszewski uważał tajne służby za przedłużenie realnej polityki, więc ostrze krytyki kierował w stronę ludzi władzy. Po drugie, chociaż był zirykowany rozmiarami klęski, którą przewidział długo przed wybuchem II wojny światowej, uznał jednak, że w warunkach wojennych trzeba z krytyką i rozliczeniami za katastrofę 1939 r. postępować ostrożnie. Podzielał stanowisko wyrażone w tym czasie przez gen. Kazimierza Sosn-

kowskiego, który w 1940 r. stwierdził: „roztrząsając sprawę tzw. przyczyn klęski można postępować w sposób choćby najsurowszy w obrębie czterech ścian »domu rodzinnego«, jednak na zewnątrz trzeba postępować ostrożnie, aby nie wylać dziecka razem z wanną”¹. I dokładnie tak postępował – w rozmowach i dyskusjach nie szczędził słów krytyki wobec ekipy marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza, Józefa Becka i Felicjana Sławoja Składkowskiego, ale na zewnątrz – chociaż także stanowczy – starał się nie personifikować odpowiedzialności, wskazywał na błędy polityki ekonomicznej i zagranicznej II RP, akcentując jednak ofiarę, jaką Polska pierwsza złożyła, bijąc się z Niemcami i Sowietami.

Brawurowa ewakuacja polskiego złota przeprowadzona przez tandem Ignacy Matuszewski – Henryk Floyar-Rajchman przeszła do legendy. Mniej się pamięta o tym, że akcja ta zamiast zasłużonej chwały przyniosła obu oficerom kłopoty i bezpodstawne oskarżenia o malwersacje. Zablockowało im to właściwie karierę wojskową w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski polecił jednak Matuszewskiemu zorganizować sieć wywiadowczą w Afryce. Pułkownik odmówił, argumentując, że boi się, iż przy tej okazji znowu zostanie oskarżony o nadużycia finansowe. Czy to był jedyny powód?

To wszystko jest o wiele bardziej złożone, choć rzeczywiście Matuszewski był ogromnie rozczarowany Sikorskim, z którym początkowo dość blisko współpracował, pisząc nawet dla niego teksty przemówień. Później to skrętnie ukrywał. Ale powołanie specjalnej komisji i uruchomienie śledztwa w sprawie rzekomych nieprawidłowości przy wywozie złota było dla niego skandalem. Bank Polski za zgodą ministra skarbu wypłacił mu z wdzięczności nawet honorarium – 5 tys. dolarów, aby potem uznać to za rodzaj wymuszenia albo wręcz przywłaszczenia środków publicznych. Ta paryska rozgrywka z Matuszewskim była niepojętą zgrozą. Wszystko, co działo się później, było tego konsekwencją. Na nieufność nałożyła się prosowiecka postawa wielu członków gabinetu Sikorskiego, i wreszcie – trzeba to powiedzieć – samego premiera. Propozycja Sikorskiego z wnioskiem ►



SŁAWOMIR CENCKIEWICZ doktor habilitowany, historyk i publicysta, dyrektor Wojskowego Biura Historycznego im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, członek Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej. Specjalizuje się w dziejach ludowego Wojska Polskiego, komunistycznych tajnych służb, polskiej emigracji politycznej, Polonii amerykańskiej, oporu i ruchu antykomunistycznego w PRL. Jest autorem około 200 publikacji naukowych, popularnonaukowych i źródłowych.

Fot. Krzysztof Żuczkowski



CZYTAJMY MATUSZEWSKIEGO

Wydanie prac Ignacego Matuszewskiego – postaci, której pamięć i obecność w polskiej historiografii była dotychczas niezastąpione niewielka – jest niewątpliwie wydarzeniem.



Ignacy Matuszewski, Pisma zebrane, t. 1-2, oprac. Sławomir Cenckiewicz, Instytut Pamięci Narodowej – Wojskowe Biuro Historyczne – Wydawnictwo LTW, Warszawa – Łomianki 2019.

IGNACY MATUSZEWSKI

Prezidium uroczystej akademii z okazji bitwy pod Rarańczą w sali Rady Miejskiej w Warszawie. Pierwszy od lewej Ignacy Matuszewski.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Minister skarbu Ignacy Matuszewski przed posiedzeniem Sejmu RP.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



1941 r., by Matuszewski kierował polskim wywiadem w Afryce Północnej, była pozbawiona wiarygodności i powagi już przez sam fakt, że Matuszewski miałby podlegać ministrowi Stanisławowi Kotowi, który z charakterystyczną dla siebie pasją zwalczał pułkownika w okresie paryskim. Propozycja Naczelnego Wodza faktycznie wyłączała go także z aktywności politycznej, neutralizowała jako krytyka i pozbawiała wpływu na sprawę polską, co z uwagi na zasadniczy przełom strategicz-

ny związany z czerwcową agresją Niemiec na Związek Sowiecki było dla Matuszewskiego zwyczajnie nie do przyjęcia. I jeszcze jedno – Matuszewski uważał, że działalności wywiadowczej nie powinni prowadzić czynni i znani politycy, dla dobra służby i kraju. Świadczy to o jego nowatorskich i dużych kompetencjach.

Czy pułkownik nie myślał o powrocie do Wielkiej Brytanii, kiedy Naczelnym Wodzem został gen. Kazimierz Sosnkowski, który podzielał wiele jego opinii, choćby w sprawie stosunków polsko-sowieckich?

Zupełnie nie. Cechą Matuszewskiego była przenikliwość umysłu i nowoczesność, stąd rozwój wypadków światowych podpowiadał Matuszowskiemu, że Ameryka stanie się centrum politycznym globu, które zadecyduje o przyszłości świata, a więc i Polski. Przewidział zatem i to. Pogląd ten podzielał później i Sosnkowski, który miał nawet koncepcję przeniesienia naczelnych władz RP z Londynu do Ameryki, by mogły one skuteczniej oddziaływać na Waszyngton, który przecież wyrastał na stolicę całego wolnego świata.

Co według Pana dzisiaj z myśli pułkownika Matuszewskiego jest dla nas najbardziej aktualne?

Był wielki swoją nowoczesnością, przenikliwością, pragmatyzmem i realnością. Był politykiem, który potrafił łączyć ów niesamowity żywioł Polaków – romantyzm i rozgrzaną głowę – z pragmatyzmem i trzeźwością oceny potencjałów. Bez zbytniej ufności w deklaracje i okragłe mowy mężów stanu, nawet tych najbardziej z nami zaprzyjaźnionych z Londynu i Ameryki. Budowanie siły państwa przez „romantyzm celów i pozytywizm środków”, dzięki czemu Polska miała odzyskać „zagubiony skarb zapobiegliwości” przed klęską, były zasadą jego politycznego myślenia i działania. To uważam za najważniejsze poza tysiącem jego innych zalet. Czytajmy jego teksty!

Rozmawiał Piotr Korczyński

¹ Archiwum Akt Nowych, Akta Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, sygn. 36, List K. Sosnkowskiego do Wieniawy, Paryż, 30 października 1939 r., k. 1-2.

Fot. 6 Mazowiecka Brygada Obrony Terytorialnej



GRZEGORZ KALICIAK

PUŁKOWNIK, DOWODZIŁ OBRONĄ RATUSZA
W KARBALI PODCZAS II WOJNY W ZATOCE PERSKIEJ,
KAWALER ORDERU KRZYŻA WOJSKOWEGO

**TO CZŁOWIEK JEST WYKONAWCĄ KAŻDEJ
PROCEDURY I OD JEGO WŁAŚCIWIE PODJĘTYCH
DECYZJI, JEGO DETERMINACJI, CHARYZMY
ORAZ MORALE ZALEŻY POWODZENIE
W WALCE I OSTATECZNE ZWYCIĘSTWO.**

Dowódcy Września

Inteligentne programy komputerowe po wprowadzeniu odpowiednich danych potrafią sprawnie przeanalizować, ocenić i zaproponować optymalne rozwiązania różnych sytuacji. Zarówno środowisko współczesnych naukowców, jak i niektóre grupy wojskowe chętnie próbują wydawać opinie na temat wydarzeń z przeszłości, oceniają je jednak z własnej perspektywy i z perspektywy czasów, w których żyjemy. Ktoś, kto nie znalazł się w sytuacji kryzysowej, nie jest w stanie wyobrazić sobie tego, co czuje człowiek w warunkach wojny, w chwili realnego zagrożenia życia. Co czuje dowódca odpowiedzialny za życie swoich ludzi. Klatka po klatce, w ułamkach sekund, ukazują mu się najpiękniejsze momenty życia, a zaraz potem pojawia się lęk i troska o najbliższych, następnie nurtujące pytanie: co z nimi będzie? Ci, którzy tego nie przeżyli, nigdy nie będą mogli ocenić sytuacji z należytym obiektywizmem.

Wciąż trudno jest rozmawiać o Wrześniu 1939 r. Bohaterską postawę tych dowódców, którzy w obliczu zagrożenia życia, pełni odpowiedzialności za swoich żołnierzy, wypełniali rolę przysięgi wojskowej, należy stawiać za przykład. Współczesny dowódca dysponuje nowoczesnymi technologiami. Oni zdani byli na przestarzały sprzęt i braki w jego ukompletowaniu. Wykonywali zadania, licząc na wielkie poświęcenie żołnierza polskiego. Warto przypomnieć tu chociażby gen. Tadeusza Kutrzebę i gen. Władysława Bortnowskiego, którzy w działaniach wykazali się nie tylko męstwem, ale również inicjatywą i pomysłowością. Podobnie też gen. Franciszek Kleeberg, który wraz ze swoją Samodzielną Grupą Operacyjną „Polesie” odniósł pomimo wielkich przeciwności ogromne zwycięstwo – wygrał bitwę nazwaną później ostatnią największą bitwą kampanii wrześniowej. Wspaniali dowódcy Września '39 to także kontradmirałowie Włodzimierz Steyer i Józef Unrug. Ci ludzie, często odcięci od informacji i rozkazów przełożonych, musieli podejmować decyzje w skrajnie trudnych warunkach, w pośpiechu i w stanie fizycznego wyczerpania, nierzadko mierząc się z brakiem rzetelnej informacji z pola walki. Dowodzili instynktownie i „na słuch” – znane są przypadki, kiedy dowódcy szli z pomocą walczącym pododdziałom, nasłuchując odgłosów walki. Dzisiaj współczesnej młodzieży – pokoleniu milenijnemu, które wychowane jest już z dala od konfliktów zbrojnych, a wojnę zna jedynie z opowiadań – trudno jest nawet wyobrazić sobie, że można skutecznie bić wroga w takich warunkach.

Pokolenie Września '39 wychowane było w pragnieniu wolności i niepodległości. Ten fundament okazał się trwały i był drogowskazem dla ludzi, których życie zmieniło się w koszmar w 1939 r. W obliczu nagłego ataku agresorów zawiodły dotychczasowe doktryny wojenne, a wychodzących na front żołnierzy Wojska Polskiego nie wyposażono w zmagazynowany nowoczesny sprzęt, a nawet jeśli został on wydany, żołnierze często nie byli wyszkoleni w jego obsłudze. Wielu zmobilizowanych rezerwistów przychodzących do koszar często posyłano z powrotem do domu. Zawiedli też sami dowódcy. W obliczu kryzysu wojny wielu z nich nie było w stanie samodzielnie podejmować decyzji. O tym wszystkim należy pamiętać.



MAŁGORZATA ŁĘTOWSKA SEKRETARZ REDAKCJI

MÓWIŁ, ŻE JESZCZE TAK BARDZO NIE CZUŁ BÓLU, JAK W DNIACH, KIEDY POLSKA ZOSTAŁA BARBARZYŃSKO ZAATAKOWANA.

Alojzy Orione urodził się w miejscowości Pontecurone we włoskim Piemontie w 1872 r. Jako trzynastolatek wstąpił do klasztoru w miasteczku Voghera, jednak z powodów zdrowotnych wrócił do domu. Rok później ks. Jan Bosko, założyciel zakonu salezjanów, przyjął go do oratorium (domu) św. Franciszka Salezego w dzielnicy Valdocco w Turynie.

Przechadzając się turyńskimi ulicami Alojzy widywał okno mieszkania polskiego generała, który ongiś przyjechał do Piemontu, by walczyć za Italię. Czyżby chodziło o gen. Wojciecha Chrzanowskiego, który w 1848 r. objął dowództwo nad armią Królestwa Sardynii broniącego się przed wojskiem austriackim?

W oratorium Alojzy poznał polskich emigrantów, których przygarnął z rozdartej przez zaborców ojczyzny ks. Bosko. Byli uzdolnieni, odważni i pobożni. Niektórzy chcieli wstąpić do salezjanów. Wśród pierwszych polskich salezjanów we Włoszech, wychowanków don Bosco i jego współpracowników, znalazły się takie postaci, jak: wnuk „niekoronowanego króla Polski” księcia Adama Czartoryskiego błogosławiony August Czartoryski, założyciel zakonu michalitów błogosławiony Bronisław Markiewicz i prymas Polski August Hlond. Właśnie w Turynie, pod wpływem nawiązanych tu przyjaźni, zrodziło się upodobanie młodego Orione do Polski.

Alojzy Orione przyjął święcenia kapłańskie w 1895 r. Osiadł w parafii w niedalekiej Tortonie. Rozwinął duszpasterstwo wśród młodzieży, pomagał ubogim, opuszczonym, chorym, ofiarom trzęsień ziemi i po latach założył dwa zgromadzenia zakonne zajmujące się osobami ubogimi i odrzuconymi: męskie Małe Dzieło Opatrzności Bożej (Synowie Opatrzności Bożej, orioniści) oraz żeńskie Siostry Małych Misjonarek Miłosierdzia (orionistki).

Ksiądz Alojzy cenił Polaków za to, że bronili świat katolicki przed inwazją turecką i rosyjskim prawosławiem. Za to, że Polacy po wymazaniu ich kraju z mapy Europy pod koniec XVIII w. przetrwali jako naród, wbrew zaborcom broniąc własnej wiary i swojej kultury, nadzieję pokładając w Maryi – Królowej Polski.

Odzyskanie niepodległości przez Polskę w 1918 r. stworzyło możliwość przybycia orionistów na jej ziemię w 1923 r. Zetknął się z nimi w latach trzydziestych ksiądz diecezji włocławskiej Stefan Wyszyński, po II wojnie światowej prymas Polski. Jeden z jego najbliższych współpracowników, sekretarz Konferencji Episkopatu Polski bp Bronisław Dąbrowski, był orionistą – prowadził zakonną bursę dla chłopców w Warszawie.

Gdy Niemcy napadły na Polskę 1 września 1939 r., ks. Orione rozpostarł na ołtarzu w sanktuarium Matki Bożej Czuwającej w Tortonie polską flagę. Ucałował ją, a w ślad za nim współbracia w milczeniu zbliżali się do prezbiterium i powtarzali jego gest. Duchowny umieścił tę flagę w swoim pokoju, gdzie znajduje się do dzisiaj. Zmarł w 1940 r. w domu swego zgromadzenia w San Remo w Ligurii.

Ksiądz Alojzy Orione nigdy w Polsce nie był, ale czuł z nią wyjątkową więź. To właśnie papież Polak, Jan Paweł II, w 1980 r. beatyfikował go, a w 2004 r. kanonizował. Dzieło tego świętego istnieje współcześnie w 30 krajach.

Świętych Jana Bosko, Alojzego Orione, Jana Pawła II oraz prymasa Stefana Wyszyńskiego, którego proces beatyfikacyjny jest w toku, łączyła w niezwykle sposób nie tylko miłość do Boga, ale i sprawa polska. W różnym czasie ziemskiej wędrówki, w różnych miejscach świata. Wspólna biała-czerwona sprawa. ■



CENTRUM SERWISOWO – LOGISTYCZNE
DO OBSŁUGI CZOŁGÓW LEOPARD 2

CSL-WZM-LEOPARD 2



Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. w Poznaniu to dziś jedyny polski zakład posiadający autoryzowane uprawnienia do serwisowania i napraw czołgów Leopard 2 A4/A5, należących do Sił Zbrojnych RP. Konieczność zabezpieczenia serwisowo-logistycznego polskich Leopardów, w połączeniu z dynamicznym rozwojem firmy, pozwoliła na utworzenie w poznańskich zakładach Centrum Serwisowo-Logistycznego do obsługi czołgów Leopard 2, czyli CSL-WZM-LEOPARD 2.

Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. istnieją od 1945 roku, cały czas działając w branży zbrojeniowej. Dziś wchodzi w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A., konsolidującej polski przemysł obronny. Głównym profilem aktywności firmy są: produkcja, modernizacje, naprawy i serwisy czołgów, kołowych transporterów opancerzonych oraz projektowanie i produkcja szybko wymiennych zespołów napędowych do pojazdów wojskowych. Działalność WZM zapewnia kompleksowe zabezpieczenie potrzeb Sił Zbrojnych RP. W naszym Centrum Szkoleń załogi pojazdów wojskowych uczą się profesjonalnego użytkowania sprzętu.



WOJSKOWE ZAKŁADY MOTORYZACYJNE S.A.



WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

POLECAMY

„Cieszymy się, że żyjemy w pokoju i **nikt z nas nie jest zmuszony dokonywać w ciągu jednej sekundy wyboru pomiędzy życiem a śmiercią**”, mówi Kazimierz Piechowski, jeden z bohaterów tej książki. Oddaliśmy głos tym, którzy przeszli piekło wojny i zdecydowali się o tym opowiedzieć w szczerych, poruszających rozmowach.



KSIĄŻKĘ ZAMÓWISZ NA

sklep.polska-zbrojna.pl 

DARMOVA PRZESYŁKA

